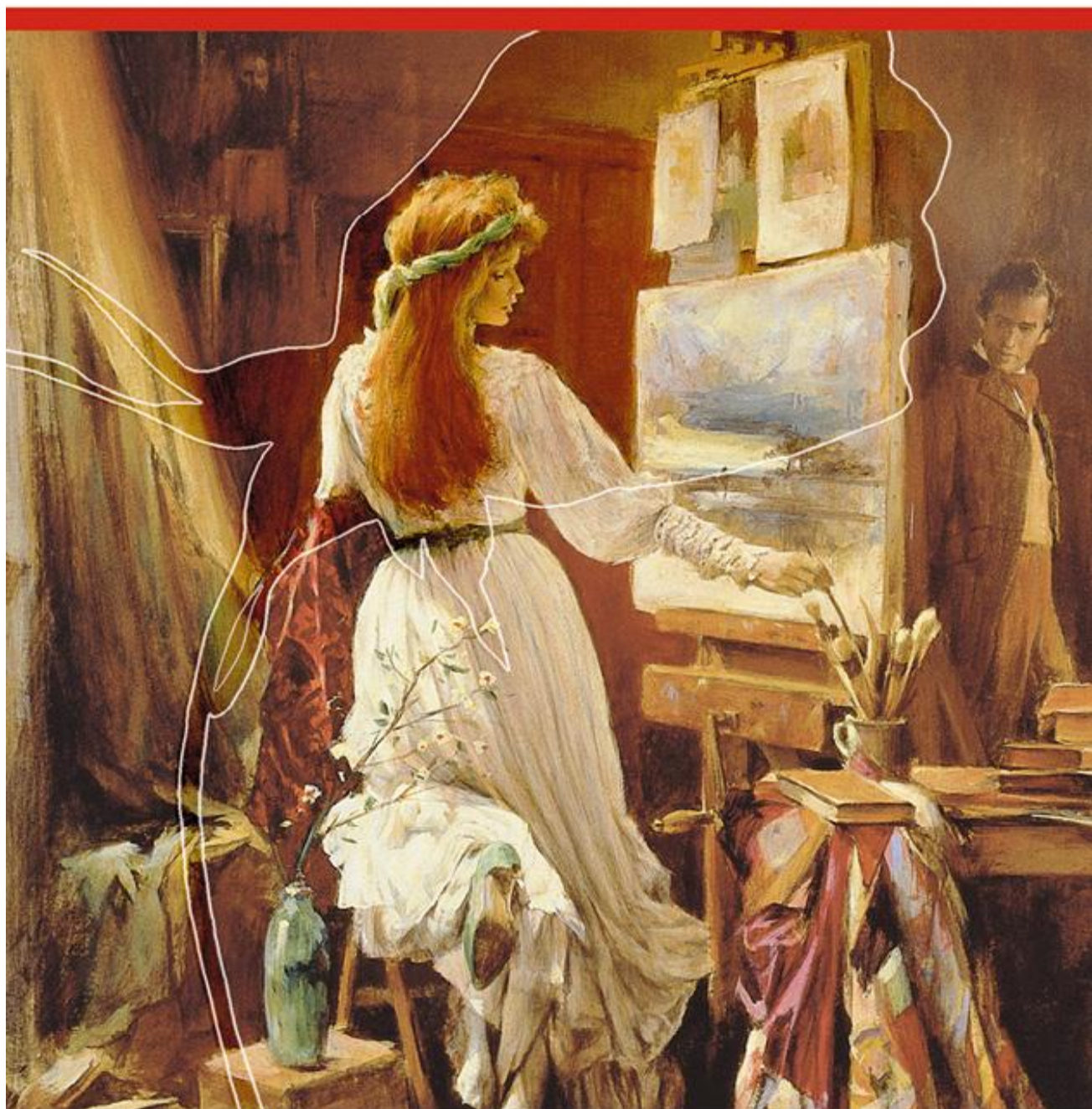


Judith
LENNOX

Wszystkie moje siostry



JUDITH LENNOX

**Wszystkie
moje siostry**

Przełożyła
Anna Bańkowska

Prószyński i S-ka

Moim szwagierkom – Frances i Sam

Podziękowania

Serdeczne podziękowania należą się mojemu synowi Ewenowi za pomoc w medycznych wątkach tej książki.

Wdzięczna też jestem licznym mieszkańcom Sri Lanki za ich uprzejmość, poświęcony mi czas oraz wspomnienia, którymi tak hojnie się ze mną podzielili. Szczególnie cenna była dla mnie pomoc Susanthy, gdyż to dzięki niej podczas pobytu na Sri Lance zyskałam tyle cennych informacji i niezatartych wspomnień.

A także – jak zawsze – dziękuję mojej agentce Maggie Hanbury oraz mojemu mężowi Ianowi za ich nieustające wsparcie.

Prolog

Podczas bezsennych nocy pomagała sobie układaniem spisów. Spisów hrabstw Wielkiej Brytanii, ośrodków przemysłowych i głównych artykułów eksportowych Zjednoczonego Królestwa; królów Anglii i dzieł Williama Szekspira. Od czasu do czasu coś nagle ożywiało jej pamięć.

– „Opowieść zimowa”, „Cymbelin”, „Burza” – mamrotała do siebie tuż przed świtem w gorące styczniowe noce, wspominając pewien wieczór w teatrze, kiedy Arthur trzymał ją za rękę i gładził kciukiem wewnątrz jej dłoni. Zapamiętała ten lekki, natarczywy dotyk i pożądanie, które z wolna w niej narastało przy akompaniamencie głosów ze sceny.

*Nie zblaknął bowiem wcale;
Lecz przemieniło go morze...1*

Zblaknął jednak. W jej pamięci były luki, brakowało całych dni, nawet tygodni, których wydarzenia kompletnie się zatarły. Nie potrafiłaby już przypomnieć sobie przeciętnych, szarych dni, tak samo jak nie umiałyby określić dokładnego koloru jego oczu, zarysu twarzy...

Te listy to próba przypieczętowania i utrwalenia przeszłości. Wspominała pikniki na wzgórzach, wakacje nad morzem. Tutaj, w tym odludnym miejscu, przywoływała w pamięci słony zapach morza, śliskie brunatne wodorosty. Wciąż miała w uszach pojękiwanie i szcęk opuszczanej na plażę kabiny kąpielowej, pamiętała, jak w dusznym, mrocznym wnętrzu wstrzymywała oddech w oczekiwaniu na zanurzenie się w lodowatej wodzie Morza Północnego. Ona i jej siostry nosiły wtedy kostiumy z czarnej serży. Gruba tkanina po nasiąknięciu wodą drapała skórę. Po drugiej stronie plaży kobiety kąpały się w letnich sukniach; razem z Evą patrzyły, jak jasne spódnice wzdymają się i falują, przez co ich właścicielki sprawiają wrażenie dziwacznych, przezroczystych morskich stworów. „Zupełnie jak meduzy, Marianne! – krzyczała Eva. – Wielkie, olbrzymie meduzy!”.

Czy to w Filey, czy w Scarborough widziały te kobiety przeskakujące fale w kompletnych strojach, z wyrazem rozkoszy na zmęczonych twarzach? Martwiło ją teraz, że tego nie pamięta. Obudziwszy się o świcie z głową pełną nocnych koszmarów, czuła wciąż oddech przeszłości i obawę przed tym, co ją czeka. Podczas najgorszych nocy dzwięczał jej w uszach głos: „Godzina czwarta – godzina czarta”.

Kolejne wspomnienia, które odpłynęły w ciemność. Pamiętała Sheffield, gdzie się urodziła i wychowała. Pamiętała duże sklepy i hotele w centrum miasta, a także chmurę sinego dymu, wiszącego niczym całun nad dzielnicą przemysłową. Pamiętała ryk pieców, nieustanny stukot i huk młotów, wszelakiej maszynierii, a także stłoczonych ludzi, zapach dymu i deszcz.

Pewnej dusznej nocy stanął jej przed oczami salon w Summerleigh – cztery niskie

fotele obite rdzawym aksamitem, krzesło ciotecznej babki Hannah przy kominku, na fortepianie oprawione fotografie rodziców w ślubnych strojach i portret babki Maclise, monumentalnej niczym królowa Wiktoria, o mocno zarysowanych szczękach, stalowym spojrzeniu i włosach upiętych w kok. Obok amatorska fotka trzech chłopców: James w blezerze i słomkowym kapeluszu, Aidan i Philip w marynarskich ubrankach.

A także fotografia czterech sióstr Maclise – wszystkie w białych muślinowych sukienkach i jedwabnych szarfach, które na zdjęciu nabrały z czasem odcienia umbry, lecz w pamięci Marianne zachowały swe barwy. Szarfa Iris – jasnoblękitna jak jej oczy, Evy – w kolorze jabłkowej zieleni, Clemency – maślanożółta i jej własna – blad różowa jak róże odmiany Albertine. Iris – złotowłosa Iris – opiera się o konar drzewa, śmiejąc się do obiektywu. Drobna, foremna Eva śmiało patrzy przed siebie. Clemency wyraźnie niezręcznie czuje się w sukni, jakby krępował ją muślin i jedwab. Marianne zapamiętała, że ona sama patrzyła w bok, co fotograf uznał za nieśmiałość wobec obiektywu.

A jednak się mylił. Wcale nie była nieśmiała, po prostu nigdy nie lubiła, kiedy na nią patrzono. Nie cierpiała wchodzić do pełnego ludzi pokoju; nigdy nie zatrzymywała się w progu jak Iris, żeby ściągnąć na siebie męskie spojrzenia, nigdy nie udał się jej ten mistrzowski trzask obcasa połączony z kuszącym mignięciem dołu obszytej koronką halki. Gardziła kokieterią i nie była do niej zdolna. Wierzyła, że miłość to spotkanie serc i umysłów przypieczętowane spojrzeniem, zdolne przetrwać rozłąkę, zmianę i śmierć. Miłość – myślała Marianne, zdarza się tylko raz w życiu.

Gdzieś daleko zawarczał silnik; aż się wzdrygnęła. Leżała potem w ciemności z szeroko otwartymi oczami, nie mogąc skoncentrować myśli. Od razu opadły ją znajome koszmarne wspomnienia.

To wszystko, co kiedyś widziała, to, co zrobiła. Rzeczy, o których zawsze myślała, że nie mogłaby ich popełnić. Czy cokolwiek zostało jeszcze z tamtej unikającej obiektywu dziewczyny, która wpadała w popłoch, gdy tylko poczuła na sobie wzrok mężczyzny? Czy można się przeobrazić w zupełnie inną osobę?

„Opowiedz mi o swojej rodzinie – poprosił Arthur, kiedy się poznali. – O twoich trzech braciach i trzech siostrach”. Co by odpowiedziała teraz? Że nie zna już tych, których kiedyś kochała najbardziej na świecie. A jeśli zmienili się tak bardzo, jak ona sama, to nie zdołaliby się już nawzajem rozpoznać.

Albo że tęskni za nimi tak mocno, że ból zdaje się wyciekać z niej razem z potem. Za swoimi siostrami, wszystkimi siostrami, których nie wolno jej już nigdy zobaczyć.

1 W. Szekspir „Burza”, akt I, sc. II (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział pierwszy

Marianne okrążała samotnie salę balową, starając się trzymać jak najbliżej ściany. Nagle wpadły jej w ucho słowa jednej z przyzwoitek, wypowiedziane do pani Catherwood, która zabrała siostry Maclise na bal razem ze swoją córką. Opiekunki panien – *tricoteuses*, jak nazywała je Iris lekko sarkastycznym tonem – siedziały razem w przyległym pokoju – przy otwartych drzwiach, żeby mieć oko na swoje dziewczęta. „Druga córka Maclise’ów to straszna gidia!” – powiedziała pani Palmer, na co miła pani Catherwood odrzekła: „Marianne za rok, dwa wyrośnie na prawdziwą piękność, niech tylko jej uroda dojrzeje”. A jednak to pierwsze zdanie nie odstępowało ukrytej w cieniu aksamitnej purpurowej kotary Marianne. „Gidia... straszna gidia...” Znów opadły ją tak dobrze znane wątpliwości. Nic dziwnego, że wciąż się garbiła (jak większość wysokich dziewcząt), aby się wydać niższą, nic dziwnego, że wciąż okręcała wstążeczkę karneciku wokół pustych kartek.

Jaka szkoda, że nie została w domu z Evą i Clemency. Szczęśliwa Eva, że akurat się przeziębiła, szczęśliwa Clemency, bo jeszcze nie bywa w towarzystwie... przynajmniej nie muszą sterczeć na tym koszmarnym balu. Ona też wolałaby siedzieć z podwiniętymi nogami na podokiennej ławeczce w pokoju, który dzieliła z Iris, i przewracać gorączkowo strony romansu „Trzy tygodnie”, wyciągniętego ze skrytki pod kłębem pończoch w szufladzie komody. Czasem Paul Verdayne, uganiający się za tajemniczą pięknnością w szwajcarskim hotelu, wydawał się jej bardziej realny i żywy niż własna rodzina.

Marzyła o tajemnicy i miłości, o nowych widokach i twarzach, o czymś... o kimś, kto przyśpieszyłby rytm jej serca. Ale jaka tajemnica uchowałaby się w takim Sheffield?, myślała z pogardą, wodząc wzrokiem po sali. O, Ellen Hutchinson – w perfekcyjnej do obrzydliwości różowej atłasowej sukni – tańczy z Jamesem. Marne widoki, skoro najprzystojniejszym mężczyzną na balu jest własny brat. Ronnie Catherwood niezdarnie przesuwając Iris po parkiecie... Marianne westchnęła. Sami znajomi! Jak mogłaby wyjść za jednego z tych chłopców, których zna od dzieciństwa, których twarze pokrywa teraz cień zarostu albo co gorsza liczne pryszcze? Jest w nich coś niedokończonego, coś wręcz zabawnego. Sama myśl, że miałyby opuścić rodzinę, aby spędzić resztę życia z takim niezdarnym, przeciętnym młodym człowiekiem, wydawała się jej odrażająca.

A jednak musi wyjść za męża, bo jeśli nie, to co z sobą zrobi? Jej życie będzie toczyć się dalej według tej samej rutyny. Ponieważ przy matce żadna pokojówka nie wytrzyma dłużej niż rok, sprawy domowe nie idą już tak gładko, jak powinny. Z powodu złego zdrowia matki, z powodu charakteru Iris, która zawsze wymigiwała się od codziennych obowiązków, to na nią, Marianne, spadnie cała odpowiedzialność za prowadzenie domu. Nagle zdała sobie sprawę, że może skończyć jak cioteczna babka Hannah – zostanie starą panną. Też będzie nosić ogromny gorset i nawet perukę. W wyobraźni zobaczyła siebie w czarnej bombazynie, z włoskami na podbródku i roześmiała się cichutko.

W tym momencie poczuła czyjś wzrok. Nie umiałaby odpowiedzieć, skąd o tym

wiedziała. Bo przecież nie można wyczuć, w którą stronę ktoś patrzy, prawda?

Stał po drugiej stronie sali. Kiedy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się i skłonił nieznacznie głowę. Miała dziwne wrażenie, że skądś go zna. Gdzieś go musiała już spotkać – na jakimś niekończącym się żurfiksie albo nudnym koncercie. Ale w takim wypadku na pewno by go zapamiętała...

Wzrok nieznajomego zdawał się ją palić – poczuła nagłą chęć ucieczki. Rzuciwszy się między zażywe damy ze strusimi piórami we włosach i panów z wąsikami, którzy ścigali ją pożądlivymi spojrzeniami, wybiegła z sali. Zatrzymała się dopiero w długim, źle oświetlonym korytarzu z rzędami drzwi po obu stronach. Z kuchni dobiegał szcęk naczyń i szum. Pokojówki biegały tam i z powrotem z tacami pełnymi szkła, nieco dalej służący w zarękawkach i fartuchu zapalał papierosa.

Marianne otworzyła jakieś drzwi i znalazła się w małym pokoju. Stały tam dwa krzesła z wytartymi obiciami, stojak na nuty i zdezelowane pianino. Zdjęła rękawiczki i przebiegła palcami po klawiaturze. Potem przysunęła sobie nuty, usiadła i zaczęła grać – z początku cicho, żeby jej ktoś nie usłyszał, ale w końcu zatraciła się w muzyce i całkiem się jej poddała.

Drzwi się otworzyły i wszedł nieznajomy z sali balowej. Marianne uniosła ręce; drżały teraz w powietrzu nad klawiaturą.

– Najmocniej przepraszam – odezwał się intruz. – Nie chciałem pani przestraszyć.

Szybko zamknęła nuty.

– Muszę już wracać.

– Dlaczego pani uciekła? Woli pani grać niż tańczyć?

– Nie tańczyłam.

– A miała pani ochotę?

Pokręciła przecząco głową.

– Chciałam zostać w domu z siostrami.

Gęste, krótko przycięte, a mimo to falujące włosy nieznajomego miały kolor złocistego brązu. Niebieskie oczy były o parę tonów jaśniejsze od jej własnych. Regularne kontury twarzy i mocno zarysowana szczęka sprawiały wrażenie solidności i siły. Marianne domyśliła się, że mężczyzna jest od niej o parę lat starszy i trochę wyższy. Przy nim nie musiałaby się garbić ani pochylać głowy.

– Dużo pani ma siostr?

– Trzy.

– A braci?

– Trzech.

– Czyli razem siedmioro! A ja jestem jedynakiem. Nigdy nie umiałem sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy się ma taką dużą rodzinę.

– Jedynacy często zazdroszczą licznym rodzinom.

– Tak? Mnie zawsze cieszył mój status samotnika. W dużej rodzinie człowiek może się obawiać, że go nie zauważą. – Utkwił w niej wzrok. – Chociaż nie sądzę, aby panią kiedykolwiek to spotkało.

– Nie miałabym nic przeciwko temu. Nie cierpię, gdy ludzie mi się przyglądają, wydają sądy... – Umilkła, przerażona własną szczerością.

– Może nie wydają sądów. Może tylko panią podziwiają.

„Druga córka Maclise’ów to straszna gidia”; Marianne podniosła się ze stołka.

– Muszę już wracać.

– Dlaczego? Nie ma pani ochoty tańczyć, a towarzystwo panią nudzi. No, chyba że ja panią nudzę jeszcze bardziej.

Powinna wrócić na salę z powodu jego bliskości, która w tym ciasnym pokoju zdawała się ją osaczać, wprawiała w niepokój. Ale tego nie mogła mu powiedzieć, więc tylko opadła z powrotem na stołek.

– Znakomicie, panno...?

– Maclise – wykrztusiła. – Marianne Maclise.

– Arthur Leighton. – Ujął jej dłoń. – Proszę mi opowiedzieć o swojej rodzinie. O tych trzech braciach i trzech siostrach. Pani jest która z kolei?

– James jest najstarszy, potem Iris. Iris przyszła tu dzisiaj, na pewno pan ją widział. Ma złote włosy i niebieskie oczy, to piękność.

– W białej sukni? Brylanty w uszach i biała gardenia we włosach?

– Zauważył ją pan. – Poczowała igiełkę zazdrości: Iris zawsze była faworytką.

On jednak odpowiedział:

– Lubię obserwować. To często daje więcej przyjemności niż rozmowa.

– Ach, tak pan uważa? Ja także. Rozmowa często wydaje się taka... wymuszona. Taka fałszywa... – Niespodziewane porozumienie sprawiło, że słowa same popłynęły z jej ust.

– Nie zawsze – zauważył łagodnie. – Nasza nie jest fałszywa, jak pani sądzi? A więc – wrócił do tematu – mamy Jamesa i Iris. A dalej?

– Potem ja, a po mnie Eva. Ma ciemne włosy jak ja, chociaż wcale nie jesteśmy podobne. Jest znacznie niższa i bardziej... zdecydowana, pewna siebie. – Marianne skubała fałdy swej jedwabnej spódnicy. – Ja zawsze widzę we wszystkim dwie strony.

– Niektórzy uznaliby to za cechę... oznakę dojrzałości.

– Ale jak dokonać wyboru? Kiedy się musi zdecydować o czymś ważnym, skąd można wiedzieć?

– Czasem trzeba zaryzykować. W każdym razie ja tak uważam.

– Przypuszczam, że decyzje, jakie pan podejmuje, są trochę ważniejsze od moich – odrzekła z goryczą. – Ja całe wieki spędzam, wysilając mózg, czy włożyć różową suknię czy białą albo czy kazać kucharce przyrządzić krem z jajek i mleka czy roladę z dżemem.

– Ależ oczywiście, roladę z dżemem! Jest znacznie lepsza od kremu. A pani powinna ubierać się raczej na biało niż na różowo. Róż proszę zostawić ładnym blondynkom, jak pani siostra Iris. Chociaż chętnie zobaczyłbym panią w bardziej zdecydowanych kolorach, może w fiołkowym, jak te kwiatki? Są dokładnie takie, jak pani oczy.

Marianne zaniemówiła. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna – ani ojciec, ani żaden z braci bądź ich przyjaciół – nie wygłaszał tego typu uwag na temat jej strojów. Obawiała się, czy nie ma w tym czegoś niewłaściwego.

Pan Leighton zaś wypytywał dalej:

– Kto następny? Brat czy siostra?

– Siostra, Clemency. A potem Aidan i Philip. Aidan ma trzynaście lat, a Phil dopiero jedenaście. Chyba nie bardzo wiem, jacy właściwie są – ot, po prostu chłopcy, najmłodsi z rodziny. Tylko Clemmie ma dla nich czas, reszta mało na nich zważa.

– Pewnie wszyscy mają sporo zajęcia. Chyba nigdy nie czuje się pani samotna.

Powinna wracać na salę. Kobieta niezamężna nie może przebywać sam na sam z mężczyzną, to nienaruszalna zasada. A jednak Marianne nie ruszyła się ze stołka. Ukryta, buntownicza część jej natury, część, którą tak rzadko dopuszczała do głosu, podpowiadała jej, żeby odważyła się na ryzyko i zlekceważyła konwenanse. Bo przecież teraz dopiero poczuła, że żyje, że w jej żyłach naprawdę krąży krew. Po raz pierwszy nie chciała być nigdzie indziej ani z nikim innym.

Wzdrygnęła się lekko, jakby odpędzając od siebie takie nieprzyzwoite myśli.

– Proszę powiedzieć mi o pańskiej rodzinie, panie Leighton.

– Niestety, jest bardzo nieliczna. Matka umarła, kiedy byłem dzieckiem, ojca straciłem w wieku dwudziestu paru lat. Został mi tylko wuj i paru kuzynów. Ale nie musi pani mnie żałować, mam wielu przyjaciół.

– Tutaj, w Sheffield?

– Od tygodnia mieszkam u Palmerów. Lubię to miasto, jest tu kilka ładnych widoków. – Uśmiechnął się kącikami ust.

Gdyby na jej miejscu była Iris, pewnie zaczęłaby go kokietować, rzuciłaby jakąś niby zniechęcającą uwagę, prowokując go zarazem do dalszych komplementów. Po raz pierwszy Marianne przyszło na myśl, że Arthur Leighton po prostu z nią flirtuje. Natychmiast straciła zapał, rozczarowanie okazało się zbyt silne jak na tak krótką znajomość.

On jednak nie rezygnował.

– Kiedy zobaczyłem panią w sali balowej, śmiała się pani. Wyglądała pani tak poważnie, aż nagle coś panią rozbawiło. Zastanawiałem się, co to takiego.

– Wyobrażałam sobie, że jestem taką grubą starą panną.

Kąciki ust mu zadrgały.

– Dla pani to raczej mało prawdopodobny los.

– Mnie się wydaje całkiem możliwy.

– Nie mówi pani poważnie.

– Wiem, że deprymuję ludzi. Oczywiście nikt mi tego nie powie, ale sama to czuję. Mówię różne niewłaściwe rzeczy. – Podniosła na niego wzrok. – Nasza rozmowa także nie jest stosowna, panie Leighton. Nie powinniśmy poruszać pewnych tematów, to nie wypada.

– Więc o czym powinniśmy mówić?

– No... o pogodzie... o wspaniałej sali balowej Hutchinsonów...

– Rozumiem.

– O tym, jak pięknie gra orkiestra...

– Skrzypek fałszuje. A może o tym też nie wolno wspominać?

Uśmiechnęła się lekko.

– Kiedy to prawda. Koszmarnie fałszuje.

Umilkli na chwilę, po czym Leighton spytał:

- Czy to będzie właściwe, jeśli powiem, że się pani myliła?
- Myliłam się?
- Powiedziała pani, że jej siostra Iris jest piękna.
- Iris jest piękna, wszyscy tak uważają! – powtórzyła ze zdumieniem Marianne.
- Jest bardzo ładna, ale nie nazwałbym jej piękną. To pani jest piękna, panno

Maclise.

Było to dziwne, ale kiedy coś ją wprawiło w zakłopotanie, krew odpływała raczej jej z twarzy, niż zabarwiała ją rumieńcem. Teraz też Marianne czuła, że skóra jej blednie i lodowacieje.

Pan Leighton usiadł z powrotem na krześle, obserwując zmianę na jej twarzy.

- No cóż – rzekł – powinna pani znać prawdę.

Po balu, już we własnej sypialni, Marianne odpięła bukietek fiołków od paska i położyła go ostrożnie na toalecie. Następnie pokonała haftki sukni i powiesiwszy ją w szafie, zabrała się do rozwiązywania kolejnych warstw halek; opadały z cichym szelestem na podłogę, tworząc plamę z jedwabiu. Rozsznurowała gorset, ściągnęła pończochy, koszulę i reformy. Potem wyjęła szpilki, a wtedy włosy spłynęły jej na plecy długą, ciemną falą. Naga, studiowała uważnie swoje odbicie w lustrze. On powiedział, że jest piękna – i Marianne po raz pierwszy w to uwierzyła.

Poprosił, żeby mu coś zagrała, a ona zdecydowała się na utwór Rameau. Teraz, nucąc pod nosem tę melodię, przypomniawszy sobie, jak w połowie melodii sięgnęła do nut, żeby przewrócić stronę. W tej samej chwili Leighton zrobił to samo i ich ręce się zetknęły. Tym jednym przelotnym dotykaniem przedarła się przez gąszcz konwenansów, jaki otacza mężczyzn i kobiety, i nagle wszystko, co ją krępowało, co miała w pogardzie – nienaturalność wyglądu, fałsz kokieterii, zimne kalkulacje matrymonialne dotyczące majątku i pochodzenia – stało się nieważne. Pragnęła go i wiedziała – chociaż jej tego nie powiedział – że on też jej pragnie.

Włożyła nocną koszulę, wyciągnęła pamiętnik i zaczęła pisać.

20 maja 1909 roku. Magiczny wieczór. Dziś moje życie naprawdę się zaczęło.

Clemency dotarła na szczyt schodów i zajrzała w ciemność poddasza.

- Philip? – zawołała. – Philipie, jesteś tam?

W świetle lampy naftowej, którą ścisnęła w rękę, majaczyły jakieś kształty, materializując się po chwili w postaci krzesła na trzech nogach albo stosu rozpadających się książek z poodrywanymi grzbietami.

– Philip! – zawołała znowu. Chłopiec miał zwyczaj zaszywania się w kryjówce na dzień przed wyjazdem do szkoły, ale strych raczej nie wchodził w rachubę, gdyż Philip bał się ciemności.

Kiedy szła już z powrotem przez korytarz, coś jej mignęło w pustym pokoju.

- Philip? – szepnęła, klękając przy łóżku.

Nie było odpowiedzi. Ale wyraźnie słyszała jego lekko wstrzymywany oddech.

– Philipie, proszę cię, wyjdź. Nikt nie będzie się na ciebie gniewał, przyrzekam.

Rozległo się szuranie, po czym wynurzył się spod łóżka głową naprzód, z kłaczkami kurzu we włosach i zabrudzonym ubraniu.

Usiadła na łóżku i wzięła go na kolana.

– Kochany, stary Phil – rzekła, przytulając go. – Tak się cieszę, że cię znalazłam! Szukam cię już od śniadania. – Miał lekko świszczący oddech. – Powinieneś unikać kurzu, przecież wiesz, że ci szkodzi.

Zeszli na dół. Zaczynał się drugi semestr i torba Philipa leżała otwarta na łóżku w pokoju, który dzielił z Aidanem. Sześć tygodni, pomyślała Clemency, sześć długich tygodni, zanim znów go zobaczę! Zaraz jednak ofuknęła się w duchu: Nie waż mi się mazać!

– Kredki, Philipie! – przypomniała mu żywo. – Nie zapakowałeś kredek.

Rozejrzał się po pokoju. Kredki w blaszanym pudełku po herbatnikach leżały na komodzie. Mętne niebieskie spojrzenie brata zwróciło się w ich stronę i poszybowało dalej.

– Na komodzie – podpowiedziała mu Clemency, patrząc, jak chłopiec zezuje i bezskutecznie stara się skupić tam wzrok.

Potem poszła do matki. Lilian Maclise siedziała przy toaletce. W jej pokoju jak zwykle panował półmrok, zaciągnięte story nie dopuszczały słońca. Mimo ciepłego dnia na kominku żarzył się ogień.

– Lepiej się czujesz, mammo?

– Obawiam się, że nie. – Lilian z zamkniętymi oczami odchyliła się do tyłu. Jej twarz o delikatnych rysach okalały jasne włosy. Drobne białe dłonie przestawiały na toaletce buteleczki i słoiczki.

Przy matce Clemency zawsze czuła się kanciasta i niezdarna.

– Martwię się o Philipa, mammo – wyznała. – Chyba ma kłopoty z oczami.

– Nonsens – odparła Lilian. – Nikt w rodzinie nie ma słabego wzroku.

Clemency nie ustępowała.

– Ale on źle widzi. Może powinien nosić okulary.

– Okulary? – Lilian zerknęła na swoje odbicie w lustrze i drgnęła nerwowo pod jedwabnym szalem. – Co za dziwaczny pomysł! Jeśli Philip rzeczywiście ma słaby wzrok, w co wątpię, to okulary tylko jeszcze bardziej mu zaszkodzą. Wiadomo przecież, że od okularów psują się oczy.

Clemency spływał pot po plecach; odsunęła się od ognia.

– Ależ, mammo, on nie widzi...

– Zechciej, proszę, mówić nieco ciszej, dobrze? Moja biedna głowa... – Lilian zamknęła oczy.

– Mammo?! – przestraszyła się Clemency.

– Przykro mi, kochanie. – Lilian przycisnęła czubki palców do czoła. – Jestem taka wycieńczona. I ten ból...

Clemency poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Zdrowie matki poprawiło się ostatnio na tyle, że przez ostatni miesiąc schodziła nawet na wspólne posiłki. Wreszcie pojawiła się nadzieja, że chora w pełni odzyska siły. Wprawdzie Clemency nie pamiętała,

żeby Lilian była kiedykolwiek całkiem zdrowa – położyła się do łóżka wkrótce po urodzeniu Philipa, gdy Clemency miała zaledwie pięć lat. Teraz Philip miał jedenaście, a nastrój w domu Maclise'ów opadał i wznosił się zależnie od stanu zdrowia matki.

– O Boże – szepnęła Lilian – to jest naprawdę okropne. Pewnie cię strasznie zamęczam, kochanie. Powinnam się domyślić, że masz już serdecznie dosyć swojej beznadziejnej matki.

– Skądże znowu! Nie wolno ci tak myśleć, mamó. Ja chcę tylko, żebyś się dobrze czuła, nic więcej się nie liczy.

Lilian mężnie zdobyła się na uśmiech.

– Poproś Marianne, żeby przyniosła mi mały kieliszek porto. I dopilnuj, jeśli łaska, aby moje listy wyszły z następną pocztą.

Clemency wzięła listy. Wychodząc z pokoju, uświadomiła sobie w nagłym przypływie radości, że do rozpoczęcia semestru zostało jeszcze tylko pięć dni. W przeciwieństwie do Philipa, uwielbiała szkołę. Popędziła na dół po trzy stopnie na raz, aż jej warkocz podskakiwał na plecach.

Iris złapała ją u podnóża schodów.

– Dokąd to?

– Mama chce kieliszek wina. I mam to wysłać.

Iris, ta jędza, wyrwała jej listy z ręki.

– Wezmę je – powiedziała. Zdjęła z półki kapelusz i wyszła z domu.

Rower Iris miał przebitą dętkę, więc wzięła drugi, należący do Clemency. Jedyna korzyść z awersji matki do telefonu to ta, że pisała dużo listów, a w konsekwencji wciąż trzeba było jeździć na pocztę.

Czasem, uciekwszy rowerem z domu, Iris zerknęła na wystawy sklepów albo na inne panie. Szukała pomysłu na przybranie kapelusza. Od czasu do czasu łamała zasadę, że młode panny nie powinny przebywać w towarzystwie mężczyzn, i spotykała się z braćmi Catherwood na spacerze w parku.

W ciągu czterech lat od skończenia szkoły otrzymała kilkanaście propozycji małżeństwa, ale żadnej z nich nie przyjęła, chociaż były wśród nich naprawdę dobre partie, a Iris oczekiwała po małżeństwie pewnych korzyści. Jakoś nie chciała wychodzić za żadnego z tych młodzieńców. Nie miała im nic do zarzucenia, nie czuła się jednak zakochana. Ostatnio ten stan zaczął ją niepokoić. Skończyła dwadzieścia dwa lata; większość jej rówieśniczek była już po ślubie albo po zaręczynach, niektóre miały dzieci. Iris wątpiła nawet, czy w ogóle jest zdolna do miłości – inne dziewczęta wciąż się w kimś durzyły, a tymczasem jej serce pozostawało nieporuszone. Czasem, kiedy wieczorem szcztokowała przed lustrem włosy, przyglądała się sobie w lustrze, myśląc: Może tracę urodę? Musiała patrzeć na swe odbicie, żeby się upewnić, zobaczyć na własne oczy, jak włosy – jej największa duma – opadają aż do pasa niczym złocisty welon. A jednak wciąż tkwiło w niej ziarenko niepokoju, wciąż na dnie duszy trzepotał ten leciutki, dokuczliwy mól...

Rower zaczął nabierać szybkości; Iris zjeżdżała teraz ze wzgórza, mijając w pędzie

domy i drzewa. Kapeluszowi coraz bardziej groziło zerwanie się z kotwicy szpilek, spódnica niebezpiecznie się wzdymała, odsłaniając spory kawałek kostki.

Nagle przednie koło uderzyło o kamień, Iris straciła panowanie nad kierownicą i poleciała do przodu. Ułamek sekundy później leżała jak długa twarzą do ziemi. Nie mogła się ruszyć, bo plecy przygniatał jej rower. Jęknęła:

– Moja suknia!

Czyjeś ręce zdjęły z niej rower i z góry usłyszała zaniepokojony głos:

– Nic się pani nie stało?

Podniosła wzrok na swego wybawiciela; był młody i prezentował się nie najgorzej. Nie nosił kapelusza, a jego jasne, potargane włosy, rozjaśnione w kilku miejscach przez słońce do koloru słomy, lekko się kręciły.

Falbanka, którą Iris zaledwie poprzedniego dnia przyszyła do sukni, zmieniła się w różową wstążkę wijącą się na asfalcie niczym wąż.

– Moja suknia – powtórzyła ze złością. – Moja nowa suknia!

Wyciągnął rękę, żeby pomóc Iris się podnieść.

– Chyba właśnie przez suknię zdarzył się ten wypadek. – To – wskazał falbankę – wkręciło się w łańcuch. Ojej, pani jest ranna...

Rękawiczki miała podarte, dłonie jej krwawiły, bo próbując ratować się przed upadkiem, wystawiła je przed siebie.

– To nic poważnego.

Poszperał w kieszeni i wyciągnął chusteczkę.

– Pozwoli pani...

Usiadła na niskim murku, nieznajomy zaś ściągnął jej rękawiczki i wydłubał ziarenka żwiru z głębokich zadrapań na dłoniach. Chociaż starał się być delikatny, Iris musiała zagryzać wargi, żeby powstrzymać się od krzyku. Kiedy obwiązywał jej obie ręce chusteczkami, powiedziała grzecznie:

– Jest pan nadzwyczaj uprzejmy, panie...

– Ash. Po prostu Ash.

– Ash?

– Ashleigh Aurelian Wentworth. Strasznie długie, co? Wolę Ash.

Iris wymieniła swoje nazwisko. Potem, rozglądając się dookoła, dodała:

– Miałam wysłać listy mojej matki...

Znalazł w rynsztoku pogniecione, wysmarowane błotem koperty.

– Może lepiej będzie zabrać je z powrotem do domu. Matka pewnie zechce je wymienić.

– O Boże – zreflektowała się Iris. – Dostanę straszną burę.

– Przecież to był wypadek. Jestem pewien, że matka pani to zrozumie.

– Ale nie Clemency. To jej rower.

Ash podniósł pojazd; przednie koło było zwichrowane.

– Gdzie pani mieszka?

Podawała mu adres.

– Zaprowadzę go do pani domu.

– Proszę sobie nie robić kłopotu. Na pewno ma pan inne rzeczy do zrobienia.

– To żaden kłopot. I nie mam akurat nic innego do roboty.

– Zupełnie nic? A dokąd pan szedł?

– Nigdzie specjalnie – odrzekł, zdejmując różowy strzępek z łańcucha roweru. –
Lubię się włóczyć, a pani nie? – Błysnął uśmiechem. – Nigdy nie wiadomo, na kogo się
wpadnie.

Szli teraz pod górę.

– Właściwie ja też to właśnie robiłam. Po prostu się włóczyłam. Oczywiście nie
wolno mi...

– A to dlaczego?

Zauważyła, że jego oczy miały ciepły orzechowy kolor, znacznie miłszy niż zimny
błękit Maclise'ów. Ale najwyraźniej jej nie zrozumiał, więc wyjaśniła:

– Bo, naturalnie, powinnam mieć przyzwoitkę: matkę, ciotkę, którąś z sióstr albo
służącą. Nie wolno mi samej wychodzić. Ale to wszystko tak mnie denerwuje... –
Wzruszyła ramionami. – Zresztą lubię łamać zasady. – Zerknęła na niego z ukosa. – Ma
pan siostry?

– Ani jednej, niestety.

– A żonę? – Zawsze lepiej ustalić takie sprawy na początku.

– Żonę? Ach, nie.

– Jest pan z Sheffield?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Z okolic Cambridge. Dwa lata temu zrobiłem dyplom na uniwersytecie.

– A potem?

– Po prostu się włóczyłem. A pani, panno Maclise? Co pani robi?

– Och, nic szczególnego. Tenis, brydż, tańce...

Patrzył na nią tak, jakby spodziewał się dalszego ciągu. Iris myślała intensywnie,
próbując znaleźć jeszcze jakiś sposób spędzania czasu. W końcu dodała niepewnie:

– I trochę szyję...

– Lubi pani czytać?

– Czasami. Moja siostra Marianne zawsze siedzi z nosem w książce.

Po chwili ciszy powtórzył:

– Tenis, tańce... To chyba dość nudne?

– Ani trochę! Uwielbiam grać w tenisa... tańczyć także. – Poczula się zmuszona do
obrony sposobu życia, którego dotąd nikt nie kwestionował. – A pan, Ash, czym się
zajmuje?

– Och, tym i owym. Po skończeniu studiów mieszkałem w Londynie.

– Londyn! Szczęściarz z pana.

– Pracowałem w osiedlu uniwersyteckim... jest takie stowarzyszenie, które ma
zbliżać studentów z biedakami. Potem przez pół roku podróżowałem po kontynencie, a po
powrocie parałem się różnymi rzeczami: trochę dziennikarstwem, trochę fotografią...
i jeszcze uprawiałam wspinaczkę w górach Szkocji. Poza tym pomagałem mojemu
opiekunowi przy jego książce.

– Pański opiekun pisze książkę? Jaka? Może powieść?

Pokręcił przecząco głową.

– To jest kompendium całej światowej wiedzy. Historia, technika, mitologia... wszystko.

– No, no – wykrztusiła.

– Oczywiście nigdy jej nie skończy – dodał z uśmiechem Ash. – Ludzie wciąż odkrywają coś nowego i biedny stary Emlyn musi od nowa pisać cały rozdział.

– To przygnębiające.

– On raczej tak nie uważa. Zawsze powiada, że liczy się sama podróż, a nie jej cel.

– Zerknął na nią z ukosa. – Pani się z tym nie zgadza?

– Prawdę rzekłszy, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Iris pomyślała o swoim bezowocnym polowaniu na męża. Uwielbiała tańce, flirt, kradzione pocałunki, a jednak jeśli, uchowaj Boże, nigdy nie wyjdzie za mąż, to jaki jest sens tego wszystkiego? – Przecież podróże kiedyś się kończą. I równie dobrze ich zakończenie może być miłe.

– Ale kiedy już dotrze się do końca, człowiek musi zaczynać wszystko od nowa i szukać sobie nowego zajęcia.

– Mój Boże, tak pan mówi, jakby to było coś bardzo wyczerpującego! – Nagle dostrzegła psotne iskierki w jego oczach. – Ależ pan sobie ze mnie kpi!

– Tylko troszeczkę. Jak tam ręce?

– W porządku. Zupełnie w porządku.

– Jest pani bardzo mężna, panno Maclise.

Nikt dotąd tak jej nie określił. Obawiała się, czy nie oznacza to czegoś niepochlebnego.

Skręcili w boczną drogę.

– Tu mieszkam – oznajmiła Iris.

Ash spojrział na ukryte za żelaznymi wrotami Summerleigh. Kiedy szli przez podjazd, frontowe drzwi się uchyliły i wyjrzała z nich Eva.

– Iris! – krzyknęła, zbiegając ze schodków. – Mama nie może się ciebie doczekać!

– Nagle stanęła i oczy się jej rozszerzyły. – Twoja suknia! I ręce!

Iris zwróciła się do swego towarzysza:

– Lepiej niech pan już idzie. Zanosি się na awanturę. Był pan bardzo uprzejmy i jestem ogromnie wdzięczna. Proszę obiecać, że odwiedzi nas pan jeszcze, abym mogła pana przedstawić rodzinie.

Eva malowała ciotecznią babkę Hannah. Z boku umieściła kamienną wazę z pawimi piórami, u stóp staruszki ułożyła się na dywaniku spanielka Winnie. Babka miała na sobie błyszczącą czarną suknię. Wysoki kołnierzyk wpijał się w fałdki jej pomarszczonej szyi, sztywny gorset opinał ciało niczym pancerz. Eva często zastanawiała się, czy babka Hannah posiada tylko jedną błyszczącą czarną suknię czy dwadzieścia identycznych. Zresztą w ogóle babkę Hannah otaczało wiele tajemnic: ile miała lat, co robiła podczas długich samotnych godzin w swoim pokoju, czemu zawsze pachniała kamforą, czy kiedykolwiek uwalniała włosy z ciasnego wężła w tyle głowy... czy w ogóle dałyby się rozpuścić? A może tak długo pozostawały skręcone, że już dawno zmieniły się w kołtun... Portret był już na ukończeniu. Eva rozświetliła kamienną wazę białą płamą, w oczach Hannah umieściła białe punkciki i cofnęła się o parę kroków od sztalug. No proszę, pomyślała, nawet gdybyś miała sto lat i jutro umarła, jest teraz coś, co cię upamiętni.

Po skończeniu szkoły poprzedniego lata Eva nadal brała co dwa tygodnie lekcje u nauczycielki sztuk pięknych. Panna Garnett mieszkała przy Plumpton Street nad sprzedawcą drożdży. Specjalnie wybrała pokoje na poddaszu – jak wyjaśniła Evie – ze względu na światło. Bawialnia wychodziła na czarne od sadzy zaplecze fabryczki powozów. Na parapecie misa z opalizującego szkła łapała koralowe promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Ciężki aromat lnianego oleju i farby mieszał się z wonią drożdży z dołu. Eva przepadała za pracownią panny Garnett. Pewnego dnia, postanowiła, też będą taką miała.

W końcu maja panna Garnett zaprosiła Evę na zebranie sufrażystek. Odbyło się w przegrzanym, zagraconym salonie pewnego domu w Fulwood. Gospodyni – postawna matrona w odblaskowo niebieskiej kretonowej sukni – przyjrzała się Evie przez lorgnon i donośnym głosem oznajmiła:

– Urocze stworzonko, ale wygląda na uparciucha. Jest pani uparta, panno Maclise?

Na szczęście panna Garnett pośpieszyła z odsieczą i przedstawiła swoją podopieczną dwóm paniom stojącym w kącie salonu. Jedna z nich – panna Jackson – nosiła luźną suknię z bawełny w biało-niebieską kratkę, z przypiętą fioletowo-zielonobiałą wstążeczką Społeczno-Politycznej Unii Kobiet pani Pankhurst. Druga – panna Bowen – miała proste, czarne i lśniące włosy do ramion, związane na karku, i pociągnięte czerwienią usta. Ubrana była w miętowozieloną lnianą suknię z kwadratowym dekoltem, odsłaniającą kostki. Eva serdecznie zazdrościła pannie Garnett i jej przyjaciółkom. Ostatnia próba naśladowania prostego stylu ubiorów nauczycielki zakończyła się tym, że matka kazała jej odejść od śniadania i wrócić, kiedy przebierze się w coś przyzwoitego. Teraz pociła się w żakiecie, bluzce i spódnicy, a pod spodem miała jeszcze halkę, pończochy, koszulę i gorset. Z ciężkimi brązowymi włosami upiętymi na czubku głowy czuła, jak jej ciało, opakowane w liczne warstwy materiału, daremnie usiłuje złapać odrobinę powietrza.

Panna Bowen przyjrzała się Evie badawczo.

– Utalentowana chociaż, Roweno?

– Wystarczająco – odparła panna Garnett, uśmiechając się do uczennicy.

– To rzeczywiście znaczna pochwała. Rowena zwykle nie jest skora do komplementów, panno Maclise. Musi pani być naprawdę bystra.

Ktoś potrząsnął dzwonkiem, przywołując towarzystwo do porządku. Wstała siwowłosa kobieta i monotonnym głosem zaczęła odczytywać protokół z poprzedniego zebrania. Panna Bowen ziewnęła i podsunęła Evie papierośnicę.

– Lydio – szepnęła panna Garnett – nie przyprowadziłam tu Evy, żeby ją demoralizować.

Lydia wyduła wargi.

– A po co? Żeby ją poruszyć? Natchnąć duchem rewolucji poprzez elokwencję naszej mówczynie?

Panna Jackson zachichotała.

– Chciałam, żeby mogła zdobyć informacje – powiedziała spokojnie panna Garnett.

– Ale zdecydować musi sama.

– Czy w tej twojej szkole niczego jej nie nauczyli, Roweno? – Panna Jackson

poczęstowała się papierosem z pudełka panny Bowen. – Ile pani ma lat, panno Maclise? Osiemnaście? Można by się spodziewać, że w tym wieku ma już pani jakąś opinię na temat wyzwolenia kobiet. Dziś trudno o ważniejszy problem.

– Och, daj spokój, May. – Panna Bowen umieściła papierosa w eleganckiej cygarniczce z onyksu. Jej zielone oczy iskrzyły. – Są dziesiątki problemów takiej samej wagi. Na przykład: w co się ubrać, jak ułożyć włosy, czy warto się fatygować na takie czy inne koszmarne przyjęcie.

Panna Jackson poróżwiała.

– Doprawdy, Lydio, skoro zamierzasz ironizować...

– Nie przejmuj się, May – wtrąciła łagodnie panna Garnett. – Lydia po prostu żartuje.

– Ani trochę – zaprotestowała panna Bowen. – Pozostaję przy swoim zdaniu. Często wybór sukni sprawia tyle samo kłopotu, co udział w marszu przez Hyde Park. Może nawet więcej. – Uśmiechnęła się do Evy. – Ale obawiam się, że jestem beznadziejnie leniwa.

– Lydio, zaczynasz mnie śmieszyć. Przecież harujesz jak wół. – Tu panna Garnett zwróciła się do Evy z wyjaśnieniem: – Lydia ma własną galerię w Londynie.

– W rzeczy samej, przy Charlotte Street.

Panna Jackson wymachiwała wściekle papierosem, posypując popiołem dywanik z Aubusson.

– Spójrzcie tylko: same inteligentne, odpowiedzialne kobiety z własnymi zawodami i domami, a jednak nie możemy decydować, kto ma nas reprezentować w parlamencie i stanowić prawa, których musimy przestrzegać. Czy to nie oburzające?

– Wręcz groteskowe – dodała panna Bowen. – I w najbliższym czasie nie ma widoków na zmiany. Kobiety walczą o swoje prawa od ponad czterdziestu lat. Jeśli zachowujemy się grzecznie i piszemy miłe liściki do naszych posłów, to słyszymy, że za słabo zabiegamy o prawo głosu. No więc urządzamy demonstrację, ściągamy do Hyde Parku tłum kobiet, rzucamy jajkami w polityków, a wtedy wtrąca się nas do więzienia. I jak wygląda odpowiedź naszych panów i władców? Kręcą tylko głowami, sznurują usta i mówią, że same pokazałyśmy, iż jesteśmy głupie histeryczki, niewarte prawa do głosowania. – Odwróciła się do Evy: – Idzie pani do szkoły sztuk pięknych, moja droga? Jeśli rzeczywiście ma pani taki talent, jak powiada Rowena, powinna pani studiować malarstwo. Prawda, Roweno?

– Cóż – powiedziała z namysłem panna Garnett – skoro już wypłynął ten temat... Zamierzałam pomówić o tym z tobą, Evo. Jeśli masz rozwijać swój talent, musisz poszerzyć horyzonty. Mogłabyś, oczywiście, kontynuować studia w Sheffield albo spróbować dostać się do college'u w Manchesterze. Chciałabym jednak, żebyś wzięła pod uwagę Slade w Londynie. Sama tam studiowałam i wiem, że naprawdę wiele byś się nauczyła. W Slade studentkom wolno malować z natury, podczas gdy inne uczelnie są w tych sprawach raczej staroświeckie.

– Szkoła artystyczna! – Evę przeszył dreszczyk podniecenia.

– Tak, czemu nie?

Pomyślała o ucieczce od domowej rutyny, która od ukończenia szkoły omotała ją

niewidzialną nicią niczym kokon. Oczyma wyobraźni widziała się już w Londynie, wśród nowoczesnych, śmiałych przyjaciółek.

– Może boisz się, że twój ojciec będzie miał obiekcje?

Marzenia Evy legły na ziemi jak przekłuty balonik. Mimo to dzielnie wysunęła do przodu podbródek.

– Ojciec na pewno zrozumie, że powinnam pójść do szkoły artystycznej. Już ja go przekonam.

– Brawo, panno Maclise! – krzyknęła panna Bowen, klaszcząc w ręce. – Zuch z pani!

Kilka dni później Eva poszła rozmówić się z ojcem.

Był w swoim gabinecie. Biurko miał zavalone papierami, ale wyciągnął do niej ramiona.

– Uściskaj mnie, koteczku.

Pachniał tytoniem i mydłem sandałowym, co Evie zawsze kojarzyło się z bezpieczeństwem i czułością.

– Jak się ma moja dziewczynka?

– Czuję się bardzo dobrze.

– To świetnie – odrzekł Joshua i wziął pióro.

Eva powiedziała szybko:

– Tato, w czym byłeś naprawdę dobry za swoich młodych lat?

Zastanowił się chwilę.

– W arytmetyce. Zawsze w niej celowałem. I oczywiście znałem się na mechanizmach. Poza tym zawsze wiedziałem, kiedy powinniśmy inwestować, a kiedy pozbyć się linii produkcyjnej, która nie przynosi zysku. Gdyby nie moja smykałka, interes by się nie rozwijał.

– I gdyby twój ojciec kazał ci zająć się czymś innym – zauważyła chytrze Eva. – Na przykład... na przykład zostać pastorem albo nauczycielem...

– Ładny byłby ze mnie nauczyciel! – prychnął Joshua. – Przecież brakuje mi cierpliwości.

– Ale gdyby cię zmuszono? – drążyła. – Byłbyś wtedy szczęśliwy?

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– To chyba nie ma nic wspólnego z tym bzdurnym pacykowaniem?

Jawna pogarda ojca wobec tego, na czym Evie najbardziej zależało, tylko ją rozzłościła.

– Malarstwo to nie żadne bzdury!

– Och, jest dość sympatycznym hobby dla panienki. – Szukał czegoś w pliku dokumentów. Eva wyczuwała, że słucha jej jednym uchem. – Miło, kiedy młoda dama potrafi machnąć ładną akwarelkę, to taki subtelny talent.

Eva uporządkowała myśli i spróbowała przywołać najbardziej przekonujące argumenty, które przygotowała sobie specjalnie na tę rozmowę. Niemożliwe, żeby ojciec się im oparł.

– Biblia mówi, że nie wolno marnować talentów. Ty swoich nie zmarnowałeś, ojcze?

– Dziewczeta to co innego. Nie chciałbym, moja Evo, żebyś obracała się wśród pewnych ludzi, z którymi ja musiałem się kontaktować, albo miała do czynienia z brudami i hałasem, jakie znoszę każdego dnia. Moja babka wykonywała kościane oprawki do noży. Było jej bardzo ciężko i jestem dumny, że żadna z was nie musi żyć tak jak ona. Wszystko, co robię, ma na celu zapewnienie wam jak najlepszego startu.

– Malarstwo w niczym nie przypomina wytwarzania sztuców. Nie jest ani hałaśliwe, ani brudne. – Eva schowała ręce w fałdach spódnicy, żeby ojciec nie zauważył jej czarnych od węgla palców. – Maluje się w pracowni albo na powietrzu... wszędzie.

– Skoro możesz malować wszędzie, to czemu upierasz się przy Londynie?

Poczuła się przyparta do muru.

– Jak mogę dobrze pracować, jeśli mnie nie nauczono?

– Ty w ogóle nie musisz pracować, taka jest prawda, Evo. Masz szczęście, bo to ja dbam, żeby ci nie zabrakło ładnych strojów.

– Nie zależy mi na strojach.

– Ale zacznij, jak będziesz sama musiała zarabiać na chleb – powiedział ojciec ostro. – Takie rozmowy są bez sensu. Nie widziałaś tego, co ja: dziewczyn w twoim wieku z jedną szmatką na grzbiecie. Dzieciaków z bosymi nogami w środku zimy, i to w tym mieście. Powinnaś być wdzięczna, za to, co masz.

Miała na końcu języka: „Nie widziałam, bo mi nie pozwoliłeś, a ja wprost marzę, by poznać świat”. Zamiast tego wzięła głęboki oddech i szepnęła pokornie:

– Proszę, ojcze, nie myśl, że nie jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz.

– Jesteś bardzo młoda, Evo. Jak mógłbym cię puścić zupełnie samą do Londynu i pozwolić ci żyć tam na własną rękę? Przecież wszystko może ci się przytrafić!

Przewidując tego rodzaju obiekcje, Eva zawczasu się uzbroiła.

– Panna Garnett mówiła, że w Londynie są pensjonaty dla panien z dobrych domów.

Zauważyła, że ojciec zaczyna się wahać i serce zabiło jej z podniecenia. On jednak rzekł wolno:

– Tu chodzi o sam Londyn... Nie znoszę tego miasta. – Nagle twarz mu pojaśniała.

– Wiesz co? Może poszlibyśmy na pewien kompromis? Opłaciłbym ci lekcje u jakiegoś modnego nauczyciela, ale tutaj. Znaleźlibyśmy kogoś lepszego od panny Garnett. W Sheffield albo nawet w Manchesterze...

– Ale ja muszę właśnie do Londynu! Muszę nauczyć się rysować ludzkie ciało!

Ledwie wypowiedziała te słowa, ugryzła się w język. W oczach ojca odbiła się zgroza.

– Ludzkie ciało? Czy masz na myśli to samo, co ja?

Czym prędzej zaczęła tłumaczyć:

– Nie ma w tym nic złego... To wcale nie jest nieprzyzwoite, artyści zawsze rysują z natury...

– Może i tak, ale moja córka nie będzie! – Nastroje Joshuy zawsze szybko ulegały zmianom. Teraz też w mgnieniu oka porzucił pojednawczy ton i zapłonął gniewem: – To

ma być przyzwoite?! Skoro tak, to ciekaw jestem, co znajdę w twoich książkach!

– Ojczy, ja muszę iść do szkoły dla artystów – błagała Eva. – Muszę! Tam studiują także dziewczęta, i to takie z szanowanych rodzin...

– Nie. Dość tego gadania, przyprawiasz mnie o ból głowy. Nie chcę o tym więcej słyszeć, a teraz uciekaj, bo mam ważną pracę.

– Dla mnie to właśnie jest ważne! Najważniejsze ze wszystkiego!

– Owszem. Aż za bardzo. – Ciemnoniebieskie oczy, jak u Evy, zwęziły się niebezpiecznie, kiedy przyjrzał się jej z bliska. – Co to takiego?

Patrzył na wstążeczkę w klapie jej żakietu.

– To są kolory Społeczno-Politycznej Unii Kobiet – odparła z dumą. – Panna Jackson, przyjaciółka panny Garnett...

– Panna Garnett to, panna Garnett tamto! – krzyknął Joshua. – To ona nabija ci głowę takimi pomysłami! Może powinienem zamienić z nią parę słów i skończyć z tymi lekcjami!

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Ojczy, nie masz prawa...

– Nie mam prawa?! Jak śmiesz mnie pouczać! Zrobisz, co ci każe, młoda damo! Zapomnisz o tych wszystkich głupich malowankach i zajmiesz się domem!

– Ale ja nie znoszę siedzenia w domu!

Poczerwieniał ze złości.

– Jak możesz być tak uparta! Taka... taka... zuchwała!

Słowa wyrwały się z jej ust, zanim zdążyła pomyśleć.

– A ty? Jak możesz być taki ograniczony, staroświecki, okrutny?

Joshua, podnosząc się, walnął pięścią w biurko tak mocno, że filiżanka podskoczyła na spodku. Eva cofnęła się o krok, a potem szybko wybiegła.

Po kłótni z ojcem tak długo płakała, że aż ją zamroczyło. Chociaż poszła na lekcję, panna Garnett, na widok jej czerwonych oczu i drżących rąk, odesłała ją wcześniej do domu. Jadąc do Summerleigh, Eva skręciła rowerem do małego parku. Na niebie zbierały się chmury, zasłaniając słońce i rzucając cień na trawniki i ścieżki. Usiadła na ławce. Wiedziała, że jej marzenie się skończyło, zanim zdążyło się zacząć. Ojciec nigdy nie zmieni zdania; jeśli nawet istniał jakiś sposób przekonania go, aby puścił ją do szkoły artystycznej, to nie potrafiła go znaleźć. W dodatku straciła cierpliwość i darła się jak przekupka. I jak mogła być tak głupia, żeby wygadać się o rysowaniu z natury? Przecież to właśnie najbardziej ich poróżniło!

Tylko ojciec potrafił doprowadzić ją do takiego stanu, a jednak jej uczucia do niego pozostały jak zawsze nienaruszone. Mogła nigdy nie wyrazić ich słowami, ale miłość w niej tkwiła i niczym złota nić ciągnęła się przez całe jej życie. Eva podziwiała energię ojca, jego zdecydowanie, siłę. Jakaś część jej natury rozumiała, że powodem ich kłótni jest w pewnym stopniu zbieżność charakterów. Tak samo uparci, mieli skłonność do szybkiego podejmowania decyzji i nie zwykli ich zmieniać. Nigdy nie dryfowali z wiatrem jak Marianne ani nie stosowali subtelnych wybiegów do osiągnięcia celu jak

Iris. Byli niezdolni do wszelkiej manipulacji, często wręcz pozbawieni taktu.

A jednak nigdy jeszcze aż tak się nie pokłócili i nigdy ojciec tak bardzo się na nią nie rozgniewał. Na wspomnienie tego, co mu powiedziała, policzki paliły ją ze wstydu. „Jak możesz być taki ograniczony, taki staroświecki, taki okrutny?” Dostrzegła w oczach ojca nie tylko szok, ale także urazę. Tak jest, przekroczyła granicę i teraz marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej wszystko naprawić.

Zegar na wieży kościelnej wydzwonił godzinę. Eva poczuła nagły przypływ natchnienia. Pojedzie natychmiast do firmy i poprosi ojca o wybaczenie. Wsiadła na rower i zamiast do Summerleigh, ruszyła w stronę centrum. Mijając po drodze duże hotele i domy towarowe, zmierzała do dzielnicy przemysłowej, gdzie płomienie z kominów odlewni żłobiły wzburzone niebo pomarańczowymi bliznami. Słyszała tu ryk i dudnienie silników parowych, łomot młotów, czuła na języku padające wraz z deszczem drobinki sadzy. W mętnych, bezbarwnych wodach rzeki odbijały się budynki magazynów, ze statków wyładowywano węgiel i załadowywano na nie dźwigary i części maszyn. Eva wyobraziła sobie, jak te statki wypływają w morze, przepływają się przez oceany ku dalekim krańcom imperium. W tłumie i hałasie poczuła się tak, jakby wracała do życia, budziła się po długim śnie, jakby naładowana elektrycznością.

Nagle ze smogu wyłoniło się nazwisko ojca – „J. Maclise” – wymalowane na wysokości czterech stóp na magazynie z poczerńiałej cegły. Zatrzymawszy się przy bramie, Eva rozejrzała się dookoła. Budynki – magazyn, odlewnie, warsztaty i biura – tworzyły czworobok z podwórzem w środku. Węgiel i zużyte tygły z pieców leżały w hałdach na brukowanym dziedzińcu. Kiedy Eva weszła przez bramę, robotnicy gapili się na nią, a dziewczyna w fartuchu z brązowego papieru, która chichotała z koleżanką, szturchając ją pod żebro, nagle umilkła.

W biurze pan Foley, asystent ojca, podniósł na widok Evy głowę znad papierów. Ojciec zaprosił go kiedyś do Summerleigh na przyjęcie gwiazdkowe. Iris uwielbiała małpować pana Foleya, wykpiwając jego poważne miny i lakoniczne, wyważone zdania. Taki ponury, taki nudny, mówiła. I nawet niezbyt stary. Eva jednak uważała go za interesującego, wręcz przystojnego. Miał mocno zarysowaną szczękę i kości policzkowe, ciemnobrązowe oczy i takie same włosy.

Teraz te oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Panna Eva! Szuka pani ojca? – spytał, wstając. – Niestety, dziś wyszedł wcześniej, jakieś dziesięć minut temu.

Ogarnęło ją wielkie rozczarowanie. Cała radość z wyprawy zniknęła.

– Czy mogę pani w czymś pomóc?

Eva pokręciła głową.

– Nie, dziękuję, panie Foley. – Przyjeżdżając tutaj, tylko pogorszyła sprawę. Spóźni się do domu i ojciec znów się rozgniewa.

Odwróciła się, by wyjść, ale pan Foley nie rezygnował.

– Jest pani sama?

Przytaknęła.

– W takim razie odprowadzę panią do domu.

– Nie ma takiej potrzeby, przyjechałam na rowerze. – I z uśmiechem dodała: –

Wszystko w porządku.

Kiedy wracała przez miasto, zaczął padać deszcz. Na przedmieściu kamienne wille były okazalsze, a ogrodów strzegły kute w żelazie bramy i krzewy o skórzastych liściach. Evie wydało się, że jej przyszłość jest tak samo koszmarnie przewidywalna, jak ulice, które mijała. Ojciec wstrzyma lekcje rysunku u panny Garnett. W niedługim czasie Eva skostnieje z braku bodźców i świadoma własnych ograniczeń, da za wygraną – poślubi pierwszego lepszego mężczyznę, który ją poprosi o rękę, i spędzi resztę życia zamurowana w Sheffield.

Rozległ się huk pioruna i deszcz zmienił się w grad. W rynsztokach i na progach sklepów zbierały się kuleczki lodu. Uczennice biegły z piskiem, torując sobie drogę przez tłum, posłańcy klęli i mocniej naciskali pedały rowerów. Grad kłuł Evę w twarz i grzechotał o rondo kapelusza. Musiała zmruznąć oczy, żeby na coś nie najechać.

Nagle otucha wstąpiła w jej serce. Gdy pędziła Ecclesall Road, wśród morza czarnych płaszczy i parasoli mignął jej ojciec. Wysoki i mocno zbudowany Joshua przewyższał o głowę większość innych mężczyzn. Eva zawołała go, lecz jej głos zagłuszyło grzechotanie gradu i hałas uliczny.

Z pobliskiego straganu rozsypały się rzepy; Eva musiała zsiąść z roweru i patrzeć pod nogi. Kiedy wreszcie podniosła wzrok, nie zobaczyła już ojca. Zaczęła biec, ale ślizgała się na kuleczkach gradu. Dopiero gdy nawałnica ustała, ponownie go zauważyła, jak skręcał w boczną ulicę.

Podążyła za nim i niebawem natknęła się na jego parasol zostawiony przed jednym z domów. Wiedziała, że mieszka tam pani Carver, której mąż zmarł w zeszłym roku. Eva chodziła do niej z kondolencjami – zapamiętała dwie córki, młodsze od niej o parę lat, milczące i przygnębione, o płomiennych włosach, nieliczących z żałobnymi sukniami.

Teraz wpatrywała się w budynek o zamkniętych drzwiach i opuszczonych żaluzjach, a dom nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w nią. Potem spojrzała na siebie: zauważyła na bluzce czarne smugi i oberwany obrębek spódnicy, którą musiała o coś zaczepić podczas długiej jazdy. Mokre włosy opadały niepowstrzymaną falą na ramiona. Ojciec zarzucał jej, że nie zachowuje się jak dama, no i niestety miał rację...

Wsiadła z powrotem na rower i popedałowała do domu. Nikt nie zauważył jej spóźnienia. Ojciec zdawał się nie pamiętać o kłótni – zjawił się w domu godzinę potem w zupełnie innym nastroju. Zwichrzył Evie włosy, skłonił Marianne do uśmiechu, skomplementował suknię Iris. Potem cmoknął matkę w policzek i przeprosił za spóźnienie: musiał zostać dłużej w pracy, bo zamówienie nie zostało skończone na czas.

Eva otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Zapomni o tym, co widziała, nie pozwoli, żeby ją to uwierało jak rzep uczepiony do rękawiczki.

Cztery tygodnie wcześniej, zaraz po poznaniu Arthura Leightona, Marianne wierzyła, że przytrafiło się jej coś magicznego, coś, co zdarza się tylko raz w życiu. Od tej pory jednak nie widziała pana Leightona ani razu. Przypomniawszy sobie, że miał zatrzymać się u Palmerów, zagadnęła bladą, zezowatą Alice Palmer i dowiedziała się, iż gość opuścił ich dom następnego dnia po balu. Nie podał przyczyny tak nagłego wyjazdu.

– Wypytywał mamę o twoją rodzinę – poinformowała ją Alice. – Mama widziała, jak tańczyliście razem, i zastanawiała się, czy go podbiłaś. Jeśli zagięłaś parol na pana Leightona, Marianne, to powiem ci, że bardzo wysoko mierzysz. To łakomy kąsek, jest spokrewniony z hrabią. – Alice obgryzła skórkę przy paznokciu. – Czy może z wicehrabią.

Przekonanie Marianne, tak niewzruszone tuż po balu – że wydarzyło się coś niezwykłego – lekko się zachwiało. Może pani Palmer powiedziała mu prawdę: że Joshua Maclise jest producentem narzędzi skrawających, a babka Marianne robiła kościane trzonki do noży. Może pan Leighton, który wcześniej uznał Marianne za znośną towarzyszkę nudnego prowincjonalnego balu, doszedł potem do wniosku, że panna stoi jednak znacznie niżej od niego na drabinie społecznej, toteż nie warto przedłużać tej znajomości.

Teraz, patrząc w lustrze na siebie, widziała same wady: orli nos, blada cera, powaga. Doświadczyła przedsmaku czegoś cudownego, ale natychmiast jej to odebrano. Nic się nie zmieniło poza tym, że teraz czuła do siebie jeszcze większą pogardę. To śmieszne i żałosne przywiązywać taką wagę do tego, co trwało zaledwie parę godzin. Mądrzejsza, bardziej obyta dziewczyna wiedziałaby od razu, że on z nią tylko flirtował.

Pewnego wieczoru Joshua zabrał Iris i Marianne na obiad do znajomych w Fulwood. Marianne, która kontemplowała właśnie z wyraźnym brakiem entuzjazmu rosyjskie *hors d'oeuvres* na talerzu, podniosła na chwilę wzrok i nagle na drugim końcu stołu zobaczyła Arthura Leightona. Serce skoczyło jej do gardła, bała się, że zemdleje na oczach trzydziściora gości i licznej służby. Strusie pióra zafalowały, diamenty rozbłyły. Wzięła głęboki oddech, opanowała się i jeszcze raz spojrzała w tamtym kierunku. Tak, to naprawdę był pan Leighton. Kiedy odwrócił się w jej stronę, Marianne szybko umknęła spojrzeniem w bok. Nie chciała nikogo wprawiać w zakłopotanie, gapiąc się na niego maślanymi oczami jak jakiś głupi podlotek.

Kamerdyner w białych rękawczkach obnosił półmiski, kryształły lśniły w blasku świec. Nawet najprostsze czynności wydawały się Marianne ponad siły: upuściła na podłogę serwetkę, a kieliszek tak drżał w jej zaciśniętej dłoni, że bała się, iż go zgniecie. Rozmowy wokół niej to ożywiały się, to milkły, nierealne jak we śnie. W oczach swego sąsiada zauważyła zniecierpliwienie brakiem odpowiedzi i sama też była na siebie zła. Idiotka z ciebie, Marianne Maclise, myślała, nieporadna, tchórzliwa idiotka. Duma nakazała jej wyprostować się, przywołać na twarz uśmiech i coś wreszcie powiedzieć. „Jakiego rodzaju stali pan używa, panie Hawthorne...”. „Ach, to fascynujące... I wysyła pan swe kłódki statkami do Ameryki! Marzę o podróży do Ameryki...”. W toku rozmowy zdała sobie nagle sprawę ze swej władzy, o której dotąd nie miała pojęcia. Po prostu brylowała.

Posiłek dobiegł końca i panie opuściły jadalnię, zostawiając panów przy porto i papierosach. W salonie całe jej uniesienie opadło i Marianne drżała teraz z zimna, czego jednak nikt nie zauważył.

Potem weszli panowie; Arthur Leighton zmierzał prosto w jej stronę. Marianne zamarło serce.

– Panno Maclise, miałem nadzieję, że tu panią zastanę.

Z trudem wymamrotała:

– Myślałam, że opuścił pan już Sheffield, panie Leighton.

– Tamtego wieczoru, kiedyśmy się poznali... niespodziewanie wezwano mnie pilnie do Londynu. – Machnął niecierpliwie ręką. – Interesy...

– Pewnie doprowadził pan swą gospodynię do rozpacz – zdobyła się na ostry ton.

– Taki kapryśny gość... Palmerowie czuli się zawiedzeni pańskim wyjazdem.

– Tylko Palmerowie?

Marianne ogarnęła rozpacz – rozejdą się, nie powiedziawszy sobie niczego ważnego, a potem już nigdy go nie zobaczy.

Nagle usłyszała:

– Będę w Sheffield jeszcze przez kilka dni. Czy ewentualnie mógłbym panią odwiedzić? – A ponieważ nie zdołała wydobyć z siebie głosu, dodał nagłoco: – Mogę?

Wiedziała, ile zależy od jej odpowiedzi.

– Tak, panie Leighton, bardzo proszę – odrzekła z chłodną uprzejmością.

Ale następnego ranka pewność siebie znów ją opuściła. Z upartym przekonaniem, że Leighton nie przyjdzie, nie zadbała dostatecznie o strój i fryzurę. Kiedy się pojawił, miała na sobie starą granatową suknię, a w głowie listę zakupów i recept matki do zrealizowania, więc czuła, że nie zaprezentuje się w korzystnym świetle. Poza tym wciąż dźwięczały jej w pamięci słowa Alice Palmer: „Mierzysz bardzo wysoko, skoro zagięłaś parol na pana Leightona, Marianne”.

Idąc do salonu, zagarnęła z sobą siostry: Iris, Evę i nawet Clemency, która się przeziębila i miała zwolnienie ze szkoły.

– Potrzebuję was – syknęła, kiedy wstały i ruszyły za nią.

Ilekczo znajdowała się z nim w tym samym pokoju, zdawało się jej, że ostrzej widzi i odczuwa różne rzeczy: zieleń paproci, złoty listek na talerzu, słodką, zniwalającą woń wiciokrzewu, wpadającą przez otwarte okno.

Głosy sióstr i pana Leightona przeplatały się z sobą w gorącym, dusznym powietrzu. Rozmowa dryfowała wokół pogody: „Taki cudowny czerwiec... aż nazbyt gorący...”.

Iris szturchnęła Marianne łokciem, zmuszając ją do zabrania głosu.

– W takim upale człowiek marzy o wsi. Miasta są takie... takie... – Zabrakło jej słowa. Wodziła wzrokiem od jednej siostry do drugiej, szukając pomocy.

– Duszne? – podsunęła Eva.

– Przytłaczające? – zasugerowała Clemency.

– Męczące – dodał pan Leighton.

Marianne wydała westchnienie ulgi i podchwyciła skwapliwie:

– Tak, oczywiście. Męczące. Czyż nie?

– Przez trzy lata mieszkałem w Indiach. W porównaniu z nimi, tu jest rozkosznie chłodno.

– Indie! – wykrzyknęła Marianne.

Nagle nasunęła się jej wizja zupełnie innego Arthura Leightona, w białym tropikalnym ubraniu i korkowym hełmie stojącego na szczycie wzgórza obok domu z werandą. Nic o nim nie wiem, pomyślała z rozpaczą. Przecież mógł być żonaty

i owdowieć. Mógł podróżować po świecie i mieć w każdym porcie kochankę.

A jednak, kiedy na nią spojrział, znów doznała tego samego wrażenia, wrażenia, o którym niemal zapomniała czy raczej nakazała sobie zapomnieć. Coś się w niej rozwijało, rozkwitało. Zacisnęła z całej siły dłonie, zdumiona łatwością, z jaką ona, chłodna, poważna Marianne Maclise, traci panowanie nad sobą.

Minął przepisowy kwadrans i pan Leighton wyszedł. Marianna musiała odwinąć brzeg zasłony, żeby zobaczyć, jak oddalał się podjazdem. Kiedy straciła go z oczu, dzień wydał się jej pozbawiony blasku.

– Jest w tobie zakochany – odezwała się za jej plecami Iris.

Marianne przycisnęła dłonie do policzków i pokręciła głową.

– Naprawdę. – Przynajmniej raz Iris mówiła na serio. – Jest w tobie zakochany.

Rozdział drugi

W kościele Eva przyglądała się rodzinie Carver. Córki miały białą, usianą piegami cerę, a rude włosy nosiły splecione w długie warkocze. Włosy ich matki przypominały kolorem lśniąca sierść lisa; w kilku miejscach wymykały się spod kapelusza, jakby chciały żyć własnym życiem. Eva wyjęła z kieszeni resztkę ołówka i zaczęła je rysować na ostatniej stronie modlitewnika. Była w połowie skomplikowanego ułożenia wstążek na kapeluszu pani Carver, kiedy nabożeństwo się skończyło.

Wierni wysypywali się z kościoła po dwoje lub po troje. Eva zwlekała, z ołówkiem i modlitewnikiem w rękach. Rudowłose panny przepchnęły się koło niej do przodu, w kościele zostały tylko dwie osoby – pani Carver i ojciec. Kiedy Eva wprawiała w ruch ołówek, żeby dokończyć kapelusz, ojciec zacisnął palce wokół dłoni tej kobiety, po czym podniósł jej rękę do ust. Ołówek Evy zaciął się na cienkim papierze, rozdzierając kartkę modlitewnika. Czern i biel – tak ich widziała z nieubłaganą wyrazistością: czarne rękawiczki pani Carver i biała ręka ojca. Zobaczyła, jak ojciec zamyka oczy, całując palce kobiety, potem wypowiada cicho kilka słów i odchodzi. Eva wybiegła z kościoła.

Nie mogła wymazać z pamięci tego obrazu: kościół, pocałunek... Dręczył ją, nasuwał się jej przed oczy, kiedy siedziała przy obiedzie albo zabierała cioteczną babkę Hannah na zakupy. Chociaż Summerleigh od sklepów dzielił tylko krótki spacer, wyprawa wymagała przygotowań godnych ekspedycji na biegun. Zawsze trzeba było doprowadzić do porządku czepek, ze stosu szali i modlitewników w sypialni babki wyciągnąć obrozę spanielki Winnie, a popychanie pod górę ciężkiego, nieporęcznego fotela na kółkach pochłaniało wszystkie siły Evy.

Zakupy babki Hannah były nieodmiennie takie same: lawendowe mydło i pastylki do ssania u Gimpsona, pończochy czy chustki do nosa w sklepie tekstylnym, papier listowy i koperty w składzie materiałów piśmiennych. Na samym końcu babka Hannah wręczała Evie dwupensówkę na makaroniki w piekarni. Zjadały je w pobliskim parku, gdzie nianie popychały wózki z dziećmi wśród krzewów bzów i laurów.

Eva spuściła psa ze smyczy i poczęstowała babkę ostatnim makaronikiem.

– Nie, moja droga, to dla ciebie.

– Ja nie mam apetytu.

– To pewnie przez ten upał – zmartwiła się staruszka, klepiąc dobrotliwie dziewczynę po rękę. – Coś mizernie wyglądasz. Egoistka ze mnie, że ciągnę cię do sklepów w taką pogodę.

– Ależ nie, lubię robić z tobą zakupy!

– Więc o co chodzi, kochanie? – Prząd błyszczącej czarnej sukni usiany był okruszkami, które przywarły też do włosków na podbródku. Hannah bezskutecznie próbowała je strząsnąć. – Może martwisz się o matkę?

– Niespecjalnie.

– Więc pewnie wciąż czujesz zawód, że ojciec nie puścił cię do szkoły artystycznej?

– Owszem – odpowiedziała Eva, uznając to za najlepsze wyjście z sytuacji.

– Twój ojciec jest dobrym człowiekiem, Evo, jednym z najlepszych. Miałam dużo szczęścia, że trafiłam na tak wspaniałomyślnego siostrzeńca.

Eva miała na końcu języka: „Dobrzy ludzie nie kłamią. Dobrzy ludzie nie prawią jednego dnia kazań na temat zasad moralnych, aby drugiego obcałowywać w kościele rękę jakiejś wstrętnej baby”.

– Joshua nie cierpi zmian – dodała Hannah. – Potrzebuje czasu, żeby oswoić się z nowymi pomysłami. Musisz uzbroić się w cierpliwość, moje dziecko, może jeszcze zmieni zdanie.

– On nigdy nie zmienia zdania! – wybuchnęła Eva. – Po prostu uznał, że ta szkoła jest nieodpowiednia. – Warga jej drgała.

– Proszę, nie wpadaj w rozpacz! Bóg ma swoje tajemnicze sposoby. – Hannah zerknęła na nią spod czarnego rondka czepka. – Powinnyśmy już wracać. Ten upał...

Eva biegła za fotelem po stromej ścieżce, zaciskając ręce na uchwytych i pozwalając mu nabrać szybkości. Wstążki kapelusza furkotały za nią na wietrze, a fałdzista suknia staruszki wydymała się niczym czarne żagle na jachcie. Obok pędziła, ujadając, Winnie, a na porytej zmarszczkami twarzy Hannah malował się prawdziwy zachwyt.

Eva zastanawiała się, czy szybki bieg pozwoli jej zapomnieć o tym, co ją gnębiło: o parasolu ojca przed drzwiami obcego domu, o bezcelowym kłamstwie. I o przymkniętych – zapewne z rozkoszy – oczach ojca, gdy całował dłoń w czarnej rękawiczce.

Ash stał się częstym gościem w Summerleigh. Przychodził o każdej porze dnia i zawsze zostawał dłużej niż wymagany etykietą kwadrans. Podczas tych wizyt siostry nigdy nie wysiadywały w salonie, jak należało się po nich spodziewać, ale krążyły po ogrodzie, a w razie złej pogody sadowiły się w innych, mniej oficjalnych pokojach. W krótkim czasie zaczęły mówić sobie po imieniu. „To bardzo nużące – zauważył praktycznie – ciągle podkreślać, do której z panien Maclise akurat się zwracam”. Nikt nie hamował tych wykroczeń. Matka wciąż się źle czuła, a ojciec wracał zwykle późno z pracy, więc okazji do łamania zasad nie brakowało. Ash uczył Iris posługiwać się swoim aparatem fotograficznym – masywną skrzynką z mahoniem i mosiądzu. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć – błysk! I siostry w białych muślinowych sukienkach na zawsze zastygły w czasie.

Rodzice Asha wcześniej umarli i od ósmego roku życia spędzał wakacje ze swoim opiekunem w Grantchester koło Cambridge. Obecnie mieszkał z dawnym uniwersyteckim kolegą w Sheffield i był zaangażowany – jak Iris obojętnie zarejestrowała – w jakąś działalność dobroczynną. Zawsze ją zdumiewało, że tak lubi jego towarzystwo. Nie byli do siebie podobni pod żadnym względem, nie mieli wspólnych zainteresowań ani gustów. Ubierał się okropnie – Iris podejrzewała, że Ash rano wrzuca po prostu na siebie to, co akurat ma pod ręką. Potrafił zjawić się w Summerleigh w starej sportowej kurtce i białym stroju do krykieta albo w jakichś koszmarnych musztardowych

tweedach wytartych na łokciach. Kiedy Iris, zawsze przywiązująca dużą wagę do wyglądu, wytykała mu zaniechanie, kiwał tylko z roztargnieniem głową.

Iris już jako nastolatka świadoma była swojej władzy nad mężczyznami. Nie miała wątpliwości, że gdyby tylko zechciała, mogłaby niemal każdego w sobie rozkochać. Tylko najwięksi nudziarze i sztywniacy pozostawali odporni na jej wdzięki, a Ash z pewnością nie był ani nudny, ani sztywny. Mimo wszystko niepokój, jaki odczuwała ostatnio w związku z ciągłym brakiem męża, jeszcze się pogłębił. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze znajdowała się w centrum uwagi, więc zdążyła do tego przywyknąć. Jako drugie z kolei dziecko w rodzinie, a zarazem najstarsza i najładniejsza z córek, od dawna doświadczała szczególnego zainteresowania ze strony przyjaciół i krewnych. A jednak, chociaż towarzystwo Asha ją cieszyło – jeśli miała być szczerą, dni bez jego wizyt dziwnie się jej dłużyły – on zdawał się niewiele o nią dbać. Jeśli już – to raczej miłszy był dla jej sióstr. Od czasu do czasu rzucał Iris jakieś słówko, które nasuwało jej podejrzenie, że Ash sobie z niej pokpiwa. To prawda, ona także żartowała z jego różnych obsesji – polityki, kwestii ubóstwa i tego okropnego uniwersyteckiego osiedla. Zresztą rozmowa z kimś, kto nie starał się jej w żaden sposób przypodobać, miała w sobie coś odświeżającego. Ale martwiło ją, że nigdy nie starał się zdobyć jej względów. Rzadko kiedy wymykał mu się jakiś komplement i ani razu nie próbował jej pocałować.

Tamtego lata grywali razem w tenisa i jeździli na długie wyprawy rowerowe. Czasem po prostu wędrowali bez celu, odkrywając dzielnice miasta, których Iris dotąd nie widziała. Często się kłócili. Miał własny sposób prowokowania jej – wystarczyło, że zakwestionował któryś z dawno zakorzenionych i nigdy dotąd niepodważanych poglądów dziewczyny.

Pewnego dnia podczas spaceru zaskoczył ich deszcz.

– Ojej, mój kapelusz! – zawołała Iris. Słomkowe rondko szybko opadło pod wpływem wilgoci. – Czemu spotkania z tobą zawsze muszą prowadzić do ruiny kapelusza?

Uśmiechnął się szeroko.

– Mój opiekun Emlyn w ogóle nie uznawał kapeluszy. Uważał, że przegrzewanie głowy źle wpływa na mózg.

Iris prychnęła ze złością.

– A moja matka uważa, że szkodzi jej hałas, świeże powietrze i towarzystwo więcej niż jednej osoby na raz. Och! – wykrzyknęła z rozpaczą. – Co za pogoda!

Nie zabrała żakietu, miała na sobie tylko muślinową bluzkę i bawełnianą spódnicę.

– Proszę. – Ash okrył ją swoją kurtką. – Przynajmniej nie przemokniesz. – Czy twoja matka od dawna źle się czuje?

– Od wieków. – A w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie dodała: – Przepraszam, wcale nie jestem bez serca, tylko to strasznie męczące. – Zastanawiała się, jak sprawić, aby ktoś pozbawiony rodziny pojął tę ciągłą walkę o władzę między rodzicami, braćmi, siostrami. – Dawniej starałam się dodawać jej otuchy. Przesiadywałam u niej w pokoju, opowiadałam na przykład o tym, jak minął mi dzień. Ale jej to wyraźnie nie interesowało, więc przestałam. Teraz matka jest w takim samym stanie, jak zawsze, ale przynajmniej nie muszę siedzieć w ciemnym pokoju i zmuszać się do prowadzenia

rozmowy z kimś, kto w ogóle się nie odzywa.

Deszcz bębnił o trotuar z jeszcze większą siłą. Ash wciągnął Iris pod drzewo. Samochody i wozy przejeżdżały obok nich, wzbijając fontanny wody. Iris czuła, jak strużki deszczu spływają jej z karku na plecy, ale czuła też na ramieniu lekki dotyk męskiej ręki. Podniosła na niego wzrok.

– Pewnie myślisz, jaka to ze mnie egoistka, skoro żałuję własnej matce odrobiny czasu?

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Ja tylko staram się myśleć praktycznie. Moja matka choruje od jedenastu lat. Lekarze dotąd nie ustalili, co jej właściwie dolega – jedni utrzymują, że to stan zapalny kręgosłupa, inni że wada serca, jeszcze inni, że ma coś nie w porządku z krwią i tak dalej. Dziś rano wstała z łóżka, zeszła na śniadanie i oznajmiła, że wydajemy letnie przyjęcie. Zupełnie jakby nigdy nie chorowała! Ale nic z tego nie wyjdzie, jak zawsze, zresztą. Nic, co zrobiłam, nie poprawiło jej stanu. Marianne i Clemency też nigdy się nie udało, tylko one tego nie dostrzegają.

– Może sama obecność córek daje twojej matce pociechę, nawet jeśli jej zdrowie się nie poprawia.

– Może. Ale jedna z nas wpadnie w pułapkę, to pewne jak w banku. Nie wyjdzie za mąż, tylko spędzi resztę życia na pielęgnowaniu matki. I to nie będę ja, nie ma mowy! Spojrzał na nią badawczo.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje taka możliwość.

– Pewnie, że nie, przecież jesteś mężczyzną. James, Aidan ani Philip też nie muszą rezygnować z własnego życia dla matki. Mężczyźni mogą robić, co chcą.

Deszcz nieco zelżał.

– Chodźmy – zaproponował Ash. – A najlepiej pobiegnijmy.

– Biegać? Nie mogę. Moje buty...

Ale pociągnął ją za rękę i pomknęli ulicą. Kapelusz sfrunął Iris z głowy – co tam, i tak nic z niego nie będzie. Kiedy dotarli do Summerleigh, oparła się ciężko o Asha, śmiejąc się i z trudem łapiąc oddech.

– Widzisz, Ash, nie będę starą panną! Nie nadaję się do biegania na posyłki! – Przymrużyła oczy. – Zrobię wszystko, żeby tego uniknąć. Absolutnie wszystko!

Podczas pobytu w Sheffield Ash zaprzyjaźnił się z dwiema rodzinami – Maclise'ów i Brownów. Kontrast między nimi nie mógł być bardziej uderzający. Brownowie gnieździł się w ponurym jednopokojowym mieszkanku przy High Street Lane w parkowej dzielnicy. Sześciuosobowa rodzina – matka, ojciec, dziesięcioletnia Lizzie i jej trzech młodszych braci – jadła i spała w tym samym pomieszczeniu.

Lato spędzone w uniwersyteckim osiedlu w Whitechapel odmieniło Asha. On, któremu nigdy nie brakowało jedzenia, widział dzieci cierpiące z powodu niedożywienia. On, mający pod dostatkiem ciepłych ubrań i dach nad głową, przekonał się, jak wielu ludzi jest pozbawionych tych rzeczy.

Nie potrafił zapomnieć tego, co zobaczył. Opuścił Whitechapel w przekonaniu, że

coś z tym trzeba zrobić.

Chociaż wielu mieszkańcom slumsów duma nie pozwalała wpuścić go do domu – przylepiali papier pakowy do szyb, żeby przechodnie nie mogli zobaczyć zdewastowanych izb – Brownowie stosunkowo szybko zgodzili się na wizytę. Upadli już tak nisko, doszedł do wniosku Ash, że zostali zmuszeni do prehandlowania nawet własnej godności. W ciągu lata Ash zrobił serie zdjęć ukazujących życie Brownów, zdołał dość dobrze poznać całą rodzinę. Ostatnio przedmiotem jego troski stało się najmłodsze, zaledwie kilkumiesięczne niemowlę. Przecież małe dzieci zwykle płaczą, czyż nie? I nie powinny być takie blade, takie apatyczne?

Często po wizycie u Brownów szedł prosto do Iris, aby strząsnąć z siebie poczucie beznadziei, unoszące się niczym czarna chmura nad slumsami. Promienna żywość dziewczyny sprawiała, że prawie zapominał o tamtych sprawach. Prawie. Stopniowo kontrast między obiema rodzinami zaczął go niepokoić. Nie umiał powstrzymać się od myśli, że bogactwo jednych zależało w jakiś sposób od nędzy drugich.

W lipcu wybrał się z Maclise'ami i ich przyjaciółmi na piknik w Peak District².

Wyjechawszy z miasta, kolumna automobili i powozów pięła się nieprzerwanie ku czystemu powietrzu na wzgórzach. Wysoką skarpę zawałały olbrzymie głazy, po czym zbocze stromo schodziło w dół. W drugim końcu doliny na tle połyskliwego nieba odcinały się kontury wyniosłych grani. Towarzystwo w małych grupkach rozpierzchnęło się po skalistym płaskowyżu. Południowy upał nasilał się coraz bardziej, rozgrzewając kamienie.

Po posiłku Ash powędrował w stronę grupy gigantycznych kamieni, zalegających niczym wielkie kopce najwyższą część terenu. Usłyszawszy z tyłu kroki, odwrócił się i zobaczył Iris, która próbowała go dogonić.

– Dokąd idziesz?

– Gdzieś. Wszystko jedno gdzie.

Zaczął się wspinać na stertę głazów. Iris poszła w jego ślady. Podał jej rękę i pomógł wdrapać się na kamienie. Ze szczytu kopca reszta towarzystwa w dole wydawała się mała niczym kolorowe żuki, parasolki pań przypominały puch z ostu.

Iris usiadła przy nim na najwyższym głazie.

– Czyżbyś się źle bawił, Ash?

– Było mi za gorąco.

– Nawet nie tknąłeś truskawek. – Wyciągnęła związaną chusteczkę z kilkoma owocami w środku. Połyskiwały w fałdach materiału niczym rubiny. – Proszę, weź. – Nagle spytała: – Coś jest nie tak?

Cisnął w dół drobny kamyk i patrzył, jak obija się o skały.

– Czy nigdy cię nie martwiło, że nie możesz się zdecydować, co zrobić ze swoim życiem?

– Ani trochę. – Zjadła truskawkę. – Bardzo dobrze wiem, co zamierzam zrobić: wyjść bardzo bogato za mąż, mieszkać w pięknym domu z liczną służbą i mieć całe stopy nowych strojów i kapeluszy.

Obserwował ją, wsparty na płaskim kamieniu.

– I sądzisz, że to cię uszczęśliwi?

- Oczywiście. Pod każdym względem.
- Bzdura! Po tygodniu zanudzisz się na śmierć.

Uniosła brwi.

- Skądże znowu. Czemu miałabym się nudzić?

– Bo ci to nie wystarczy. Co byś robiła po całych dniach? Układała kwiaty w wazonach?

- Dlaczego nie? Zresztą po co miałabym coś robić?

– Lubisz łamać zasady – zauważył chłodno. – Sama to powiedziałaś. Nie czułabyś satysfakcji.

Rzuciła mu złe spojrzenie.

– Możesz być okropnie mądry, Ash, znacznie mądrzejszy ode mnie, a jednak nic nie rozumiesz! Po takich pannach jak ja nikt nie oczekuje wyęźniania mózgu ani w ogóle żadnej fatygi. Mamy ładnie wyglądać i dobrze wyjść za mąż. Do tego jesteśmy stworzone.

Czasem doprowadzała go do furii. Ten brak wrażliwości na świat wokół niej, ta nieznajomość siebie!

– I ty tak po prostu... akceptujesz to wszystko? Naprawdę chcesz całe życie być beużyteczna?

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Przecież spełniam swoje obowiązki. Jestem dobrą córką...

– Więc zdecydowałaś się być wyłącznie ozdobą, podczas gdy w rzeczywistości jesteś twarda jak stare buty?

- Jak stare buty?! To nieprawda, co też ty wygadujesz!

– Popatrz tylko, jak wdrapywałaś się na te skały. Albo wtedy... jak spadłaś z roweru.

- I co z tego?

– Pozwoliłaś mi usunąć żwir, który wbił ci się w skórę, i nawet ani razu nie krzyknęłaś. A musiało cię boleć jak wszyscy diabli. Od razu to zauważyłem.

Odwróciła wzrok. Po chwili milczenia wyjaśniła:

– To wszystko, o czym mówisz... jak patrzę, jak się zachowuję... Tak mnie już wychowano. Nie rozumiesz, Ash? Tego się po mnie oczekuje.

- Ty taka nie jesteś.

- Może i nie, ale to raczej nie po dżentelmeńsku, że mi to wytykasz.

Zrozumiał, że zrobił jej przykrość, i zawstydzony dotknął lekko jej ramienia.

- Przepraszam, Iris. Nie kłóćmy się już.

Obróciła się do niego twarzą.

– Twarda jak stare buty! Jeszcze żaden mężczyzna nie powiedział mi czegoś takiego!

- W takim razie żaden z nich nie docenił twoich wyrafinowanych zalet tak jak ja!

– Zobaczył, że Iris uśmiecha się niechętnie. Zjadł następną truskawkę i dodał: – A poza tym czasy się zmieniają. Kobiety zostają lekarkami, prawniczkami, studiują na uniwersytetach. Albo takie sufrażystki...

– Jeśli myślisz, że będę nosić ten ohydny fioletowo-biało-zielony kapelusz i maszerować przez ulice z transparentem, to się grubo mylisz!

Patrzyli na siebie w zaciętrzewieniu.

– No widzisz? Znowu się kłócimy! – krzyknęła Iris. – Dlaczego sprawia ci przyjemność doprowadzanie mnie do szału?

Wstał i spojrzał w dolinę.

– Noś sobie kapelusz w dowolnym kolorze, ale już się nie kłóćmy, dobrze? – Westchnął. – Minęły już dwa lata, odkąd skończyłem uniwersytet, a wciąż nie wiem, co z sobą począć. Muszę się na coś zdecydować, bo teraz czuję się tak, jakbym... chodził po wodzie.

– A co widzisz złego w chodzeniu po wodzie? Albo w dobrej zabawie?

– Chcę coś zmienić w swoim życiu. A tego się nie dokona, skacząc z kwiatka na kwiatek. – Nie słysząc odpowiedzi, obejrzał się na nią i dodał: – Nie pochwalasz mojej decyzji odmiany, prawda? Może uważasz, że jestem arogancki? Albo naiwny?

– Zawsze mi się wydawało, że nie można odmienić cudzego życia. Najwyżej swoje własne, a i to nie zawsze jest możliwe.

– Ale na pewno warto próbować.

Wstała.

– Powiedz mi, co bierzesz pod uwagę, Ash, to wybiorę za ciebie.

– Medycyna... może dziennikarstwo. Albo prawo.

Zaczęła wolno schodzić ze zbocza, w stronę reszty towarzystwa.

– Och, to proste. Oczywiście, prawo.

– Dlaczego?

Była już znacznie niżej, więc musiała zadrzeć głowę.

– Bo wtedy będziesz mógł się kłócić do upojenia, prawda?

I zniknęła za wielkim głazem. Ash przystanął, czekając, aż dziewczyna znów się pokaże, a potem patrzył, jak migając białym muślinem i jasnymi włosami, popędziła w dół.

Marianne nie mogła się doczekać pikniku. Spodziewała się, że z dala od domu, w którym lada chwila mógł się zjawić Arthur Leighton, będzie mogła nieco ochłonąć. Niestety, niepokój nadal jej nie opuszczał; teraz, kiedy wiedziała, że nie zobaczy Arthura, dzień stracił cały blask.

Zostawiła towarzystwo i poszła na spacer, kierując się z powrotem w stronę drogi. Pejzaż wokół niej skąpany był w słońcu. W zagłębieniach gromadziły się błękitnoczarne cienie, skały połyskiwały, jakby usiane diamentami.

W oddali samotny automobil pokonywał właśnie zakręt drogi. W szybach i metalowych częściach odbijały się promienie słońca, rzucając srebrne błyski. Zbliżywszy się do mostu, samochód zwolnił, a potem stanął. Kiedy kierowca wysiadł, Marianne rozpoznała Arthura Leightona i serce skoczyło jej do gardła. Patrzył w jej stronę... zobaczył ją... szedł ku niej...

– Muszę pomówić z panią na osobności.

– Panie Leighton...

– Nie wątpię, że pani siostry rozpełzły się między skałami jak jaszczurki, ale mimo

to proszę o chwilę rozmowy.

Poprowadził ją wąską ścieżką do strumienia, gdzie paprocie połyskiwały szmaragdowo w ciemnych szczelinach między kamieniami i chlupotała woda, bryzgając pianą.

– Kiedy po raz pierwszy ujrzałem panią na balu, poraziła mnie pani piękność. Nie mogłem oderwać od pani oczu. A potem, podczas rozmowy, wydało mi się, że istnieje między nami także więź duchowa. – Uniósł jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy. – Przemów do mnie, Marianne – poprosił niskim, namiętym głosem. – Powiedz mi, o czym myślisz.

– N-nie wiem – szepnęła.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, czego pan ode mnie chce.

– To bardzo proste: ciebie.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Leighton przycisnął jej dłoń do warg. Marianne zamknęła oczy i zachwiała się lekko na nogach.

– Biedactwo – szepnął. – Spalisz sobie skórę na tym słońcu. Jest taka biała...

Kiedy całował zagłębienie jej łokcia, zadrżała. Przyciągnął ją bliżej i przez cienką letnią bluzkę poczuła siłę i ciepło jego ciała. Musnął ustami jej szyję, a kiedy wreszcie ich usta się spotkały, poczuła, że tonie, rozpływa się, tak jakby ona, Marianne Maclise, zawsze taka opanowana, trzymająca się od wszystkich na dystans, zaczęła wtapiać się w niego, niknąć.

Coś sprawiło, że otworzyła oczy i spojrzała w górę. Znowu należała do tego świata; usłyszała tupot trzewików na skale, a na tle niebieskiego nieba pojawił się nagle parasol w biało-zielone pasy.

Cofnęła się szybko.

– To pani Catherwood!

Pani Catherwood, z czerwoną od upału twarzą, dreptała ku nim ścieżką.

– Marianne, moja droga, nigdzie nie możemy cię znaleźć! Podajemy herbatę. – Jej świdrujący wzrok, który spoczął na panu Leightonie, nie wróżył nic dobrego. – Przyłącz się pan do nas?

– Dziękuję, nie.

Odejdzie, myślała Marianne, znowu zostawi mnie samą. To nie do zniesienia.

– Proszę... – szepnęła.

– Wybacz, Marianne. Znosiłem ten rytuał przed laty, kiedy byłem młodszy, i teraz wolałbym go nie powtarzać. – Pochwycił jej rękę. – Ale, ukochana, muszę wiedzieć, czy...

Pani Catherwood nie spuszczała z nich oczu. To niewybaczalne, myślała Marianne, żeby najbardziej osobiste uczucia musiały być wystawiane na widok publiczny.

– Moja matka postanowiła wydać letnie przyjęcie. Przyjdzie pan, prawda?

Patrzyła, jak wracał do samochodu. Kiedy później szła za panią Catherwood na herbatę, zauważyła, że ma odpięty jeden guzik przy bluzce. Drżącymi palcami przepchnęła go przez dziurkę. Pamiętała ciepło skóry Leightona, jego język w swoich ustach, sposób, w jaki ręce Arthura odkrywały kształty jej ciała. Nie próbowała go powstrzymać. Gdyby jeszcze godzinę temu ktoś jej powiedział, że pozwoli mężczyźnie

dotykać się w taki sposób – nie uwierzyłaby. Godzinę temu nie wierzyła także, iż odtąd będzie marzyć, aby Arthur Leighton dotykał jej tak samo znowu i znowu...

Iris nie bawiła się na pikniku tak dobrze, jak się spodziewała. Jedzenie wyschło w upale na wiór, szampan był ciepły, a rozmowy wydawały się płytkie i nieciekawe, naszpikowane drobnymi złośliwościami.

Alice Palmer odciągnęła ją na bok.

– Wiesz? Pani Catherwood przyłapała Marianne z panem Leightonem. Całowali się! – Alice miała zęza i jej błędzące oko próbowało natrafić na Iris. – Ależ to byłaby niespodzianka, gdyby Marianne wyszła za mąż przed tobą! Pamiętam, kiedy zaczęłaś bywać, mówiono, że zdmuchną cię już w pierwszym sezonie. Za nic bym nie chciała, żeby Louisa znalazła męża przede mną. Wyobraź sobie: być druhną młodszej siostry! To po prostu straszne! – Poklepała żartobliwie Iris wachlarzem. – Wszyscy myśleli, że z sióstr Maclise ty pierwsza wyjdiesz za mąż. Lepiej nie zwlekaj z tym za długo!

Wspominając, jak pan Leighton patrzył na Marianne, Iris ze ściśniętym sercem doszła do wniosku, że jest bardzo prawdopodobne, iż jedna z jej sióstr pierwsza wyjdzie za mąż. Przedtem zawsze odrzucała taką możliwość; Marianne jest za cicha, za poważna, Eva także mało interesująca, a Clemency – zbyt młoda. A poza tym ona, Iris, jest i najstarsza, i najładniejsza. Byłoby śmieszne – a także bardzo, bardzo upokarzające – gdyby któraś ją uprzedziła. Nie, to po prostu nie ma prawa się zdarzyć.

Po herbacie Charlotte Catherwood, najlepsza przyjaciółka Iris, wyprowadziła ją z tłumu.

– Muszę z tobą pogadać, Iris. Mam ci coś do zakomunikowania. – Charlotte wzięła głęboki wdech. – Postanowiłam zostać pielęgniarką.

Iris wlepiła w nią zdumiony wzrok. Gdyby Charlotte powiedziała: „Wyjeżdżam do Afryki na wyprawę odkrywczą” czy: „Wstępuję do klasztoru”, nie mogłaby bardziej jej zaszokować.

– Pielęgniarką? – powtórzyła Iris. – Lottie, nie bądź śmieszna!

– Pod koniec roku zaczynam praktykę.

– Lottie, to niemożliwe... – Widząc jednak, że Charlotte mówi serio, Iris wykrzyknęła: – Dlaczego?

– Bo nie sądzę, abym wyszła za mąż – odpowiedziała spokojnie tamta. – Mam dwadzieścia dwa lata. Od czterech sezonów bywam w towarzystwie. Nikt się we mnie nie zakochał, kiedy miałam osiemnaście, więc teraz chyba tym bardziej nie mogę na to liczyć. Zwłaszcza, że wciąż pojawiają się młodsze i ładniejsze.

– Ale pielęgniarstwo... To takie męczące i... przerażające!

– Pielęgniarki czasem podróżują. Zwiedzają świat. Zyskam niezależność, własne pieniądze. Przestanę tkwić tutaj, gdzie wszystko jest zawsze takie samo, i tylko bym się starzała. To właśnie byłoby przerażające. – Charlotte rozejrzała się wokół siebie. – Mama się obudziła. Pójdę sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy przy herbacie. – Zanim odeszła, dodała jeszcze: – Ty też powinnaś pomyśleć o pielęgniarstwie.

– Jaaa?

– Czemu nie? Wiesz, jak by nam było miło razem?

Iris podniosła parasolkę i zaczęła oddalać się od reszty towarzystwa. Czuła, że ogarnia ją coś w rodzaju paniki. Aby utwierdzić się w swych przekonaniach, przebiegła w duchu listę znajomych mężczyzn. Przecież któryś z nich musi się nadawać na męża? To sympatyczni, zamożni chłopcy z szanowanych rodzin. Gerald Catherwood co kilka miesięcy prosi ją o rękę, Ronnie także kiedyś był o krok od oświadczeń. Ale nagle uświadomiła sobie ze skurczem w sercu, że od ostatniej propozycji Geralda minęło już całe pół roku... Może dał za wygraną. Może już jej nie kocha...

No dobrze, a co z bratem panien Hutchinson, Oswaldem? Tę myśl jednak zaraz odrzuciła; Oswald to miły chłopak, ale nudziarz, nudziarz, nudziarz. A Alfred Palmer? Nie, to śmieszne, pomyślała, porażona wizją siebie kroczącej przez kościół u boku krępego, nadętego Alfreda Palmera.

Więc może Ash? Jak by się czuła jako jego żona? To wykluczone, przecież kłóciłiby się cały czas. Ale przynajmniej nie byłoby ani nudno, ani śmiesznie.

Przystanęła i spojrzała do tyłu. Ash schodził właśnie z kopca, kierując się w stronę towarzystwa. Obserwowała go zmrużonymi oczami, odnotowując wysoki wzrost, zręczne ruchy. Ash... Czemu nie miałyby wyjść za niego? W końcu za kogoś musi, i to szybko. Chyba że zaryzykuje dalszą zwłokę, a wtedy może zostać starą panną.

Zawsze miała dar rozkochiwania w sobie wybranych mężczyzn. Uśmiechnęła się do siebie mimo woli, już z góry ciesząc się na letnie przyjęcie u nich w domu.

Eva zaczęła się w wąskim zaułku naprzeciwko firmy J. Maclise & Sons. Rower postawiła pod murem. Po jednej stronie ulicy jakiś chłopak sprzedawał koszyki i szpicruty, w dalszym końcu stała jednokonna dorożka z zapuszczonymi zasłonkami.

Deszcz spływał po impregnowanym płaszczu dziewczyny, tworząc wśród kamieni brukowych szkliste kałuże. Przez żelazną bramę zaczęli się wysypywać robotnicy. Eva wypatrywała cylindra i parasola. Chciała iść za ojcem, a jeśli pójdzie do domu pani Carver, zatrzymać go, zanim przekroczy furtkę. Powie, że skręciła w złą stronę, wracając z lekcji, a potem się zgubiła. Na szczęście zobaczyła go na ulicy i udało się jej go dogonić akurat w tym miejscu.

Nie mogła się zdecydować, co ma powiedzieć później. „Nie wiedziałam, że tak bardzo przyjaźnisz się z panią Carver”. Albo: „Biedna pani Carver, musi być bardzo samotna. Jak miło z twojej strony, że dotrzymujesz jej towarzystwa”. Wszystko jednak wydawało się zbyt obcesowe albo zbyt zawoalowane. W końcu powiedziała sobie, że właściwe słowa same się nasuną. Po minie ojca i wyrazie jego oczu pozna, czy jej podejrzenia są uzasadnione.

Wkrótce potem, kiedy już zniknęli jej z oczu robotnicy, w bramie ukazał się ojciec. Przystanął na chwilę, obejrzał się w lewo, potem w prawo. Wreszcie – zamiast w stronę centrum miasta – pomaszerował do dorożki. Pojazd zadygotał gwałtownie, koń przesunął się nieco i uchyłono zasłonkę. W środku zamajaczyła sylwetka kobiety; ojciec pocałował ją na powitanie, a potem zniknął w ciemnym wnętrzu. Jeszcze tylko mignął pukiel włosów – rudobrazowych jak lisi ogon – i dłoń w czarnej rękawiczce zaciągnęła

z powrotem zasłonkę.

Dorożka ruszyła ulicą; wkrótce wchłonął ją deszcz i zasłoniły wysokie ceglane budynki. Przez kilka minut Eva tkwiła w miejscu jak zamurowana. Potem wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz, jakby chciała otrząsnąć się z widoku ojca całującego w dorożce panią Carver.

Popedałowała na oślep przed siebie, wybierając kierunek na los szczęścia. Niebawem tłum wypchnął ją w stronę Shambles – targu mięsnego, gdzie każdego ranka niski grubas w skórzanym fartuchu ostrzył noże i ryczało bydło pędzone do rzeźni wąskimi uliczkami. Odór krwi i łajna wciąż jeszcze wisiał w powietrzu i Eva czuła, jak żołądek podnosi jej się do gardła. Kiedy okrążała bocznicę kolejowe, rozległ się gwizd pary i po szynach zadudniły wagony towarowe. W rynsztokach chlupotała deszczówka, niosąc z sobą mnóstwo zużytych zapalek oraz słomy, i zostawiając na bielonych wapnem ścianach budynków warstwę czarnego brudu.

Domy, które Eva teraz mijała, były małe i nędzne; serce zabiło jej szybciej, gdy się zorientowała, że trafiła do slumsów – na teren dla niej zakazany. Zsiadła z roweru i uparcie szła dalej, zagłębiając się w plątaninę wąskich zaułków i ciemnych podwórek. Chciała zobaczyć to wszystko na własne oczy, chciała się z tym zapoznać.

Znalazła się w zupełnie innym świecie. Nawet sklepy były tu zupełnie odmienne. Kawalki mięsa zwieszały się z haków w nieoszlonym oknie jatki, czarna chmura much unosiła się nad dyndającą pod pułapem tuszą. Przed kantorkiem lombardu na ulicy stała długa kolejka. Kilka przedmiotów umieszczono na wystawie: męską marynarkę z latami na łokciach, tandetną perkalową halkę, poźólkłą ze starości. Na ciasnym placyku otoczonym wysokimi czynszówkami stara kobieta siedziała na przewróconej do góry dnem skrzynce, oferując rozłożone na bruku łachmany.

W kałużach chlapały się małe dzieci, które wytrzeszczały oczy na przechodzącą obok Evę. Na progach domów kobiety o zapadniętych oczach karmiły piersią niemowlęta. Na sznurach rozciągniętych między domami suszyły się szare z brudu, mocno zniszczone prześcieradła i pieluszki. Eva posuwała się naprzód, porażona tymi widokami. Żeby tak wielu ludzi tłoczyło się w tak ciasnej przestrzeni, gdzie wszystko było ciemne i brudne, a kolory ograniczały się do palety czerni, szarości i brązów, gdzie nawet błękitne niebo zasnuwały dym i sadza...

W samym środku tej nędzy usłyszała muzykę. Idąc za jej dźwiękiem, trafiła do wąskiego przejścia, w którym kundle wyrwały sobie ogryzioną kość, a tuż przy kamiennych schodkach stała stara sofa. Spod jej podartego pluszowego obicia wyłaziło końskie włosie. Przejście prowadziło na placyk, gdzie przy dźwiękach katarynki tańczyły dzieci. Dziewczynki w łatanych fartuszkach podskakiwały i okręcały się w kółko z poważnymi minkami. Kiedy kataryniarz kręcił korbką, małpka wyprawiała harce, a jasnowłosa dziewczynka z mysimi ogonkami zaciskała piąstki i kołysała się w takt muzyki.

Eva także miała chęć poddać się melodii, choćby tylko walca. Zamiast tego zaczęła się jednak wolno wycofywać z placyku; jej myśli wciąż krążyły wokół ojca. Zawsze podziwiała jego energię, siłę i witalność, tak jak zawsze wzdragała się przed zaakceptowaniem złego stanu zdrowia matki. Delikatna z natury, starała się spędzać

w ciemnym, przegrzanym pokoju chorej jak najmniej czasu. Ale Eva Maclise, która mdlała na widok krwi, wydawała się jej teraz tak samo godna pogardy, jak Joshua Maclise, który z lekkim sercem zdradzał żonę. O bogactwie ojca świadczyły w jej przypadku miękkie, białe dłonie, suknie z jedwabiu i wysokogatunkowych wełen. Świadomość, że ona także przyczyniła się w jakiś sposób do powstania tych siedlisk nędzy, uwierała ją nieznośnym ciężarem. Nie mogłaby przyłączyć się do tańca, podobnie jak nie ośmieliłaby się ubrać w łachmany, które miała na sprzedaż tamta kobieta.

Obraz ojca, pochylającego się nad panią Carver w dorożce, nadal tkwił w jej pamięci. Z druzgoczącą jasnością zdała sobie sprawę, że nie wolno jej o tym nikomu wspomnieć. Gdyby matka dowiedziała się o pani Carver, szok mógłby ją zabić, dlatego ona, Eva, która zawsze miała serce na dłoni, musi nauczyć się milczeć.

Rozejrzawszy się dookoła, zrozumiała z narastającą paniką, że się zgubiła. Wysokie ceglane ściany nie dopuszczały resztek dziennego światła. Na schodkach przed domami mężczyźni palili tytoń, grali w kości, z napięciem w oczach popluwając w dłonie „na szczęście”. Odprowadzali wzrokiem przechodzącą Evę, a jeden nawet zawołał: „Napijesz się z nami, laluniu?”, więc zaraz przyśpieszyła kroku. Wciąż jednak słyszała za sobą jego głos pytający z szerokim yorkshirskim akcentem: „Co się tak śpieszysz, kochana? No, mówię co się tak śpieszysz?”.

Ktoś koło niej przebiegł – musiała cofnąć się pod ścianę, aby go przepuścić. Drugi mężczyzna gonił za tamtym, sypiąc przekleństwami. Tam gdzie zaułek się rozszerzał, tworząc obskurny placyk za rzędem sklepików, dwóch ludzi biło się, nie żałując pięści i łokci, kopiąc się na oślep podkutymi buciorami. Eva rzuciła rower i pobiegła pędem przed siebie, byle dalej od tego miejsca. Krew waliła jej w uszach, płuca mało nie pękły z bólu.

Kiedy niemal bez tchu wypadła stamtąd na szerszą ulicę, zderzyła się nagle z kimś ciepłym i sprężystym. Jakiś głos powiedział:

– Panno Evo?

Podniosła głowę i zobaczyła pana Foleya. Trzymał ją za ramiona, powstrzymując przed upadkiem. Zaciśnęła kurczowo palce na jego rękawach, jakby stanowiły ostatnią deskę ratunku. Dopiero znacznym wysiłkiem woli zdołała się uwolnić i cofnąć o krok.

– Czy wszystko w porządku? – spytał, szczerze zatroskany.

Wydała westchnienie ulgi.

– Tak. Tak, oczywiście. – Nigdy by się nie spodziewała, że tak ucieszy ją widok nudnego, ponurego pana Foleya. – Tylko... mój rower! Zginął mi rower!

– Gdzie?

– O, tam! – zerknęła trwożnie w zaułek.

– Zaraz go odzyskamy. Proszę poczekać.

I zniknął w mroku. Eva grzebała w kieszeniach, daremnie poszukując chusteczki. W końcu musiała otrzeć sobie twarz rękawem.

Po paru minutach pojawił się pan Foley z rowerem.

– Odprowadzę panią do domu – rzekł stanowczo i tym razem nie oponowała.

Kiedy szli razem ulicą, wyczuwała jego niewypowiedziane pytania. Miała jednak umysł kompletnie wyprany ze wszystkiego i nie potrafiła wymyślić żadnego

usprawiedliwienia czy wykrętu. Po chwili pan Foley zaczął mówić o swojej siostrze nauczycielce, zabawiając Evę historyjkami o jej uczniach. Parę razy udało się jej zmusić do uśmiechu.

Mając Summerleigh w zasięgu wzroku, poprosiła:

– Dalej wolałabym pójść sama, panie Foley.

– Oczywiście – zgodził się, oddając jej rower.

– I... jeśli pan tak uprzejmy... – zaczęła i urwała.

– Tak, tak, nie widziałem pani – domyślił się. – Jeśli to w czymś pomoże.

Już na końcu podjazdu obejrzała się i zobaczyła, że wciąż czeka, aż ona bezpiecznie dotrze do drzwi. Dopiero wtedy pożegnał ją ruchem ręki i zaczął schodzić ze wzgórza.

W wieczór letniego przyjęcia u Maclise'ów, tuż przed przybyciem pierwszych gości, rodzina zebrała się w holu. Cioteczna babka Hannah włożyła jak zwykle czarną suknię z czarną gagatową broszą – jedynym ustępstwem na rzecz uroczystej okazji. Krepdeszynowa suknia Lilian miała odcień lilaróż; brylanty w uszach i na szyi podkreślały kruchą urodę właścicielki. Marianne, Iris i Clemency były ubrane na białe. Każdemu ich ruchowi towarzyszył szelest licznych warstw halek, koronek i wstążeczek, długie treny zamiatały podłogę. Talie wszystkich pań opinały sztywne gorsety, wypychające do przodu biust i podkreślające biodra. Powietrze przesyciła ciężka woń fiołków, goździków i tuberozy.

– Gdzie jest Eva? – zapytała Marianne.

Usłyszeli ruch na szczycie schodów.

– Słodki Jezu... – mruknął pod nosem James.

Joshua Maclise wydał z siebie nieartykułowany ryk, a Hannah, Lilian i jej córki podniosły przerażony wzrok na Evę, która schodziła właśnie ze schodów w luźnej białej sukni i z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, przyciętymi na wysokości ramion.

Kolacja wlokła się bez końca; Marianne widziała wady w każdym daniu. Od czasu do czasu jej wzrok ześlizgiwał się na koniec stołu, gdzie obok matki siedział Arthur Leighton. Ilekroć pochwycił jej spojrzenie, Marianne nieruchomiała; urywała w pół słowa rozmowę z sąsiadem, a pokój wraz z innymi gośćmi znikał jej z oczu – istnieli tylko oni dwoje. Czy ją kocha? – zadawała sobie w myślach pytanie. Czy ona także nawiedza go w snach, jak on ją? Wzbierała w niej fala szczęścia, połączona z rozkosznym uczuciem uniesienia, nagłą pewnością, że stoi w przededniu jakiejś cudownej przygody.

Iris uchwyciła wzrok Asha, który stał w pobliżu ogrodowych drzwi, nieco oddalony od towarzystwa.

– Ash! Nie tańczysz?

Pytanie miało na celu sprowokowanie zwykłej w takich przypadkach odpowiedzi: „Tylko z tobą mógłbym zatańczyć, Iris”, ale po prostu zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie w tej chwili.

– Dość niestrawna ta kolacja, co?

- Osiem dań...
- Wiem. To ciężki wysiłek.
- Chciałem powiedzieć: kto potrzebuje aż ośmiu dań, żeby zaspokoić głód?
- To nie jest kwestia potrzeby.
- Nie. Najwyraźniej nie.
- Och, Ash, przestań mantyczyć!

Spodziewała się uśmiechu i wyjaśnień, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Przepraszam cię, Iris – rzekł po prostu i odszedł.

Zdenerwowanie Iris wzrosło; że też śmiał ją tak zostawić! Jednocześnie ze złym humorem pojawił się niepokój. Przyjrzała się sobie w szybie. Czyżby jej włosy straciły połysk? Albo uroda zaczęła więdnąć?

Cóż, pomyślała ze złością, odwracając się z powrotem twarzą do wnętrza pokoju, Ash szybko pożałuje swego postępu. Kto jak kto, ale ona, Iris, potrafi przyciągnąć męską uwagę.

Zmierzając w stronę grupki panów stojących przy kominku, demonstracyjnie studiowała swój karnecik.

- Ojej – wykrzyknęła z nadąsaną minką – nie mam partnera do następnego tańca!

– Radzę ci, zatańcz ze mną – zgłosił się Oswald Hutchinson. – Wszyscy inni mają dwie lewe nogi!

– Co za bzdura – obruszył się Ronnie Catherwood. – Mnie wybierz, przynajmniej nie zanudzę cię cenami węgla, jak Oswald!

– Bo zanudzisz ją krykietem – wtrącił Gerald Catherwood. – Dobrze wiesz, że o niczym innym nie potrafisz rozmawiać. Zatańcz ze mną, Iris. Rozmowa ze mną jest znacznie ciekawsza, no i tańczę też lepiej niż Oswald.

Iris coś podkusiło, żeby uciąć tę paplaninę.

- Zatańczę z panem Summerbee.

Tom Summerbee był przyjacielem Catherwoodów.

Ronnie Catherwood jęknął, a Gerald natychmiast zaprotestował:

- To niemożliwe. On nie ma bladego pojęcia o tańcu.

Miał rację: pan Summerbee zupełnie nie umiał tańczyć. Nie zanudzał jednak Iris ani krykietem, ani węglem. Czerwony na twarzy, z kropelkami potu na czole, po prostu nie mówił nic. Byli już w połowie tańca, gdy Iris kątem oka dostrzegła, że na salę wraca Ash. Natychmiast przysunęła się bliżej do partnera, uśmiechając się uwodzicielsko.

- Od wieków pana nie widziałam, Tom. Gdzie się pan podziewał, u licha?

– Byłem w Oksfordzie.

- Oksford! Musi pan być teraz mądry jak słoń, co?

– Niez-zupełnie.

Iris westchnęła leciutko.

- Ja w ogóle nie jestem mądra. W szkole uchodziłam wręcz za głuptasa.

Wciągnął gwałtownie powietrze.

– Nie po-otrafie sobie tego wyobrazić. Dla mnie pani jest dobra we wszystkim, panno Maclise.

- Naprawdę? – Teraz powinien powiedzieć, że zakochał się w błękicie jej oczu albo

że sprzedałby duszę za kosmyk jej włosów. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, chociaż twarz Toma zdążyła już przybrać taki sam odcień czerwieni jak zasłony, westchnęła ze smutkiem: – Czasem boję się, że nie bardzo pan mnie lubi...

– J-ja nie lubię p-pani?

– Nawet nie prosi mnie pan do tańca.

Potknął się i Iris musiała szybko się odsunąć, żeby nie nadepnął jej na palce.

– Nie za dobrze radzę sobie w tańcu – wyznał przepraszająco.

Znów zapadła cisza, tym razem na dłużej. Iris miała już dość; wzbudzanie w Ashu zazdrości poprzez flirt z Tomem Summerbee wymagało więcej zachodu niż to warte.

Nagle Summerbee rzekł:

– Ależ to osły!

– Oswald i Catherwoodowie? Może i tak, ale potrafią być zabawni.

– Chyba nie wyjdzie pani za żadnego z nich?

– Nie przypuszczam – odparła wymijająco.

Tamtego popołudnia Ash przytasczył swój aparat do domu Brownów przy High Street Lane. Rodzice wyszli, zostawiając młodszych synków pod opieką Lizzie. Po pewnym czasie Ash zauważył, że niemowlę w tekturowym pudle jest dziwnie ciche. Dotknął buzi dziecka – okazała się zimna. Musiało odejść we śnie, pomyślał, i nikt się nie zorientował. Ale to maleństwo zawsze było wyjątkowo spokojne.

Wysłał Lizzie na poszukiwanie rodziców, a chłopców wyprowadził na zewnątrz, żeby nie musieli przebywać razem z *tym*. Kiedy przyszli dorośli, oddał im wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, na opłacenie pogrzebu. Następnie wrócił do domu przyjaciół, wypił dwie mocne szkockie, żeby wymazać z pamięci popołudniowy koszmar, przebrał się w strój wieczorowy i pośpieszył na przyjęcie do Maclise'ów.

Dwie rodziny, z którymi zawarł tu znajomość: Brownowie i Maclise'owie... Nigdy kontrast między nimi nie wydawał mu się ostrzejszy. Obrazy dzisiejszego dnia wciąż przesuwwały mu się przed oczami, kiedy wmuszał w siebie kolację i obserwował, jak matrony z Fulwood i Abbeydale afiszują się zarówno z bogactwem swoich mężów, jak z matrymonialnymi możliwościami córek. Przyglądał się też Iris – przechodzącej z jednych męskich ramion w drugie, olśniewającej w bieli. Wodził spojrzeniem po drobnej, czerwonej wypukłości ust, wygięciu szyi, linii ramion. Widział, jak tańczyła, kokietyjnie przysuwając się do partnera, on zaś – nieszczęsny dureń – gapił się na nią z góry z otwartą gębą i maślanymi oczami.

Nagle zrobiło mu się niedobrze i wyszedł przez szklane drzwi do ogrodu. Stał tam z wyciągniętymi ramionami i twarzą uniesioną ku niebu, nie bacząc na padający deszcz.

W oranżerii powietrze było aż gęste od gorąca. Paprocie rzucały koronkowe cienie na terakotowe płytki podłogi, o szklany dach bębniły krople deszczu.

– Marianne, z pewnością się domyślasz, co ci chcę powiedzieć – odezwał się pan Leighton.

Przypomniała sobie piknik: rwący strumień pod mostem, usta Arthura muskające jej skórę... Pragnienie owładnęło nią z taką mocą, że aż zadrżała.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Po tamtym balu... kiedy tak długo cię nie widziałam... myślałam, że pewnie uznałeś...

– Co myślałaś, Marianne?

– Że nie jestem dla ciebie dość dobra. Alice Palmer powiedziała...

– Co? Co powiedziała panna Palmer?

– Że jesteś spokrewniony z wicehrabią. Czy nawet z hrabią.

– Naprawdę? – Wyglądał na ubawionego. – Cóż, brat mojego dziadka jest baronetem. Nie utrzymujemy kontaktu, bo pokłócił się z dziadkiem na długo przed moim urodzeniem. – Uśmiech Arthura zgasł. – Myślałaś, że uważam się za kogoś lepszego od ciebie?

Wysunęła dumnie podbródek.

– A tak nie jest?

– Nie! Twój ojciec jest fabrykantem, ja działam w przemyśle okrętowym. Obaj doszliśmy do majątku własną pracą. Ale są sprawy, które powinnaś wziąć pod uwagę: różnica wieku, na przykład. Ty masz dwadzieścia lat, ja – trzydzieści osiem.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Naprawdę? Miło to słyszeć. Chociaż powinnaś dobrze się zastanowić. Kiedy ty w wieku czterdziestu pięciu lat będziesz w kwiecie wieku, ja będę ponadsześćdziesięcioletnim starcem. Jest też jeszcze trudniejszy problem: czy to uczciwe, abym zabierał cię rodzinie. A gdybyśmy mieli się pobrać...

„Gdybyśmy mieli się pobrać...” Werbel deszczu zdawał się zwiastować jakiś nagły kryzys.

– Gdybyśmy mieli się pobrać – ciągnął Arthur – musiałbym cię prosić o opuszczenie Sheffield. Będę z tobą szczerzy: nie znoszę prowincji. A nie wiem, czy wolno mi wymagać od tak młodej osóбки, by zostawiła wszystko, co bliskie i znajome. Oczywiście będziesz odwiedzać rodzinę, oni także mogą u nas gościć, jak długo zechcesz. Ale to nie to samo, co codzienna bliskość, do której przywykłaś.

– Niekiedy tęsknię do samotności. Czasem głowa mi pęka od tych wszystkich nowin i kłótni.

– Nie będziesz jednak sama, tylko ze mną.

– Ty jesteś częścią mnie, Arthurze. – Nareszcie mogła to powiedzieć. Cóż za cudowne wyzwolenie! – Kiedy jestem z tobą, bardziej lubię siebie.

Otworzył szklane drzwi, żeby wpuścić trochę chłodniejszego powietrza.

– Najdroższa Marianne – odezwał się miękko – już wtedy, przy pierwszym spotkaniu poczułem między nami dziwną więź. A potem... chyba się wystraszyłem. Bałem się, że historia może się powtórzyć. Bo widzisz, dawno temu, jako bardzo młody człowiek, byłem zaręczony. Przeszedłem przez całą tę procedurę dwóch londyńskich sezonów, aż wreszcie poznałem pewną pannę i poprosiłem ją o rękę. Dwa tygodnie przed ślubem zerwała zaręczyny, bo spotkała kogoś innego. Powiedziałaś mi kiedyś, że podejmowanie decyzji przychodzi ci z trudem, że zawsze widzisz we wszystkim dwie

strony. Nie chcę namawiać cię do małżeństwa, jeśli masz wątpliwości. Mogę ofiarować ci wszelkie dobra, jakie da się kupić za pieniądze, a także, być może, pełniejsze, bogatsze życie niż to, jakie masz teraz. Mogę zapewnić ci piękny dom, interesujące towarzystwo, podróże... Ale może to nie jest to, na czym ci zależy, a w takim wypadku wolałbym dowiedzieć się o tym w tej chwili. Pogodzę się z twoją decyzją, odejdę i nigdy więcej nie będę cię niepokoił.

– Podróże, towarzystwo, domy... Nic mnie to nie obchodzi. Powiedz mi: kochałeś ją? Tę dziewczynę, z którą o mało się nie ożeniłeś. Kochałeś ją?

– Wtedy myślałem, że tak. – Ujął jej twarz w dłonie. – Ale się myliłem. To ciebie kocham, Marianne. Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak ciebie.

Pławiła się w szczęściu, była pijana ze szczęścia. A jednak odsunęła się od niego, nagle świadoma pułapek, jakie tworzy miłość, możliwości bólu, jaki z sobą niesie.

– Nigdy mnie nie opuszczaj – odezwała się z mocą. – Musisz mi to przyrzec, rozumiesz? Nigdy, przenigdy!

Wyjął z kieszeni pudełeczko z błękitnej skórki. Kiedy je otworzył, zobaczyła pierścionek z brylantem.

– Zawsze i na wieki – powiedział, wsuwając jej klejnot na palec. – Zawsze i na wieki będę cię kochał, Marianne. W razie potrzeby, nawet i po śmierci.

Kiedy ją całował, deszcz tłukł o dach, ściekając grubymi kroplami po szybach oranżerii.

Iris postanowiła, że zmusi Asha, by z nią zatańczył. To nie fair z jego strony, że ją tak traktuje. Poklepała go po ramieniu.

– Nie możesz przychodzić na nasze przyjęcie i lekceważyć nas wszystkich. To niegrzeczne.

– Wcale was nie lekceważę. Rozmawiałem z twoją matką i z Marianne, i z cioteczną babką Hannah. Aha, nawet z Jamesem. Próbował wyłudzić ode mnie trochę forsy, niestety nie mogłem mu służyć. A gdzie się podziała Eva? Nikt mi nie chce powiedzieć.

– Jest niedysponowana. Przynajmniej tak brzmi oficjalna wersja, bo naprawdę to popadła w niełaskę. Obcięła włosy... wygląda jak ostrzyżone jagnię. Ojciec odesłał ją na górę. – Rzuciła mu ostre spojrzenie. – Chcesz powiedzieć, że tylko mnie ignorujesz?

Zamrugnął oczami.

– Byłaś dość zajęta.

– Ale już nie jestem. W gruncie rzeczy zachowałam ten taniec dla ciebie.

– Naprawdę nie mam nastroju do tańca.

Włosy miał zwichrzone i mokre od deszczu. Musiał dość długo spacerować po ogrodzie. W jego oczach pojawiły się twarde błyski, jakich nigdy dotąd u niego nie widziała. Powinno ją to ostrzec, a jednak zaśmiała się tylko.

– Zły humor to żaden powód, Ash. Rozkazuję ci ze mną zatańczyć!

W pierwszej chwili myślała, że jej odmówi, co byłoby niewybaczalne. Ale w końcu poprowadził ją na parkiet.

– Nie byłam pewna, czy ty w ogóle umiesz tańczyć.
– Mam wiele ukrytych talentów.
– Nigdy w to nie wątpiłam.
– Na przykład wydedukowałem, po co to wszystko. Bo przecież ci ludzie wcale się dobrze nie bawią...

– Nie wiem, jak możesz tak mówić. Wszystko idzie doskonale...

Popatrzył na nią uważnie. Miał w oczach wyraz chłodnej kalkulacji, ale Iris uznała, że nic ją to nie obchodzi.

– Panowie – rzekł – zawierają umowy, a panie wchodzą w sojusze. To nie ma nic wspólnego z przyjemnością, tu chodzi o pieniądze. I o władzę.

Okrażali właśnie narożnik; prowadził ją znakomicie, a jednak Iris, która uwielbiała tańczyć, nie bawiła się tak dobrze, jak tego oczekiwała. Coś w tonie głosu Asha, w wyrazie jego oczu budziło w niej niepokój.

– Wydajecie kolacje z ośmiu dań, ponieważ macie dość pieniędzy – ciągnął. – Stać was na jedzenie, wino i służbę. Łatwo wam to przychodzi. Podobnie jak te stroje.

– Stroje? Czyżby ci się nie podobała moja suknia?

– Nie wiem. Prawdę rzekłszy, nie zastanawiałem się nad tym. – Jego spojrzenie ześliznęło się po niej od czubka głowy do stóp. – Chyba wolałem cię w tym, co miałaś na sobie podczas pikniku.

– Przecież nie mogę włożyć na wieczór zwykłego muślinu!

– Nosisz brylanty i strusie pióra, ponieważ możesz sobie na nie pozwolić. Wyglądałabyś ładniej w czymś prostszym, ale nie wybrałaś swojej kreacji dla jej piękna, tylko żeby pokazać, ile jesteś warta. A te kwiaty na twojej sukni... – Przesunął palcem po jedwabnych różach przszytych przy dekolcie do stanika. – Wiesz, ile płacą kobietom, które je robią?

Zaczynał ją denerwować.

– Nie mam bladego pojęcia.

– One pracują po czternaście godzin na dobę. Za dwanaście tuzinów... czyli za sto czterdzieści cztery kwiatki dostają szylinga i trzy pensy.

– Wiem, ile to jest dwanaście tuzinów – odparła sztywno. – I nie ja decyduję o zarobkach. Oczywiście, to bardzo smutne, ale co ja jestem temu winna?

– Decydują o tym tacy jak twój ojciec – zauważył z nagłym rozgoryczeniem Ash.

– Więc tym bardziej nie możesz mnie obwiniać. Nie mam na własność ani jednego pensa, wiesz? Naprawdę nie jesteśmy żadnymi dziedziczkami.

Znów to taksujące spojrzenie.

– Są inne rodzaje władzy, czyż nie? – Zobaczyła, że skierował wzrok na zebranych przy kominku Catherwoodów, Oswalda Hutchinsona i Toma Summerbee. – Na przykład te twoje szczeniaki... Spójrz tylko na nich. Czekają z wywieszonymi językami na każde twoje uprzejmiejsze słowo.

– Nie jesteś dziś specjalnie miły.

– Ani ty specjalnie uprzejma. – Zatrzymał się tak nagle, że aż się z nim zderzyła. – Jeśli ci na nich nie zależy, powinnaś ich o tym poinformować.

– Co za brednie! – wykrzyknęła, doprowadzona do furii. – Przecież oni nie traktują

tego na serio. Wiedzą, że to tylko gra.

– Nie dla Toma Summerbee.

Oblała się rumieńcem.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Bo przyczepił się do mnie w korytarzu i zmusił, żebym wypił z nim butelkę szampana. A jak już miał mocno w czubie, wyznał, co naprawdę do ciebie czuje.

Ash także wypił za dużo. No tak – wypił za dużo! Stąd te nadmiernie błyszczące oczy i ledwie ukrywany gniew. Zaskoczyło ją to; nigdy by nie pomyślała, że tak źle znosi alkohol.

Muzyka umilkła, taniec dobiegł końca.

– Mylisz się – odparła zimno, zanim od niego odeszła. – Ty po prostu nie jesteś przyzwyczajony do takich rzeczy. Zbyt długo tkwiłeś w tych zmurszałych szkołach i college'ach. Mówiłam ci, że to tylko gra.

A jednak ku największej irytacji Iris, Tom Summerbee przyłapał ją, kiedy wyszła z sali i uparł się, że muszą porozmawiać na osobności. Poszli do oranżerii i tam, wśród palm i fikusów, ukląkł przed nią, błagając, by została jego żoną.

Wymamrotała grzecznościową formułkę – że wielki to dla niej zaszczyt, ale niestety nie może się zgodzić – sądząc, że zakończy w ten sposób sprawę i będzie mogła wrócić do sali na ostatniego walca. Może też (ale tylko: może) nie oprze się pokusie i opowie o Tomie Geraldowi. Wiedziała, że ma zdolności mimiczne i potrafi go rozśmieszyć.

Nagle Tom zerwał się na nogi i zasypał ją pocałunkami. Był zaskakująco silny i znacznie bardziej stanowczy, niż mogła sądzić z jego potulnej miny. W końcu musiała go pchnąć tak, że aż stracił równowagę, wpadł na doniczkę z rośliną i przewrócił ją, zasypując podłogę ziemią i liśćmi.

– Doprawdy, panie Summerbee, nie spodziewałam się tego po panu – skarciła go najbardziej druzgocącym tonem.

Zamiast przeprosić i posprzątać, usiadł na posadzce i ukrył twarz w dłoniach.

– Ale ja cię kocham, Iris! – zawołał, łkając.

– To nieprawda – odparła cierpko. – Nie ośmieszaj się, proszę.

Spojrzał na nią łzawo.

– Owszem, prawda. I chcę się z tobą ożenić. Myślałem, że czujesz do mnie to samo. I dlatego chciałaś, żebym z tobą zatańczył.

Guzik odpadł od jej rękawiczki, a obrębek sukni był zabrudzony.

– Oczywiście, że za ciebie nie wyjdę – oświadczyła lodowatym tonem. – Jak mogłeś w ogóle wpaść na taki pomysł?

Tom wzdrygnął się, a potem na chwiejnych nogach niemal wybiegł z oranżerii, pozostawiając Iris z zadaniem wyprostowania fikusa beniamina. Jakie to głupie i irytujące, że Summerbee nic nie zrozumiał i zwykły flirt wziął za wyznanie miłości. To przecież tylko gra, jak mówiła Ashowi, a urządzając tę scenę, Tom po prostu złamał obowiązujące zasady.

Przez całą noc padało; następnego ranka grube krople deszczu skapywały monotonicznie z rynny i dachu. Po przyjęciu atmosfera w Summerleigh znów zrobiła się ciężka. Lilian wróciła do łóżka, Joshua wycofał się w zacisze gabinetu, a siostry szukały azylu w swoich wypróbowanych kryjówkach: na podokiennej kanapie, w letnim pawilonie i w oranżerii, gdzie – jak się wydawało Marianne – wśród liści i kwiatów wciąż jeszcze migotały iskry wykrzesane przez wypadki poprzedniego wieczoru.

Po nabożeństwie cioteczna babka Hannah poprosiła bratanka o chwilę rozmowy. Mieszkała w tym domu od piętnastu lat, to znaczy od dnia śmierci swego brata, ojca Joshuy. Jej sypialnia i mikroskopijny salonik znajdowały się na parterze, ponieważ Hannah miała trudności z chodzeniem po schodach. W pokojach tych nagromadziło się przez lata mnóstwo pamiątek po kilku pokoleniach Maclise'ów. Akwarela, należąca kiedyś do ojca Joshuy, wciśnięta była między dagerotyp jego dziadka (wytworne bokobrody, taksujące, prezbiteriańskie spojrzenie), a szkic malutkiej Winnie wykonany przez Evę. Lalka dawno zmarłej prababki siedziała obok mosiężnego świecznika i porcelanowego pasterza.

Hannah poczęstowała bratanka odrobiną sherry w kieliszku wielkości naparstka, po czym bez wstępów przeszła do rzeczy:

– Chcę pomówić o Evie.

Joshua prychnął gniewnie, ale Hannah to nie zraziło.

– Mój drogi, Eva jest bardzo nieszczęśliwa.

– Nieszczęśliwa?! Spodziewam się! Po jej wczorajszym zachowaniu...

– To prawda, zachowała się bardzo nagannie. Ale może warto zastanowić się nad przyczyną?

– Przyczyna jest oczywista: to wina Lilian. Zaniedbała nasze dziewczęta, tak jest, ciociu, zaniedbała. Przez ostatnich jedenaście lat większość czasu spędza w łóżku albo próbuje kurować się na kontynencie. Dziewczęta potrzebują matki, a moje jej nie mają. Dlatego są teraz takie niedobre.

– To nieprawda, Joshua – zaprotestowała łagodnie Hannah.

– Och, Marianne i Clemmie rzeczywiście są dość potulne. Nie sprawiają dużych kłopotów. Ale Eva i Iris...

– Mój drogi, Eva jest po prostu uparta. A co do Iris...

– Iris to kokietka. Widziałem wczoraj, jak wodziła na pasku z pół tuzina adoratorów. Już się o niej mówi... jakaś stara kłępa postarała się, żeby plotka do mnie dotarła. Iris bywa w towarzystwie od czterech lat, jej suknie kosztują majątek, a wciąż nie udało się jej znaleźć męża. Jak się nie będzie pilnować, to zostanie na lodzie!

– Iris ma temperament – zauważyła taktownie Hannah.

– Temperament! – prychnął Joshua. – Też mi słowo. A co do Evy... Ona jest po prostu rozpuszczona. Niewdzięczna.

– Woli iść własną drogą. Jak ty, Joshua.

Westchnął.

– Nie chcę jej unieszczęśliwiać. Martwi mnie, że jest taka mizerna. Od tygodni prawie się do mnie nie odzywa. Nie wiedziałem, że może być taka... taka... nieugięta. – Wypił sherry jednym haustem i dodał: – Zawsze chciałem dla nich jak najlepiej.

– Wiem, mój drogi.

– Ty robiłaś dla nich, co mogłaś. I pani Catherwood była taka uprzejma, ale ja się boję, że one chodzą samopas. Bóg raczy wiedzieć, co się z nimi stanie. – Joshua przesunął ręką po siwych włosach i nagle zapłonął gniewem: – No a James?! Ten chłopak jest rozrzutny, nie ma żadnych hamulców. Wszyscy mężczyźni lubią się czasem napić czy zabawić z ładną dziewczyną, ale mój syn nie wie, kiedy przestać. On musi poznać wartość pieniędzy. Problem polega na tym, że nie musiał o nie walczyć tak jak ja.

Hannah poklepała go po dłoni.

– Daj mu trochę czasu. Każdy młody człowiek ma prawo się wyszumieć. Ty także miałaś taką możliwość, kiedy ci na tym zależało.

Ale synowie muszą niebawem przejąć interes, który ich ojciec budował tak długo i z takim wysiłkiem. Narzędzia Maclise'a – pilniki, piły, kosy, części zamienne do sprzętu rolniczego – rozsyłano statkami po całym świecie. Joshua potrzebował synów z dobrymi głowami do interesów i córek, które poprzez odpowiednie małżeństwa, najlepiej z potomkami wpływowych sheffieldzkich rodzin, pomogłyby mu osiągnąć porozumienie z innymi przemysłowcami. Czasem martwił się, że świat się zmienia, a on za nim nie nadąża. Zarówno Ameryka, jak i Niemcy produkują teraz dobrą stal po niższych kosztach niż Brytyjczycy. Poglądy polityczne Joshuy, umiarkowanie paternalistyczne skrzydło konserwatyzmu, wychodziły z mody, zagrożone rewolucyjnymi impulsami różnych podżegaczy i anarchistów. Wzrost znaczenia związków zawodowych sprawiał mu ból; nie widział sensu tego ruchu. Każdego ze swych robotników znał z nazwiska, nie stawiał im nierozsądnych wymagań, nie obcinał – jak inni – zapłaty z powodu spadku popytu, a mimo to był świadom ich rosnącego niezadowolenia. Nawet kobiety nie wydawały się już szczęśliwe, zmieniły się w sekutnice, które paraliżowały mityngi polityczne i przykuwały się do barierek. Stare antagonizmy dochodziły do głosu zarówno w Irlandii, jak i na kontynencie. Robotnicy bez najmniejszych oporów urządzali strajki, by zmusić pracodawców do przyjęcia ich żądań. Nie mają już cienia respektu, myślał z goryczą Joshua, ani poczucia odpowiedzialności. Napięta atmosfera budziła w nim niepokój; jego poglądy i moralność miały coraz mniejsze szanse w tym odmienionym świecie.

Hannah przerwała mu te ponure myśli:

– Mam dla ciebie pewną propozycję, Joshua. Chciałabym opłacić Evie naukę w szkole artystycznej. Nie, nie, najpierw mnie wysłuchaj, proszę. Mam trochę własnych pieniędzy i nie mogę wymyślić nic innego, na co miałabym je spożytkować.

– To nie o pieniądze pokłóciłem się z Evą, tylko o cały ten absurdalny pomysł. Czemu nie może normalnie wyjść za mąż jak inne rozsądne dziewczęta?

– Bo nie może – odparła sucho Hannah. – A jeśli zmusisz ją do wybrania drogi niezgodnej z jej naturą, to ją zniszczysz.

Zapadła cisza. Po chwili Joshua wymamrotał niechętnie:

– Wcale tego nie pragnę. Dobrze o tym wiesz.

– W takim razie musisz schować dumę do kieszeni i powiedzieć Evie, że się myliłaś.

– Dlaczego to wszystko musi być takie trudne? – burknął pod nosem. – Dla mężczyzny dom powinien być azylem, a ostatnio oddycham z ulgą, kiedy przekraczam

próg biura.

– To oczywiste, mój drogi. Ty kochasz swoją pracę.

Sarkazm w jej tonie zmusił go do namysłu. Mimo narzekań na długie godziny spędzane w pracy, Joshua naprawdę kochał kwaśny zapach koksu i łunę palenisk, rozumiał znaczenie przemysłu i jego osiągnięć. Pod koniec każdego dnia oglądał owoce swojego trudu. Uwielbiał widok stalowych sztab stygnących w hali pieców, skrzyń z piłami i częściami maszyn w magazynie – każda sztuka oddzielnie zawinięta w pakowy papier. Musiał robić coś konkretnego, namacalnego, co dałoby się wziąć do ręki.

A może, dumał dalej, Eva także potrzebuje tego samego? Dziewczyna oczywiście nie mogłaby wstąpić w jego ślady w J. Maclise & Sons, ale czyż malarstwo nie dawało jej takiego samego poczucia satysfakcji i sukcesu?

– Hmm... – mruknął, wierząc się niespokojnie na śliskiej safianowej kanapce. Pokój był za bardzo nagrany, zbyt ciasny, przeładowany. Joshua oddałby duszę za porządnego drinka. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem ciotki. – Ale... do Londynu? Sama?! Przecież wszystko może się jej przydarzyć!

– Nonsens – powiedziała z mocą Hannah. – Będzie idealnie bezpieczna. Mam jeszcze jedną propozycję. Eva mogłaby zamieszkać u Sarah Wilde. Chyba pamiętasz Sarah?

Joshua przypomniał sobie wizytę, jaką dawno temu złożył przyjaciółce Hannah w londyńskiej dzielnicy Bloomsbury. Pełno tam było klatek z ptakami i krzeseł zbyt małych i niewygodnych dla mężczyzny słusznego wzrostu.

– Sarah zgodziła się przyjąć ją do siebie. Lubi towarzystwo, a przy okazji będzie miała oko na Evę. – Hannah utkwiała w bratanku wyblakłe niebieskie oczy. – No więc? Co ty na to?

Niechętnie wyraził zgodę. Kiedy niedługo po tej rozmowie zakomunikował Evie swą decyzję, zaskoczyło go, że córka nie rzuciła mu się na szyję, jak oczekiwał, tylko ograniczyła się do kilku grzecznych zdań i szybkiego cmoknięcia w policzek.

Gdy już został sam w gabinecie, nalał sobie szkockiej i wypił ją jednym haustem. Potem odstawił szklankę, podparł głowę rękami i głośno jęknął. Wiedział, że ostatnio bywał roztargniony i z trudem koncentrował myśli na codziennych sprawach. Powodem tego stanu, powodem, z którego nie mógłby się nikomu zwierzyć, była Katharine Carver.

Stanley Carver, jej nieżyjący mąż, był wieloletnim znajomym Joshuy, a zarazem właścicielem fabryczki w Attercliffe, produkującej wiertła i koła zębate. Niewiele ponad rok temu zmarł na atak serca, zostawiając Katharine z dwiema młodymi córkami i – jak podejrzewał Joshua – niezbyt wielką gotówką. Jako przyjaciel rodziny, Joshua taktownie zaproponował pomoc, którą pani Carver odrzuciła. Z początku odwiedzał ją z poczucia obowiązku, ale potem pojawiły się inne powody. Chociaż zawsze uważał Katharine Carver za przystojną kobietę, dopiero po śmierci Stanleya zaczęły go przyciągać jej bujne kasztanowe włosy, słuszny wzrost i wyprostowana sylwetka. Witalność aż z niej kipiała, stanowiąc ostry kontrast z wieczną chorobą bladej, omdlewającej Lilian.

Zaczął jej składać regularne wizyty – mniej więcej co dwa tygodnie. Katharine ani go specjalnie nie zachęcała, ani nie protestowała. Często w ciągu dnia prześladowały go jej rysy. Czegoś podobnego nie czuł od lat, od czasu gdy zalecał się do Lilian. Teraz jakby

zrzucał z siebie troski i żale dorosłego życia. Nikomu nie wspominał o tych wizytach, bo też nikogo nie powinny one obchodzić. To była wyłącznie jego sprawa. Nikogo nie krzywdził, zachowując w życzliwej pamięci wdowę po starym przyjacielu. I takie też pozostawały ich stosunki: właśnie przyjacielskie.

Aż do owej pamiętnej wizyty trzy miesiące temu. Joshua wpadł pewnego wieczoru i zastał panią Carver w zmywalni. Podłoga była zalana wodą. Podobno pękła rura. Katharine posłała pokojówkę po hydraulika; kucharka pośliznęła się na mokrych kafelkach, stłukła sobie kręgosłup i teraz leżała na górze.

W oparach sody i lizolu Joshua sięgnął pod zlew i zakręcił dopływ wody. Kiedy wstał, pani domu wykrzyknęła ze zgrozą: „Joshua, twój płaszcz!” i rzuciła się do usuwania kurzu. W następnej chwili trzymał ją w ramionach i całował. Czuł się dziwnie, a zarazem cudownie, po tak długim czasie całując kobietę. Ona zaś nie tylko go nie odepchnęła, ale odwzajemniała pocałunki miękkimi, spragnionymi ustami.

Kochali się tam na miejscu, w kuchni. Szaleństwo: kucharka na górze, pokojówka z hydraulikiem spodziewani lada chwila... Nie, żeby zabrało mu to dużo czasu – po wielu latach bez kobiety był zanadto wygłodniały, by okazać więcej finezji. Kiedy hydraulik zrobił swoje i służące się wycofały, udali się na górę i tam, w wielkim dębowym łożu, które Katharine dzieliła kiedyś z mężem, Joshua wziął ją znowu. Tym razem niczego nie przyspieszał; dał jej rozkosz, co napełniło go prawdziwą dumą.

Wypadki tego wieczoru przeobraziły go – poczuł się znowu młody i silny. A jednak ten stan uniesienia zawsze był skażony poczuciem winy; Joshua wciąż kochał Lilian, nigdy nie przestał jej kochać. Chociaż zbliżała się już do pięćdziesiątki i wydała na świat siedmioro dzieci, dla niego pozostała nadal ową jasnowłosą, szczupłą dziewczyną, w której się kiedyś zakochał. Lilian jednak nie dzieliła z nim łóżka od narodzin Philipa, obecnie jedenastoletniego chłopca. Joshua nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że nie ma już ochoty uprawiać z żoną seksu. Nie stało się to w jakimś konkretnym momencie, ale wskutek stopniowego i wyniszczającego psychicznie procesu. Zakończenie tej strony życia – bardziej niż siwe włosy czy większy obwód w pasie – sprawiło, że poczuł się staro. W wieku pięćdziesięciu trzech lat poraziła go myśl, że może żyć jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat i nie dotknąć więcej kobiety.

Mógł oczywiście zapłacić za seks. Istniały w Sheffield boczne uliczki, gdzie z łatwością można by dokonać takiej transakcji. Czasami, kiedy wieczorem wracał pieszo do domu, przychodziło mu do głowy, by nawiązać kontakt z jedną z tych wymalowanych, jarmarcznie odzianych istot, które wystawały na progach sklepów. A jednak tego nie zrobił. Młode dziewczęta nasuwały mu myśl o córkach, a w oczach starszych kobiet widział znużenie i otepienie. Miał dość wyobraźni, by wiedzieć, że po tego rodzaju stosunku będzie czuł tylko obrzydzenie do siebie, a poza tym nie zależało mu wyłącznie na seksie. Tak samo jak fizycznego odprężenia potrzebował uczucia albo przynajmniej świadomości, że został w pewnym stopniu wybrany.

A Katharine go wybrała i Joshua uważał to za prawdziwy cud. Wystarczyło, że zamknął oczy i już ją widział – wszystkie fałdki i załamki jej białej skóry, miękkie, okrągłe ramiona, wypukłość brzucha. Czasem na ulicy czy w wagonie kolejowym wydawało mu się, że czuje jej perfumy i wtedy wracał, wypatrując jej w tłumie. Siedząc

samotnie w ponurym wnętrzu rozklekotanej dorożki, przesuwając kciukiem po czubkach palców, bo przywodziło mu to na myśl jej ponętne ciało.

Wiedział, że to, co robi, jest złe, że krzywdzi Lilian, a łamiąc przysięgę małżeńską, obraża samego Boga. Ciągłe na nowo postanawiał zakończyć ten romans, ale nigdy mu się to nie udało. Czy to bliskość Katharine odsuwała na bok jego dobre chęci? Czy raczej dystans dzielący go od żony, jej nietykalność, która każdego dnia przypominała mu o samotności, jaką odczuwał we własnym domu?

Zanim nalał sobie następnego drinka, zapukano do drzwi i ukazała się pokojówka.

– Pan Leighton chciałby z panem pomówić.

Joshua wstrząsnął się, jakby chciał wypchnąć z głowy wszelką myśl o Katharine. Poleciał pokojówce wprowadzić gościa.

Po tym, jak ojciec oznajmił rodzinie, że wyraził zgodę na ślub Arthura Leightona z Marianne, rozgorzała długa, podniecająca dyskusja na temat daty wesela, druhen, wyprawy. Iris wymknęła się w końcu do ogrodu, przekonana, że nikt nie zwróci uwagi na jej nieobecność.

Deszcz przestał padać, ale ziemia wciąż pozostawała wilgotna. Iris usiadła na huśtawce. Bolała ją głowa, właściwie bolała ją od samego rana i Iris w ogóle czuła się podle, a poza tym się bała. Marianne wychodzi za mąż, Eva wyjeżdża do szkoły artystycznej... Obserwując krople deszczu, które zostawiały na jej różowej sukni ciemne kropki, uświadomiła sobie, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazła. Zbyt długo zwlekała. Jej uroda zaczynała już blaknąć. Skończy jako niezamężna córka, uwięziona w domu wieczna pielęgniarzka matki.

Nigdy, powiedziała sobie z mocą. Wyjdzie za mąż – i to szybko! Za długo trwały te grymasy.

Usłyszała skrzypienie furki, a potem odgłos kroków na trawie. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła Asha. Wspomnienia poprzedniego wieczoru zalegały pod jej skórą niczym siniaki, ale mężnie wysunęła podbródek i zapytała:

– Przyszedłeś mnie przeprosić?

Szedł do niej przez trawnik.

– Przyszedłem się pożegnać.

– Pożegnać?

– Postanowiłem wrócić do Cambridge.

Kiedyś, będąc dziećmi, kąpali się w morzu koło Scarborough. Nagle Iris za bardzo oddaliła się od brzegu i uderzenie fali zważyło ją z nóg. Teraz czuła się podobnie: zszokowana i bez tchu.

– Jutro z samego rana mam pociąg. Ale nie mógłbym wyjechać bez pożegnania.

– Nie możesz wyjechać! – krzyknęła bez zastanowienia.

– Muszę.

Miał w oczach te same stalowe błyski, co poprzedniego wieczoru, ale Iris brnęła dalej:

– Ash! Nie wolno ci jechać! Co ja zrobię bez ciebie?

– Och, dasz sobie radę, Iris. Jesteś z tych, co zawsze znajdują jakieś wyjście.

– Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

– Nic.

– Masz mnie za egoistkę, tak? Uważasz, że myślę tylko o sobie! – Kiedy zeskakiwała z huśtawki, jedwabny szal ześliznął jej się z kolan na mokrą trawę. Zanim zdążyła po niego sięgnąć, zrozumiała, co powinna zrobić. Tym razem nie wypuści z rąk okazji. Może to jej ostatnia szansa.

– Cóż, to nieprawda. Zależy mi na innych, na przykład na tobie, Ash.

– Bardzo jesteś uprzejma.

– Mówię serio. Myślisz, że jestem bez serca. Ale mogę się zmienić. Wiem, że nie zawsze zgadzaliśmy się z sobą...

– Może tego właśnie będzie mi brakować. – Popatrzył na nią przeciągle. – Ten czas, który spędziłem z wami wszystkimi... to było... inne. Odmienne niż wszystko, co dotychczas robiłem.

– A odpowiadała ci chociaż ta odmiana?

– Przeważnie tak.

– Mimo że się sprzeczałyśmy?

– No wiesz, nie jesteśmy przecież jednakowi, prawda? Sama tak powiedziałaś. Ty raczej unikasz nieprzyjemnych sytuacji w życiu, ja natomiast... – Urwał i wziął głęboki oddech. – W każdym razie, jak mówiłem, jutro wyjeżdżam.

– Moim zdaniem to błąd – odparła stanowczo. – Mamy z sobą wiele wspólnego. Te same rzeczy nas śmieją, te same nudzą. – W zanikającym świetle dnia zauważyła po raz pierwszy sińce pod jego oczami. – Wyglądasz na zmęczonego, Ash.

– Kiepsko spałem.

– Biedaku! – szepnęła miękko.

Przytuliła do siebie jego głowę. Wydawało się, że przyniosło mu to ulgę. Przesunęła palcami po jego gęstej, jasnej czuprynie. Między kołnierzykiem a nasadą włosów widniał pasek odsłoniętej skóry; ucałowała Asha w to miejsce, a on znieruchomiał. Podniósł głowę i musnął ustami wargi dziewczyny, potem zaś nagle wyprostował się i cofnął.

– Iris...

– To nie ma znaczenia – powiedziała szybko.

– Oczywiście, że ma. Poprzedniej nocy brzydsko się zachowałem. Nie przyszedłem tu, żeby pogłębić swoją hańbę.

– Mam na myśli... – Zaschło jej w ustach, bo nagle się przelękała. Ponieważ jednak nigdy się nie wzdragała przed wytkniętym celem, mężnie brnęła dalej: – To znaczy, nie miałyby... gdybyśmy byli zaręczeni.

– Zaręczeni? – Patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc.

– Czy to taka straszna perspektywa?

– Iris, ja nie myślałam...

– Nie? – Wlepiała w niego zdumiony wzrok. – Nigdy? No wiesz...?

– Nigdy – odparł, wyraźnie kończąc temat.

Poczuła chłód w żołądku.

– Ależ... jak to? – szepnęła. – Przecież z pewnością... Tak często przychodziłeś... Siedziałeś do późna... A wczoraj tańczyliśmy...

– To ty mnie poprosiłaś do tańca.

– Tak, to prawda. – Głos jej drżał. Poczuła, że coś się w niej obrywa, rozpoczynając długi lot w czarną otchłań. Usłyszała swój własny niedowierzający głos: – Przecież musi ci na mnie zależeć!

– Owszem, zależy mi na tobie.

– Ale nie w taki sposób?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Iris, o czym my właściwie mówimy? Chcę, żeby było lepiej! Chcę czytać dobre książki, dyskutować o wielkich sprawach, zrozumieć świat!

– A ja nie?

– Nie do tego jesteście stworzone, prawda? – Potrząsnął gwałtownie głową i dodał znacznie łagodniej: – To nic złego, że chcesz, by cię podziwiano. Zaslugujesz na to, Iris, jesteś piękną. Z pewnością mnóstwo mężczyzn znalazłoby idealne szczęście przy dziewczynie, którą interesuje wyłącznie... no, na przykład kolor nowej sukni.

– Ale nie ty? – szepnęła przez zaciśnięte gardło.

Ash odwrócił wzrok.

– Bardzo mi przykro.

W głowie jej huczało, ale wyprostowała się dumnie i powiedziała:

– Nie musisz się nade mną użalać. Nie znoszę litości.

Chciał się odezwać, ale mu nie pozwoliła.

– Chyba musisz już iść.

– Iris...

– Proszę cię, idź już.

Nie chciała odprowadzać go wzrokiem, więc odwróciła głowę i patrzyła w ciemniejszy ogród, zaciskając z całej siły pięści, żeby się nie rozplakać. Dopiero kiedy była pewna, że już sobie poszedł, rozwarła palce i przyjrzała się wnętrzu dłoni. Obok czerwonych półksiężyców od paznokci widniały tam nadal białe blizny po zadrapaniach sprzed dwóch miesięcy, kiedy to spadła z roweru. Najwidoczniej skóra nie chciała się porządnie zagoić...

Iris wpadła w taką panikę, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Co teraz? Co ma z sobą zrobić? Dokąd iść? Ash jej nie chce, właściwie to nikt jej nie chce. Marianne i Eva opuszczą dom, a ona zostanie w Summerleigh jako jedyna dorosła córka. Zmarnuje resztki młodości, prowadząc dom i biegając na posyłki dla matki.

Nagle przypomniała sobie, co mówiła Charlotte: „Ty też powinnaś pomyśleć o pielęgniarstwie...”.

Pewnego ranka, kiedy Clemency układała listy matki, żeby je zanieść na pocztę, Lilian nagle powiedziała:

– Oczywiście wszystko będzie inaczej, kiedy moje trzy córki opuszczą dom.

– Ale nadal będziesz miała mnie – przypomniała nieśmiało Clemency.

– Naprawdę, kochanie? – Lilian uśmiechnęła się do córki. – Jesteś taką dobrą dziewczyną, Clemmie. Tak nadzwyczajnie mi pomagasz!

Clemency aż poróżowiła.

– Ja?

– Oczywiście! Masz w sobie coś... coś kojącego.

Zawsze jej się wydawało, że matka woli Marianne, poczuła się więc zarówno pochlebiona, jak i wzruszona.

– Zrobiłabym dla ciebie wszystko, mamó! – wykrzyknęła impulsywnie.

– Naprawdę, kochanie? Więc mnie nie opuścisz?

– Nigdy.

– Przecież nie miałabym do ciebie pretensji. Wiem, jaka czasem jestem męcząca – westchnęła Lilian.

– To nieprawda – zaprotestowała Clemency.

– Miło, że tak mówisz, ale młode dziewczęta nie powinny przesiadywać w pokojach chorych, kiedy mogłyby się bawić. – Lilian przestawiała słóiczki i flakoniki na toaletce. – A poza tym wiem, jak lubisz swoją szkołę.

– Szkołę? – zmieszała się Clemency.

Drobna rączka Lilian pochwyciła nadgarstek córki.

– To straszne, że muszę cię o to prosić. Przedtem jakoś brakowało mi odwagi, ale co mam począć, kiedy zanosi się, że po całych dniach będę tu sama, bez żadnej z córek. – Ucisk na nadgarstek Clemency wzmacnił się z zadziwiającą siłą. – Nie chcę cię do niczego zmuszać, kochanie. Doskonale rozumiem, jeśli nie zechcesz zrezygnować ze szkoły, żeby dotrzymać towarzystwa chorej matce.

– Zrezygnować ze szkoły... – wyszeptwała Clemency.

Lilian mówiła dalej, jak gdyby tamte słowa w ogóle nie wyszły z jej ust:

– Jestem pewna, że jakoś sobie poradzę. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, to naprzykrzać się komuś. Zresztą, może Hannah... – Zmarszczyła brwi. – Nie. Nie wypada mi o nic prosić biednej Hannah. Nie w jej wieku. O Boże, jaki to wstyd! Czy naprawdę musiałam tak nisko upaść, żeby prosić własną córkę o opiekę kosztem szkoły? Czasem myślę, że... – Głos jej się załamał i oczy pociemniały.

Clemency wpadła w panikę.

– Że co, mamó?

– Czasem myślę – dokończyła cicho Lilian – że lepiej byłoby dla wszystkich, gdybym umarła.

W tym momencie Clemency znienawidziła się za szok, jakiego doznała, kiedy matka wspomniała o jej ewentualnej rezygnacji ze szkoły.

– Nie wolno ci tak mówić! – krzyknęła, rzucając się do stóp Lilian i ściskając ją za ręce – takie drobne i kruche w jej dużych, silnych dłoniach. – Oczywiście, że zrezygnuję, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś tylko poczuła się lepiej. Obiecuję! Z radością zostanę w domu!

Lilian pogłaskała ją po twarzy.

– Będzie nam razem cudownie, prawda? Po prostu nadzwyczajnie, zobaczysz.

Siedząc wieczorem w ogrodzie, Clemency wciąż jeszcze wstydziła się tego momentu wahania. Skoro wszystkie siostry miały opuścić dom, to oczywiście matka nie miała wyboru – musiała ją poprosić o przejęcie pałeczki.

Nie będzie tak źle, próbowała się pocieszać. Przyjaciółki mogłyby ją odwiedzać po południu, po drodze do domu, a w środy może jej także uda się wyrwać do szkoły na mecz hokejowy.

Jakiś głos wykrzykiwał jej imię. Przez trawnik zbliżał się do niej James, wyraźnie czymś podekscytowany.

– Clemmie, słyszałaś nowinę? Jakiś gość, Francuz, przeleciał aeroplanem przez Kanał! Wyobrażasz sobie? Pomyśl tylko, siedzisz tam w górze, sama jedna, nikt od ciebie nic nie chce, możesz sobie lecieć, gdzie ci przyjdzie ochota...

Clemency leżała na wznak w wysokiej trawie, zapatrzona w niebo. Myślała o lotniku przelatującym nad Kanałem Angielskim³. Ona sama nigdy nie widziała Kanału, nigdy nie była we Francji. „Pomyśl tylko, siedzisz tam, w górze, sama jedna...”.

Sama jedna. Ponownie uderzyły w nią ewentualne implikacje zmian, które w ostatnich tygodniach zaatakowały dom Maclise'ów z siłą huraganu. Pod koniec roku Marianne wyjdzie za mąż, Eva wyjedzie na studia do Londynu, a Iris zacznie szkolić się na pielęgniarkę. Aidan i Phil po wakacjach wrócą do szkoły, więc kiedy James będzie w pracy, ona zostanie sama. Czuła, jak serce jej się ściska i wyrastają wokół niej ściany, a horyzont zamyka ją w pułapce. Jakiś impuls kazał jej zerwać się na nogi i biec, gdzieś poza ogród, poza ulicę, poza miasto, tak daleko, żeby już nikt nie mógł zawołać jej z powrotem.

² Sheffield leży wśród pięknych wzgórz hrabstwa Yorkshire, a Peak District jest obecnie parkiem narodowym.

³ Tzn. kanałem La Manche.

Rozdział trzeci

Miłość – to dłoń Arthura, który odgarnia zasłonę włosów Marianne, żeby ani na chwilę nie tracić z oczu jej twarzy. Pożądanie – to obudzić się w nocy i odwrócić do siebie, w ciszy, gdyż słowa nie są potrzebne. Jedwabne prześcieradła ześlizgiwały się z jej ciała, skóra płonęła pod jego dotykiem jak w gorączce. Marianne czuła bicie serca męża, owiewało ją ciepło jego oddechu.

W ich pokoju w weneckim Palazzo Gritti, gdzie zamieszkali podczas podróży poślubnej, resztki zimowego słońca zwlekały z odejściem, pochwycone w pułapkę luster w grawerowanych ramach i kandelabrow z szkła z Murano.

– Annie. Będę nazywał cię Annie. To imię będzie tylko moje, nikt inny nie będzie go używał.

„Marianne” – wymawiane nosowo, gniewnie, rozkazująco, z akcentem na ostatniej sylabie – wydawało się tworem z przeszłości. Jestem teraz panią Leighton, upominała się w duchu. Już od całych trzech tygodni. Wciąż jeszcze nie przywykła do nazwiska męża, nie mogła się nim nacieszyć.

Z Wenecji udali się do Paryża, gdzie Arthur kupował jej stroje u Paula Poireta: długie luźne suknie o linii tuby, wąskie płaszcze, obszyte futrem, zamiatającym podłogę, kimono z haftowanymi rękawami, wieczorową kreację w kolorze nocnego nieba i srebra, odrobinę wpadającą w fiolet, żeby pasowała do jej oczu.

Ciało uwolnione z więzienia fiszbinowych gorsetów stało się gibkie i smukłe, wysoki wzrost zachęcał do płynnych, wydłużonych linii. Oglądając własne odbicie w lustrze, Marianne, z przyzwyczajenia, krytycznie odniosła się do swych małych piersi i chłopięcych bioder, chociaż okrągłe kształty nie pasowały do modeli Poireta. Poza tym ta kanciasta twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i długim nosem Maclise'ów... A jednak jakimś cudem małżeństwo złagodziło jej rysy, usuwając oznaki niezadowolenia i niepokoju.

Marianne i Arthur rozmawiali bez końca, do późnej nocy, jak gdyby się bali, że czas się skończy, zanim powiedzą sobie wszystko. Obowiązki towarzyskie wydawały się im zakłóceniem owej podróży w głąb siebie. Niektóre rzeczy oczywiście wiedziała wcześniej. Znała jego miejsce urodzenia (Surrey), szkołę i uniwersytet (Winchester i Oksford), historię rodziny (Leightonowie najpierw dorobili się na cukrze, a potem wzbogacili na statkach). Arthur był współnikiem w konsorcjum okrętowym; pewnego dnia zabrał Marianne do londyńskich doków i pokazał jej jeden ze swoich statków, „Louise” kołyszącą się dumnie na Tamizie.

Odkryła, że kochał muzykę, sztukę, teatr, że kolekcjonował współczesne obrazy. Wisiały w jego domu przy Norfolk Square: Augustus John w holu, Sickert w gabinecie nad kominkiem, Whistler – ciemna, nastrojowa plama czerni, granatu i szarości – w salonie. Odkryła także, że miał miękkie serce – nigdy nie wychodził z domu bez kilku monet w kieszeni – dla żebraków. Kochał zwierzęta, zwłaszcza konie i psy. Raz tylko widziała, jak stracił cierpliwość – kiedy zobaczył, jak jakiś furman chłoszcze batem

wynędziała, parchatą szkapinę.

Arthur opowiadał jej o swych podróżach. Tuż po zerwanych zaręczynach wsiadł na statek i popłynął na Wschód. Opisał Marianne miesiąc spędzony w Egipcie, w drodze do Indii via Kanał Sueski, oraz Bombaj. Dwa lata poświęcił na poznanie Indii i Cejlonu. Do Anglii wrócił po śmierci ojca i lwią część spadku zainwestował w konsorcjum okrętowe.

Do Londynu przyjechali w połowie lutego, kiedy szara breja topniejącego lodu zatykała rynsztoki, a oblodzone chodniki groziły upadkiem. Dzwonił telefon, przyjaciele Arthura zostawiali im swoje karty. Podczas nieobecności małżonków napływały zaproszenia, których stos leżał teraz na srebrnej tacy w holu: propozycje kolacji z tańcami, przyjęć i recitali. Marianne była oszołomiona – nagle zrobiło się wokół niej tłoczno, musiała sobie uświadomić, że żonę Arthura Leightona czekają jeszcze inne zobowiązania oprócz dzielenia z nim stołu i łóża.

Miał na nią swoje sposoby – zawsze wiedział, co czuła, zanim zdążyła o tym powiedzieć – po prostu czuł to samo. Teraz także przesunął kciukiem po stosiku kart.

– Za wcześnie na to, co? Dokąd pojedziemy? Nie do następnego hotelu... Chcę cię mieć tylko dla siebie. Niby jest ten dom w Surrey... stoi zamknięty od lat, prawie z niego nie korzystam. Annie, kochanie, czy masz coś przeciwko odrobinie niewygody?

Oczywiście – nie miała. Jeszcze tego samego wieczora pojechali do Surrey, na miejscu byli o północy. Zmarznięta mimo futra Marianne po raz pierwszy zobaczyła dom w świetle księżyca – biały od szronu, dziwny, jakby z innego świata. Na kutej w żelazie bramie widniał napis: „Leighton Hall”.

Na powitanie wyszła gospodyni. Marianne otwierała drzwi i zaglądała do pokoiów. Większość mebli była przykryta pokrowcami; blade nietypowe kształty majaczyły w mroku, masywne i trudne do zidentyfikowania. W kominkach płonął z sykiem gaz. Pod wysokim sufitem wiła się girlanda gipsowego bluszczu. Długie okna wychodziły na tajemniczy w świetle księżyca ogród.

O ich potrzeby dbała sprawna gospodyni oraz „człowiek do wszystkiego” z pobliskiej wioski. Na noc zostawali sami. Pogoda utrzymywała się mroźna, szron wysrebrzył trawniki, na czarnych gałęziach drzew lśniły kryształki szadzi. Rankami Arthur odbywał konne przejażdżki, a Marianne zwiedzała posiadłość.

Nie przeszkadzały jej wytarte dywany czy oblażące tapety, nie przeszkadzał jej nawet chłód. Z uśmiechem wyobrażała sobie dzieci biegające po korytarzach, ich śmiech odbijający się echem od murów.

Po miesiącu wrócili do Londynu. Miejski dom Arthura znajdował się w Bayswater. Arthur lubił wcześniej wstawać i jeździć konno po Rotten Row. Marianne często chodziła do Hyde Parku, gdzie oczekiwała męża po zakończonej przejażdżce. Wyławiając go wzrokiem z tłumu, widziała, z jakim skupieniem prowadził konia przez ruchliwe arterie. Nie umknęło też jej uwagi, że był tam najprzystojniejszym z mężczyzn.

Dom przy Norfolk Square – przestronny, pełen światła i elegancki – miał elektryczne oświetlenie, gazową kuchnię i telefon. Telefon z początku denerwował Marianne; czaił się w holu niczym groźna czarna ropucha, która w każdej chwili może wybuchnąć przenikliwym dźwiękiem. Szybko jednak przekonała się do użyteczności tego urządzenia: tak łatwo zadzwonić do Harrodsa albo Fortnuma, kiedy nagle czegoś brakuje.

Służba przy Norfolk Square wydawała się dwa razy sprawniejsza niż ta w Summerleigh. Marianne nie musiała tykać ścierki do kurzu ani kroić chleba. Kiedy rano omówiła z kucharką menu i dopilnowała składania zamówień oraz płacenia rachunków, niewiele miała do roboty. Ubrania wracały do jej szaf czyste i odprasowane, brakujące guziki też w czarodziejski sposób trafiały na dawne miejsca.

Arthur przedstawił ją swoim przyjaciołom – przeważnie starszym od niej i emanującym wielkowiejską ogładą. Spotykali się w teatrze czy na balecie, zapraszano ich też na rauty czy kolacje. Chociaż z początku myślała o nich zbiorowo „ci londyńscy znajomi” – jednolici, podobni pod względem towarzyskich zalet, pewności siebie i reprezentacyjności wyglądu – szybko zorientowała się, że dzielą się na dwa obozy. Jedną z tych grup nazywała w duchu „przyjaciółmi teatralnymi”, drugą „biznesowymi”.

Patricia Letherby, jedna z tych „teatralnych”, wzięła Marianne pod swoje skrzydła. Była bezpośrednia, wesoła, nietaktowna i serdeczna. Odkrywszy, że Marianne gra na fortepianie, uparła się, by uczestniczyła w spotkaniach muzycznych, które odbywały się raz na dwa tygodnie w jej salonie. Urządzano też popołudnia literackie. Jakiś autor czytał swój najnowszy utwór, a reszta towarzystwa raczyła się herbatą i kanapkami tak cienkimi, że wydawały się niemal przezroczyste. Niektóre z tych utworów były dość pikantne, o tematyce, jakiej w Summerleigh nigdy nie poruszano.

Meredithowie należeli do grupy biznesowej. Edwin Meredith, członek konsorcjum okrętowego, miał znacznie młodszą od siebie żonę Laurę. Zawsze ciągnął za nią sznur mężczyzn, których łączyło tylko uwielbienie dla pani Meredith i którzy towarzyszyli jej wiernie do teatru czy na tańce. Laura miała szare oczy, kasztanowe włosy, jej brwi i rzęsy były delikatnie muśnięte złotem. Lubiła ubierać się na różowo i morelowo – te kolory podkreślały jej niezwykłą karnację. Do swego orszaku odnosiła się dość władczo. Kładła dłoń w białej rękawiczce na ramieniu mężczyzny w taki sposób, jakby ogłaszała wszem wobec swoje prawa do niego, miała też wyjątkowy talent do utrzymywania wielbiciela w pobliżu. Gdy tylko zbytnio się oddalił, potrafiła jednym spojrzeniem, jednym ruchem wachlarza przywołać go do siebie z powrotem. Patricia Letherby szepnęła Marianne na ucho:

– Oczywiście to jest *mariage blanc*. – A ponieważ Marianne wyraźnie się zmieszała, tamta dodała szybko: – Laura i Edwin mają oddzielne sypialnie. Laura potrzebowała jego pieniędzy, a on – jej pozycji towarzyskiej. Ale to zasuszony stary piernik, więc Laura szuka rozrywki gdzie indziej. No, no, nie rób takiej zgorszonej miny, to u nas ogólnie przyjęte. – Westchnęła. – Czasem zazdroszczę Laurze. Wystarczy, że na nich spojrzysz, i już...

Marianne wydawało się, że przyszło jej żyć na jakimś obcym lądzie, gdzie obowiązują inne zasady i zwyczaje. Zachowanie, które w środowisku zamożnych przedsiębiorców z Sheffield wywołałoby skandal, w Londynie było powszechnie akceptowane. Nie uszło jej uwagi, że Patricia Letherby wcale nie potępiała pani Meredith za pozamałżeńskie przygody. Uważała takie postępowanie za interesujące, może nieco frywolne, ale nie za niemoralne, naganne.

Tej wiosny Marianne wydawała wieczorne przyjęcie i Arthur wrócił do domu z naręczem fiołków, jej ulubionych kwiatów. Miała na sobie paryską ciemnobłękitną

suknię ze srebrnym połyskiem. Kiedy przypinał jej bukiet do stanika, ukłuł się szpilką w kciuk. Marianne przytknęła oczy i ucałowała kropelkę krwi, która niczym szkarłatna perła została mu na czubku palca.

Przyjęcie przebiegało bez zakłóceń – goście nie szczędzili Marianne komplementów na temat jej stołu i wyglądu. A jednak – gdzieś między przystawką a daniem głównym – tknęła ją nagła myśl, że wcale nie chce tu być, pośród tych wszystkich ludzi, których ledwie znała. Najchętniej zaszyłaby się z Arthurem w ich domu w Surrey, w cienistym, pełnym strumyków zakątku czy nawet w łóżku. Wyobraziła sobie dotyk rąk męża i ogarnęło ją niemal bolesne pożądanie. Zaraz jednak otrząsnęła się i zmusiła do powrotu do gości. Takie myśli ją niepokoiły, wydawały się nieprzyzwoite i niestosowne. Znow przelotnie poczuła stary lęk, że różni się od innych, jest dziwaczką. Nie wiedziała na pewno – mogła najwyżej się domyślać – czy inne kobiety mają takie same pragnienia, takie same natrętne, nieodpowiednie myśli.

Szpital Mandeville znajdował się we wschodniej części Londynu. Była to placówka prywatna, która przyjmowała pacjentów w ostrym stadium dolegliwości, ofiary wypadków i nagłych zachorowań. Wiele z tych osób opłacało składki na opiekę medyczną. Na przestrzeni wieków do głównego gmachu dobudowywano kolejne skrzydła dzięki różnym dotacjom i z funduszy na dobroczynność. Oryginalny osiemnastowieczny budynek z czerwonej cegły zdawał się wypuszczać macki sięgające coraz dalej w zaułki i ciasne uliczki East Endu.

Kiedy pierwszego dnia Iris przybyła do szpitala, widok własnego nazwiska wypisanego staranną kursywą na tabliczce na drzwiach jej pokoju w domu pielęgniarek uświadomił jej ostatecznie to, co zrobiła. Cały zapal zniknął, a jednocześnie ogarnęło ją okropne przygnębienie. Gdy tylko znalazła się w środku, czym prędzej podeszła do okna, udając, że spogląda na zewnątrz – nie chciała, aby ojciec, który ją odprowadzał, zobaczył wyraz jej twarzy. Stała tam przez dłuższą chwilę, zanim odważyła się w końcu odwrócić i przekonać, że pokój był mały, ale schludny i dobrze urządzone. Miała w nim łóżko, szafę, umywalnię, biurko i krzesło – no i przynajmniej będzie mieszkać sama, nareszcie nie z Marianne!

W domu pielęgniarek były też pomieszczenia wspólne – jadalnia, bawialnia i sala wykładowa. Od szpitala oddzielał go ogród, z którego siostry korzystały przy ładnej pogodzie. Wewnętrzny dziedziniec i poczekalnie przychodni rozbrzmiewały różnymi językami i dialektami – od rozćwierkanego cockneya ładniutkiej gorseciarki do basowych pomruków polskiego dokera. Na oddziale umierający Szkot prosił o wodę, a posiwiaty Włoch, właściciel przedsiębiorstwa sprzedającego węgorki w cieście, wyśpiewywał Iris serenady miłosne, milknąc tylko, kiedy siostra Grant go ofuknęła.

Iris czuła się tak, jak gdyby przeniosła się do innego kraju, a nawet świata. Wszystkie jej dawne nadzieje i założenia legły w gruzach. Poprzednie życie, które składało się z beztrudnych wyborów pomiędzy przejażdżką rowerową a partią tenisa, wydawało się teraz nierealne, jak gdyby należało do innej osoby. Od szóstej rano, kiedy to zwlekała się z łóżka, do dziesiątej wieczorem, gdy na nie padała, nie miała ani minuty,

którą mogłaby nazwać wolną. Zawsze była zajęta, zawsze zmęczona.

Władzę nad jej czasem sprawowały wskazówki zegara, rozkazy dyplomowanych pielęgniarek i siostr oraz, rzecz jasna, przełożonej – panny Caroline Stanley. Panna Stanley chodziła w czarnych jedwabnych sukniach z bufiastymi rękawami i stójką. W przeciwieństwie do swych podwładnych, którym nie wolno było nosić biżuterii, przypinała pod szyją dużą broszkę z kameą, a na palcach miała pierścionki. Raz na miesiąc przyjmowała u siebie praktykantki na podwieczorku. Iris znosiła jakoś ów kwadrans grzecznej rozmowy o niczym, pilnując się, by nie zerkać na zegarek, ale jej mniej opanowane koleżanki opuszczały pokój panny Stanley we łzach, a potem opowiadały historie o rozlanej herbacie czy innych tego typu gafach.

Na pierwszych sześć tygodni kursu szkoleniowego składały się wykłady z podstaw anatomii, higieny, fizjologii i praktycznego pielęgniarstwa. Nie było to tak trudne, jak Iris się spodziewała – w ortografii i arytmetyce znacznie górowała nad koleżankami, poza tym miała zręczne palce, dzięki czemu dobrze sobie radziła z bandażowaniem i zakładaniem łubków. Po tym okresie dostała przydział na męski oddział ogólny. Wszystkie jej złudzenia na temat nowego zawodu szybko się rozwiały. Jeszcze przed południem pierwszego dnia odkryła, że siostra Grant, której ów oddział podlegał, to prawdziwy tyran, a pielęgniarstwo chorych jest pod każdym względem tak okropne, jak się tego obawiała.

Jako najstarsza córka zamożnego sheffieldzkiego przemysłowca Iris była chroniona przed wieloma sprawami. Do tej pory męskie ciało stanowiło dla niej tajemnicę; teraz, kiedy pracowała na męskim oddziale, niczego przed nią nie ukrywano. Miała obowiązek umyć dokładnie pacjenta i spełniać najintymniejsze posługi. Wielu mężczyzn czuło przy tym takie samo skrępowanie, jak ona, ale niektórzy z niej pokpiwali.

W Summerleigh wszystkie nieprzyjemne i brudne zadania spadały na służbę. Teraz to Iris kazano opróżniać baseny, sprzątać zużyte opatrunki i zabrudzone prześcieradła. Chociaż zawsze pyszniła się w duchu swym brakiem kobiecych słabości, musiała walczyć z mdłościami na widok straszliwych ran i zniekształceń chorobowych.

Ale znacznie cięższe od tego wszystkiego okazało się odkrycie, że ona, Iris Maclise, po prostu sobie nie radzi. Owszem, wiedziała o swoim lenistwie, nigdy jednak nie uważała się za pozbawioną zdolności. Przedtem wszystko, do czego się wzięła, wychodziło jej dobrze. Tyle że przedtem w ogóle nie musiała zbyt wiele robić. Tenis, tańce, flirty – w tym naprawdę celowała. Wszystkie nudne domowe obowiązki zostawiała Marianne. Teraz to siostra żyła w luksusie, ona natomiast myła podłogi i szorowała żelazne stelaże. Marianne chodziła w jedwabkach i brylantach, a Iris nosiła niebieską płócienną suknię, biały fartuch, czepek i mankiety, i nie miała nawet najskromniejszych perełek w uszach.

Często czuła się tak, jakby coś ją uniosło i zakręciło nią niczym w kalejdoskopie, jakby wszystkie jej zdeklarowane poglądy zostały wywrócone i poprzerastane w odwrotnej kolejności. Przygotowywanie posiłków, pranie bielizny i utrzymywanie pokoju w czystości i porządku okazało się znacznie trudniejsze, niż się spodziewała. We wszystkim, co robiła, siostra Grant wynajdywała jakąś wadę. „Czystość jest najważniejsza po pobożności – mawiała, pokazując innym praktykantkom pozostawione przez Iris smugi brudu na parapecie. – Brud sprzyja roznoszeniu się infekcji. Czy nie uczono pani

tego w tej cacanej szkole?”. Iris zdarzało się nie domyć podłogi w kątach albo źle wypolerować szyby. Nie umiała porządnie pościelić łóżka – zawsze coś wystawało spod materaca. Siostra Grant, stukając obcasami po oddziale, tropiła sokolim okiem te niedociągnięcia i nie żałowała młodej praktykantce cierpkich słów.

Iris musiała meldować się na oddziale o siódmej rano, żeby pomóc nocnej pielęgniarce w myciu pacjentów. Zawsze brakowało jej czasu: zegar wskazywał pięć minut do siódmej, a ona jeszcze przypinała czepek. Jeśli jakaś pielęgniarka spóźniła się więcej niż sześć razy, traciła wolny dzień. O ósmej Iris uczestniczyła w modlitwie, po czym wracała na oddział, gdzie sprzątała, odkurzała, myła szkło i dzbanki, przecierała blaty szafek chlorowaną sodą. Kwadrans po dziewiątej pomagała przygotowywać i podawać pacjentom mleko i chleb na śniadanie. Potem – zanim mogła wrócić do domu pielęgniarek na herbatę – musiała wyszorować łazienki i uporządkować pralnię. Czasem odbywał się jakiś wykład czy pokaz dla praktykantek, czasem można było wyrwać się na zakupy albo na spotkanie przy kawie z Evą albo Charlotte. Potem miały obiad, a o wpół do pierwszej Iris wracała na oddział do kolejnego sprzątnięcia i porządkowania przed obchodem ordynatora – wymuskanego, wąsatego doktora Hennessy’ego. Kiedy wraz z młodszymi lekarzami badał pacjentów, pielęgniarki gromadziły się za siostrą Grant, uszeregowane według starszeństwa – na samym przodzie te dyplomowane, a Iris, jako najmłodsza z praktykantek, na końcu.

Po wyjściu lekarzy trzeba było umyć nieprzytomnych i gorączkujących pacjentów oraz nastawić czajniki z wodą. Chorzy dostawali po południu herbatę i chleb z masłem, po czym Iris miała pół godziny na zjedzenie podwieczorku. Na koniec należało pomyć szkło i butelki, wydać pacjentom kolację i prześcielić łóżka przed przyjściem nocnej zmiany o ósmej. Za kwadrans dziewiąta dzienne pielęgniarki szły na modlitwę i dopiero potem dostawały kolację i udawały się na spoczynek.

Jedyna dobra rzecz w tym wszystkim, dumiała Iris, to ta, że nie pozostawało zbyt dużo czasu na myślenie, a w owych dniach było wiele spraw, którymi wolałaby nie zaprzętać sobie głowy. Na przykład nie chciała myśleć o ślubie Marianne ani pamiętać własnej dzikiej zazdrości, którą czuła na widok młodszej siostry prowadzonej przez ojca do ołtarza. Z pewnością nie chciała też myśleć o Ashu. Od tamtego okropnego wieczoru nie widziała go ani nawet o nim nie słyszała, podobnie jak reszta rodziny Maclise. Przy odrobinie szczęścia, marzyła, nigdy więcej się nie zobaczą. A jednak fakt odrzucenia jej przez Asha pozostawił w duszy Iris trwałe ślady i od tej pory nie potrafiła już patrzeć na siebie w ten sam sposób, co przedtem. Zwątpiła nie tylko w potęgę własnej urody, ale też w swoją wartość.

Przez większość czasu wydawało jej się, że przez pomyłkę trafiła do niewłaściwego życia. Chociaż rozumiała, w jaki sposób ciąg zdarzeń – zaręczyny Marianne, decyzja Charlotte, odpowiedź Asha – doprowadził ją do podjęcia tak drastycznego kroku, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zabrakło jej jakiegoś fundamentalnego elementu owego wyboru, że brnie dalej, kierowana strachem, impulsem i dumą, a z każdym następnym krokiem coraz bardziej wplątuje się w sieć, którą sama na siebie zastawiła. Oczywiście były chwile, kiedy mogła zmienić zdanie i przyznać, że popełniła błąd. Na rozmowie wstępnej panna Stanley maglowała kwestię powołania, a ojciec próbował

wyperswadować Iris jej zamiar. Przy pożegnaniu, zanim zostawił ją w domu pielęgniarek razem z kufrem i pudłami na kapelusze, powiedział z rozpaczą w głosie: „Nie wiem, co próbujesz udowodnić, ale gdybyś miała dość, wracaj do domu. To ci nie wyjdzie na dobre, zobaczysz”. Uparł się, by jej wcisnąć pieniądze na bilet powrotny do Sheffield, a w końcu zostawił ją w tym obcym pokoju, ze łzami w oczach, walczącą z sobą ze wszystkich sił, by go nie zawołać z powrotem.

Przyjaciółki i znajomi Iris zareagowali na jej decyzję zostania pielęgniarką mieszaniną szoku i niedowierzania. Nawet nie chciało jej się z nimi dyskutować; w końcu sama też poczuła szok i niedowierzanie na wiadomość o imponującej partii, jaką zrobiła Marianne, a nie ona. Szok, niedowierzanie, a także potworne, niezmiennie upokorzenie tym, że Ash jej nie chciał. Nie, nie kochała go, ale bardzo lubiła i widziała w nim przyjaciela. Było to dla niej zupełnie nowe odczucie – ból odrzucenia – i wcale nie pomagała jej świadomość, że taki ból to coś normalnego, a ona sama nieraz go wywoływała.

Nie spodziewała się, że będzie tęsknić za domem – a jednak tęskniła. Brakowało jej komfortu Summerleigh, towarzystwa rodziny i przyjaciół. Nade wszystko jednak brakowało jej poczucia, że gdzieś przynależy, jest dla kogoś ważna. Na oddziale jej wartość mierzono zręcznością w ścieleniu łóżek, sprawdzaniu temperatury pacjentów i przygotowywaniu tacy z opatrunkami. Wiedziała, że nie najlepiej sobie z tym radzi i prawdopodobnie jest najmniej sprawną praktykantką na oddziale siostry Grant. Szpital Mandeville nie żałowałyby ani chwili, gdyby Iris Maclise zdecydowała się odejść, a siostra Grant może poczułaby ulgę. I to był jeden z powodów, dla których – dość perwersyjnie – postanowiła tam zostać.

Swoje niezadowolenie Iris starannie ukrywała przed siostrami. Przekonanie o własnym szczęściu Marianne nie było trudne, gdyż młoda małżonka, piękniejsza niż kiedykolwiek, po powrocie z podróży poślubnej miała w głowie tylko Arthura.

Dwa razy w tygodniu Iris pisywała do Clemency. Na myśl o najmłodszej siostrze gryzło ją sumienie: gdyby została w domu, Clemency mogłaby kontynuować naukę. Ale wtedy to ona, Iris, musiałaby dotrzymać matce towarzystwa, a nawet pielęgniarstwo wydawało się lepsze od tego.

Postanowiła wytrwać w szpitalu jeszcze przez rok. Szybsza rezygnacja byłaby upokarzająca. Przyjaciele i krewni, którzy tak jak ojciec, zakładali, że Iris rzuci pielęgniarstwo już po tygodniu, mieliby powód do triumfu. W ciągu roku Charlotte, która tak zabawnie cieszyła się, kiedy Iris postanowiła pójść w jej ślady, znajdzie sobie nowe przyjaciółki i nie odczuje tak jej braku. Poza tym w ciągu roku ona sama zdoła sobie wyszukać jakieś inne zajęcie.

Tylko że rok wydawał się tak niemożliwie długi... I Ash powiedział jej kiedyś: „Ty wolisz unikać nieprzyjemnych stron życia”. Płuczac baseny i obmywając zdeformowane przez lata fizycznej pracy ciała, Iris uśmiechała się czasem przez zaciśnięte zęby, myśląc: Gdybyś mnie teraz widział, Ash. Gdybyś mnie tylko widział...

Aidan i Philip przyjechali do domu na ferie wielkanocne. Potem zjawili się Eva

i Marianne z Arthurem, więc Clemency mogła odetchnąć z ulgą: Summerleigh wydawało się takie samo jak dawniej – cała rodzina pod jednym dachem.

Ale Marianne z Arthurem wrócili do Londynu zaraz po świętach, zabierając z sobą Evę. Potem matka znów położyła się do łóżka, a cioteczna babka Hannah, którą złapało przeziębienie, wycofała się do swoich pokojów, więc zostało już tylko trzech chłopców, ojciec i Clemency.

Wyjazd córek zmartwił Joshuę i wprowadził go w rozdrażnienie. Jak zwykle – z powodu humorów ojca i choroby matki do Summerleigh wkradło się napięcie i zapanowała ciężka atmosfera. Chociaż Clemency starała się łagodzić konflikty, wydawało się, że równowaga w rodzinie została naruszona i pod nieobecność starszych siostr stosunki między domownikami nie układają się tak, jak powinny.

Pod koniec tygodnia doszło do kryzysu. Matka miała złą noc i Clemency musiała wezwać doktora Hazeldene'a. Rano, ledwie chora zdołała zapaść w drzemkę, Philip potknął się na schodach i upuścił na posadzkę blaszaną tackę z żołnierzykami. Narobił takiego hałasu, że matka się obudziła i dostała palpacji. Wszyscy wściekli się na Philipa z wyjątkiem Clemency, która podejrzewała, że chłopiec potknął się, ponieważ źle widzi. Zniosła matce kieliszek wina z paroma kroplami laudanum, a potem siedziała przy niej, póki Lilian znów nie zmorzył sen.

Ojciec wrócił z pracy w jeszcze gorszym humorze. Przy obiedzie Clemency zauważyła wyraźne oznaki nadciągającej burzy: opuszczone kąciki ust, szorstkość głosu, błędzące, niezadowolone spojrzenie. Dla Clemency nastroje ojca były widoczne jak u dziecka, a przeskoki od zaraźliwej euforii do ponurej desperacji wyraźnie sygnalizowane. Zawsze ją dziwiło, że James nie dostrzega zmienności humorów Joshuy. Miał istny talent do poruszania tematów jakby specjalnie stworzonych do prowokowania spięć, chociaż, prawdę rzekłszy, ojciec miał taki sam talent do błędnej interpretacji słów Jamesa i wyszukiwania powodów do obrazy.

Joshua przyglądał się stołowi w jadalni.

– Nie warto nakrywać takiego wielkiego stołu dla kilku osób – burczał. – To samo w kościele: dawniej Maclise'owie ledwie mieścili się w dwóch ławkach, trzeba było nawet się ścieśniać, a teraz? W tę niedzielę nawet jednej w całości nie zapełnimy.

– Mnie tu w niedzielę nie będzie – oświadczył James. – Jadę do Londynu.

Joshua zmarszczył brwi.

– Do Londynu?

Clemency zamarła. Londyn w oczach ojca był zatłoczonym, hałaśliwym miastem, siedliskiem kryminalistów, niedorastającym do pięć spokojnemu Sheffield.

– Nie pojmuję, czemu wy wszyscy tak ciągniecie do Londynu! Już trzy córki mnie opuściły, a teraz jeszcze i ty!

– Tylko na dwa dni, tato.

– To już własny dom ci nie wystarcza? Co właściwie zamierzasz tam robić?

– Są tam restauracje i...

– Restauracje! – prychnął Joshua. – Po co ludziom jakieś knajpy, skoro mają lepsze jedzenie w domu?

– ... i teatry, i kina...

– Te-a-try?! – rozzłościł się Joshua. – Gdyby nie twoje siostry, powiedziałbym ci, co myślę o ludziach, którzy odwiedzają takie miejsca! Same szumowiny i łajdactwo!

James poczerwieniał. Clemency wtrąciła czym prędzej:

– Może jeszcze trochę ziemniaków, ojczulku?

Joshua pogroził palcem najstarszemu synowi.

– Ja w twoim wieku harowałem po sześć dni w tygodniu od siódmej rano do siódmej wieczór. Nie miałem czasu na szwendanie się po knajpach!

Umilkł i skoncentrował się na talerzu, atakując kęs po kęsie z ponurą miną, ale i ze smakiem. Nagle rozległ się niewinny głos Aidana:

– Teatry i restauracje kosztują dużo pieniędzy, prawda, ojcze? Jeden kolega mi mówił, że kiedy rodzice zabrali go do Londynu na przedstawienie, to płacili po pięć szylingów od łebka.

– Pięć szylingów! – wrzasnął Joshua. – Pięć szylingów na takie fanaberie! To czyste marnotrawstwo!

James wymamrotał coś pod nosem. Jego ojciec zmrużył podejrzliwie oczy.

– Coś ty powiedział?

Clemency rzuciła bratu ostrzegawcze spojrzenie.

– Nic, ojcze.

Joshua rzucił ze złością serwetkę na stół.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów tak, żeby wszyscy słyszeli!

– Doskonale, ojcze – odparł James, podnosząc szybko głowę. – Powiedziałem, że nie dajesz mi zbyt wiele na te fanaberie.

– Zgadza się! Dla twojego własnego dobra. Bóg raczy wiedzieć, w jakie kłopoty byś wpadł, mając dużo pieniędzy. Ale i tak udaje ci się wyrzucać w błoto nawet to, co masz.

– To moje pieniądze i mogę wydawać je, jak chcę!

Joshua rąbnął pięścią w stół.

– Nieprawda, moje! Gdyby nie ja, wszyscy pozdychalibyście z głodu w rynsztokach! Każdy wasz pens pochodzi z mojej kieszeni!

James wstał na chwiejnych nogach, jego serwetka zsunęła się na podłogę. Wyszedł z jadalni, trzaskając drzwiami.

Zapadła długa cisza, którą w końcu przerwał Philip:

– Nie mogę jeść tej kapusty. Ma dziwny smak.

Clemency zeszywniała; tym razem nie obejdzie się bez awantury.

– Masz wyczyścić swój talerz, młody człowieku! – ryknął Joshua. – Do ostatniego kęsa! Nie potrzebuję jeszcze jednego rozpuszczonego bachora! – I nagle bez ostrzeżenia obrócił się do Aidana: – A ty, młodzieńcze, możesz już zetrzeć z gęby ten zadowolony wyraz. Wcale nie jesteś lepszy od nich! – Aidan zbladł, a Philip zaczął płakać.

Po obiedzie, kiedy zapłakany i usmarkany Philip skończył wreszcie swoją kapustę, Clemency zebrała się na odwagę i zapukała do gabinetu ojca.

– Nie potrzebujesz czegoś, ojcze? Może filiżankę herbaty?

Joshua siedział przy biurku i palił.

– Nie, panienko, niczego mi nie trzeba.

Już miała zamknąć drzwi, kiedy nagle dodał:

- Pocziwa z ciebie dziewczyna, Clemency. Pewnie także tęsknisz za siostrami.
- Tak, ojcze.

Poszła na górę, do pokoju chłopców. Aidan leżał na brzuchu na podłodze, kontemplując równe stosiki monet.

- Co ty robisz? – zdziwiła się Clemency.
- Liczę moje fundusze.
- Jejku, Aidan, ależ musiałeś długo oszczędzać! Tyle pieniędzy...
- Inni marnotrawią pieniądze. Wyrzucają je na słodycze, zabawki, różne głupoty.

Ja tak nie postępuję.

– A ja – odparła ze smutkiem Clemency – nawet nie wiem, na co idzie moje kieszonkowe.

– Powinnaś robić rachunki. Ja zawsze zapisuję wydatki. – Wstał, wyjął z szuflady notes i pokazał jej kolumny liczb: „Stalówka do pióra – 2 p. Gumka do papieru – 6 p.”.

– Mój Boże! – wyrwało się Clemency. – Chyba wiesz, że ojcu wcale na tym nie zależy.

– Nie? – W ciemności twarde jak granit oczy Aidana wydawały się jaśniejsze niż innych Maclise’ów. – Ja zawsze staram się sprawić mu przyjemność. Nie wyklócam się jak James.

Clemency odnalazła najstarszego brata w letnim pawilonie. Na jej widok James machnął ze złością papierosem.

- Czemu on zawsze musi się na nas wyżywać?

– Taki już jest. – Usiadła obok niego. W domku było zimno, więc kiedy zadrżała, brat okrył ją swoim surdudem, pachnącym przyjemnie tytoniem, mydłem Pearsa i dymem z warsztatu. – Teraz, po wyjeździe Marianne, Iris i Evy, to już nie to samo. Rodzina coraz bardziej się kurczy, a jeśli wszyscy wyjadą? Jeśli pewnego dnia zostaną tylko ja?

James uściskał ją mocno.

– To się nie zdarzy, głuptasie. Kiedyś przecież będziesz miała własną rodzinę, czyż nie?

Przypomniał się jej dzień narodzin Philipa. Jak cudownie było poczuć maleńką piąstkę zaciskającą się na palcu!

– Miło byłoby mieć dzieci – odrzekła z namysłem – ale małżeństwa sobie nie wyobrażam.

- Jedno bez drugiego raczej się nie obejdzie.

– Nie to miałam na myśli – odrzekła, czerwieniąc się. – Po prostu nie rozumiem, czemu ktoś miałby wybrać akurat mnie.

– Ale kiedyś nadejdzie taki dzień. Zobacysz, za dwa lata konkurenci będą ustawiać się w kolejce.

Uświadomiła sobie, jak sympatycznego ma brata – jest taki silny, dobry, pogodny...

- Kogo chcesz odwiedzić w Londynie? – spytała.

– Po prostu starych przyjaciół – odpowiedział wymijająco. – A ty, Clem? Widujesz czasem stare psiapsiółki ze szkoły?

Clemency poprawiała sobie sznurowadło.

– Raczej rzadko. A kiedy już się spotkamy, nie mam im nic ciekawego do powiedzenia. Zrobiły takie postępy, a ja właściwie stoję w miejscu. Chyba się ze mną nudzą.

– Nie pleć głupstw. Jesteś bardzo dzielna. Nie wiem, jak poradzilibyśmy sobie bez ciebie.

– James!

– To prawda, Clem.

Eva kochała Londyn. Uwielbiała ruch, mieszaninę języków, kultur i klas. Wyobrażała sobie bijące serce miasta – silne, potężne, rozbrzmiewające echem pośród kościołów, fabryk i pałaców. Chciała zobaczyć wszystko. Spacerowała wzdłuż Tamizy – od Embankment do doków, widziała statki handlowe i promy, zacumowane w oleistej wodzie. Mroczne, zatłoczone puby i ustawione rzędem nad rzeką magazyny strzegły swych sekretów za brudnymi, pokrytymi pajęczyną oknami. Zwiedzała National Gallery, wielkie domy towarowe i parki na West Endzie, wieczorami obserwowała ludzi zdążających do teatrów przy Leicester Square, podziwiała połysk atlasowych peleryn i diademy rzucające ogniste błyski w świetle latarni.

Chociaż miasto ją urzekało, trudno jej było przyznać się nawet samej sobie, że w połowie drugiego semestru w Slade wciąż jeszcze nie mogła się tam odnaleźć. Najlepsza uczennica panny Garnett po raz pierwszy miała wokół siebie równie utalentowanych kolegów. Niektórzy nawet byli jeszcze zdolniejsi – przy osiągnięciach kilku z nich jej własne wydawały się bezbarwne i prymitywne. Stopniowo narastało w niej odczucie, że grunt usuwa się jej spod nóg. Eva zawsze była uważana za zdolną, sama też czuła dumę ze swego talentu, tym bardziej że nikt z rodziny nie przejawiał szczególnych zdolności artystycznych. Teraz jednak na jej pracy nie zostawiano suchej nitki, wszystkie błędy ukazywano bezlitośnie w niekorzystnym świetle, żadna słabość nie wydawała się tak ważna, by uniknąć krytycznych komentarzy.

Lekcje rysunku z natury także nią wstrząsnęły. Tak łatwo było mówić przed kilkoma miesiącami: „Ależ ja muszę uczyć się rysować z natury, ojcze!”... Tymczasem na pierwszych zajęciach po prostu się zawstydziała. Do tej pory nigdy nie widziała nagiej dorosłej kobiety. Jej znajome ukrywały ciała pod spódnicami i halkami, nigdy nie zdejmując jednej warstwy, dopóki następna nie tkwiła bezpiecznie na miejscu. Nagie ciała Eva widywała tylko na obrazach, a kobiety, które pozowały w Slade, w niczym nie przypominały owych białych, klasycznych piękności. Pochodziły z klasy pracującej, były w średnim wieku, a suknie, jakie z siebie zrzucały, zanim usiadły na podium, były połatane i sfatygowane, jak ich właścicielki. Niczym niekrępowane ciało wokół ich piersi i brzuchów fałdowało się, pod pachami rosły włosy. Czy rzeczywiście tak wygląda ciało kobiety, czy też do tego zostało doprowadzone? Eva czuła dziwne zakłopotanie podczas ich rysowania, zupełnie jakby przelewanie owych niedoskonałości na papier poniżało modelki.

Mieszkała u Sarah Wilde, dawnej szkolnej koleżanki ciotecznej babki Hannah. W przeciwieństwie do tęgiej Hannah, pani Wilde była drobna, krucha, o zgarbionych ze

starości plecach, a jej ręce w nadgarstkach miały obwód jak u dziecka. Trzymała w domu papugę imieniem Perdita, która ciągle gdzieś przepadała. Ponieważ właścicielka nie była w stanie jej złapać, na Evę spadł obowiązek wyciągania skrzeczącej uciekinierki z laurowych zrosli czy zza cudzych parkanów. Opieka pani Wilde wyglądała nieco ekscentrycznie. Poczciwa kobiecina – prawdopodobnie z braku własnych córek – przyjmowała bez zastrzeżeń wyjaśnienia na temat wizyt u przyjaciół czy wieczornych zajęć w szkole. Świadomość, że wykorzystuje naiwność starszej pani, budziła czasem u Evy wyrzuty sumienia.

Uczęszczała na zebrania Społeczno-Politycznej Unii Kobiet, Narodowej Unii Związków Sufrażystek, Ligi Wyzwolenia Kobiet i Ligi Pracy Kobiet, a ponieważ nie mogła się zdecydować, do której z tych organizacji wstąpić, zapisała się do wszystkich. Brała udział w marszach, wystawała na wietrze na skrzyżowaniach ulic w płaszczu, kapeluszu i rękawiczkach, błagając przechodniów, by podpisali petycje albo kupili „Głosy dla kobiet”. Oklaskiwała też przemówienia innych sufrażystek i pisywała listy do członków parlamentu.

Przed wyjazdem Evy z Sheffield panna Garnett zaopatrzyła ją w adres Lydii Bowen. To u niej Eva poznawała artystów, pisarzy i innych dziwaków, którym Lydia nigdy nie mogła się oprzeć: wariata udającego rosyjskiego księcia i zausznika carcy, kobietę, która wędrowała („pieszo, moja droga!”) do Nicei, sypiając w stogach siana i zarabiając na życie śpiewem w kafejkach i barach.

Pewnego wieczoru Lydia zaprosiła ją na wernisaż w swej galerii przy Charlotte Street. Kiedy Eva tam dotarła, w salach tłoczyło się już mnóstwo gości. Przyglądała się im ukradkiem; zadbane, eleganckie kobiety w długich, wąskich sukniach, mężczyźni niemal wszyscy w wieczorowych strojach. Eva miała na sobie własnoręcznie uszytą wełnianą sukienkę w czerwono-zieloną kratkę. Padał deszcz, więc jej pończochy były poplamione błotem, a włosy – starannie ułożone przed wyjściem z mieszkania – poskręcały się w niesforne loki od wilgoci.

Wystawiano pejzaże i portrety. Eva przyglądała się właśnie obrazowi dziecka z małym pieskiem, kiedy usłyszała głos:

– Nie sądzi pani, że z potraktowania tematu aż bije nienawiść artysty zarówno do psów, jak dzieci?

Podniosła wzrok. Stał przy niej mężczyzna w długim czarnym płaszczu i granatowej koszuli robotnika. Na szyi miał okręcony kilka razy szmaragdowozielony szal.

Eva przyjrzała się jeszcze raz malowidłu.

– Twarz dziewczynki jest żółta...

– Dzieciak wyraźnie choruje na żółtaczkę. A co do psa, to ma złe błyski w oczach.

Mogę pani pokazać mój ulubiony obraz?

Poprowadził ją do dużego płótna w kącie sali. Na umieszczonej obok tabliczce widniał napis: „Gabriel Bellamy, Pola w Avebury”.

– Podoba się pani?

Pejzaż był poznaczony pasami ochry, zieleni, żółci i bieli.

– Chyba tak – odrzekła z namysłem Eva. – Jest taki... taki niezakłócony.

– Niezakłócony... Ciekawe słowo. Zna pani Wiltshire?
– Nie bardzo.
– To jeden z moich ulubionych regionów. Czuje się tam historię. Uwielbiam widok kredy prześwitującej wśród traw – wygląda zupełnie jak kości. – Odwrócił się od płótna.

– A pani? Skąd pani jest?

– Z Sheffield.

– Szatańskie młyny?

– Raczej wyroby ze stali.

– Od jak dawna mieszka pani w Londynie?

– Sześć miesięcy. – I z dumą dodała: – Studiuję w Slade School of Art.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Wziąłbym panią za Cygankę. Albo tancerkę. Ten koloryt... sposób poruszania się...

Eva poczuła, że się czerwieni, ale on pytał dalej:

– Skąd pani zna Lydię?

– Przedstawiła mnie jej moja nauczycielka rysunku z Sheffield, panna Garnett. Są przyjaciółkami.

– I towarzyszkami broni, co? – Musnął czubkiem palca trójkolorową wstążeczkę w klapie Ewy.

Znów się zaczerwieniła – pewnie z powodu jego poufałości. Był niesamowicie wysoki, o dobrą głowę wyższy od niej, i szeroki w barach. Wyglądał przy niej jak wieża, osaczał ją, czuła się jak mały księżyc wciągnięty na orbitę dużej planety.

– Panna Bowen i ja – wyjaśniła – chodzimy na mityngi WSPU4. Uważam za oburzające, że na początku dwudziestego wieku kobiety wciąż nie mają prawa głosu. To obrzydliwe, że ustanawia się prawa, które decydują o naszym losie, a nam nie wolno nic powiedzieć. Myślę...

– Oczywiście – wtrącił szybko – to kompletny absurd.

Wytrącił jej broń z ręki. Dreptała za nim wokół sali, podczas gdy zerkał przelotnie na jeden obraz za drugim.

– Naprawdę tak pan myśli?

– Jasne, że tak. Kobiety są znacznie rozsądniejsze od mężczyzn, którzy zbyt często padają ofiarą własnych pragnień. Kobiety lepiej rządzą własnym życiem, więc nie mam wątpliwości, że i krajem rządziłyby lepiej.

Przerwał wędrówkę, żeby się przyjrzeć pewnemu portretowi. Przedstawiał on ciemnowłosą kobietę o pełnych, zmysłowych ustach, w ciemnoczerwonej, połyskliwej sukni odciętej na wysokości biustu.

– Oczywiście – kontynuował z namysłem swój wywód – mężczyźni nie chcą dać kobietom prawa głosu, gdyż obawiają się skutków. Mówią, że politykowanie pozbawi panie ich specyficznego uroku, ale tak naprawdę boją się utraty ich uległości. Kobiety mogłyby narzucić społeczeństwu swoje wysokie standardy moralne, które dla mężczyzn są nie do przyjęcia. – Wyszczrzył zęby jak pirat. – Innymi słowy, mężczyźni boją się, że zaczną ich obowiązywać to samo, czego teraz wymagają od kobiet. – Obejrzał się przez ramię. – O, jest Lydia. Najdroższa, czyżbyś chciała mnie zbesztać?

Lydia pocałowała go w policzek.

– Powinieneś się bardziej udzielać, mój drogi.

– Lydio, proszę! Za dużo ode mnie oczekujesz!

– Nie gadaj głupstw. – Złapała go za ramię. – Przepraszam cię, Evo.

Eva wkładała właśnie płaszcz w holu, kiedy Lydia znów się przy niej pojawiła.

– Przedstawiłam Gabriela Stockburym. Jeśli będzie dla nich miły, może sprzeda ze dwa obrazy.

– Obrazy? – zmieszała się Eva. Przypomniała sobie podpis na tabliczce przy pejzażu. – Gabriel...? – powtórzyła wolno. – To był Gabriel Bellamy?

– Oczywiście. Nie wiedziałaś?

Eva pokręciła tylko głową. Poczuła, że krew zastyga jej w żyłach.

– Te pejzaże są jego. Mało ich maluje, woli portrety, ale są śliczne, nieprawdaż? Dlatego je zabrałam. – Lydia zapaliła papierosa. – Gabriel to bardzo wzięty malarz i idzie coraz bardziej w górę. Nie wiem, czy moja mała galeria nie okaże się dla niego zbyt skromna. – Wypuściła kłęb dymu i przyjrzała się bacznie Evie. – Pomyślałam, że powinnam przyjść ci na odsiecz. Co o nim myślisz?

– Jest bardzo miły.

– O, tak! Wręcz uroczy. A przy tym interesujący i przystojny. Ma mnóstwo kochanek, a podobno i jakieś nieślubne dzieci. Niestety, bardzo źle się prowadzi. – Lydia poklepała ją po ramieniu. – Gabriel to kochany człowiek, ale nie wolno mu ufać. Pod żadnym pozorem.

Kilka dni później Eva wychodziła ze Slade, kiedy nagle dostrzegła kątem oka Bellamy'ego. Stał pod latarnią w tym samym czarnym płaszczu i szmaragdowym, łopoczącym na wietrze szaliku. Przypomniawszy sobie rozmowę na wernisażu, chciała odwrócić się i uciec. Ale ponieważ prowadziła rower, jednocześnie przyciskając do piersi rulony papieru, nagle w pośpiechu upuściła je na ziemię. Pochyliła się, by je pozbiierać i wtedy zobaczyła, że Bellamy idzie w jej stronę.

– Co za szczęśliwy przypadek – zauważył, wyciągając z kałuży jeden z jej szkiców. – Właśnie usiłowałem namierzyć paru starych przyjaciół. Jak miło znów panią widzieć, panno... Niestety, nie znam pani nazwiska.

– Mnie pańskie podała Lydia Bowen – odrzekła z naciskiem Eva.

– Więc pani się na mnie nie gniewa?

– Mógł mi pan powiedzieć, kim jest!

– Ale wtedy – uśmiechnął się psotnie – nie byłoby tak zabawnie. Poczwałyby się pani zobowiązana do czczych komplementów na temat mojego malarstwa. Może nawet w ogóle nie zechciałaby pani ze mną rozmawiać. Bo nie wszyscy chcą... ze względu na moją reputację.

Ku przerażeniu Ewy rozwijał właśnie jej szkic.

– Proszę, nie... – zaprotestowała.

Lecz on już oglądał rysunek.

– Starożytności! – westchnął. – Ileż to godzin spędzamy na rysowaniu tych obrzydłych posągów i płaskorzeźb! – Oddał jej arkusz. – Nie mógłbym obejrzyć pozostałych?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie są dobre – odparła, wkładając rulony do koszyka rowerowego.

– Dokąd pani jedzie?

Powiedziała mu, a wtedy zaproponował:

– Przejdę się z panią, dobrze? Idę na Russell Square.

Wziął od niej rower i zaczął prowadzić po chodniku. Eva otworzyła usta, by zaprotestować, ale Bellamy szedł szybkim krokiem i zdążył się już oddalić.

– Naprawdę powinna pani wreszcie się przedstawić – rzekł, kiedy się z nim zrównała. – Co za źle wychowana panienka!

Miała na końcu języka jakąś ciętą ripostę, ale nagle zobaczyła figlarne iskierki w jego oczach.

– Nazywam się Eva Maclise – powiedziała sztywno.

– Eva Maclise! Eva Maclise z... Aha, już sobie przypominam: z Sheffield. – Wyciągnął rękę. – Miło mi panią poznać, panno Maclise. – Wielka, śniada i ciepła łapa całkowicie zagarnęła jej dłoń. – I cóż panią sprowadziło do Londynu, Evo Maclise? Przecież mogła pani studiować w Sheffield?

– Ale Londyn jest taki fascynujący!

– Ach, tak?

– Oczywiście! Uwielbiam to miasto, a pan nie?

– Czasem je kocham, czasem go nienawidzę. Wróciłem do Londynu dwa miesiące temu i teraz najchętniej znów bym stąd uciekł. Pewnie pojedę do mojego domu na wsi, a kiedy już się tam znajdę, będę z początku w siódmym niebie i przysięgnę, że już nigdy stamtąd się nie ruszę. Ale po paru tygodniach poczuję niepokój, a jeszcze później – może po dwóch albo trzech miesiącach – zatęsknię za Londynem. A wtedy wszystko zacznie się od nowa. – Uśmiechnął się smętnie. – Często myślę, że te dwa miejsca odpowiadają dwóm stronom mojego charakteru: tej dobrej i tej złej. Na wsi uprawiam jarzyny, hoduję zwierzęta, a w mieście... – Urwał i zerknął na Evę. – O co chodzi?

– Naprawdę uprawia pan jarzyny? – Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić tego bohatera skandali przy kopaniu grządek i wrywaniu chwastów.

– Oczywiście. W zeszłym roku miałem wspaniały zbiór groszku. Wysiałem groszek pachnący między zielonym, żeby cieszyć oko na równi z podniebieniem. Nigdy nie uprawiała pani warzyw, panno Maclise?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ale za to szyję. Sama sobie szyję wszystkie ubrania.

– Ma pani wycucie koloru. – Mierzył ją spojrzeniem od góry do dołu, aż odwróciła wzrok, nagle skonsternowana.

– Sadie, moja żona, też wszystko szyje sama. Dla siebie i dzieci. A poza tym przedzie i tka wełnę z naszych owiec.

Żona! Eva musiała zmienić swoją wizję Gabriela Bellamy'ego rozpustnika na wizję ojca rodziny.

– Sadie i ja postanowiliśmy wychowywać dzieci na wsi. Nie lubię, kiedy się je krępuje, zmusza do siedzenia cicho i odzywania się tylko wtedy, kiedy są pytane. Dzieci

powinny mieć swobodę.

– Ile ma pan dzieci?

– Czworo i piąte w drodze.

Czworo, zanotowała w pamięci, dodając jeszcze jeden element do swego obrazu.

– Orlando ma osiem lat, Lysander sześć, a Ptolemy pięć. No i jeszcze Hero – tylko trzy.

– Same chłopaki?

– Hero jest dziewczynką. To imię z „Wiele hałasu o nic”, oczywiście. Mamy nadzieję na drugą dziewczynkę. Dla równowagi – zrobił szeroki gest. – Czasem mnie złości, kiedy widzę, do czego niektórzy rodzice doprowadzają swoje dzieci. Podobno je kochają, a tak naprawdę dręczą. Jak byłem mały, kazano mi kłaść się spać punktualnie o siódmej wieczorem, a potem godzinami przewracałem się z boku na bok. Pewnie dlatego cierpię teraz na bezsenność. A moje potomstwo chodzi spać, kiedy chce, i wstaje też kiedy chce.

– A szkoła? Co ze szkołą?

Prychnął.

– Nie zamierzam wysyłać swoich dzieci z domu, aby je bito i terroryzowano. Nie pamiętam już, ile razy dostałem lanie w szkole. Zbyt łatwo tolerujemy przemoc w tym kraju. Zmuszamy dzieci, aby uważały to za coś normalnego. Nie chciałbym tego dla mojej czwórki. Na razie uczy ich Sadie, pomaga jej paru przyjaciół. Nie uznaję maglowania tabliczki mnożenia czy listy królów – to bzdury. Znacznie ważniejsze, żeby umiały wydoić krowę czy żeglować. A może pani myśli, że głupstwa plotę?

– Ani trochę. Chociaż jedni szkołę lubią, a inni jej nienawidzą. Mój brat Philip przepłakuje całą noc, kiedy ma wracać do swojej po feriach, a Clemency, siostra, uwielbia szkołę. – I dodała wyjaśniająco: – Wie pan, ja, niestety, mam całe tabuny braci i sióstr. Czasem myślę, że matka w ogóle by nie zauważyła, gdyby któreś z nas się zawieruszyło. Zwłaszcza ja, ta środkowa.

– Och, nie sędzę. Nigdy bym tak nie pomyślał. – Popatrzył na nią znów tym samym spojrzeniem, przyprawiającym ją o dreszcz. – Pani ma w sobie coś... Zauważyłem to już w pierwszej chwili, kiedy panią ujrzałem. Dla mnie wygląda pani na dziewczynę, która wie, czego chce. Szkoły... i te wszystkie parafernalia burżuazyjnej biurokracji ustanowiono po to, by kruszyć ducha takich ludzi, jak my. Nie wolno tam wystawać z szeregu, trzeba trzymać głowę na kłódkę, znosić wszystkie banały i całą tę hipokryzję. – Nagle urwał i obrócił się do niej z ogniem w oczach: – Ludzie mnie nie akceptują, ale ja robię tylko to, o czym oni wszyscy marzą, a co niektórzy i tak, prawdę rzekłszy, robią. Według ich zasad wszystko uchodzi, dopóki zachowuje się pozory. Wystarczy ukryć dowolny grzech za fasadą miłosiernego konwenansu – i już nikt złego słowa nie powie. Ale jeśli mówisz, co myślisz, i szczerze wyznajesz swoje niedoskonałości – zaraz ogłoszą cię diabłem wcielonym. Gardzę tym wszystkim.

Eva pomyślała o swoim ojcu wsiadającym do dorożki, o tym, jak się pochylał, żeby pocałować panią Carver... A w domu, proszę: porządny mąż i ojciec, szanowany fabrykant, filar sheffieldzkiego przemysłu. Zagryzła wargi i nagle usłyszała łagodny głos Gabriela Bellamy’ego:

– Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć. Sadie mówi, że zachowuję się zbyt głośno. Podobno straszę dzieci.

– Wcale się nie wystraszyła. I uważam, że ma pan rację. Też nienawidzę hipokryzji.

Była szósta godzina i pracownicy biur wylegli na ulice, śpiesząc do domów ze swymi parasolami i zdefasonowanymi po całym dniu sztywnymi kołnierzykami. Gabriel klepnął kierownicę roweru.

– Kiedyś robiłem, co mi kazano, tak samo jak wszyscy, jak te biedne trutnie, które z trudem wiążą koniec z końcem, siedząc za biurkiem. Aż raz pomyślałem sobie: czemu nie miałbym żyć tak, jak mi się podoba? Skazać się na potępienie w opinii innych ludzi. W końcu ma się tylko jedno życie, prawda? – Zerknął na nią z ukosa. – O, proszę, znów panią zgorszyłem. Czy chodzi o mój język czy brak wiary w życie po śmierci?

– Ani jedno, ani drugie.

– Powinna pani przyjechać do Greestones, to mój dom w Wiltshire. Znów panią zaszokowałem? Że zapraszam panią do domu, bo chcę, aby poznała pani moją rodzinę, i to po raptem półgodzinnej znajomości?

4 Women's Social and Political Union – Społeczno-Polityczna Unia Kobiet.

Rozdział czwarty

Kiedy 6 maja 1910 roku zmarł król Edward VII, zamknięto teatry i wstrzymano transakcje na giełdzie. W dniu pogrzebu na ulicach jeszcze przed świtem gromadziły się tłumy, żeby choć z daleka zobaczyć trumnę przewożoną do Windsoru, gdzie król miał być pochowany. W szpitalu Mandeville myśli Iris zatrzymały się przez chwilę na tej śmierci (tyle lat czekania, a potem tylko dziewięć lat na tronie), aby zaraz wrócić do codziennych kłopotów: obolałych nóg i zniszczonych rąk.

W Summerleigh Clemency czytała matce gazetę:

– „Prezydent Taft wysłał królowej Aleksandrze depeszę kondolencyjną. Izba Rep... Rep...”

– Reprezentantów – dokończyła z irytacją Lilian. – Chodzi o Izbę Reprezentantów, Clemency.

Od Gabriela Bellamy’ego nadszedł list z zaproszeniem dla Ewy do jego domu w Wiltshire. Kiedy pani Wilde opowiadała o swoim żalu z powodu śmierci króla, Eva myślała, mile podekscytowana: Pamiętał! Przypuszczałam, że zapomni, że to była tylko uprzejmość, ale pamiętał!

Marianne, świeżo wprowadzona do londyńskiego towarzystwa, słyszała szepty i trwożne pomruki. Jak wyjaśnił jej jeden z przyjaciół Arthura, król Edward nadawał ton śmietance towarzyskiej, był uosobieniem jowialności i dobrego stylu życia. A ten George to podobno zupełnie inna para kaloszy – teraz czasy się zmieniają.

Od codziennego przedreptywania całych mil po oddziale Iris porobiły się pęcherze na nogach, a od sody i lizolu puchły jej i czerwieniały ręce. Nie zakręcała już wieczorem włosów, przedmiotu swej dumy, na papiloty. Stać ją było tylko na to, by codziennie upiąć je starannie pod czepkiem. Jej wyczerpanie doszło do punktu, w którym nie mogła nawet normalnie myśleć. Bez wsparcia swych wiernych sojuszników – pacjentów – wpadałaby w tarapaty znacznie częściej niż dotychczas. Kiedy siostra Grant nie widziała, panowie kiwali na Iris i pokazywali palcem, że czas nastawić czajniki albo że na parapecie została taca z brudnymi bandażami. Wydawało się, że nigdy nie ma dość czasu, aby wszystkiemu podołać. Biegałaby od jednego obowiązku do drugiego, ale poruszanie się biegiem było zakazane. Czasem po cierpkich słowach siostry Grant Iris czuła pod powiekami łzy i tylko duma, przeklęta duma, która popchnęła ją do tej pracy, nakazywała jej trzymać głowę wysoko.

Nie spóźniała się rano na oddział tylko dzięki temu, że Charlotte zawsze łomotała do jej drzwi. Iris już dawno zapomniała, ile razy chciała rzucić pielęgniarstwo – i pewnie by to zrobiła: poszłaby do przełożonej i wręczyła jej rezygnację albo po prostu wymaszerowała pewnego dnia z oddziału siostry Grant i więcej się tam nie pokazała –

gdyby tylko znalazła czas lub miała dość siły woli. Nie mogła się doczekać wolnych dni. Raz poszła na West End i snuła się po sklepach, czasem odwiedzała Marianne w jej chłodnym, jasnym domu. W ciągu ostatnich miesięcy zazdrość Iris wobec siostry zmalowała, a poza tym miło było spędzić dzień w cywilizowanym miejscu, bez szpitalnego smrodu.

Mimo wszystko, w miarę upływu czasu i niemal niepostrzeżenie, praca przy chorych stała się łatwiejsza. Kiedy Iris nabrała wprawy, nie czuła już tak wielkiego zmęczenia – prawdopodobnie dlatego, że nie musiała wszystkiego wykonywać dwa razy. A ponieważ była mniej zmęczona, łatwiej przyswajała sobie nowe umiejętności. Zadania, z którymi z początku żmudnie się zmagala, teraz wykonywała niemal mechanicznie. Z zawstydzeniem przypominała sobie pierwsze próby ścielenia łóżka czy przygotowania prostej kolacji.

W Mandeville istniały oddziały zamknięte dla przypadków zakaźnych, takich jak szkarlatyna, dyfteryt, wietrzna ospa czy choroby weneryczne, a także zapalenie szpiku kostnego i gorączka połogowa. Był też oddział dziecięcy, psychiatryczny i okulistyczny. Na oddział siostry Grant przyjmowano mężczyzn cierpiących na różne rodzaje schorzeń, do najpopularniejszych należały zakażenia, infekcje dróg oddechowych, ostre przypadłości brzuszne. Robotnicy w kwiecie wieku umierali w jeden dzień na płątowe zapalenie płuc, chłopcy u progu dorosłości wędli na niedomykalność zastawki sercowej – w konsekwencji gorączki reumatycznej przebytej w dzieciństwie.

W sobotnie noce i wolne od pracy dni zwożono mnóstwo rannych w ulicznych awanturach. Iris pielęgnowała mężczyzn, którym podcięto gardła w tylnych uliczkach Whitechapel, ofiary bójek w pubach, leżące nieruchomo z zabandażowanymi głowami. Były też wypadki fabryczne – robotnicy z kończynami połamanymi przez obsunięte dźwigary albo skutek upadku z drabiny czy zerwania liny.

Arthur Turner miał zmiądzoną nogę po wypadku w dokach. Był to dwudziestoletni chłopak z burzą brązowych kędziorów, zadartym nosem i szczerą, sympatyczną twarzą. Zaczepił Iris, kiedy ta przechodziła koło jego łóżka.

– Hej, Blondasku!

– Tak, panie Turner?

– Jestem Alfie, Blondasku. Mów mi Alfie. – Błysnął uśmiechem. – Muszę się napić. Najlepiej piwa, ale może być kropelka rumu.

– Dam panu wody. – Przyniosła mu kubek ze słomką.

Wypił kilkoma haustami, a potem opadł na poduszkę i uśmiechnął się do Iris.

– Co robisz w wolny wieczór, Blondasku?

– Ceruję pończochy i piszę listy.

– Czyżbyś nie miała kochasia? – I zawołał głośno, żeby go wszyscy słyszeli: – Chłopaki, ona nie ma kochasia!

– Hańba! – zakrzyknęło chórem z innych łóżek.

– Weź puknij się w łeb...

– Ja będę twoim kochasiem!

W bawialni praktykantek tej nocy było o jedną mniej. Elsie Steele zabrano do izolatki dla pielęgniarek z zapaleniem gardła. Charlotte, która pracowała z nią na oddziale, opowiadała koleżankom:

– Bardzo z nią źle. Siostra Matthews mówiła, że Elsie ma wysoką gorączkę.

Następnego dnia Alfie Turner na dobre przyczepił się do Iris. Przez cały dzień ściagał ją jego głos, proszący a to o coś do picia, a to o papierosa.

– Panie Turner – syknęła w końcu – ależ z pana utrapieniec!

– Mnie chodzi tylko o poduszkę. Trzeba ją wyklepać, bo czuję się, jakby mi ktoś podłożył worek kamieni.

– Ostatni raz! – Wyciągnęła mu poduszkę. – A potem muszę iść.

– Ja tylko chciałem...

– Czego?

– Zobaczyć twoją twarz.

– Panie Turner!

– Nie warcz tak na mnie, Blondasku. Masz taką śliczną buźkę... Nie mogę zrozumieć, co tu robisz. Powinnaś być na scenie, jesteś tak samo ładna jak te dziewczyny z Gaiety Theatre.

Iris walnęła poduszkę pięścią.

– Tylko że ja kompletnie nie umiem śpiewać.

– A tam, załóż się, że umiesz. Spróbuj coś zaśpiewać.

– Żeby ci się pogorszyło? – spytała z uśmiechem, wsuwając mu poduszkę pod głowę.

– I na pewno dobrze tańczysz. Ze mnie też niczego sobie tancerz. Niech tylko stąd wyjdę, zaraz zaproszę cię do Palais.

W innym życiu Iris nosiła białą suknię z jedwabiu i walcowała wokół sali. Teraz ów okres wydawał się jej nierzeczywisty; gdyby zbyt usilnie mu się przyglądała, mógłby się rozpuścić w powietrzu, jakby nigdy się nie wydarzył.

Tamtego wieczoru Iris siedziała w pokoju Charlotte przy ciasteczkach przysłanych przez matkę przyjaciółki. Elsie Steele nadal bardzo źle się czuła; temperatura nie obniżała się tak szybko, jak oczekiwali lekarze.

Następnego dnia doktor Hennessy przeciął ranę na nodze Turnera. Iris, która właśnie gotowała wodę w czajnikach, słyszała w kuchence krzyk chłopaka.

W porze herbaty Alfie odzyskał humor na tyle, by znów ją prześladować.

– Jak się nazywasz, Blondasku?

– Zna pan moje nazwisko: siostra Maclise.

– Miałem na myśli imię. – Uśmiechał się szeroko. – Bośmy się z chłopakami założyli, czy jesteś Florrie czy Ethel. No, Blondasku, powiedz! Może Gertie? Albo Marie?

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Żaden z was nie zgadł.

– Jak mamy iść na tańce, skoro nawet nie znam twojego imienia? – Jego głos ściagał ją po korytarzu, kiedy prowadziła wózek z podwieczorkiem. – Liz? Sal?

Stan Elsie Steele pogorszył się w ciągu dnia. Lekarze obawiali się, że infekcja dotrze do płuc. Przełożona posłała po rodziców dziewczyny. Tej nocy w bawialni praktykantek panowała cisza i nie słychać było śmiechów. Rano w kaplicy modlono się o wyzdrowienie koleżanki. Iris nie mogła w to uwierzyć. Pacjenci umierali każdego dnia wskutek wypadków czy chorób. Ale przecież nie mogło to dotyczyć drobniutkiej, żwawej,

niechlujnej Elsie, lat dwadzieścia dwa, metr pięćdziesiąt bez butów, z włosami w strąkach i akcentem ze środkowej Anglii.

Kiedy rano Iris weszła na oddział, przy łóżku Alfiego stał parawan. Podobno temperatura bardzo mu podskoczyła, jak wyjaśniła ją jedna z pielęgniarek. Był przytomny, miał rozszerzone źrenice i wiercił się niespokojnie na łóżku, a gdy Iris wjechała z wózkiem za parawan, zawołał ochryple:

– Mam nadzieję, że nie zapomniałaś?

– O czym?

– O naszym wypadzie, rzecz jasna. Ty i ja, Różyczko. Na tańce.

– Różyczko?

– Nocna pielęgniarka powiedziała mi, że masz kwiatowe imię. – Zerkał nerwowo na wózek. – A to po co?

– Kompres. Ciepło wyciągnie truciznę i noga przestanie puchnąć.

– Dość mam tych konowałów – szepnął. – Kroją mnie jak kawałek mięsa. – Drgnął, kiedy odwinęła przykrycie. – A po tańcach obowiązkowo kolacja – dodał napiętym z bólu głosem. – Postawię ci rybę z frytkami.

Odsłonięte partie nóg były czarne od sińców.

– Lina dźwigu pękła – wyjaśnił. – I wszystkie worki z pszenicą poleciały na mnie. Powiedziałaabyś, że trochę zboża może zrobić tyle zamieszania?

W wolny dzień Iris poszła na zakupy. O piątej, objuczona torbami i paczkami, spotkała się z Jamesem, który przyjechał do miasta na weekend, w Lyons Corner House przy Coventry Street.

– Ja stawiam – zapowiedział, całując ją na powitanie. Kelnerka już prowadziła ich do stolika. – Wygrałem trochę na koniach.

James zamówił kolację i poinformował Iris, co słyhać w domu, ale niezbyt uważnie słuchała. Znow ogarnęło ją to samo dziwne uczucie izolacji od tego, co dawniej stanowiło całe jej życie – tańców, pikników, codziennych domowych zajęć.

Po pewnym czasie powiedział:

– Mówię ci, rozchmurz się trochę. Coś niewyraźnie wyglądasz.

– Nie, wszystko w porządku, jestem tylko zmęczona. Ale to u mnie normalne. – Opowiedziała mu o Elsie i dodała: – Charlotte mówi, że Elsie niezbyt przykładła się do pracy. Zostawiała brudy po kątach, nie zawsze myła ręce po opatrzeniu ran. – Znow miała w uszach głos siostry Grant: „Czystość to nasza jedyna obrona przed infekcją”. – Elsie mogła umrzeć. To chyba zbyt wysoka cena za niedokładność, co?

– To jakaś bliska twoja przyjaciółka?

– Raczej nie.

– Ale i tak szkoda. Biedna mała.

Iris poczuła nagle złość.

– No patrz, wcale nie chciałam gadać o tym wstrętnym szpitalu! To miał być całkowicie wolny dzień, bez żadnych takich myśli. – Gapiła się na grzankę z serem na swoim talerzu. – Co za lichy mnie podkusiło, że się na to wszystko porwałam?

– Czasem ci zazdrozczę.

– Nie żartuj sobie, James. Gdybyś tylko wiedział...

– Skoro tu przyjechałaś, to znaczy, że potrafiłaś wyrwać się z domu. Może właśnie ty miałaś szczęście. Jesteś teraz wolna.

Chciało jej się śmiać. Przypomniała sobie obrzydzenie na myśl o codziennym zwlekaniu się z łóżka o świcie, o spierzchniętych dłoniach i obolałych nogach. To śmieszne mówić, że jest wolna, kiedy dosłownie na każdą chwilę dnia przypada jakieś zadanie.

– A jak tam wszyscy w domu? Co z mamą? Znow źle?

– Z mamą jest jak zawsze.

– A ojciec? Kłóciliście się znowu?

– Nie więcej niż zwykle. – Wzruszył ramionami. – Nie lubię go denerwować, ale tak wychodzi...

– Może spróbuj nie robić tego, co go denerwuje. Wiesz, jaki jest w sprawach pieniędzy.

– Jest po prostu kutwą.

– Ja mówię o hazardzie! – krzyknęła z rozpaczą. – Gdyby ojciec wiedział...

Oczy mu pojaśniały.

– Przecież wygrałem!

– A jak często przegrywasz?

– Może ze dwa razy... – przyznał. – Ale to takie przyjemne! Podniecające! To dlatego mnie tak ciągnie, wszystko inne jest takie zwyczajne! Czasem się boję, że tak już będzie do końca świata. Za pięćdziesiąt lat nadal będę mieszkał w Sheffield i pracował w firmie Maclise'ów.

– A to takie złe?

– Chciałbym zrobić coś godnego pochwały, bohaterskiego – mówił z błyszczącymi oczami. – Coś, co ludzie by pamiętali. Zdobyć Biegun Południowy albo przelecieć przez Atlantyk... Ale dotąd nigdy jeszcze nie opuściłem Anglii.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu mężczyznom tak zależy na sławie czy bohaterstwie. Podejrzewam, że jedno i drugie jest bardzo niewygodne. Zupełnie jak pielęgniarstwo.

James się uśmiechnął.

– Pewnie mógłbym się ożenić. To pozwoliłoby mi uciec z rodzinnego domu, co? Tylko że to jeszcze jedna sprawa, w której nie zgadzamy się z ojcem. On chciałby, żebym wziął sobie pierwszy lepszy worek kości, byle z pieniędzmi i z dobrej rodziny. A ja lubię dziewczęta miękkie i urocze, z cerą jak brzoskwinia i zgrabną figurką...

– James!

Następnego dnia chirurdzy operowali nogę Turnera. Wycięli martwą kość i zabandażowali ranę. Kiedy Iris zobaczyła Alfiego, był blady i osłabiony.

– Czuję się, jakby mnie walili młotkami. – Zerknął w okno, na szare chmury pędzące po niebie. – Zejdzie ze dwa tygodnie, zanim cię wezmę na tańce, Różyczko.

Lepsze nowiny czekały na nią w domu pielęgniarek: Elsie Steele zaczynała wracać do zdrowia. Charlotte pozwolono na kilkuminutowe odwiedziny. Z powodu gorączki chorej obcięto włosy.

– Wygląda jak chłopczyk – opowiadała Charlotte. – Śmieszny, chudziutki

chłopczek. Elsie postanowiła, że jak wyzdrowieje, to wraca do domu. Ma już dość szpitala, więc będzie nas o jedną mniej.

Rano pierwszą rzeczą, która na oddziale rzuciła się Iris w oczy, to brak parawanu przy łóżku Alfiego. Ułamek sekundy później uświadomiła sobie, że łóżko jest puste, a koce i prześcieradła zostały usunięte.

Nocna pielęgniarka przykucnęła obok szafki.

– Odszedł w nocy, biedaczek – mruknęła, pakując dobytek Alfiego w arkusz papieru. – Tak jest najlepiej, nie mogę znieść, kiedy to się przewleka. – Niech siostra przygotuje łóżko dla następnego pacjenta.

Ależ on nie mógł umrzeć, myślała Iris, nie mogąc się z tym pogodzić. Przecież jeszcze wieczorem z nim rozmawiała... Poszła jednak posłusznie do składziku, gdzie gapiała się tępo na stosy bielizny. To śmieszne, żeby tak się przejmować, upominała się w duchu. Ludzie na tym oddziale umierają codzienne – silni młodzi mężczyźni, tacy jak Alfie.

Powinna już do tego przywyknąć.

A jednak prześcieradła i powłóczki zamazywały jej się w oczach i musiała przycisnąć palcami powieki, żeby powstrzymać łzy. Potem wzięła głęboki oddech i z naręczem pościeli wróciła na oddział.

Na stacji kolejowej przy lokalnej linii z Salisbury czekała na Evę dwukółka z kucem.

– Gabriel wyszedł – poinformował Evę młody woźnica, biorąc od niej torbę i pomagając usadowić się na wózku. – A Sadie, wie pani, ona jest *eincente*. Bóg wie, gdzie się podziewa Nerissa, a Max i Bobbin pewnie jeszcze śpią, niech ich cholera, no więc padło na mnie. – Wyciągnął do niej rękę. – Jestem Val Crozier. Niektórzy myślą, że Val to skrót od Valentine, ale ma pani taką miłą twarz, że wyznam prawdę: moi starzy, niech ich piekło pochłonie, dali mi na chrzcie Percival.

– Eva Maclise – przedstawiła się, ściskając mu dłoń.

Cmoknął na kuca i ruszyli.

– Maclise? Chyba nie Szkotka?

– Nie. Mój pradziadek...

– Dobra! Paskudny kraj ta Szkocja. Jeszcze gorszy od cholernego Wiltshire.

Jechali truchtem przez wąskie drogi obrzeżone wysokimi murkami, przez które przelewał się wiciokrzew z żywopłotów, a głogi uginały się od różowego i kremowego kwiecia.

– Tu jest bardzo ładnie – zauważyła Eva.

– Mieszkam u Gabriela i Sadie już trzy miesiące i może mi pani wierzyć: strasznie tu ponuro. Nie cierpię wsi. – Kichnął. – I ciągle się przeziębam.

– A skąd pan zna pana Bellamy’ego?

– Poznaliśmy się w pubie. To taka melina w Paddington.

– Jest pan artystą?

– A skąd. Prawdę rzekłszy, to na razie nic nie robię. Próbowałem zdawać na

urzędnika państwowego w Indiach, ale oblałem egzamin, a potem poznałem Gabriela, no i zaprosił mnie tutaj. Pomagam w gospodarstwie, noszę wodę, karmię zwierzęta i tak dalej.

– Zwierzęta?

– Te cholerne świnie. – Z przeciwnej strony nadjeżdżał wóz; Val zjechał w pole, żeby go przepuścić. – Nie cierpię świń tak samo jak bachorów. Miałem uczyć te potwory starożytnej greki, znaczy się, dzieci, nie świnie. Gabriel uważa, że dzieciaki można nauczyć wszystkiego, jeśli się do tego zabrać wystarczająco wcześnie. Że niby jakoś to wchłaniają.

– I rzeczywiście?

– A w życiu! Zresztą ja się nie nadaję na belfra. Jeszcze jeden zawód nie dla Vala Croziera. – Machnął ręką w stronę wzgórz. – To już Greenstones.

Eva zobaczyła w dali grupę budynków. Wyglądały dostojnie i samotnie na tle okrągłych wzgórz, strumieni i lasów.

Zjechali na drogę przecinającą złote od jaskrów pola. Kiedy zbliżyli się do domu, okazało się, że zbudowano go z mieszaniny kamieni i cegieł, w otoczeniu budynków gospodarczych.

Val skierował kuca na podwórze. Małe dziecko z potarganymi czarnymi włosami, ubrane – jak się wydało Evie – w różnokolorowe łachmany, wybiegło pędem z pobliskiej stodoły.

– Zgadnij, co tu mam? – spytało Evę.

– Nie mam pojęcia.

– Zobacz! – Dziecko wysunęło złączone dłonie.

– Nie próbowałbym, na pani miejscu – ostrzegł Evę Val. – Zmiataj stąd, Lysander.

A przy okazji: gdzie jest Sadie?

Lysander otworzył dłonie, pokazując wielkiego czarnego żuka.

– Bardzo ładny – powiedziała grzecznie Eva.

Mały zerknął chytrze na Vala.

– Nazwę go Percival. Żuk Percival.

Val wziął torbę Evy i poszedł w stronę domu.

– Ty mały wstręciuchu – burknął pod nosem.

Wewnątrz panował bałagan; wylewał się z każdej półki i pokrywał każdą powierzchnię. Kolekcja krzemieni poniewierała się w kominku. Zabawki – drewniane klocki i lokomotywki – leżały na dywanikach, jakby przewrócone przez podmuch wiatru. Pokój miał nieregularny kształt i niski sufit, meble były sfatygowane, ale wygodne i wszędzie leżały obrazy – szkice w czerwonej i białej kredzie, rysunki ołówkiem, druki, a nad kominkiem wisiał wielki olejny portret kobiety – chłodna, przykuwająca uwagę twarz w chmurze ciemnych włosów.

Val wprowadził Evę do kuchni, gdzie pachniało kawą i świeżo upieczonym chlebem. Kolejny mały chłopczyk siedział na ociekaczu i jadł bułkę, na podłodze kot chleptał mleko ze spodka. Na palenisku perkotało coś w dużym żeliwnym garnku. W zlewie piętrzyły się brudne formy do ciasta i rondle.

W ciężarnej kobiecie, która przy dużym sosnowym stole wałkowała ciasto, Eva

rozpoznała modelkę z portretu. Fartuch opinał się na jej wielkim brzuchu. Mała dziewczynka obejmowała ją rączkami za nogę. Hero, jak domyśliła się Eva, czarnowłosa i ciemnooka jak bracia, miała na sobie sukienkę z czegoś, co wyglądało na jutę w czerwono-zielone paski.

– Halo, Sadie – odezwał się Val.

Kobieta podniosła głowę.

– Val! Dzięki Bogu. Orlando jest z tobą?

– Niestety nie.

Sadie wyraźnie się zmartwiła.

– A ja myślałam... Nie widziałam go cały ranek.

– Może poszedł z Gabrielem.

– Mógłbyś się za nim rozejrzeć? Wiesz, jaki jest.

– Oczywiście. Przy okazji: to jest Eva. – Val zawrócił na korytarz.

Sadie wytarła umęczoną rękę w fartuch i podała ją dziewczynie.

– Miło mi cię poznać. Przepraszam, że tu wszystko jest dość... – Słowa uwięzły jej w gardle, a spojrzenie błędziło po kuchni.

– To bardzo uprzejmie, że mnie pani zaprosiła, pani Bellamy.

– Mów mi „Sadie”. Wszyscy przyjaciele Gabriela... Ale pewnie jesteś zmęczona i głodna po podróży. Kawy?

– Poproszę.

– Siadaj, jeśli znajdziesz kawałek wolnego miejsca.

Sadie naląła do kubka kawy z emaliowanego dzbanka i wręczyła go Evie.

– Ja sama nigdy nie piję kawy, kiedy spodziewam się dziecka – powiedziała ze smutkiem. – To straszne, ilu życiowych przyjemności pozbawiają człowieka dzieci. Za to jestem głodna. Chyba wciąż jestem głodna. – Ukroiła dwie kromki chleba. – Proszę, częstuj się, Evo. Tu masz miód od pszczoł Gabriela – dodała, zdejmując słoik z półki. – Eva zauważyła, że kiedy Sadie chodzi, Hero wciąż trzyma się jej nogi, stanowiąc dodatkowe obciążenie.

– Czy pan Bellamy hoduje pszczoły? – spytała, smarując chleb.

– Niestety. W zeszłym roku się wyroiły i wpadły do domu przez komin. Były czarne od sadzy i brzęczały jak wściekłe w sypialni dzieci. Weź jeszcze.

– Co za pyszny chleb!

– Miło, że tak mówisz. No, teraz naprawdę muszę to skończyć – rzekła Sadie, wstając.

Siedziała najwyżej pięć minut. Sadie z portretu różniła się mocno od kobiety wałkującej ciasto. Ta druga była bledsza i miała zmęczone, niespokojne oczy.

– Mogę w czymś ci pomóc? – spytała Eva. – Wprawdzie kiepsko gotuję, ale chętnie pozmywam.

– Naprawdę? – ucieszyła się Sadie. – Nerissa miała to zrobić, ale rozboleła ją głowa i poszła się położyć. A wszyscy pozostali goście to mężczyźni. – I dodała kąśliwie: – Raczej nie zniżyliby się do zmywania.

Eva ułożyła kilka półmisków na ociekaczu, tuż obok siedzącego tam chłopczyka, który pokazał jej język.

- Ptolemy! – upomniała go matka.
- Mamusiu! – Wyciągnął do niej rączki.
- Mama nie może cię wziąć. Jesteś za ciężki.
- Ale mamusiu...

– Skończ swoją bułeczkę, Tolly. Gorąca woda jest na kuchni, Evo, najlepiej od razu napełnij czajniki na nowo, bo ci nie wystarczy. Gdyby zabrakło zimnej, poproszę któregoś z panów, żeby przyniósł ze studni. A w czasie zmywania pogadamy sobie, dobrze? Jesteś z Londynu? Opowiedz mi coś o Londynie, tak bardzo mi go brakuje! Co widziałaś w sklepach i w ogóle. A przede wszystkim, co się teraz nosi?

Eva opowiedziała Sadie o materiałach na suknie u Selfridge'a i o wyprawie Marianne. Potem opisała jej sztukę graną w Haymarket, i balet, który widziała w Empire.

Sadie miała smutną minę.

– Uwielbiam balet. Jako dziewczynka chciałam zostać tancerką. – Otworzyła drzwiczki pieca. – Hero, proszę! Nie trzymaj mnie tak kurczowo. – Odczepiła rączki córeczki od swoich kolan. Mała zaczęła płakać. Nie zwracając na nią uwagi, Sadie pochyliła się z trudem i wsunęła blachę do pieca. – A teraz opowiedz mi coś o sobie. Czym się zajmujesz?

– Studiuję w Slade School of Art.

– Też tam chodziłam – wyznała żona Gabriela, prostując się i pocierając wolną ręką krzyż. Jej duże, ciemne o migdałowym kształcie oczy ześliznęły się na płaczące dziecko. – Wieki temu, w innym życiu.

Do obiadu Eva nie spotkała już nikogo z domowników. Kiedy skończyła zmywanie, Sadie zaprowadziła ją do pokoju. Eva rozpakowała się, wykapała i przebrała w wieczorową suknię. O szóstej zeszła na dół. Gwar dobiegał z kuchni, gdzie czekał nakryty stół. Siedziała przy nim młoda kobieta w ciemnoczerwonej, dopasowanej sukni. Błyszczące czarne włosy wiły się wokół jej uszu, okalając podłużną, owalną twarz. Bardzo przystojny młodzieniec z kasztanowymi kędziorami, w tweedowej marynarce z łatami na łokciach opierał się malowniczo o zlew. W kącie Lysander i Ptolemy szczebiotali przy grze w kości.

Sadie stała przy piecu i mieszała gulasz. Przedstawiła Evę pozostałym gościom: młody człowiek w tweedach nazywał się Max Potter, kobietą w czerwonej sukni była Nerissa Jellicoe. Max nalał Evie kieliszek czerwonego wina.

– Gabriel robił dawniej wino ze strąków groszku i pokrzyw, ale na szczęście już mu to przeszło – odezwała się Nerissa przeciągłym, głębokim głosem. – Teraz zaopatruje się we Francji, przynajmniej tyle dobrego.

Coraz więcej ludzi napływało do kuchni: Val niosący na barana Hero, niski człowieczek o okrągłej twarzy, którego Max przedstawił Evie jako Bobbina, wreszcie tyczkowaty dziewięciolatek o czarnych włosach i migdałowych oczach – nieodrodny syn Sadie.

– Orlando – powitała go matka – idź się umyć. A gdzie Gabriel? Jarzyny całkiem wystygną!

– Wyglądasz, jakbyś wytarzał się w sianie – powiedział Max do Orlanda, który miał we włosach pojedyncze źdźbła i smugi brudu na twarzy.

– Polowałem na szczury – wyjaśnił chłopiec, wymachując procą.

– I udało ci się? – zainteresował się Lysander.

– Nie, ale złowiłem żabę siatką na ryby. Naprawdę świetnie skacze! Mam ją w pudełku w swoim pokoju.

– Orlando, natychmiast umyj ręce – powtórzyła Sadie.

W tym momencie drzwi na podwórze otworzyły się z impetem i w progu stanął Gabriel Bellamy ze strzelbą przewieszoną przez ramię i kilkoma królikami na plecach.

– Przyniosłem ci prezent, Sadie – rzekł, wchodząc do kuchni i rzucając króliki na ociekacz.

– Gabrielu, nie tak blisko pasztecików!

– Miałem fantastyczny dzień. – Objął żonę i przyciągnął do siebie, całując ją czule.

– Obiad na stole. Zanieś te króliki do spiżarni.

– Nie chcesz posłuchać, co robiłem?

– Jarzyny...

– Wstałem bladym świtem, kiedy na polach leżała jeszcze rosa.

– Gabrielu... – Głos Sadie drżał lekko, ale zaraz się opanowała. – Zanieś króliki do spiżarni i siadaj do stołu. A ty, Orlando, w tej chwili umyj ręce.

Gabriel zgarnął króliki, a chłopiec niechętnie powlókł się na górę.

– Mogę ci w czymś pomóc, kochanie? – zwróciła się Nerissa do Sadie.

– Gdybyś była tak dobra i wyjęła talerze... Ja nie dam rady. – Położyła rękę na brzuchu.

– Ja to zrobię – zaofiarował się Val, sięgając na półkę.

– To ja zajmę się malutką. – Nerissa złapała Hero i mimo jej oporu posadziła sobie na kolanach.

Sadie podała gulasz. Gabriel wróciwszy ze spiżarni, zauważył Evę i wydał ryk radości. Objął ją za szyję i pocałował w policzek.

– Zostaw tę biedną dziewczynę, Gabrielu! – zawołała Nerissa. – Burzysz jej fryzurę.

– Ja zawsze jestem rozczochrana – wyjaśniła Eva. – Takie już mam włosy.

– Powinnaś je szczotkować sto razy każdego dnia. Ja tak robię. – Dotknęła swoich gładkich loków. – Hero wsadziła palec do wina Nerissy i oblizała go.

– Nie rób tego, kochanie – upomniała ją ostro Nerissa. – Brzydka dziewczynka!

Buzia małej skrzywiła się do płaczu. Gabriel porwał córeczkę w ramiona i zakrzęcił nią w powietrzu. Łzy natychmiast obeschły i Hero zaczęła pisać z zachwytem.

Przy stole cały czas trwała nerwowa bieganina. Jeśli ktoś chciał dokładkę ziemniaków i nie mógł dosięgnąć półmiska, zrywał się z krzesła i okrążał stół. Ciche prośby Sadie w rodzaju: „Poproś o podanie, nie gadaj z pełną buzią”, przechodziły bez echa. W połowie pierwszego dania Gabriel wstał, żeby poszukać kwiatów, które zebrał rano, chwilę później zniknął Bobbin i niebawem wrócił z ogromnym tomem do identyfikacji nieszczęsnych przywiedłych roślin. Potem Orlando wymknął się po żabę, która uciekła z pudełka i skakała po podłodze wśród przeraźliwych pisków zarówno

Bellamych, jak ich gości. Hero, zmartwiona stratą, wybuchnęła płaczem i trzeba było ją pocieszać, póki nie usnęła na kolanach Sadie. Między jednym incydem a drugim Gabriel z Maksem planowali żeglarską wyprawę do Bilbao, Nerissa zaś opowiadała o swym pomysle nabycia wozu cygańskiego, aby podróżować po kraju.

– Będę miała zieloną suknię i najładniejszy na świecie słomkowy kapelusik ze wstążkami pod szyją, taki, jakie noszą pasterki.

Sadie podawała właśnie placek z jabłkami, kiedy Gabriel utkwił w Evie spojrzenie i zapytał:

– No jak tam, Evo Maclise? Dobrze się bawisz? Czy ktoś cię oprowadził po gospodarstwie? Nie? W takim razie będę miał zaszczyt uczynić to jutro osobiście. – Sadie podsunęła mu kawałek placka. – Przedstawię cię moim świniom. Są fantastyczne, czyż nie, Val? Lubisz świnie, Evo? Śliczne zwierzaki! Mam zamiar zbudować tamę na strumieniu, żebyśmy mieli sadzawkę. Moglibyśmy hodować karpie. – Uśmiechnął się do Evy. – Możesz mi pomóc kopać, jeśli zechcesz. Zostań u nas parę tygodni, może miesiąc, ile ci się spodoba.

– Gabrielu, Eva musi wracać do Londynu. Ma szkołę.

– No jasne. – Gabrielowi wydłużyła się mina. – Szkoda, lubię towarzystwo.

– Masz dom pełen ludzi.

– Im więcej, tym weselej.

– Śmietanka czy krem żółtkowy? – Sadie przysunęła mężowi dwa dzbanki.

Gabriel poweselał.

– Więc co o nas sądzisz, Evo? Mam nadzieję, że nie zachowujemy się zbyt głośno. Niektórzy z naszych gości uciekają z krzykiem już po dwóch godzinach.

– Gabrielu, przecież tylko jedna...

– I do tego wariatka.

– Całkowita. Kompletnie stuknięta.

– Eva jest z bardziej wytrzymałego materiału, prawda? – Gabriel polał sobie obficie placek z obydwóch dzbanków. – Pochodzisz z licznej rodziny, co? Sama mówiłaś o „hordach”.

– Mam sześcioro rodzeństwa.

– No proszę – zauważyła z uśmiechem Nerissa. – Sadie, to coś dla ciebie. Po tym nowym jeszcze tylko dwójka.

– Dobry Boże, mam nadzieję, że nie – mruknęła Sadie. – Chyba bym się zabiła.

– Sadie! – oburzył się Gabriel.

Stała właśnie przy zlewie z pustą formą do placka w ręku.

– To dlatego, że jestem taka zmęczona. – Miała twarz białą jak papier. – I skończyły się czyste łyżki.

– Och, na miłość boską, usiądź! – Gabriel podprowadził ją do krzesła. – Czy zawsze musisz robić przedstawienie? Możemy użyć tych do herbaty. – Wyciągnął z szuflady kilka łyżeczek. – Wiesz co? Jutro nie będziesz nic robić! Odpoczniesz sobie, możesz cały dzień spędzić w łóżku. Ja się zajmę obiadem. Upiekę króliki na ognisku w polu i będziemy jeść pod gwiazdami jak Cyganie. – Usiadł obok żony i pocałował ją w rękę. Sadie uśmiechnęła się do niego.

Rano Gabriel oprowadził Evę po farmie. Pokazał jej warzywnik, łąkę, pasiekę i chlewy.

– Dopiero w zeszłym roku kupiłem świnie – wyjaśnił – więc traktuję je jako eksperyment. Zjadają wszystkie obierki i powinny mieć wspaniałe bekony na jesieni. Myślę też o sprowadzeniu pary krów.

Przeszli przez podwórze.

– Czy to wszystko nie zajmuje zbyt wiele czasu? – spytała Eva. – Czasu, który mógłbyś poświęcić malowaniu?

– Kiedy potrzebuję trochę czasu dla siebie, uciekam do Londynu. Wynajmuję pracownię w Paddington. A poza tym... – Urwał i skrzywił się lekko. – Ostatnio mam dość jałowy okres, można powiedzieć. – Od czasu tamtych pejzaży niewiele zrobiłem. – Zerknął na nią. – Tobie to się chyba jeszcze nie zdarzyło.

– Raczej nie.

– Ile ty masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Dziewiętnaście! – Szli w stronę trawiastego zagłębienia, gdzie Gabriel zamierzał urządzić sadzawkę z rybami. – Ja w twoim wieku nie miałem dość czasu, żeby namalować to wszystko, co chciałem. Myślałem, że zawsze już tak będzie. Teraz, kiedy mam trzydzieści... no cóż, widzę, że jest inaczej. – Podniósł suchą gałąź i zaczął rozgarniać wysoką trawę i pokrzywy. Kiedy doszli do krawędzi dołka, zatrzymał się nagle. – Znasz to uczucie, kiedy masz zacząć jakiś obraz, Evo? Kiedy jesteś pewna, że to będzie najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek namalowałaś? To coś w rodzaju... takiego mentalnego mrowienia. Jakby coś w tobie bulgotało, a ty musisz to opanować i robić swoje. Tak się czułem, kiedy kupiłem tę farmę. W ciągu pierwszej zimy namalowałem sześć pejzaży. A gdy poznałem Sadie... Nigdy nic mi się tak nie udało jak jej portrety. Tak samo z Nerisą. Mam na myśli „Dziewczynę w czerwonej sukni”. Potrzebuję czegoś... albo kogoś... kto wykrzesalby ze mnie tę iskrę. – Postukał się w czoło. – Wtedy wszystko idzie stąd... Pozwól, że ci pokażę, czemu kupiłem to miejsce. I dlaczego tak je kocham.

Odeszli od farmy, kierując się w stronę wzgórz. Z łąk po obu stronach wzbily się pod błękitne niebo skowronki, zanosząc się od śpiewu. W dole połyskiwały w słońcu dachówki zabudowań.

Przed nimi wyrastał z trawy owal długiego kopca, zwieńczonego sękatymi głogami.

– Obawiam się, że nie ma co liczyć na kości starożytnych królów ani ukryty skarb – rzekł Gabriel. – Rabusie grobów pewnie już dawno to spenetrowali. – Wspiął się na wierzchołek kopca. – A jednak zawsze mam wrażenie, że jestem tu intruzem, dziwne, co? Jakbym znalazł się na cudzym gruncie. Spójrz! Co o tym myślisz?

Wokoło rozciągał się pejzaż – wzgórce, las i łąka, przetykane srebrnymi nitkami strumieni. Wiatr zwiewał włosy z twarzy Ewy i kołysał liśćmi głogów.

– To piękne – szepnęła. – Bardzo piękne.

Gabriel zbiegł z kopca na łąkę i przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami stojącej

wyżej Evie. Zastanawiała się, czy nie powiedziała czegoś niestosownego. Tak tu pięknie... Na miłość boską, skarciła się w duchu, czy nie mogłam wymyślić nic bardziej oryginalnego?

Ale on powiedział:

– Chodź, pewnie już czas na lunch.

I wyciągnął rękę, żeby pomóc jej zejść ze zbrocza.

Po południu Hero usnęła w fotelu, panowie zniknęli, żeby przygotować ognisko, a Eva i Sadie usiadły przy herbacie w pokoju z krzemiakami i zabawkami dzieci.

– To miał być mój salonik – wyjaśniła żona Gabriela – ale ciągle ktoś się tu kręci.

– Odsunęła łamigłówkę i pudełko z farbami, żeby Eva mogła postawić tacę. – A jednak jak to elegancko popijać sobie herbatkę z przyjaciółką.

Z przyjaciółką... Eva poczuła iskierkę radości. Może państwo Bellamy naprawdę zostaną jej przyjaciółmi. Może będą jeszcze inne takie weekendy, inne piątki, kiedy koleżanki ze Slade zapytają, jakie ma plany, a ona rzuci lekko: „Ach, jadę do Bellamych... Wicie, to ten artysta i jego żona”. Może dostanie się do tego ścisłego kręgu niekonwencjonalnych przyjaciół, może kiedyś pozna tę fascynującą posiadłość tak dobrze, jak nudne Summerleigh?

Sadie opadła ciężko na krzesło.

– Opowiedz mi o sobie, Evo. Jesteś w Slade, tak? Podoba ci się tam? Czy Henry Tonks nadal uczy? I czy modelkami nadal są te koszarne baby? Ciekawe, skąd oni je biorą. Gabriel powiedział kiedyś, że z burdelu, ale pewnie próbował mnie zgorszyć.

Eva opowiedziała Sadie o studentkach, które z płaczem uciekały z zajęć z Henrym Tonksem, i o długich godzinach spędzonych na rysowaniu greckich posągów i etruskich płaskorzeźb.

– Ach, przypomniałaś mi, jak bardzo brakuje mi koleżanek! – westchnęła Sadie. – W Greenstones zawsze jest tylu mężczyzn! Może Hero kiedyś będzie dobrą towarzyszką, ale na razie jest stanowczo za mała na rozsądne rozmowy.

– Masz jeszcze Nerissę – przypomniała jej Eva.

– Głównym tematem rozmów z Nerissą jest ona sama, a to wprowadza pewne ograniczenia. Doszło do tego, że czasem mówię do siebie. Żebym chociaż znalazła służącą, z którą da się pogadać o tym wszystkim, co zwykle interesuje kobiety! Ale oczywiście nikt sensowny dobrowolnie nie będzie chodził taki kawał drogi, więc muszę zadowolić się jakimiś półgłówkami. W tygodniu przychodzi dziewczyna z wioski, niestety potrafi wydukać tylko: „tak, psze pani” albo „nie, psze pani” i patrzy tępo, kiedy próbuję mówić o czymś więcej niż krochmal czy soda do prania. Straciłam już rachubę, ile tych dziewczyn przewinęło się przez nasz dom. Niektóre odchodziły, bo bały się Gabriela – on bywa dosyć głośny, no i ten jego piracki wygląd... Inne znów gorszyły się Nerissą. – Sadie podała Evie filiżankę herbaty, wyjaśniając: – Bo Nerissa wierzy w kontakt z naturą i czasem niewiele wkłada na siebie. Jedna dziewczyna uciekła z wrzaskiem, kiedy zobaczyła, jak Nerissa pozuje Gabrielowi w sadzie.

Eva zachichotała.

– Wiem, to trochę śmieszne – przyznała Sadie z uśmiechem. – Niektórzy z przyjaciół Gabriela są... hmm... dość niekonwencjonalni. – Zamieszała herbatę. – No i oczywiście są dzieci.

– To śliczne dzieci.

– Naprawdę? – spytała z powątpiewaniem Sadie. – Może i tak. A przynajmniej byłyby śliczne, gdyby szcztokowały włosy i częściej się myły. Gdybym była lepszą matką, zmusiłabym je do tego. Przepraszam, znów się użalam, nie zwracaj na to uwagi. Naprawdę tak nie myślę, to tylko... – Poklepała się po brzuchu. – Zawsze w ciąży bywam trochę przygnębiona.

– To musi być bardzo męczące.

– Jeszcze gorzej jest po porodzie, naprawdę! Kiedy spodziewasz się piątego dziecka, dobrze wiesz, w co się pakujesz. Oczywiście sam poród i te wszystkie okropności... a potem bezsenne noce. Kiedy sobie pomyślę, jaka będę wykończona przez następne pół roku... I przez całe miesiące dobrze, jeśli będę miała dla siebie chociaż pół godziny. – Skrzywiła się i zagryzła wargę. – Wybacz mi, Evo, to gadanie, gotowam na dobre zniechęcić cię do małżeństwa i macierzyństwa.

Z drugiego pokoju dobiegł słaby jęk.

– Hero – mruknęła Sadie i wstała. Już w drzwiach odwróciła się i powiedziała spokojnie: – Nie myśl, że mi tu źle. Naprawdę lubię swoje życie, a czasem nawet kocham. I Gabriel je kocha. Jest tu szczęśliwy, a dla mnie tylko to się liczy.

Na łące za domem rozpalili ognisko. O zmroku stanęli w kręgu i patrzyli, jak ogień pochłania suche liście i gałęzie. W blasku płomieni ich twarze były czarne i złote niczym azteckie maski. Wiatr podsyczał płomienie, rozsiewając pomarańczowe iskierki niczym proch na lawendowoszarym niebie. Na tle kłębiących się chmur odcinała się ciemna sylwetka kurhanu.

Kiedy ogień wygasł, Gabriel umieścił w żarze upolowane poprzedniego dnia króliki. Evie przypomniały się oficjalne pikniki z czasów dzieciństwa – wyprawy w brekach i samochodach, ze służbą, koszami i składanymi krzesłami. Tu po prostu siedzieli na trawie i grzali się przy ognisku, a zamiast eleganckich kanapek z ogórkiem i bułeczek jedli królika, młodą marchewkę i zieleninę z warzywnika.

Max rozlewał wino, a po posiłku Bobbin wyjął gitarę i zaczął grać. Nerissa tańczyła wokół ogniska, kołysząc się do taktu w swej czerwonej sukni i rysując w powietrzu wzory białym papierowym wachlarzem.

Patrząc na jej płynne, hipnotyczne ruchy, Max szepnął Evie do ucha:

– To prawdziwa suka, ale przynajmniej można zrozumieć, co Gabriel w niej widzi.

– Jest jego modelką, prawda?

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

– No... owszem, pozuje mu.

I rozplynął się w ciemności.

Taniec się skończył i rozległ się szmer oklasków. Za plecami Evy ktoś pociągnął nosem. Obejrzała się i zobaczyła Ptolemy'ego.

– O co chodzi, Tolly?

– Chcę wachlarz. – Miał buzię zalaną łzami, w rękę ścisnął kawałek zmiętego papieru. – Chcę taki wachlarz jak Nissa.

Eva wzięła od niego papier i ułożyła go w kształt wachlarza. Ptolemy wdrapał się jej na kolana, ściskając swój skarb w pulchnej łapce. Uświadomiła sobie, że był średnim dzieckiem, podobnie jak ona. Nie najstarszym i nie najmłodszym, w gruncie rzeczy zupełnie nieważnym. Objęła go ramionami, a on przywarł do niej całym ciepłym ciałkiem.

Bobbin rozpoczął pieśń. Z mroków nocy dobiegał tylko jego tęskny głos, śpiewający o utraconej miłości.

*Do dalekiego kraju pojadę,
Gdzie nie znam nikogo i nikt nie zna mnie.*

Gdybym nawet miała nigdy tu nie wrócić, myślała Eva, nie spotkać już nigdy nikogo z Bellamych, na zawsze zapamiętam ten cudowny weekend, tę noc, ognisko, tę pieśń i ciepły ciężar dziecka na moich kolanach.

Jakiś kształt zamajaczył w ciemności: Gabriel. Usiadł przy niej – jak na tak wielkiego mężczyznę, poruszał się płynnie i z gracją.

– Pocziwy stary Bobbin kolekcjonuje pieśni – rzekł. – Ma twarz poborcy podatkowego, a duszę poety. Co jest z tą muzyką? Dlaczego prosta, zwyczajna piosenka tak działa na człowieka? – Dotknął jej ramienia. – Nawet muzyka kościelna... Zwłaszcza kościelna. Można być ateistą, nie uznawać tych wszystkich nauk o Bogu, a jednak wystarczy jakaś melodia, choćby kolęda, żeby wzruszyć człowieka do łez.

– Jest pan ateistą?

– W głowie. – Uderzył się pięścią w pierś. – Ale nie w sercu. A ty?

– Nie wiem. Wszyscy w mojej rodzinie chodzą do kościoła. Byłaby straszna awantura, gdyby ktoś odmówił. Ale nie każdy z nas stosuje się do tego, czego uczą księża.

– Wiedziała, że zabrzmiało to gorzko. – Po prostu wymawiamy słowa.

Obrzucił ją spojrzeniem.

– Zawsze jest duży rozdźwięk między tym, co chciałoby się robić, a co naprawdę się robi.

– Pana to nie dotyczy! – wykrzyknęła Eva, z uśmiechem podnosząc na niego wzrok. – Tu jest tak cudownie, chyba udaje się panu żyć według własnych zasad, prawda? A skoro pan i Sadie możecie, to czemu nie mogliby inni?

– Droga Evo – odrzekł miękko – nigdy się nie zmieniam, dobrze? – I innym już tonem dodał: – Powiniennem położyć to dziecko do łóżka, bo inaczej będzie marudzić przez cały ranek. – Zdjął Tolly'ego z jej kolan i odszedł szybkim krokiem.

Już dobrze po północy zaczęli się wreszcie rozchodzić i poziewując, wracać do domu. W swoim pokoju Eva zdjęła płaszcz i przeciągnęła szczotką po włosach. Potem usiadła na chwilę przy oknie, wyglądając na zewnątrz.

Rozległo się pukanie. W progu stał Gabriel.

– Nie mogłem spać – mruknął.

Wcześniej wspominał, że cierpi na bezsenność. Pochlebilo jej, że to u niej szuka pomocy.

– Może pójdziemy na spacer? – zaproponowała.

Oczy rozszerzyły mu się lekko.

– Jak sobie życzysz.

Wyszli. Na łące w szkarłatnej poświacie dogasało ognisko. Noc była czysta, niebo usiane gwiazdami. Eva zadrzała.

– Biedactwo, ty marzniesz! – Otoczył ją ramieniem, jak z początku sądziła – po przyjacielsku, ale nagle zorientowała się z przerażeniem, że się myli. Przyciskał ją do siebie, przeczesując palcami jej włosy.

– Panie Bellamy...

– Och, na miłość boską! Gabrielu!

Uniósł twarz Ewy i pocałował ją w czoło. Potem w usta. W panice – całkiem bez sensu – przypomniała sobie jedyną radę, jakiej Lilian udzieliła swym córkom w kwestii mężczyzn: „Jeśli jakiś mężczyzna spróbuje wam się narzucać, musicie z całej siły nadepnąć mu obcasem na nogę”.

W przypadku Gabriela przypominałoby to mrówkę depczącą po nodze słonia, więc Eva po prostu go odepchnęła. Potem powiedziała lodowatym tonem:

– Pan się chyba zapomina, panie Bellamy.

Opuścił ręce.

– Evo...

– Nie wiem, co pan sobie myśli. Wracam do swojego pokoju.

Był wyraźnie oszołomiony.

– Ale przecież musiałś wiedzieć...

– Co mianowicie?

– Co do ciebie czuję.

– Gdybym się domyślała... – syknęła ze złością – gdyby coś takiego przez moment powstało mi w głowie, nigdy bym tu nie przyjechała!

Odwróciła się i pobiegła do domu.

W sypialni przekręciła klucz w zamku i podparła drzwi krzesłem. Potem wrzuciła rzeczy do torby i całkowicie ubrana, usiadła na łóżku. Z bijącym mocno sercem wpatrywała się w gałkę.

Mimo wszystko nie przyszedł drugi raz. O piątej Eva wymknęła się z domu, zostawiając na kuchennym stole liścik do Sadie: właśnie sobie przypomniała o porannych zajęciach w Slade. Następnie ruszyła pieszo przez pola, tą samą drogą, którą dwa dni temu wiozł ją Val.

Już w pociągu do Londynu usiłowała uporządkować zamęt, jaki zapanował w jej uczuciach. Wstyd, rozczarowanie i szok zdawały się przeważać. A jednak, kiedy zamknęła oczy, a głowa opadła jej sennie na szybę, pamiętała jego pocałunek oraz siłę i ciepło jego ramion.

W następnym tygodniu, wychodząc ze szkoły, Eva zobaczyła Gabriela po drugiej stronie ulicy. Stał oparty o latarnię i palił papierosa. Słaba nadzieja, że może czeka na kogoś innego albo że Eva zdoła się przemknąć na rowerze, zanim zostanie dostrzeżona, szybko pierzchła. Bellamy rzucił niedopałek na ziemię i przeszedł na drugą stronę.

– Evo – rzekł – muszę z tobą pomówić.

– Nie sądzę, panie Bellamy, byśmy mieli sobie coś do powiedzenia.

– Tamtej nocy w Greenstones...

– Nie chcę do tego wracać.

– Evo...

– Naprawdę, panie Bellamy, nie mamy sobie nic do powiedzenia.

– Och, na miłość boską! Byłem pijany! Przyszedłem tu, żeby cię przeprosić!

– A więc przeprosiny przyjęte. – Wsiadła na rower i zaczęła się oddalać.

Ku jej przerażeniu, biegł cały czas obok długimi susami, nie pozwalając się wyprzedzić.

– Więc kiedy się zobaczymy?

– To nie jest dobry pomysł.

– Evo! – Złapał za kierownicę i zatrzymał rower. – Za dużo wtedy wypilem. Nie wiedziałem, co robię... – I wybuchnął ze złością: – Jak długo zamierzasz mnie karać?

– Wcale pana nie karzę.

– Więc przyjeźdź do Greenstones. – Głos mu zmiękł, a Eva uświadomiła sobie, jak tęskni za kredowymi wzgórzami i wolnością. – I to wszystko przez jeden pocałunek! – ciągnął z wyrzutem. – Jeden głupi pocałunek, który absolutnie nic nie znaczy!

A jednak nie zapomniała tego pocałunku – jej pierwszego i jedyne. Nie dawała jej spokoju myśl, że bez względu na to, czy było to coś złego, z pewnością dla niej miało znaczenie.

– W sobotę, dobrze? – kusił. – Już prawie skończyliśmy sadzawkę dla karpi.

– Niestety, nie mogę – odrzekła sztywno. – Ostatnio jestem bardzo zajęta. I śpieszę się na spotkanie, więc proszę puścić mój rower...

Gabriel opuścił ręce. Kiedy już odjeżdżała, krzyknął:

– Na miłość boską! Chciałem cię tylko namalować!

Obejrzała się, zaskoczona.

– Namalować? Mnie?

– Tak! Przepraszam, źle się do tego zabrałem! Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem... w galerii Lydii... wyglądałaś tak jakoś... dziko. Evo, wtedy pierwszy raz od wielu miesięcy naprawdę zapragnąłem malować! – A potem wyciągnął z rękawa kartę atutową: – Sadie za tobą tęskni! Ciągłe pyta, czemu do nas nie przyjeżdżasz!

Odpowiedziała mu lodowatym tonem:

– Chyba jej pan tego nie powie, panie Bellamy? Poza tym muszę wracać do rodziny. Jest koniec semestru.

Była już daleko, ale słyszała jego coraz słabszy głos:

– Chciałem cię tylko malować! Nic więcej! Evo!

Tamto lato wydawało się Marianne jedną tęczą kolorów – jaskrawych, stonowanych, wesołych. Gryzące się barwy kostiumów tancerzy z „Ognistego ptaka” i „Szecherezady” w paryskim teatrze. Ponure barwy Czarnego Ascot – na znak żałoby po zmarłym królu. Biel, szarość i wyblakły róż domu Arthura w Surrey – stopniowo nasączonego kolorem, kiedy zdecydowali się zmienić wystrój.

W sierpniu otrzymali zaproszenie do Rawdon Hall, wiejskiego domu Meredithów. Marianne sporządziła spisy potrzebnych rzeczy. Musiała zabrać suknieienne, popołudniowe i wieczorowe, prócz tego stroje spacerowe, do konnej jazdy i tenisa. Musiała też mieć pokojówkę – Arthur powiedział, że brak własnej służącej byłby źle widziany.

Rawdon Hall leżał w Yorkshire. Fasada z szarego kamienia wychodziła na okrągłe jezioro, dalej – na wielkiej polaci trawnika rosły pojedyncze dęby i kasztanowce. Z każdej strony domu rozciągał się, jak okiem sięgnąć, park. Kiedy szofer zatrzymał automobil Arthura, powitał ich kamerdyner. W holu ich głosy pochłonęły wielkie schody i marmurowa posadzka. Ogromne, wielokolorowe kompozycje kwiatowe kipiały z waz na bocznych stolikach, z nisz wyglądały pustymi oczami zbroje. Dom wydawał się zaprojektowany tak, aby onieśmielać, człowiek czuł się w nim mały.

Na śniadanie podawano owoce szklarniowe – brzoskwinie, ananasy, maliny, truskawki. Kunsztownie ułożone masło otaczały krążki lodu; półmiski i salaterki z owsianką, jajkami w koszulkach, dorszem i boczkiem trzymano w cieple na bufecie. Ostro przyprawione cynadereki i kielbaski lśniły i skwierczały, jakby chciały rozsądzić skórke. Zimne mięsa, dziczyzna, galantyny i bażanty, ozorki i pardwy, ułożone na olbrzymich srebrnych talerzach na specjalnych wózkach, przyprawiły o zawrót głowy.

O wpół do drugiej w parku, pod płóciennymi daszkami, zasiadano do ośmiodaniowego lunchu. O czwartej zbierano się w salonie na herbatę z sandwiczami, bułeczkami, placuszkami i ciastem owocowym. Herbatę rozlewała Laura Meredith, celebując cały rytuał przy spirytusowych podgrzewaczach, imbrykach i srebrnej zastawie. Między posiłkami dzień był zaplanowany co do minuty, a wszystkie zajęcia z góry narzucone. Marianne musiała spacerować po parku, grać w tenisa i brydża, a także zmieniać suknie kilka razy dziennie, obwieszać się kolczykami, naszyjnikami i bransoletkami, w miarę upływu dnia zmuszać pokojówkę do układania jej coraz kunsztowniejszych fryzur. I nie wolno jej było milczeć, musiała brać udział w ożywionej, lecz pustej konwersacji – mówić dużo, ale tak, żeby nic nie powiedzieć.

Spostrzegawcza z natury, zauważyła, że niektóre małżeńskie pary rozdzielały się i wchodziły w nowe układy. Widziała żony faworyzujące cudzych mężów i mężatki flirtujące z kawalerami. Niektóre małżeństwa w ogóle z sobą nie rozmawiały albo zachowując pozory grzeczności, ziały do siebie jawną nienawiścią. W ciemnych kąciakach palce splatały się z sobą, a głowy pochylały, szepcząc czułe słówka do ozdobionych klejnotami uszu. Zawróciwszy do swego pokoju po zapomniane rękawiczki, Marianne zza zamkniętych drzwi usłyszała kobiecy śmiech.

Przez większość dnia była rozdzielona z Arthurem. W zielonym szpalerze grabowym usiadła na ławce; nagle zatrzymał się przed nią jakiś mężczyzna.

– Pani Leighton, prawda? – spytał z uśmiechem. – Nazywam się Fiske. Edward Fiske. Mogę pani w czymś pomóc?

Liście rzucały plamki cienia na jego przystojną twarz. Marianne chwilę przedtem zdjęła pantofel i zobaczyła, że mężczyzna przygląda się jej stopie w samej pończosze.

– Dziękuję, panie Fiske, nic mi nie jest. Po prostu miałam kamyczek w pantoflu.

– Proszę mówić mi Teddy.

Włożyła z powrotem pantofel. Fiske wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać, i przytrzymał ją nieco dłużej. Kiedy Marianne ruszyła za resztą towarzystwa, usłyszała, jak za nią wołał:

– Dopiero po ślubie, co? Szczęściarz z tego Leightona! Tym gorzej dla mnie, ale w końcu mogę poczekać...

W miarę upływu dnia towarzystwo wyraźnie zaczynało się nudzić. Ziewnięcia osłaniano dłońmi w rękawiczkach; przy herbacie goście nerwowo skubali ciasto, układając piramidy z okruszków. Grano w gry, które nikogo nie interesowały, nakładano sobie potrawy, chociaż nikt nie miał apetytu. Zaczęło padać; góra upolowanej zwierzyny nasiąkała wilgocią, krople deszczu spływały po mętnych oczach i zakrwawionych piórach.

Wieczorem, po dziesięciodaniowym obiedzie, panowie zostali w jadalni przy cygarach i porto, paniom podano w salonie kawę. Kiedy towarzystwo się połączyło, Marianne szukała wzrokiem Arthura, ale go nie zauważyła. Poczula się dziwnie samotna.

– Droga pani Leighton! Znów zupełnie sama? – Obróciwszy się, zobaczyła uśmiechnięte oblicze Teddy’ego Fiske. – Mąż powinien lepiej o panią dbać!

Wymamrotała kilka słów usprawiedliwienia i uciekła na górę. W sypialni odsunęła story, ale nie zapalała światła. Promienie księżycy oświetlały srebrne szlaczki na staniku jej fioletowej sukni. Kiedy wyjrzała z okna, wydało się jej, że park, jezioro i drzewa nabrały czarnego, surowego i martwego wyglądu – niczym obrazki na chińskich pudełkach z laki. Optymizm i szczęście, jakimi cieszyła się od dnia ślubu, po raz pierwszy osłabły. Może ona i Arthur także zaczną się od siebie odsuwać, jak inne małżeństwa? Może nigdy nie uda się jej urodzić wymarzonego dziecka? Może rozczarowanie, jakiego doznawała miesiąc po miesiącu, jest jej pisane na zawsze?

Drzwi się otworzyły. Na widok męża wyrwał się jej cichy okrzyk ulgi.

– Tak mi przykro – powiedział, podchodząc do niej. – Ten wieczór ciągnął się bez końca. Moje biedactwo, wyglądasz na wyczerpaną.

– Strasznie dłużył mi się ten dzień. – Położyła sobie jego dłoń na ramieniu. – Brakowało mi ciebie.

– A mnie ciebie, kochana Annie.

– Nigdy nie przypuszczałam, że zabawa to taka harówka.

– Traktują to jak zawód, prawda? – Arthur zdjął krawat. – Z wyjątkiem Edwina, który wymusza biznesowe dyskusje o najbardziej nieprawdopodobnych porach. Druga w nocy, każdy cierpi na niestrawność po tym okropnym obiedzie, a on chce gadać o statkach! – Przesunął czubkami palców po jej twarzy. – Wyglądasz na smutną. Rozchmurz się, kochanie.

– To przez to miejsce. Tyle tu... wszystkiego. Na przykład śniadanie...

– Rzeczywiście dość przytłaczające, co?

– Nie wiedziałam, co jeszcze mnie czeka.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy nie wiadomo, co czai się pod kolejną pokrywką? Może dwadzieścia cztery kosy zapieczone w cieście? – Kiedy Marianne się uśmiechnęła, pocałował ją. – Widzisz, już lepiej.

– Jak okropnie byłoby skończyć tak, jak ci wszyscy ludzie!

– Bo są tacy obrzydliwie bogaci i jedzą kosy na śniadanie?

– Nie, kochanie... – Pogładziła go po twarzy. – Tacy od siebie oddaleni.

– Nam to nie grozi. Nie ma mowy.

– Ale przecież i oni musieli kiedyś czuć to, co my? Biorąc ślub, musieli się lubić?

Marianne zdjęła kolczyki i odłożyła je do wyłożonego aksamitem puzderka.

– Takie puste są te małżeństwa bez miłości! I chyba połowa mężów ma kochanki. Arthur uniósł brwi.

– Widziałam ich, Arthurze! Wiem, jacy są!

– Niestety, taki już jest ten świat, kochanie.

– Nie mój! – wykrzyknęła gorąco. – Co to za świat, w którym mężczyzna romansuje z cudzą żoną i nikomu to nie przeszkadza?

– Nie o to chodzi, że nie przeszkadza. Po prostu się tego nie dostrzega, a może nawet i to nie... Laura zawsze wykazuje wiele taktu w przydzielaniu pokoi. Niektórzy znani rozpustnicy czuliby się niezręcznie, gdyby ich pokoje sąsiadowały z sypialniami szczęśliwych małżonków, a Laura pilnuje, żeby stali kochankowie mieli do siebie blisko. Jak by to wyglądało, gdyby większość gości snuła się nocami po korytarzach, pukając do różnych drzwi?

Rozpiął Marianne perły i podał jej – spłynęły do wnętrza jej dłoni, chłodne, niemal płynne.

– Tak bardzo cię to obchodzi? – spytał troskliwie. – Martwi cię to?

Przypomniał się jej Teddy Fiske ze swymi krótkimi wąsikami, twardym spojrzeniem i zawodowym szarmem.

– Może bym się tak nie przejmowała, gdyby im naprawdę na sobie zależało – odrzekła wolno. – Gdyby się kochali.

– Miłość zwycięża wszystko? – Rozpinał teraz haftki z tyłu jej sukni. – Czy raczej wszystko usprawiedliwia? Nawet niewierność małżeńską?

Zastanawiała się chwilę.

– W każdym razie łatwiej ją wtedy wybaczyć.

– Niektórzy z tych zdradzanych mężów czy żon mogliby się z tobą nie zgodzić. Wielka namiętność może być dla małżeństwa większym zagrożeniem niż zwykła rozrywka, do której większość tych przygód się sprowadza.

– To coś trywialnego... A miłość nie jest trywialna.

– Oczywiście, że nie. – Głaskał jej kark. – Może powinniśmy ich żałować. W końcu mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy siebie nawzajem. I w jednej sprawie się mylisz, kochanie: oni, ci ludzie, nigdy nie byli tacy jak my. Wątpię, żeby ktoś z gości tego domu zawarł małżeństwo z miłości. Jedni zrobili to z chęci posiadania dziedzica, inni – jak choćby Laura – dla pieniędzy.

Pociągnął ją na kolana.

– To chyba niemodnie być zakochaną we własnym mężu – zauważyła Marianne.

– Przypuszczalnie uważają, że mamy fatalny gust – dodał, obejmując ją czule.

Coś jednak nadal ją dręczyło.

– Więc mówisz, że oni się nie kochają? A jednak sypiają z sobą.

– Kochana Annie, można cieszyć się seksem bez miłości.

– Ja bym nie mogła.

– Oczywiście. – Rozwiązywał jej tasiemki przy staniku. – A teraz... skoro mówimy o łóżku...

Już leżąc, obserwowała jak blask księżyca sączący się przez bluszcz, który częściowo zakrywał szybę, maluje na suficie desenie. A co z tymi wszystkimi latami pomiędzy pierwszymi zaręczynami Arthura a ich małżeństwem? Jak spędzał wtedy czas?

– Potrafiłbyś sypiać z kimś, kogo byś nie kochał? – spytała w ciemności.

– Jest tylko jedna kobieta, którą pragnę mieć w łóżku.

– A zanim mnie poznałeś?

Przesunął dłonią po jej brzuchu.

– Miałem trzydzieści osiem lat, kiedy cię poślubiłem. Nie jestem mnichem, Annie.

Poczuła igielkę zazdrości.

– Kto... – szepnęła. Przez głowę przelatywały jej różne obrazy, twarze jego przyjaciółek, żon przyjaciół.

– Nikt ważny.

– Patricia Letherby? Laura Meredith?

Z ciemności dobiegł ją śmiech.

– Skądże znowu. Patricia jest szczęśliwą mężatką. A Laura jest zbyt zaborcza, chyba to zauważyłaś. Tego właśnie najbardziej nie znoszę: zaborczości.

Przekręciła się na bok, żeby spojrzeć mu w twarz. Wsunęła dłoń pod sztywne fałdy jego koszuli, dotykając ciepłej skóry. Skoro nie Laura, myślała, to pewnie inne...

– Nielatwo się zakochuję, Annie. Niektórzy uważają to za wadę. To właśnie w tobie uwielbiam: że kochasz tyle osób. Masz dużo rodzeństwa...

Tak bezpiecznie czuła się w jego ramionach. Mimo to spytała:

– A gdybym ci wyznała, że miałam przed ślubem innych mężczyzn?

– Naprawdę miałaś?

– Nie. Ale czy byś się tym przejął?

W ciemności wyczuwała wznoszenie się i opadanie jego piersi.

– Tak – przyznał. – Oczywiście, że tak. Z kobietami to co innego, prawda? Od was więcej się wymaga. Mężczyźni zbyt łatwo ulegają zwierzęcym instynktom. Kobiety stawiamy sobie za wzór.

Od razu przypomniał się jej Teddy Fiske polujący na zdobycz. Co z kobietami, które mu ulegną? Czy to je stawia poza nawiasem? Czy ich grzechy są osądzone surowiej niż jego?

Arthur przesunął czubkami palców po krzywiźnie jej biodra, po talii i cała zazdrość Marianne ustąpiła ciemnej fali pożądania. A jednak, kiedy przyciągał ją do siebie, przemknęło jej przez myśl, że gdyby nie poszła przed rokiem na tamten bal

u Hutchinsonów, gdyby na przykład przeziębła się, jak Eva – prawdopodobnie nigdy by się nie poznali. Co wtedy? Czy spędziłaby resztę życia, nie znając namiętności, miłości? Czy wiedziałby, że coś traci, a jeśli tak, to czy szukałaby uczucia bez końca, jak goście tego domu?

5 Aluzja do popularnej dziecięcej rymowanki, znanej polskim czytelnikom z opowiadania Agathy Christie.

Rozdział piąty

Kilka dni po rozpoczęciu jesiennego semestru zginęła papuga pani Wilde, Perdita. Przemierzając szybkim krokiem ulicę, Eva uchwyciła niebawem przebłysk szmaragdowej zieleni wysoko, na krzewie bzu. Wdrapała się na żelazną balustradę wokół frontowego ogródka i wychylając się niebezpiecznie, usiłowała dosięgnąć zbiega, ale papuga dziobnęła ją złośliwie i ze skrzekiem przeniosła się na wyższą gałąź.

– Może ja spróbuję – odezwał się ktoś z tyłu i Eva zeszytywniała, gdyż głos należał do Gabriela Bellamy’ego.

– Nadziejiesz się na te kolce – dodał i objąwszy ją w pasie, postawił na ziemi. Zbyt zaskoczona, by protestować, patrzyła, jak wsuwał palce pod brzuszek Perdity, a ta posłusznie dała się wziąć.

– Ona dziobie – ostrzegła go Eva.

– Nie zrobisz mi krzywdy, prawda? – Gabriel zwichrzył piórka na szyi ptaka, który jakby na złość Evie, błysnął oczami i schylił potulnie głowę.

– Co za miłe spotkanie – zauważył Bellamy, chowając Perditę pod płaszcz. – To twoja papuga?

– Mojej gospodyni.

Szli w stronę jej mieszkania.

– Jak spędziłaś lato? – zapytał. – Jak się miewa rodzina?

Tylko dwa tygodnie spędziła w Summerleigh, dwa nudne tygodnie, podczas których utwierdziła się jeszcze w dotychczasowym przekonaniu, że nie przynależy już do tego miejsca. Czowała się jak ryba wyjęta z wody, oddzielona od nowo odkrytego świata, toteż szybko uciekła do Londynu.

– Dziękuję – odrzekła. – Niezbyt długo tam byłam.

– Aż tak źle? Awantury czy ponure milczenie? To ostatnie to specjalność mojej rodziny. My z Maksem jeździliśmy do Hiszpanii. Wynajęliśmy łódź. Coś wspaniałego.

– Szczęściarze!

– Trzeba było jechać z nami. Umiesz żeglować?

Eva wyobraziła sobie błękitnozielone morze zwieńczone białą grzywą piany.

– Nie wiem. Nigdy nie miałam okazji.

Przez jakiś czas opowiadał o Hiszpanii. Wydawało się, że zapomniał już o tamtym pocałunku – w końcu był wtedy pijany, a potem wyraźnie dał jej do zrozumienia, że ów incydent nic dla niego nie znaczył. Jakie to zabawne! Podczas długich tygodni lata często wypominała sobie w duchu, że okazała się tak niemądra, tak prowincjonalna, robiąc tyle zamieszania z powodu takiego drobiazgu.

– Co słyszeć u Sadie?

– Jest w świetnej formie, podobnie jak dziecko.

Utkwiła w nim wzrok.

– Dziecko...

– Jeszcze jeden chłopczyk. Daliśmy mu na imię Rowan. Ważył pięć kilogramów.

Musisz koniecznie go zobaczyć, wygląda jak zawodowy bokser. Przyjedziesz, prawda? Sadie dopytuje się o ciebie...

– Ja...

– No to postanowione.

Pod domem pani Wilde Gabriel oddał papugę Evie. Wkładała już klucz do zamka, gdy krzyknął do niej przez ulicę:

– I pozwolisz mi się namalować! Uczynię cię nieśmiertelną!

– Nie chcę być nieśmiertelna! – Ale wchodząc do domu, uśmiechała się pod nosem.

Dziecko okazało się śmiesznym, pomarszczonym stworzonkiem o oczach czarnych jak rodzynki i ładnych, czarnych włoskach, sterczących na wszystkie strony. Po porodzie rysy Sadie złagodniały, straciły ostry wyraz. Zniknęła też ciętość języka, którą Eva zauważyła u niej za pierwszym razem. Sadie mówiła mniej, uśmiechała się czasami i lepiej pilnowała starszych dzieci.

Eva z łatwością przystosowała się znów do życia w Greenstones. W przeciwieństwie do Summerleigh, doskonale tam pasowała. Zmywała góry naczyń, wozila po ogrodzie niemowlę w wózku, jeśli za długo płakało. Tolly łaził za nią wszędzie jak piesek, Max zabierał ją na przejażdżki motocyklem. Wieczorami, kiedy wszyscy gromadzili się przy dużym sosnowym stole w kuchni, myślała: „Tak właśnie chciałabym żyć i tak kiedyś będę żyła”.

„Musisz pozwolić mi się namalować” – powiedział dawno temu Gabriel. Z początku Eva odmawiała, wzdragając się na myśl o przesiadywaniu na podium jak modelki w Slade i poddawaniu się ocenie męskich oczu. On jednak źle rozumiał jej opór:

– Musisz być tak cholernie drobnomieszcząska? – krzyknął pewnego dnia. – Tyle szumu o takie głupstwo!

Poddała się więc; trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że nie chciała uchodzić za pruderyjną.

Pracownia Gabriela znajdowała się na tyłach domu. Miała ceglane, pobielone wapnem ściany i podłogę z brukowych kamieni. Eva siedziała na wysokim stołku. Słońce wlewało się przez szyby, oświetlając czerwono-zieloną suknię, tę samą, którą miała na sobie podczas wernisażu w galerii Lydii i którą teraz Gabriel kazał jej włożyć.

Siedząc w jego pracowni, Eva czuła się, jakby stąpała po zaczarowanym gruncie. Znała to pomieszczenie na pamięć, mogłaby z zamkniętymi oczami wyliczyć zgromadzone tu przedmioty: stary kitel i kapelusz, wiszące na kołku na drzwiach, zwalone byle jak sztalugi, płótna i manekiny, niedokończone szkice, kolory rozmazane na palecie – wielka plama ciemnej czerwieni i szmaragdowej zieleni.

On także był wyryty na jej siatkówce. Skoncentrowany w stu procentach na pracy, nie zważał na żadne domowe odgłosy – szczekanie psa, wrzaski dzieci, płacz niemowlęcia. Eva zastanawiała się, czy kluczem do jego osiągnięć nie jest właśnie owa zdolność do koncentracji. Przez całe godziny przesiadywali tam tylko we dwójkę, towarzyszyły im jedynie miękkie pociągnięcia pędzla po płótnie. Znacznie później doszła do wniosku, że gdyby nie była „środkowym” dzieckiem, może wcale by się w nim nie zakochała. Nikt dotąd nie przyglądał się jej z taką uwagą. Było w jego spojrzeniu coś intymnego, co niepokoiło ją, pobudzało. Kiedy pozwolił jej zerknąć na gotowy obraz

i zobaczyła siebie jego oczami, poczuła wstrząs – jakby wydobył cząstkę jej istoty, o której istnieniu dotąd nie miała pojęcia, a dzięki temu odkryciu zmienił ją na zawsze.

Pewnego dnia do Clemency wpadła po szkole jej przyjaciółka Vera.

– Mam nowinę. Poznałam kogoś fantastycznego. Nazywa się Ivor Gowin i nie mogłam się już doczekać, kiedy ci o nim opowiem. – Poróżowiała nagle. – Ach, to nie tak, jak myślisz! Jesteśmy po prostu wielkimi przyjaciółmi. Ivor jest żonaty. Jego żona ma na imię Rosalie i jest kaleką. Biedny Ivor...

Powiedziała „Biedny Ivor”, nie „biedna Rosalie”.

– Gdzie go poznałaś?

– Na recitalu muzycznym. Gra na klawesynie, jest taki mądry i utalentowany! Dawniej mieszkał w Londynie, ale ostatnio przeprowadził się tutaj ze względu na zdrowie Rosalie. Mieszkają w Peaks, tam jest dobre powietrze, ale Ivor okropnie tęskni za Londynem. – Uśmiechnęła się promiennie. – Jest taki kochany! Pozwolił mi porozkładać programy na ostatnim koncercie! Musisz go poznać!

Vera zaprosiła przyjaciółkę na następny recital Ivora. Kiedy Clemency zawiadomiła o tym matkę, ta popatrzyła na nią z roztargnieniem.

– Oczywiście, powinnaś się rozerwać. Doskonale mogę zostać sama.

Clemency natychmiast poczuła się winna na myśl o biednej matce, uwięzionej w czterech ścianach.

Nadszedł dzień recitalu. Po lunchu Clemency włożyła najlepszą suknię i poszła pożegnać się z matką. Lilian siedziała przy toalecie.

– Ojej, Clemency, jakaś ty elegancka! – wykrzyknęła na widok córki. – Wystrojona od stóp do głów! Doktor Roberts będzie pod wrażeniem!

– Doktor Roberts?

– Ten specjalista z Londynu. Chyba nie zapomniałaś, że dziś przyjeżdża mnie zbadać?

– Nic mi o tym nie mówiłaś, mamo.

– Na pewno mówiłam. – Przyglądając się swemu odbiciu, Lilian poprawiła włosy.

– Ale skoro zapomniałaś, to czemu włożyłaś jedwabną suknię?

– Bo idę z Verą na koncert.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Lilian odkorkowała flakonik. – Mam sama przyjąć doktora Roberta?

– Przecież jest Edith...

– Dobrze wiesz, że Edith się nie nadaje. Okropna z niej niezdara. – Matka skropiła sobie szyję wodą kolońską. – Gdyby udało ci się znaleźć odpowiedzialną pokojówkę...

– Przecież mówiłam ci o tym koncercie! – wykrzyknęła Clemency z rozpaczą.

Lilian zrobiła żalostną minę.

– Proszę, nie sprzeczasz się ze mną, Clemency. Wiesz, jak mi przykro, kiedy się na mnie gniewasz. Poza tym, nie sądzę, abyś mi mówiła.

– Ale Vera na mnie czeka.

– Na pewno zrozumie, że jesteś mi potrzebna. Możesz umówić się z przyjaciółkami

na kiedy indziej, prawda, kochanie?

W tym momencie Clemency wpadła w taką wściekłość, że aż musiała sobie wbić paznokcie w dłonie. Miała ochotę krzyknąć albo zwalić matce wszystkie butelki na podłogę.

Lilian jednak pozostała obojętna na gniew córki.

– O Boże – mruknęła. – Taka jestem zdenerwowana... – Drobną, szczupłą rączką skubała koronkę kołnierza. – Nie mogę doprowadzać się do takiego stanu, prawda? To nic nie da. Najlepiej będzie, jak mi poczytasz, Clemency. Tennysona, dobrze?

Złość przeszła tak szybko, jak się pojawiła. Teraz Clemency czuła już tylko wstyd i znużenie. Usiadła; nogi jej się trzęsły. Kątem oka widziała zegar na kominku – wskazówki niewzruszenie obiegały tarczę – i nagle wpadła w taką panikę, że musiała z całej siły zacisnąć dłoń na książce.

– „Mężczyzna do pola, kobieta do domu – czytała łamiącym się głosem. – Mężczyzna do miecza, a do igły ona. Mężczyzna z głową, a kobieta z sercem: mężczyzna rządzi, a kobieta słucha”6.

Lilian zachrapała cichutko.

Eva zobaczyła po drugiej stronie ulicy Gabriela i serce jej dziwnie podskoczyło.

Był w ponurym nastroju.

– Musiałem wyjechać – oznajmił. – Nie sposób tam pracować. Za dużo dzieciaków, które bez przerwy albo wyją, albo się tłuką. Sadie w fatalnym humorze, ledwie się do mnie odzywa, i w ogóle można się tam zanudzić. – Idąc obok niej, trzymał ręce w kieszeni płaszcza. – Od miesiący nikt nas nie odwiedza. Powiadam ci, wiejskie rozkosze dobre są w czerwcu, ale kiedy przyjdzie zima, człowiek ma ochotę poderżnąć sobie gardło. Musiałem wyrwać się w jakieś cywilizowane miejsce na parę miesięcy. Możesz mi znów pozować.

– Gabrielu... – zaczęła, ale przerwał jej szyderczo:

– Co? Nadal drżysz o swoją cnotę?

Poczuła, że się czerwieni.

– Oczywiście, że nie.

– Nie powinnaś. Wiem, dokąd mnie ten rodzaj spraw prowadzi. Mam sześć gęb do wykarmienia, dlatego muszę odwalić kawałek uczciwej roboty, żeby popłacić cholerne rachunki. – Szedł dość szybko chodnikiem zasypanym liśćmi; Eva musiała niemal biec, żeby za nim nadążyć. – A może już nie masz czasu dla starego przyjaciela? Taka cudowna ta twoja szkoła, że żałujesz mi paru godzin?

– Skądże, wcale nie jest cudowna.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Kiedy poznaliśmy się, mówiłaś, że kochasz Londyn. Czy coś się zmieniło?

– Nie chodzi o Londyn.

– Więc o co?

Jej buty wzbijały chmury suchych liści.

– O szkołę właśnie. Nie przypuszczałam, że będzie tak... tak ciężko. Myślałam, że

mam zdolności artystyczne, ale teraz... Wydaje mi się, że straszna ze mnie miernota.

– Przynieś mi swoje portfolio – powiedział już znacznie łagodniej. – Jutro wieczorem. Muszę to sobie obejrzeć, może nie jest tak źle. No chyba – dodał, łypiąc okiem – że bardziej zależy ci na konwenansach niż na malarstwie.

Pracownia znajdowała się w Paddington, wciśnięta między warsztat zegarmistrza i wytwórcy kartonowych pudełek. Otwierając przed Gabrielem swą tekę, Eva czuła się tak odsłonięta, jakby mu pozowała. Przeglądał po kolei jej szkice i obrazy, aż wreszcie po dość długim milczeniu orzekł:

– O, to jest lepsze.

Eva, która nie zdawała sobie sprawy, że cały czas wstrzymuje oddech, wydała westchnienie ulgi.

– Kolory są dobre – ciągnął. – Mówiłem ci już, że masz oko do kolorów. – A to – podniósł jeden z rysunków – wygląda naprawdę obiecująco.

Naszkirowała tam z pamięci dzieci, tańczące na ulicy przy muzyce katarynki. Uchwyciła ich poważne, skupione twarzyczki, a także wirujący ruch tandetnych spódniczek i fartuszków.

– Lepiej ci wychodzi, jeśli malujesz coś, na czym ci zależy – zauważył. – Tak zresztą jest z nami wszystkimi.

Sam narysował ją tego wieczoru, gdy stała przy oknie, z dłońmi opartymi o parapet. Widziała stamtąd dworzec kolejowy z unoszącą się nad nim wielką chmurą pary. Zza pleców Evy dobiegał pośpieszny zgrzyt węgla o papier. Gabriel, pracując, cały czas mówił. Opowiedział jej o swojej rodzinie. Był synem pastora baptystów, wychował się w Christchurch na południowym wybrzeżu Anglii. Została mu z tego okresu miłość do morza i nienawiść do religii.

– Moi rodzice zawsze starali się odbierać życiu jakikolwiek blask. Przygoda, podróże, zabawy – to wszystko było dla nich nie do przyjęcia. Chyba się tego bali. Nawet tapety w naszym domu miały paskudne odcienie – brązy, spłowiata żółć, kolor wody w Nilu. – Wędrował spojrzeniem od Evy do sztalug. – Pewnego dnia, kiedy miałem około szesnastu lat, wrzuciłem kilka rzeczy do plecaka i poszedłem sobie. Nigdy już nie wróciłem.

– Ale z czego się utrzymywałeś? Jak żyłeś?

– Och, zajmowałem się tym i owym. Zawsze miałem smykałkę do rysunku, umiałem uchwycić podobieństwo, więc stawiałem sztalugi na placu targowym i brałem po sześć pensów za szkic. Pracowałem też na budowach, pomagałem przy żniwach i w gospodarstwach. A kiedy nie miałem dachu nad głową, sypiałem po stodołach czy w rowach, nie przejmując się zimnem.

Zauważyła już przedtem, że wciąż ubierał się tak samo: sztruksowe spodnie, proste, niebieskie koszule robotnika, a na to bez względu na pogodę – ciepły płaszcz. Podczas gdy Eva trzęsła się w nieogrzewanej pracowni, on pracował w samej koszuli i jeszcze podwijał rękawy.

– Odkąd opuściłem dom, nie wziąłem od rodziny ani pensa. Jeśli nie podoba ci się styl życia jakichś ludzi, nie powinnaś brać od nich pieniędzy. Przynajmniej ja tak uważam.

– Moja zamężna siostra Marianne poprosiła mnie, żebym pomogła jej ozdobić

obramowanie kominka i ścianę nad wezglowiem łóżka. Właśnie ją namawiam, aby pozwoliła mi namalować freski – opowiadała Eva z uśmiechem. – Szkoda, że nie widziałeś ich wiejskiego domu, jest taki piękny! Po prostu magiczny. Kiedy tam jestem, wciąż mi się wydaje, że wystarczy skrócić za róg, a zobaczę... sama nie wiem, co, ale na pewno coś niezwykłego, cudownego.

– O, to jest to! Nie ruszaj się teraz, właśnie o ten wyraz w twoich oczach mi chodziło. O tę pasję...

Czasem Clemency zdawało się, że jej życie się zablokowało, zostało zamrożone, zupełnie jakby wpadła w kałużę i nagle woda wokół niej zamarzła. Czuła, jak przyjaciółki ją wyprzedzają, ich życie idzie naprzód, a jej stoi w miejscu.

Pewnego popołudnia przyszła z wizytą pani Catherwood. Siedziała godzinę u matki, a potem Clemency odprowadziła ją do wyjścia.

– Lilian dziś jest chyba w lepszym nastroju, droga Clemency – zauważyła pani Catherwood już w progu. – Może to skutek tej nowej kuracji. Ale ty coś mizernie wyglądasz. Jesień to okropna pora roku, Ronnie i Gerald są strasznie przeziębieni. Mam nadzieję, że tobie to nie grozi?

– Nic mi nie jest – mruknęła Clemency. – Tylko boli mnie głowa.

– Radzę ci pójść na porządny spacer. Szybki marsz to najlepsze lekarstwo na ból głowy. Chociaż w tym deszczu... – Walczyła z oporną parasolką, która nie chciała się otworzyć. – Musi ci być ciężko, Clemency, teraz, kiedy siostry opuściły dom. Wiesz, urządzam we wtorek herbatkę – tylko parę przyjaciółek, nic wielkiego. Może byś przyszła?

– Nie sędzę, żeby mi się udało. Matka może mnie potrzebować.

Pani Catherwood zostawiła na chwilę parasolkę.

– Chyba na jedno popołudnie cię puści?

Clemency nie odpowiedziała. Pani Catherwood wyglądała na zatroskaną.

– Naprawdę marnie wyglądasz. Zawsze byłaś taka chudziutka. Często miewasz te bóle głowy?

– Dość często.

– Może czymś się martwisz? Na przykład matką?

Słowa wyrwały się z jej ust, zanim zdążyła je przemyśleć.

– Ja chyba jestem chora! Może zaraziłam się od matki?

Obawiała się, że pani Catherwood ją wyśmieje, ale tak się nie stało.

– Może włożysz płaszcz, kochanie, i odprowadzisz mnie kawałek? Przyda mi się towarzystwo. A gdybyś zechciała mi pomóc z tą wstrętną parasolką...

Clemency zdjęła płaszcz z wieszaka, otworzyła parasolkę pani Catherwood i obie wyszły z domu.

– Powiedz, dlaczego uważasz, że coś złego się z tobą dzieje?

– Serce za szybko mi bije. No i te bóle głowy... Nigdy przedtem ich nie miewałam.

Przez pewien czas szły obok siebie w ciszy. Zeszłotygodniowa burza zmiotła liście z drzew i teraz leżały w rynsztokach brudne i poszarpane.

– Czy ostatnio choć trochę bywasz między ludźmi?

Clemency zaprzeczyła ruchem głowy.

– Raczej nie. Vera zaprosiła mnie na koncert kilka tygodni temu, ale nie mogłam pójść.

– Z powodu matki?

– Tak.

– Nie wierzę, aby choroba Lilian była zaraźliwa – orzekła pani Catherwood. – Na pewno nie tak, jak szkarlatyna czy grypa. Ja tam zawsze wierzyłam w świeże powietrze i gimnastykę, jestem pewna, że dają znacznie więcej dobrego niż lekarstwa. A co do leżenia w łóżku... owszem, lekarze ciągle każą nam leżeć, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że czasem przesadzają. – Poklepała Clemency po ramieniu. – Ostatnio mało widuję się z Lilian. Może mogłabym przychodzić do niej ze dwa razy w tygodniu? Na przykład w środy i piątki, jeśli ci to odpowiada. Ty miałabyś czas na spotkania z przyjaciółkami, a mama towarzystwo. Co na to powiesz?

Pani Catherwood siedziała przy Lilian, kiedy Clemency spotkała się z przyjaciółkami w pewną środę na początku listopada. Ivor Godwin miał dać recital w pewnym domu przy Oakholme Road. W salonie ustawiono krzesła wokół instrumentu, który Clemency wzięła za bardzo małe pianino. Dźwięki, jakie z niego płynęły, przypominały kapanie kropli deszczu do sadzawki. Muzyka była cicha i subtelna – wszystkie panie (bo publiczność składała się wyłącznie z pań, przeważnie znacznie starszych od Clemency) siedziały, zastygłe w ciszy, dopiero po zakończeniu każdego utworu dawały się słyszeć zbiorowe wydechy.

Ivor Godwin, ciemnowłosa, drobny mężczyzna, pochylał się nad klawiaturą, z przygarbionymi plecami i lekko uniesioną głową. Miał wrażliwą, żywą twarz. Clemency zauważyła, że czasem podczas gry przymykał oczy, a na końcu utworu leciutko się uśmiechał.

Kiedy recital dobiegł końca, rozległ się szmer aplauzu. Vera szepnęła do Clemency:

– Czyż on nie jest cudowny?

Muzyka przeniosła Clemency w inne miejsce. Kiedy Ivor Godwin grał, dziewczyna miała przed oczami wzgórze, strumyki i lasy. Powrót do zastawionego krzesłami salonu o ciemnozielonych zasłonach sprawił jej prawdziwą przykrość.

– Cudowny – zgodziła się z przyjaciółką.

Ivor Godwin został natychmiast uprowadzony przez grono pań, które poły go herbata, karmiły ciastem i użalały się nad jego obolałymi dłońmi.

– No i oczywiście – zauważyła chytrze Erica – jest szalenie przystojny.

– Ciii... – Vera się zaczerwieniła. – Jeszcze cię usłyszysz!

Po herbacie, kiedy inne panie zaczęły z wolna opuszczać zgromadzenie, przeszły do salonu, gdzie Ivor Godwin składał swoje nuty. Vera przedstawiła mu Ericę i Clemency – wszyscy uścisnęli sobie ręce.

– Strasznie to wyczerpujące – zauważył muzyk. – I człowiek musi potem jeść, chociaż nie ma w ogóle apetytu.

– Biedny Ivor! – użaliła się nad nim Vera. – Pani Hustborne potrafi być przekonująca.

– Nasza gospodini? – Ivor szybko zerknął na przyległy pokój. – To dlaczego zostawiłaś mnie na jej łasce, Vee?

Vera zachichotała. Muzyk wyciągnął papierośnicę.

– Zawsze po koncercie jestem taki spięty... Panie nie będą miały nic przeciwko temu, że zapalę? – zapytał, częstując je także.

Vera zaproponowała, że uporządkuje mu nuty. Kiedy krzątała się przy instrumencie, zbierając poszczególne zeszyty, Godwin, który oparty o kominiek, palił papierosa, zapytał Clemency:

– Jest pani muzykalna, panno Maclise?

– Niestety ani trochę.

– Nie ma czym się przejmować. Talent potrafi być przekleństwem.

– To musi być cudowne, kiedy ma się do czegoś zdolności.

– Czasem to wielki ciężar. I dodatkowy obowiązek.

– Vera wspominała, że pańska żona źle się czuje.

– Rosalie choruje od wielu lat. To dlatego jestem zmuszony mieszkać na odludziu.

– Zaciągnął się krótkim, nerwowym haustem. – Wzgórza i lasy są dobre dla poetów, ale mnie to zdecydowanie nie służy.

Sam wyglądał jak poeta z tym orlim nosem i rozwichrzonymi kasztanowymi włosami.

– Wolę Londyn – ciągnął. – Miałem tam wspaniały krąg przyjaciół. No i tyle koncertów i innych rozrywek...

– Musiało panu być bardzo ciężko rozstawać się z tym wszystkim.

– Talent – odrzekł z goryczą – musi niekiedy ustąpić przed obowiązkiem.

– Dużo koncertów pan daje?

– Mniej więcej jeden w miesiącu. I tylko krótkie recitale. Rosalie nie lubi, kiedy nie ma mnie w domu, więc muszę się ograniczać. Poza tym daję lekcje – głównie fortepianu. Ambitne mamusie wloką biedne pociechy do mojego domu w Hathersage, mając nadzieję, że kiedyś będą koncertować. Tymczasem ani jedno z tych dzieci nie ma ani krztyny talentu, ale nie mogę im tego powiedzieć prosto w oczy. Przecież nie można zabijać nadziei, prawda? Kłopot z uczeniem polega na tym, że to bardzo wyczerpuje. Moi uczniowie są jak pijawki, wyciągają ze mnie całe natchnienie. Zamiast ćwiczyć samemu czy pracować nad kompozycją, muszę wysłuchiwać tych wszystkich gam i arpedżiów.

– To straszne!

Uśmiechnął się do niej. Oczy – jak zauważyła – miał bardzo ciemne, ciepłe i wyrozumiałe.

– Cudownie jest pogadać z kimś, kto potrafi okazać nieco współczucia. Rosalie ani trochę mnie nie żałuje. Po prostu nie rozumie, jakie to trudne... Ale pani rozumie, prawda?

Clemency miała wrażenie, że osoby kalekie i chore w ogóle nie dostrzegają niczego poza własnymi sprawami. Ivor, jakby czytając w jej myślach, dodał po chwili:

– Mogę padać z wyczerpania, a ona w ogóle nie zwraca na to uwagi, pewnie dlatego, że sama jest chora.

Zaraz jednak rozdzieliła ich Vera ze stosem nut w ramionach.

– Proszę, Ivorze, gotowe! – powiedziała z entuzjazmem. – Złożyłam ci też szalik

i rękawiczki.

– Kochana Vee! – mruknął z promiennym uśmiechem. – Tyle pomocy! Co ja bym zrobił bez ciebie?

Większość wieczorów po zakończeniu zajęć w Slade Eva spędzała na pozowaniu Gabrielowi w jego pracowni. Czasem rozmawiali, czasem on milczał, skupiony na pracy. Od czasu tamtego pierwszego pocałunku nie dawał już do zrozumienia, że oczekuje od niej czegoś więcej niż przyjaźni. „Chciałem cię tylko malować”. I rzeczywiście – mijały tygodnie, a ona zastanawiała się, czy przypadkiem nie powiedział wtedy prawdy. Dotykał jej teraz tylko po to, żeby poprawić kąt ustawienia nogi i głowy.

Wmówiła sobie, że nic jej to nie obchodzi. Nie miała zaufania do miłości; sprawiała, że ludzie zachowywali się inaczej niż zwykle. A jednak kiedy czasem wydawało się jej, że Gabriel traktuje ją nie jak żywą kobietę tylko jak kawałek ciasta, które można rozciągać i poszturchiwać dla uzyskania artystycznego efektu, czuła się zawiedziona. Miała dziewiętnaście lat i dotąd pocałował ją tylko jeden mężczyzna. Może jest za niska, za gruba, za ciemna? Nigdy dotąd nie dbała o wygląd, ale ostatnio zaczęła częściej zaglądać do lustra, troszczyć się o swe nieposkromione włosy, wygładzać fałdy sukni.

Gabriel opowiedział jej, jak poznał Sadie.

– Wychodziłem ze Slade, Sadie dopiero co zaczęła tam studiować. Wybierałem się z wizytą do Tonksa czy Wilsona Steera i minąłem ją na korytarzu. Szła z koleżankami i śmiała się z czegoś. Zresztą w tych czasach zawsze otaczały ją koleżanki i zawsze się śmiała. Było ich cztery – dwie ciemnowłose, jedna blondynka, jedna ruda. Nie widywało się ich oddzielnie. – Zmrużył oczy. – Od pierwszej chwili wiedziałem, że muszę ją mieć.

Ciekawe, jak można pokochać kogoś tak bez zastanowienia, bez skrupułów? Ona chyba nie byłaby zdolna do takiej miłości.

– Kazała mi uganiać się za sobą przez rok – ciągnął Gabriel. – Nie ułatwiała mi sytuacji, o nie! Raz nawet wyjechała do Edynburga i trwało jakiś czas, zanim ją znalazłem. Mieszkała z przyjaciółkami tuż koło zamku. – No więc – uśmiechnął się szeroko – kupiłem na pchlim targu mandolinę, stanąłem w nocy pod jej oknem i zacząłem śpiewać serenady. W końcu musiała do mnie zejść. – Nagle zmarszczył brwi. – Po trzech miesiącach wzięliśmy ślub. Nigdy nie uznawałem małżeństwa, ale matka Sadie się uparła. To wstrętna stara wiedźma, mieszka w St John's Wood w jednym z tych ohydnych domów, co to wyglądają trochę jak mauzoleum – z czerwono-czarną posadzką w holu i bezsensownymi witrażkami.

– Summerleigh też jest takie.

– W takim razie rozumiem, dlaczego stamtąd uciekasz. – Skrzywił się niechętnie. – Podczas pierwszej wizyty u matki Sadie musiałem wytrzymać koszmarnie pół godziny przy herbacie. Wiem, że dla niej też to było straszne, ale żadne z nas nie powiedziało ani słowa, po prostu poddaliśmy się rytuałowi. Kiedy wstałem, by się pożegnać, widziałem w jej oczach ulgę. Wiem, że ledwie wyszedłem za próg, zabrała się do wyklepywania poduszek i wygładzania koronkowych serwetek na oparciu sofy, starając się usunąć każdy

ślad mojej obecności. Tacy ludzie przywiązują mnóstwo wagi do stanu posiadania. Nawet Sadie – dodał gniewnie – robi dużo szumu o służbę, sprawy domu i inne takie bzdury! Przed ślubem zachowywała się zupełnie inaczej. – Wycisnął farbę z tubki na paletę. – Małżeństwo zmienia kobiety. Niestety na gorsze.

Marianne i Arthur przywracali do życia dom w Surrey. Cała armia dekoratorów zdierała stare tapety i naprawiała uszkodzenia w ścianach. Oczyma duszy Marianne widziała już dom po remoncie. Salon będzie kremowo-złoty, pokój muzyczny – bladozielony. Hol i schody wyłoży się ciemnoczerwonym dywanem, kręcone poręcze pomaluje na biało. Do sypialni wybrała tapety w kolorze śliwki i kinkiety z kolorowego szkła, które przypominały jej świeczniki w Palazzo Gritti w Wenecji.

– A tu? – spytał Arthur.

Znajdowali się w małym, jasnym pokoju na drugim piętrze. Wysokie okna wychodziły na zapuszczony ogród. Nad wywoskowaną podłogą w słabym jesiennym słońcu unosiły się drobinki kurzu.

– Chyba dziecinny – odpowiedziała.

Wziął ją w ramiona.

– Czyżby...? – Usłyszała w jego głosie nadzieję.

Pokręciła przecząco głową.

– Myślałam, że się spodziewam, ale nie... To nic, przecież na pewno niedługo to nastąpi. Prawda?

Przytulił ją znowu.

– Mamy mnóstwo czasu. Ęle się czujesz?

– Fatalnie. – Zawsze miała bolesne miesiączki. Lekarz mówił, że dolegliwości ustąpią po urodzeniu dziecka.

– Biedactwo. – Zobaczył wyraz jej twarzy i powtórzył: – Jest mnóstwo czasu, Annie. To znaczy, że będę miał cię trochę dłużej tylko dla siebie.

– Dwóch chłopców i dziewczynka byłoby w sam raz, co?

– Albo dwie parki. Chłopcy bywają tacy rozbrykani! Potrzebują siostr, żeby ich hamowały.

– Ty nie miałeś ani jednej – zauważyła, całując go.

– Dlatego tylko cienka żyłka łączy mnie z cywilizacją. W głębi serca jestem jaskiniowcem. – Porwał ją w ramiona i zaczął udawać małpę. Śmiejąc się, protestowała słabo, kiedy wyniósł ją do sypialni i ostrożnie położył na łóżku.

– Ten dom potrzebuje dzieci – rzekł. – Mogę je sobie tu wyobrazić. – Położył płaskie dłonie na jej brzuchu. Za miesiąc, obiecała mu w duchu. Za miesiąc.

Ęle spała tej nocy. Zeszła na dół, do zmywalni, żeby przygotować sobie butelkę z gorącą wodą i filiżankę herbaty. Kiedy wreszcie zasnęła, miała poplątane, sugestywne sny i nie obudziła się, gdy Arthur wstał na poranną przejażdżkę.

Ocknęła się dopiero na dźwięk jego głosu i dotknięcie ręki.

– Annie, obudź się! Niestety musisz się obudzić! Edwin Meredith przysłał mi depezę, że w stoczni, na „Caroline” wybuchł pożar. – Trzymał w ręku zmięty kawałek

papieru. – Muszę jechać do Londynu i sam ocenić straty.

Usiadła.

– Zaraz się ubiorę.

– Annie, może to nic... Trochę śladów ognia, kilka dni pracy. Możesz tu zostać, zresztą trzeba dopilnować dekoratorów.

Ma poprosić panią Sheldon, żeby została na noc. On za dwa dni powinien być z powrotem... Podeszedł do szafy. Patrząc na rzędy koszul i marynarek, uderzał pięścią w dłoń.

– Nie mamy szczęścia przy tym statku. Jesteśmy już grubo spóźnieni z robotą.

– Arthurze, twoja noga!

Był bosy; od łóżka do szafy ciągnęły się krwawe punkciki.

– Przebierałem się po jeździe w składziku i pewnie nadepnąłem na gwoźdź. Tam na podłodze jest mnóstwo gwoździ.

– Zaraz ci to oczyszczę i opatrzę.

– Daj spokój, to tylko ukłucie.

– Kochanie...

– Naprawdę głupstwo. Zresztą się śpieszę.

Wyjechał, a Marianne poszła do składziku z butami. Z deski podłogowej sterczał gwoźdź – ostry, zardzewiały. Poprosiła majstra, żeby sprawdził wszystkie deski i powbił wystające gwoździe. Potem pisała listy przy akompaniamencie stuku młotka, niosącego się echem po domu.

W piątek 18 listopada trzysta kobiet przemaszerowało z Caxton Hall do Izby Gmin, protestując przeciwko odrzuceniu przez rząd projektu Conciliation Bill, który zakładał ograniczone prawo głosu dla kobiet. Pod Izbą Gmin demonstrację zaatakowała policja. Na tyłach tłumu Eva rysowała policjantów okładających pięściami uczestniczki manifestacji, kopiących te, które leżały skulone na ziemi i wyrrywających im włosy z zakrwawionych głów. Rysowała, póki ktoś jej nie wyrwał z ręki szkicownika i nie odrzucił go na bok, a jej samej nie powalił na ziemię. Dopiero wtedy pozbierała swoje rzeczy i zaczęła przeciskać się w stronę Paddington.

Ledwie weszła do pracowni Gabriela, usłyszała:

– Spóźniłaś się.

Stał przy sztalugach, wyraźnie zirytowany. Eva zatrzymała się w progu, przyciskając rzeczy do piersi. Może wyjść? Nie zniosłaby, gdyby miał być na nią zły akurat teraz.

– Wiesz, jak robi się beznadziejnie, kiedy brakuje światła – rzucił z irytacją. Ale kiedy spojrział na nią zza sztalug, zmienił ton: – Dobry Boże, co ci się stało?! – Przeszedł szybko przez pokój. – Evo, ty drżysz! I jesteś ranna!

Otulił ją swoim płaszczem i posadził. Potem rozпалиł ogień – zmiął trochę strzępków papieru, pobiegł na drugą stronę ulicy i ze składu opałowego przydzwigał przez trzy piętra worek węgla, nalał do kubka odrobinę brandy i wcisnął Evie do rąk.

– Evo, co się stało? Kto cię zranił? Powiedz tylko, a pójde i go zabiję! –

wykrzykiwał z furją.

– To policja. – Alkohol palił jej gardło, ale przynajmniej przestała się trząść.

– Policja?

– Maszerowałyśmy na Izbę Gmin. Szłam z Lydią... – Chwyliła go za rękaw. –

Lydia! Nie wiem, co się z nią dzieje!

– Lydia da sobie radę – uspokoił ją. – Od lat jest zdana na siebie.

– Oni wszystkich tłukli! Staruszki, młode dziewczęta... – Przyłożyła podrapaną rękę do twarzy, zakrywając oczy. – Nie dali nam przejść, Gabrielu! Myśmy tylko maszerowały, a oni... – Wzięła głęboki oddech i mówiła już trochę spokojniej: – Myślałam, że zemdleję, więc uciekłam. A potem przypominałam sobie o szkicowniku i uznałam, że przynajmniej mogę narysować, co widzę, niech ludzie wiedzą, jacy to brutale. Ale nagle policjant mnie zauważył, więc nie mam żadnych rysunków.

Otoczył ją ramionami, Eva ukryła twarz na jego piersi. Usłyszała, jak Gabriel mamrocze:

– Sukinsyny... Co za sukinsyny...

Otarła mokrą twarz rękawem.

– Chcieli nas upokorzyć i udało im się... Są od nas silniejsi. Może to prymitywne dranie, ale zmusili nas do posłuchu tylko dlatego, że są silniejsi. – Przyjrzała się swoim drżącym dłońmi. – Słyszałam, jak ktoś mówił, że to policjanci z East Endu, dlatego potraktowali nas tak brutalnie. Tak samo odnoszą się do swoich kobiet i jakoś nikogo to nie oburza.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że jest już ciemno. Powinna wracać do domu, pani Wilde będzie się niepokoić.

Na kominku stało lustro – wprawdzie pęknięte i zakurzone, ale zobaczyła w nim, jaka jest brudna, posiniaczona i potargana – włosy opadły jej na ramiona. Przemylała twarz najlepiej, jak mogła, ale nie zdołała upiąć włosów, za bardzo drżały jej palce. Gabriel wziął od niej szpilki – poczuła, jak skręca jej włosy w węzeł. Cieszyła się z marnego światła, przynajmniej nie widział jej zamkniętych oczu, kiedy wpinał jej szpilki.

Wyszli razem na ulicę. Na Praed Street Gabriel przystanął i zatrzymał taksówkę. Eva obserwowała go ukradkiem, ucząc się jego rysów, tak aby wryły jej się w pamięć. Cały czas czuła ten zdradziecki, cudowny dotyk czubków palców Gabriela muskających jej kark.

Arthur wyjechał z Leighton Hall we wtorek rano. W poniedziałek po południu Marianne usłyszała przez okno warkot jego automobilu. Obserwowała, jak mąż parkuje auto i wysiada. Rękawy makintosza miał mokre od deszczu, a idąc, lekko utykał.

– Ten przeklęty gwóźdź – mruknął, kiedy już ją uściskał. – Kto by pomyślał, że takie drobne ukłucie może tak się dać we znaki...

Przy lunchu powiedział jej, że pożar był bardzo gwałtowny. Zaczął się w przylegającym składzie drewna i szybko wymknął spod kontroli.

– A statek? – spytała. – Co z „Caroline”?

– Mocno uszkodzona, niestety. – Przycisnął palce do czoła. – Jak dobrze wrócić do

domu. A przede wszystkim zobaczyć znów ciebie, Annie.

– Powinieneś odpocząć. Taka długa jazda...

– Tak. Tak, chyba masz rację.

– I wymocz tę nogę. Przygotuję ci jodynę.

Następnego dnia pojechali razem do Londynu. Całe popołudnie i środę Arthur spędził w stoczni. Kiedy Marianne obudziła się w czwartek rano, leżał obok niej. Pogłaskała go po policzku; powieki mu zadrgały i z wolna otworzył oczy.

– Nie wybrałaś się na przejażdżkę.

– Czuję się trochę zmęczony. – Deszcz tłukł o szyby. – I pogoda jest parszywa. –

Wziął ją w ramiona. – Nie chce mi się ruszać. Moglibyśmy w ogóle dziś nie wstawać.

– Możemy udawać, że źle się czujemy.

Uśmiechnął się szeroko.

– A co by powiedziała służba?

Marianne położyła mu głowę na piersi.

– Niestety, obiecałam Patricii, że jej pomogę sprzedawać kwiaty.

– Kwiaty?

– Na cel dobroczynny. Towarzystwo Śnieżyczek kwestuje na rzecz biednych wdów.

– A co z biednymi mężami?

– Och, mężowie są zawsze rozpieszczani. Wręcz psuci. – Pocałowała go. –

Nienawidzę takich akcji, ale Pat była dla mnie taka dobra, że nie powinnam jej odmawiać. I nie potrwa to długo. – Dotknęła wierzchem dłoni jego twarzy. – Jesteś dość ciepły, kochanie. Czy dobrze się czujesz?

– Może się przeziębilem. Od tego wystawania na deszczu w dokach.

– Zadzwoń do Patricii i powiem, że nie przyjdę.

– Nonsens. Muszę tylko poleżeć kilka godzin. No, zmykaj. – Klepnął ją w pupę na zachętę. – I sprzedaj mnóstwo kwiatów.

Marianne stała w progu sklepu przy Oxford Street, chroniąc się od deszczu. Miała wielki kosz papierowych kwiatów i pudełko szpilek. Ponieważ nie mogła się zmusić do zaczepiania obcych ludzi, sprzedawała kwiatek tylko wówczas, kiedy jakiś przechodzień ulitował się nad nią. Do południa uzbierało się takich ledwie dwa tuziny, więc po prostu wsypała zawartość portmonetki do puszek z pieniędzmi, a resztę kwiatów wyrzuciła do pojemnika na śmieci. Następnie udała się z Patricią do Fortnuma na lunch.

Wróciwszy do domu, znalazła Arthura przy ogniu w bibliotece. Znów przyłożyła mu dłoń do czoła; było rozpalone. Po raz pierwszy poczuła niepokój.

– Kochanie, masz gorączkę.

– Szału można dostać – poskarżył się. – Tyle jest roboty!

Pomimo buzującego ognia drżał.

– Wezwę doktora Fleminga – zdecydowała.

Złapał ją za rękę i przytrzymał.

– Nie ma potrzeby, Annie. Wiesz, że nie znoszę robić zamieszania. Nie chcę, żeby ten cholerny rzeźnik wytrząsał się nade mną. Do jutra wyzdrowieję.

Zauważyła to już wcześniej: nie cierpiał lekarzy, szpitali, wszystkiego, co miało

związek z medycyną. W czasie wizyt Iris wychodził z pokoju, kiedy zaczynała mówić o pracy. On, taki krzepki fizycznie, taki odważny, miał swoje fobie i urazy.

Ustała z wahaniem.

– Ale jeśli do jutra...

Podniósł obie ręce.

– Obiecuję! Będziesz mogła sprowadzić te pijawki.

Spała niespokojnie tej nocy, budziła się co jakiś czas i obracała twarzą do męża. Ale rano gorączka wyraźnie spadła.

O dziesiątej Marianne miała przymiarękę u kracowej. Kiedy wyszła z domu, zobaczyła, że miasto tonie we mgle. Budynki były ledwie widoczne, na liściach i poręczach drżały małe perełki wilgoci. U krawcowej podręczne upinały na niej wieczorową suknię. Marianne patrzyła z niezadowoleniem na ciemnoczerwoną tkaninę – nie lubiła już tego koloru. Wydawał się jej zbyt ciemny, zbyt ciężki, przyprawiał ją o mdłości. Nic dziwnego, przecież to kolor krwi... Żałowała teraz swego wyboru. Cały czas dręczył ją niepokój, stała jak na szpilkach, nie mogła doczekać się końca. Myślała o Arthurze rzucającym się we śnie, o jego rozpalonej, papierowej skórze pod jej dłonią. Za każdym razem, kiedy szwaczka wbijała szpilkę w tkaninę, Marianne zagryzała wargę, żeby nie krzyknąć. To tylko przeziębienie, powtarzała sobie w duchu. Jak wróci do domu, wszystko będzie dobrze. A jednak kiedy miara dobiegła końca, Marianne nie udała się do sklepów, jak planowała, tylko pośpieszyła na Norfolk Square.

W ciągu dnia mgła zgęstniała i teraz nie było widać nawet drugiej strony ulicy. Na zewnątrz dźwięki wydawały się przytłumione, ale w domu kroki Marianne rozbrzmiewały echem w pustych korytarzach.

Nie zastała Arthura ani w bibliotece, ani w salonie, więc poszła na górę, do sypialni. Leżał w łóżku, z odwróconą głową.

– Arthurze? Kochanie?

Na dźwięk jej głosu obrócił się; miał szkliste oczy. Marianne zauważyła, że od czasu, gdy go zostawiła, zaszła w nim jakaś nieuchwytna zmiana.

– Arthurze? – Kiedy dotknęła jego twarzy, odsunął się od jej dłoni.

– Annie. Gdzie byłaś? Tak długo na ciebie czekam...

– Byłam u krawcowej. Przecież ci mówiłam.

– Tyle godzin czekam... – Skrzywił się nagle. – Głowa mnie boli.

Przy łóżku stała miska z zimną wodą. Marianne zmoczyła ściereczkę, wycisnęła ją i położyła mu na czole.

– Tak lepiej?

Zamknął oczy.

– Pić mi się chce. Tak bardzo mi się chce pić.

Nie mógł jednak napić się ze szklanki bez pomocy. Niepokój Marianne zmienił się w panikę. Arthur, który jeździł konno po Hyde Parku jak książę, który z taką łatwością porozumiewał się z weneckimi gondolierami i paryskimi dorożkarzami, nie mógł pić bez pomocy!

– Zadzwońię po lekarza. Coś kiepsko z tobą.

Kiedy odwróciła się, złapał ją za rękę.

– Nie zostawiaj mnie, Annie! Nie wolno ci mnie zostawić!

– Zaraz wrócę, tylko zadzwonię po doktora Fleminga. To potrwa parę minut, obiecuję. Oczywiście, że cię nie zostawię. Pamiętasz, kochanie? Zawsze i na wieki.

Zbiegła na dół. W holu pokojówka układała na stoliku południową pocztę. Marianne zawsze trochę obawiała się służących Arthura. Nadal uważała ich w duchu za służbę Arthura, nie swoją.

Tym razem jednak syknęła ze złością na dziewczynę:

– Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił? Dlaczego nikt nie posłał po lekarza?

Pokojówka patrzyła na nią tępym wzrokiem, nic nie rozumiejąc.

– Pan Leighton jest chory! – krzyknęła Marianne. – Nie zauważyłaś? Pan Leighton jest bardzo chory!

Drżącą ręką podniosła słuchawkę. Usłyszała głos operatorki pytającej o numer, potem odległy głos pokojówki lekarza, wreszcie swój własny, wymieniający objawy choroby. Na koniec odezwał się sam doktor Fleming.

– Jestem pewien, że nie ma powodu do obaw – rzekł uspokajająco. – Prawdopodobnie chodzi o przeziębienie. Ta pogoda... sama pani rozumie.

Napięcie trochę zelżało. Doktor Fleming będzie wiedział, co robić. Pomoże Arthurowi. Wróciła do sypialni i przysunęła sobie krzesło do łóżka. Arthur coś do niej szeptał; nie mogła zrozumieć słów, więc pochyliła się niżej.

– Boli... Tak strasznie boli...

Strach znowu podszedł jej do gardła. Czuła jego smak w ustach.

– Gdzie cię boli?

– Wszędzie. – Wyglądał na przerażonego. – Annie, co się ze mną dzieje?

– Jesteś chory, kochanie. Niedługo ci się poprawi. To tylko gorączka.

– Noga... Strasznie boli. Ta przeklęta noga!

Marianne przypomniała sobie zardzewiały gwóźdź i kropelki krwi na dywaniku. Czym prędzej ściągnęła z męża koce, a to, co zobaczyła, zmusiło ją do zakrycia ust, aby powstrzymać okrzyk zgrozy. Skóra wokół ranki na podeszwie była czarna i napuchnięta. Paskudne, ciemne zasinienie rozciągało się na kostkę i łydkę, gdzie wystąpiły podskórne wylewy.

Zrobiła, co mogła, zdając sobie sprawę, że to grubo za mało. Obmyła Arthurowi nogę mydłem karbolowym i posmarowała jodyną, a potem ułożyła ją wysoko, żeby złagodzić ból. Wiedziała, że powinna obniżyć temperaturę, więc przetrzała mu ciało mokrą gąbką i napiła go wodą. Nie rozumiała, czemu lekarz tak długo nie przyjeżdża, miała wrażenie, że od telefonu upłynęło kilka godzin. I cały czas dręczył ją nieznośny, przyprawiający o mdłości strach, jakby w gardle utknęło jej coś żywego, namacalnego.

Kiedy wyjrzała znów przez okno, zobaczyła, że mgła zgęstniała jeszcze bardziej. Pojazdy wylaniały się z mroku tylko na chwilę w świetle latarni i reflektorów. W głowie Marianne odzywały się na przemian dwa głosy – jeden gniewny i niecierpliwy: *Pośpiesz się, czemu zwlekasz? Co cię powstrzymuje? Ta przeklęta mgła... Nie zostawiaj mnie. Pośpiesz się...*

Ten drugi głos był błagalny, przerażony: *Nie pozwól, by stało się to najgorsze. Boże, nie dopuść, żeby Arthura spotkało coś okropnego. Proszę. Błagam.*

Doktor Fleming był krępy męczyzną o różowej twarzy. To zakażenie krwi, powiedział, obrzucając Marianne protekcyjnym spojrzeniem. Pan Leighton cierpi na zakażenie krwi, stwierdził. Inaczej – *septicaemia*, dodał chrząkając dyskretnie, ale niech pani Leighton nie zawraca sobie głowy naukowymi terminami. Chociaż rana była niewielka, gwóźdź musiał wbić się na tyle głęboko, że do krwiobiegu dostały się bakterie. On proponowałby nacięcie rany. Arthur jest młody i silny, więc muszą mieć nadzieję, muszą się modlić, aby przezwyciężył infekcję. Marianne zwróciła uwagę na słowo „modlić”. A więc pewności nie ma... Wczepiła lekarzowi paznokcie w rękaw.

– Pan musi mu pomóc – syknęła. – Musi pan...

Kiedy doktor Fleming nacinał ranę, stała przy łóżku, trzymając Arthura za rękę. Mąż prosił, aby go nie zostawiała, więc trwała na posterunku, chociaż lekarz namawiał ją do wyjścia. Wyobraziła sobie, jak po nacięciu trucizna wycieka ze wszystkich drobnych żyłek i naczyń krwionośnych. Gdy nóż zanurzył się głębiej i Arthur krzyknął, zagryzła wargę tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi. Nie odwróciła głowy ani przy przemywaniu rany wodą utlenioną, ani przy tamponowaniu i bandażowaniu. Usiadła potem przy łóżku i czekała. W głowie wciąż słyszała głosy – jeden błagalny, drugi trajkoczący.

Na pewno zaraz mu będzie lepiej. Gorączka powinna spaść... czemu jeszcze nie spadła? Dlaczego on nie otwiera oczu, dlaczego nic nie mówi? Proszę, Boże, spraw, aby poczuł się lepiej, obiecuję, że zrobię wszystko... naprawdę wszystko, co zechcesz. Mogę nawet już nigdy nie mieć dziecka, zniosę i to...

Na zewnątrz mgła zgęstniała jeszcze bardziej i wydawało się, że napiera na szyby. Powietrze, dotąd w kolorze ochry, zaczęło szarzeć – to była jedyna oznaka nadciągającej nocy. Doktor Fleming odciągnął Marianne na bok.

– Posłałem po pielęgniarkę, żeby panią zmieniła, pani Leighton.

– Zostanę przy mężu – odrzekła z uporem.

– Damy sobie znakomicie radę, moja droga. Powinna pani od-począć.

– Nie zostawię go! – Bezwiednie podniosła głos. – Nie ruszę się stąd na krok!

– Dobrze, już dobrze. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Skoro tak pani woli...

Ponad rok temu w oranżerii w Summerleigh Arthur obiecał, że nigdy jej nie opuści. Zamknawszy oczy, słyszała deszcz bębniący o szklany dach i ciężki, ziemny zapach palm i paproci. Arthur jest z tych, co dotrzymują słowa. Ona swojego także dotrzyma.

Szepnęła mu do ucha:

– Jestem tutaj. Zawsze będę. Musisz dla mnie wyzdrowieć, kochanie.

On jednak obrócił się na poduszce i rzekł:

– Armata. Nie słyszysz armaty?

Serce zatrzepotało jej ze strachu.

– To nic, Arthurze. To nie armata, tylko samochód trąbi we mgle. Albo któraś ze służących coś upuściła.

Oczy miał jak u szaleńca – dalekie, niespokojne. Marianne nie wiedziała, czy w ogóle ją widzi i słyszy. Pogłaskała go po policzku.

– Cicho, kochany. Nie martw się, jestem przy tobie.

Powieki mu opadły. Pojawiła się pielęgniarka w szeleszczącym, wykrochmalonym fartuchu. Pstryknąwszy energicznie wieczkiem przypiętego do piersi zegarka, zmierzyła choremu puls. Znow nastąpił ów krótki moment ulgi: siostra Saunders o nalanej twarzy i grubych czerwonych palcach będzie wiedziała, jak pomóc Arthurowi.

Nad ranem siedzącą przy łóżku męża Marianne zaczął morzyć sen. Kiedy ocknęła się gwałtownie, nie wiedziała, czy spała minutę czy godzinę. Przez chwilę śnił się jej dom w Surrey. Arthur stał na korytarzu, a ona szła w jego stronę. Było lato i przez wysokie okna wlewało się słońce. Poruszała się wolno, jakby napotkała na jakąś niewidzialną przeszkodę, Arthur zaś zdawał się raczej cofać niż przybliżyć. Po przebudzeniu doznała wstrząsu – sypialnia w ciągu jednej nocy straciła swój przytulny charakter: pielęgniarka siedząca w fotelu pod zapaloną lampą, taca z buteleczkami i bandażami, odór środków dezynfekujących i jeszcze ten inny – stęchlizny i rozkładu. Chwila dławiącej paniki – i po raz pierwszy Marianne przyszło do głowy, żeby sprowadzić Iris albo Evę. Żeby nie czuć się tak samotnie.

A jednak nie zrobiła tego. Wciąż nie mogła oprzeć się przekonaniu, że jeśli tylko zamruga oczami albo porządnie się otrząśnie, cały ten koszmar zniknie, rozlegnie się warkot i skrzypienie maszynierii, po czym wszystko wskoczy na swoje miejsce. Posłać po siostry znaczyłoby tyle, co przyznać przed sobą, że dzieje się coś naprawdę okropnego. Przyznać, że Arthur mógłby...

Ucięła tę myśl. Siedziała, obserwując go, koncentrując się, próbując wlać w niego własną siłę. Musi poczuć się lepiej, i to szybko, bo ona nie wytrzyma już drugiej takiej nocy.

Bliżej świtu obudził się, łapiąc gwałtownie powietrze.

– Widziałem... – Usiadł na łóżku, omiatając pokój spojrzeniem.

– Co widziałeś, kochany?

– Tam. O, tam. – Wpatrywał się ze zgrozą w oczach w ciemny kąt. – Tylu ich tutaj...

– Kogo, Arthurze?

– Indyjskich bogów. Całe zastępy. Setki, tysiące...

– Cicho, kochanie, to tylko sen.

– Bóg-słoń. Jak on się nazywa...? Widziałem procesję. Tyle ludzi! I hałas, muzyka... Taka dziwna muzyka. Nie mogę sobie przypomnieć... Mam! Ganesia. I to bóstwo o błękitnej skórze... Kriszna. – Mówił bardzo szybko. Złapał ją za rękę, ściskając tak mocno, że aż syknęła z bólu. – A jeśli to oni mają rację, a nie my?

Pielęgniarka wstała z krzesła. Arthur patrzył na Marianne dzikim wzrokiem.

– Zawsze uważaliśmy się za nieomylnych. Słuszność zawsze musiała być po naszej stronie. Nasz Bóg był prawdziwy, nie ich. A jeśli to oni mieli rację? Jeśli to ich bogowie rządzą w niebie? – Potarł ręką czoło. – Albo w piekle.

Głos mu słabł. Arthur uciekał od niej, wybierał się w podróż tam, gdzie Marianne nie mogła mu towarzyszyć. Chciała na niego krzyknąć, potrząsnąć nim, zmusić do powrotu.

Pielęgniarka odmierzyła krople na łyżeczkę. Kiedy je wypił, opadł z powrotem na poduszkę, a pielęgniarka podniosła przykrycie, żeby obejrzeć nogę. Marianne znów wzięła go za rękę. Powieki mu zatrzepotały, skóra wokół oczu i na policzkach była zapadnięta.

Siostra Sanders odwinęła bandażę i Arthur jęknął. Marianne modliła się w duchu: „Powiedz, że jest lepiej. Powiedz, że opuchlizna ustąpiła i zasinienie się zmniejsza”.

Zamiast tego usłyszała:

– Pani Leighton, trzeba wezwać lekarza. – I pielęgniarka wyszła z pokoju.

Czas płynął. Doktor Fleming znów przyjechał i po zbadaniu Arthura kiwnął na Marianne, żeby przeszła z nim do sąsiedniego pokoju. Gorączka, oznajmił, najwyraźniej nie spada. Serce jest na granicy wyczerpania i długo już nie wytrzyma.

– Serce... – powtórzyła w oszołomieniu, czując, jak jej własne ściska się z bólu.

Doktor Fleming zmarszczył brwi. Nacięcie rany nie powstrzymało infekcji, pewne objawy wskazują, że wdała się gangrena. Dyskretne kasznięcie; oczy lekarza unikają wzroku Marianne. Jest mu bardzo przykro, że musi jej to powiedzieć, ale uważa, że nadszedł czas na bardziej radykalne środki.

– To nie wiem, na co pan czeka – rzuciła ze złością. – Skoro zna pan jakieś lekarstwo...

– Nie ma żadnego lekarstwa – przerwał jej. – Jeśli nie powstrzymamy infekcji, u pana Leightona nastąpi niewydolność krążenia, a wtedy życiowe organy – serce i mózg, rozumie pani, zostaną pozbawione tlenu.

Potem powiedział jej, jakiego rodzaju operację zamierza wykonać. Siedziała w milczeniu i nie odezwała się już. Lekarz poklepał ją po ręku i wrócił do sypialni.

Kiedy została sama, podeszła do okna. Na zewnątrz nie było nic, poza skłębioną, szarozółtą ścianą mgły. Przycisnęła dłoń do szyby i zobaczyła krople wody zlewające się z sobą i sunące w dół po szkle. Dalej leżała mgła. Jeśli nawet słońce wzeszło, to Marianne i tak nie mogłaby go zobaczyć. W szybie widziała tylko własne odbicie – bladą twarz, pomiętą suknię, potargane włosy. Zaczęła je upinać, ale nagle opuściła rękę. Po co ma się czesać, jeśli on jej nie zobaczy? Po co zmieniać suknię, myć twarz, kiedy właśnie mu to robią?

Jedna z dyplomowanych pielęgniarek zatrzymała Iris, kiedy ta wychodziła z oddziałowej kuchni.

– Przełożona cię prosi, Maclise. Masz natychmiast iść do jej gabinetu. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Musiałaś być bardzo niegrzeczna.

Po drodze Iris przebiegła w duchu listę swoich najświeższych grzeszków. Nie było tego dużo, znacznie mniej niż kilka miesięcy temu. Wczoraj upuściła tacę z brudnymi opatrunkami. Chyba za coś takiego jej nie wyrzucą? To w stylu siostry Grant, kazać się pakować za tak drobne przewinienie, ale ona, Iris, w życiu się z tym nie pogodzi. Jeśli

odejdzie ze szpitala, to tylko na własną prośbę i w dogodnym dla siebie czasie. Nie pozwoli, by ją w tak haniebnym sposobie usunięto.

Przed gabinetem zatrzymała się, przyglądała włosy, wyprostowała czepek, przeczyściła do połysku buty i dopiero wtedy zapukała.

Panna Stanley poprosiła ją do środka.

– Proszę usiąść, siostrze Maclise.

To Iris dość poruszyło. Przecież połajanki odbywają się zwykle na stojąco.

– Niestety, mam dla pani złą wiadomość. Odebrałam właśnie telefon od pani siostry.

Siostry. Szybkie przegrupowanie myśli i nagle: Clemency! Matka!

Ale wtedy panna Stanley powiedziała:

– Pani Leighton prosiła, żeby panią zawiadomić, że jej mąż jest poważnie chory. Życzyła sobie, żebym pozwoliła pani do niej pojechać. I chociaż nie lubię, kiedy moje pielęgniarki zwalniamy się w godzinach pracy, w tej sytuacji wyraziłam zgodę. Nadrobi to pani w wolnym dniu.

Jadąc przez Londyn, Iris myślała, że to musi być pomyłka. Arthur nie mógł zachorować, jest w kwiecie wieku, taki przystojny, silny, męski... Ale oczywiście wiedziała, że w jej szpitalu codziennie umierają także mężczyźni w kwiecie wieku. Widziała to na własne oczy, trzymała ich za ręce aż do ostatniego oddechu.

Na dworcu Paddington wbiegła szybko na schody i przepchnęła się przez tłum. Kłęby pary z lokomotyw mieszały się z oparami mgły. Z szarobrazowego powietrza wyłaniały się ludzkie sylwetki. Dziewczyna z koszykiem gałązek ostrokrzewu, robotnicy tłoczący się przy mosiężnych koksownikach. Wszystkie dźwięki były przytłumione – stukot końskich kopyt, nawoływania kwiaciarki... Tak łatwo stracić orientację! Tam, gdzie mgła wydawała się nieprzenikniona, Iris szła zupełnie na ślepo, trzymając się żelaznych poręczy przed domami.

Oprócz strachu, że zgubi drogę we mgle, czuła jeszcze inny, gorszy, który narastał, w miarę jak zbliżała się do domu Leightonów. Będąc najstarszą z sióstr, zawsze traktowała Marianne jak idiotkę, pogardliwie odnosząc się do jej nieśmiałości, romantycznych lektur i niezdolności do działań wymagających sprawności fizycznej. Potem, kiedy karta się odwróciła, pogarda zmieniła się w zazdrość. Dopiero teraz, może pierwszy raz w życiu, Iris zdobyła się na obiektywizm wobec młodszej siostry. Doszła do trzeźwego wniosku, że ona sama po prostu nie jest zdolna do tak głębokiej miłości. Marianne kochała, owszem, może zbyt lekkomyślnie, ale jeśli Arthur umrze... Iris aż bała się myśleć, co stałoby się wtedy z jej siostrą.

Kiedy pokojówka zaanonsowała Iris, Marianne stała przy oknie, tyłem do drzwi.

Odwróciła się z szarą jak kamień twarzą. Suknię miała poplamioną i zmiętą, z węzła upiętego z tyłu głowy zwisały kosmyki włosów. Iris zauważyła, że jej siostra, która po poznaniu Arthura bardzo wypiękniała, teraz znów nabrała pospolitego wyglądu.

Z domu Leightonów przy Norfolk Square do pracowni w Paddington było naprawdę blisko – należało skręcić kilka razy i pokonać parę skrzyżowań, po czym

szeroka ulica znacznie się zwężała, przechodząc w skromny zaułek. Eva przebiegała właśnie obok składu węgla, warsztatów zegarmistrza i producenta pudełek, kiedy nagle zobaczyła Gabriela.

Nie przyszło jej do głowy, że mógłby nie być sam. Oczywiście było późno – dziewiąta wieczór – o tej porze zwykle go nie odwiedzała. A teraz stał zaledwie kilka kroków od niej, otoczony grupą przyjaciół, która właśnie wysypała się z czynszówki, gdzie wynajmował pracownię.

– Evo! – wykrzyknął, uchwyciwszy jej wzrok. – Moje śliczne małeństwo!

Widząc zaczerwienioną twarz Gabriela i domyślne uśmiešky jego przyjaciół, zastanowiła się, czy jednak nie popełniła błędu. Może nie powinna tutaj przychodzić. Pewnie nie znajdzie tu dziś pociechy. Ani tu, ani w ogóle nigdzie.

On jednak postąpił kilka kroków w jej stronę, przyjrzał się jej badawczo i rzucił przez ramię do towarzyszy:

– Zmykajcie stąd, co?

– Cały Gabriel... – westchnął ktoś, kiedy się oddalali.

– Coś się stało, prawda? – zwrócił się do Ewy. – Powiedz mi, dobrze?

Ale nie była w stanie nic wykrztusić, po prostu nie potrafiła ubrać tego w słowa. Gabriel zmarszczył brwi.

– Chodźmy do pracowni. Tam poczujesz się lepiej. – I ujął ją mocno pod ramię.

– Nie – powiedziała. – Wolę pójść gdzie indziej, zobaczyć coś innego.

Wsadził ją do taksówki i pojechali do Cafe Royal. W wielkiej, wypełnionej stolikami sali siedzieli mężczyźni i kilka kobiet. Wyłożony boazerią i ozdobiony złoceniami sufit wspierał się na potężnych kolumnach – na jednych wiła się połączana winorośl z ciężkimi gronami owoców, inne były zwieńczone rzeźbionymi figurami. Eva zauważyła, że wszystkie przedstawiały kobiety – białe, nagie, o pełnych piersiach.

Gabriel zamówił napoje, po czym zapalił dwa papierosy i jednego wetknął Ewie między palce. Wkrótce przyniesiono jej kieliszek wina, a Gabrielowi coś przezroczyściego w żółtawozielonym kolorze.

– Co to jest? – spytała.

– Absynt.

– Chciałabym spróbować.

– Nie będzie ci smakował.

– Chcę spróbować wszystkiego – syknęła z naciskiem.

– Evo... – zaczął i urwał. – Dobry Boże, jakbym słyszał mojego ojca! W ogóle – jakiegoś ojca. – Przysunął jej kieliszek.

Upiła łyk. Trunek był gorzki; skrzywiła się mimo woli. Gabriel uśmiechnął się i zauważył:

– Paskudztwo, co? To trunek poetów i neurotyków.

– A siebie do której kategorii zaliczasz?

– Chciałbym do pierwszej, ale czasem obawiam się, że należę do tej drugiej. – Rozejrzał się po sali. – Co myślisz o sali Domino? Wszyscy ty przychodzą. Orpen, William, Augustus John...

– Jest jak jaskinia. – Oczy jej błędziły po malowanym suficie. – Można się tu ukryć.

– Evo, kochanie. Może wreszcie mi powiesz, przed czym chcesz się schować?

Bolała ją głowa, oczy piekły od płaczu. Wypiła połowę wina, odstawiła kieliszek i przycisnęła dłonie do twarzy.

– Mój szwagier Arthur nie żyje.

– Mąż twojej starszej siostry?

Pokiwała głową.

– Marianne. Pobrali się zaledwie rok temu! Nawet niecały, jedenaście miesięcy...

– Dobry Boże! Biedacy...

– Byłam u Marianne... raptem jeden dzień, a wydaje mi się, jakby minęły całe miesiące. W tym domu, kiedy Arthur był taki chory, taki cierpiący... – Wypiła jednym haustem resztę wina, a Gabriel skinął na kelnera, by napełnił im kieliszki. – Biedna Marianne, nie wiem, jak ona to zniesie. Tak bardzo go kochała! Ale, Gabrielu, musiałam się stamtąd wydostać. Tam jest tak, jakby wszystko umierało. Zresztą są z nią ojciec, James i Iris, więc powiedziałam, że wracam do pani Wilde. Bardzo mi wszyscy współczuli, bo widzieli, jaka jestem zmęczona i zdenerwowana, ale... ale nie chodziło mi tylko o to, żeby uciec. Po prostu musiałam znaleźć się gdzieś, gdzie poczułabym, że żyję. I z kimś, kto to sprawi!

Położył dłoń na jej dłoni. Zadrżała, bo nagle potarł kciukiem wewnętrzną stronę.

– A przy mnie czujesz się żywa? – spytał.

– Tak... – Zabrzmiało to jak westchnienie. Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. – Nawet jeśli to coś złego.

– To nie jest nic złego. Miłość nigdy nie jest zła.

Słowo „miłość” sprawiło, że znów zadrżała. Ale zaraz coś się w niej zbuntowało.

– Tak? A co z Sadie? Co z waszymi dziećmi?

– Kocham Sadie. Zawsze będę ją kochał i nic nie jest w stanie tego zmienić. To samo dotyczy dzieci. Oddałbym życie za każde z nich.

Przypomniał się jej ojciec wsiadający do wiadomej dorożki.

– Nie cierpię oszustwa! – wybuchnęła. – Nienawidzę nieuczciwości!

– A czy uczciwie jest udawać, że się nie kocha? – Zmarszczył czoło, wyraźnie próbując uporządkować myśli. – Ja podchodzę do tego w taki sposób, że po prostu nie staram się udawać kogoś innego, niż naprawdę jestem. Mam złą opinię – i w oczach świata, oczywiście, jestem zły. Nie trzymam się zasad, ale z drugiej strony, nie udaję, że to robię. Wyznaję swoje własne zasady. Wierzę, że miłość jest dobra. Nie wierzę natomiast w miłość na wyłączność. Nie udaję, że kochałem w życiu tylko jedną kobietę, przyznaję, że było ich więcej. – Podniósł jej dłoń do ust i ucałował wewnętrzną stronę nadgarstka. – Mówiłem ci już, że nie wierzę w małżeństwo. Poślubiłem Sadie tylko dlatego, że ona i jej matka nie chciały słyszeć o innym układzie. Więc jeśli zależy ci na małżeństwie, to lepiej ode mnie odejdz. I tym razem – obiecuję – nie będę za tobą chodził.

– Nie chcę małżeństwa. Małżeństwo to klatka dla kobiety.

– Czyli pod tym względem się zgadzamy.

– Powinnam – rzekła miękko – wyjść stąd w tej chwili i nigdy więcej się z tobą nie spotkać. Ale...

– Ale co?

– Arthur – szepnęła. – Biedny Arthur. A gdyby Marianne czekała? Zanim się zaręczyli, widzieli się zaledwie kilka razy, a ich narzeczeństwo też krótko trwało. Gdyby uparła się, by je przedłużyć, nie mieliby nic... Myśleli, że mają przed sobą całe lata, a tymczasem... Kto wie, co stanie się z tobą czy ze mną jutro, za tydzień, za rok...?

– *Carpe diem*, co?

– Dni trzeba wykorzystywać, prawda? Nie wolno ich marnować.

– To zawsze była moja filozofia. Mówiłaś, że chcesz spróbować wszystkiego. Co miałaś na myśli?

– Chcę malować. Chcę namalować takie obrazy, żeby ludziom zapierały dech. Albo wyciskały im łzy z oczu. Albo ich rozśmieszały. A poza tym... – Urwała na chwilę i patrząc mu wyzywająco w oczy, dokończyła: – Poza tym jest jeszcze miłość, prawda?

– Tak przypuszczam.

Trochę wina wylało się na stół. Eva zaczęła rysować palcem różne kształty.

– Lekarz amputował Arthurowi nogę. Myśleli, że ta operacja uratuje mu życie. Ale wstrząs okazał się zbyt silny, no i Arthur umarł. – Najgorsze wspomnienie, którego nie zapomni do końca życia. – Marianne nie chciała go zostawić, rozumiesz, po śmierci. Siedziała przy nim godzinami. W końcu ojciec, Iris i ja odciągnęliśmy ją prawie siłą. – Eva patrzyła na czerwone znaki na blacie stołu. – I teraz już wiem, że nie wolno zwlekać z miłością. To niebezpieczne.

– Nie mogę przestać o tobie myśleć. Śniesz mi się po nocach.

Czerwony od wina palec znieruchomiał.

Pomyślała o Sadie wałkującej ciasto na kuchennym stole w Greenstones. I o Marianne – jej oczy przypominały ciemne odciski kciuka na twarzy, z której odpłynęła cała krew.

Nagle ogarnęła ją fala znużenia, usuwając ostatnie skrupuły. Kiedy Gabriel podniósł jej rękę do ust i wyssał z palca krople wina, Eva nie opierała się dłużej.

6 Alfred Tennyson „Królowna”.

Rozdział szósty

W ciągu tygodni i miesięcy po śmierci Arthura Marianne rozpamiętywała raz po raz wypadki ostatnich dni. Czasem mówiła o nich głośno przyjaciółkom i siostram, ale najczęściej przeżywała wszystko w milczeniu, w duchu. Wypadek Arthura, jego choroba, operacja, śmierć. „Gdyby”, powtarzała bez końca. *Gdyby* od razu uparła się, że opatrzy mu skaleczoną stopę przed wyjazdem do Londynu. *Gdyby* nie pomyliła zakażenia krwi z przeziębieniem. *Gdyby* wcześniej wezwała lekarza. *Gdyby* odwołała wizytę u krawcowej. *Gdyby* nie było mgły. Słuchaczki pocieszały ją, jak mogły, ale w głębi serca Marianne załęgło się na dobre uparte, mroczne poczucie winy.

W nocy śnił się jej ów wystający gwóźdź. We śnie rósł, przebijał się przez deski niczym sztylet. Kiedy potarła o niego ręką, trysnęła krew.

Czasem śniły się jej krwawe plamki na białym dywaniku. Innym razem, idąc korytarzem za tymi czerwonymi śladami, znalazła się w obcym domu. Spośród rzędu drzwi wybrała na chybił trafił jedno. Zajrzawszy do pokoju, przekonała się, że jest pusty, z wyjątkiem łóżka, na którym leżał chory, zakrwawiony i zabandażowany Arthur. W tym momencie zrozumiała, jak strasznie się wszyscy pomylili: przecież on wcale nie umarł, żyje i dalej cierpi, wciąż tak samo, w jakimś zapomnianym miejscu, samotny i zaniedbany. Kiedy się obudziła, dysząc ciężko, miała skórę lodowatą z przerażenia, a jej ręce szarpały ciemność.

Ufarbowała wszystkie ubrania na czarno. Widziała w wyobraźni, jak niebieskie, wiśniowe i fioletowe suknie zasnuwają się plamą ciemnej mgły. Wydawało jej się, że żyje w tej mrocznej zasłonie, że mgła, która spowijała cały dom podczas ostatnich dni Arthura, nigdy się nie podniosła.

Na pogrzebie wsypała mu do grobu garść fiołków – wyschniętych i przezroczystych. Były to „duchy” kwiatów, które dał jej przed ich pierwszym przyjęciem. Wsunęła je wtedy między kartki dziennika. Krusząc je między palcami, wdychała ich zapach, póki nie porwał ich ostry podmuch wiatru i nie pochłonęła ziemia.

Przyszedł doradca prawny Arthura, pan Marshall i w gabinecie Arthura odczytał testament. Marianne, siedząc obok ojca, próbowała się skoncentrować na treści dokumentu, ale nie mogła. W tamtych dniach nie potrafiła zatrzymać nawet jednej myśli dłużej niż ułamek sekundy. W jej umyśle wszystko sprowadzało się do choroby i śmierci Arthura. Kiedy pan Marshall przemawiał, Marianne myślała o piecach w fabryce ojca, które pochłaniały ogromne hałdy węgla, aby następnie obrócić go w ogień i popiół. Wydało jej się, że wszystkie jej wspomnienia, wszystkie myśli przemieniają się w koszmar, poczucie winy, ogień i popioły. Pierwsze spotkanie z Arthurem, zaloty, ślub, wszystkie ich wspólne przeżycia prowadziły jedynie do zgliszczy.

Pan Marshall oznajmił, że ponieważ dom w Surrey podlegał prawu majoratu, a małżeństwo Arthura z Marianne okazało się bezpotomne, posiadłość przejdzie w ręce

najbliższego krewnego płci męskiej, dalekiego, nieznanego jej kuzyna. Natomiast dom przy Norfolk Square należy teraz do niej. Na wieść o utracie wiejskiej posiadłości Marianne poczuła coś w rodzaju ulgi. Chociaż tak kochała dawniej ten dom, czuła, że jest on współwinien śmierci Arthura.

Pan Marshall mówił o funduszu powierniczym, o kapitale i akcjach. Wymienił pewną kwotę. Po jego wyjściu ojciec uściskał Marianne i powiedział:

– Jesteś znakomicie zabezpieczona, moja droga, to chyba pocieszające?

Marianne zdobyła się na parę słów stosownej odpowiedzi. Od śmierci Arthura nabrała w tym wprawy. Gdyby jej bliscy wiedzieli, jak bardzo czuje się przygnębiona, pusta i wypalona, raczej nie zostawiliby jej w spokoju. A tego pragnęła teraz najbardziej.

Pewnego ranka sortowała jego rzeczy. Przyciskała marynarki i koszule do twarzy, wdychając zapach, wciąż uwięziony w szorstkim tweedzie i białym batystie. Wsuwając dłonie w jego rękawiczki, próbowała wierzyć, że palce Arthura splatają się z jej palcami. Otulała się ciasno jego kurtką i z zamkniętymi oczami przywoływała wspomnienia.

Między chusteczkami i krawatami odnalazła białą wstążkę do włosów, którą rozpoznała jako swoją, zgubioną na tańcach u Hutchinsonów. Pewnie ją zatrzymał na pamiątkę. Znalazła też listy, które pisała do niego w okresie narzeczeństwa; nie była w stanie ich czytać, papier zdążył już pożółknąć. I jeszcze kwit z weneckiego hotelu, program z paryskiej opery i stary, zmięty bilet z wycieczki po Tamizie. Ostrożnie go rozprostowała, wygładzając załamania kciukiem i położyła na wierzchu rzeczy, które zamierzała zatrzymać.

Inne odkrycia wzbudziły jej niepokój. Ciężki, złoty repetier⁷, którego przedtem nie widziała; może należał do jego ojca albo dziadka? Szary kaszmirowy szalik; kiedy dotknęła go wierzchem dłoni, poczuła, że jest mięciutki jak obłok. Dlaczego Arthur nigdy go nie nosił i kto mu go podarował?

Z dolnej szuflady biurka wygrzebała garść pocztówek. Pochodziły z Francji i wszystkie przedstawiały kobiety – rozebrane, mizdrzące się kobiety całe w lokach, pulchne i kształtne. Ich piersi, ramiona, uda przypominały Marianne gładkie, białe poduszki.

Siedząc na skraju ich wspólnego łóżka, poczuła ukłucie zazdrości. Kobiety na tych pocztówkach miały takie zadowolone miny, takie bezmyślne, niefrasobliwe oczy! Szkoda, że jej mózg nie jest taki pusty, szkoda, że nie może nauczyć się od nich, jak wyłączyć myślenie...

Była zadowolona, że dzięki wymogom żałoby może zostać w domu za zaciągniętymi zasłonami. W łóżku tuliła do siebie starą tweedową marynarkę Arthura. W nocy spała krótko, niespokojnie, budziła się przed świtem z rzęsami mokrymi od łez i marynarką w objęciach. Lekarz proponował jej laudanum na sen, ale myśl o matce i obawa, że mgła jeszcze bardziej zgęstnieje, powstrzymywała ją przed tym środkiem.

Kilkoro służących poprosiło o zwolnienie. Słyszała, jak szepczą między sobą, że to

pechowy dom. Kiedy odeszli, poczuła ulgę; wołała mieć wokół siebie pustkę i ciszę. Nie zatrudniła nikogo na ich miejsce, a ci, którzy zostali, rozleniwili się z braku odpowiedniego nadzoru. Mijały dni i do domu przy Norfolk Square wkradł się nieład, jakiego za życia Arthura nigdy tam nie widziano. W kątach gromadził się kurz, niepolerowane podłogi zmatowiały.

Życie Marianne wydawało się zrujnowane; niedługo nic już nie zostanie. Nie chciało się jej układać włosów, zapomniała o zmianie sukni. Niektóre przyjaciółki odsunęły się, zrażone jej milczeniem i chłodem. Siostry nie dawały za wygraną i coraz trudniej przychodziło jej stawić im czoło. Czasem – ostatnio coraz częściej – pojawiała się myśl o śmierci. Zastanawiała się, jak tego dokonać: może wbić sobie nóż w serce albo skoczyć z balkonu... Miała już dość borykania się z każdym kolejnym dniem.

Odwiedziła ją Iris. Przejechała palcem po parapecie i skrzywiła się, widząc, że jest szary od kurzu. Następnie palnęła służącym kazanie, po którym – lekko urażeni, ale też zawstydzeni – rozbiegli się po domu ze ścierkami i szczotkami w rękach. Sama zajęła się siostrą: wyszczotkowała jej włosy, masując skórę ostrym włosiem aż do bólu, zmusiła Marianne do kąpieli i włożenia czystej, odprasowanej sukni, a na koniec oświadczyła, że idą na spacer do Hyde Parku. Dała jasno do zrozumienia, że w razie odmowy natychmiast zadepeszuje po ojca, który niechybnie każe jej przyjechać do Summerleigh, z dała od tego domu, z jego wszystkimi wspomnieniami o Arthurze. Wtedy nieubłagany proces utraty, rozpoczęty wraz z chorobą męża, wreszcie dobiegnie końca.

Marianne sporządziła nową listę: wszystkiego, co utraciła po śmierci Arthura.

Utraciła wiarę w sprawiedliwość tego świata. Teraz wiedziała, że porządni ludzie mogą umierać straszną śmiercią. Nie ma sprawiedliwości, jest tylko szczęście albo pech.

Utraciła radość towarzystwa, przyjaźni, wspólnego starzenia się. Przestała ją cieszyć muzyka, ponieważ nic tak jak muzyka nie rozdrapywało ledwie zabliźnionej rany. Utraciła możliwości: miejsca, które zwiedziliby razem, rodzinę, której już nie stworzą. Tak marzyła o dziecku, którego nie dane jej było urodzić...

Utraciła dawną siebie, kobietę, którą kiedyś była. Jeśli ma żyć dalej, to pewnego dnia będzie musiała stworzyć siebie na nowo. Ale z jakich ubogich składników! Żadnej nadziei, niewiele wiary. Brak ochoty do przystosowania się, uprzyjemnienia komuś życia. Zostały tylko popioły, co ona ma z tym zrobić?

Utraciła miłość. Sześć miesięcy po śmierci Arthura jej sny się odmieniły. Mąż pojawiał się w nich cały i brał ją w ramiona. Czuła, jak jego ciało stapia się z jej ciałem, czuła ciepło jego skóry. Budziła się rozplamiona. Zamknawszy oczy, dotykała swego ciała, wyobrażając sobie, że jej ręka jest jego ręką.

Od początku roku Eva pracowała w soboty w galerii Lydii Bowen. Pomagała planować wystawy, rozsyłać zaproszenia na zamknięte pokazy i obsługiwać kupujących, kiedy Lydia była zajęta. Lydia nalegała też, by Eva nauczyła się pisać na maszynie i prowadzić księgi rachunkowe.

– Nigdy nie wiesz, która z tych umiejętności może ci się przydać. Niełatwo utrzymać się ze sztuki, zwłaszcza kobiecie.

Eva lubiła tę pracę. Kiedy od czasu do czasu ktoś kupił obraz, puchła z dumy, zupełnie jakby sprzedawała własne dzieło. Poza tym galeria w soboty i zajęcia w Slade przez cały tydzień sprawiały, że trzymała się ziemi. Bo inaczej pewnie fruwałaby w powietrzu na skrzydłach radosnej euforii.

Pół roku od chwili, gdy ona i Gabriel zostali kochankami, Eva odkryła potężną siłę fizycznego pożądania. Do tej pory wszystkie jej przyjemności były związane albo z intelektem, albo z twórczością. Nigdy nie cieszył jej sport – jak Clemency – ani taniec – jak Iris. Była szorstką, nieporządną dziewczyną, która przewyciężała swoją niezdarność tylko wtedy, gdy brała do ręki pędzel. Z dużym zaskoczeniem przekonała się, że jej ciało instynktownie wie, co robić, a połączenie z innym ciałem może sprawić, że poczuje się całkowicie przeobrażona.

Miała swoje zasady mimo wszystko. Nigdy nie pozwoliła nawet dotknąć się Gabrielowi podczas pobytu w Greenstones. Wprawdzie w zupełnie inny sposób, ale kochała Sadie równie mocno jak jego. Nieważne, jak często zapewniał ją, że ich małżeństwo jest inne, że Sadie rozumie jego potrzebę wolności, że on nigdy nie pozwoli się spętać... chociaż jakaś część Evy walczyła, by dać się przekonać. Teraz jej przyjaźń z Sadie zawsze będzie skażona poczuciem winy i tajemnicą. Eva wmawiała sobie, że póki ich romans nie wpływa na małżeństwo Bellamych, to nie ma w nim nic złego. W bezwzględny sposób podzieliła swoje życie na przegródki. W Londynie była kochanką Gabriela, ale w Greenstones tylko przyjaciółką. W Greenstones szczególnie dużo uwagi poświęcała Tolly'emu, o oczach jak czarne porzeczeki, i woziła go na spacer po okolicy. Miłość do Greenstones wydawała się jej częścią miłości do Gabriela. Kochała tę farmę o każdej porze roku: w zimie, kiedy ostry wiatr siekł kredowe wzgórza, i teraz, latem, kiedy żywopłoty kipiały bujnością kwiatów.

W przyprawie weny twórczej Gabriel ukończył trzy duże olejne portrety Evy. Na pierwszym, malowanym w Greenstones, miała suknię w czerwono-zieloną kratkę, tę samą, w której po raz pierwszy ją zobaczył. Na drugim – w płaszczu i kapeluszu – stała w oknie pracowni, opierając dłonie na parapecie. Na trzecim nosiła łachmaniarską spódnicę obszytą ząbkowaną tasiemką i kapelusz z wielkim rondem, ocieniający jej twarz. Evie wydawało się czasem, że każde z tych płócien przedstawia inną kobietę: skromną studentkę, młodą kobietę ciekawą świata za oknem i lafiryndę.

Gabriel pracował w ciszy i skupieniu. Cała jego energia koncentrowała się na płótnie. Rzadko się odzywał i odchodził od sztalug, chyba że chciał poprawić jej fałdę sukni czy pukiel włosów. Jeśli Eva próbowała ukradkiem wyciągnąć zdrętwiałą nogę, wybuchał gniewem:

– Jak mam pracować, skoro nie potrafisz usiedzieć spokojnie?

Znacznie później, patrząc wstecz, często myślała, że po raz pierwszy nauczyła się cierpliwości i wytrwania podczas owych długich seansów w pracowni Gabriela. Przedtem te zalety były jej obce. Eva, która żyła w ciągłym pośpiechu, miotając się od jednej rzeczy do drugiej, musiała znosić całe godziny bezruchu, za rozrywkę mając tylko pędzel sunący po płótnie i turkot pojazdów za oknem.

Nie miała nic przeciwko temu, ponieważ był z nią Gabriel. Tylko podczas tych cichych godzin w pracowni mogła być go pewna. Z Gabrielem zawsze łączyły się podniecenie, niespodzianka, impuls. Karmiła się tym – dzięki temu bardziej niż kiedykolwiek przedtem czuła, że żyje, była to antyteza rutyny i konformizmu jej wychowania. Kiedyś pod wpływem impulsu Gabriel wybrał się z Maksem w podróż do Holandii, aby szkicować tam pejzaże równinne i przestwór nieba. Nie było go miesiąc, po czym zjawił się pewnego ranka bez zapowiedzi, ubłagał Evę, by rzuciła wszystko, łącznie ze szkołą i spędziła z nim ten dzień. I Eva się zgodziła. Gabriel zabrał ją do Simpson's-in-the-Strand na stek i szampana, a potem, gdy słońce niczym płynny miód wlewało się przez okno, złocąc białe ściany pracowni, otoczył ją silnymi ramionami, a ona się w nie wtuliła – i kochali się, wsłuchani w bicie swoich serc.

Pewnego ciepłego czerwcowego popołudnia, kiedy w pracowni było wyjątkowo duszno, zmorzył ją sen. Otworzywszy oczy, zobaczyła, że Gabriel siedzi na parapecie i ją szkicuje. Szybko narzuciła ubranie.

– Evo, czemu nie pozwolisz, abym cię namalował, jak należy? – Rzucił kredę. – Wciąż ta pruderia! Masz piękne ciało, nie powinnaś się go wstydzić. W tym pokoju nie ma nic piękniejszego... do diabła, w całym Londynie nie ma nic piękniejszego! Co szkodzi, abym cię naszkicował?

– Możesz mnie szkicować, ale nie tak.

Podszedł i usiadł przy niej.

– Śmieszne maleństwo – rzekł pobłaźliwie, już bez cienia irytacji. – Jak byś się czuła, gdybym nie pozwolił ci malować tych ohydnych starych kobiet i włóczęgów?

– Nie są ohydni! – oburzyła się Eva. – Według mnie, są piękni. A kogo mam namalować? Salonowe piękności?

– Oczywiście, że nie. Masz całkowitą rację. Trzymaj się swoich starych wiedźm i nigdy nie sprzedawaj duszy.

Narysowała serię studiów zwykłych ludzi przy pracy albo w czasie wieczornych rozrywek. Pokazała je Gabrielowi i usłyszała słowa zachęty. Jej notatniki zawierały szkice szwaczek, dokerów, producentek sztucznych kwiatów. Wielkie piękności z klasycznych obrazów często ją nudziły, denerwowała ją ich pasywność. Modelki z wielu portretów zdawały się spędzać całe życie na niekończącym się oczekiwaniu.

Podobnie jak Gabriel, uwielbiała Londyn nocą. Kochała migotanie latarni gazowych w ciemności, drgające refleksy na mokrych kamieniach brukowych. Pewnego wieczoru szkicowała właśnie ludzi tłoczących się przy wejściu do teatru Empire w Hackney, gdy nagle w tłumie mignęła jej znajoma twarz. Musiała przyjrzeć się dwa razy, zanim uwierzyła, że to naprawdę James. Już miała go zawołać, kiedy zauważyła, że nie jest sam. Obejmował ramieniem jakąś dziewczynę, starając się ją osłonić od poszturchiwania przez obcych. Była młoda i drobna, miała na sobie skromną kremową suknię i granatowy żakiet, spod czarnego kapelusza z rafii wystawały jasne loki. W pewnym momencie podniosła twarz do pocałunku i Eva mogła się przyjrzeć jej delikatnej urodzie. No, braciszku, pomyślała, raczej nie przedstawiś jej ojcu.

Ona też miała swoje sekrety. Jeden – to romans ojca z panią Carver, a drugi – Gabriel, oczywiście. Nikomu jeszcze o nim nie mówiła, chociaż czasem dręczyło ją

przecucie, że Iris się czegoś domyśla. Wiedziała, że James nigdy jej nie opowie o swojej midinetce w czarnym kapeluszu, podobnie jak ona nie opowie mu o Gabrielu. Ach, te sekrety, myślała, oddalając się stamtąd rowerem, im jesteście starsi, tym więcej ich wokół nas...

Joshua Maclise kupił automobil; James nauczył się go prowadzić i zabrał Clemency na rundkę wokół miasta. Wóz był wielki, ciężki i nieporęczny. Kasztanowy lakier miał połysk atlasu, a James wypolerował mosiężne detale tak, że Clemency mogła się w nich przejrzeć. Obserwowała brata pilnie, odnotowując w pamięci każde naciśnięcie dźwigni, każdy ruch kierownicy. Cały czas zasypywała go pytaniami:

– A to do czego służy?

– Do zmiany biegów.

– Biegów?

James wyjaśnił jej, czym są biegi w samochodzie i jaką odgrywają rolę. Potem zaproponował:

– Chcesz poprowadzić?

– A mogę?

– Czemu nie? Dobrze ci pójdzie, zobaczysz. Wiem, że się nadajesz.

Znajdowali się na spokojnej bocznej uliczce. Clemency usiadła za kierownicą i James zakręcił korbą. Potem pokazał, jak się naciska sprzęgło i wrzuca bieg. Kiedy wóz wolno ruszył z miejsca, Clemency poczuła miły dreszcz podniecenia.

Toczyli się z warkotem ulicą. James cierpliwie dodawał siostrze odwagi.

– Masz to we krwi – oświadczył, kiedy Clemency powoli, lecz skutecznie pokonała zakręt. – Jeszcze ze dwie lekcje i będziesz śmigać po Sheffield jak torpeda!

Clemency powiedziała o automobiliu Ivorowi.

– To było cudowne! Przypomniały mi się czasy, kiedy grałam w hokeja. Coś podobnego czujesz, kiedy wiesz, że zaraz strzelisz naprawdę fantastycznego gola... Jakby wszystko zmierzało ku temu, czego pragniesz najbardziej.

Byli w ogrodzie botanicznym. Tego popołudnia Ivor koncertował w pewnym domu w Rutland Park. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Clemency kilkakrotnie przysłuchiwała się jego występom. Przy ładnej pogodzie Ivor lubił chodzić później na spacer – w ten sposób, jak twierdził, pozbywał się napięcia. Vera i Clemency często mu towarzyszyły.

Dziś po raz pierwszy była z nim tylko Clemency, gdyż Vera musiała pomagać matce w sklepie. Siedzieli na ławce, paląc ciemne, gryzące papierosy Ivora.

– Ach, gdybym mógł sobie pozwolić na automobil! – westchnął w pewnym momencie. – Tak ciężko haruję na tym odludziu! Czasem zastanawiam się, czy to w ogóle jest warte zachodu. Czy w ogóle ktoś by zauważył, gdybym przestał się tak starać.

– Ja.

– Miło, że to mówisz. – Kiedy patrzył na nią w ten sposób, z wdzięcznością i uczuciem, zaraz się czerwieniła. – To tacy ludzie jak ty trzymają mnie przy życiu.

– A twoja żona?

– Och, Rosalie jest dokładnie taka sama. Podobno twoja matka także choruje? Vera mi mówiła.

– To dlatego zrezygnowałam ze szkoły. Żeby opiekować się mamą.

– Mamy z sobą wiele wspólnego, prawda? Pewnie dlatego tak mnie rozumiesz. Rosalie zawsze wydaje się nie całkiem chora i nie całkiem zdrowa. Przeprowadziliśmy się tu właśnie ze względu na jej zdrowie, ale nie widzę, żeby cokolwiek się zmieniło. – Rzucił niedopałek na zwirowaną ścieżkę. – Najgorsze ze wszystkiego jest to, że nie zostawia mi ani odrobiny swobody. Denerwuje się, kiedy wracam do domu choćby pół godziny później. Pewnie czuje się samotna, ale to taki ciężar! Czasem marzę, żeby się urwać choćby na tydzień... – Znowu utkwiał w niej swoje ciemnobrązowe oczy (Clemency ich kolor kojarzył się z melasą). – Czy uważasz mnie za bardzo podłego?

– Wcale nie! Często czuję to samo. Dlatego tak uwielbiam chodzić na twoje koncerty. To takie miniwakacje.

– Droga Clemency... – szepnęła i od razu ogarnęła ją fala ciepła.

– Nie masz żadnych krewnych, którzy mogliby ci pomóc?

Ivor pokręcił przecząco głową.

– Tylko brata w Winchester, ale prawie się nie widzimy. Zapraszałem go do nas, wciąż jednak ma jakieś wykręty – a to rodzina, a to interesy. Natomiast Rosalie ma tylko wujka i kuzyna. Z kuzynem nie umie się jakoś dogadać, a wuj jest stary i raczej niedołączny. Mieszka w Hertfordshire, widzimy się raz w roku i to jest koszmar – Rosalie zawsze mdleje w najmniej odpowiednich momentach. Na stacji nigdy nie ma żadnego tragarza, ostatnio musiałem sam wytaszczyć bagaże z wagonu i naciągnąłem sobie ścięgno w rękę. Potem nie mogłem grać przez tydzień.

– Biedny Ivor!

– Tak między nami, Clemency, musimy dbać o dobre stosunki z tym wujem, bo jest bardzo zamożny i obiecał zostawić wszystko mojej żonie. Wiem, że to nieładnie rozmawiać o pieniądzach, ale kiedy nie ma ich dosyć, to ciągle się o nich myśli. Jak bardzo by się odmieniło moje życie, gdybym nie musiał na wszystkim oszczędzać. Mógłbym na przykład rzucić lekcje... – Westchnął. – Cóż to byłaby za rozkosz!

– Nie brakowałyby ci nauczania?

– Och, ani trochę! – wykrzyknął z pasją. – Moje uczennice przeważnie są koszmarnie, a ich matki jeszcze gorsze!

– A czym byś się wtedy zajmował?

– Skomponowałbym koncert. Zawsze miałem na to ochotę, ale czasem mi się wydaje, że nigdy nie starczy mi czasu.

Lato 1915 roku było gorące i suche. Nad londyńskimi ulicami unosił się gryzący zapach spalin i sadzy. W porze lunchu młodzi sprzedawcy sadowili się na pożółkłej trawie w parkach, rozluźniali kołnierzyki i podwijali rękawy koszul.

W miarę jak upały się przeciągały, dochodziły do głosu temperamenty. W pubach, gdzie robotnicy gasili pierwsze pragnienie po drodze z budowy lub fabryki, wybuchały przepychanki. W parlamencie spiker musiał przełożyć obrady Izby Gmin, po tym jak

opozycja zagłuszyła premiera podczas debaty nad reformą Izby Lordów. W dokach zastrajkowali robotnicy, domagając się podwyżki płac i lepszych warunków pracy. Dla zapewnienia koniecznych dostaw rząd zmuszony był wysłać do portu wojsko. W Liverpoolu i w południowej Walii żołnierze otworzyli ogień do strajkujących.

W pracowni Gabriela panował duszny upał. Bellamy usadowił przy stole Evę w błękitnej jedwabnej bluzce, z rozpuszczonymi na ramiona lokami i splecionymi rękami, po czym postawił przed nią miskę wiśni.

Pracę zaczynał z samego rana i kończył, gdy słabło światło dzienne. Powiedział Evie, że chce skończyć portret przed wyjazdem z Sadie i dziećmi do Bretanii na wakacje. Nie znosi zostawiać niedokończonego obrazu. Jeśli coś mu przeszkodzi, jest wściekły, gdyż wie, że nigdy już nie złapie pierwotnego natchnienia i coś na zawsze utraci. Zapominał nawet o posiłkach i wydawał się zaskoczony, kiedy wygłodniała Eva prosiła go o kanapkę czy jabłko. Nie odpowiadał na codzienne listy Sadie, przeglądał je tylko pośpiesznie i wrzucał do szuflady, a potem znów chwycił za pędzel.

W przeddzień wyjazdu do Greenstones portret był gotowy. Jak zwykle po ukończeniu większego dzieła, Gabriel czuł jednocześnie euforię i wielkie zmęczenie. Zabrał Evę do Cafe Royal, gdzie zamówił ostrygi i szampana. Znów nie mogła oderwać wzroku od kolumn z rzeźbioną winoroślą i kariatydami w sali Domino. Wspominała swój pierwszy wieczór z Gabrielem w tej restauracji. Tyle się od tego czasu zmieniło! Przede wszystkim ona sama. Zmiana drgała w powietrzu niczym fala żaru, zniekształcając wszystko, co Eva kiedyś przyjmowała za oczywistość.

Po raz pierwszy spędzili razem całą noc. Poprzedniego dnia Eva zapowiedziała pani Wilde, że wyjeżdża do Sheffield. Kiedy rano otworzyła oczy, Gabriel, już ubrany, pakował do torby rzeczy. Potem odprowadził Evę na stację, wsadził do wagonu i cmoknął na pożegnanie w policzek. „Nie znoszę długich pożegnań, a ty?” – powiedział i zniknął w tłumie i kłębach pary.

Pociąg wytaczał się z Londynu. Eva siedziała w kącie przedziału, wyglądając przez okno. Zastanawiała się wcześniej, czy świadomość, że nie zobaczy Gabriela przez miesiąc, wyciśnie z jej oczu łzy, ale teraz, ku swemu zaskoczeniu, czuła raczej coś w rodzaju ulgi. To pewnie z powodu słońca i tej nieubłaganej niebieskiej kopuły, jaka przygniatała ostatnio Londyn, dręczyło ją niepokojące wrażenie, że wszystko, co normalne, codzienne i oczekiwane, zaczyna się rozplýwać, pękać i rozpadać w żarze.

W pewien sierpniowy piątek Eva wybrała się z ojcem do fabryki. Rysowała tam dziewczęta, które w oddzielnym baraku pakowały noże i nożyczki w woskowany papier. Później, w biurze ojca, zerkając przez okno, szkicowała woźniców ładujących skrzynie i kartony, aby je zabrać do doków. Kiedy ojca na chwilę odwołano, wymknęła się na podwórze i weszła do hali pieców. Kryjąc się w kącie, rysowała wytapiaczy, którzy żelaznymi obcęгами wyciągali z ognia tygle z roztopioną stalą. Muskuly napinały się im z wysiłku, ciemne sylwetki odcinały się wyraźnie na tle rudawych płomieni i czerwieni palenisk. Evie po plecach ciekła strużka potu, a ołówek ślizgał się w wilgotnych palcach. W końcu zakręciło się jej w głowie i musiała wyjść na zewnątrz.

Zmrużyła oczy od słońca. Przez podwórze szedł ku niej pan Foley.

– Proszę nie mówić ojcu, że byłam przy piecach, panie Foley!

– Tylko jeśli mi pani obieca, że więcej tego nie zrobi. To niebezpieczne, poza tym mogła pani dostać udaru cieplnego.

– Nie wiem, jak ci ludzie oddychają...

– Są przyzwyczajeni. Niektórzy pracują tu od dwunastego roku życia. Panno Evo, może trochę wody?

Weszli do jego kantorka.

– Mogę rzucić okiem? – zapytał, wskazując szkicownik.

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że pozwoli mi pan narysować siebie.

– Nie widzę powodu. Tych odlewników, to jeszcze rozumiem, chociaż nie powinna pani tam chodzić.

– Czy nigdy nie łamie pan zasad, panie Foley?

– Nie. Nigdy.

– Ależ praworządny z pana człowiek! – Zauważyła jednak, że się zaniepokoił. – Przepraszam, nie chciałam sprawiać kłopotu. Chcę pana rysować, ponieważ ma pan interesującą twarz.

W tygodniu Rob Foley mieszkał w Sheffield, ale w każdy piątek wsiadał do pociągu i spędzał weekend z matką i starszymi siostrami w Buxton. Już w drodze odczuwał znajomy przyływ strachu.

Ojca stracił dziesięć lat wcześniej, jako piętnastoletni chłopak. Zostały mu po nim tylko potężne długi. Tydzień później Rob zrezygnował ze szkoły i rozpoczął pracę w przedsiębiorstwie J. Maclise & Sons. Miał szczęście, że ją dostał – Joshua Maclise był sprawiedliwym chlebodawcą i Rob szybko pojął, że pod zmiennymi humorami szefa kryje się dobre serce. Podczas spędzonych w firmie lat pięć się powoli w górę, aż od zwykłego kancelisty doszedł do stanowiska asystenta pana Maclise’a. Spłacił już większość długów ojca, chociaż kredyt hipoteczny za dom w Buxton pozostał i pochłaniał sporą część jego miesięcznych zarobków. Pomagał też finansowo matce i starszej siostrze Susan. Druga siostra – Theresa – uczyła w szkole podstawowej w Buxton, ku wielkiemu niezadowoleniu Susan. Kiedy Theresa oznajmiła rodzinie swój zamiar przyjęcia posady, Susan wyraziła obawę, że siostra zacznie przynosić do domu niewymawialne choroby. Rob podejrzewał, że tak naprawdę Susan boi się czegoś znacznie bardziej perfidnego – dalszej utraty pozycji, którą razem z matką tak desperacko pragnęły zachować od śmierci ojca.

Często myślał, że życie matki i Susan stało się wręcz nie do zniesienia z powodu tej determinacji, by sąsiedzi nie zorientowali się w ich ubóstwie. W tygodniu restrykcyjnie ograniczały jedzenie, aby móc nadal podejmować gości – emerytowanego lekarza z żoną i pastora, pana Andrews – wytwornym niedzielnym podwieczorkiem. Rob próbował protestować, przekonując obie, że narażają własne zdrowie, ale kiedy matka powiedziała: „Susan i mnie znakomicie wystarcza do herbaty jedna kromka chleba”, po czym się rozplakała, porzucił tę nierówną walkę. Wiedział, że matka nigdy

się nie pogodzi z haniebną śmiercią ojca. Czasem podejrzewał, że tylko skomplikowana sztuka zachowywania pozorów powstrzymuje ją od całkowitego załamania.

Mimo wszystko często myślał o rodzinie jak o łańcuchu uwiązanym wokół swojej szyi. Na dole, na oczach gości, obowiązywały wytworne maniery z szacowną, niechby nawet skromną, dozą komfortu, ale wystarczyło wejść na górę, by poczuć pierwszy dreszcz arktycznego zimna. Winifred Foley nigdy nie ogrzewała sypialni, nawet w najchłodniejsze zimowe noce. Raz, kiedy w styczniu po burzy śnieżnej całe miasto znalazło się pod warstwą białego puchu, pociąg ugrzązł w zaspie i Rob przyjechał mocno spóźniony. Zastał matkę z Theresą w płaszczach na nocnych koszulach, skulone pod warstwą koców na dywaniku przed dogasającym kominkiem w bawialni.

Wiedział, że te oszczędności podejmowane są częściowo z jego powodu. Choć posiłki weekendowe były często proste i monotonne, jedzenia zawsze miał pod dostatkiem. Dostawał najlepsze kawałki mięsa, największe porcje ciasta i nie wzbraniał się przed tym, gdyż nie chciał zasmucać matki. Kochał bez reszty zarówno matkę, jak siostry, nawet Susan, której impulsywna natura, nie znajdując satysfakcjonującego ujścia, wynagradzała to sobie na coraz dziwniejsze sposoby. A jednak połączenie nieustannej matczynej wdzięczności z własną obawą, że może nigdy nie uda mu się wydobyć rodziny z nobliwego ubóstwa, ogromnie go przytłaczało, i stąd ów lęk, który zawsze ścisnął mu serce podczas podróży do domu.

Kilka lat wcześniej proponował matce, żeby sprzedali dom w Buxton i znaleźli coś mniejszego w innej części kraju. Mogliby wtedy przestać udawać kogoś, kim już od dawna nie są. Matkę jednak ów pomysł napęlił zgrozą: przyjechała do Buxton jako młoda mężatka. Jak mogłaby zaczynać nowe życie gdzie indziej? Rob poczuł, że łańcuch na szyi staje się coraz cięższy i dłuższy.

Gdy tylko stanął na ścieżce prowadzącej do domu, zauważył drgnięcie zasłony w oknie – znak, że matka na niego czeka. W środku powitano go uściskami i całusami.

– Wyglądasz na zmęczonego, Rob – zauważyła matka. – Susan, nie sądzisz, że jest przemęczony?

Rob pomyślał, że to raczej matka wygląda na przemęczoną i spiętą. Winifred Foley miała nie więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Siwe, niesforne kędziory okalały jej twarz, nadal ładną mimo licznych zmarszczek.

– Czuję się doskonale – odrzekł stanowczo. – I cieszę się z urlopu. – Firma J. Maclise & Sons zawiesiła właśnie działalność na dwa tygodnie letnich wakacji.

– Co za gratka dla nas wszystkich! – wykrzyknęła Winifred. – Całe dwa tygodnie będziemy cię miały w domu. Ale chyba schudłeś. Czy twoja gospodyni na pewno dobrze się tobą opiekuje?

– Z całą pewnością, mamó. – Drzwi się otworzyły. – A oto i Hetty, czyli obiad musi być już gotowy.

Foleyowie mieli tylko jedną służącą, ociążałą umysłowo dziewczynę imieniem Hetty, która dostawała ataku, kiedy żądano od niej więcej niż jednej rzeczy na raz. Rob zjadł posiłek złożony z gotowanego dorsza, ziemniaków i marchewki, skutecznie udał zachwyty na widok puddingu z sago, po czym wszyscy przeszli do bawialni, gdzie Theresa czytała książkę, a Winifred i Susan składały Robowi relację z bieżących wydarzeń.

W pewnej chwili Winifred obwieściła nowinę, którą, sądząc z miny, uważała za najbardziej ekscytującą:

– A pani Clements zaprosiła nas na piknik!

– Nie cierpię pikników – odezwała się Susan. – Ostatnim razem użądliła mnie osa.

Okropnie spuchłam i bardzo źle się czułam.

– Rob przegoni od nas wszystkie osy, prawda, mój drogi?

– Nie rozumiem, co ludzie widzą w tych piknikach – ciągnęła Susan. – Nie znoszę jeść na powietrzu. To takie ordynarne!

– Clementsowie nigdy nie zachowaliby się ordynarnie. – Winifred zaczynała się denerwować. – To jedna z najlepszych rodzin w Buxton, prawda, Thereso?

Theresa podniosła na chwilę wzrok znad książki.

– Tak, mammo.

– Obawiam się, że w tym upale na pewno rozboli mnie głowa – narzekała dalej Susan.

– Ależ ja już obiecałam pani Clements, że przyjdziemy! – jęknęła Winifred.

Theresa zamknęła z trzaskiem książkę.

– No i przyjdziemy – oświadczyła z mocą. – Susie, jeśli włożysz kapelus, unikniesz bólu głowy. I zabierz buteleczkę octu, to pomaga na użądlenia. A teraz – zerknęła na zegarek – chyba już pora na seans?

– Jaki seans? – spytał Rob.

Susan złożyła dłonie.

– W zeszłym tygodniu próbował się z nami skontaktować kuzyn pani Healey. To znaczy, jestem prawie pewna, że to był jej kuzyn. Przyłączysz się do nas, prawda, Rob?

– Muszę się rozpakować – odrzekł pośpiesznie. – Może następnym razem...

I wyszedł z pokoju. Theresa wymknęła się za nim.

– Mądra decyzja – szepnęła, kiedy znaleźli się za drzwiami.

– Seanse! – prychnął Rob. – Dobry Boże!

Przeszli do kuchni. Hetty już wcześniej poczłapała na swój stryszek. Theresa poskładała ściereczki i pochowała rondle.

– Mama nie jest do końca przekonana, czy te seanse to odpowiednia rzecz, więc trzymamy je w sekrecie przed panią Andrews. Susan uważa, że ma przewodnika duchowego.

– Przewodnika duchowego?

– To wojownik indiański, zwany Rączy Jeleń. – Theresa otworzyła puszkę. – Napijesz się kakao? On ponoć prowadzi jej rękę po tabliczce. Podsuwa litery imion zmarłych, którzy próbują się z nią skontaktować. Zauważyłam, że Rączy Jeleń ma takie same kłopoty z ortografią jak Susan.

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

– Biedna Susie – westchnęła Theresa. – Szkoda, że nie może sobie znaleźć sensownego zajęcia. Przywiązuje taką wagę do drobiazgów, bo po prostu nie ma o czym myśleć.

– Gdyby chociaż wyszła za mąż! – Susan była kiedyś po słowie z pastorem, który zerwał zaręczyny krótko po śmierci ich ojca.

– Tata dobrze wybrał sobie czas, co? – zauważył posępnie Rob.

– Straciła już nadzieję na małżeństwo. – Theresa gotowała mleko na kuchni. – Trzydzieści trzy lata i brak jakichkolwiek pieniędzy... Żadna z nas nie wyjdzie za mąż.

W głosie siostry dźwięczała rezygnacja, ale nie rozgoryczenie. Rob położył jej rękę na ramieniu.

– Thereso...

– Ja się nie użalam, tylko myślę realnie. Nie ma sensu żywić się nadzieją w beznadziejnej sytuacji. Zresztą naprawdę lubię moją pracę i gdybym wyszła za mąż, bardzo by mi jej brakowało.

Nalała gorącego mleka do filiżanek i zamieszała. Stawiając przed bratem kakao, rzekła:

– Z tobą jest inaczej, Rob. Masz dobrą pracę i widoki na przyszłość.

– Wiesz, że nie mogę myśleć o małżeństwie, Tess. Nie dam rady utrzymać dwóch rodzin.

– Więc musisz znaleźć jakiś sposób. Potrafię znieść myśl, że obie z Susan zostaniemy starymi pannami, ale gdybyś jeszcze i ty miał się nie ożenić... To byłoby takie... jałowe. Takie nienaturalne.

Twarz Theresy – o śniadej, jak u brata, karnacji i rysach zbyt ostrych, by nazwać ją piękną – wyraźnie spochmurniała. Ścisnął ją za rękę i rzucił lekko:

– Nie martwmy się tym teraz. Właśnie zaczynam wakacje.

– Jedno z nas musi stąd uciec – przekonywała go z ogniem w oczach. – Przecież na pewno spotykasz się z dziewczętami w Sheffield. Żadna ci się nie podoba?

Zawsze byli z sobą blisko związani – on i Theresa. Dzielili ich tylko osiemnaście miesięcy różnicy wieku. W kataklizmie, jaki spadł na rodzinę wraz ze śmiercią ojca, trzymali się razem i w przeciwieństwie do Winifred i Susan zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji.

Dlatego Rob nie mógł jej okłamywać.

– Owszem, jest ktoś... – Theresie rozbłyły oczy, więc dodał szybko: – Ale to beznadziejne, Tess. Czyste szaleństwo z mojej strony. Nie ma mowy, żeby coś z tego wyszło.

– Okoliczności się zmieniają.

Pokręcił głową.

– Musiałbym zarabiać co najmniej dziesięć razy więcej, żeby mieć jakiegokolwiek nadzieje. – Spojrzał jej w oczy. – Zresztą oprócz pieniędzy i pozycji jest jeszcze coś innego...

– Lekarze nie są zgodni co do...

– Wielu jednak tak myśli. Więc jak mógłbym ryzykować?

Później, w sypialni, przyłapał się na rozpamiętywaniu ostatniego spotkania z Evą Maclise, tego samego dnia rano. Wyrzał przez okno w kantorku i zobaczył ją, jak wychodziła z hali pieców. Miała na sobie wąską spódnicę w niebieskie kwiatki i białą bluzkę. Żakiet, który zapewne zdjęła z powodu panującego w hali gorąca, przewiesiła luźno przez ramię. Do zaczerwienionej twarzy lepiły się długie czarne włosy. Obserwował ją przez chwilę, pożerając wzrokiem, a potem wyszedł jej na spotkanie.

Na wspomnienie tej rozmowy dłoń sama zaciskała mu się w pięść i miał ochotę walić ze złością w ścianę. „Czy nigdy nie łamie pan zasad, panie Foley?” – spytała, a on odpowiedział: „Nie. Nigdy” – co było prawdą. To ojciec zwykł łamać zasady, za co teraz cała czwórka musiała płacić przez resztę życia.

A jednak w oczach Evy Maclise wyczytał, że uważa go za sztywnego nudziarza, trzymającego się ściśle konwenansów. Rozluźnił teraz pięści i usiadł na skraju łóżka. Nie, sztywny to on nie jest. Sztywniacy nie zakochują się w córkach szefa. Bo to po prostu jest śmieszne.

Philip ukończył podstawówkę i na jesieni rozpoczął naukę w prywatnej szkole średniej. Mijał pierwszy miesiąc wiosennego semestru, gdy nadszedł telegram od dyrektora, z wiadomością, że chłopiec zaginął. Joshua wydał z siebie ryk gniewu, a potem wsiadł do pociągu i pojechał do Yorku, gdzie mieściła się szkoła. Kiedy następnego dnia pojawił się w domu, Clemency była pewna, że przywozi z sobą Philipa. Ale Joshua wrócił sam; gdy zdejmował w holu kapelusz i szalik, żeby oddać je Edith, Clemency zauważyła na twarzy ojca głębokie bruzdy zmęczenia.

Dopiero kiedy usiadł przy ogniu ze szklanką whisky w jednej ręce i papierosem w drugiej, odważyła się go zapytać:

– Czy odnaleziono go, ojcze?

Pokręcił głową.

– Nie, dziewczyno. – Ujął ją za rękę. – Nie rób takiej zmartwionej miny, Clemmie.

– Na pewno zjawi się cały i zdrowy, obiecuję ci to.

Wypowiedziała na głos swoją największą obawę, która przyszła jej na myśl w środku nocy i nie pozwoliła zmrużyć oka:

– Ale ojcze... on mógł zostać porwany!

Uśmiechnął się z przymusem.

– Nie, kochana, nie porwano go, to wiemy na pewno... i jeszcze znacznie więcej. – Poklepał oparcie fotela i Clemency przysiadła obok niego. – Nie sądzę, żeby porywacze zabrali mu wierzchnie ubranie, kieszonkowe, scyzoryk i jedzenie z jego pudełka. Nie, ten głupek po prostu zwiął.

– Uciekł...

– Tak. Wziął i uciekł. – Joshua zaciągnął się papierosem. – W szkole powiedzieli mi, że wieczory chłopcy mogą poświęcać na swoje ulubione zajęcia – budować modele statków, ćwiczyć na fortepianie i tym podobne. Dlatego, kiedy Philip się nie pojawił, wychowawcy doszli do wniosku, że pewnie jest gdzie indziej... jak się domyślasz, wygarnąłem im, co o tym sądzę! Cholerne mydlenie oczu i tyle, wybacz mój język, Clemency, ale trudno to inaczej nazwać. Przeszukali najpierw szkołę, oczywiście, więc kiedy zorientowali się, że uciekł, musiał być już daleko. – Wpatrywał się tępo w szklankę szkockiej. – Ten durny konował powiada, że powinienem mniej pić! Słaba nadzieja przy takiej rodzinie... To nie o tobie, Clemency, ty jesteś dobra dziewczyno. No więc ten dyrektor, doktor Gibson, taki co to na wszystkich patrzy z góry, powiedział, że Philip jest trudny... – Joshua zdusił z furią wypalonego do połowy papierosa, rozsypując popiół po

dywanie. – Phil – trudny! Wolne żarty, ten chłopak przecież jest potulny jak baranek!

Joshua umilkł i utkwiał gniewny wzrok w kominku.

– Jak myślisz, ojcze, czy on wróci do domu? – spytała Clemency.

– Trudno powiedzieć, gdzie jeszcze mógłby pójść. Dyrektor wspominał, że Phil jest trochę samotny. Nieprzystosowany. Ale przecież po to go tam oddałem, żeby się przystosował.

– Na pewno Aidan...

– Aidan! – prychnął ze złością Joshua. – To on mu pożyczył pieniądze! Prawdopodobnie na pociąg, chociaż nie chce się przyznać. I zażądał procentu, chciwy podlec! A teraz – Joshua podniósł się ciężko z krzesła – pójdę porozmawiać z matką. Mam nadzieję, że jej to nie zaszkodzi.

Clemency obudziła się w środku nocy, nie wiedząc, co ją zaniepokoiło. Wstała i wyjrzała przez okno. Z początku wydawało się, że wszystko jest takie jak zawsze – sad, nagie gałęzie pokryte szadzią, rabatki kwiatowe z uschniętymi resztkami chryzantem i marcinków.

Nagle jej uwagę zwróciło światelko w letnim pawilonie. Zamrugła oczami i przyglądała się przez chwilę. Potem wciągnęła sweter na nocną koszulę, włożyła szlafrok i buty na bose nogi, po czym wymknęła się do ogrodu. Mroźne powietrze pozbawiło ją na chwilę tchu. Podchodząc do pawilonu, zastanawiała się, czy nie powinna zawrócić po pogrzebaczu. Może ukrył się tam jakiś włóczęga? Albo nawet włamywacz?

Uchyliwszy drzwi, wydała stłumiony okrzyk na widok skulonej w kącie postaci.

– Phil!

– Cześć, Clemmie – odrzekł z szerokim uśmiechem brat.

– Phil, chwała Bogu, że jesteś! – Porwała go w ramiona. – Ale co ty tu robisz? Czemu nie przyszedłeś do domu? Musiałeś strasznie przemarznąć!

– Wszystko mi jedno. Zresztą, nie jest tak źle.

Philip miał na sobie płaszcz, pod nim szkolny mundurek, a na szyi okręcony kilka razy szalik. Włosy sterczały mu nieporządnie na wszystkie strony i w ogóle wyglądał niechlujnie. Na starej blasze rozpałił słaby ogieniek z suchych gałązek i liści. Na przewróconej do góry nogami szafce stała świeca, obok leżały papierki po toffi i resztki porzeczkowego ciasta.

– Phil – powiedziała łagodnie Clemency – proszę cię, chodź do domu.

Pokręcił przecząco głową. Po chwili Clemency usiadła na podłodze koło brata.

– W szkolnych sypialniach jest tak samo zimno, Clemmie.

– Phil, wszyscy tak się martwili!

– Nie chciałem was martwić. Czy ojciec jest zły?

– On zawsze jest zły, kiedy się martwi. Znasz go przecież.

– Po prostu nie mogłem już tego znieść.

– Tak bardzo ci tam źle? Czy chodzi o lekcje? Nie możesz nadażyć za innymi?

– Skąd, lekcje są w porządku. Zresztą oni nie lubią takich, co się za dobrze uczą.

Nazywają ich kujonami.

– Jacy „oni”?

– Chłopaki. Ci, co rządzą.

Clemency przypomniała sobie wrodzoną niezdarność brata. To, że nigdy nie mógł złapać piłki.

– Chodzi o zajęcia sportowe? Nie jesteś w tym dobry?

Wzruszył ramionami.

– To ohydne. Zwłaszcza boksowanie.

– Boksowanie?

– Czysta głupota: bicie innych.

– A... czy koledzy się z ciebie śmiali?

– O, tak! – Skubał nerwowo sznurowadła. – Mówią, że to niepatriotycznie.

– Niepatriotycznie? – powtórzyła machinalnie Clemency.

– Bo ja powiedziałem, że to głupio się bić. Znaczący, na wojnie. – I dodał z nagłą złością: – Tak sądzę, Clemmie. To taka sama głupota jak boks, tylko więcej ludzi ginie. Gdyby nikt z nikim nie walczył, nie byłoby żadnych wojen, prawda? – I patrząc w podłogę, mruknął: – Nazwali mnie tchórzem. No i niestety mieli rację, jestem tchórzem. Ja nie lubię nawet patrzeć, jak oni się biją. A w szkole każdy lubi się bić, więc pewnie jestem tchórzem, co?

– I dlatego uciekłeś?

– Starczyło mi na bilet tylko do Doncaster, więc śpiewałem, żeby zdobyć trochę floty.

– Śpiewałeś?

– Przeważnie hymny. Ludzie wrzucali mi monety do czapki, ale nagle zjawił się policjant i uznałem, że trzeba wiać. Złapałem autobus do Rotherham, a potem szedłem i szedłem bez końca. Patrz, ile mam pęcherzy – dodał z dumą, ściągając skarpetkę i pokazując stopę. – Wreszcie ktoś podwiózł mnie kawałek furmanką, a potem znów szedłem, aż dotarłem tutaj.

– A gdzie spałeś?

– Pierwszą noc spędziłem w dworcowej poczekalni. – Na jego twarzy odmalowało się poczucie winy. – Powiedziałem, że umarła mi ciocia i jadę na pogrzeb, więc pozwolili mi się przespać. Wiem, że to bardzo brzydko...

– Phil, jak po tej całej wyprawie możesz uważać się za tchórze?

– Uciekłem, prawda? Powiedzą, że to tchórzostwo, już ja ich znam.

Ogień wygasł i została tylko kupka różowawego od żaru popiołu. Na bosych nogach Clemency pojawiła się gęsia skórka.

– Może jednak wejdziemy do środka i napijemy się gorącego kakao? – zasugerowała przymilnie. – Zawsze to lepsze niż siedzieć tu i marznąć.

– Ojciec będzie wściekły, prawda? – spytał nerwowo Phil.

– Nie wiem – odparła ze smutkiem. – Raczej tak.

Wstał jednak po chwili i powlókł się za nią do domu. Rano Clemency specjalnie wcześniej wstała, żeby zawiadomić o wszystkim ojca, zanim ten wyjdzie do pracy. Nastąpił oczekiwany wybuch złości, ale też ulga. Potem Clemency oznajmiła stanowczo:

– Trzeba mu pozwolić zostać kilka dni w domu. Jest bardzo zmęczony i mógł się przeziębnić, a poza tym mam coś do załatwienia.

Następnego dnia zabrała Philipa do optyka w centrum miasta. Dopasowano tam

chłopcu okulary, za które Clemency zapłaciła ze swoich pieniędzy na stroje. W drodze powrotnej Philip siedział w tramwaju z nosem przyklejonym do szyby.

– Zobacz, co za kapitalny wóz! Albo tamten...

Opowiedziała o nim Ivorowi. Muzyk otworzył szeroko oczy o barwie czekolady.

– Biedny chłopiec! Jakie to straszne! Ja też nienawidziłem szkoły. Matka zabrała mnie z niej po roku, bo byłem zanadto wrażliwy. Uczyła mnie sama w domu, no i jeszcze miałem lekcje muzyki.

Clemency zapytała o Rosalie i kącki ust Ivora opadły.

– Biedaczka nie znosi zimy. Jest przekonana, że nie przetrzyma następnej w tym kraju. Chce, żebyśmy w przyszłym roku znów wyjechali na południe Francji. Już raz się zgodziłem i to był istny koszmar! Żadnych przyjaciół w pobliżu i tylko stare, okropne pianino do ćwiczeń w tym całym *pension*. Zresztą nie stać nas na wyjazd, ale kiedy jej to powiedziałem, wcale nie chciała słuchać.

Chociaż Clemency nigdy nie spotkała Rosalie, wyobrażała ją sobie jako rozpieszczoną, skoncentrowaną na sobie kobietę, która wykorzystuje dobre serce Ivora i przez to pozbawia go możliwości zrobienia kariery i zdobycia ludzkiego uznania. W duchu serdecznie jej nienawidziła.

Lilian od początku nie kryła swej dezaprobaty wobec nagłego zainteresowania Clemency koncertami.

– Przecież nigdy nie byłaś muzykalna – dowodziła. – Co innego Marianne...

Mimo to Clemency nie dawała za wygraną. Nie zrezygnuje z Ivora tak łatwo, jak ze szkoły, przyjaciółek i w ogóle wszelkich rozrywek poza domem. Coś ją powstrzymywało od ustępowania, kiedy Lilian, zmieniając taktykę, szeptała dramatycznie:

– Znów zostawiasz biedną matkę samą? Zdaje się, że ostatnio więcej czasu spędzam w samotności niż w towarzystwie.

Clemency wyklepywała jej poduszki, stawiała lekarstwa w zasięgu ręki i przypominała, że pani Catherwood przyjdzie z nią posiedzieć. Kiedy wychodziła, ścigały ją ciężkie westchnienia:

– Ale Lucy jest taka nudna w porównaniu z tobą!

Aż do kłótni z Verą nie myślała jednak o Ivorze inaczej jak o przyjacielu. Przez całą zimę spotykały się tylko od czasu do czasu, a wtedy przyjaciółka zachowywała się z wyraźną rezerwą.

Clemency postanowiła, że musi się z nią rozmówić i dowiedzieć, o co chodzi. Pewnego popołudnia w końcu marca odwiedziła Verę w sklepie jej matki przy Bridge Street. Wnętrze robiło ponure wrażenie zakurzonej graciarni w typie stoiska na kiermaszu dobroczynnym. Trójnożne stołki wymalowane w kwiaty stały obok półek kominkowych z podrabianego marmuru i wyszywanych obrusów. Wydawało się, że nie przychodzą tam żadni klienci.

Vera siedziała w kącie, malując pozłotką kwietnik.

– Halo, Vee – powitała ją z ożywieniem Clemency.

– Ach, to ty! – Podniosła na chwilę głowę i zaraz zajęła się znów kwietnikiem.

– Brakowało mi cię na ostatnim koncercie Ivora.

– Czyżby?

Wyraźny chłód w głosie przyjaciółki zaniepokoił Clemency.

– Pytał o ciebie.

– Spodziewam się, że nie dopuściłaś, by za bardzo się martwił – roześmiała się perliście Vera.

– Vee...

Tym razem Vera zmieniła ton.

– Nie wiem, jak masz czelność tu przychodzić! – Stuknęła pędzlem o stół, rozpryskując złotą farbę po podłodze. – Słodka, mała Clemmie! Niewiniątko, myślałby kto! Ale przejrzałam cię!

– Vero, nie wiem, o czym ty mówisz...

– O tym, że mi ukradłaś Ivora!

Clemency osłupiała.

– Ja? Ukradłam?

– „Ach, Ivoorze – zaszczebiotała Vera sztucznie piskliwym głosem, przedrzeźniając przyjaciółkę – pozwól, że ci porozkładam programy!” „Ach, Ivoorze, może napisać za ciebie te listy?” – A przecież wiedziałaś, jak bardzo mi na tym zależy!

– Myślałam, że jesteś zajęta w sklepie.

– O tak, bardzo wygodne tłumaczenie, co? Mama mnie potrzebuje. – Vera wytarła szmatką złotą farbę z podłogi. Potem podniosła głowę i powiedziała z naciskiem: – Powinnaś pamiętać, że Ivor jest żonaty.

Wystarczyły dwie sekundy, by jej słowa odniosły pożądany skutek. Zszokowana Clemency ledwie mogła wydobyć z siebie głos:

– Nie ma niczego... niczego takiego, naprawdę...

– Jesteś w nim zakochana po uszy! Wszyscy to widzą.

– To nieprawda! – Clemency walczyła z łzami. – Jak możesz mówić coś tak ohydneho?!

– Pani Braybrooke też to zauważyła. Słyszałam, jak mówiła do pani Carter, że skaczesz koło niego jak piesek. – Vera znów zabrała się do malowania. – Ty zawsze byłaś trochę popychadłem – syknęła jadownicie.

– Ivor jest moim przyjacielem.

– Och, Clemmie, przecież ty oszukujesz samą siebie! Nie możesz oderwać od niego oczu. Wszystko byś dla niego zrobiła. – Obrzuciła ją lekceważącym spojrzeniem. – Cóż, nie będę ci stała na przeszkodzie. Mam nadzieję wkrótce się zaręczyć i nie sądzę, żeby mój narzeczony pozwolił mi uganiać się za żonatym mężczyzną.

Po drodze do domu wciąż jeszcze wstrząśnięta Clemency próbowała odpierać oskarżenia Very. „Jesteś w nim po uszy zakochana”. Czy to możliwe? Czy naprawdę kochała Ivora nie tylko jak przyjaciela? Czy w tej przyjaźni kryło się coś podstępnego, wręcz niesmacznego?

Nie opowiedziała matce o Ivorze. Dlaczego? Czy dlatego, że pragnęła utrzymać w sekrecie choćby częśćkę własnego życia, czy raczej obawiała się jak najbardziej słusznego potępienia? Tak naprawdę nie wiedziała, czym jest miłość. Kochała swoją rodzinę i wydawało się jej, że uczucie do Ivora jest równie silne, jak to do siostr i braci.

Ale czy traktowała go jak swego ukochanego? Czy chciałaby (gdyby oczywiście nie było Rosalie) wyjść za niego za mąż? Przez chwilę wyobrażała sobie życie z Ivorem w małym, uroczym domku, gdzie dbałaby o niego i darzyła całą miłością i zrozumieniem, na jakie sobie zasłużył i jakiego – dawno już to wywnioskowała – nie udało mu się uzyskać od Rosalie. A gdyby – co całkiem możliwe – Ivor z żoną wyjechali na południe Francji, jak wtedy by się czuła? Osamotniona, pogrążona w smutku. Bez Ivora jej życie znów stałoby się puste.

Czy to możliwe, że jest w nim zakochana? Czy pragnie go dotknąć, pocałować? Do tej pory całowała tylko krewnych i najbliższe przyjaciółki. Przypomniła sobie, jak kiedyś szcztokowała długie, kasztanowe włosy Very i jak na koniec pocałowała ją w czubek głowy. Znowu napłynęły jej do oczu łzy i musiała aż zagryźć wargę, by je powstrzymać.

7 Zegarek kieszonkowy, wybijający godziny.

Rozdział siódmy

Po zakończeniu pierwszego roku żałoby Marianne znów zaczęła dostawać zaproszenia na kolacje i wiejskie weekendy. Przedstawiano jej tam czasem niezonatych mężczyzn – kawalerów i wdowców. Owszem, doceniała życzliwość gospodarzy, którzy pragnęli ją wyswatać, szczerze wierząc, że nowa miłość jest jedynym lekarstwem na utratę starej, ale mimo to aż gotowała się w środku od ich tępoty. Czemu nie rozumieją, że ona po prostu nie ma ochoty nikogo pokochać? Czyż jakikolwiek mężczyzna mógłby się równać z Arthurem? A gdyby nawet na całym wielkim świecie znalazł się ktoś taki, to jak mogłaby znów się wystawić na tak straszliwy ból?

Czytała w twarzach przyjaciół, że zaczynają tracić do niej cierpliwość. Złościło ją to, co prawdopodobnie myśleli: „Mimo wszystko byli małżeństwem tylko niecały rok”. Oczekiwali, że Marianne wróci do normalnego życia i stanie się znów taka, jak przed śmiercią Arthura.

Zdarzały się lepsze i gorsze dni. W te gorsze przygniatał ją smutek, a wewnątrz panowała ciemność. Marianne nie wychodziła wtedy z domu, czasem nawet nie opuszczała sypialni. Zdarzało się to jednak coraz rzadziej. Na co dzień zajmowała się wszystkimi sprawami domowymi, jadła, rozmawiała i zachowywała się na tyle poprawnie, żeby jej siostry nie miały powodów do niepokoju. Ale prawdziwy kontakt potrafiła nawiązać tylko z tymi, którzy sami doświadczyli bolesnej straty. Ludzie, których ominęło nieszczęście, wydawali się jej naiwni i bezduszni.

W kwietniu 1912 roku Meredithowie zaprosili ją do Rawdon Hall na „małe, kameralne spotkanie”, jak zapewniała Laura Meredith, jednak po przybyciu na miejsce Marianne przykro zaskoczyła obecność popularnych, błyszczących w towarzystwie par.

Przebierając się do obiadu, patrzyła przez okno na ogrody i park. Wspominając swoją poprzednią wizytę w tym domu, dotyk warg Arthura na szyi, poczuła przypływ złości, że to wszystko wciąż jeszcze jest takie żywe i bolesne. Czyż nie dość wycierpiała? Czyż nie zasłużyła sobie na odrobinę litości, na możliwość zapomnienia?

Wiedziona impulsem, poprosiła pokojówkę o pomoc w zmianie zwyczajnej szarej sukni na jedwabną ze srebrnym połyskiem. Poleciała też wpleść sobie w ciemne sploty sznur księżycowych kamieni. Przy stole podchwyciła wzrok przystojnego mężczyzny z krótkim wąsikiem i gładko zaczesanymi włosami. Uśmiechnął się do niej i podniósł kieliszek w niemym toaście. Teddy Fiske! Znów stanął jej przed oczyma ten doświadczony bawidamek, którego wtedy spotkała w ogrodzie, i sposób, w jaki zbyt długo przytrzymał jej dłoń, niby to pomagając wstać.

Powędrowała wzrokiem dalej. Jakaś nowa twarz... Znacznie później kosztowało ją wiele trudu, by przypomnieć sobie tę chwilę. Czy już wiedziała? Czy miała choć cień przeczucia, jak ten człowiek ją urobi, jak ukształtuje, wypaczy jej życie?

Nie i nie. Przyciągnął jej uwagę, ponieważ w wąskim gronie, w którym się obracała, był kimś obcym. Zauważyła go także dlatego, że miał w sobie coś przykuwającego, wręcz anielskiego przy jasnych włosach i oczach na tle opalonej twarzy.

I jeszcze owo wrażenie siły ukrytej w szerokich barach, i to, jak siedział, odchylony na krzesło, pewny siebie, milczący i czujny.

Po obiedzie towarzystwo rozpadło się na grupki. Jedni wśród pisków zachwytu udali się do oranżerii, by poszukać ananasów, inni zasiedli do gry w karty o wysokie stawki, kochankowie oczywiście ukryli się w ciemnych kątach albo zalegli na sofach w mało używanych pokojach. Marianne samotnie błąkała się po domu. Za rogiem korytarza przez otwarte drzwi mignęło jej coś białego. Weszła tam i zobaczyła rzeźbę ustawioną na bocznym stoliku. Blask księżyca oświetlał cztery marmurowe figury w tanecznych pozach. Dzwony spódnic i pukle włosów zostały zakłete w kamień, jakby spojrzął na nie bazyliszek.

Na odgłos kroków obejrzała się i zobaczyła Teddy'ego Fiske.

– Pani Leighton! – Przekrzywił głowę na bok i przyglądał się jej badawczo. – Jest pani tu sama?

– Jak pan widzi.

Zamknął za sobą drzwi.

– Co za miłe spotkanie!

Przysunął się bliżej.

– Papierosa? – Podał jej papierośnicę, przypalił jej i sobie, po czym oparł się o krawędź stołu, wyglądając przez okno. Dym ulatywał po smudze księżycowego światła.

– Te weekendy na wsi mogą się czasem sprzykrzyć, prawda? Ci sami ludzie, te same rozmowy...

– Więc po co pan przyjeżdża?

– Zawsze jest nadzieja na jakąś rozrywkę.

Rozrywkę. Tego potrzebowała. Czegoś nowego do pokrycia wspomnień – jak kolejnej warstwy tapety na ścianie. Czegoś, co utwardzałoby stopniowo jej skórę, aż powstałaby brzydka, chropowata blizna, co zapieczętowałoby jej serce.

– Jakiego rodzaju rozrywkę? – spytała chłodno.

– Ach, przecież pani wie. – Zgasił papierosa. – To, co zwykle.

– Więc to takie powszechne?

– Cóż, rzecz gustu, jak sądzę. Ale jedna odpowiada mi bardziej niż inne. – Zerknął na nią. – Pani Leighton, nie gra pani w karty ani nie tańczy, więc zakładam, że podobnie jak mnie, te rzeczy nie dają pani satysfakcji.

Nie odpowiedziała.

– Mógłbym zaproponować coś innego? – spytał miękko.

Musnął palcami wierzch jej dłoni. Nie odepchnęła go; stała nieruchomo, biernie, czekając. Ręka powędrowała w górę po jej ramieniu; czubek palca odnalazł linię karku i pleców. Marianne zastanawiała się, czy w ogóle coś czuje. Czy ciało, jak za dawnych czasów, zareaguje na bliskość drugiego ciała?

Ktoś otworzył drzwi i zapalił światło. Marianne szybko się cofnęła. W progu stał jasnooki mężczyzna, którego zauważyła przy obiedzie.

– O, przepraszam – rzekł. – Myślałem, że nikogo tu nie ma.

– Melrose – mruknął Teddy Fiske. – A niech cię wszyscy diabli!

Marianne wymamrotała jakieś przeprosiny i uciekła. Na górze zamknęła się

w swoim pokoju. Nie wezwała pokojówki, tylko zdarła z siebie suknię i wyciągnęła szpilki z włosów. Księżycowe kamienie posypały się na dywan, a ona siedziała skulona na łóżku, gapiąc się na nie bezmyślnie. Co by się wydarzyło, gdyby im nie przerwano? Czy wciąż by tam stała, z takim kamiennym sercem, zastygła w bezruchu jak te wyrzeźbione tancerki? Czy pozwoliłaby się uwieść Teddy'emu Fiske?

Zapukano do drzwi i jakiś głos wymówił cicho jej imię. Patrzyła na poruszającą się klamkę, bojąc się samej siebie, żalu i złości, które aż w niej kipiały. Oto ona, Marianne Leighton, dobra żona i posłuszna córka, pali się do łamania zasad, szokowania, prowokacji. Dziś omal nie oddała się mężczyźnie, chociaż nic jej nie obchodził, więcej, nawet go nie lubiła. Co za rozpacz! Uklękła, żeby pozbierać z podłogi kamienie. Kroki oddalały się już od jej drzwi.

Została ukarana męczącą grą w chowanego z Teddym Fiske. Po południu rozboleła ją głowa, nerwy miała napięte jak postronki i czuła ogólne znużenie.

Pogoda była wymarzona do tenisa, więc Laura Meredith zarządziła, żeby podobierali się w pary. Marianne udało się wymknąć. Między krzewami i rabatkami kwiatów zdążyła prosto do swego azylu w szpalerze grabowym. Kiedy zobaczyła pana Melrose'a, stojącego u wylotu alejki, było za późno na uniknięcie spotkania.

– Nie gra pani? – zapytał.

– Nie cierpię tenisa – odrzekła, zerkając przez ramię w stronę kortów.

– Bez obawy, ten wielbiciel chyba nie zauważył pani ucieczki. – Popatrzył na nią przeciągle. – Chyba, że chciałyby pani, aby ją dogonił.

– Na pewno nie. – Zawahała się lekko. – Wczoraj wieczorem...

– Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem.

– W niczym pan nie przeszkodził. To wstrętny człowiek.

– Z tych, co uważają, że w białym tenisowym stroju są zniewalający. Jest zbyt próżny, by panią ścigać.

Miał interesująco zarysowane kości policzkowe i zmysłowe usta. Jego oczy nie były niebieskie, jak z początku jej się wydawało, ale jasnoszare niczym chmury albo księżycowe kamienie. Nagle wyrwał się jej pełen pasji okrzyk:

– Ten dom, to miejsce... Jak ja tego nienawidzę!

– Więc czemu pani tu przyjeżdża?

– Dla zabicia czasu. – Zmarszczyła brwi. – No proszę! Mówię jak pan Fiske. To niewybaczalne!

Sczepione z sobą graby wznosiły się nad nią wysoko, tworząc ze świeżych listków żółtozieloną ścianę. Marianne czuła pod powiekami łzy; opanowała je jednak i oddaliła się szybko alejką.

Zamierzała od niego uciec, ale zauważyła, że nieznajomy dotrzymuje jej kroku.

– Bardzo przepraszam – rzekł. – To niewybaczalne, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy przedstawiono mnie pani. Jestem Lucas Melrose.

Powiedziała mu swoje nazwisko.

– Jest pani wdową, czy tak? – spytał, obrzucając ją szybkim spojrzeniem.

– W porządku, panie Melrose – odparła ostrym tonem. – Może pan mówić prosto z mostu, tak nawet wolę. Tyle barier narosło wokół tego tematu... Może moi znajomi boją się sprawić mi przykrość. Może są zdania, że prędzej zapomnę o śmierci męża, jeśli nikt nie będzie o niej nietaktownie wspominał. – Ścisnęła obu rękami parasolkę. Wiedziała, że znów nie panuje nad sobą, że nie jest w stanie przestrzegać zasad obowiązujących w towarzystwie. – Nie powinnam tak mówić. Wiem, że dobrze mi życzą. Powinnam być wdzięczna za ich troskliwość.

– Czyżby?

Zdenerwowało ją zarówno to pytanie, jak obcesowość spojrzenia.

– Oczywiście, że tak. To nie ich wina, że spotkało mnie nieszczęście, czemu miałabym się gniewać? Ta wina jest we mnie i polega na tym, że nic mnie już nie cieszy, towarzystwo także.

– Ma pani na myśli akurat to towarzystwo czy w ogóle?

Przyśpieszyła kroku, desperacko spragniona samotności w swoim pokoju. Nagle wyraz twarzy mu się zmienił.

– Musi mi pani wybaczyć. Zdenerwowałem panią.

Pokręciła głową.

– Nie pan, panie Melrose. Mój mąż Arthur zmarł zaledwie półtora roku temu. I wszyscy mi każą wziąć się w garść, pozbierać skorupy, zupełnie jakby moje życie można było posklejać niczym rozbitą wazę. Przyjęłam zaproszenie Meredithów, ponieważ chciałam podjąć ten wysiłek, ale teraz zrozumiałam, że jeszcze nie jestem gotowa.

– Może próbuje pani zbierać nie te skorupy, co trzeba.

– Co pan ma na myśli?

– Chyba próbuje pani odtworzyć swoje dawne życie, a to jest niemożliwe. Może powinna pani poszukać czegoś innego, nowego?

Zastanowiły ją te słowa. Szli teraz przez trawnik, zmierzając ku frontowym schodom. Nagle usłyszała:

– Co za impertynent ze mnie, że ośmielam się dawać pani rady. Zaręczam, że normalnie tak nie nudzę, pani Leighton, ale dziś jestem zupełnie nie w formie.

– Przykro mi, że źle się pan czuje.

– Ach, zdrowie mi dopisuje, tylko tak strasznie tęsknię za domem...

– A gdzie on jest?

– Na Cejlonie. – Roześmiał się na widok jej zdumionej miny. – Czego pani oczekiwała? Hampstead? Może Surrey?

Cejlon. To tłumaczy tę jego odmienność. Już wcześniej instynkt jej podpowiadał, że ten człowiek, podobnie jak ona, jest tu obcy.

– Mam w górach plantację herbaty. A to wszystko – powiódł spojrzeniem po trawnikach, ukwieconych rabatkach, kępach dębów i buków – wydaje mi się takie bezbarwne w porównaniu...

– Zawsze mieszkał pan na Cejlonie, panie Melrose?

– Urodziłem się tam, ale moja rodzina pochodzi ze Szkocji, z okolic Aberdeen.

A pani?

Doszli już do tarasu.

– Jestem z Sheffield. To nie takie romantyczne, jak Cejlon, niestety.

Przed domem wyciągnął do niej rękę. Uścisnęła ją krótko – była zimna i sucha, jakby ciepło dnia w ogóle się go nie imało.

Kilka dni później, wróciwszy do Londynu, Marianne usłyszała pierwszą wiadomość o zatonięciu „Titanica”. Stopniowo odsłaniał się rozmiar tej tragedii. Olbrzym podziurawiony przez górę lodową poszedł na dno, a wraz z nim utonęło półtora tysiąca ludzi. Po raz pierwszy od śmierci Arthura wiadomość z zewnętrznego świata naprawdę ją poruszyła. Wyobrażała sobie grozę chwili, kiedy ci, co pozostali na statku, zdali sobie sprawę z nieuchronności swego losu. Stanęli wobec ostatecznego wyboru, kiedy i jak umrzeć – uczepić się relingu statku, który rozpoczął już swą powolną drogę do podwodnego grobowca, czy skoczyć z dziobu w fale. Ten ostatni lot w powietrzu, szok przy zetknięciu z lodowatą wodą, wypełniającą oczy, usta, nos... A potem nicość.

Wcześniej w tym samym roku Gabriel wyruszył na kontynent. Nie poprosił Ewy, by mu towarzyszyła, przeciwnie, to ona mu się naprzykrzała:

– Tylko na kilka dni... Tylko do Dieppe... – Nienawidziła się za ten błagalny ton.

– Innym razem, malutka – odpowiadał enigmatycznie Gabriel. – Obiecałem już staremu Maksowi, pamiętasz?

Val Crozier, przyjaciel Gabriela i Sadie, przysłał Ewie liścik z zaproszeniem na obiad. Spotkali się w małej kafejce przy Frith Street. Po jego błyszczących oczach, lekko bełkotliwej mowie i nadmiernej gestykulacji poznała, że jej towarzysz jest już po kilku drinkach.

– Evo! – Wycisnął na jej policzku głośnego całusa. – Jak się miewasz?

– Bardzo dobrze. – Zamówili steki z ziemniakami i butelkę czerwonego wina. –

A ty? Co robisz w Londynie?

– Niewiele. Po prostu włóczę się tu i tam. Nie mogę już wytrzymać w Greenstones.

– Jak się miewa Sadie?

Wzruszył ramionami.

– Jak zawsze.

– Pewnie tęskni za Gabrielem.

– Tak sędzę. I może jeszcze za Maksem. – Zerknął na Ewę. – No bo raczej nie za Nerisą.

– Nerissa? Ona też wyjechała?

Spojrzał na nią, otwierając szeroko oczy.

– To ty nie wiesz?

– Czego?

– Że Nerissa jest w Hiszpanii z Gabrielem i Maksem.

Eva zastygła z uniesionym kieliszkiem.

– Nie, Val, mylisz się, on pojechał tylko z Maksem.

Crozier jednak pokręcił głową.

– I z Nerissą. Co za ulga, wszystkim w Greenstones rzygać się chce na jej widok. Nie wiedziałaś?

Zaprzeczyła samym ruchem głowy. To niemożliwe, żeby Gabriel zabrał Nerissę do Francji. Valowi musiało się coś pomieszać. Gabriel nie mógłby jej odmówić, a potem wziąć Nerissę. Eva łyknęła wina i trochę się uspokoiła. Nawet jeśli Val ma rację i Nerissa naprawdę pojechała z Maksem i Gabrielem do Hiszpanii, musi być jakieś rozsądne wytłumaczenie. Musiała go namówić. Już sobie wyobraża ten szczebiot małej dziewczynki: „No zabierz mnie, kochanie. Zobaczysz, jaka będę grzeczna, obiecuję...”.

– Pewnie strasznie męczyła o to biednego Gabriela – tłumaczyła, ciesząc się w duchu, że jej głos brzmi normalnie i nie zdradza szoku. – Ona tak lubi podróżować!

– Gabriel będzie szczęśliwy, w przeciwieństwie do Maksa – prychnął Val. Eva zauważyła, że wciąż mruga w jej stronę. – Nie chciałbym robić za przyzwoitkę dla tego trójkąta.

– Nie rozumiem...?

– To dość krępujący *menage a trois*. – Teraz dopiero dostrzegła jawną pogardę w jego oczach. – Przecież musisz wiedzieć, że Max jest zakochany w Nerissie?

– Ale zawsze jest dla niej taki niemiły...

– Ukrywa złamane serce. Biedny dureń durzy się w niej od lat – szydził Val. Napełnił kieliszki winem, rozlewając trochę na obrus. – Teraz już chyba rozumiesz, o czym mówię.

– Niezupełnie. – Mimo to narastała w niej pewność, że za chwilę usłyszy coś okropnego. Miała ochotę zatkać uszy i wybiec z kafejki.

Val uśmiechnął się znacząco.

– Gabriel zawsze sypia ze swoimi modelkami, aktualnymi i dawnymi. To tajemnica poliszynela.

Eva wlepiła w niego wzrok, a po chwili zaprzeczyła stanowczo:

– Nie.

Zamrugał oczami.

– Chcesz powiedzieć, że się mylę? Że nie sypiasz z Gabrielem?

Poczuła, że się czerwieni.

– To moja sprawa – odparła lodowato.

– Czyżby? Zdawało mi się, że Sadie też to dotyczy.

Eva odwróciła głowę, zaciskając dłonie pod stolikiem.

– Nigdy nie chciałam zranić Sadie – szepnęła. – Dobrze o tym wiesz. Gabriel i ja... my nigdy...

Nie mogła skończyć zdania. „Gabriel zawsze sypia ze swoimi modelkami”. Czy to może być prawda? Nawet jeśli dawniej kochał Nerissę (teraz, wspominając uwodzicielskie piękno „Dziewczyny w czerwonej sukni”, rozumiała, jaka była głupia, niczego się nie domyślając), nie znaczy to, że nadal są kochankami. Zaufanie jest nieodłączną częścią miłości, więc i ona musi ufać Gabrielowi.

A jednak wyznał jej, że kochał już kilka kobiet. Nie przywiązywał wagi do wierności, co więcej, gardził nią. Skoro zdradzał żonę, czemu nie miałby zdradzać

kochanki?

Z trudem wykrztusiła:

– Ale nie Nerissa... Nie teraz... Tylko to miałam na myśli.

– Och, Evo... – Zobaczyła na jego twarzy wyraz udawanego współczucia. –

O Boże, byłem przekonany, że wiesz. Jak bezmyślnie z mojej strony, że się wygadałem!

– I znacznie surowszym tonem dodał: – Ale swoją drogą, głupio, że nie rozumiesz.

– To nieprawda.

– Zapytaj Maksa, zapytaj Bobbina... skoro mi nie wierzysz. Oczywiście, że nadal są kochankami.

Istniała możliwość, że nic nie jest takie, jak sobie wcześniej wyobrażała. Gabriel ją zdradził, a jednocześnie razem zdradzili Sadie. Ogarnęła ją potężna fala wstydu.

– Czemu mi to mówisz? – szepnęła.

– Bo myślałem, że chciałabyś wiedzieć. – Val zapalił papierosa. – Zawsze możesz spytać Sadie. Jeśli ci starczy tupetu. – Wzruszył ramionami. – Sadie jest bystra. To jedyna z kobiet Gabriela, która zrozumiała, że jeśli zgodzi się pójść z nim do łóżka, to on nigdy się z nią nie ożeni. Więc wzięła na wstrzymanie, póki nie miała na palcu obrączki.

Gorycz w jego głosie sprawiła, że Eva przyjrzała mu się uważniej. Nagle wszystko stało się jasne.

– Jesteś w niej zakochany!

Uśmiechnął się krzywo.

– Oczywiście. A dlaczego kręcę się w pobliżu? Chyba nie masz mnie za jednego z Gabrielowych akolitów? – W jego głosie pojawiła się cierpka nuta. – Dużo mi z tego przyjdzie! Śmieszne, no nie? Ty kochasz Gabriela, Max Nerissę, a ja Sadie. To jest jak jeden z tych cholernych wiejskich tańców, które tak lubi Bobbin. Ale to świństwo, że Nerissa wpuszcza Maksa do swojego łóżka na tyle często, żeby go wodzić na pasku, podczas gdy Sadie nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Poczciwy, stary Val, w sam raz do karmienia świń i pilnowania, żeby dzieci były cicho.

– A Sadie?

– Och, ona zawsze kochała tylko Gabriela. – Usta mu drgnęły. – Nie wiem, czy nawet na dzieciach tak bardzo jej zależy. Ona uwielbia Gabriela, wszystko zrobi, żeby go zatrzymać. Będzie mu rodzić jedno dziecko po drugim, mieszkać na jakimś odludziu, pogodzi się nawet z faktem, że sprowadza do domu kochanki. – Przymknął powieki, maskując chłód i błyski okrucieństwa w oczach. – Czasem cieszę się, że ją rani, upokarza. To znaczy, że chyba Sadie wie, jak to jest, co? Kiedy się kocha kogoś, kto nie dałby nawet dwóch pensów za twoje szczęście...

Marianne wracała właśnie do domu po porannym spotkaniu z Patricią Letherby, kiedy na rogu ulicy zauważyła Lucasa Melrose'a. Oczy mu zabłysły na jej widok i natychmiast przeszedł na tę stronę.

– Pani Leighton! Cóż za niezwykły i miły przypadek!

– Panie Melrose... – Od razu cała się zjeżyła. Ten człowiek nie pasował do tego miejsca. On przynależy do Rawdon Hall, tam gdzie go poznała. – Jest pan w Londynie

w interesach?

– Właśnie uciekłem z bardzo długiego spotkania z moimi agentami na Mincing Lane. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem, więc postanowiłem pozwiedzać miasto. Obawiam się jednak, że jestem typowym wieśniakiem z kolonii, bo kompletnie się zagubiłem.

– Chętnie panu pomogę. Jakiej ulicy pan szuka?

– Nie ulicy, parku. Chciałem zobaczyć Hyde Park. Może będzie pani tak uprzejma i wskaże mi drogę?

– To niedaleko. Na końcu tej ulicy musi pan skręcić w prawo... nie, w lewo. – Machała ręką to w jedną stronę, to w drugą. – Nie, jednak w prawo, teraz jestem pewna.

– Pani Leighton... – Uśmiechał się coraz szerzej. – Jako zatwardziały kawaler, nie przypisuję sobie wielkiego znawstwa kobiet, ale zdążyłem zauważyć, że płeć piękna często myli kierunki.

– Mój mąż także się z tego śmiał – przyznała. – Kiedy podróżowaliśmy samochodem, nigdy nie umiałam porządnie odczytać mapy i zdarzało nam się nieźle pogubić.

– Wobec tego mam propozycję. Jeśli wyświadczy mi pani ten zaszczyt i pójdzie ze mną do parku, nie będzie potrzeby zastanawiać się nad kierunkami.

Widząc jej wahanie, podniósł przeproszającym gestem dłoń.

– O, widzę, że się zagalopowałem, nieprawdaż? Mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Jestem starym, gburowatym plantatorem, który musi skorygować swoje maniery.

– Ależ skąd! – Zawstydziała się własnej drażliwości i zmusiła do uśmiechu. – W zasadzie i mnie przyda się trochę świeżego powietrza. Ostatnie trzy godziny spędziłam na zebraniu Towarzystwa Śnieżyczek. Tym właśnie zajmują się wdowy: zasiadają w komitetach i cierpią męki, obradując w nieskończoność nad organizacją Święta Flagi czy różnych koncertów. Ja protokołuję. Moja przyjaciółka, pani Letherby, namówiła mnie do sekretarzowania. Chyba myślała, że to zajęcie dobrze mi zrobi. Oderwie mnie od jałowych rozmyślań.

– I tak się stało?

– Ani trochę. – Przechodzili przez Sussex Gardens. – Ciągłe bujam w obłokach i potem moje notatki są niemal nieczytelne. Próbował pan kiedyś wymyślić protokół z zebrania?

Wybuchnął śmiechem.

– Nie! Mnóstwo czasu spędzam na powietrzu. Komitety raczej nie zajmują się plantacjami herbaty.

– To ma pan szczęście.

– Skoro nie przepada pani za dobroczynnością, to co pani lubi robić?

– Ach, odwiedzam przyjaciół i krewnych, prowadzę dom, chodzę co niedziela do kościoła... – Widząc jego sceptyczne spojrzenie, dodała: – Powinam być zadowolona. Wiem, że żyje mi się znacznie łatwiej niż większości ludzi.

– Ale nie jest pani zadowolona?

– Nie, panie Melrose, nie jestem – odparła i natychmiast pożałowała tej szczerości.

Czuła potrzebę wycofania się, zdystansowania od tego obcego przecież mężczyzny. Nie powinna się przed nim użalać, to absolutnie nie do przyjęcia.

On jednak powiedział tylko:

– Być może potrzeba pani zmiany.

– Na Cejlonie może jest inaczej, panie Melrose, ale w Anglii kobieta taka jak ja nie ma wielkiego wyboru w kwestii spędzania czasu. Gdybym miała jakiś talent... Owszem, grywam na fortepianie, ale od roku go nie dotknęłam. A jak już wspomniałam, działalność charytatywna mnie nudzi. To chyba świadczy o egoizmie, jednak taka jest prawda.

– Nie chodzi mi o spędzanie czasu. Pytam, co chciałaby pani robić w ogóle, gdyby miała taką możliwość?

Gdybym mogła coś zrobić, pomyślała w przyływie tęsknoty, to wymazałabym przeszłość i miała Arthura tutaj, przy sobie. Ale głośno tego nie powiedziała.

– W gruncie rzeczy nikt nie robi tego, czego naprawdę sobie życzy. Powstrzymują nas przed tym różne zobowiązania, wypadki losowe...

– Ja robię to, co chcę.

– Więc, jak powiedziałam wcześniej, jest pan szczęściarzem.

– Nigdy nie wierzyłem w tak zwane szczęście. – Coś dzikiego kryło się w grymasie jego ust i przymrużonych szarych oczach. – Człowiek sam decyduje, czego chce, a potem to bierze.

– To brzmi dość... bezwzględnie.

– Doprawdy? – Już raz w Rawdon Hall zauważyła u niego tę nagłą zmianę nastroju. Teraz twarz mu lekko złagodniała, a uśmiech stał się bardziej zachęcający. – Nie chciałem być taki ostry. Chodzi mi po prostu o to, że życie jest krótkie i człowiek nie powinien odmawiać sobie przyjemności. Więc gdyby mogła pani wybierać, to co by pani zrobiła?

Przewiercał ją na wylot, nieprzeniknionym spojrzeniem. Wiedziała, że domagał się odpowiedzi, wybrała więc pierwszą lepszą, żeby wreszcie dał jej spokój, żeby ukryć pustkę, jaką czuła od śmierci Arthura:

– Przypuszczam, że chciałabym podróżować.

– Na przykład do szkockich jezior? A może gdzieś dalej?

– Nie zastanawiałam się nad tym.

– Więc może powinna pani. Może warto byłoby zobaczyć świat?

– To raczej niemożliwe...

– Dlaczego? Wystarczy wykupić bilet na statek. Chyba że...

– Że co, panie Melrose?

– Znowu uzna mnie pani za impertynenta.

– Obiecuję, że się nie obrażę.

– Chciałem tylko powiedzieć: chyba że mąż nie zostawił pani dostatecznych środków.

– Arthur wystarczająco mnie zabezpieczył.

– Więc ma pani szczęście.

– Tak? – Czuła przyływ gniewu. – Z przyjemnością oddałabym każdego posiadanego pensa za jeden dzień z Arthurem!

– Przepraszam. Znowu panią zdenerwowałem.

– Nie – odrzekła z westchnieniem. – Wcale nie. Widzi pan, większość ludzi uważa gromadzenie pieniędzy za interesujące i warte zachodu, a mnie wydaje się to takie... nieważne.

Ponieważ nie odpowiadał, dodała:

– Pewnie uważa mnie pan za rozpuszczoną bogactwem, skoro wokoło jest tyle niedostatku.

– Myślę, że zapomina pani, co mogą zdziałać pieniądze. Albo – błysnął uśmiechem, ukazując białe, równe zęby – nie miała pani okazji się przekonać. Pieniądze dają wybór. Pozwalają robić to, na co w innej sytuacji nie mogłaby sobie pani pozwolić. Na tym polega ich moc. I nie chciałbym niczego narzucać, ale sądzę, że zwiedzanie świata może być ciekawsze niż zasiadanie w komitetach.

Spacerowali zwirowanymi alejkami, po których tak często chodziła z Arthurem.

– Nie wiem, czy starczy mi odwagi – odpowiedziała z namysłem.

– Żeby samej wybrać się w podróż?

Miała na myśli: nie wiem, czy mam dość odwagi, by zaczynać od początku. Zostawić dom, szukać nowych wyzwań. Do tego trzeba ducha i energii, które utraciłam i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek je miałam...

– Opowiadała mi pani o krewnych. Czy nikt z nich nie mógłby pani towarzyszyć?

– Moje rodzeństwo ma własne sprawy.

– Zdaje się, że pani Meredith sporo podróżuje. Nie uważa jej pani za bliską przyjaciółkę, co? Chyba jest dla pani zbyt powierzchowna.

– Laura jest nadzwyczajną gospodynią. I okazała mi wiele serca po śmierci męża, ale ona nie jest... czy raczej ja nie jestem... – Urwała. – Jak już wspominałam, panie Melrose, wina leży po mojej stronie. Nie szukam bliskości.

– No dobrze. Chciałaby pani podróżować. Czy jest coś jeszcze, co by się pani podobało?

Dwie dziewczynki przy sadzawce toczyły obręcze. Kilku chłopczyków w marynarskich ubrankach puszczało okręciki na wodzie, klaszcząc radośnie w ręce. Obserwując ich, Marianne poczuła tak wielką tęsknotę, że aż zakręciło się jej w głowie.

Zaśmiała się cichutko.

– Naprawdę nie mam pojęcia – odrzekła, przysłaniając twarz parasolką. – I chyba w ogóle za dużo mówimy o mnie, chciałabym teraz usłyszeć coś o panu. I o Cejlonie. Proszę mi opowiedzieć o Cejlonie, panie Melrose!

W grudniu 1911 roku Iris zakończyła staż i została wykwalifikowaną pielęgniarką. Kilka dziewcząt zaraz po uzyskaniu dyplomu odeszło ze szpitala. Charlotte znalazła prywatną posadę w Belgii. Żegnając przyjaciółkę na dworcu Victoria, Iris uściskała ją mocno; wiedziała, jak będzie za nią tęsknić. Po przeciętnej twarzy Charlotte, ukrytej pod smętnym niegustownym kapeluszem, spływały łzy. Trzymała Iris kurczowo za rękę.

– Będiesz do mnie pisywać, prawda? Musisz mi to obiecać!

Sama Iris zamierzała zostać w Mandeville. Nowo mianowane pielęgniarki otrzymały cztery tygodnie urlopu. W styczniu odwiedziła Summerleigh, gdzie spotykała

się z dawnymi przyjaciółmi, chodziła na tańce i przyjęcia. Rozkoszowała się tym, że nie musi biec na każde zawołanie, a także tym, co uważała za niemal grzeszną przyjemność: spaniem do późnych godzin.

A jednak po dwóch tygodniach coś zaczęło zgrzytać. Ranki spędzane na zdobieniu kapeluszy i pomocy Clemency w gospodarstwie ciągnęły się rozpaczliwie długo. Czuła, że się cofa, że znów podlega dobrotliwemu nadzorowi rodziny, jak przystało na córkę przedstawiciela klasy średniej. Zdała sobie sprawę, że tęskni za Mandeville; czyżby zaczynała się zmieniać w koszmarny typ szpitalnej pielęgniarki z haluksami na stopach, wiecznie czerwonymi, spierzchniętymi rękami i zawodowym uśmiechem?

Nie mogłaby określić dokładnie momentu, od którego praca przy chorych zaczęła jej sprawiać radość. Chyba narastało to w niej stopniowo, dając o sobie znać z początku tylko w pewnych chwilach, aż nagle zdała sobie sprawę, że godzina, ranek czy też cały dzień minęły nie wiadomo kiedy. A potem umarł Arthur. W Mandeville na każdym oddziale wbijano do głów stażystkom, jak wiele zależy od higieny i aseptyki; teraz brutalna rzeczywistość potwierdziła wszystkie te nauki. I chociaż pielęgniarstwo nadal czasem mierziło Iris, przynajmniej nie wydawało się już nudne. Odkryła, że nie znosi nudy, życie w domu zaś było takie ograniczone, takie przewidywalne, pozbawione niespodzianek. Brakowało jej żarcików z pacjentami, urozmaiconej pracy na oddziale, ciągłej krzątaniny. Tęskniła za towarzystwem koleżanek, za poczuciem, że jest komuś potrzebna.

W końcu kwietnia odwiedziła ją Eva. Była w nastroju odpowiadającym słotnej pogodzie za oknem. Ponieważ zapomniała parasolki, czarne kosmyki, które przywarły do jej twarzy, wyglądały jak zmokłe szczurze ogony. Usiadła na łóżku Iris w domu pielęgniarek i bez przekonania suszyła włosy, patrząc na siekący o szyby deszcz.

Na łóżku leżała zawartość pudełka z szyciem: wstążki i koronki, szpilki z perłowymi główkami, srebrny napałek. Iris grzebała w tym wszystkim, szukając szpulki odpowiednich nici.

– Powiedz, co jest nie tak – poprosiła.

– Nic.

– Evo! – Wyciągnęła kapelusz z pudła.

– To moje malowanie... Przez ostatnich kilka dni pracowałam do północy, a i tak wszystko, co robię, jest beznadziejne.

Iris nie wierzyła jej ani przez chwilę. Eva nie należała do tych, co użalają się nad sobą z powodu pracy.

– Może powinnaś zrobić sobie przerwę – zasugerowała mimo wszystko.

– Nie ma mowy! – krzyknęła Eva ze złością. – To ostatnia rzecz, jaką mogłabym zrobić!

Wygląda okropnie, pomyślała Iris. Błada twarz, czerwone powieki – zupełnie jakby płakała po całych dniach.

– Czemu nie pojedziesz na parę dni do domu?

– Do domu?!

– Tak, dlaczego nie? Może i nudno tam, ale przynajmniej podsuwają ci posiłki pod nos i ścielą łóżko. I zawsze lubiłaś towarzystwo Clemmie i Jamesa.

– Tak, ale ojciec...

– Nie rozumiem, czemu jesteś dla niego taka niedobra.

– Bo wiem... – Eva zacisnęła usta.

– Wiesz? – Iris przegryzła nitkę. – Co takiego wiesz, Evo?

Głosem stłumionym przez ręcznik na głowie wyjaśniła:

– Jest kłamcą i oszustem. Dlatego tak go traktuję.

– Evo!

– To prawda! – Ręcznik zsunął się jej z głowy i Iris zobaczyła, że siostra znów jest na granicy łez. – Widziałam go – wyszeptwała.

– Widziałas? Jak to?

Zapadła długa cisza. Eva skręcała loki w ciasny węzeł.

– Widziałam ojca z panią Carver.

– Z panią Carver? – Iris dopiero po chwili skojarzyła nazwisko z osobą. – To ta wdowa o pięknych włosach? Co ma dwie piegowate córki?

– Widziałam, jak się całowali. I to dwa razy.

– Och. – Iris znów szperała w torbie ze wstążkami.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? „Och”? – spytała Eva ze złością.

– Więc myślisz, że mieli romans?

– Oczywiście, że tak! I pewnie nadal mają!

– Pocałunek niekoniecznie oznacza romans.

Eva prychnęła. Iris wyjęła dwie wstążki.

– Całowałam się z mnóstwem mężczyzn, ale z żadnym nie miałam romansu. To były tylko pocałunki, odrobina nic nieznaczącej rozrywki.

Eva zagryzła wargi.

– Ale nie takie pocałunki.

– Kiedy to było?

– Tego lata, gdy poznałyśmy Asha.

Ash. Ogród w Summerleigh po deszczu. Całowała się wtedy z Ashem, a potem on powiedział: „Och, Iris, o czym byśmy ze sobą rozmawiali?”

– Nie gorszysz się, Iris? – krzyknęła Eva. – Nie sądzisz, że to wstrętne?

Zastanowiła się; nie, dla niej to nie jest wstrętne. Może powinno być, ale nie jest.

– Może dla ciebie – odrzekła taktownie.

– A dla mamy? Co będzie, jeśli się dowie? Przecież to ją zabije!

– Tak sądzisz? – Iris pomyślała o Lilian – bladej, kruchej i nietykalnej. – Przypuszczam, że od lat nie są prawdziwym małżeństwem. Chyba od urodzenia Philipa.

– To jednak nie usprawiedliwia...

– Nie. Ale wiele tłumaczy. – Iris przyłożyła dwie wstążki do granatowego kapelusza. – Blady róż czy fuksja? Jak myślisz?

Eva wpadła w szal.

– No wiesz, Iris?! Czasem jesteś taka... taka nierozgarnięta!

– Możliwe. Ale się nie unoszę. Słuchaj, musisz mi pomóc, lepiej znasz się na kolorystyce. Wydałam na ten kapelusz majątek, a granat jest taki trudny...

– Fuksja – mruknęła Eva.

Iris ucięła kawałek ciemnoróżowej wstążki.

– Ojciec lubi otaczać się ludźmi, prawda? Nie znosi samotności. A mama od lat stroni od towarzystwa.

– To nie jej wina! Jest chora!

Iris dopiero po chwili odparła:

– Oczywiście.

Eva przyjrzała się jej bacznie.

– Czasem myślę, że specjalnie się ze mną nie zgadzasz.

– Evo, zastanów się. Jakie są objawy tej choroby? Wysypka? Wymioty? Gorączka? Nie, nic z tych rzeczy.

– Według ciebie, ona udaje?

– Nie, niezupełnie. Wierzy, że choruje, więc w pewnym stopniu tak jest.

– Nikt by się z nią nie zamienił.

– Naprawdę? Całkiem nieźle jej się żyje. Choroba oznacza, że każdy jest na skinienie Lilian. Zbaczamy ze swojej drogi, żeby nie martwić matki. Nie ma żadnych domowych obowiązków. No tak, rozumiem, że sporządzanie listy zakupów dla dziesięcioosobowej rodziny może z czasem się sprzykrzyć. Mama jest inteligentną kobietą, ale jakie ma ujęcie dla swojej inteligencji? Nie może pójść do szkoły, jak ty, ani wybrać sobie zawodu, jak ja. – Iris układała wstążkę w rozetkę.

– Chyba nie sądzisz, że mama nie opuszcza łóżka od dwunastu lat, bo jej się nudzi?

– To dość skrajna postawa, prawda? Ale my jesteśmy taką właśnie rodziną. – Iris zerknęła na siostrę, ubraną w jakieś kolorowe szmatki. Kiedyś podejrzewała, że Eva jest zakochana w zupełnie nieodpowiednim mężczyźnie. – Może tylko udajemy takich konwencjonalnych? Może każde z nas ukrywa jakiś sekret?

Eva zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Iris zaczęła przyszywać rozetkę do kapelusza.

– Myślałam, że kto jak kto, ale ty potrafisz zrozumieć, do czego może posunąć się kobieta, aby przejąć władzę nad własnym życiem. Zawsze powtarzasz, jakie jesteśmy bezsilne, nie mając praw wyborczych.

– Bo tak jest!

– Choroba matki daje jej władzę nad rodziną. Nikt z nas – nawet ojciec – nie ośmieli się otwarcie sprzeciwić Lilian. Wszyscy chodzimy na palcach, a jeśli ktoś się z nią pokłóci, Lilian zaraz dostaje ataku. Weź taką Clemency: uwielbiała swoją szkołę, ale rzuciła ją bez słowa, bo była potrzebna mamie.

– To było dość rozsądne. Przecież nie można zostawić mamy samej.

– A gdyby Clemency się nie zgodziła? Albo gdybyśmy były tylko my trzy, to co wtedy? Rzuciłabyś swoje studia i szansę na karierę dla matki?

Eva poczerwieniała.

– Uważasz mnie za egoistkę...

Iris odłożyła kapelusz.

– Obie jesteśmy sobie warte – powiedziała łagodnie. – Mój Boże, przecież zostałam pielęgniarką, żeby uciec od matki. Można by rzec: z deszczu pod rynnę. – Po chwili dodała: – Jak byłam ostatnio w domu, rozmawiałam z mamą. Od dziesięciu lat

leczą ją tak samo: leżenie w łóżku, izolacja, tylko jedna osoba odwiedzająca na raz – i nie widać żadnej poprawy. Wyłożyłam jej jasno – bardzo łagodnie i ostrożnie, że mogłaby rozważyć zmianę kuracji. W jej pokoju było jak w piecu, więc zasugerowałam, że może przydałoby się trochę świeżego powietrza i gimnastyki. Nic męczącego na początek, na przykład spacer po ogrodzie, a potem każdego dnia dokładać coś więcej.

– I co powiedziała?

– Że jestem bez serca. No cóż, nie była pierwszą osobą, która mi to zarzuciła. – Iris przypomniała sobie duszny pokój Lilian i rozliczne buteleczki z lekarstwami na toaletce. – Matka bierze laudanum i pije porto – dzień w dzień. To bardzo przestarzała kuracja, pacjenci muszą przyjmować coraz większe dawki dla uzyskania efektu. Gdyby spróbowała to odstawić, nie musiałaby siedzieć cały czas w tej duchocie. Zaczęłaby jaśniej myśleć, nabrałaby sił. Ale kiedy jej to wytłumaczyłam, zaraz dostała palpitacji i zaczęła mdleć. Nie pozwoliła mi zbadać pulsu i biedna Clemency musiała poświęcić cały ranek na jej uspokajanie. No i wtedy – Iris znów zaczęła obracać w rękach kapelusz – dałam spokój.

– Nadal uważam, że to nie usprawiedliwia ojca – powtórzyła z uporem Eva.

– Nawet mi się nie śni sugerować coś takiego. Ale matce wygodnie jest chorować. Z jednego powodu: nie musi rodzić więcej dzieci.

– Dzieci? – Eva wyraźnie się zmieszała.

– Biedna mama. Urodziła nas siedmioro. W ciągu ilu lat? Czternastu? I chyba zdarzały się jej także poronienia. Czyli niemal co rok prorok. Widywałam takie pacjentki w szpitalu – rodziły jedno dziecko po drugim i nie wiedziały, co to znaczy być zdrową, bo albo były w ciąży, albo karmiły. Nie tak dawno zajmowałam się kobietą, która przyszła do nas urodzić dziesiąte dziecko. Poród miała trudny, a kiedy było po wszystkim, nawet nie chciała spojrzeć na noworodka. – Iris westchnęła. – Ach, Evo, ojciec nie jest ideałem, jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by nim był. Uważałaś go za takiego w dzieciństwie, a potem przekonałaś się na paskudny sposób o swojej pomyłce. Ale to dobry człowiek, chociaż ma wady, jak każdy z nas. – Potrząsnęła kapeluszem, a potem przymierzyła go przed lustrem. – Czy mówiłaś komuś o nim i pani Carver?

– Oczywiście, że nie! Tobie też nie chciałam nic mówić.

– To dobrze. Nie powinnaś. – Iris studiowała swoje odbicie. – I co sądzisz? Szykowny czy raczej jak kosz na węgiel?

Plantacja herbaty Lucasa Melrose'a na Cejlonie nazywała się Blackwater.

– To nazwa wioski w Szkocji, z której pochodził mój dziadek – wyjaśnił Marianne nowy znajomy.

Archibald Melrose, dziadek Lucasa, miał czterech braci. Farma w hrabstwie Aberdeen, w której się urodził, była zbyt mała, żeby utrzymać tak liczną rodzinę, więc Archibald postanowił szukać szczęścia gdzie indziej. Na Cejlon przyплыł w roku 1830.

– Chyba zakochał się w tej wyspie – ciągnął Lucas. – Zamierzał mieszkać tam kilka lat, zbić majątek i wrócić do Szkocji, ale został do końca życia. Cejlon ma w sobie jakiś magiczny urok. Muzułmańscy kupcy, którzy przybyli tam parę wieków temu, nazwali go

„Serendib” – wyspa klejnotów.

Przez pół roku Archibald pracował w tartaku w Colombo, po czym przeniósł się do wytwórni mielonej kawy w Kandy. Szybko odłożył dość pieniędzy, by kupić ziemię w górach. Obsadził ją krzaczkami kawy, korzystając, jak wielu Europejczyków z kawowego boomu w latach pięćdziesiątych. Ożenił się i spłodził syna George’a. Dzięki starannej gospodarce i ostrożnym inwestycjom Blackwater rozrastało się aż do śmierci Archibalda, po którym rodzina Melrose odziedziczyła ponad trzysta akrów ziemi.

Kiedy w roku 1870 plantacje kawy na wyspie padły ofiarą zarazy, wiele z nich zbankrutowało. Ale nie Blackwater. George Melrose trzymał się na powierzchni zębami i pazurami, dzięki swemu samozaparciu, wytrwałości i ciężkiej pracy. A także dlatego, że dostatecznie wcześnie przerzucił się z kawy na herbatę.

– Miałem dwadzieścia lat, kiedy zmarł mój ojciec – opowiadał Lucas. – Dożył dokładnie pięćdziesiątki. Przez dziesiątki lat pracował od świtu do zmierzchu, aż w końcu zaharował się na śmierć. Wycinał drzewa i karczował grunt gołymi rękami, strzelał do słońi tratujących sadzonki i budował bungalow, w którym mieszkam do dziś. Potrafił dosłownie wszystko. To dzięki niemu wciąż jestem właścicielem plantacji, podczas gdy tylu innych po wybuchu zarazy musiało dać się wykupić spółkom herbacianym. Dlatego że ojciec nigdy nie dał nikomu tknąć swojej własności. – Z kieszeni marynarki wyjął skórzany portfel. – Chciałaby pani zobaczyć mój dom, pani Leighton?

Wręczył jej fotografię pobielonego parterowego budynku otoczonego ogrodami, z sześciokątną werandą, za którą przez otwarte drzwi widać było chłodne, ciemne wnętrze z palmami, trzcinowymi meblami i służącymi w białych szatach.

– Spodobałby się pani ogród. Matka posadziła w nim róże. Teraz, niestety, są strasznie zaniedbane. Ja znam się na uprawie herbaty, ale nie róż. Za życia matki wyglądały wspaniale.

– Pańska matka zmarła niedawno?

– Straciłem ją dawno temu.

– Bardzo mi przykro.

Zmrużył oczy tak, że zostały z nich tylko szare, krystaliczne szparki.

– Blackwater leży niespełna osiem kilometrów od najbliższego miasta. Prawdę rzekłszy, nie wiem, czy zasługuje ono na tę nazwę. Mamy tam stację kolejową, bazar, pocztę i kilka sklepów. Oprócz mojej siedziby na terenie posiadłości są tylko bungalowy moich zarządców i rząd chat kulisów. Czasem w środku dnia słychać jedynie śpiew ptaków i szelest liści.

Umiął przykuć jej uwagę.

– Zupełnie jak w raju – szepnęła.

– Bo to jest raj. – W jego oczach pojawiła się tęsknota. – Mam ponad pięćset akrów obsadzonych herbatą i kolejnych pięćdziesiąt leżących odłogiem, gdyż zbocze jest zbyt strome i kamieniste albo las zbyt gęsty. No tak, to jest raj. Zawsze uważałem Blackwater za mój prywatny raj na ziemi.

Ręce pokojówki Edith były tak spuchnięte od reumatyzmu, że pomoc przy porannej

toalecie ciotecznej babki Hannah spadła całkowicie na Clemency. Kiedy o wpół do ósmej pukała do drzwi starszej pani, ta nieodmiennie miała już na sobie halki i gorset; Clemency zastanawiała się, czy Hannah kiedykolwiek je z siebie zdejmuje i czy w nich nie sypia. Zapinała jej suknię z wyrudziałego czarnego materiału z zielonkawym połyskiem, tak starą, że zaczynała już pękać w szwach, pomagała włożyć pończochy i trzewiki. Przy ubieraniu Hannah zaczynała rozmowę o tym i owym. Ponieważ często myliła Clemency z innymi osobami – Marianne, Evą czy swoimi dawno zmarłymi siostrami – i mówiła o sprawach zarówno dnia wczorajszego, jak o tych sprzed osiemdziesięciu lat, rozmowa z nią wymagała od Clemency znacznej koncentracji. Później trzeba było znaleźć starszej pani chusteczkę, pigułki odwanające oraz koronkowe rękawiczki i usadzić ją w fotelu przy oknie. Wszystkie te czynności wyczerpywały je obie, toteż staruszka często zapadała potem w drzemkę, a Clemency pędziła do kuchni sprawdzić, czy przygotowano już matce tacę ze śniadaniem.

W maju przypadały urodziny Hannah – nikt nie wiedział, które, nawet ona sama nie była pewna. Clemency nie miała pojęcia, co można kupić w prezencie osobie w tak podeszłym wieku.

Zwierzyła się z tego problemu Ivorowi, który dopiero co wrócił z żoną z miesięcznego pobytu w Szwajcarii. Siedzieli właśnie w „swojej” herbaciarni.

– Zwykle dajemy jej chusteczki albo mydło – tłumaczyła Clemency – ale ma już tego pełne szuflady. Eva zaopatruje ją w papier listowy, a ja w zeszłym roku kupiłam nową smycz dla Winnie. Zresztą ta suczka prawie nie wychodzi z domu, tak jest zapasiona.

– Może zamiast prezentu zafundować jej jakąś przyjemną rozrywkę? – zaproponował Ivor. – Ja zawsze uwielbiałem takie niespodzianki.

– Ja także. – Uśmiechnęła się do niego, szczęśliwa, że mają z sobą tak wiele wspólnego.

– Siedzieć z tobą tutaj to właśnie jest taka przyjemność. – Sięgnął przez stolik po jej rękę; ich dłonie splotły się ze sobą. Miał piękne, długie i szczupłe palce muzyka.

– Tęskniłam za tobą – szepnęła Clemency.

– Ja też, okropnie! Nie cierpię Szwajcarii, to istny koszmar.

– Z opowiadań wydaje się dość miła. Nigdy nie widziałam prawdziwych gór. Bo przecież Derbyshire się nie liczy, prawda?

Zbliżała się do nich kelnerka; Ivor cofnął rękę.

– Góry może rzeczywiście są wspaniałe. Ale hotel ponury i nie ma z kim porozmawiać.

– Przecież byłeś z Rosalie.

– Rosalie i ja nie rozmawiamy ze sobą. Nie tak naprawdę, jak my.

Uwielbiała, gdy Ivor mówił „my”. Czuła wtedy, że jest dla niego naprawdę ważna. Był taki inteligentny, utalentowany, miał tylu przyjaciół – od grupy pań regularnie uczęszczających na jego koncerty do londyńskich znajomych, których odwiedzał przy rzadkich okazjach, kiedy Rosalie mogła się bez niego obejść przez dwa dni. Chociaż po kłótni z Verą Clemency wiedziała już, że kocha Ivora, z początku nie była pewna, co on do niej czuje. Pewnego dnia, gdy spacerowali po ogrodzie botanicznym, podniósł nagle

jej rękę do ust i pocałował.

– Masz coś przeciwko temu? – spytał, a Clemency pokręciła przecząco głową. Wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca. – Od dawna marzę, żeby cię pocałować, ale nie wiedziałem, czy nie będziesz przeciwna.

Od tamtej pory pocałował ją kilka razy w usta – ot, takie przelotne muśnięcie warg, jak dotyk piórka. Chociaż z racji swych obowiązków nigdy nie mieli dla siebie wiele czasu – może z pół godziny raz czy dwa razy w miesiącu – te krótkie spotkania wydawały się Clemency całkowicie satysfakcjonujące. Przy ładnej pogodzie chodzili do ogrodu botanicznego, a jeśli padało – do małej herbaciarni przy Ecclesall Road. Lokal był obskurny, z brązową ceratą na stolikach i wyszczerbioną, pożółkłą zastawą. Nikt ze znajomych tam nie bywał. Może powinna mieć wyrzuty sumienia, przesiadując z żonatym mężczyzną i pozwalając trzymać się za rękę, ale jakoś nic takiego nie czuła.

Czasem Ivor przyglądał się jej w napięciu i wzdychał:

– Ach, gdyby nie Rosalie...

Nigdy nie kończył zdania, ale pewnie chciał powiedzieć, że gdyby nie Rosalie, mogliby się pobrać. Niechęć Clemency do rywalki stopniowo przeradzała się w nienawiść. Przedtem nawet nie przyszłoby jej do głowy, że mogłaby nienawidzić kogoś, kogo w ogóle nie zna. Czasem Ivor sugerował niejasno, że mogłaby któregoś dnia przyjść do nich na herbatę i poznać Rosalie, ale nigdy nie wystosował konkretnego zaproszenia. Zamiast więc spotkać się z realną osobą, Clemency wytworzyła sobie własny wizerunek Rosalie – kruchej blondynki, spędzającej większość czasu na sofie czy szeszlunku w otoczeniu licznych buteleczek z lekarstwami.

Na samą myśl o tym, jak wiele czasu i energii Ivor musi poświęcać żonie, zaspakajając jej wymagania, zamiast pielęgnować swój talent, ogarniał Clemency gniew. W duchu mówiła tej pijawce, co naprawdę o niej myśli, wytykając jej egoizm. W wyimaginowanych rozmowach wykazywała się elokwencją, którą nie zdarzyło się jej błyskać w rzeczywistości, Rosalie zaś reagowała płaczem i obietnicami poprawy.

Coraz częściej jednak owe fantazje były zastępowane inną: udręczona Rosalie dostawała nagle paskudnego kaszlu czy wysokiej gorączki, a potem... Clemency wyobrażała sobie, jak pociesza Ivora, nieszczęsnego małżonka, półprzytomnego po śmierci żony. Obejmowała go, gładziła po włosach i oczywiście się całowali. Po pewnym czasie (dokładny przebieg wypadków był dość mglisty) pobierali się i żyli razem w jego domku w Hathersage. Clemency się nim opiekowała, a Ivor wreszcie mógł się zabrać do komponowania koncertu. Wreszcie – przyszłyby na świat dzieci... Może (gdyby Ivor zechciał) przeprowadziliby się do Londynu i zamieszkali w ładnym domu na przedmieściu. Ona zajmowałaby się domem, a on by koncertował. Byłoby idealnie...

Chociaż te wszystkie fantazje dawały jej sporo przyjemności, Clemency zawsze czuła się potem winna i zawstydzona. Wiedziała, że źle robi, wyobrażając sobie czyjąś śmierć, a już najgorzej – życząc jej komuś. Mimo to w dni, kiedy Ivor wyglądał na wyjątkowo przemęczonego, jej niechęć do Rosalie sięgała stanu, w którym mogłaby udusić chorą własnymi rękami. Bezmiar tej nienawiści czasem ją przerażał. Czuła się tak, jakby dopiero teraz budziła się naprawdę do życia po całych latach odrętwienia, kiedy to niczym się nie przejmowała zbyt głęboko. Przed poznaniem Ivora najsilniejszymi

uczuciami darzyła wyłącznie najbliższe przyjaciółki, a zwłaszcza Verę. Teraz nie widziała jej od miesięcy; Vera nie zaprosiła Clemency nawet na swój ślub pod koniec roku, lecz taki afront wcale jej specjalnie nie dotknął. Clemency wiedziała, że zawdzięcza to Ivorowi.

Idąc za jego radą, postanowiła z okazji urodzin zabrać cioteczną babkę Hannah na przejażdżkę automobilem. Ojciec z Jamesem wtaszczyli starszą panią do auta, a Clemency starała się jechać bardzo wolno i ostrożnie. W połowie zbrocza Hannah wykrzyknęła:

– Co za cudowna maszyna! Przypomina mi się moja pierwsza podróż pociągiem. To nadzwyczajne patrzeć, jak drzewa i domy tak szybko migają obok!

Przez siateczkę woalki Clemency widziała, jak oczy starszej pani błyszczą jawnym zachwytem.

Marianne uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że wyczekuje wizyt Lucasa Melrose'a. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia uzależniła się od codziennej rutyny i jak bardzo potrzebuje uwolnienia. Nie wiedziała do końca, czemu ten człowiek ją odwiedza. Bo lituje się nad jej samotnością? Bo sam nie ma w Anglii rodziny ani przyjaciół? Przychodziło jej oczywiście do głowy, że go pociągala, ale jeśli to prawda, nie dawał jej wyraźnych sygnałów. Zawsze zachowywał się oficjalnie, nie flirtował, zwracał się do niej per „pani Leighton” i nie proponował przejścia na „ty”. Nigdy jej nie dotknął, poza uściskiem ręki na powitanie czy przy pożegnaniu albo kiedy pomagał jej wsiąść do taksówki. Jego wizyty trwały krótko i nie zdarzały się tak często, aby ją to męczyło.

Rozmawiali przeważnie o Cejlonie.

– Już w chwili gdy statek wpływa do portu w Colombo, widać różnicę, i to pod każdym względem, nawet powietrze jest inne. Oczywiście panuje tam upał, bo Cejlon to tropikalna wyspa – leży zaledwie kilka stopni od równika – ale jakże odmienny od angielskiego lata. Powietrze jest łagodniejsze, bardziej odurzające, przesycone zapachem morza i ostrych przypraw. I ta różnorodność obcych dźwięków: głosy gwarków i małą, sprzedawców zachwalających swoje towary, żebraków proszących o parę miedziaków. W samym mieście panuje wielki ruch, jeździ tam mnóstwo samochodów, rowerów i wozów zaprzężonych w woły. A jeśli ma się szczęście, można zobaczyć i słonia.

– Słonia?!

– Używam ich na plantacji do przewożenia ciężkich ładunków. Czy w ogóle widziała pani kiedyś słonia?

– Tak, w zoo.

– A jeździła pani na słoniu?

– Nigdy. A pan?

– Wiele razy. Nie polecałbym tego po obfitym posiłku. Kołysze bardziej niż mała łódź.

Marianne się roześmiała.

– A co do kolorów...

- Pamiętam, jak narzekał pan na bezbarwność Anglii.
- Anglia, oczywiście, jest piękna sama w sobie.
- Widzę, że stara się pan być uprzejmy, panie Melrose, ale pańskie serce zostało na

Cejlonie.

– Przyłapała mnie pani. No cóż, są kolory straganów z owocami, rozstawionych wzdłuż drogi: wielkie, zielone jackfruity, żółte banany i złote królewskie kokosy. Ulice niemal zawsze dekoruje się chorągiewkami, a posągi przed hinduskimi świątyniami są pomalowane na tak fantastyczne barwy, że angielskie kościoły przy nich wyglądają ubogo i szaro. – Uśmiechnął się. – Jednakże górskie rejony różnią się od nizinnych. Pierwsi plantatorzy osiedlili się w górach, ponieważ przypominały im Szkocję. Są tam lasy iglaste, a także gąszcz azalii i rododendronów. Na wierzchołkach drzew zawsze leży mgła, a wzgórza w oddali wydają się błękitne. W miarę jak pociąg pnie się w górę, przez zasnuwane chmurami lasy, powietrze staje się chłodniejsze. Droga wznosi się tak stromo i jest tak kręta, że człowiekowi kręci się w głowie. Mimo to miejscowi chłopcy uwielbiają zwieszać się z otwartych drzwi wagonów, kiedy pociąg przejeżdża nad przepaściami, i w ogóle się nie boją. A może poddają swój strach próbie, żeby go oswoić. To tylko my, Europejczycy, boimy się, że pociąg wypadnie z szyn.

– A pan, panie Melrose? Boi się pan wyglądać przez okno?

– Ani trochę. Lubię widzieć krawędzie świata.

Pewnego popołudnia wybrali się do Tate Gallery. Marianne miała za sobą okropną noc (czerwone ślady na białym dywaniku we śnie i puste łóżko po przebudzeniu); chodząc po galerii, czuła się wyczerpana i zrozpaczona. Obrazy przypominały jej senne koszmary, portrety wydawały się zniekształcone, kolory źle dobrane, a pejzaże jałowe i brzydkie.

Po wyjściu spacerowali po Embankment. Później za nic nie mogła sobie przypomnieć, od czego ta rozmowa się zaczęła ani jak to się stało, że skończyło się na zwierzeniach. Marianne była smutna, zmęczona i nie miała sił się bronić. Może Lucas, widząc jej bladość, zaczął ją wypytywać, może w dobrej wierze powiedział coś pocieszającego. Tak czy inaczej powstała wyrwa w murze, a potem słowa popłynęły już rzeką.

Opowiedziała mu o Arthurze, o ich znajomości, małżeństwie, o jego śmierci.

– Nie wiem, czy to, co czuję, to żal. Jeśli tak, to znaczy, że wcześniej nie miałam o nim pojęcia. Ale przeważnie jestem po prostu zła.

– Zła? Na kogo?

– Na wszystkich.

– Nie mogę w to uwierzyć. To do pani niepodobne.

– Śmierć mojego męża była taka bezsensowna, ot, skutek głupiego, drobnego wypadku. Gdyby umarł dla jakiejś wielkiej sprawy, na przykład za swój kraj czy ludzi, których kochał, może by mnie to jakoś pocieszyło. Ale on umarł dla niczego. Jakże często gniewam się na Boga albo przynajmniej gniewałabym się, gdybym nadal wierzyła, że istnieje! Przyjaciele próbują mnie przekonywać, że Arthur jest teraz u Boga. Jeśli tak, to jakież On musi być okrutny i egoistyczny... Zgorszyłam pana, panie Melrose?

– Nie tak łatwo mnie zgorszyć. I nie jestem taki podatny na frazesy, jak niektórzy z pani przyjaciół.

– A czasem – ciągnęła wolno – złoścę się nawet na Arthura. Za to, że mnie zostawił, chociaż obiecywał zostać przy mnie na zawsze. Rozkochał mnie w sobie, a potem opuścił. I jeszcze dlatego, że nie pozwolił mi wcześniej wezwać lekarza. Nie chciał się przyznać, że coś mu dolega. Chyba prośbę o pomoc uważał za przejaw słabości.

– To wada naszej płci. I prawdopodobnie cecha narodowa.

– Zawsze trzymać fason – powiedziała z goryczą. – O, tak, Arthur był prawdziwym brytyjskim dżentelmenem. I to go zabiło, panie Melrose, to go zabiło. – Zamilkła na chwilę i znacznie ciszej dodała: – Ale najbardziej jestem zła na siebie. Za moją słabość, za brak jakichkolwiek praktycznych zdolności. Nic w moim śmiesznym wychowaniu nie przygotowało mnie na śmierć Arthura. Wmawiano mi, że mam być ozdobą, nie kimś użytecznym. Inna kobieta może by go uratowała, ale nie ja.

– Jest pani dla siebie zbyt surowa, pani Leighton. Ma pani wiele godnych podziwu zalet. Już podczas naszej pierwszej rozmowy w Rawdon Hall zauważyłem pani łagodność i słodycz.

Później, już w domu przy Norfolk Square, Marianne miała do siebie pretensje o tę wylewność. Zastanawiała się, czy Lucas Melrose jeszcze ją odwiedzi. Może zgorszony jej ateizmem i uzalaniem się nad sobą, wróci na swoją rajską wyspę, otrząsając z butów pył angielskiej ziemi.

Piękna pogoda skończyła się w ciągu nocy. Rano obudził Marianne łoskot tłukącego o szyby deszczu. Kiedy po południu przyszedł Lucas Melrose, od razu zauważyła różnicę w jego zachowaniu. Wydawał się spięty, podenerwowany. Filiżanka w jego dłoni drżała i parę kropli herbaty wylało się na spodek.

Rozmawiali o pogodzie, o wspólnych znajomych i sztuce teatralnej, którą obejrzał poprzedniego wieczora. Nagle zmienił temat:

– Przyszedłem tu dziś, aby zapytać panią... – Urwał i podszedł do okna.

– O co chciał mnie pan zapytać, panie Melrose?

Zdawało się, że chmury napierają z nieba na świat, zasnuwając ulice szarymi oparami i zalewając deszczem. Melrose'owi zbieleły knykcie w zaciśniętych na parapecie dłoniach.

– Przyszedłem zapytać, czy nie zostałyby pani moją żoną?

Rozdział ósmy

Eva nie mogła się doczekać powrotu Gabriela. Gdyby tylko mogła go zobaczyć, porozmawiać z nim, poznać prawdę... A jednak wciąż siedział za granicą, dając o sobie znać tylko pośpiesznie skreślonymi pocztówkami. „Zapytaj Maksa, zapytaj Bobbina” – powiedział jej Val. Ale Max był razem z Gabrielem, a adresu Bobbina nie znała.

Potem Val zasugerował: „Zapytaj Sadie, jeśli ci starczy tupetu”. Eva, rzecz jasna, nigdy nie pytała Sadie o Nerisę. Budząc się w środku nocy, próbowała zastanawiać się, co gorsze: że Gabriel jest kochankiem Nerissy czy że ona sama jest kochanką Gabriela. Pierwsze napęniało ją oburzeniem i rozpaczą, drugie przytłaczało wstydem.

W szkole – odkąd wdała się w romans z Gabrielem – nie mogła dostatecznie się skoncentrować. Na jej rysunkach fałdy tkaniny wybrzuszały się nienaturalnie sztywno, dłonie opadały, palce wydawały się pozbawione kości i w ogóle niewydarzone. Czasem ścierała papier tak mocno, że zostawała tylko koronka dziur i smug. Dawniej Gabriel mówił, że nie może przestać o niej myśleć, że ją kocha, uwielbia. Kiedy to wspominała, nabierała pewności. Ale potem ta pewność ulatniała się nagle, a Eva uświadamiała sobie, że on kocha wszystkich: Sadie, swoje dzieci, przyjaciółki odwiedzające go w Greenstones. Artystki o podejrzanym reputacji, które piły z nim w Cafe Royal i w Tour Eiffel. Uliczne kwiaciarki i bezpańskie psy biegające za nim po parku.

Sadie napisała do Evy pierwsza. Pomiędzy anegdotkami o dzieciach i pytaniami, co słyhać w Slade, Londynie i u niej samej, znalazły się też informacje: „Gabriel wrócił z Hiszpanii dwa tygodnie temu. Jest opalony jak Cygan i zaczął nosić złoty kolczyk. Znów nie może usiedzieć na miejscu i niebawem pojedzie do Londynu”.

Kilka dni później Eva wybrała się do pracowni Gabriela. Drzwi były uchylone; kiedy otworzyła je na oścież, zobaczyła wielką, czarną sylwetkę na tle okna.

– Eva! – wykrzyknął i wyciągnął do niej ramiona. Niemal zginęła w jego uścisku.

– Nie wiedziałam, że już jesteś.

– Dopiero co przyjechałem. – Puścił ją i zaczął rozpakowywać plecak. – Właśnie zamierzałem wysłać ci liścik.

– Jak tam Hiszpania?

– Cudowna. To absolutnie niezwykły kraj.

– Nerissie też się podobało?

Wytrząsnął z plecaka koszulę.

– Chyba tak. Ona już tam była. W górach skarżyła się na zimno.

Znów ten sam skurcz w dołku przypominający uczucie, kiedy powinęła ci się noga i wiesz już, że zaraz się przewrócisz.

– Nie wiedziałam, że Nerissa z wami pojechała.

– Decyzja zapadła w ostatniej chwili. Znasz Nerisę, wiesz, jaka jest impulsywna.

Eva usiadła na poręczu fotela. Ze sterty pomiętej garderoby Gabriel wyciągnął naszyjnik z muszelek kauri i zapiął jej na szyi.

– Podoba ci się? – Muszelki były kremowe, złotawe i blad różowe. Eva pokiwała

głową. – Kupiłem je od chłopaka w Almerii. Dajesz mu pesetę, a on natychmiast pędzi do morza po muszelki. Takich chłopaków są tam całe gromady, skaczą do wody jak żaby. – Uśmiechnął się do niej promiennie. – Chodźmy się czegoś napić. Od miesiący nie widziałem Cafe Royal.

– Nerissa! – wyrwało się z jej ust niczym jadowity syk. – Val mi powiedział, że ty i ona...

– Co z Nerisą?

– Powiedział, że byliście kochankami.

Okręcał wokół szyi czerwony szalik.

– Nerissa i ja znamy się od lat. Przecież wiesz o tym, Evo.

Mogła to tak zostawić – lepiej nie wiedzieć – ale coś ją podkusiło, żeby skończyć z tą niepewnością.

– Nadal jesteście kochankami?

– Czasem tak.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby tonęła.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

– To niczego między nami nie zmienia.

– Ale mi nie powiedziałaś!

– Bo nie pytałaś.

– Myślałam, że mnie kochasz!

– I tak jest. – Przesunął czubkiem palca po jej policzku. – Naprawdę kocham cię, Evo. Włóż kapelusz i idziemy do miasta.

– Nie mogłeś się spodziewać, że mnie to nie obejdzie.

Uśmiech Gabriela stał się chłodniejszy.

– Dlaczego?

– Bo czuję się...

– Jak? Jak się czujesz?

– Zdradzona – wyszeptała.

– Nonsens! – Włożył płaszcz.

W kącikach jej oczu zebrały się łzy.

– Nie żaden nonsens, tylko prawda.

– Nie mogę... nie chcę wierzyć, że miłość daje prawo do wyłączności. Wiesz, że mi to nie wystarczy.

– A mnie?

Wzrok mu złagodniał. Ujął jej ręce w swoje.

– Moja droga, od początku byłem z tobą szczery. Nie możesz mi zarzucić oszustwa. Nie racjonuję miłości.

Wyrwała mu dłonie.

– Więc mam się tobą dzielić?

Gwałtowny wydech, a potem chłodne słowa:

– Skoro tak to ujmujesz...

– A jak inaczej?

– Wygląda na to, że zachowujesz się jak wszyscy: traktujesz ludzi jak swoją własność. Nie posądzałem cię o to.

– Ależ ja nic nie wiedziałam! Jak myślisz, co czułam, dowiadując się o tym od Vala? I żebyś widział tę satysfakcję na jego twarzy!

– Przykro mi, że cię zranił. On lubi być okrutny. Nie ma żadnych szczególnych zdolności, ale przynajmniej zdaje sobie z tego sprawę i czasem go to martwi. Na tym polega jego tragedia. – Gabriel przyglądał się jej beznamiętnie. – No, daj już spokój, Evo. Zawsze wiedziałaś, że musisz się mną dzielić.

– Z Sadie...

– Co ty wygadujesz? To z z Sadie możesz, a z Nerissą nie?

Odwróciła wzrok, nagle zawstydzona.

– Evo, najdroższa, naprawdę nigdy nie chciałem cię urazić. Ale nie zniosę ograniczeń w miłości. Kocham Sadie, kocham Nerissę, co jednak nie znaczy, że ciebie kocham mniej.

Nagle okazało się, że Evie nie chce się już ani płakać, ani gniewać. Ale choć dużo ją to kosztowało, musiała zadać mu jeszcze jedno pytanie:

– A Sadie? Czy ona wie o Nerissie? I o mnie?

– Sadie zawsze wszystko rozumiała.

– Ach, tak.

Znów miała przed oczami Sadie w kuchni, zajętą pieczeniem chleba czy krojeniem jarzyn, aby nakarmić kochanki swojego męża. Ciekawe, jaką cenę płaciła za to „zrozumienie”.

– No chodź tu, Evo – usłyszała nagle. – Stęskniłem się za tobą. Chodź, napijemy się czegoś...

Ale ona pokręciła przecząco głową, po czym wzięła torbę i kapelusz. Kiedy otwierała drzwi, Gabriel powiedział:

– Nigdy nie ożeniłbym się z Sadie, gdyby nie uświadomiła mi jasno, że nie zgodzi się na żaden inny związek. Znam siebie na tyle, by wiedzieć, że nie nadaję się do małżeństwa. – Głos mu stwardniał. – Więc ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest kolejna żona. Myślałem, że to rozumiesz.

– I tak było. – Zerknęła na niego przez ramię, zmuszając się do uśmiechu. – Tak było, Gabrielu.

– Evo!

Zbiegając ze schodów, wciąż słyszała jego pełen rozpaczony głos:

– Evo, nie bądź śmieszna! Na miłość boską, Evo!

Myślała, że do niej napisze, wytłumaczy się, przeprosi – a po-tem – jakimś cudem – znów wszystko będzie dobrze. Wychodząc ze Slade pod wieczór, była przekonana, że zastanie Gabriela na ulicy, jak po ich pierwszym spotkaniu. Jego ówczesna natarczywość przerażała ją i fascynowała zarazem. Dlatego każdego ranka pędziła bez tchu do drzwi, gdy tylko wypatrzyła listonosza, ale Gabriel nie pisał. Później, kiedy okazało się, że przed szkołą też przestał na nią czekać, jej serce skurczyło się w małą, twardą bryłkę.

Trzyletnia nauka w Slade dobiegała końca. Przeglądając swoje portfolio, Eva czuła przyływ paniki. Rysunki wydawały się jej słabe, zbyt wiele prac było niedokończonych, zbyt wiele innych sprawiało wrażenie bardziej obiecujących niż spełnionych. Jak na trzy lata – rezultat dość marny. Ile długich godzin spędziła, pozując Gabrielowi? Czy gdyby ten czas poświęciła na własne prace, wypadłaby lepiej? Przypomniała sobie poranki, kiedy Gabriel nie puszczał jej do Slade, prosząc, aby spędziła z nim cały dzień i zapomniała o zajęciach. Nigdy mu nie odmówiła. Wymyślała przeróżne preteksty – w rodzaju przeziębienia, choroby krewnych, żeby tylko z nim zostać. Czy gdyby nie zakochała się w Gabrielu Bellamym, byłaby lepszą artystką? Czy mogła lepiej wykorzystać zaufanie, jakim obdarzyły ją panna Garnett i cioteczna babka Hannah?

Wprawdzie poniewczasie, ale poszła za radą Iris i wsiadła w pociąg do Sheffield. Ku swej irytacji, musiała przyznać siostrze rację: dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo stęskniła się za domem. Co gorsza, kiedy już wytaszczyła torbę z tramwaju przed Summerleigh, nie mogła się powstrzymać i ruszyła biegiem do furtki.

W domu trzaskały drzwi i słychać było podniesione głosy. W ogniu kłótni ledwie zauważono przybycie Evy, a niespodzianka, jaką im zrobiła swoją wizytą, przeszła bez wrażenia. Joshua miał czerwoną z gniewu twarz, Clemency daremnie próbowała doprowadzić do zawarcia pokoju.

Tego wieczoru James uciekł na dworzec i wsiadł w pociąg do Londynu, a cioteczna babka Hannah wycofała się z pola walki na drzemkę w swoim fotelu w salonie, z Winnie i ciężką czarną Biblią na kolanach. Tylko matka pozostała obojętna na sztormy i burze wokół siebie, pogodna i niewzruszona w swym dusznym, ciemnym gniazdku. Eva przypomniała sobie słowa Iris: „Kto, jak kto, ale ty potrafisz zrozumieć, do czego może posunąć się kobieta, aby przejąć władzę nad własnym życiem”.

W zaciszu oranżerii, przy ostatnich promieniach słońca wpadających przez szklany dach, Aidan przedstawił siostrze wypadki ostatnich kilku dni. On sam odmówił powrotu do szkoły po zakończeniu semestru. Philip poprzedniego ranka wyjechał do Yorku, a on został, mimo nacisków ojca – stąd gniew Joshuy. Według Aidana dalsza nauka nie miała sensu; zawsze zamierzał z niej zrezygnować natychmiast po ukończeniu szesnastu lat i przystąpić do rodzinnego interesu. Na niczym innym mu nie zależało, nie miał żadnych zainteresowań. I ojciec to zaakceptuje, nawet będzie zadowolony, tylko najpierw musi ochłonąć z gniewu.

Ta pewność wstrząsnęła Evą. Zawsze uważała Aidana za potulnego chłopca, nigdy nie widziała w nim prowokatora czy oponenta. Po raz pierwszy dostrzegła teraz w bracie nieodrodzonego syna swej matki, zarówno z wyglądu zewnętrznego – ta delikatna, jasna karnacja, i lekko ryżawe włosy – jak z uporu.

Zaczęła się zastanawiać, czy czasem gruntownie się nie myli co do swej rodziny, a także Greenstones i Gabriela. Nie wiedziała wcześniej o Nerissie, ponieważ zamknęła oczy, wolała nie odczytywać sygnałów. Nie wiedziała, że Sadie znała prawdę o jej romansie z Gabrielem, gdyż nie chciała tego wiedzieć. Gabriel niczego przed nią nie ukrywał. Wystarczyło zapytać, otworzyć szerzej oczy. Gdyby prawda okazała się bolesna, Eva mogłaby mieć pretensje tylko do siebie.

A rodzina? Trzy lata temu, opuszczając Summerleigh, uznała ich wszystkich za

staroświeckich hipokrytów. Ale czy miała prawo ich osądzać? Niewiele różniła się od ojca: oboje grzeszyli, oboje nie liczyli się z uczuciami kochanych osób. Oszukiwanie samej siebie, aby usprawiedliwić swój romans z Gabrielem, teraz wydawało się jej niegodziwe. Oczywiście, że źle postępowała. Nie można oddzielać różnych przegródek swego życia, one mają wspólny krwiobieg, nieuchronnie się łączą, ich barwy się mieszają.

Unikała ojca, bo w jego impulsywności i manifestowaniu uczuć widziała własne błędy. Na pytania o jej życie w Londynie odpowiadała monosylabami. Bała się, że gołym okiem widać, jaka jest nieszczęśliwa. Irytowała się na Clemency i Aidana, a godziny spędzone w dusznym pokoju matki przyprawiły ją o ból głowy.

Pewnego ranka zeszła właśnie na dół, skończywszy czytać matce, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Edith nie reagowała, więc Eva musiała sama otworzyć. W progu stał pan Foley. Na jej widok uchylił kapelusza.

– Panna Eva! Nie wiedziałem, że jest pani w domu. Mam telegram do pani ojca.

Zaprosiła go do środka. Przez witrażowe szybki w drzwiach wlewało się słońce.

– Czy wszystko u pani w porządku?

Że też on zawsze musi się napatoczyć w najbardziej nieodpowiedniej chwili – albo kiedy cała spocona wychodzi z tego pieca, w jaki zmienił się pokój matki, albo gdy przemoczona i bliska łez błąka się po szeffieldzkich slumsach!

– W jak najlepszym, panie Foley.

– Wygląda pani na... przygnębioną.

– Zapewniam pana, że czuję się znakomicie – odparła chłodno. – Przysłano pana do ojca, czy tak?

Zaczerwienił się i cofnął o krok. W tym momencie zjawiała się Edith, żeby zaprowadzić go do gabinetu Joshuy. Eva uciekła do salonu i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy tylko znalazła się sama, cały gniew się ulotnił, zostawiając uczucie niesmaku i zniechęcenia. W lustrze nad kominkiem uchwyciła swoje odbicie – blada twarz z ciemnymi półkolami pod oczami, czerwone napuchnięte powieki, gdyż wiersz, który czytała matce, wycisnął jej z oczu łzy (*O przybądź do mnie w ciszy nocy/Przybądź w mówiącej ciszy snu*8...).

Usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi, a potem chrzęst kroków na zwirowanej ścieżce – znak, że pan Foley wyszedł. Wciąż dźwięczał jej w uszach własny głos, niegrzecznie podkreślający przepaść, jaka ich dzieliła: ona – córka pryncypała, on – zwykły pracownik. Żadne nieszczęście nie usprawiedliwia takiego zachowania. Wiedziała, że pan Foley jest z urodzenia dżentelmenem, a jego rodzina w jakiś niewyjaśniony sposób stoczyła się w dół. Zawsze ją uczono uprzejmości wobec tych, którzy w życiu mieli mniej szczęścia, a jednak wykorzystała dziś swą pozycję, by upokorzyć pana Foleya. Wszystko przez to, że chciało się jej płakać, a on miał czelność okazać jej swą troskę.

Następnego ranka popedałowała do Maclise & Sons. Unosił się tam zapach rozgrzanego metalu, słychać było pobrzękiwanie i huk pieców. Pan Foley na jej widok zacisnął usta i umknął spojrzeniem w bok.

– Pani ojciec jest w pakowni, panno Maclise.

– Nie przyszedłam do ojca, tylko do pana.

Zgarniał jakieś papiery, by włożyć je do skórzanej teczki.

– Niestety, muszę iść do drugiego oddziału.

– A mogłabym pójść z panem?

Przez chwilę myślała, że odmówi, ale odpowiedział krótko:

– Jak pani sobie życzy.

Odczekała, aż znajdą się za bramą.

– Panie Foley, przyszedł pan przeprosić.

– To zbyt uczte.

– Nie sądzę.

W końcu popatrzył na nią jak należy. W jego ciemnych oczach zobaczyła mieszankę uczuć: dumy, gniewu i urazy.

– Zagalopowałem się wczoraj. Miała pani pełne prawo wyrazić swoje niezadowolenie.

– Nie. Zachowałam się tak okropnie, bo byłam zdenerwowana. To nie miało nic wspólnego z panem. Po prostu spotkał mnie pan w nieodpowiedniej chwili. – Zauważyła, że przetrawia jej słowa, więc dodała szybko: – Nic nie usprawiedliwia jednak mojej niegrzeczności. Proszę pana o wybaczenie, panie Foley.

– Nie ma niczego do wybaczenia.

Przechodzili przez rzekę. Zanieczyszczona olejami powierzchnia połyskiwała opalizująco. Na wodzie unosiły się różne odpadki z doków.

– Nic nie wiedziałam o tym nowym terenie.

– Ojciec pani kupił go pół roku temu. Firma, do której należał, zbankrutowała. Teraz rządzi tu pan James.

– I co tu produkujecie?

– Tarcze do sprzętów samochodowych.

– Moja siostra Clemency umie prowadzić samochód.

– Wiem. Widziałem, jak czekała na pana Maclise'a przed wytwórnią.

– Wszystko się zmienia. – Eva rozejrzała się dookoła. – Wszystko jest inaczej.

– Pewnie, że tak. To się nazywa postęp.

– A ja bym chciała, żeby wszystko zostało tak samo!

– To, niestety, nie jest możliwe.

– Ale moi bliscy... – Znów to zdradzieckie drżenie głosu. – Chciałabym, żeby zawsze byli tacy sami.

– Bliscy? Zawsze nam się wydaje, że ich znamy. – W jego głosie zabrzmiała gorycz. – Ale często okazuje się, że jest inaczej.

– Clemency jeździ samochodem, Aidan rzuca szkołę... A Jamesa nie widziałam od lat, ciągle ucieka do Londynu. Cioteczna babka Hannah ciągle nazywa mnie Frances, bo uważa mnie za swoją dawno zmarłą siostrę. I nawet ojciec wygląda tak staro...

– To się pani tak wydaje, bo dawno tu pani nie było. Ludzie często się zmieniają pod naszą nieobecność. Stworzenie tego nowego oddziału bardzo pani ojca zmęczyło. Mieliśmy tu na starcie różne problemy i narady, do tego dochodziły jeszcze dni zmarnowane wskutek strajków i utraty zamówień. To był naprawdę ciężki rok.

Jeszcze i to! Fakt, że rodzinny interes, zawsze taki niezachwiany, toczący się

zgodnie z wyznaczonym kierunkiem, może napotkać na jakieś trudności, naprawdę nią wstrząsnął.

– Ale już wszystko w porządku?

– Nie ma nic, z czym byśmy się nie uporali. Chociaż oczywiście wszystko to mocno obciążało pani ojca.

Uświadomiła sobie nagle, że chociaż знаła pana Foleya od dziecka, bardzo mało wie o nim samym.

– Ma pan jakąś rodzinę, panie Foley?

Dostrzegła błysk zniecierpliwienia w jego oczach.

– A jak pani myśli? Że zmontowano mnie gdzieś w fabryce? Ze standardowych części – kończyny, twarz, mózg...

Zaczerwieniła się gwałtownie.

– Nie chciałam tego powiedzieć.

– Mam matkę i dwie siostry. Mieszkają w Buxton.

– A ojciec?

– Zmarł jedenaście lat temu.

– Przykro mi.

Przystanął nagle, a tłum przechodniów się rozstał, okrążając go z dwóch stron.

– Czyżby? Bo mnie nie jest przykro. Był pijakiem i hazardzistą, zrujnował życie mojej matce, przekreślił szanse moje i moich sióstr.

Evie wydało się, że w samym środku ulicznego zgiełku i fabrycznych hałasów zapadła głucha cisza. Ruszyli w dalszą drogę i po chwili pan Foley powiedział:

– Proszę mi wybaczyć.

– Co tu jest do wybaczenia?

– Ponura historia mojej rodziny. Naprawdę nie mam z czego być dumny.

– Przecież nie może pan odpowiadać za czyny ojca. – Starła się jakoś go rozchmurzyć. – Nie zniosłabym, gdyby ktoś mnie obwiniał za postęпки moich krewnych. Zresztą nas jest stanowczo za dużo.

Doszli do budynku z czerwonej cegły. Pan Foley się zatrzymał, Eva podała mu rękę.

– Cieszę się, że mogłam z panem porozmawiać. Teraz jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

W uśmiechu jego śniada twarz pojaśniała i nagle stał się przystojny.

– Oczywiście – odparł, ściskając jej dłoń.

Marianne, oczywiście, nie przyjęła oświadczeń Lucasa Melrose'a. Mimo szoku udało się jej wykrztusić grzecznościową formułkę: „Zdaję sobie sprawę z zaszczytu, jaki pan mi wyświadczył, ale niestety nie mogę przyjąć pańskiej propozycji”.

A jednak nadal ją odwiedzał i wyraźnie nie miał zamiaru zostawić jej w spokoju, jak tego oczekiwała.

– To wykluczone – powiedziała mu. – Po prostu niemożliwe.

– Dlaczego? – pytał. – Proszę rozważyć, co mam do zaoferowania. Twierdziła pani,

że chce podróżować. Pod moją opieką zobaczy pani cały świat. Pokażę pani widoki, o jakich pani nawet nie marzyła, piękno zapierające dech w piersiach. Pokażę pani spowite chmurami lasy, kopalnie kamieni księżycowych i drzewa ogniste. Zanurzy pani palce w Oceanie Indyjskim i będzie oddychać tropikalnym powietrzem. Pozna pani smak życia na szczycie góry, a z własnego ogrodu będzie pani podziwiała widok na wzgórze i doliny schodzące aż do morza. Co pani straci, wychodząc za mnie, oprócz samotności i nudnej egzystencji, która panią tak nuży? Czyż nie lepiej zacząć żyć na nowo?

Przyłapała się na wyszukiwaniu coraz to nowych obiekty, jak gdyby małżeństwo było praktycznym interesem; na rozważaniu ewentualnych zysków i strat. Lucas na wszystko znajdował odpowiedź. Powiedziała mu, na przykład, że nie ma pojęcia o życiu żony plantatora.

– Naucz się pani – odrzekł. – To dość łatwe. Pani jedynym obowiązkiem będzie nadzorowanie prowadzenia domu. Nie musiałyby pani się kłopotać sprawami posiadłości czy wytwórni. To moja sprawa i moja odpowiedzialność. Miałyby pani znacznie więcej służby niż tutaj, nie musiałyby pani nawet kiwnąć palcem. Żyję na wysokiej stopie, nie zbywałoby pani na niczym.

– Klimat... Te różne choroby, węże, tygrysy...

Wziął z sekretarzyka papier, z kieszeni wyjął pióro. Mocnymi, pewnymi kreskami naszkicował wyspę w kształcie łyży.

– To jest Blackwater – wyjaśnił, stukając czubkiem palca w środek szerszego końca. – A tamto – malaryczne bagna, ciągnące się kilometrami na płaskich, przybrzeżnych terenach. Klimat górzystej części słynie ze zdrowotnych właściwości. Oczywiście zdarzają się choroby, ale chyba i w Londynie ich nie brakuje. Co do węży, moi ludzie umieją sobie z nimi radzić. A tygrysy na pewno nie będą pani niepokoić, one żyją głównie w lasach. Nawet gdyby któryś się pojawił, to jestem dobrym strzelcem.

– A moja rodzina? Na pewno bym bardzo tęskniła. Cejlon jest tak daleko...

– Nowoczesny pasażerski parowiec dowiezie panią z Colombo do Londynu w ciągu paru tygodni. Niektóre żony podróżują do Anglii co roku. A tęsknota za domem? Cóż, jest poczta. Nie musi pani być samotna, mam tam grono dobranych przyjaciół, w każdy weekend widzimy się w klubie.

Pewnego dnia usiadł przy Marianne i wziął ją za rękę. Gdy spoczęły na niej te jasne, świetliste oczy, nie była w stanie się odwrócić.

– Mówi pani, że tęskniłaby za rodziną. A jednak sama pani wspomniała, jakie zajęte są pani siostry. W miarę upływu lat zajęć jeszcze im przybędzie. Wyjdą za mąż, urodzą dzieci i będą zmuszone troszczyć się o własne sprawy. Czy tego pani chce? Patrząc, jak życie innych staje się coraz pełniejsze, podczas gdy panią będzie dręczyć pustka? Być zawsze ciotką, ale nigdy matką?

Następnego dnia padało, a porywisty wiatr szarpał różowo kwitnące wiśniowe drzewa.

– Ta pogoda! – westchnął, wzdrygając się Lucas. – To zimno! Nie wiem, jak znosicie to rok po roku. Jutro bym stąd odpłynął, gdyby nie... Czasem dokucza mi samotność. Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad tym, uważałem samotność za coś oczywistego, a teraz... Pewnie zbyt często przebywam w pani towarzystwie. Zdałem sobie

sprawę, co tracę. – Krążył nerwowo po pokoju. – Doskonale rozumiem, pani Leighton, dlaczego pani mnie nie chce. Mogę przechwalać się komfortem swojego domu i opowiadać do utraty tchu o naszym kręgu towarzyskim, ale w gruncie rzeczy widzę, że to wszystko nie da się porównać z tym domem, z londyńskim towarzystwem...

– To nie to. Nigdy nie zależało mi na towarzystwie i akurat za tym na pewno bym nie tęskniła.

– Miło, że pani tak mówi, pani Leighton. Jest pani bardzo wspaniałomyślna, znosząc mnie przez te wszystkie tygodnie. – Posłał jej przelotny, smutny uśmiech. – Nie powinienem tu przyjeżdżać, nie powinienem pani poznać. Czuję się teraz taki... odarty ze złudzeń. Może zacznę żyć jak tubylec albo zaglądać do butelki. Znam paru takich...

Błysk strachu w jego oczach zaskoczył Marianne. Strach nie był uczuciem, jakie kojarzyło jej się z Lucasem Melrose'em. Ściszył głos tak, że musiała dobrze nadstawić ucha, by go zrozumieć.

– Minęło dwanaście lat od śmierci mojego ojca, ale czasem mam wrażenie, że jest w przyległym pokoju. Budzę się w nocy i słyszę jego kroki... – Nagle jakby się otrząsnął i znów zauważyła w nim, tę samą co kilka razy przedtem, nagłą odmianę nastroju. – Przepraszam, to chyba zabrzmiało makabrycznie.

– Wszyscy po stracie kochanej osoby miewamy czarne myśli.

Staął przy oknie i patrzył z góry na przechodniów, którzy w pośpiechu poszturchiwali się parasolami, płynącymi nad chodnikiem niczym czarne gwiazdy.

– Byłem w Anglii dostatecznie długo, by się przekonać, że nie nadaję się do życia tutaj. Na Cejlonie nie spędzam zbyt wiele czasu w towarzystwie kobiet. Pewnie uważa mnie pani za dość nieokrzesanego. Poza tym jest jeszcze kwestia mojego urodzenia: dwa pokolenia wstecz Melrose'owie byli zwykłymi farmerami.

– A trzy pokolenia wstecz moi przodkowie byli kowalami. Niewielka różnica.

Obrócił się do niej twarzą.

– Skoro nie chodzi o moje urodzenie, maniery ani sposób życia, to może nie odpowiada pani po prostu moja osoba? Miałem nadzieję, że nie budzę w pani wstrętu, ale...

– Nie, nie. Wcale nie budzi pan wstrętu... – Urwała, nagle zmieszana.

– Więc...?

Próbowała mu wyjaśnić najlepiej, jak umiała.

– Czy pan nie widzi, panie Melrose, że ja po prostu nie nadaję się do małżeństwa? Kiedy Arthur umarł, razem z nim pochowałam lepszą połowę siebie. Gdyby znał mnie pan lepiej, przekonałby się pan, jak niewiele zostało.

– Och, wydaje mi się, że znam panią całkiem nieźle. – Uśmiechnął się i przeszedł przez pokój. – Nie proszę, aby mnie pani kochała tak jak pierwszego męża. Wiem, że to niemożliwe. Ale może moja miłość i szacunek do pani wystarczą za nas oboje? A może skończy się tylko na wzajemnej sympatii i przyjaźni? Proszę też wziąć pod uwagę jeszcze coś: czy pani mąż nie pragnąłby pani szczęścia? Jeśli tak bardzo panią kochał, to może nie chciałby, aby spędziła pani resztę życia na opłakiwaniu go?

Ambulatorium szpitala Mandeville w sobotnie noce zawsze pękało w szwach.

Typ dolegliwości pacjentów zmieniał się w miarę upływu godzin. Wczesnym wieczorem wpadła zapłakana młoda kobieta z poparzoną żelazkami skórą głowy i pełnymi garściami spalonych włosów. Były pokaleczone palce, gorączka, połamane przy upadku kości. Później pojawiła się cała rodzina – od niemowlęcia do babki – z wymiotami po zjedzeniu sandwiczu z pasztetem z puszki. Dwunastoletnia dziewczynka, której najlepsza sukienka zajęła się od ognia, zmarła od oparzeń krótko po tym, jak ojciec przywiózł ją do szpitala.

No i oczywiście pijacy. Jedni przychodzili na własnych nogach, podpierani przez przyjaciół, z zakrwawionymi po różnych wypadkach głowami, mamrocząc słowa „Rose of Tralee”, innych, pokrytych siniakami i okradzionych z pieniędzy, zbierała z rynsztoków policja. Zachowywali się różnie: agresywnie, apatycznie lub tryskali humorem. Iris przecinała ubranie nieprzytomnych, opatrywała rany, przygotowywała temblaki do naciągniętych nadgarstków. Ucinała pijackie awanse mężczyzn, którzy błagali o jeden, jedyny pocałunek, i wyczesywała wszy z włosów pewnej miotającej przekleństwa staruszki.

Około ósmej przerzedziło się nieco i cały personel wycofał się do kuchni. Jedna z dyplomowanych pielęgniarek obchodziła urodziny i przyniosła tort z różowym lukrem. Iris z rozkoszą zrzuciła obowiązkowe sznurowane trzewiki i wyciągnęła przed siebie nogi. Jutro przypadał jej dzień wolny i razem z koleżanką Rose Dennison oraz jej braćmi Lionelem i Tommym wybierała się na piknik. Zamknęła oczy i rozmyślała, z jaką rozkoszą włoży ładną sukienkę i kapelusz zamiast uniformu i czepka. Zerknęła na zegarek: jeszcze piętnaście minut. Piętnaście minut – i będzie wolna.

Z holu ambulatorium dobiegał ryk pieśni „Rule, Britannia”. Dziewczyny westchnęły ciężko, poprawiły fartuchy i ruszyły z powrotem do pracy. W poczekalni sześciu młodzieńców wyrzaskiwało chóralnie: „Rządź nam, Brytanio! Władaj morzami! Bryci nie będą niewolnikami!”, podpierając jednocześnie kolegę, któremu z nogi lała się krew. Napływali też inni pacjenci: starsza pani z poparzoną, owiniętą ręcznikiem ręką, ciężarna kobieta z młodym, przerażonym mężem.

I jeszcze dwóch mężczyzn – młodszy podtrzymywał starszego. Ten starszy miał połataną marynarkę i kaszkiet na głowie. Siedział w kucki, kaszląc w zakrwawioną chusteczkę.

Młodszy rozglądał się nerwowo po holu, w poszukiwaniu pomocy. Miał jasne włosy i nie nosił czapki. Kiedy się odwrócił, Iris znieruchomiała. Ogarnęła ją gwałtowna chęć ucieczki, ale zdawała sobie sprawę, że wszystkie koleżanki mają pełne ręce roboty – i nie ma wyboru.

– Ash! – wykrzyknęła, podchodząc do niego.

– Dobry Boże! Iris!

Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy, kiedy to cały zgiełk zatłoczonej poczekalni zdawał się ich omijać. Nagle towarzysz Asha rozkaszał się znowu i Iris powiedziała rzeczowo:

– Usiądźcie, zaraz poszukam lekarza.

Kiedy upewniła się, że jej nie widzi, przycisnęła dłonie do rozpalonej twarzy. Ash

tutaj... Jedyny mężczyzna w całej Anglii, którego nigdy już nie chciała widzieć. Jakie to niesprawiedliwe!

Uzgodniła z koleżanką, kiedy lekarz będzie wolny i zaprowadziła znajomego Asha do boksu za zasłoną. Spisała jego nazwisko, adres i dane najbliższego krewnego, ale przez cały czas słyszała w duchu, jak z zacinającej się płyty, tamtą rozmowę z Ashem w ogrodzie Summerleigh. „Gdybyśmy się zaręczyli...” – to ona po tym, jak go pocałowała. A potem głos Asha, miażdżący niczym fizyczny cios: „Ach, Iris, o czym byśmy ze sobą rozmawiali?”

– Czy ten pan Reynolds to twój bliski przyjaciel? – spytała, wróciwszy do poczekalni.

Ash wstał.

– Niezbyt bliski, znam Erica raptem od pół roku. Co z nim?

– Zatrzymamy go na noc. Podobno ma rodzinę.

– Żonę i czworo dzieci.

Poprosiła go do spokojniejszego kąta.

– Na pewno wiesz, że ma gruźlicę. To już ostatnie stadium. Możemy zapewnić mu najwyżej trochę lepsze warunki. Przykro mi.

Odwróciła się, aby odejść, ale on nagle powiedział:

– Iris... – i urwał, zagryzając wargę.

– Muszę iść. – Zdała sobie sprawę, że głos jej drży i nienawidziła się za to. – Mam jeszcze innych pacjentów. Musisz porozmawiać z jego rodziną i przygotować ich, że pan Reynolds niestety nie przeżyje tygodnia.

Marianne odwiedziła Patricję Letherby. Po lunchu usiadły w ogrodzie, obserwując bawiące się dzieci.

– Molly za wszelką cenę próbuje chodzić – opowiadała Patricia. Trzynastomiesięczna dziewczynka z ogromnym zainteresowaniem badała kamienie, trawę i kwiaty, chociaż jej wysiłki hamowała pielucha, a nóżki chwiały się przy każdym kroku. – Niania absolutnie się na to nie zgadza. Według niej, dziecko powinno zacząć chodzić dopiero po skończeniu osiemnastu miesięcy. Mam wyrzuty sumienia – biedna Molly może mieć krzywe nogi. Ale czyż nie jest urocza? I chyba lepiej, żeby dreptała po ogrodzie niż siedziała w wózku. – Dziewczynka zrobiła kilka kroków w stronę matki. – To dla mnie? Dziękuję, kochanie. – Patricia wyciągnęła rękę po dar w postaci listka. – Wczoraj – zwierzyła się Marianne – dała mi dżdżownicę.

– Chyba okazałaś należytą wdzięczność.

– Oczywiście. – Rozległ się przeraźliwy krzyk. – Och, to John! – krzyknęła Patricia i pobiegła ratować synka z sadzawki ze złotymi rybkami.

Podczas gdy Patricia poszła do domu przebrać malca, do Marianne podeszła rozpromieniona Molly. W wyciągniętej rączce trzymała prezent. Marianne układała rządkiem na trawie kolejne dary: kamyczek, skorupkę ślimaka i nadwiędnięty kwiatek.

Po pewnym czasie dziecko się zmęczyło, więc Marianne wzięła je na ręce. Kiedy wróciła Patricia, dziewczyneczka spała w najlepsze, z główką na ramieniu przyjaciółki.

– Och, biedactwo! Nie jest dla ciebie za ciężka? Taki z niej grubasek...
– Nie, wcale. Jest rozkoszna.
– Co za szkoda – rzekła Patricia, zabierając jej córeczkę – że nie mieliście... –
Urwała nagle. – Wybacz mi. – Poklepała Marianne po ramieniu. – Jestem nietaktowną idiotką. Niech tylko otworzę gębę, zaraz wylatują z niej same głupoty...

Wracając pieszo do domu, Marianne zauważyła gałęzie z zielonymi liśćmi, zwieszające się przez poręcze przed domami, i pszczoły zbierające pracowicie pyłek z pomarańczowych środeczków lilii. Kiedy na chwilę zamierał ruch uliczny, zdawało się jej, że słyszy odgłosy lata – połączenie śpiewu ptaków z brzęczeniem owadów, trzepot w powietrzu, zwiastujący powrót ciepła i życia.

Siedząc na ławce w parku i obserwując zabawy dzieci, czuła znów falę gniewu i rozpacz. Dlaczego nie może w tym uczestniczyć? Dlaczego ma być tylko obserwatorem?

Jakże często przychodziła tutaj, aby pomachać ręką Arthurowi, przejeżdżającemu konno przez Rotten Row! Jak wspaniale wyglądał – najprzystojniejszy mężczyzna w parku... Poczula pod powiekami łzy. Jeszcze teraz, półtora roku po jego śmierci, wypatrywała w tłumie ukochanej twarzy i za każdym razem ogarniał ją ten sam niewysłowiony ból z powodu jego nieobecności. Czy zdobędzie się na opuszczenie wszystkich znajomych miejsc?

Musi, bo inaczej straci resztę życia na daremne wyczekiwanie. Przypomniało się jej, jak w dniu śmierci Arthura, już po operacji, usiadła przy jego łóżku. Oddech rwał mu się coraz bardziej. Podczas przerażających przerw między jednym a drugim wdechem, błagała go w duchu, aby żył. Kiedy wydał ostatnie tchnienie, nie ruszyła się z miejsca. Wcale nie dlatego, jak sądziły jej siostry, że nie przyjmowała do wiadomości jego odejścia. Po prostu nie wiedziała, co ma dalej robić. Odejście męża pozbawiło ją sensu życia. Wszystkie drobne czynności, składające się na codzienność – jedzenie, spanie, ubieranie, mówienie – stanęły pod znakiem zapytania.

Arthur umarł z powodu lekkomyślności, drobnego zaniedbania. Nie mogła się pogodzić z tą świadomością, to było okrucieństwo ponad wszelką miarę. A jednak wytrzymała. Jeszcze rok temu zastanawiała się nad samobójstwem. Nie popełniając go, dokonała wyboru. Teraz musi pójść za ciosem i na coś się zdecydować. Poszukać rozrywki, znaleźć jakieś pożyteczne zajęcie, a także zdobyć się na odwagę, by znów kogoś pokochać.

Jedyną dziedziną, w jakiej naprawdę się sprawdzała, było małżeństwo. Małżeństwo jej służyło, wydobywało z niej to, co najlepsze. Bez męża zawsze będzie wystawiona na łup mężczyzn w rodzaju Teddy’ego Fiske. Potrzebowała kogoś energicznego i silnego, gdyż sama – uległa z natury – tych cech nie miała.

Wracała pieszo przez park, przystając od czasu do czasu, aby przyjrzeć się różom. W pewnym momencie ułamała kwiatek i wpięła go sobie w klapę. Przez całą drogę do domu wdychała mocną różaną woń, muskając palcami aksamitne, ciemnoczerwone płatki.

Po spotkaniu z Ashem powróciło na nowo uczucie upokorzenia po pamiętnej rozmowie. Iris zastanawiała się, czy zdoła zapomnieć, co między nimi zaszło, ale natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Nikt na świecie nie mógłby tego zapomnieć. Takie drzazgi tkwią w pamięci, jakby je przylepiono.

Przez następnych kilka dni dręczył ją niepokój. Nie do końca wierzyła, że Ash już nie wróci. Każdy inny mężczyzna miałby przynajmniej tyle taktu, żeby trzymać się z daleka. Ale takt nigdy nie należał do zalet Asha.

Podczas porannej przerwy w sobotę wybrała się do sklepów i nagle usłyszała jego głos. Odwróciła się z podniesionym wyzywająco podbródkiem. Tym razem nie pokaże po sobie zaskoczenia i przykrości. Dziś to ona będzie górą.

– Masz nowych pacjentów do Mandeville? – zapytała chłodno.

– Nie tym razem. Chciałem z tobą pomówić. Masz chwilę?

– Jestem na dyżurze, wyskoczyłam tylko na parę minut. Muszę wybrać nici.

Ku jej zdenerwowaniu, wszedł za nią do sklepu. Nie zwracając na niego uwagi, przebierała w szpulkach bawełny. Szukała szaro-różowego odcienia, pasującego do materiału na bluzkę.

– To nasze wczorajsze spotkanie... było takie zaskakujące – zaczął nieśmiało.

– Zaskakujące? – Zerknęła na niego, unosząc brwi. – W jakim sensie?

– Nie wiedziałem, że jesteś w Londynie.

– Och, Ash, rozczarowujesz mnie! Ciebie nie zaskoczyło to, że spotkałeś mnie w Londynie. – Przyjrzała się jeszcze raz szpulkom, biorąc do rąk kolejno różne kolory. – Ty po prostu nie spodziewałeś się zobaczyć mnie w charakterze szpitalnej pielęgniarki. Żeby Iris Maclise tak sobie brudziła ręce?

Zaczerwienił się gwałtownie.

– Nie chciałem tego powiedzieć.

– Oczywiście, że chciałeś.

Obróciła się do niego twarzą. Gdzieś w głowie zaświtała jej myśl, że on także się zmienił. Wyglądał na starszego, bardziej pewnego siebie. Ale dalej o siebie nie dbał: był zarośnięty i nosił okropną przybrudzoną kurtkę w kolorze zielonkawej czerni. Jak ze zdechłych kretów!

– Trzy lata temu dość jasno wyraziłeś, co o mnie myślisz – powiedziała chłodno. – Nie udawaj teraz, że chodzi ci tylko o miłą pogawędkę starych przyjaciół. Jesteś ciekaw, prawda? To dziwne, że głupia, lekkomyślna Iris Maclise wreszcie robi coś pożytecznego.

– Nigdy nie uważałem cię za głupią.

– Nie kłam, Ash! – syknęła ze złością. – Może nie dorastam do twoich wysokich standardów, ale nie jestem idiotką! – Złapała szpulkę, wcisnęła sprzedawczyni kilka monet i wymaszerowała ze sklepu.

Wybiegł za nią, wołając:

– Iris, proszę!

Była już w połowie szpitalnych schodów. Przy wejściu wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Ludzie się zmieniają, Ash. Ja też się zmieniłam i nie mógłbyś bardziej mnie obrazić niż biorąc mnie za tę samą dziewczynę. Nie można pracować w takim miejscu, nie dostrzegając pewnych strasznych rzeczy. Nie chodzę na manifestacje polityczne jak Eva, bo brakuje mi na to czasu. W wolne dni cieszę się życiem i wcale się tego nie wstydzę. Ale proszę, nie uważaj mnie za tę samą głupią ignorantkę co przedtem, bo to nieprawda.

Zapadła cisza.

– Tęskniłem za tobą – odezwał się po chwili.

Znów uniosła dumnie głowę.

– Za mną? Czy raczej za moją rodziną?

– Za wami wszystkimi. Ale głównie za tobą. – Uśmiechnął się złośliwie. – Nikt się tak ze mną nie kłóci, jak ty, Iris. Brakuje mi tego. Naprawdę!

W jego oczach pojawił się błysk. Iris niechętnie zaczęła sobie przypominać, dlaczego przed laty tak go lubiła i dlaczego, mimo wszelkich różnic, tak dobrze czuła się w jego towarzystwie.

– Muszę iść – mruknęła.

– Oczywiście. Ale zobaczymy się znowu, prawda?

– Ash...

– No to postanowione. – I zniknął w tłumie.

Iris przyglądała się kupionej szpulce nici. To nie był kolor szaroróżowy, tylko paskudny łososiowy. Zła na siebie, schowała nici do kieszeni i weszła do szpitala.

Kiedy o ósmej skończyła dyżur, w domu pielęgniarek czekał na nią liścik od Ewy, skreślony pośpiesznie czarnym atramentem:

Iris, musisz coś zrobić. Marianne wychodzi za jakiegoś wstrętnego typu i wyjeżdża z nim na Ceylon. Trzeba ją koniecznie powstrzymać!

Iris zastała Marianne w zmywalni. Miała na sobie starą niebieską suknię, jeszcze z Summerleigh, a gęste, ciemne włosy upięła w niestaranny węzeł. Przy jej bladej cerze i nikłym świetle pomieszczenia, niebieski kolor stroju sprawiał, że wyglądała jak wyprana z wszelkich barw.

– Muszę zająć się kwiatami – wyjaśniła na widok siostry. Obok, na ociekaczu, stały wazon z różami. – Ścięłam je rano, położyłam tutaj i na śmierć o nich zapomniałam. Biedulki konają z pragnienia. – Zerknęła na Iris. – Czy to nie za późna pora na wizyty?

– Wręcz niewybaczalna. A przełożona domu pielęgniarek powiesi mnie albo poćwiartuje, jeśli nie wrócę przed dziesiątą do swojego pokoju.

Marianne przycinała różom łodygi.

– Eva ci powiedziała, tak?

– Że się zaręczyłaś? To prawda?

– Tak. I jeśli przyszłaś, żeby mnie namówić do cofnięcia słowa, to możesz już iść, bo tylko stracisz czas.

– Skoro naprawdę tego chcesz, to nie śmiałybym nawet próbować.

– No, to przynajmniej miła odmiana. Eva zrobiła mi awanturę.

– Może była zszokowana. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, że jest ktoś, na kim ci szczególnie zależy.

– Bo nie ma – odparła ponuro Marianne. – Ale Lucas poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam za niego wyjść.

– Jaki Lucas?

– Lucas Melrose.

Iris obserwowała zręczne, zdecydowane ruchy noża w rękę siostry.

– Nie przypominam sobie, abym o nim słyszała. I chyba nigdy nie wspominałaś tego nazwiska.

– To człowiek godny szacunku, jeśli o to ci chodzi. Ma plantację herbaty na Cejlonie.

– I tam zamierzacie mieszkać?

– Odpływamy za dwa tygodnie. Mamy zgodę na przyspieszony ślub.

– Marianne... – Iris już miała powiedzieć: „Nie rób tego”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. – Zawiadomiłaś ojca?

– Wczoraj do niego napisałam. Przypuszczam zresztą, że Eva zdążyła mu donieść.

– Marianne uśmiechnęła się kwaśno. – Na pewno ojciec jest już w drodze do Londynu, może nawet zabrał z sobą Jamesa dla moralnego wsparcia. Chyba poproszę pokojówkę, żeby przewietrzyła pokoje gościnne. – Jej głos aż ociekał sarkazmem. – To i tak niczego nie zmieni. Długo nad tym myślałam i doszłam do wniosku, że nie mam innego wyjścia.

Iris wydało się, że brnie na oślep, szukając drogi w ciemności.

– Gdzie poznałaś pana Melrose'a?

– W Rawdon Hall u Laury Meredith.

– I co? Polubiliście się, czy... macie jakieś wspólne upodobania?

– Niewiele rozmawialiśmy. Ale potem spotkaliśmy się przypadkiem w Londynie i odtąd dość często mnie odwiedzał. Oboje jesteśmy zdani na samych sobie i chyba to nas do siebie przyciąga. W Rawdon Hall czuliśmy się obco, i on, i ja.

Iris ani trochę to nie przekonało.

– Jak długo go znasz?

Marianne napełniła wazon wodą.

– Osiem tygodni.

Tym razem Iris nie wytrzymała.

– Osiem tygodni?! Dobry Boże, Marianne, czyś ty oszalała?

– Cóż... Chyba tak. – Przelotny uśmiech. – Często mi się wydaje, że jestem trochę szalona. Są pewne okropne sprawy, które nie dają mi spokoju od śmierci Arthura. Czasem muszę ugryźć się w język, żeby ich nie wykrzyczeć. Ale nie zawsze umiem się powstrzymać, gadam, co mi ślina na język przyniesie i wszyscy się gorszą, jakbym powiedziała coś nieprzyzwoitego. No więc chyba rzeczywiście jestem trochę szalona. – Oparła się plecami o zlew. Zmierch podkreślał jej zapadnięte, blade policzki i kruchość sylwetki. Zawsze szczupła, po śmierci męża straciła jeszcze na wadze. – Prawdę rzekłszy, nawet nie próbuję się powstrzymać, bo nie ma powodu. Mimo wszystko widzę świat,

jakim jest, podczas gdy inni tylko się oszukują. Nie jestem już tą samą osobą, chociaż udaję, że nic się nie zmieniło. A ostatnio zaskakuję nawet samą siebie. Boję się, że zrobię coś strasznego, nierozważnego.

– Właśnie pomysł tego małżeństwa wydaje mi się nierozważny.

Marianne odłożyła nóż.

– Mam na myśli co innego. Są gorsze rzeczy niż małżeństwo bez miłości.

– Czyżby? Przecież małżeństwo jest na całe życie.

– Moja droga, czy ty naprawdę nie masz wyobraźni? – Marianne zaśmiała się krótko. – Mogłabym postąpić znacznie gorzej. Na przykład zmieniać kochanków jak rękawiczki. Ciekawe, co ojciec by na to powiedział?

– Marianne...

– Nie mam aż tak źle w głowie, żeby nie wiedziała, na co się decyduję. – Zaczynała tracić cierpliwość. – To mój wybór: chcę znowu wyjść za mąż.

– Przecież nikt ci tego nie zabrania! Ale za człowieka, którego znasz raptem osiem tygodni?

– Czas nie gra tu żadnej roli. Arthura pokochałam od pierwszego wejrzenia.

– Więc do tego pana też czujesz coś w tym rodzaju?

– Oczywiście, że nie – odparła z irytacją Marianne. – Już ci mówiłam, że nic do niego nie czuję. Ale on się nadaje. Tak samo jak każdy inny.

– Nadaje się? To jeszcze nie jest podstawa do małżeństwa.

– Nie? – Tym razem to Marianne puściły nerwy. – Nie wiem, co wy sobie myślicie! Kto wam dał prawo pouczać mnie na temat małżeństwa? Eva w ogóle go nie pochwała, biedna Clemency prawdopodobnie zostanie do końca życia starą panną, a ty? Czy sugerujesz, że mam czekać na kogoś lepszego? Tak jak ty sama?

Zapadła cisza zakłócana tylko kapaniem wody z kranu i dobiegającym z ogrodu śpiewem drozda. Iris przypomniało się Summerleigh; ciepłe noce, dotyk męskich ramion w tańcu, zapach róż i kradzione pocałunki w ogrodzie przy księżycu.

– Chyba sobie na to zasłużyłam. – Podniosła płatek i bezwiednie roztarła go w palcach. – Przepuściłam kilka niezłych partii, co?

Marianne zamknęła oczy.

– Przepraszam. To było nieuprzejme. Nie chciałam...

– Owszem, chciałaś. I oczywiście miałaś rację. Byłam zbyt dumna, by przyjąć oświadczyzny któregokolwiek z mężczyzn proszących mnie o rękę. Zawsze myślałam, że za rogiem czeka ktoś znacznie lepszy. A kiedy odkryłam, że to nieprawda, było już za późno. Teraz... kto by mnie chciał teraz? Zapach karbolowego mydła raczej nikogo nie uwiedzie, no i spójrz tylko na moje ręce...

– Wybacz mi, Iris, zachowałam się podle. – Była blada, mizerna i wyraźnie nieszczęśliwa.

– Wyglądasz na przemęczoną – powiedziała łagodnie Iris. – Czy masz kłopoty ze snem?

– Raczej nie. – Marianne odgarnęła kosmyk włosów.

– Posłuchaj, minęło raptem osiemnaście miesięcy od śmierci Arthura. To tak niedługo. A ty zamierzasz wyjść za człowieka, którego ledwie znasz, i przenieść się

tysiące kilometrów od rodziny. Nie przyszło ci do głowy, że po prostu się martwimy?

Marianne zaczęła układać kwiaty w wazonie.

– Wiem, że uważacie mnie za sentymentalną gąskę. Pewnie kiedyś nią byłam. Wszystko, czego pragnęłam jako panna, to miłość. Nie patrzyłam, czy mój wybranek będzie biedny czy bogaty, przystojny czy szpetny. Myślałam, że jak się zakocham, moje życie się zmieni. I tak się stało, zmieniło się już na zawsze. Wiem, że innym trudno zrozumieć, co czuję, ale od śmierci Arthura mam wrażenie, jakbym była z kamienia. Może nie kocham Lucasa, ale podobno on kocha mnie, no i wydaje mi się porządnym człowiekiem. Czy to takie straszne, jeśli pozwolę mu wierzyć, że może i ja wykrzesam kiedyś z siebie odrobinę uczucia? Zresztą mogę udawać, tego akurat się nauczyłam. Widzisz, nie sądzę, żebym zdołała jeszcze kiedyś pokochać kogoś innego naprawdę i właściwie nie mam na to ochoty. Miłość przecież można stracić, prawda? Ludzie wciąż mi powtarzają, że lepiej kochać i stracić, ale ja się z tym absolutnie nie zgadzam!

Iris starannie dobierała słowa.

– Wiem, że wciąż okropnie tęsknisz za Arthurem. Radzę ci tylko, żebyś jeszcze poczekała.

– Nie rozumiesz, że nie mam na co czekać? Większą część dziewczęcych lat spędziłam na czekaniu, wyłącznie na czekaniu. Zresztą jak my wszystkie. Czekaliśmy – na jakiś szczęśliwy traf, na miłość, małżeństwo. Jak wyszłam za Arthura, pomyślałam, że to już koniec wyczekiwania, ale on umarł, a ja poczułam się jak zawieszona w próżni. Nie mam na co czekać i nie mogę nawet czerpać radości ze wspomnień, bo na wszystkie nakłada się cień śmierci. I nic mi tej pustki nie wypełni. Nie mam talentu, jak Eva, nie jestem dość bystra, żeby nauczyć się jakiegoś zawodu, jak ty. W wieku dwudziestu trzech lat czuję się tak, jakby moje życie się skończyło.

W głosie siostry dźwięczała determinacja, od której Iris zrobiło się zimno w środku. Zaczynała pojmować, że ani ona sama, ani nikt inny nie odwiedzi Marianne od poślubienia Lucasa Melrose'a.

– W swoim czasie... – spróbowała jeszcze raz.

– Nie – przerwała jej z mocą Marianne. – Czas nie robi różnicy, czekanie także. – Postawiła wazon na bocznym stoliku; Iris zauważyła, że kwiaty są ułożone z wielkim smakiem i precyzją. – Ten dom – powiodła wzrokiem wokół siebie – jest jak mauzoleum. W każdym pokoju coś mi przypomina Arthura. Lubiłam czepiać się tych wspomnień, ale ostatnio zaczynają mnie wręcz prześladować. Ilekroć wejdę do naszej sypialni, mam go przed oczami, jak leży tam w agonii. Muszę się stąd wyrwać. Wyjechać w jakieś inne miejsce, zobaczyć nowe rzeczy, nauczyć się myśleć o czymś innym. Bo inaczej po prostu umrę.

– Och, Marianne! – Iris objęła siostrę, ale ta była sztywna jak kawał drewna. – Ja tylko nie rozumiem, po co ten cały pośpiech. Czy nie możecie na razie tylko się zaręczyć? Wtedy rodzina będzie miała czas poznać Lucasa, a ty nabierzesz pewności, że dokonałaś właściwego wyboru. A jeśli, powiedzmy, za pół roku będziesz czuła to samo, wyjdiesz za niego z naszym błogosławieństwem.

Marianne odwróciła się do kwiatów.

– Lucas musi za dwa tygodnie wracać na Cejlon – wyjaśniła beznamiętnie. –

W dającej się przewidzieć przyszłości nie wybiera się do Anglii. Postawił sprawę jasno: pobierzemy się teraz albo wcale.

Coś z tego, co Marianne mówiła wcześniej, zmusiło Iris do uwagi:

– Powiedziałaś, że wpadłaś mu w oko w Rawdon Hall. Może dlatego, że byłaś tam całkiem sama? Arthur zostawił ci spory majątek, Marianne. Obawiam się, czy nie stałaś się przez to celem dla pewnego typu mężczyzn.

– Uważasz, że poluje na moje pieniądze? – Siostra układała w szklanej wazie pączki białych róż, opalizujące w zapadającym zmierzchu. – Nawet jeśli masz rację, mało mnie to obchodzi.

– Musi cię obchodzić!

– Ale tak nie jest – odparła ostro Marianne. – Może to źle, i co z tego? W końcu wykorzystujemy siebie nawzajem: on żeni się dla pieniędzy, a ja za niego wychodzę... żeby mieć dziecko.

– Dziecko?

– Wiem, że nigdy nie pokocham innego mężczyzny. Jednak może umiałabym pokochać dziecko. Wiesz, zawarłam z sobą układ: będę dobrą żoną dla Lucasa. On potrzebuje kogoś, kto zapewni mu trochę wygody i porządnie poprowadzi dom. Wiem, że potrafię to zrobić, a on w zamian dałby mi dziecko.

Iris nareszcie olśniło.

– Więc to dlatego wychodzisz za męża? Żeby urodzić dziecko?

– Tak. – Marianne rzuciła jej wyzywające spojrzenie. – Mam dość samotności! Dość zastanawiania się co rano, jak przetrwać kolejny dzień. Chcę mieć kogoś do kochania. – Postawiła wazon na stoliku. – Zawsze robiłam to, czego ode mnie oczekiwano. Byłam dobrą córką i dobrą żoną, a teraz chcę czegoś dla siebie. I tylko tego jednego.

Stojąc przy ołtarzu, Marianne poczuła nagle falę tak strasznej paniki, że miała chęć wybiec z kościoła. Nie może tego zrobić, nie może poślubić człowieka, którego ledwie zna i na pewno nie kocha. Człowieka, w którym czasem dostrzegała przebłysk czegoś, co ją przerażało.

Pastor kontynuował jednak ceremonię, a ona stała nieruchomo u boku Lucasa Melrose'a, ukrywając pod woalką strach i niepokój. Pomyśl, co byś rozpętała, mówiła sobie w duchu. Musiałaby znaleźć sensowne wyjaśnienie, znosić komentarze rodziny i przyjaciółek, wystawiłaby się na ludzką ciekawość i plotki. Już na samą myśl o tym robiło się jej słabo.

A poza tym, gdyby zrezygnowała z tego małżeństwa, to co by się z nią stało? Nic by się nie zmieniło. Musiałaby wrócić do życia, w którym nie widziała już sensu. Straciłaby ostatnią szansę na szczęście, na własne dziecko. Wewnętrzna iskra, ledwie żarząca się po śmierci Arthura, bezpowrotnie by zgasła.

Nagle usłyszała swój własny, zdecydowany głos, powtarzający za pastorem słowa przysięgi. Poczła, jak na jej palec wsuwa się obrączka.

Dwa dni później odpłynęli do Colombo. Kiedy statek wychodził z portu, Marianne machała, póki stojący na nabrzeżu krewni nie zniknęli jej z oczu. Pozostała potem na pokładzie, przyglądając się, jak kolejno znikają wielkie żurawie portowe, transportowce, miasto Southampton, a na koniec – linia brzegowa Anglii.

8 Wiersz Christiny Georginy Rosetti (1830–1894).

Rozdział dziewiąty

Eva wróciła do Gabriela, ponieważ nie mogła postąpić inaczej. Potrzebowała jego energii, radości życia, śmiechu, wreszcie jego samego.

Coś jednak się zmieniło. Jej nienawiść do Nerissy przybrała ponurą barwę zazdrości. Eva stała się podejrzliwa, wciąż śledziła Gabriela, gdzie przebywa i z kim. On zaś na dobre rzucił pędzle, Evę ostatni raz namalował przed Bożym Narodzeniem.

– Martwy sezon – mówił z rozdrażnieniem. – Ilekroć mi się to przytrafia, mam wrażenie, że już nigdy nie wezmę pędzla do ręki.

W lipcu Eva pomagała Lydii Bowen w przeprowadzce do nowego mieszkania. Wymalowały ściany, zawiesiły zasłony, uszyły pokrowce na fotele. Po zakończeniu prac Lydia wydała przyjęcie. Na stolikach i kominku stały w słoikach i wazonach margerytki, przez łukowate okna wpadało mnóstwo światła. W pokojach tłoczyli się goście, muzykę z gramofonu zakłócało strzelanie korków od szampana.

Eva przyszła razem z Gabrielem, ale wciąż traciła go z oczu. Miał jej nie odstępować, a tymczasem wystarczyło, że przez chwilę pogadała z przyjaciółką – i już gdzieś przepadał. Nie mogła tego znieść. W tłumie migwały znajome twarze kolegów i wykładowców ze Slade, sufrażystek, artystów i sponsorów, znanych Evie z galerii.

Kiedy rozmawiała z Lydią i May Jackson, Gabriel znowu zniknął jej w tłumie. Przeprosiła przyjaciółki i ruszyła na poszukiwanie, przepychając się wśród zebranych. Wreszcie wypatrzyła go w drugim końcu holu, gdzie rozmawiał z jakąś dziewczyną – ciemnowłosą i szczupłą, w długiej do kostek szmaragdowej spódnicy i czarnym swetrze. Nieznajoma miała bose nogi, a jej czarne, gęste włosy, bez żadnych spinek czy wstążek, opadały luźno na plecy. Śmiejąc się, odrzucała w tył głowę, odsłaniając długą, białą szyję.

Około północy goście zaczęli się rozchodzić. Towarzysz Lydii, żylasty mężczyzna o wyglądzie cudzoziemca, pożegnał się z nimi, gdy Eva w kuchni myła szklanki.

– Fabrice jest okropnym nudziarzem, ale tańczy bosko – zwierzyła się jej przyjaciółka, odprowadzwszy go do drzwi.

– Czy ty kiedykolwiek byłaś zakochana? – spytała Eva.

– Tylko raz. Zapalisz?

– Proszę. – Eva wytarła ręce w ścierkę. – Jaki on był?

– Lawrence? – Lydia uśmiechnęła się smutno. – Wysoki, szczupły, z oczami w kolorze czarnej kawy. Chyba zakochałam się właśnie w tych oczach.

– Ale za niego nie wyszłaś?

– Nie. – Lydia pstryknęła zapalniczką. – Te śliczne oczy miały zwyczaj strzelać na boki. Lawrence kolekcjonował piękne przedmioty – holenderskie wnętrza i młode kobiety. Był żonaty, jak go poznałam, zresztą trzeba przyznać, że nigdy nie robił z tego tajemnicy. Można by rzec, wiedziałam, w co się pakuję... Ale tego, tak naprawdę, nigdy się nie wie na pewno.

W powietrzu zawisła ciężka cisza. Eva myślała o swoim portrecie wiszącym w galerii Lydii. Ile osób wiedziało czy podejrzewało, że jest kochanką Gabriela

Bellamy'ego? Val powiedział: „Gabriel zawsze sypia ze swoimi modelkami. To tajemnica poli-szynela”.

– Ta dziewczyna... – zaczęła i urwała.

– Która?

– W szmaragdowej spódnicy. I bez butów.

– Nazywa się Ruth Bailey. – Lydia zgasła papierosa. – Ktoś musiał ją przyprowadzić. Widziałam ją kilka razy, ale właściwie się nie znamy. Chyba jest tancerką. Robi wrażenie.

– Czy ona...

– Co – „czy ona...”?

– Nic.

Eva wypłukała szklanki i ustawiła je na ociekaczu. Chciała zapytać: „Czy ona jest mężatką? Czy jest z kimś związana? Czy Gabriel mógłby się w niej zakochać?”. Ale wspomniawszy cygańską urodę Ruth Bailey, uświadomiła sobie, że już zna odpowiedź.

Krok po kroku, Iris i Ash wrócili do dawnej przyjaźni. Okazało się, że przez ostatnie dwa lata Ash praktykował w kancelarii adwokackiej przy Leman Street, zaledwie kilometr od Mandeville. Adama Campbella, starszego wspólnika w Campbell, Sparrow & Blunt, poznał przez uniwersytecki ośrodek pomocy społecznej. Pan Campbell miał około czterdziestu pięciu lat i był spokojnym człowiekiem z zasadami, a reprezentowanie ubogich i bezbronnych uważał za normalną część swej pracy.

– Musisz być w swoim żywiole – zauważyła Iris, kiedy Ash oprowadzał ją po swoim obskurnym, pełnym zgiełku biurze. – Tyle dobrych uczynków do spełnienia...

Widywali się tylko od czasu do czasu. Iris pracowała do późnych godzin, także w weekendy, Ash uczył zagadnień politycznych i ekonomii w technikum, wykładał w Edukacyjnym Stowarzyszeniu Robotników i uczęszczał na zebrania polityczne. Przez jego dom w Aldgate przewijały się tabuny bezdomnych dzieci, a kuchnia często była miejscem ożywionych dyskusji, ciągnących się do białego rana.

Dzięki Ashowi Iris odkryła East End, dzielnicę dotąd sobie nieznaną. Razem wędrowali przez labirynt uliczek i zaułków, które dochodziły od Whitechapel Road. Zaglądając przez wystawy do sklepów, Iris widywała klatki z papugami, strusie pióra, mandoliny i mantyle. A także płaski chleb poskręcany w dziwne kształty, szklane słoje z miętówkami i kompotami, tace różowego i żółtego rachatlukum. Ash pokazywał jej miejsca spotkań anarchistów przy Jubilee Street i klub, w którym wygłaszali przemówienia książę Kropotkin i Enrico Malatesta. Zabierał ją do malutkich, ciemnych kafejek, gdzie na ścianach wisiały zdjęcia wąsatych cudzoziemców i zamawiał dla niej gęstą, słodką kawę po turecku. Pili ją na zacisznych kanapkach o przetartych obiciach z purpurowego pluszu. Sam Ash nie uważał się za anarchistę; jak na jego gust anarchiści za bardzo lubili kule i bomby.

Rozmawiali o wszystkim, no, prawie o wszystkim. Nie poruszali właściwie tylko jednego tematu, starannie go unikając: ich kłótni po przyjęciu w Summerleigh. Iris przyszło do głowy, że zdaniem Asha może ją to krępować. Istniała też inna, znacznie

mniej przyjemna możliwość: Ash mógł myśleć, że ona naprawdę była w nim wtedy zakochana. Jeśli tak, nastąpiło totalne nieporozumienie, które trzeba stłumić w zarodku.

W wolne sobotnie popołudnie wybrali się na spacer. W drodze powrotnej zatrzymali się przy sklepach. Iris wprawnym okiem wybrała wstążki, tasiemki i koronki oraz różnokolorowe nici i materiały. Zaczęło padać; Ash niósł jej paczkę z zakupami, trzymając jednocześnie parasol, pod którym zmieścili się oboje.

– To właśnie zawsze w tobie podziwiam, Iris – powiedział po wyjściu ze sklepu. – Że wiesz dokładnie, czego szukasz.

– Nie lubię godzinami się zastanawiać.

– Pół metra tego, trzy tamtego i tuzin perłowych guziczków. Do czego ci to wszystko?

– Dżentelmen nie powinien wypytywać damy o takie sprawy. A może szyję coś niewymownego?

– W takim razie przepraszam i wycofuję pytanie.

– Żartowałam. Szyję dla Clemmie bluzkę na urodziny, dla siebie spódnicę i jeszcze dwie nocne koszulki dla dzidziusia mojej przyjaciółki.

Na Commercial Road panował wielki ruch; przechodząc przez ulicę, Ash wziął Iris za rękę i razem lawirowali między tramwajami i furgonami. Kiedy dotarli na chodnik, powiedziała:

– Zresztą jesteś w błędzie. Potrafię być rozpaczliwie powolna w decydowaniu, czego chcę. Całe lata trwałam w przekonaniu, że pragnę czegoś, co prawdopodobnie wcale nie wyszłoby mi na dobre.

Rozległ się trzask pioruna i deszcz lunął ze zdwojoną siłą. Schronili się w wejściu do sklepu. Ash złożył parasol.

– A co to było?

– Małżeństwo, oczywiście. Widzisz? Przyznaję, że się myliłam, a wiesz, jak tego nie cierpię. Ale może wcale mi tak bardzo nie zależało na pierścionku z brylantem i białej ślubnej sukni.

– Więc zamierzasz do końca życia być pielęgniarką?

– Skądże znowu. Co za ohydny pomysł! Czy pamiętasz, że dawno, dawno temu przez ułamek sekundy chciałam za ciebie wyjść?

Przyciągnął ją bliżej, żeby nie zmoczył jej deszcz.

– Pamiętam.

– A jednak nigdy o tym nie wspominasz. Jakiś ty taktowny!

– To by znaczyło, że jednak się zmieniłem. Wtedy nie zachowałem się szczególnie taktownie.

– Tak? – rzuciła lekko. – Już nie pamiętam.

– Niestety, okazałem się nadętym osłem.

– W takim razie i o tym zapomniałam.

Deszcz bębnił wściekle o chodnik, więc przez chwilę nic nie mówili. Kiedy ulewa osłabła, poszli dalej.

– Ponura prawda jest taka, że lubię mój zawód – rzekła Iris. – I chyba jestem dobrą pielęgniarką, chociaż z początku miałam kłopoty. Przypuszczam, że stałam się okropnie

nudna i godna. Pewnie skończę jako zarozumiała stara panna i do towarzystwa zostaną mi tylko koty.

– Och, niewątpliwie! – Błysnął uśmiechem.

Iris wzięła go pod rękę.

– A co u ciebie, Ash? Jest ktoś w twoim życiu?

– Raczej nic mi nie wychodzi. A ty? Mam na serio uwierzyć, że nikt nawet nie zerka w twoją stronę?

Na jej twarzy ukazały się dołeczki.

– No cóż, bracia mojej przyjaciółki Rose próbowali być dla mnie mili... i paru lekarzy w szpitalu...

– Ta sama, stara Iris.

– Ale nigdy nie byłam zakochana, a przecież powinno się kochać mężczyznę, za którego się wychodzi, prawda?

– Tak sądzę.

– Widzisz, nadal mam serce z granitu. I nie spotkałam nikogo, kto zdołałby je rozłupać. – Uśmiechnęła się promiennie. – Jak to miło wiedzieć, że ty będziesz zawsze tylko przyjacielem. Miłość jest taka kłopotliwa...

W końcu letniego semestru przyjaciółki Evy ze Slade zaczęły się wykruszać. Jedne wróciły do rodziców, dwie wyszły za mąż, parę wyjechało na dalsze studia do Paryża. Namawiały Evę, żeby zabrała się z nimi, ale dawała wykrętne odpowiedzi: może później, kiedy zaoszczędzi trochę pieniędzy.

We wrześniu odbył się prywatny wernisaż Gabriela. Portrety Evy wisiały na ścianach galerii Lydii do spółki z pejzażami i szkicami jego dzieci. Następnego wieczora po opublikowaniu recenzji Eva odnalazła go w Tour Eiffel przy Percy Street, zgarbionego nad kieliszkiem absyntu.

– Ta kanalia w „Timesie” miała czelność nazwać mnie staromodnym! Tylko dlatego, że nie przyczepiam do moich obrazów kawałków starych gazet i pudełek po papierosach! – wykrzykiwał z oburzeniem. – Gdybym sportretował piękną kobietę tak, jakby była zrobiona z kartonowych pudeł, albo gdybym tracił czas na malowanie maszyn, biliby mi pokłony z podziwu! – Wychylił do dna resztkę alkoholu i zamówił następny kieliszek. – Chcę malować piękno, co w tym złego?! Czemu nagradzać brzydotę? Dość tego jest na świecie, czyż nie? Po co i ja mam przykładać do tego ręki? Sztuka powinna uskrzydlać, a nie przygnębiać. Większości z nas nie starcza czasu, by trzymać się z dala od rynsztoka, po cóż jeszcze pławić się w nim!

Zerwał się na nogi – masywna sylwetka w długim czarnym płaszczu i fedorze. Inni goście zaczęli się odwracać i gapić.

– Tylko piękno się liczy! – ryknął, waląc pięścią w stół, aż zabrzęczało szkło. – Nie rozumiecie, głupcy?! – Zachwiał się, tocząc wokoło dzikim wzrokiem. Głos Gabriela brzmiał teraz ciszej, ale ociekał pogardą: – Ale piękno dziś nie w modzie, co? A my musimy być modni, modni za wszelką cenę! Niech Bóg ma w opiece tych, co odstają od mody!

Eva wyciągnęła go na zewnątrz. Poszli do Soho, włączając się od jednego pubu do drugiego. Przyjaciele i różni pochlebcy czepiali się rękawów Gabriela jak rzepy. W końcu Max szepnął Evie:

– Na twoim miejscu wróciłbym do domu. Już ja się nim zajmę.

Dowiedziała się później, że mocno pijany Gabriel wdał się w bójkę w pubie i spędził noc w areszcie. Rano Max wpłacił za niego kaucję i zabrał do Greenstones, pod skrzydła Sadie.

Eva nie pozowała Gabrielowi od początku roku. Raz, kiedy byli sami w pracowni, zaczęła rozpinąć bluzkę i ściągać pończochy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał.

– Myślałam, że zechcesz mnie malować. Tak, jak podobno zawsze chciałeś.

Sam pozapinał jej guziki.

– Daj spokój, Evo, nie musisz tego robić.

W jego oczach zobaczyła litość.

Wiedziała, że otrzymuje coraz mniej i coraz mniej od niego oczekuje. Dawniej spędzali razem długie dni, a pracownia była im całym światem. Teraz już po godzinie widziała w jego oczach zniecierpliwienie. Pragnął już innej przyjaciółki i innego miejsca. Po kilku miesiącach, może po roku stanie się jego *cinq a sept*, kochanką, którą w imię dawnej namiętności wciska się pomiędzy mniej ważne sprawy.

Ash mieszkał już dość długo na East Endzie, ale wciąż nie mógł się pogodzić z napotykaną tam nędzą. Własny dostatek wydawał mu się czymś wręcz obscenicznym w miejscu, gdzie najubożsi stale cierpieli głód.

Chociaż robił, co mógł, nigdy nie było tego dość. Kieszenie zawsze miał puste, ponieważ nie umiał przejść obojętnie obok żołnierza bez nogi, zapomnianego weterana wojny burskiej, który podtykał mu czapkę, ani obok starej kobiety, która wolała żebrać niż pójść do przytułku. Ash dzielił się jedzeniem z rodzinami o wiecznie pustych brzuchach, na jego sofie ciągle nocowali jacyś bezdomni. Kiedy pierwszy raz zaprosił do siebie Iris, zobaczył w jej niebieskich oczach grozę.

– Owszem, mam bałagan – uprzedził jej pytanie – ale wiem, gdzie co leży. I lubię, jak przyjaciele u mnie nocują.

Pisywał artykuły do lewicowych gazet na temat spraw, które szczególnie go poruszały: o niedożywieniu dzieci, warunkach pracy dokerów, zawsze żyjących w nędzy z powodu marnych zarobków. Fotografował ulice i place East Endu. Zdjęcia ukazywały czasem obskurne galerie przy Jubilee Street, które jak Ash podejrzewał, służyły najwyżej za schronienie przed deszczem przypadkowym przechodniom. Z myślą o robotnikach publikował też ulotki, ukazujące w prostych słowach potrzebę zmian. Drukował je sam na hałaśliwej, rozklekotanej prasie w Inkhorn Court, sam też je rozprowadzał, wtykając do skrzynek na listy, w asyście licznych dzieci i bezpańskich psów, ciągnących za nim niczym ogon komety.

Kiedy pewnego wieczoru trafił na mityng Partii Pracy, obrady były już mocno zaawansowane. Po zebraniu podano herbatę. Stanęli razem w kącie – Ash, Harry Hennessy, sekretarz związków branżowych, jego brat Fred i rudowłosa mężczyzna w wieku Asha, nazwiskiem Charlie Porter. Niebawem przyłączyła się do nich młoda, nieznana Ashowi kobieta. Harry przedstawił mu ją jako Thelmę Voss. Szczupła, średniego wzrostu, chodziła w wytartym makintoshu i granatowym berecie. Miała okrągłą twarz z wysoko sklepionymi kośćmi policzkowymi i ziemistą cerę. Najbardziej rzucały się w oczy jej proste, czarne brwi nad żywymi, zielonkawymi oczami.

Dyskutowali nad trudnościami, jakie napotykał w parlamencie projekt ustawy o autonomii dla Irlandii.

– Unioniści nie popuszczą ani krztyne – stwierdził Fred. – Nie obchodzi ich, czego chce Asquith i naród irlandzki.

– Ciągłe to samo. – Harry zamieszał cukier w herbacie. – Właściciele ziemscy nie zamierzają wypuścić władzy z rąk. Nie chcą, żeby zwykły robotnik miał cokolwiek do powiedzenia w sprawach kraju.

– A tym bardziej zwykła robotnica – mruknęła panna Voss. – Kobiety powinny mieć prawo głosu, tak samo jak mężczyźni.

– Nie powinniśmy pozwalać, by rozpraszał nas każdy, kto ma jakieś osobiste pobudki.

– Osobiste pobudki? To twoja opinia na temat reprezentacji kobiet? – Oczy Thelmy Voss wyraźnie iskrzyły.

– Musisz przyznać, że są jakieś priorytety.

– A prawa kobiet są na samym dole twojej listy, tak, Charlie? – Głos Thelmy brzmiał zaczepnie. – Jestem zdumiona, widząc cię tutaj. Czemu nie pójdziesz do Klubu Liberalów? Mówisz dokładnie tym samym językiem, co pan Asquith.

Charlie zapalił papierosa.

– Irlandia obywała się dostatecznie długo bez rządów właścicieli ziemskich. Nie sądziłem, Thelmo, że tak mocno popierasz arystokrację.

– Bo nie popieram! Wcale!

Charlie mrugnął do Asha.

– Thelma nie przepada za klasami rządzącymi. Przepędziłabyś ich wszystkich, no nie, złotko?

– No a jaki z nich pożytek? To zwykłe pasożyty i pijawki!

– Najchętniej wysłałaby ich wszystkich na gilotynę.

– Wcale nie, Charlie – odrzekła z godnością Thelma. – Wiesz, że nie pochwalam przemocy.

Charlie parsknął śmiechem.

– Tobie tylko dać cię szansy, a siedziałabyś tu i patrzyła, robiąc na drutach, jak spadają głowy!

– Mówiłam, że jestem pacyfistką.

– Klik, klik...

– Czy ty zawsze musisz się na mnie wyżywać? – syknęła ze złością.

– Odrobina śmiechu nikomu nie zaszkodzi. Gdzie twoje poczucie humoru?

Thelma poróżwiała.

– Mnie chodzi tylko o to, że mamy oddzielne prawa dla bogatych i biednych.

– Panna Voss ma rację – wtrącił Ash. – Sufrażystki muszą znosić karmienie siłą w więzieniu, podczas gdy sir Edward Carson, jawny orędownik zbrojnej rebelii unionistów w Ulsterze, chodzi wolno.

– Carson jest członkiem parlamentu, prawda? – rzekł Fred. – Działa na własną rękę.

– I jest bogaty – dodała Thelma z goryczą. – Na tym polega różnica.

Charlie posłał jej chytry uśmieszek.

– Niektóre z tych dzikich kocic, co próbują wydrapać sobie prawo głosu, też nie należą do biednych.

– Dzikie kocice!

– Trudno nazwać damą kogoś, kto rzuca kamieniami w wystawy.

Thelma spurpurowiała z gniewu.

– Zachowanie w stylu damy do niczego nas nie doprowadziło!

Charlie wyjął bibułki i tytoń.

– Nie widziałem, żebyś się specjalnie śpieszyła do więzienia za swoje poglądy, Thelmo.

– Wiesz, że nie mogę...

– Wcale nie sugeruję, że robisz z siebie idiotkę jak niektóre z tych kobiet.

– Nie tylko kobiety robią z siebie idiotki! Mężczyznom też to łatwo przychodzi. – Oczy jej zapłonęły. – Widzę to co wieczór w pubie przy swojej ulicy.

Charlie z uśmiechem pochylił się do przodu i rzekł konfidencyjnie:

– Thelmo, kochanie, znam Pod Bykiem parę gorących sztuk, które zrobią dosłownie wszystko, o co mężczyzna je poprosi, za szklaneczkę dżinu z sokiem pomarańczowym.

Thelma zbladła i chwyciła swój płaszcz.

– Thelmo... – spróbował Harry Hennessy.

– Muszę iść. Ojciec będzie się martwił. – Głos jej lekko drżał.

Wyszła z sali. Harry chciał za nią pójść, ale Ash go powstrzymał:

– Daj spokój, ja pójdę.

Dogonił Thelmę na Commercial Road. Dźwigała dwie ciężkie torby z zakupami. Spojrzała na niego ostro.

– Czego pan chce?

– Sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Szybki ruch ramionami.

– A bo co?

– Jestem pewien, że Charlie nie chciał pani dokuczyć.

– Tak? – Tym razem jej złość skierowana była na Asha. – A skąd ta pewność?

– Niektórzy lubią prowokować. Charlie jest właśnie taki.

– Charlie lubi prowokować mnie. Wie pan, kiedyś chodziliśmy ze sobą, ale ja z tym skończyłam.

– Przykro mi.

– A mnie nie. – Thelma postawiła torby na ziemi. – Widziałam go z inną

dziewczyną. Lubi spódniczki ten Charlie, oj, lubi. Jak mu to wypomniałam, powiedział, że ona się nie liczy. Więc ja na to, że on dla mnie też się nie liczy. Nie spodobało mu się to. – Zacisnęła płaszcz na piersi obronnym gestem. – Uważa się za Bóg wie kogo! Lubi mi dokuczać i wie, jak zaleźć za skórę. – Nagle obróciła się do niego twarzą. – Zauważył pan, ile kobiet było na dzisiejszym zebraniu?

Zastanawiał się chwilę.

– Pięć czy sześć...

– A mężczyzn?

– Dwudziestu pięciu, może trzydziestu...

– To nie dlatego, że kobiety nie interesują się polityką. Ale muszą siedzieć w domu przy dzieciach albo przy starych, więc po prostu nie mogą wyjść. Mężczyźni nie zaprzatają sobie głów takimi sprawami.

– Raczej nie.

Thelma wysunęła podbródek do przodu.

– Zauważył pan, kto parzy herbatę i podaje ciasteczka?

– Dwie panie... nie znam ich nazwisk.

– Oczywiście, że pan nie zna. Bo i po co? Tylko że to zawsze są dwie panie, nigdy panowie, podczas gdy przemówienia wygłasza dziewięciu panów na dziesięciu. Och, są tak uprzejmi, że czasem pozwalają nam zabrać głos. Parę miesięcy temu odwiedziła nas pewna prządka. Wygłosiła bardzo ciekawe, moim zdaniem, przemówienie. Później słyszałam, jak sobie z niej drwili. Ktoś ją porównał do małej, piszczącej myszy. – Urwała. – Muszę iść. Mój ojciec...

– Odprowadzę panią.

Spłoszyła się lekko.

– Nie ma potrzeby.

– Jest ciemno, panno Voss.

Brwi nasunęły się jej na oczy.

– No dobrze – zgodziła się obojętnie.

– Proszę mi dać te torby.

Wręczyła mu je i poszli. Niebawem zatrzymała się przed sklepem z warzywami.

– Tu mieszkam.

Ash zauważył, że zasłona drgnęła. Thelma zapukała do okna i krzyknęła:

– Wszystko w porządku, tato, już jestem! – I zwróciwszy się do Asha, zaczęła gorączkowo tłumaczyć: – To dlatego nie chodzę na demonstracje z innymi! Dlatego nie mogę ryzykować! Kto zajmie się sklepem, jeśli wsadzą mnie do więzienia? Kto zaopiekuje się tatą?

Nagle posępna chmura gniewu ustąpiła i rysy dziewczyny złagodniały.

– Bardzo pan uprzejmy, że mi pomógł z zakupami. I że poparł mnie pan przeciwko tej bandzie na zebraniu. – Otworzyła drzwi. – Widywałam pana w okolicy, jak wkładał pan ulotki do skrzynek. Mogę panu pomóc, jeśli pan sobie życzy. Przynajmniej póki będę mogła to pogodzić ze sklepem i ojcem.

W głębi serca Clemency zdawała sobie sprawę, że cioteczna babka Hannah umiera. Nie, staruszka w zasadzie nie chorowała, ale coraz bardziej wycofywała się ze świata.

Wszystkie jej zmysły stopniowo słabły. Wzrok tak się pogorszył, że nie mogła czytać już Biblii, chociaż nadal lubiła trzymać ją w rękach, kiedy siedziała w salonie w swoim fotelu. Clemency musiała mówić do niej bardzo głośno i wyraźnie, bo inaczej Hannah jej nie słyszała. Od pewnego czasu najdłuższe wyprawy starszej pani polegały na przemieszczaniu się z sypialni do salonu. Czasem Clemency zastanawiała się, jak to jest, gdy człowiek nieuchronnie traci wszystko, co nadawało sens jego życiu. Nie słyszy się głosów, nie widzi kochanych twarzy, nie czuje się słońca na skórze ani wiatru we włosach...

Tak nieszczęśliwie się złożyło, że akurat kiedy Hannah zdawała się więdnąć, pogorszyło się też gwałtownie zdrowie matki. Clemency większą część lata i jesieni spędziła na bieganiu od jednej do drugiej z tacami lekarstw, herbatą i talerzami specjalnych potraw dla chorych. Lekarz przychodził niemal codziennie. Ojciec, który żywił irracjonalną antypatię do przemiłego doktora Hazeldene'a, powiedział kiedyś gderliwie przy obiedzie:

– Chyba powinnaś trzymać dla tego konowała gotowy pokój, Clemmie. Coś mi się widzi, że zostanie naszym stałym rezydentem.

Chociaż ciągle zajęta, Clemency znajdowała jednak czas, by chodzić na koncerty Ivora. Niespodziewanego sojusznika znalazła w ojcu. Wprawdzie nie wiedział – i nigdy nie miał się dowiedzieć – co Clemency czuje do Ivora, ale rozumiał, że te koncerty stały się dla niej ważne i trzymał jej stronę, kiedy matka narzekała na nudne towarzystwo Lucy Catherwood albo gdy służba dawała do zrozumienia, ile to dodatkowej pracy przysparza jej nieobecność faktycznej pani domu. Na popołudniowe recitale ojciec podwoził ją samochodem, wracając do biura z lunchu w domu. Wyszedłszy z domu, rozglądał się konspiracyjnie i ogłaszał:

– Wybrzeże czyste, brak wroga w zasięgu wzroku. Lepiej bierz nogi za pas, Clem.

Zatrzymywał samochód przed wskazanym domem i nieodmiennie wciskał jej do ręki pół korony.

We wrześniu Clemency nareszcie poznała Rosalie. Koncert urządzono w domu pani Braybrooke. Odkąd Vera powtórzyła Clemency jej kąśliwą uwagę (że niby chodzi za Ivozem krok w krok, jak piesek), ta starała się nie zwracać na muzyka uwagi, szczególnie w obecności pani Braybrooke. Tego dnia, na polecenie matki, Clemency musiała uporządkować szkatułkę z listami i wyszła z domu później, niż powinna. Kiedy dotarła do Braybrooke'ów, Ivor rozmawiał właśnie z panią domu. Obok stała nieznana kobieta – wysoka, ciemnowłosa, w fioletowej spódnicy, żakiecie i takim samym kapeluszu. Usłyszawszy, że pani Braybrooke zwraca się do niej „pani Godwin”, Clemency uznała to za pomyłkę. Ta postawna dama nie może być Rosalie Godwin. Przecież Rosalie jest bladą, kruchą blondynką... Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ów obraz żony Ivora powstał wyłącznie w jej wyobraźni.

Podczas koncertu Clemency prawie nie słyszała muzyki, a jej spojrzenie wciąż wędrowało ku Rosalie. Pani Godwin przed każdym utworem rzucała mężowi zachęcające uśmiechy i uprzejmie klaskała na końcu. Raz, w trakcie dłuższej sonaty, pozwoliła sobie na ziewnięcie pod osłoną dłoni w fioletowej rękawiczce. Po skończonym koncercie podeszła do Ivora i poklepała go po ramieniu, gratulując wykonania. Potem poprawiła mu

chusteczkę w kieszonce na piersi i szybkim, wprawnym ruchem odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Clemency zawsze marzyła, by to zrobić, ale nigdy nie starczyło jej odwagi. Przy herbacie zauważyła, że Rosalie sprawdza, czy Ivorowi podano taką, jak lubi: słabą, z jedną kostką cukru. Roznoszono ciasta; Ivor sięgnął po talerzyk, ale Rosalie zaprotestowała:

– Tylko nie tort migdałowy, Ivorze! Przecież wiesz, że dostajesz od tego niestrawności.

Nim popołudnie dobiegło końca, Clemency przedstawiono Rosalie Godwin.

– To moja droga przyjaciółka, Clemency Maclise – rzekł Ivor, po czym obie panie podały sobie ręce. Oczywiście tego dnia nie było już okazji do wędrowki po ogrodzie botanicznym.

Od tego dnia Clemency przestała fantazjować na temat śmierci Rosalie. To, co przedtem wydawało się niesmaczne, teraz, po wzajemnej prezentacji, uznała za niegodne. Wprawdzie wciąż próbowała podsycać w sobie nienawiść, ale jakoś bez przekonania. Chociaż przypominała sobie owo ziewnięcie w trakcie jego gry, musiała przyznać, że sonata była wyjątkowo długa i złożona głównie z gam i arpeggiów. Przywołując w pamięci nadgorliwość Rosalie przy wyborze ciasta, tłumaczyła sobie zaraz, że przecież Ivor naprawdę ma delikatny żołądek. Kiedyś w ich kafejce skusił się na bułeczkę z porzeczkami i zaraz rozboleł go brzuch.

Kilka tygodni później Clemency weszła do salonu i natychmiast uderzyła ją jakaś dziwna zmiana – coś skończyło się na zawsze. Hannah siedziała w swoim fotelu z oczami zamkniętymi jak we śnie, z otwartą Biblią na kolanach. Kiedy Clemency dotknęła ręki staruszki, poczuła lodowaty chłód.

Tej nocy pisali listy i wysyłali telegramy.

– Pamiętam, jak ciotka Hannah zabierała mnie do lasu Ecclesal – wspominał Joshua, wycierając głośno nos. – Uwielbiałem tam się bawić; wspinałem się na drzewa, biegałem po ścieżkach i wyobrażałem sobie, że mogę się zgubić i nikt mnie już nie znajdzie. Raz nawet sama ciotka weszła na drzewo... Czy ci to kiedyś opowiadałem, Clemency? Ja tam utknąłem, byłem jeszcze mały – a ona wdrapała się i pomogła mi zejść. Wyobraź to sobie: w krynolinie i tych wszystkich halkach! – Joshua osuszył list bibułą i walnął pięścią w stół. – Hannah to ostatnia osoba, która знаła mnie jako małego chłopca. Razem z nią utraciłem też część siebie...

Eva dostała list od Sadie:

Dzieci mają ospę wietrzną. Nie są na tyle przyzwoite, by chorować jednocześnie, tylko jedno po drugim, więc od miesiący mamy kwarantannę. Najdroższa Evo, jeśli chorowałaś już na to paskudztwo i wytrzymasz jakoś z Sadie, która ostatnio gada już ze świniami, to proszę Cię nade wszystko – przyjeźdź!

Tym razem nie było komu wyjechać na stację, więc Eva pomaszerowała pieszo przez pola. Podwórko i zabudowania gospodarcze wyglądały na mocno zaniedbane. Nikt nie uprzętał suchych liści, a kilka nędznych kur rozgrzebywało apatycznie błoto.

Sadie zdejmowała właśnie pranie ze sznurka. Uściskała Evę serdecznie.

– Jak dobrze, że przyjechałaś! Może teraz nie zwariuję do reszty.

W domu także panował nieład. Rzeczy dzieci poniewierały się po po podłodze. Stos książek z obrazkami rozsypał się po kuchni, jakby zmieciony podmuchem wiatru. W ciemnym korytarzu Eva potknęła się o łuk i strzały.

– Próbowałam to uprzętać – tłumaczyła się Sadie – ale znów wszystko porozwlekały, więc to beznadziejne. A moja dochodząca wymówiła, nawet się jej nie dziwię w tej sytuacji, zresztą i tak wiele mi nie pomagała. Często mi się wydawało, że podłoga po jej myciu jest jeszcze brudniejsza niż przedtem. Ale przynajmniej miałam jakieś towarzystwo. Teraz jestem tu tylko z Valem i dziećmi, a wiesz, jaki on potrafi być humorzasty. Ciągłe na mnie krzyczy. Dlatego nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę z twojego przyjazdu.

Eva poprała i poprasowała ubranka dzieci a potem przeczytała drapiącemu się ustawicznie Tolly'emu parę historyjek. Pod wieczór do bawialni weszła Sadie z zafrasowaną miną.

– Nie mogę znaleźć Hero. Nie widziałaś jej czasem?

Eva sprawdziła pomieszczenia na dole, Sadie przeczesała górę i strych, Val szukał w ogrodzie i gospodarstwie. Przez pewien czas zewsząd było słycać tylko wykrzykiwane raz po raz imię dziewczynki, lecz nagle od strony sadzawki z karpami dobiegł ich straszny krzyk. Eva i Sadie popędziły tam czym prędzej.

Zanim dotarli na miejsce, Val wynurzył się z wody, cały w wodorostach, z bezwładnym dzieckiem w ramionach.

Sadie zbladła jak ściana.

– O Boże, nie! Nie. Proszę, Boże...

Val położył Hero buzią do dołu i ukląkł przy niej, uciskając jej klatkę piersiową. Przez kilka okropnych sekund dziewczynka się nie poruszała, potem nagle zaczęła kaszleć, wypluwając wodę z wodorostami. Na koniec usiadła i zaczęła płakać. Sadie porwała ją w ramiona i zaniósła do domu.

Kiedy przygotowywała dla małej gorącą kąpiel i ściągała z niej mokre rzeczy, Eva zauważyła, że ręce jej drżą, a na poblądłej, spiętej twarzy widać lęk. Mimo to głos brzmiał zupełnie spokojnie:

– Evo, bądź tak miła i dopilnuj obiadu, dobrze? Gulasz może się przypalić.

Eva zeszła do kuchni; ona także cała się trzęsła. Zamieszała gulasz i usiadła przy stole. Wkrótce zjawił się Val, jeszcze w mokrym ubraniu.

– Wychodzi, że mieli niezłą zabawę. Orlando wystrugał z drewna łódkę, zdaje się, że to był „Titanic”. – Wyciągnął spod zlewu butelkę brandy. – Napijesz się? – Eva potrząsnęła głową. – Jak chcesz. – Przyłożył butelkę do ust i wypił kilka sporych łyków. Potem otarł usta wierzchem dłoni. – Chyba pójdę się przebrać, bo śmierdzą jak ściek.

Obiad upłynął w smętnej atmosferze; nawet Orlando jadł w milczeniu. Sadie prawie nie tknęła jedzenia, dziobiąc od czasu do czasu mięso i ziemniaki nożem. Bładość

wciąż nie ustępowała z jej twarzy. Po posiłku Eva zajęła się zmywaniem, a Sadie poszła położyć dzieci. Wróciła na dół, gdy Eva wycierała ostatnie sztućce.

– Wszyscy w łóżkach?

Sadie przytaknęła.

– Gdzie Val?

– Poszedł do pubu, pewnie ma dość życia rodzinnego. – Usiadła i zakryła twarz rękami. Eva z trudem usłyszała stłumione słowa: – Gdyby umarła... Gdyby Hero się utopiła, to byłaby moja wina...

Eva poklepała ją po drżących plecach.

– Dzieciom ciągle przytrafiają się wypadki.

– Moim częściej niż innym. – Sadie zdjęła ręce z twarzy, czarne oczy miała rozszerzone i suche. – Evo, nie jestem dobrą matką. Nie dbam o dzieci ani nie kocham ich tak, jak powinnam. Nigdy nie chciałam mieć piątki, nie jestem nawet pewna, czy chciałam choć jednego. A kiedy urodziłam Rowana, zupełnie się załamalam.

– Jesteś po prostu przemęczona.

– Tak przypuszczam. Zmęczenie nie opuszcza mnie od... ach, pewnie od urodzenia Orlanda. Nie pamiętam już, jak to jest nie być zmęczoną. Ale to mnie nie tłumaczy, prawda? Inne matki też są zmęczone i jakoś radzą sobie ze wszystkim. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Muszę się napić herbaty. Bądź aniołem i zaparz, dobrze? Ostatnio żyję wyłącznie herbatą i papierosami.

Eva napełniła czajnik wodą i postawiła na kuchni. Sadie siedziała w milczeniu.

– Od ostatniego porodu nie czuję się dobrze – wyznała po chwili. – Nie kocham Rowana, wiesz? Patrząc na niego i nic nie czuję... Wciąż mam nadzieję, że to się zmieni... Nigdy nie przepadałam za małutkimi dziećmi, wolę te starsze, ale Rowan ma już dwa lata, a ja nadal nic... – Zmarszczyła brwi i otworzyła papierosnicę. – Nie mówiłam tego nikomu. Ani Gabrielowi, ani nawet matce. O takich sprawach lepiej nie mówić, prawda? Matka powinna kochać dzieci. – Zapaliła zapalną. – Ale dziś, kiedy myślałam, że Hero... – Urwała, gryząc wargę. Nagle zaśmiała się cichutko. – Może powinnam być wdzięczna. Może ten wypadek to szczęście w nieszczęściu. Przynajmniej przekonałam się, że jednak trochę kocham moje dzieci.

Eva nalala herbatę i postawiła filiżankę przed Sadie.

– Może urodziłaś ich zbyt wiele w stosunkowo krótkim czasie. – Przypomniała sobie słowa Iris: „Biedna mama. Siedmioro dzieci w ciągu czternastu lat...”.

– Zaniedbałam je, Evo, wiem. Chodzą w łachmanach, bo nie nadążam z praniem i cerowaniem. Mają szczęście, jeśli pamiętam, żeby wykąpać je raz w tygodniu. Wiejskie dzieci nie chcą się z nimi bawić, wiesz? Wyzywają je od włóczągów i Cyganów, rzucają w nie kamieniami. Nawet gdyby udało mi się namówić Gabriela, żeby wysłał chłopców do szkoły, to jak, u licha, daliby sobie radę? Nie wiedzą, co to plan lekcji i wątpię, by choć raz w życiu odmówili Modlitwę Pańską. – Rozejrzała się po zapuszczonej kuchni. – Nie tego dla nich chcę... Zwłaszcza dla Hero. Mężczyźni nie zwracają uwagi na bałagan, prawda? Im nie zależy, tak jak kobietom, aby pokój ładnie wyglądał. I chętnie sprawiłabym sobie parę ładnych rzeczy, tylko po prostu nie mogę... nie mogę... – Urwała, zaciskając z całej siły dłoń.

– To duży dom – zauważyła oględnie Eva. – Tu zawsze musi być mnóstwo roboty.
– Z początku sobie radziłam. Ale teraz już nie starcza mi ducha. Poniosłam klęskę, Evo. – Sadie uśmiechała się, ale usta jej drżały. – Mężczyzna, jak zechce, może sobie żyć po cygańsku, ale do kobiety to nie pasuje, prawda? Gabriel wciąż fantazjuje, jak to przed ślubem włóczył się po kraju, sypiąc w stogach siana czy rowach. Uwielbia życie kawiarniane w otoczeniu tych swoich hałaśliwych, rozbawionych przyjaciół. – Ściszyła głos. – Ale kobieta się do tego nie nadaje. Wiesz, jak lekceważąco mężczyźni traktują takie, które chodzą do kawiarni i pubów. A gdybyśmy chciały sypiać w stogach czy rowach, prawdopodobnie odwieziono by nas do domu wariatów.

Eva dołała jej herbaty.

– Nie mogę powiedzieć, żeby odpowiadało mi sypianie w stogach siana. Po pierwsze, byłoby za zimno...

– Właśnie – westchnęła Sadie. – No patrz, ja wciąż gadam o sobie. Ależ ze mnie nudziara... Opowiedz mi coś, Evo. Pewnie skończyłaś już Slade?

– Tak. W czerwcu.

– I nadal malujesz?

Eva odwróciła się i zaczęła wyrzucać fusy z imbryka do pojemnika na śmieci.

– Żeby odnieść sukces, trzeba naprawdę być zdolnym. Nawet Gabriel, chociaż taki genialny, ma z tym czasem kłopoty.

– Po ostatniej wystawie był wściekły przez całe tygodnie – odrzekła ponuro Sadie. – Ci podli krytycy! Z radością bym ich podusiła. Poza tym on zawsze wpada w zły humor, jeśli długo nie maluje. – Na stole leżały rozrzucone kawałeczki układanki. Sadie przysuwała je do siebie po kolei. – Mężczyznom łatwiej prowadzić życie artysty. My ze zbyt wielu rzeczy musimy rezygnować. Tego się nie da pogodzić z małżeństwem i dziećmi. Jak wyszłam za Gabriela, z początku próbowałam malować, ale szybko się okazało, że to niemożliwe. Wciąż stały na przeszkodzie jakieś domowe sprawy – a to przychodzili jacyś dostawcy, a to musiałam wyjść do sklepu czy zrobić pranie. Wtedy jeszcze miałam służących, bo mieszkaliśmy w Londynie, ale mimo to ktoś ich przecież musiał pilnować, prawda? I zawsze to ja miałam pamiętać o kupnie chleba, zapłaceniu mleczarzowi, zmianie pościeli – nigdy Gabriel. – Oczy jej jeszcze bardziej pociemniały. – A kiedy próbowałam malować, wciąż wchodził do mojego pokoju, ot, zapytać, gdzie co jest, albo kiedy spotkamy się z takimi czy innymi znajomymi. Ale ja nigdy mu nie przeszkadzałam i dzieciom też na to nie pozwalałam. – Zgasiła papierosa na spodku. – No i po pewnym czasie przestałam malować. Nie wydawało mi się to warte wysiłku. Potem urodził się Orlando, i odtąd już nigdy nie wzięłam pędzla do ręki.

– Może jak dzieci będą starsze...

– Może. Chociaż do tej pory raczej nie zostanie mi już ani odrobina talentu.

Na podłodze leżała reszta kawałeczków układanki. Sadie uklękła, żeby je pozbierać.

– Oczywiście – ciągnęła – ironia losu polega na tym, że chociaż mężczyźni przerzucają na nas codzienne obowiązki, nie uważają domu za atrakcyjne miejsce. Szczególnie Gabriel. O wiele bardziej mnie kochał, zanim utknęłam na dobre w gospodarstwie, przy dzieciach. W gruncie rzeczy wszystko to go przeraża – posiłki

z dziećmi, zręczą żona, od której słyszy, że rury wymagają naprawy. Dlatego właśnie ucieka do Londynu. – Sadie wstała i położyła układankę na stole. – I dlatego biedak raz po raz traci głowę dla jakiejś nimfy czy cyganki.

Eva nie mogła wykrztusić słowa. Miała skurczone gardło i paliły ją policzki.

Sadie dopasowywała kawałeczki układanki.

– Gabriel ma zwyczaj durzyć się w szalonych, niedostępnych kobietach – ciągnęła lekkim tonem. – Sandały, burza splecionych włosów, powiewne suknie, znasz ten typ. Tak zaciekle prześladowe te biedaczki, że w końcu nie mogą mu się oprzeć. Potrafi być niezwykle uparty, gdy sobie którąś upatrzy. Ja też z początku mu odmawiałam, jednak po prostu mnie nie słuchał. A kiedy zdobycz wpadnie mu w ręce, jak już ją obłaskawi – przestaje się nią interesować. To nieosiągalność fascynuje go i inspiruje. Bo dla niego kobiety są przede wszystkim źródłem natchnienia. Będzie nas adorował i szanował jak mało który mężczyzna, ale tym, czego w nas szuka, jest natchnienie. Jak już raz pochwyci swoją ptaszynę i zatrzaśnie ją w klatce – przestaje dla niego istnieć. A gdy tylko ją uwieczni na płótnie, zaczyna się rozglądać za następną.

Eva zmusiła się do pytania:

– A ciebie to nie obchodzi?

Sadie zastanowiła się przez chwilę.

– Kiedyś mnie obchodziło, teraz już nie. – Rozejrzała się po niesprzątniętej kuchni.

– W końcu nie muszę tu siedzieć. Mogę wrócić do mamy, ciągle mnie o to prosi.

– Więc czemu tego nie zrobisz?

– Ach, przez Gabriela, oczywiście. Kocham go... – I z rezygnacją dodała: – Często chciałabym przestać, ale nie mogę. Miłość do Gabriela jest jak choroba, której nie można się pozbyć. A poza tym matka zacznie krakać. Stara się tego nie robić, jednak to od niej silniejsze. Nigdy nie lubiła Gabriela. – Sadie się uśmiechnęła. – To śmieszne, z czasem zaczynam lubić niektóre jego muzy. Nigdy bym się tego nie spodziewała. Wiem, że wielu naszych przyjaciół uważa to za dziwactwo. Oczywiście nie dotyczy to Nerissy, nie potrafiłabym polubić kogoś tak skoncentrowanego na sobie. Mówię o innych... Naprawdę bardzo je lubię. – Podniosła wzrok na Evę. – I nie chciałabym ich urazić. Żal mi, że marnują życie na człowieka, który ponad wszystko stawia swoją sztukę.

Tym razem cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Nagle na górze rozległ się płacz.

– Rowan... – szepnęła Sadie z desperacją w głosie. Już w drzwiach dodała: – To dziecko chyba do pełnoletności nie prześpi całej nocy.

Dwa dni później Eva wyjechała. U pani Wilde czekał na nią telegram.

– Przyniesiono go godzinę temu – wyjaśniła gospodyni, zerkając ze strachem na papier. – Paskudna rzecz.

W telegramie była wiadomość, że cioteczna babka Hannah zmarła we śnie. Eva nadała odpowiedź i zaczęła przeglądać czarne ubrania, żeby wybrać coś na pogrzeb. W pociągu do Sheffield gapiała się niewidzącym wzrokiem w okno. Wspominała, jak zabierała Hannah na zakupy, jak wozila ją po parku w fotelu, który toczył się w dół asfaltową ścieżką niczym statek po morzu. Myślała też o Sadie, siedzącej przy kuchennym stole, i o jej słowach: „Kocham go. Często chciałabym przestać, ale nie

mogę”. I właśnie wtedy poczuła tę wszechogarniającą pustkę, jak gdyby miała w środku wielką dziurę.

Po pogrzebie razem wysprzątały pokoje Hannah. Iris podobierała w pary wszystkie czarne wełniane pończochy, Eva złożyła i zawinęła w bibułkę szeleszczące suknie z bombazyny i rypsu, szale z frędzlami i płaszcze, przepastne pantaloney i halki. Były tam gorsety z fiszbinami na talię trzy razy szerszą niż Iris, pelisy i etole, biała futrzana mufka i bladoniebieskie pantofelki do tańca, haftowane w niezapominajki. Marokinowa szkatułka zawierała listy, w których atrament wyrudział, a papier skruszał ze starości. Zapach perfum Hannah – mieszanina kamfory i fiołkowych tabletek odwanających – unosił się w jej pokojach wśród surowych dagerotypów i akwarelowych pejzaży.

Bijuterię – broszki, bransolety, naszyjniki, wisiorki – ułożyły na łóżku.

– Co z tego pošemy Marianne? – zapytała Clemency.

– Tylko nie bransoletkę z sierści słonia – powiedziała Iris.

Był tam pierścionek z perłą i ametystem – zdaniem Clemency, najładniejszy z wszystkich ozdób. Podniosła go do oczu i patrzyła przez chwilę pod światło, myśląc o siostrze w obcym kraju, tak daleko od domu.

– To – zdecydowała.

Na sztalugach w pracowni Gabriela był rozpięty niedokończony obraz. Eva rozpoznała splecione, rozwiane wiatrem włosy Ruby Bailey i jej długą białą szyję.

Kiedy powiedziała mu, po co przysłała, wyglądał na porażonego.

– Jak to, zostawiasz mnie? Evo, nie możesz!

– Muszę.

– Z powodu Nerissy?

– Niezupełnie. Może trochę. I trochę przez nią. – Zerknęła na portret. – I oczywiście z powodu Sadie. Ale przede wszystkim z powodu mnie samej. Życie z tobą nie daje mi już szczęścia, Gabrielu. A w każdym razie nie tyle, żeby mi to wystarczało. – Zanim wyszła, dodała: – Jest tylko jedna rzecz, o którą chcę cię prosić.

– Wszystko, co tylko...

– Powiedz, czy mam dość talentu, by zostać prawdziwą artystką. Wiem, że będziesz szczery.

Zauważyła, jak umyka przed nią spojrzeniem w stronę niedokończonego obrazu.

– Możesz zostać ilustratorką... albo dekoratorką wnętrz...

– Ale nie malarką, tak?

– Piekielnie trudno jest zarabiać w ten sposób na życie. Nawet najlepszym z nas...

Przykro mi, naprawdę.

– Dziękuję, że powiedziałeś mi prawdę. – Odwróciła się, by wyjść.

– Evo! – Głos Gabriela ścigał ją, gdy zbiegała po schodach. – Evo!

Ale nie zawróciła.

Rozdział dziesiąty

Popołudniami Marianne lubiła siadywać w ogrodzie pod banianem. Kiedy opadał któryś z grubych, skórzastych liści, rozlegał się charakterystyczny stuk. Na gałęziach przysiadaly brodacze i wilgi, od czasu do czasu migało między liśćmi coś zielonego albo złocistego. Podczas tych błogich godzin Marianne miała wrażenie, że to, co w niej pękło, zaczyna się w końcu sklejać.

Podróż z Southampton do Colombo na pokładzie parowca „Pelagia” trwała cztery tygodnie. Szary, wzburzony Kanał Angielski ustąpił miejsca błękitowi Morza Śródziemnego, a następnie rozgrzanemu bezwietrznym żarem Morzu Czerwonemu. Potem nastaly dnie żmudnego pokonywania Oceanu Indyjskiego i noce pod gwiazdami błyszczącymi niczym brylanty. W takie noce za statkiem ciągnął się na wodzie fosforyzujący, roziskrzony ogon. Aż wreszcie pewnego dnia Marianne ujrzała mającą w oddali wyspę i jej najwyższe, tonące w chmurach szczyty. Kiedy statek wchodził do portu, ukazali się tubylcy o oliwkowej skórze w łódkach, palmy i piaszczyste plaże niczym falbanka wzdłuż brzegu.

Na trzy noce zatrzymali się w hotelu Grand Oriental w Colombo. Lucas miał interesy w mieście, więc pewna Angielka, która również przyłynęła na „Pelagii”, oprowadziła Marianne po mieście. Riksze i wozy zaprzężone w woły przepychały się między automobilami, przez bramę tartaku słoń włókł ładunek drewna. Wszędzie włóczyło się wychudzone bydło i żółte zdziczałe psy, na ruchliwych ulicach drobni Syngalezi o złocistej skórze mieszały się z Tamilami, Afgańczykami, Malajami i Europejczykami. W sklepach bez drzwi leżały różne klejnoty – bransolety i naszyjniki wysadzone kamieniami księżycowymi, gwiazdzistymi szafirami, kocimi okami i rubinami. Były tam też mieniające się kolorami bele jedwabiu i bawełny, kosze z liści palmowych pełne przypraw i owoców. Na Pettah, bazarze w dzielnicy tubylców, cyrulicy golili swych klientów na ulicy, a zaklinacze węży przygrywali na miedzianych fletach zwiniętym w koszykach kobrom o sennych oczach. Małe brązowe dzieci, odziane tylko w sznurki paciorków, bawiły się u kolan matek.

Zanim Marianne wróciła do hotelu, jej białą suknię oblepił całkowicie rdzawy pył. Nozdrza miała pełne aromatów Cejlonu: mieszanki ostrych przypraw, rozgrzanego powietrza, słodkiego aromatu kwiatów. W ciężkim, dusznym upale ogarniało ją rozleniwienie; ciasno skręcona sprężyna, jaką od dłuższego czasu czuła w żołądku, zaczynała się stopniowo rozluźniać. W nocy, na granicy snu i jawy, Marianne jeszcze do niedawna przeżywała koszmar śmierci Arthura, teraz przed jej oczami zaczynały się przesuwać zupełnie inne obrazy: czarnowłosy chłopiec kąpiący się w rzece, katolicki kościół obwieszony czerwonymi chorągiewkami, szyldy sklepowe pisane syngalezkim alfabetem, który swymi wdzięcznymi pętelkami i zawijasami zdawał się podkreślać nieznaną urok tego miejsca.

Trzy dni później jechali pociągiem do Kandy, miasta w centrum wyspy. Marianne zabrała z sobą książkę dla zabicia czasu, ale nawet jej nie otworzyła; całkowicie

pochłonęły ją widoki za oknem. Na szmaragdowych polach ryżowych, otoczonych bujną roślinnością równin, uwijały się kobiety w sari stojące po kostki w wodzie. W kanałach między polami brodziły białe czaple, na gałęziach krzewów przysiadły pszczołojady niczym błękitnozielone klejnociki. Kilka razy mignął szafir zimorodka, przelatującego wzdłuż nurtu rzeki. Po mokradłach chodziły bawoły i żurawie; ibisy wdzięcznie wyginały długie szyje. Z obu stron drogi zwieszały się kaskady fioletowych i różowych bugenwilli oraz białych lilii datura, kwiaty lotosu wznosiły swe śliczne główki z oliwkowozielonej wody. Półtorametrowej długości warany wywlekały ze strumieni swe cielska w czarne cętki. Raz zauważyła wysoką akację, która wyglądała jak obwieszona ciemnymi szmatami.

– To latające lisy – wyjaśnił Lucas. – W ciągu dnia kryją się na drzewach. Ale one nie mają nic wspólnego z lisami, to gatunek nietoperzy. Ich skrzydła mają o taką – rozłożył szeroko ręce – rozpiętość.

Rzeką sunęła łódź z wygiętym dziobem, na cienistych plantacjach gumowców tubylcy opukiwali pnie drzew. Z krzewów kakaowych zwieszały się zielone strąki, a królewskie kokosy w kolorze słońca oblepiały szczyty palm. Kiedy pociąg wspiął się jeszcze wyżej, Marianne po raz pierwszy ujrzała plantację herbaty. Rzędy krzewów na dalekich zboczach wyglądały jak bela prążkowanego ciemnozielonego sztruksu. Wyczuła zmianę nastroju u Lucasa – stał się spięty, niecierpliwy.

Tylko na jeden dzień zatrzymali się w Kandy, gdzie podłużne błękitne jezioro otaczały drzewa i eleganckie domy z czerwonymi dachami. Pośrodku była wyspa ocieniona palmami – Lucas mówił, że król Kandy trzymał tam kiedyś swoje żony. Jadąc następnego dnia do Nuwara Eliya, Marianne zobaczyła wodospady zalewające skalne szczeliny i rozwichrzone zielone wzgórza. Z mrocznych, omszałych lasów iglastych wytrzeszczały na nich oczy kudłate makaki ukryte pod sklepieniem gałęzi. Nad paprociami i mchami wisiała mgła, w dolinie rzeka Nanu Oya, sycząc wściekle, przeciskała się przez wąskie gardziele rozpadlin.

Nazwa Nuwara Eliya oznacza „miasto światła”. W chłodnym, rześkim i przejrzystym powietrzu Marianne kręciło się w głowie – trochę od nadmiaru tlenu, a trochę z nadmiaru wrażeń: wciąż nowych widoków, dźwięków i zapachów. Miasto położone wysoko w górach Cejlonu, powyżej tysiąca ośmiuset metrów, miało ulice z rzędami bungalowów, których wypielęgnowane ogrody obfitowały w bratki, geranium i płomienne trytomy groniaste⁹. Na nocleg zatrzymali się w Grand Hotelu; Marianne zrobiła drobne zakupy w domu towarowym Cargilla.

Następnego dnia znów wsiedli do pociągu, który powiózł ich w góry. Na dworcu powitali ich stajenni w turbanach i białych uniformach z żółtymi szarfami. Na ostatni etap podróży dla Lucasa przyprowadzili konia pod wierzch, a dla Marianne wóz zaprzężony w woły. Za miasteczkiem z bazarem i rzędem chałup ciągnęły się po obu stronach drogi pola herbaciane. Lucasowi na ten widok rozbłysły oczy.

– Blackwater – powiedział miękko. – To już Blackwater.

Droga zwięzała się w gruntowy trakt szerokości najwyżej jednego wozu, ocierającego się niemal o zbocze góry. Po drugiej stronie była stroma przepaść. Kamienisty trakt wił się wokół stoku niebezpiecznymi „agrafkami”, wóz podskakiwał na

mostkach z bali pomiędzy jej brzegami. Oprócz strumieni spływających kaskadami po skałach Marianne zauważyła kępy kwiatów i kamienie o dziwnych kształtach, obwiązane kolorowymi wstążkami.

– To ofiary dla bogów – wyjaśnił jej Lucas. – Bogów tamilskich kulisów pracujących na plantacjach herbaty.

Jechali tak jeszcze trzy kilometry z okładem, okrążając szczyty, mając pionową skałę po jednej stronie i przepaść po drugiej. Gdyby wóz stracił koło albo z góry posypały się kamienie, nic by ich nie uchroniło przed upadkiem i śmiercią. A jednak Marianne nie czuła strachu – wiedziała, że przetrwa, bo musi; w miarę upływu dni nabierała coraz większej pewności, że jest w ciąży.

W takiej długiej podróży mogliby chociaż lepiej się wzajemnie poznać. Ale gdy dojechali do Blackwater Marianne wiedziała o swoim mężu niewiele więcej niż po opuszczeniu Southampton.

Parę rzeczy jednak udało się jej zauważyć. Lucas lubił przestrzegać stałego rozkładu dnia. Zarówno na statku, jak w hotelu w Colombo jadał i kładł się spać o tych samych porach. Wstawał wcześniej i przed śniadaniem uprawiał gimnastykę. Jeszcze w Londynie okazało się, że ma władczy charakter – musiał koniecznie postawić na swoim. Służący śpieszyli na każde jego skinienie, mniej pewni siebie współtowarzysze podróży odnosili się doń z szacunkiem. Był dokładny i wymagający: odsyłał do pralni kołnierzyki, jeśli nie wykrochmalono ich należycie. Potrafił ostrym tonem zwrócić uwagę riksarzowi, który dźwigając ich bagaże z portu do hotelu w Colombo, upuścił jedną z walizek. Marianne złożyła to wówczas na karb zmęczenia po długiej podróży.

W drodze prawie z sobą nie rozmawiali. Z Arthurem było inaczej, ciągle wymieniali jakieś drobne uwagi, nieraz zupełnie bez znaczenia. Lucas zachowywał się poprawnie, udzielał informacji, odpowiadał na jej pytania, pilnował, by na niczym jej nie zbywało, ale nie dzielił się z nią ciekawostkami, nie przeżywali wspólnie przyjemności. W miarę zbliżania się do Blackwater coraz bardziej zamykał się w sobie, był spięty i rozdrażniony. Zgadywała, że po prostu tęsknił za domem i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie go ujrzy po tak długiej podróży.

Czasem, kiedy wracała po kilkugodzinnej nieobecności, dostrzegała w oczach męża błysk zaskoczenia, jakby na chwilę zapominał, co ona tam robi. Prędko i stanowczo z natury, rzadko pytał ją o zdanie. Przywykł do rozkazywania, oczywiście, i do samotności. Z czasem poznają się lepiej, pocieszała się Marianne. Małżeństwo za-warli po krótkim narzeczeństwie; to oczywiste, że po tylu latach samotnego życia niełatwo jest dzielić je z drugą osobą. Zresztą nie zależało jej na intymnej bliskości, tylko na towarzystwie.

Kiedy wyzbyła się resztek wątpliwości, powiedziała mu o dziecku.

– Jesteś pewna? – zapytał.

Było to wieczorem; siedzieli razem na werandzie.

– Całkowicie. – Zaśmiała się, widząc jego minę. – Już od kilku tygodni nie jadłam śniadań. I są też inne objawy.

– To dobrze. Kiedy on się urodzi?

– Myślę, że w marcu. Ale to może być dziewczynka.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Melrose’om rodzą się tylko synowie. A ja potrzebuję syna... – zapatrzył się w zalany księżycowym blaskiem ogród – do tego.

Od tej pory przeniósł się do oddzielnego pokoju – po drugiej stronie bungalowu. Marianne poczuła ulgę; kiedy się kochali, nie sprawiało jej to nawet w przybliżeniu takiej rozkoszy, jakiej doświadczała z Arthurem. Jak to troskliwie z jego strony, że stawia jej wygodę i zdrowie ponad własną przyjemność!

Dotrzymała swojej strony umowy; szybko opanowała sprawne prowadzenie domu. Bungalow był duży, jasny i przewiewny, składał się z czterech sypialni, jadalni, bawialni i łazienki oraz siedmiobocznego otwartego holu. Kuchnia i kwatery służby znajdowały się na tyłach. Wszystkie pokoje miały kominki, gdyż noce w górach bywały chłodne.

O świcie budził Marianne boy Nadeshan, przynosząc jej herbatę i świeże owoce, po śniadaniu sprawdzała zawartość spiżarni, ustalała menu i wydawała produkty syngalezkiemu kucharzowi. Zamówienia przed wysłaniem wpisywało się do „Księgi mięsa”. Potem nadzorowała sprzątanie domu, ścinała i układała w wazonach kwiaty.

Lucas przychodził w południe na „tiffin”, czyli lekki lunch, po którym, w najgorętszej porze dnia, udawała się do swojego pokoju. Cięża objawiała się u niej wielkim apetytem i skłonnością do snu – zupełnie jakby Marianne nadrabiała w ten sposób zarwane noce i przebudzenia o świcie po śmierci Arthura. Po sjeście pisała listy, a następnie miała czas dla siebie aż do herbaty.

Bungalow był usytuowany na samym wierzchołku wzgórza. Od werandy ciągnęły się w dół trzy rozległe trawniki, rozdzielone rzędami róż, niestety zaniedbanych i zdziczałych. Granicę ogrodu wyznaczała ścieżka, a tuż za nią, zaledwie kilka kroków dalej, zbocze opadało niemal pionowo w dół. Oprócz trawników były jeszcze rabatki kwiatowe i kawałek lasu. Początkowe podobieństwo Blackwater do ogrodów i parków Anglii okazało się złudne; nieco później Marianne dała się uwieść niezwyklej, niemal przytłaczającej bujności tutejszej flory. Zamiast dębów i buków, jak w Anglii, rosły tu eukaliptusy, nieznane drzewa o płomiennopomarańczowych kwiatach, terpentynowce o jasnych, gładkich pniach i skórzastych liściach. Wokół zwieszających się z gałęzi gniazd o niezwykłych kształtach, uwijały się dzikie pszczoły, fikus wił się po pniu cedru niczym wąż pierzastych liści. Śpiew ptaków rozbrzmiewał tu donośniej niż w Anglii, a chmary białych motyli unosiły się nad trawnikiem jak setki kwiatów miecione przez wiatr. Przez poszycie leśne maszerowały kolumny tłustych mrówek, a w ciemnym, ocienionym przez wysokie drzewa zakątku Marianne natrafiła na niepozorną kapliczkę – piramidkę z patyczków ustawioną między korzeniami. W środku ktoś umieścił kwiaty, z gałęzi pobliskich drzew powiewały białe serpentyny.

W końcu ogrodu stał mały pawilon z dachem z palmowych liści, zbudowany na drewnianej platformie sterczącej ze zbocza na palach. W dole widać było chmury, przy słonecznej pogodzie, jak okiem sięgnąć, piętrzyły się pasma wzgórz. Gdzieniedzie

srebrzyło się jezioro lub połyskiwało szmaragdem – niczym skrawek materiału poletko ryżowe. Drewniany domek na stoku sprawiał wrażenie kruchego i niezbyt stabilnego.

Młodzi zarządcy często przychodzili do bungalowu na herbatę; od czasu do czasu pojawiał się jakiś inny plantator z żoną, doktor Scott albo *padre*. Siedząc na długich trzcinowych krzesłach, mężczyźni prowadzili blahe rozmowy, a Marianne patrzyła, jak wzgórze na horyzoncie coraz bardziej błękitnieje, by w końcu stopić się z niebem. Wczesne zachody słońca – niestety, krótkotrwałe ze względu na bliskość równika – olśniewały brązowożłotym blaskiem.

Potem przywożono pocztę i przed przebieraniem się do obiadu był czas, aby przejrzeć listy. Do stołu siadali o ósmej, a po skończonym posiłku przenosili się przed kominek w salonie. Nocami, leżąc w łóżku, Marianne miała to samo wrażenie, co w letnim pawilonie: że płynie nad światem, wolna, pozbawiona jakichkolwiek więzów.

W ciążę zaszła zapewne już podczas pierwszych tygodni po ślubie. Przez krótki czas miała pretensję do losu, że ów cud nie przytrafił się jej w małżeństwie z Arthurem, ale gorycz szybko ustąpiła przemożnej tęsknocie za dzieckiem. Po trzech miesiącach poranne mdłości minęły i wrócił apetyt. Ciało zaczęło się zmieniać: brzuch i piersi wyraźnie się powiększyły. Kiedy po raz pierwszy poczuła ruchy dziecka, doświadczyła niemal już zapomnianych emocji – podniecenia i radosnego oczekiwania, które przez chwilę ośmieliła się nazwać szczęściem.

Jesienią 1912 roku George Lansbury, poseł Partii Pracy z okręgu Bow i Bromley, zrezygnował ze swego mandatu, aby ściągnąć uwagę opinii publicznej na uwięzione sufrażystki. W konsekwencji musiały się odbyć dodatkowe wybory, do których Lansbury stanął jako kandydat sufrażystek i socjalistów. Jego biuro wyborcze przy Bow Road znajdowało się tuż obok siedzib WSPU Emmeline Pankhurst, NUWSS10 Millicent Fawcett, Bractwa „Głosy dla Kobiet”, Politycznej Unii Mężczyzn na rzecz Emancypacji Kobiet, Narodowej Ligi Sprzeciwu wobec Emancypacji Kobiet oraz biur komitetu unionistów. Dzień przed wyborami sama pani Pankhurst wystąpiła na co najmniej trzech publicznych wiecach. Publiczność – jak dowiedziała się Iris od Evy – składała się niemal wyłącznie z kobiet. Część z nich zabrała z sobą nawet niemowlęta, których płacz i gaworzenie regularnie zagłuszały mówczynię. Wieczorem stowarzyszenia sufrażystek zgromadziły się przed kościołem w Bow. Orkiestra dęta odegrała „Marsylianę”, po czym pochód z latarniami i transparentami przemaszerował przez cały okręg wyborczy.

Dla Iris wizyta w Bow nie była tym, co akurat wybrałyby sobie na spędzenie dwóch cennych wolnych dni w miesiącu, zwłaszcza przy listopadowej ulewie. Zdecydowała się na to tylko wskutek perswazji Asha. Mimo paskudnej pogody na obskurnym East Endzie panowała nietypowa atmosfera karnawału. Chorągiewki – fioletowo-zielono-białe WSPU i zielono-żółto-białe Ligi Wyzwolenia Kobiet – powiewały na samochodach i furgonach, dziecięce chóry śpiewały piosenki wyborcze. Suфраżystki stały przed kabinami do głosowania; Eva, prowadząc głosujących do jednej z nich, zapomniała parasola. Zanim dotarli do niej Iris z Ashem, przemokła do suchej nitki.

Iris oddała jej swój, a sama schroniła się pod jednym parasolem z Ashem. Kiedy szli ulicą, wielu przechodniów pozdrowiało serdecznie jej towarzysza. Mężczyźni w kaszkietach przystawali, żeby zamienić z nim parę słów, kobiety w wytartych

płaszczach z rozetkami w klapach machały mu rękami, dzieci biegły za nim, licząc na cukierki, które nosił w kieszeniach.

Młoda ciemnowłosa kobieta krzyczała coś do niego z drugiej strony ulicy, przepychając się między pojazdami.

– Ash! Szukałam cię, dopiero teraz mogłam wyjść ze sklepu. Chciałam zamknąć wcześniej, ale tata... – Urwała na widok Iris pod jego parasolem.

– Pozwól, Thelmo – rzekł Ash – to jest panna Iris Maclise. Iris, to panna Thelma Voss.

– Miło mi panią poznać, panno Maclise.

– Roznosiliśmy z Thelmą broszury przed wyborami. Chyba z pięć setek, co?

– Coś koło tego.

– Nie dałbym sobie bez niej rady.

Thelma zaczerwieniła się mocno.

– To żaden kłopot.

– Wydaje się, że to dość męcząca praca – zauważyła Iris. – Mieszka pani w pobliżu, panno Voss?

– Nie, tuż za Commercial Road.

– Więc jesteśmy niemal sąsiadkami. Pracuję w szpitalu Mandeville.

– Mój tata był tam, jak zranił się w nogę. – Thelma powiodła wzrokiem po Iris. Nie umknął jej uwagi kapelusz z szerokim rondem, przybrany wiśniowym szyfonem, i nowy płaszcz z aksamitnym kołnierzem, kupiony u Harrodsa. – Nie zdążyłam się przebrać – mruknęła. Pod makintozem miała brązowy kitel, a na głowie szalik. – Niektóre kobiety są takie eleganckie! Te z WSPU, na przykład. – Szarpnęła swój kitel i poprawiła kosmyk włosów. – Jakoś nie przyszło mi do głowy, by zadać sobie trochę trudu.

– Kiedy ostatni raz widziałam moją siostrę Evę, miała głowę osłoniętą gazetą, bo padał deszcz – powiedziała Iris. – To raczej nie jest ostatni krzyk mody. Nie ma czym się przejmować. Należy pani do WSPU?

– Nie – burknęła Thelma. – WSPU nie jest dla kobiet pracujących, takich jak ja.

– A Annie Kenney? Przecież jest młynarką, czyż nie?

– Annie Kenney to pieszczoszka pankhurstek, wszyscy to wiedzą.

– Zamierzałem sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy w punkcie wyborczym – wtrącił Ash. – Pójdiesz z nami, Thelmo? A potem proponuję kolację. I dzięki za te wszystkie ulotki.

– Kolacja? – Thelmie zaświeciły się oczy. – Ale ja...

– Chcieliśmy z Iris pójść na rybę z frytkami. Możesz się do nas przyłączyć.

Znów się zachmurzyła.

– Nie mogę. Obiecałam Nancy Smith, że jej pomogę przy wydawaniu herbaty. A potem muszę przygotować kolację tacie.

I bez pożegnania ruszyła przed siebie.

– Chyba bardzo cię lubi – zauważyła Iris, kiedy tamta nie mogła już jej słyszeć.

– Thelma? – zdziwił się Ash. – To tylko przyjaciółka.

Iris otworzyła usta, żeby powiedzieć: „Nie, ona jest w tobie zakochana”, ale zaraz je zamknęła. Turban z szalika zniknął już w tłumie. Jak na inteligentnego człowieka,

pomyślała, ujmując Asha znów pod ramię, potrafisz być zadziwiająco tępy.

George Lansbury przegrał dodatkowe wybory w okręgu Bow i Bromley przy siedmiuset pięćdziesięciu jeden głosach. Największa ironia losu, myślał posepnie Ash, polegała na tym, że wskutek pomyłki w parlamentarnym rejestrze prawo głosu miała także jedna kobieta – pani Unity Dawkins. Przedtem pani Pankhurst osobiście złożyła jej wizytę, namawiając do głosowania na George’a Lansbury’ego, a jedno ze stowarzyszeń sufrażystek zaproponowało, że przyśle po nią samochód, który dowiezie ją do punktu wyborczego. Ale ostatecznie pani Dowkins oddała głos na Reginalda Blaira, kandydata konserwatystów i przeciwnika sufrażystek. Ash sam podejrział ją, jak dumnie pokazuje błękitną kartę, deklarując poparcie dla pana Blaira.

Pewnego wieczoru po pracy Ash odwiedził Thelmę w sklepie jej ojca. Zastał ją przy skrzynce z jabłkami – przeglądała je kolejno, usuwając nadgniłe. Wyraźnie ucieszyła się na jego widok.

– Chciałem ci podziękować za pomoc przy wyborach. Te wszystkie broszurki w deszczu...

– Nie na wiele się przydały, co?

Obserwował, jak poleruje jabłka szmatką.

– Wiedziałem, że możemy przegrać; to zawsze ryzykowna sprawa, kiedy się wysuwa sufrażystki jako jedyny problem, ale nie spodziewałem się aż tak dużej różnicy.

Thelma wzruszyła ramionami.

– A mnie wcale nie dziwi, że część panów jest przeciwko tym wszystkim elegantkom, które chcą wskoczyć w ich buty i mówić im, co mają robić.

– Tak sędzę. Ale żeby głosować na torysów? Co oni kiedykolwiek zrobili dla East Endu?

– Są poważani, prawda? Tego właśnie pragną wszyscy w tej okolicy. Żeby ich uważano za godnych szacunku. Możesz pouczać ludzi na temat socjalizmu i innych rzeczy, póki ci język kołkiem nie stanie, a oni i tak będą chcieli tylko jednego: wspiąć się o szczebel wyżej na drabinie społecznej. Ci, którzy jedzą na gazecie, chcą nakrywać stół obrusem. Dziewczęta, które okrywają się tylko chustką, pragną płaszcza. I na tym kończą się ich ambicje.

– Czy także twoje, Thelmo?

Nie odpowiedziała, tylko odłożyła ściereczkę.

– Napijesz się z nami herbaty? – zapytała. – Właśnie miałam zamykać sklep.

– Z wielką przyjemnością. Jeśli tylko nie sprawię kłopotu...

Thelma odwróciła tabliczkę na drzwiach i ściągnęła roletę. Kiedy już wyszli, szepnęła:

– Nie rozmawiaj przy tacie o polityce, dobrze? To go denerwuje.

Sklep Vossów znajdował się na rogu ulicy; ich dom w końcu rzędu szeregowców był nieco większy od sąsiednich. Salon na zapleczu sklepu miał małe łukowate okna wychodzące na boczną alejkę. Ojciec Thelmy siedział w fotelu przy kominku. Na widok Asha usiłował wstać, ale Thelma go powstrzymała:

– Siedź, tato, Ashowi to nie przeszkadza. Tato, to mój przyjaciel Ash, pamiętasz, opowiadałam ci o nim. Zaprosiłam go na herbatę.

Kiedy Ash gawędził z panem Vossem, Thelma zajęła się parzeniem herbaty. Mimo fizycznego podobieństwa obojga – wysoko sklepionych kości policzkowych i prostych brwi – ojciec nie miał w sobie nic z energii córki ani jej niezłomności. Zgarbiony i mizerny, na próby nawiązania rozmowy odpowiadał monosylabami, ciągle rzucając nerwowe spojrzenia w stronę kuchni, jakby czuł się nieswojo pod nieobecność dziewczyny.

Podwieczorek składał się z kanapek z łososiem, placka z owocami i galaretki. Rozmawiano o pracy Asha, zmianach, jakie zaszły na ulicy od czasu, gdy Vossowie zamieszkali tu przed dwudziestu pięciu laty oraz o deszczowej pogodzie. Starszego pana wyraźnie to zmęczyło, więc Thelma pomogła mu się przenieść z powrotem na fotel. Ash podziękował i zaczął się żegnać.

Thelma odprowadziła go przez sklep do wyjścia. Zamknąwszy za sobą drzwi salonu, powiedziała cicho:

– Właśnie dlatego nie mam ambicji. I nie robię nic mądrego ani użytecznego, jak pewne inne dziewczęta.

– Przykro mi, Thelmo. Jak długo on jest w tym stanie?

– Sześć lat. Od czasu wypadku.

– A co się stało?

– Wpadł pod furgon piwowara. W Mandeville starali się mu pomóc, ale noga już na zawsze pozostała niesprawna. – Ściszyła głos. – Zresztą noga to głupstwo. Widziałeś, jaki on jest... Mama zmarła dwa miesiące przed tym wypadkiem na zapalenie płuc. Przypuszczam, że na stan ojca wpłynęło połączenie tych nieszczęść. Dotąd się nie pozbierał, lekarz twierdzi, że to załamanie nerwowe. Drażni go każdy drobiazg, zwłaszcza głośne dźwięki – warkot ciężarówek, huk pioruna, wszystko. I ciągle boi się o mnie. Niech tylko wrócę trochę później, zastaję go w strasznym stanie. Kiedy naprawdę jest z nim źle, nie znosi, żebym zniknęła mu z oczu nawet na pięć minut. – Popatrzyła na Asha z gniewem. – Nie wybrałam sobie takiego życia! Też bym chciała uczyć się w college’u albo zostać pielęgniarką jak twoja przyjaciółka.

– Iris?

– Tak. – Nie spuszczała z niego złego, przenikliwego jak u jastrzębia spojrzenia. – Nie widziałam jej przedtem w tej okolicy. Długo się znacie?

– O, to bardzo stara znajomość. Iris pochodzi z Sheffield, tam ją poznałem. – Uśmiechnął się do wspomnień. – Zjeżdżała na rowerze ze wzgórza i rąbek spódnicy wkręcił się jej w szprychy. Upadła prosto pod moje nogi. Potem straciliśmy kontakt na parę lat. Pokłóciliśmy się, to był mój błąd... głupi błąd. – Przypomniał sobie przyjęcie w Summerleigh i Iris wirującą po sali w ramionach coraz to innego tancerza. Co właściwie wtedy czuł? Gniew, a może zazdrość? – Kiedy dowiedziałem się, że została pielęgniarką, przeżyłem szok; nigdy nie interesowały jej takie sprawy, to nie ten typ dziewczyny. Jej przyjaciółka Charlotte – owszem, ale nie ona... – Wtedy uznał ją za pustą kokietkę, której jedyną zaletą są jasne loki i dziecinne niebieskie oczy. Teraz aż się wzdrygnął, myśląc o swojej głupocie.

– Pewnie dlatego, że jest ładna – stwierdziła beznamiętnie Thelma. – Nie podejrzewałeś, że taka ładna dziewczyna zechce być pielęgniarką. – I dodała smętnie: – Ta jej dzisiejsza kreacja była naprawdę wytworna...

– Tak sądzisz?

Zaraz po wyjściu ze sklepu usłyszał za sobą tupot nóg. Thelma wyciągała coś do niego.

– Weź, proszę! Tutejsi mieszkańcy nie jadają tego, uważają to za trujące czy coś... Ale ja zawsze proszę tatę, żeby sprowadził parę sztuk. Lubię te owoce. I lubię myśleć o miejscu, z którego pochodzą.

To było jabłko granatu. Podziękował, a Thelma obdarzyła go jednym z rzadkich uśmiechów. Potem pobiegła z powrotem do domu.

Clemency martwiła się o wszystkich swoich braci, chociaż z różnych powodów. Philip oswoił się wreszcie ze szkołą, ale nadal przejmował się dosłownie każdym drobiazgiem, na przykład ostrą uwagą, czy ptakiem, którego złapał kot Evy. Zupełnie jakby nie miał naskórka, jakby nie potrafił się obronić przed światem. Clemency myślała czasem, że gdyby był dziewczynką, nie przywiązywano by do tego większej wagi. Wrażliwość u dziewczynki to cenna zaleta, ale u chłopców powód do drwin.

Dopiero podczas ferii świątecznych, przy grze w chińczyka zdecydował się jej zwierzyć:

– Po skończeniu szkoły chcę się uczyć na księdza.

– To znaczy: na pastora?

Rzucił kostką.

– Nie. Na księdza. – Ciemnoniebieskie oczy Philipa napotkały jej spojrzenie. Clemency zrozumiała, że mówił serio. – Jeśli mnie przyjmą, oczywiście. Wiem, że konwertytom jest trudniej.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Chcesz powiedzieć, że przejdziesz na katolicyzm?

– Tak. Już rozmawiałem z jednym księdzem. W niedzielne popołudnia pozwalają nam teraz wychodzić. Spacerowałem po wiosce, a on właśnie wyrywał chwasty w ogrodzie, więc postanowiłem mu pomóc. Jest zupełnie stary, rozumiesz. A potem dużo o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że tego właśnie pragnę. – Posłał jej nieśmiały, zrezygnowany uśmiech. – Wiem, że ojciec będzie zły, zawsze oczekiwał, że przystąpię do interesu. I w dodatku nie przepada za katolikami, prawda? W jego oczach są tak samo źli jak komuniści. Ale ja muszę, Clem, wiem, że to coś w sam raz dla mnie. Jeszcze nigdy nie byłem taki pewny swojej decyzji.

Po krótkiej perswazji Philip zgodził się poczekać do ukończenia osiemnastu lat, zanim podejmie jakiś nieodwołalny krok czy zawiadomi ojca.

– Ale nie zmienię zdania, Clem – podkreślił z mocą i Clemency mu uwierzyła.

Co do pozostałych braci, to dopiero tej zimy Clemency zrozumiała, jak bardzo Aidan nie znosi Jamesa. Nigdy nie żyli w zgodzie, właściwie żaden z trzech braci nie umiał dogadać się z pozostałymi, każdy miał zupełnie inny charakter i każdy krążył wokół apodyktycznego ojca po innej orbicie. Odkąd jednak Aidan zaczął pracować w rodzinnej firmie, musiał z konieczności częściej stykać się z Jamesem. Ponieważ dzieliło ich

dziesięć lat, Clemency nie uważała ich dotąd za rywali. Jeśli w ogóle brać pod uwagę coś takiego jak rywalizacja, to najwyżej ze strony Aidana, gdyż dobroniosny, szczery James był zupełnie niezdolny do zazdrości.

Aidan miał bardziej złożoną psychikę. Clemency często mu współczuła – ona, najprzeciętniejsza z sióstr, dobrze wiedziała, jak to jest, kiedy człowieka nie dostrzegają. Niezdolność do okazywania uczuć, różnice w wyglądzie zewnętrznym – ryzawe włosy, bladoniebieskie, niespokojne oczy i drobna budowa ciała, co w dzieciństwie dało rodzeństwu powód do nazywania go Łasicą – uczyniły go zimnym i odpychającym. A jednak ze wszystkich dzieci Maclise'ów to Aidan okazał się najbystrzejszy. Potrafił błyskawicznie liczyć i wykonywać w pamięci skomplikowane działania, które Clemency pochłaniały całe godziny. W przeciwieństwie do reszty rodzeństwa miał szybki refleks i zdolność do logicznego, pozbawionego emocji myślenia.

Musiało być mu ciężko w rodzinie, gdzie nie lubiono spryciarzy. Przede wszystkim nie cenił ich ojciec, a na jego opinii Aidanowi zawsze zależało najbardziej. Małomówność i powściągliwość chłopca była dla Joshuy oznaką jego podstępного charakteru i chytrości. I nigdy się nie krył z tymi uprzedzeniami. Chociaż Clemency uwielbiała ojca bezkrytycznie, ostatnio i ona zaczęła dostrzegać jego wady. Swoim postępowaniem nieświadomie podsycił niechęć Aidana do Jamesa; miał zwyczaj ogłaszania z dumą sukcesów pierworodnego, natomiast osiągnięcia Aidana kwitował zdawkowym burknięciem. Clemency martwił wyraz triumfu w oczach Aidana, ilekroć Joshua i James się pokłócili. Martwił ją też sposób, w jaki Aidan dolewał oliwy do ognia. W najbardziej niesprzyjających momentach zwykł przypominać ojcu o uchybieniach brata: że wciąż jeździ do Londynu, że wzbrania się przed małżeństwem, a tym samym przed splodzeniem nowego pokolenia Maclise'ów.

Nawet James wydawał się ostatnio mniej wesoły. Clemency często widziała w jego oczach smutek, zwłaszcza kiedy nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany. To się po prostu nie mieściło w głowie, żeby ten beztrioski, pogodny chłopak miał powody do zmartwienia.

Pewnego wieczora dokładała właśnie węgla do ognia, kiedy James wszedł do pokoju.

– Słuchaj no, Clemmie, nie poratowałabyś mnie odrobiną gotówki?

Wlepiła w niego zdumiony wzrok. James poczerwieniał.

– Wiem, nie powinienem prosić...

– Nie szkodzi.

– Rozumiesz... Trochę się splukałem.

– Ciotka Hannah zostawiła mi pewną sumę. – Hannah przeznaczyła dla każdej z niezamężnych sióstr Maclise mały legat.

– Tego nie mógłbym tknąć. To twoje, na czarną godzinę.

– To bez znaczenia, James, chętnie ci dam.

Machnął niecierpliwie ręką.

– Czuję się jak świnia, że muszę cię prosić. Ale jestem przyparty do muru. Poprosiłbym ojca, tylko sama wiesz, jaki on jest.

– Może gdybyś mu wyjaśnił, na co ci potrzeba...?

– Nie mogę tego zrobić.
– Dlaczego?
– Bo... – Urwał i zaśmiał się gorzko. – Wiesz, że ostatnio jestem na czarnej liście. On chce, żebym się ożenił z Louisa Palmer. Nie daje mi spokoju...
– Wiem. – Ojciec nigdy nie odznaczał się subtelnością w swych machinacjach. – A ty nie chcesz się z nią żenić?
– Nie mogę – odparł po prostu.
– Nie lubisz jej?
– Och, Louisa jest w porządku. Nie to, co Alice.
– Ale nie lubisz jej wystarczająco, tak? – odgadła, myśląc o Ivorze.
– Coś w tym rodzaju.
– Czy dzieje się coś złego, James? – spytała łagodnie.
– Właściwie... – Twarz mu spochmurniała. – Właściwie, Clem, to trochę narozrabiałem.
Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Aidan.
– Edith kazała zawołać was na obiad.
Kiedy znów zostali sami, Clemency poprosiła:
– James, opowiedz mi, co się stało.
– Nic – odparł z wymuszonym uśmiechem. – Absolutnie nic.

Marianne zakochała się w ogrodzie Blackwater. Zabrała się do wycinania pnączy, które oplatały krzewy róż, do wrywania duszących je chwastów. W ściółce odkryła skarby: czerwone geranium i maleńkie niebieskie bratki. Ktoś kiedyś kochał ten ogród – zaprojektował go i pielęgnował.

W domu wszystko szło swoim trybem, bez większej ingerencji z jej strony. Przy licznej i sprawnej służbie niewiele pozostawało do zrobienia. W skład personelu wchodziła Rani, czyli *ayah*, która usługiwała Marianne, Nadeshan – chłopak na posyłki – kucharz i podkuchenny oraz *tappul*, czyli kulis pocztowy. Byli jeszcze dochodzący tubylcy: *dhobi* prała ubrania i bieliznę, wybijając je na kamieniach w strumieniu, wędrowni domokrażcy z Indii rozkładali przed Marianne swoje jedwabie, koronki oraz złote i srebrne hafty, krawiec przesiadywał w kucki ze swą antyczną maszyną, szyjąc na niej zasłony, koszule i suknie. I jeszcze pan da Silva, Syngalez o czarnych, siwiejących na skroniach włosach, uprzejmy i sympatyczny człowiek, który zajmował się transportem herbaty do Colombo. Przy okazji swych comiesięcznych wizyt zawsze przynosił Marianne jakiś upominek: bukietek kwiatów, torcik z zielonym i różowym lukrem czy papierowy wiatraczek – jak powiadał – do odstraszenia ptaków z jej pięknego ogrodu.

Na samej plantacji pracowało jeszcze dwóch zarządców – panowie Salter i Cooper – oraz liczni nadzorcy i urzędnicy. Zarządcy mieszkali we własnych skromnych bungalowach w niewielkiej odległości od Blackwater, a ośmiuset tamilskich kulisów, którzy przybyli na Cejlon z południowych Indii, spało w szeregowych barakach pobudowanych między herbacianymi polami. O szóstej rano dźwięk bębnów wzywał kulisów na apel. Liczono ich, dzielono na grupy i pod nadzorem kierowano do różnych

prac: zrywania, pielienia czy przycinania. Marianne dowiedziała się, że najlepiej nadają się do zrywania herbaty kobiety o drobnych, szczupłych palcach. Aby uzyskać najlepszy gatunek, zrywa się tylko najwyższy pączek i dwa listki z każdej sadzonki. Tamilscy mężczyźni wykonywali cięższe prace – przycinali herbaciane krzewy i sadzili nowe, obsługiwali też urzędników.

Wszystko w Blackwater obracało się wokół herbaty. W przetwórnicy powietrze było przesycone jej aromatem, na polach zapach także się utrzymywał, ale słabiej. Zbocza góry znaczyły rudobrazowe ścieżki tworzące kwadraty i koła na ciemnej zieleni pól herbacianych. Uwijały się tam kobiety w kolorowych sari i z wielkimi koszami z palmowych liści przytroczonymi do pleców. Kilka razy dziennie kosze opróżniano, po czym sortowano zebraną herbatę, usuwając nieodpowiednie listki i gałązki. Wtedy dopiero ważono zbiór i zabierano do przetwórnicy.

Pan Salter, mężczyzna o czerwonej twarzy i niezdarnych ruchach, oprowadził Marianne po przetwórnicy.

– To jest suszarnia – wyjaśnił, gdy znaleźli się na piętrze. – Tu się rozkłada listki i zostawia na dzień czy dwa, zależnie od pogody.

Na dole huczały, poskrzypując, bloki, pasy i koła zamachowe.

– A to walec – przekrzykiwał hałas pan Salter. – Służy do miażdżenia listków. Herbata musi fermentować, oczywiście nie chodzi o żaden alkohol, ale soki powinny się utlenić. Listki walcuje się cztery do pięciu razy. Trzeba zatrzymać walec w odpowiednim momencie. Potem kruszarka łamie listki i przesiewa je przez sito. Podczas łamania wydziela się aromat.

W sali do fermentacji rozkładano listki na szklanym stole. Pan Salter otarł czoło i zerknął na Marianne.

– Zaraz, czy ja czasem pani nie zanudzam? To chyba strasznie nużące.

– Wcale nie. A skąd wiecie, kiedy są gotowe?

– Poznajemy po kolorze. Musi być ten właściwy.

Wprowadził ją do następnego pomieszczenia.

– Tu są piece do suszenia. Wydmuchują gorące powietrze na listki. Powinny być zupełnie suche i łamliwe. Potem się je sortuje na gatunki i wtedy herbata jest gotowa do transportu. Przekazujemy ją naszym agentom w Colombo, a oni wystawiają ją na specjalnych aukcjach. Stamtąd herbata trafia na statki i jest rozwożona po całym świecie.

– Pan Salter szarpnął kołnierzyk, ukazując czerwone odparzenia na szyi. – Na smak herbaty mają wpływ klimat i wysokość, na której rośnie. Jeśli deszcze padają nie wtedy, kiedy powinny, odbija się to na jakości, a co za tym idzie, na cenie. To samo dotyczy suszy. Produkcja herbaty jest sztuką, pani Melrose. Chodzi przede wszystkim o smak, kolor i uzyskanie dokładnie tego, co trzeba.

– A tutejsza herbata właśnie taka jest?

– Herbata z Blackwater jest najlepsza na świecie. Pan Melrose jest absolutnie wyjątkowym producentem. I moim zdaniem, świetnie mu się układa. W tym biznesie panuje ciągle współzawodnictwo. Wystarczy nieznacznie obniżyć standard i zaraz traci się zysk, a plantację przechwytyją duże kompanie. Pewnie dlatego pan Melrose kupił Glencoe.

– Glencoe?

– Sąsiednią posiadłość. – Pan Salter machnął ręką w zachodnią stronę. – Zbankrutowali pół roku temu. Właściciel trochę zbzikował, tak między nami to zbyt często zaglądał do butelki. Każdy lubi sobie łyknąć od czasu do czasu, ale jak ktoś pije arak na śniadanie, to chyba nie wychodzi mu na dobre, co? Tak czy inaczej, ktoś wspomniał, że posiadłością interesuje się Lipton, więc pan Melrose musiał szybko działać. Ziemia była poważnie zaniedbana i wciąż wymaga mnóstwa pracy. Zaczęła już porastać dżunglą, wie pani, a z dżunglą się nie wygra. – Spojrzał w okno. – To cały kłopot z tym krajem – śliczny jak cukiereczek, na pierwszy rzut oka człowiekowi wydaje się, że jest w Anglii. Ale to nie Anglia, o nie! – Zmarszczył czoło. – Tu przed pewnymi rzeczami nie ma jak się obronić, człowiek czuje się osaczony, nie ma chwili spokoju. Wystarczy się odwrócić – i już w kuchni są węże, w worku z ryżem mrówki, a te cholerne pnącza zdzierają blachę z dachu. – Znów otarł twarz. – Przepraszam za mój język, pani Melrose, nie jestem dziś w dobrej formie. Chyba mam trochę gorączki.

Pewnej soboty wybrali się do Klubu Plantatorów do najbliższego miasteczka z bazarem i stacją kolejową. Lucas jechał wierzchem, a jeden ze stajennych powiózł Marianne górskim traktem w wozie zaprzężonym w woły.

Plantatorzy, ich żony i rodziny spotykali się w długim prostokątnym budynku. Mężczyźni skupili się w jednym końcu, przy barze, kobiety zasiadły wokół stołów w drugim. Na ścianach wisiały fotografie drużyny krykietowej w białych strojach oraz wąsatych mężczyzn ze strzelbami.

Wszedłszy do klubu, Marianne wyczuła niemal namacalny dreszczyk ciekawości. Wszystkie oczy zwróciły się ku niej, wymieniano szeptem uwagi, składano im gratulacje. Ktoś skinął na kelnera – siwowłosego staruszkę o brązowej skórze, ubranego w białą tunikę z mosiężnymi guzikami – i zamówił drinki, aby wznieść toast za nowożeńców.

Plantatorzy z żonami podchodzili kolejno do Marianne i ściskali jej dłoń. Zauważyła, że obowiązuje pewna hierarchia: najpierw właściciele plantacji i starsi administratorzy, potem młodsi i wreszcie zarządcy. Poszczególne grupy trzymały się oddzielnie, zajmując osobne stoliki.

Przedstawiono jej Ralpa Armitage’a i Rawlinsonów. Armitage był wysoki, o potężnej budowie i haczykowatym nosie. Obrzucił Marianne szybkim spojrzeniem, po czym uprowadził Lucasa na drinka do męskiej części sali. Sekretarz klubu, pan Rawlinson, mizerny i siwowłosy, przy rozłożystej, krzepkiej żonie wyglądał jak cień. Anne Rawlinson miała grube rysy i nazbyt ogorzałą karnację osoby, która zbyt długo przebywała na słońcu.

– Więc to pani w końcu usidliła Lucasa! – huknęła gromko. – Niech no się pani przyjrzy. Ależ młodziutkie stworzenie! Ileż to mamy lat, dziewiętnaście? Dwadzieścia?

– Mam dwadzieścia cztery lata.

– Dwadzieścia cztery! Nigdy bym nie pomyślała. Jest pani bardzo blada, moja droga, trzeba bardzo uważać, tutejsze słońce fatalnie wpływa na taką białą skórę. Jak się pani podoba Cejlon? Całkiem przestronny bungalow macie w tym Blackwater. Chyba

Lucas znalazł odpowiednią służbę?

– Wydają się bardzo sprawni.

– Radzę dobrze pilnować *ayah*. Moja dawno prysnęłaby z biżuterią, gdybym dała jej szansę. – Wzięła z tacy drinka. – Ci ludzie nie mają poczucia dobra i zła, są jak dzieci.

Marianne podziękowała za drinka. Pani Rawlinson od razu rozbłysły oczy. Pochylając się do przodu, zapytała teatralnym szeptem:

– Czyżby zanosilo się na szczęśliwe wydarzenie? Już ja zawsze poznam. Jest coś takiego w twarzy... Och, proszę się mną nie przejmować, pani Melrose. Szybko się pani przyzwyczai, tu wszyscy znają moją obcesowość. Ale mam rację, prawda? Kiedy się pani spodziewa?

– Doktor Scott mówi, że w połowie marca.

– A pobraliście się w końcu czerwca? – Pani Rawlinson zmrużyła oczy, wyraźnie licząc w myśli miesiące. – Szybki chłopak z tego Lucasa, no nie? Ale on nigdy nie guzdrał się w tych sprawach.

– Co pani ma na myśli?

– Nic, moja droga. – Kończyła już swój dżin z tonikiem. – Absolutnie nic. – Poklepała Marianne po ręce. – Gdyby pani potrzebowała jakiejś informacji czy czegoś, proszę mnie pytać, wiem wszystko, co i jak. W końcu mieszkam już kopę lat w tych górach.

Podeszła do nich młoda blondynka. Pani Rawlinson przedstawiła ją Marianne jako panią Barlow.

– Pokażę pani nasz kort tenisowy, dobrze? – zaproponowała. – Jesteśmy z niego bardzo dumni. – A kiedy wyszły na zewnątrz, dodała ścisząc głos: – Pomyślałam, że trzeba panią ratować.

– Co za wścibska i protekcyjnalna baba! – syknęła ze złością Marianne.

– Jak pierwszy raz przysła do mnie z wizytą, węszyła dosłownie wszędzie i we wszystko wtykała nos. Już myślałam, że za chwilę zaczniesz przeglądać mi rzeczy w szafie i sprawdzać koronkę przy halkach.

Marianne parsknęła śmiechem.

– Dziękuję, że przysła mi pani z pomocą, pani Barlow.

– Clare. Proszę mówić mi Clare.

– A ja jestem Marianne.

– Podśluchałam, że spodziewasz się dziecka. Coś musi być w tym powietrzu. Ja urodziłam swoje pierwsze dokładnie dziewięć miesięcy po przyjeździe, a następne rok później. O, tam są. – Clare wskazała dwie dziewczynki z włoskami w kucyki, kołyszące się na huśtawce.

– Śliczne! Ile mają lat?

– Hilda siedem, a Joan sześć. Niedługo wyjeżdżają do szkoły w Anglii. Nie wiem, jak to zniosę. Odkładałam ich wyjazd, póki się dało... Będę taka samotna! Mogłabym urodzić jeszcze jedno dziecko, bo Johnnie oczywiście chce chłopca do tej parszywej plantacji, ale sama nie wiem... Taka byłam szczęśliwa z moimi dziewczynkami! – Clare się skrzywiła. – Ostatnio ledwie nam się udaje zamienić jakieś cywilizowane słowo, a cóż dopiero spać w jednym łóżku. I wcale nie wiadomo, czy będzie syn. – Zajrzała do swojej

szklanki i zmarszczyła brwi. – Przepraszam, wypiałam trochę... Zwykle w ciągu dnia nie piję, więc uderzyło mi do głowy. A Johnnie i ja po prostu przechodzimy zły okres. Przed wyjściem mieliśmy straszną awanturę, dlatego piję. Małżeństwo tutaj to niełatwa sprawa. Za bardzo jest się zdanym na siebie, za dużo tych długich wieczorów, spędzanych w domu tylko z dziećmi i służbą... I nie ma co robić poza pisaniem listów, czytaniem, grą w karty i piciem. Mężczyźni są tu przyzwyczajeni, że świat się kręci wokół nich, a my mamy być gotowe na każde ich skinienie, jak kulisi. Zawsze powtarzam Johnniemu, że na swojej plantacji jest bożkiem – co powie, to święte. Tak, tak, robią, co chcą i nie ma komu ich powstrzymać. To uderza im do głów, niestety. – Nagle zawołała: – Hilda! Puść Joan, teraz jej kolej! – Uśmiechnęła się do Marianne. – Niedługo cię odwiedzę. Zobaczysz, że się zaprzyjaźnimy. Mamy z sobą wiele wspólnego – a przynajmniej obie nie lubimy Anne Rawlinson.

Lucas zajmował się oczyszczaniem gruntu w Glencoe – wrywał gęste poszycie, ścinał drzewa, usuwał kamienie i gałęzie. Kiedy w południe wracał do bungalowu, miał ubranie zabrudzone rudą ziemią, a po pokrytej pyłem twarzy spływał mu pot.

Pewnej nocy, wracając do sypialni po wizycie w łazience, Marianne usłyszała w ciemności jakiś szelest. Uniosła świecę, oświetlając kąty korytarza, w obawie że do domu dostał się wąż. Nagle rozległ się śmiech – szybko stłumiony, a potem odgłos kroków i zamykanych drzwi.

Poszła do salonu i odsunęła zasłonę. Z początku widziała tylko czerń tropikalnej nocy oraz gęstwinę drzew i pnączy wokół ogrodu. Potem jej oko przyciągnął błysk koloru – coś mignęło i zaraz znikło, pochłonięte przez zarośla.

To samo powtórzyło się kilka nocy później. Marianne zrozumiała, że nocny gość (kobieta, jak mogła sądzić po lekkich, pełnych gracji krokach i jaskrawym sari narzuconym na długie, czarne włosy) zmierza do kwater kulisów.

Poruszyła ten problem w rozmowie z Clare, gdy ta odwiedziła ją pewnego popołudnia.

– Gdyby to było w Anglii – tłumaczyła – każdego służącego, który sprowadzałby do domu dziewczyny, natychmiast bym zwolniła. Ale tutaj po prostu nie wiem, co robić. Nie jestem nawet pewna, czy nie traktuje się takich spraw jako czegoś normalnego. I czy zaczynając dochodzenie, nie wywołam niepotrzebnego zamieszania. Nie chcę pytać o to Lucasa. Powiedział mi wyraźnie, żebym nie zawracała mu głowy sprawami domu. Zresztą powinnam sobie poradzić sama.

Siedziały w pawilonie na zboczu. Clare paliła papierosa.

– A wiesz do kogo ta dziewczyna przyszła?

Marianne westchnęła.

– Próbowałam rozmawiać z Rani, ale po prostu zasznurowała usta. A wypytywanie męskiej służby bardzo mnie krępuje, jednak... chyba będę musiała.

Clare zmarszczyła brwi.

– Kochanie, a jesteś pewna, że ona odwiedza służącego?

– A kogóż by innego? – zdziwiła się Marianne. – Ach... Chyba nie myślisz

o Lucasie?

– Wielu naszych panów ma tamilskie kochanki, czasem nawet dwie. Johnnie także. Zna tę dziewczynę dłużej niż mnie... No i do tego pół tuzina dzieci w kolorze kawy.

– I tobie to nie przeszkadza?

Clare zaciągnęła się papierosem.

– Z początku nawet bardzo mi przeszkadzało. Ale teraz... Musisz zrozumieć, że Lucas żył tu samotnie przez wiele lat. Nie możesz go winić, że potrzebuje damskiego towarzystwa. Nie, jeśli ona rzeczywiście odwiedza Lucasa, to lepiej przymknąć oko. – Clare błędziła niespokojnym spojrzeniem po wzgórzach, ogrodzie i bungalowie. – Słyszałam, że niektórzy plantatorzy w końcu współżyją z psami. No, na to już bym się nie zgodziła.

Epidemia dyfterytu zaczęła się w dzień Nowego Roku. Choroba objawiała się wysoką temperaturą i bólem gardła. W najgorszych przypadkach na ściankach gardła tworzyły się szarawe naloty, zatykające krtań i powodujące duszenie się pacjenta. Najbardziej zagrożone było życie małych dzieci, poniżej pięciu lat. Jedyne ratunek polegał na zabiegu tracheotomii, czyli wprowadzeniu do tchawicy rurki do oddychania.

W ciągu dwóch tygodni epidemia opanowała cały East End. Osłabione chronicznym niedożywieniem dzieci, które jednego dnia bawiły się na ulicy, następnego leżały martwe. Część umierała już w drodze do szpitala, inne w izbie przyjęć. Iris przydzielono na oddział dziecięcy, gdzie razem z Rose Dennison biegały od jednego łóżeczka do drugiego, pilnując, żeby kaszłym dzieciom nie wypadły rurki tracheotomiczne. Do praktykantek należało zmienianie pieluch i pościeli. Często jakieś dziecko umierało: zasinienie skóry, charkot – i cisza. Biegła w posługiwaniu się igłą Iris zszywała całuny, podczas gdy Rose zabierała martwe dziecko z sali. Wiele z tych zgonów zdarzało się tuż przed świtem, jak gdyby w tej najczarniejszej, najzimniejszej godzinie nocy dzieci traciły chęć do walki o życie. U jednych śmierć następowała wskutek uduszenia, u innych nie wytrzymało osłabione walką serce. W pewnym momencie zdawały się godzić z przegraną; kończyny stawały się cięższe, oddech coraz powolniejszy. Czasem Iris kołysała je w ramionach, gładząc zapadnięte policzki i mrużąc jakieś słowa. Później już nigdy nie umiała oddzielić nawlekanej igły od wspomnienia białego całunu i charczącego dziecięcego oddechu.

Gdy tylko udawało się jej znaleźć choćby pół godziny wolnego, uciekała ze szpitala. Stała się mistrzynią w wymykaniu się z domu pielęgniarek bez wiedzy przełożonej. Zaglądała do sklepów, przeglądała książki na półkach „biblioteki za pensa”, byle tylko wyrwać się z mrocznej, klaustrofobicznej atmosfery na oddziale. Czasem spotykała się z Ashem. Jedli rybę z frytkami z gazety, spacerując po zimnych ulicach w lodowatym deszczu. Raz zaprosił ją do kina, gdzie zaraz po zgaszeniu światła zasnęła z głową na jego ramieniu, tak że musiał ją obudzić po skończonym seansie. Jeśli nie widziała go przez dwa dni, zaczynała tęsknić.

Po najgorszej z powodu braku personelu nocy musiała przepracować jeszcze cały dzień. Kiedy wreszcie zeszła z dyżuru, zamiast wrócić do siebie, napić się herbaty i wypocząć, przebrała się tylko i poszła do Asha.

W kącie kuchni chrapał pies o zmierzwionej, szarobrunatnej sierści,

a w wiklinowej klatce trylował kanarek. Iris skrzywiła nos.

– Ten pies...

– Ktoś go tu przyprowadził.

– A kanarek?

– Turnerowie mieli „przeprowadzkę przy księżycu”, bo zalegali z czynszem. Prosimy, żebyśmy się nim zaopiekowali, póki gdzieś się nie urządzi.

– I ten zlew... – Popatrzyła z niesmakiem na stos garnków i patelni. – Boże, gadam jak typowa siostra oddziałowa! Ale naprawdę, Ash, powinieneś znaleźć sobie kogoś do sprzątnięcia.

– Mam sprzątaczkę.

– Niech zgadnę... Na pewno wybrałeś najbiedniejszą z kalekich staruszek, bo ci jej było żal.

– No niestety ostatnio nie może zbyt ciężko pracować. Ma problem z nogami. Naprawdę chcesz o tym rozmawiać czy raczej zmienimy temat?

Spuściła wzrok i gwałtownie pokręciła głową. Ash objął ją ramieniem i przytulił. Iris zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłem jego ciała. Nareszcie ma kogoś, na kim może się oprzeć, kto uwolni ją od koszmaru ostatnich tygodni. Kusiło ją, by złożyć mu głowę na ramieniu i zasnąć w jego objęciach.

Miała też jeszcze jedną pokusę, i to taką, której nie przeczuwała: aby nadal jej dotykał, aby ręka, która teraz poklepywała ją po ramieniu, gładziła jej szyję, twarz... By usta muskające przelotnie jej włosy, odszukały wargi...

Wyrwała mu się jednak i zaczęła rzeczową relację:

– Ostatniej nocy przyjęliśmy na oddział dwadzieścia pięcioro dzieci. Dwanaścioro z nich zmarło. W takich chwilach po prostu nie wiem, co ja tam robię, i wydaje mi się, że nienawidzę swojego zawodu. – Ścisnęła w palcach fałdę sukni. – Przypuszczam, że czuć to ode mnie. Ten wstrętny szpitalny odór...

– Co za bzdura – pocieszał ją. – Pachniesz ślicznie, jak zawsze.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Chciałabym, żebyś pomógł mi się od tego oderwać.

– A na co masz ochotę? Może pójdziemy na kolację?

– Wolę na dancie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Kiedyś tańczyliśmy z sobą, pamiętasz? W Summerleigh...

– Pamiętam, że się upiłem i fatalnie zachowywałem. Obiecuję, że tym razem będzie inaczej.

Wyjęła mu z szafy jakieś nadające się do użytku ubranie.

– Będę musiała zabrać cię na zakupy. Te mankiety są całkiem wystrzępione. – Jej głos zdawał się wisieć w powietrzu, lekki, błyskotliwy, dźwięczny.

Poszli na podwieczorek z tańcami do małego hotelu w Shoreditch. Podano im herbatę z sandwiczami i ciastka, grał trzyosobowy zespół, a giemzowe pantofelki skrzypiały na wypolerowanym parkiecie. Wokół unosił się zapach papierosów i tanich perfum. Urzędnicy w wykrochmalonych kołnierzykach obejmowali w tańcu maszynistki i sprzedawczynie, salę wypełniały ostre, hałaśliwe rytmy ragtime’u, hipnotyzując gości, nie pozwalając zaprzestać tańca, niosąc zapowiedź podniecających zmian.

Pod koniec tańców Iris udała się do damskiej przebieralni. Błede dziewczęta pudrowały sobie twarze, jedna upinała naderwany obrąbek. Dziewczyna w różowej sukni z tafty opierała się o umywalkę, zanosząc się od płaczu.

– Mówi, że mnie kocha, ale to nieprawda – powtarzała w kółko swojej przyjaciółce.

Iris przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Też miała bladą twarz, a pod oczami ciemne sińce. Obrazy z poprzedniego dnia i nocy wciąż przelatwały jej przez udreżony umysł: znów wyjmowała z szafy marynarkę Asha... znów trzymała w ramionach umierające trzymiesięczne niemowlę o nastroszonych niczym szczotka do butelek włoskach... znów zszywała biały całun...

W pewnym momencie uchwyciła w swym mrocznym spojrzeniu błysk rozpacz. Nie wiedziała, czy to z powodu zmarłych dzieci czy tego, co dziś sobie uświadomiła. Co za głupota zakochać się w mężczyźnie, który przed laty wyraźnie powiedział, że jej nie chce! W mężczyźnie, który już raz złamał jej serce. Co za głupota zakochać się w Ashu!

9 *Kniphofia Uvaria*, bylina o wysokich kwiatostanach, sięgających 90 cm.

10 National Union for Women Suffrage Societies – Narodowa Unia Związków Sufrażystek.

Rozdział jedenasty

Pewnego razu, obserwując z okna salonu nocnego gościa Lucasa, Marianne usłyszała za sobą szelest. Odwróciwszy się, zobaczyła, że w progu stoi Rani.

– Jak ona ma na imię? – spytała, pozwalając opaść zasłonie.

Nie było odpowiedzi.

– Rani! Pytam, jak jej na imię!

Zobaczyła błysk strachu w ciemnych oczach. Potem nocną ciszę zakłócił szept:

– Nazywa się Parvati, *dorasanie*.

– Czy przychodzi tu do *peria dorai*?

Rani dotknęła czubkami palców czoła.

– Pani powinna wrócić do łóżka. Pani nie wzięła szala. Może się przeziębic.

Marianne widywała na terenie posiadłości niemowlęta śpiące w hamakach na gałęziach przydrożnych drzew, podczas gdy ich matki pracowały w polu. Kiedy starsze dzieci wytrzeszczały na nią oczy, lustrowała je wzrokiem, szukając jaśniejszej skóry i oczu, a wśród grupki kobiet wypatrywała czerwonego sari i złotych bransolet. Wypatrywała dziewczyny imieniem Parvati, która zamiast niej sypiała w łóżku jej męża.

Rytm życia w posiadłości nie podlegał zmianom: liczyło się tylko zbieranie i transport herbaty, w bungalowie także obowiązywał zawsze ten sam rozkład dnia. Wielkie połacie herbacianych pól otulały zbocza niczym koc złożony z tysięcy krzewów *camelia siniensis* – rośliny, której uprawa wyznaczała kurs życia wszystkich mieszkańców.

O każdym nowiu z osady kulisów rozlegały się dźwięki bębnów, a nocami płonęły ogniska, odcinające się pomarańczową barwą na tle czarnego jak atrament nieba. Z blaszanych dachów powiewały chorągiewki i serpentyny, przy przydrożnych świątynkach składano ofiary. Raz, po deszczu, znaleźli na werandzie węża – brązowy, śpiący w słońcu zwój. Lucas pobiegł po pistolet i wypalił mu w łeb. Huk wystrzału odbił się echem wśród drzew.

Wybrali się na dwa dni do posiadłości Barleyów sześćdziesiąt kilometrów od Blackwater. Wieczorami Lucas z Johnnym pili i opowiadali sobie dowcipy, Marianne z Clare przesiadywały przy kominku w salonie. Kilka tygodni później odwiedził ich Ralph Armitage. Przy obiedzie jego gromki głos wypełniał całą jadalnię, a wielkie cielsko z szeroko rozstawionymi nogami zdawało się wylewać z krzesła. Pochłaniał niesamowite ilości jedzenia i pił na umór, ale do Marianne odzywał się z rzadka; wyczuła, że nie uważa jej za godną uwagi, toteż opuściła jadalnię natychmiast po posiłku. Przez resztę wieczoru cały bungalow rozbrzmiewał męskimi głosami. Od czasu do czasu rozlegały się szybkie, lekkie kroki Nadeshana, śpieszącego po kolejną butelkę araku. Ledwie zdążyła zasnąć, obudził ją huk strzałów, dobiegający z ogrodu. Rano znalazła pod banianem brahmińską kanię z zakrwawionymi brunatnymi piórami.

W klubie Anne Rawlinson omiotła jej brzuch inkwizytorskim spojrzeniem.

– No moja droga, chyba mamy już sześć miesięcy za sobą, co? Dobrze się czujesz?

Siedziały na werandzie. Na kortach rozgrywano turniej tenisowy – piłki stukały o rakiety, czasem ktoś krzyczał: „aut!”.

– Znakomicie, Anne, dziękuję.

– Opiekuje się tobą doktor Scott? Jest dobry, jeden z najlepszych. Wszyscy leczymy się u niego.

Doktor Scott miał ciepłe, wilgotne ręce i pachniał tytoniem. Odwiedzając Blackwater, zawsze zostawał na wieczór i pił z Lucasem. Marianne zmieniła temat:

– Przycinałam ostatnio róże w ogrodzie. Są dość zaniedbane i wybujałe.

– Pamiętam czasy, kiedy róże z Blackwater były najładniejsze w całej prowincji. Oczywiście sadziła je matka Lucasa. Sarah miała cudowną rękę do roślin. Patrząc na nią, nigdy byś tego nie powiedziała.

W bungalowie nie było ani fotografii, ani portretu Sarah Melrose. Marianne chciała wiedzieć coś więcej o założycielce ogrodu.

– Jaka ona była?

Pani Rawlinson paliła papierosa.

– Jasnowłosa z niebieskimi oczami. Typ, dla którego mężczyźni tracą głowy. Owijała ich naokoło palca, zanim te głupki się połapały.

– Ojcu Lucasa musiało być ciężko, kiedy umarła.

– Umarła? – Pani Rawlinson potarła zapałkę o pudełko. – Ona wcale nie umarła. Uciekła z handlarzem drewna z Colombo.

– Ale Lucas mówił... – Marianne urwała. Co Lucas właściwie powiedział? „Straciłem matkę wiele lat temu”.

W oczach pani Rawlinson pojawił się wyraz żywej dezaprobaty.

– Z nie najwyższej półki wywodził się ten jej kochaś. I między nami mówiąc, miał więcej niż kroplę kolorowej krwi. Oczywiście nie trwało to długo, rzuciła go po kilku miesiącach. Żał mi było tylko dziecka – Lucas miał zaledwie cztery lata. A George Melrose nie należał do ludzi łatwych w pożyciu. Za dużo pił. Słyszałam różne historie...

Nagle padł na nie cień. Zdanie zawisło w powietrzu.

– Lucas, kochanie! – rozpromieniła się Anne Rawlinson. – Ty nie na korcie? Zawsze myślałam, że grywasz!

– Doskonale wiesz, że nie grywam.

Krótko potem opuścili klub. Lucas jechał konno, Marianne, jak zwykle, na wozie. Ledwie skręcili na górski trakt, mąż zapytał:

– Co ta baba ci naopowiadała?

Jakaś podejrzana nuta w jego głosie nie pozwoliła jej powiedzieć prawdy.

– Rozmawiałyśmy o dziecku... I o ogrodzie w Blackwater.

Skierował konia bliżej wozu. Marianne miała wrażenie, że jedzie po samej krawędzi przepaści.

– Miałem na myśli to, co mówiła o mojej matce.

– To nie było nic ważnego.

– Powiedz mi.

– Po prostu uświadomiła mi moją głupią pomyłkę. Myślałam, że twoja matka umarła, kiedy byłeś dzieckiem.

– I ta wścibska suka powiedziała ci, że to nieprawda?

Wstrzymała oddech. Zerknęła na woźnicę, ale ten obojętnie wpatrywał się w najbliższy zakręt.

– Co jeszcze ci mówiła?

– Nic. Zresztą i tak jej nie uwierzyłam.

Lucas milczał przez chwilę.

– Opowiedziała ci, że moja matka uciekła, zostawiając Blackwater i mnie z nim. Tak? Czemu te baby muszą tyle plotkować? Jazgoczą jak małe pieski, wtykają nosy do cudzych spraw! – Spiął konia do galopu i niebawem zniknął w tumanie rudego pyłu.

Przy obiedzie tylko nieznaczna chwiejność ruchów Lucasa i niezbyt wyraźna mowa zdradziły Marianne, że pił. Trwała cisza, przerywana jedynie brzękiem talerzy i szklanek. Żadne z nich nie miało apetytu.

Nadeshan sprzątał talerze, kiedy Lucas się odezwał:

– Jeśli chcesz wiedzieć, moja matka zmarła dziewięć miesięcy temu. Dlatego właśnie wybrałem się do Anglii. Słyszałem, że choruje i spodziewałem się, że głupia suka coś mi zostawi. Ale nie! Ani pensa! – Szare oczy ześliznęły się ku Marianne. – Potrzebowałem pieniędzy, żeby kupić ziemię, rozumiesz. Ale ta kurwa znowu mnie pograżyła, nawet po śmierci. – Wstał. Wychodząc z pokoju, obejrzał się i dodał zimno: – Więcej do klubu nie pójdziesz. W twoim stanie to niewskazane. Trakt jest nierówny, może oderwać się koło. Nie chcę, żeby coś złego przytrafiło się dziecku.

Marianne poszła do swojego pokoju. Siedząc na łóżku, zorientowała się, że drży. Przez całe jej życie żaden mężczyzna nie odezwał się do niej tak, jak Lucas. Ani ojciec, ani bracia, ani Arthur nigdy nie używali takich słów i takiego tonu w obecności kobiet.

Nagle uświadomiła sobie ciemność nocy i obcy charakter tej ziemi. I jeszcze ogrom przestrzeni, jaka dzieliła ją od tych, których kochała. Na samo wspomnienie sióstr poczuła niemal fizyczny ból. Wzrok jej spoczął na stoliku, przy którym w sobotnie wieczory pisywała zwykle do Iris, Evy, Clemency... Co ma im teraz do powiedzenia? „Niestety popełniłam fatalną pomyłkę. Zdaje się, że w ogóle nie znam swojego męża”. Papier i koperty pozostały nietknięte.

Jednakże rano ów lęk wydał się jej wyolbrzymiony, wręcz histeryczny. Jakież to straszne, utracić matkę w tak młodym wieku! I jakie niewybaczalne ze strony tej kobiety, żeby opuścić własne dziecko! Nic dziwnego, że Lucas nie znosi plotek na ten temat. Ojcostwo z pewnością wydobędzie z niego najlepsze cechy. A co do picia... Cóż, wielu mężczyzn pije za dużo i zdarza się, że bywają potem nieprzyjemni. Miała do tej pory szczęście, że ci, których znała, umieli się hamować. Musi być cierpliwa; jej mąż pracuje do późnych godzin i jest wyczerpany. Nie mieli dotąd szansy odkryć uroków swego towarzystwa, chociaż właśnie na to najbardziej liczyła w małżeństwie. Jak Lucas skończy oczyszczanie ziemi w Glencoe, będzie czas, by lepiej się poznać.

Minęło kilka tygodni. Wszelkie zastrzeżenia do stosunków w małżeństwie z nadwyżką rekompensowało piękno krajobrazu i oczywiście radość oczekiwania na dziecko. Marianne wcale się nie przejęła zakazem jeżdżenia do klubu. Nigdy nie czuła się swobodnie wśród obcych, wołała ściśle grono przyjaciół. Sztuczna etykieta towarzyska utrzymywała się nawet tu, na Cejlonie, w środowisku plantatorów i ich żon. Marianne

najlepiej czuła się w ogrodzie Blackwater – w swoim własnym raju.

Satysfakcja, jaką Iris odczuwała z uprawiania swego zawodu, w ciągu ostatnich kilku miesięcy jakby się zmniejszyła. Winą za to obciążała siostrę Dickens, na której oddziale pracowała od końca lutego. Dotąd nie zetknęła się z nią oko w oko; siostra Dickens bardzo ściśle przestrzegała czystości, porządku i dyscypliny. Wszystkie oddziałowe w Mandeville przestrzegały tego samego, ale od siostry Dickens wiało chłodem, brakowało jej też współczucia dla pacjentów, czego Iris nie mogła znieść. W Mandeville latami pracowały takie pielęgniarki, które choć sprawne i energiczne, pozostawały obojętne na cierpienia chorych. Nic nie było w stanie ich poruszyć – śmierć, poczucie straty, ból, zdawały się po nich sływać jak woda po kacze.

Iris czasem obawiała się, że też tak skończy. Ciągle śniła się jej epidemia dyfterytu, bieganie od jednego łóżeczka do drugiego, strach, że nie nadąży z poprawianiem rurek tracheotomicznych. Od czasu epidemii czuła, że coś w niej stwardniało; zupełnie jakby wyczerpała już swój limit uczucia. Z drugiej strony, wiedziała, że jest po prostu przemęczona, bo w Mandeville wiele od niej wymagają, a nikt nie mógłby znieść takiej niekończącej się harówki. Wiedziała też, że właściwym rozwiązaniem byłoby spróbować czegoś nowego, zupełnie odmiennego. Z jej kursu tylko garstka koleżanek została jeszcze w Mandeville, inne przeszły do innych szpitali albo przyjęły prywatne posady. Na tablicy w domu pielęgniarek wciąż pojawiały się ogłoszenia z ofertami pracy w prywatnych domach, Iris nawet czasem je przeglądała.

A jednak nigdy nie odpowiedziała na taką propozycję. Dobrze wiedziała dlaczego: z powodu Asha. Przy Ashu nie czuła się wypłukana z emocji, przeciwnie, ciągle przeżywała ich nadmiar, wahając się między nadzieją a rozpaczą. Ukrywała się z tym oczywiście; wprawdzie sama nigdy nie była zakochana, ale kochało się w niej dostatecznie wielu mężczyzn, by dobrze znała objawy i unikała ich okazywania. Przychodziło jej czasem do głowy, że powinna próbować zdobyć Asha – nie zapomniała przecież tej gry: uśmiechy, muskanie czubkami palców... Ale kurczyła się w sobie na samą myśl o tych sztuczkiach.

Nigdy przedtem nie była tak niepewna mężczyzny. Nie potrafiła rozstrzygnąć, czy go pociąga czy też jest dla niego tylko jedną z wielu przyjaciółek. A jeśli tak, to czy ją to zadowala. Czasem myślała, że tak. Przedtem przyjaźń zupełnie jej wystarczała, więc czemu nie może tak być i teraz?

Chociaż marzyła, by zostać z Ashem sam na sam, prawie się to nie udawało. Nie mieli się gdzie podziąć. Goście płci męskiej, poza braćmi i ojcami, nie mieli wstępu do domu pielęgniarek, natomiast przez mieszkanie Asha wciąż przewalały się tabuny przyjaciół, którzy jedli przy jego stole, sypiali na jego sofie i bez przerwy ktoś pukał do drzwi. Do stałych gości należała także Thelma Voss. Od czasu do czasu Iris napotykała złe spojrzenie jej ciemnych oczu, w których widziała wyraźne wyzwanie.

Traktowała jak skarb spędzane wspólnie chwile, takie jak godzina w kinie na Piccadilly, spacer po Whitechapel w ostrym, kłującym w twarz wiosennym wietrze, szybki lunch w kafejce albo – najlepszy z tego wszystkiego – podwieczorek z danciem

w obskurnym hoteliku; Ash obejmował ją wtedy w tańcu, a Iris odwracała twarz, żeby nie wyczytał w jej oczach, jak bardzo jest szczęśliwa. A jednak zastanawiała się, jak długo tak wytrzyma. Ustawiczny brak szczerości zaczynał ją męczyć. Nigdy nie dać mu poznać, nie dopuścić, by odgadł... Już raz upokorzyła się przed nim, nie może ryzykować powtórzenia. Ale pragnęła go dotykać, wplatać mu palce we włosy, muskać wargami jego usta. Pragnęła, by wziął ją w ramiona i całował; nie spodziewała się, że to pragnienie może być aż tak intensywne.

Czasem nienawidziła się za to uczucie. Wolałaby nadal pozostać dawną Iris, która zawsze stawiała na swoim, zawsze zrywała pierwsza. Jeśli tak ma wyglądać miłość, to ona dziękuje bardzo.

W miarę postępu ciąży brzuch Marianne napęczniał niczym dojrzały owoc, a ramiona nabrały krągłości. Dziecko poruszało się i przemieszczało. Marianne źle znosiła upał, przenosiła się ciągle z werandy pod banian albo do pawilonu w poszukiwaniu cienia. Bungalow i ogród stały się teraz całym jej światem – nie podejmowała już wypraw do miasteczka ani w głąb posiadłości. Cztery tygodnie przed porodem dłonie i stopy jej spuchły – pierścionki nie wchodziły już na palce. Nawet spacer do pawilonu ją męczył; na tej wysokości powietrze było rozrzedzone i brakowało w nim tlenu. Dziecko napierało na żebra i żołądek, utrudniając oddychanie i jedzenie. W nocy nie mogła sobie znaleźć wygodnej pozycji w łóżku, własne ciało wydawało się jej obce, rozdęte i ciężkie. Leżąc bezsennie w godzinach poprzedzających świt, patrzyła przez moskitierę na zielonego gekona sunącego po suficie, wsłuchiwała się w odgłosy dżungli, łopot skrzydeł i kroki w ciemności.

Od wielu tygodni utrzymywała się susza. Pewnego ranka Marianne obudził trzask pioruna. Niebo rozdzierały wielkie zygzaki błyskawic, ale mimo nagromadzenia ciemnych chmur nie spadła ani kropla deszczu. Jedli na werandzie śniadanie, kiedy przyjechał konno pan Salter z wiadomością, że piorun uderzył w Glencoe i poszycie lasu się pali. Lucas chwycił kapelusz i szpicrutę, wołając, by siodłano mu konia.

Marianne przez cały dzień nie mogła sobie znaleźć miejsca. Na suchym niebie raz po raz pojawiały się błyskawice. W gorącym, nieruchomym powietrzu wyczuwało się jakieś wibracje, jakby zaraz miało się wydarzyć coś doniosłego. Kiedy wczesnym wieczorem Lucas wrócił do bungalowu, miał poczerniałą odzież i skórę. W brudnej, spoconej twarzy świeciły jasne oczy.

Marianne spotkała go na werandzie.

– Ugasiliście ogień? – spytała.

Skinął głową i zawołał Nadeshana, który natychmiast przybiegł z domu. Lucas podał mu swój kask i usiadł, żeby boy mógł ściągnąć mu buty.

– Daj mi coś do picia, na miłość boską. Tylko szybko! – Nadeshana pobiegł po napój. – Straciliśmy połowę świeżo posadzonych krzewów.

– Z tego dokupionego gruntu? Och, jak mi przykro!

– Cała robota na nic! Wszystko poszło z dymem. – Walnął pięścią w poręcz. – Ta ziemia jest jak hubka. Trzeba nam deszczu.

Wrócił Nadeshana z tacą. W pośpiechu zawadził nogą o wystającą deskę; butelka i szklanka spadły, rozbijając się w drobny mak. Lucas zaklął i z całej siły uderzył boya w głowę, tak że ten padł jak długi na podłogę.

Z domu wybiegł inny służący z nową szklanką i butelką dżinu. Na twarzy Nadeshana wystąpiły czerwone ślady; przy zbieraniu szkła pokaleczył sobie palce. Kiedy obaj służący zniknęli za drzwiami, Lucas spojrzął na Marianne.

– Co jest?

– Lucas... – Była tak zszokowana, że nie mogła mówić.

– Odpowiedz mi! – zażądał, mrużąc oczy.

– Uderzyłeś go. Uderzyłeś Nadeshana!

Parsknął śmiechem.

– Dobry Boże! Chyba nie zamierzasz prawić mi kazań?

– Lucas, to przecież tylko dziecko!

– Służący – sprostował szorstko. – Niezdarny służący.

– Nie wolno bić służby!

– Daj spokój, wszyscy tak robią!

– Arthur nigdy w życiu nie uderzyłby służącego!

Oczy pociemniały mu z gniewu.

– Arthur, Arthur. Mam już dość gadaniny o świętym Arthurze. – Sięgnął po butelkę. – Jak mnie w Anglii męczyło wysłuchiwanie tych nudziarstw o twoim idealnym mężu! – Przechylił szklankę do gardła. – Przynajmniej dobrze zrobił, że umarł, zanim zdążyliście sobie obrzydnąć.

– To podłość mówić takie rzeczy! – krzyknęła. – Po prostu podłość! Jesteś przemęczony albo pijany. Nie chcę tego słuchać.

Chwycił ją za rękę i przytrzymał.

– Nigdzie nie pójdziesz. Ta rozmowa zaczyna mnie bawić.

Próbowała mu się wyrwać, ale błyskawicznie zerwał się na nogi.

– Powiedziałem, że nigdzie nie pójdziesz, Marianne. To niegrzecznie wychodzić w środku rozmowy, nie wiedziałaś o tym? O czym to myśmy mówili? Ach, tak, o Arthurze. O twoim świętym mężu.

Czuła żar jego oddechu.

– Puść mnie, Lucanie! – poprosiła drżącym głosem. – Daj mi odejść!

– A dlaczegoż to nie możemy pogadać o Arthurze? W Anglii rozmawialiśmy o nim bez końca. No mów!

Miażdżył jej nadgarstek. W oczach Marianne ukazały się łzy, ale nie pozwoliła im popłynąć.

– Nie.

– Dlaczegoż nie? – nalegał, wzmacniając chwyt.

– Bo...

– Bo go kochałaś, tak?

– Tak. – Zmusiła się, do spojrzenia w jego jasne, twarde oczy. – Bo go kochałam.

Puścił ją, ale trzęsła się nadal tak, że aż musiała się przytrzymać poręczy. Lucas znowu wziął szklankę i zapatrzył się w zmierzch zapadający nad ogrodem.

– Cały problem z tobą polega na tym, że wciąż wierzysz w bajki. Miłość! Nie wiesz, że coś takiego nie istnieje?

– Oczywiście, że istnieje – odparła ze złością.

Kręcił uparcie głową.

– Tym, co czułaś do swego świątobliwego małżonka, było pożądanie, nie miłość.

– To nieprawda...

– Prawda, prawda. Jest tylko popęd płciowy i własny interes, nic poza tym. To nas wszystkich trzyma przy życiu.

– Nie...

– Nie? – w głosie Lucasa dźwięczało szyderstwo. – Więc odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie. Czy wyszłaś za mnie z miłości?

Hipnotyzował ją tymi szarymi, błyszczącymi oczami niczym wąż królika. Znowu się zaśmiał chępliwie.

– Jasne, że nie – odpowiedział za nią. – W ogóle o mnie nie dbałaś. Wyszłaś za mnie, ponieważ należysz do tego typu kobiet, które są zbyt słabe, by sobie radzić bez mężczyzny. No więc dowiedz się, Marianne, że ja też nie ożeniłem się z tobą z miłości. Nigdy cię nie kochałem. Wszystkie te słodkie słówka, jakimi karmiłem cię, zanim przyjęłaś moje oświadczenia... – Jego rysy wykrzywił grymas obrzydzenia. – Boże, ledwie przechodziły mi przez gardło! Czasem musiałem się upić, żeby je z siebie wydobyć!

Poczuła, że coś w niej pęka, rozpada się na kawałki. Zmusiła się jednak do zapytania:

– Więc dlaczego się ze mną ożeniłeś?

– A jak sądzisz?

– Czyżby dla pieniędzy?

– Oczywiście! A po cóż by?

– W takim razie oboje jesteśmy siebie warci.

– Ty jesteś warta mnie? – Parsknął śmiechem. – Następnym razem, jak będziesz stała przed lustrem, przyjrzyj się sobie uważnie. Zobacz, jaka naprawdę jesteś. – Nappełnił sobie szklanekę. – A teraz zostaw mnie, mam cię po dziurki w nosie.

Poszła do swojego pokoju. Wiedziała już, że popełniła fatalny błąd: poślubiła okrutnego, nieczułego człowieka. Rano stąd wyjedzie... Chwyciła torbę i zaczęła upychać w niej rzeczy.

Nagle zrobiło się jej słabo i musiała usiąść na łóżku, drżąc na całym ciele. Spakuje się jutro. Tak, jutro.

Nadgarstek ciągle ją piekł od uścisku Lucasa. Ale czuła też inny ból, tępy, nawracający z przerwami ból w krzyżu, który – jak teraz dopiero sobie uświadomiła – towarzyszył jej od rana i coraz bardziej się nasilał. Przycisnęła rękę do pleców. „Jest tylko popęd płciowy i własny interes”. To nieprawda. Lucas mógł być niezdolny do miłości, ale Arthur ją kochał i ona jego kochała. Nic tego nie zmieni.

Położyła się na łóżku i nieoczekiwanie zasnęła, wycieńczona szokiem i zdenerwowaniem. Obudził ją gong wzywający na obiad. Podczas snu ból znowu się

nasilił, rozszerzając się na cały brzuch. Została w łóżku, oparta o poduszki. Po chwili rozległo się pukanie i weszła Rani.

– Obiad, *dorasanie*.

– Nie jestem głodna. – Znów ten ból. Nabrała powietrza i powiedziała lękliwie: – Chyba coś złego się ze mną dzieje, Rani.

Ayah podeszła do łóżka i położyła chudą brązową rękę na brzuchu Marianne.

– To nic złego, *dorasanie*. Po prostu dziecko jest w drodze.

– Dziecko?

– Zobacz, *dorasanie*. – Wzięła dłoń Marianne i położyła jej na brzuchu. W miarę nasilania się bólu, mięśnie twardniały. – Już niedługo się urodzi. Może jeszcze tej nocy.

Rani zrobiła krok w stronę drzwi, ale Marianne chwyciła ją za rękę.

– Nie zostawiaj mnie!

– Powiem panu. On sprowadzi doktora. – Rani się uśmiechnęła. – Potem tu wrócę.

Marianne została sama. Wspomnienie awantury zbladło, przytłumione niepowstrzymanym rytmem bólów porodowych. Niebawem usłyszała tętent kopyt, oddalający się w ciemność. Do pokoju wróciła Rani. Roztarła Marianne krzyż i dała jej do wypicia coś gorzkiego; bóle nieco osłabły. Deszcz, który zaczął padać z nastaniem nocy, tłukł coraz mocniej w blaszany dach werandy. Znów rozległ się tętent, potem szybkie kroki i głosy – Lucas z lekarzem weszli do domu.

Pojawił się doktor Scott; grzebał w niej, ugniatał, robił mnóstwo wstydliwych, bolesnych rzeczy. Próbowowała go odpychać.

– No, no, pani Melrose – przemawiał tym swoim przymilnym tonem – musi się pani uspokoić.

Straciła rachubę czasu, uświadamiała sobie tylko rytm skurczów i łoskot deszczu o dach. Kazali Rani wyjść, chociaż Marianne prosiła, by ją zostawić, i nagle podczas chwilowej przerwy w deszczu usłyszała, jak doktor Scott mówi cicho do Lucasa:

– Jest bardzo zmęczona. Jeśli akcja się nie rozwinie, będę musiał podać jej chloroform.

I wtedy, mimo całego bólu i wyczerpania, ponownie odkryła w sercu ową zimną, twardą stal, która tkwiła w niej od śmierci Arthura. Złożyła sobie przysięgę, że zobaczy swoje nowo narodzone dziecko, że ani na moment go nie opuści podczas trudnej podróży na świat.

Jej syn urodził się z nastaniem świtu. Po straszliwym skurczu, który wyrwał z jej ust głośny krzyk, poczuła, jak wyslizguje się z niej małe ciało. A potem usłyszała płacz.

Uparła się, żeby włożyć jej synka w ramiona, chociaż ledwie starczyło jej sił, by go utrzymać. Miłość od pierwszego wejrzenia: zaznała jej już po raz drugi. Ciemnoniebieskie oczka na chwilę spotkały jej wzrok i Marianne poczuła się związana do końca życia.

Wciąż padał deszcz. Kiedy tuż przed zaśnięciem wyjrzała na werandę, zobaczyła Lucasa z synkiem w ramionach. Wystawił rękę na deszcz i mokrym palcem dotknął czółka dziecka, jakby namaszczając go cząstką Cejlonu.

W maju – wyjątkowo zimnym i wietrznym – Ash zachorował. Jego blada twarz z podkrążonymi oczami wzbudziła przerażenie Iris.

– Trochę kaszlę – wyjaśnił, kiedy wpadła do niego z wizytą. – Zawracanie głowy.

– Byłeś u lekarza?

– To tylko bronchit. Już to przechodziłem.

– Powinieneś bardziej dbać o siebie. Bronchit jest poważną chorobą, ludzie na to umierają.

– Ja nie mam zamiaru.

– Miło mi to słyszeć. Ale szczerze mówiąc... – Rzuciła mu ostre spojrzenie. – Jadłeś coś? – Zaczęła zaglądać do szafek w kuchni. Wyciągnęła kawałek chleba i odrobinę zeschniętego sera.

– Nie chciało mi się jeść.

– Bez tego nie wyzdrowiejesz.

– Nie złość się, Iris, proszę! Nawet nie wiesz, jak okropnie wtedy wyglądasz!

– Nie jestem zła. – Zmusiła się do spokoju. – Po prostu martwię się o ciebie.

– Thelma jest cudowna. Codziennie zabiera psa na spacer.

Iris szturchnęła pogrzebaczem popiół i wyciągnęła kilka rozżarzonych szczapek.

– Tu jest okropnie zimno.

– Niestety skończył mi się węgiel.

Westchnęła.

– Pewnie wszystko rozdałeś.

– Żona Marka Collinsa właśnie urodziła bliźnięta. Mark ciężko chorował i nie mógł pracować, więc... – Znów zaczął kaszleć.

Podawała mu szklankę wody.

– Usiądź. Wypij to i przestań gadać.

– Despotka!

Iris wyczyściła ruszt i poszła do składu opałowego. Udało jej się ubłagać jakiegoś robotnika, by zaniósł jej do domu worek węgla. Rozpaliwszy ogień, pobiegła do sklepów i wróciła z kawałkiem wołowiny, kurczakiem i jarzynami.

Ash zajrzał do kuchni.

– Co robisz?

– Zupę jarzynową. I bulion wołowy. Czego się śmiejesz?

– Iris Maclise przy garach!

– Wiem, wiem. Jeszcze nie tak dawno nie miałam pojęcia, do czego służy kuchnia. Ale dobrze mi to robi na nerwy.

I rzeczywiście. Mimo całego bałaganu Ash miał zupełnie miły dom – z książkami, pianinem, paroma ładnymi, starymi meblami i dywanami. Dziwne, że coś tak zwyczajnego może się wydawać doskonałym. I jak przyjemnie być z nim choć raz tylko we dwójkę – bez tych hord przyjaciół.

Uwaga, wkraczasz na niebezpieczny grunt – ofuknęła się w duchu Iris.

– Kiedy zaczynałam praktykę w Mandeville – rzuciła lekko – kazano mi przygotować pacjentowi bulion. Nikt mi nie dał żadnej wskazówki, więc po prostu zalałam mięso wodą i gotowałam przez kilka godzin. Rezultat nie nadawał się do jedzenia

i oddziaływała się na mnie wściekła.

– Czemu to zrobiłaś?

– Czemu zepsułam bulion?

– Nie, czemu zostałam pielęgniarką?

– Bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. – Wyznanie prawdy przyniosło jej ulgę. – I nie mogłam znieść, że Marianne wychodziła za mąż przede mną. To ja byłam najstarsza i najładniejsza, to ja powinnam pierwsza pójść do ołtarza. A potem ojciec pozwolił Evie wyjechać do szkoły i już wiedziałam, co mnie czeka.

– Twoja matka...

– No właśnie. To ja zostałam z matką w domu i musiałabym się nią opiekować. Więc jak widzisz, nie chodziło o żadne szlachetne ambicje. I co, zawiodłeś się na mnie?

– A powinienem? – Zajrzał do rondla. – To chyba się przypala. Mam coś zrobić?

– Proszę. – Podała mu drewnianą łyżkę. – Wystarczy zamieszać. Za dawnych czasów uważałeś mnie za dość płytką.

– Naprawdę? To ohydne z mojej strony.

– Zarzucałeś mi, że służę wyłącznie do ozdoby.

– Bo doskonale się do tego nadajesz. Ale nie tylko.

– Oczywiście – ciągnęła z westchnieniem – miałaś rację. – Wtedy pragnęłam jedynie świetnego małżeństwa z bogatym księciem, który przyjechałby na białym koniu i porwał mnie za siódmą górę.

Ash stał oparty o piec i obserwował ją bacznie.

– I nigdy go nie spotkałaś?

„Spotkałam go cztery lata temu. Upadłam mu prosto pod nogi, a on obwiązał mi skaleczoną rękę swoją chusteczką” – miała te słowa na końcu języka i o mało co ich nie wypowiedziała, bez względu na konsekwencje.

Ale w porę przypomniała sobie ranę, jaką nosiła w sercu po incydencie w ogrodzie Summerleigh. Wiedziała, że nie ścierpi powtórzenia tej sceny, więc odparła wymijająco:

– Znasz mnie, Ash. Jestem bardzo kapryśna.

– Do licha, rzeczywiście. I uparta jak muł...

– Bezcelność! Ty też nie jesteś nazbyt uległy.

– Jaaa? Ja nikomu nie sprawiam kłopotu.

– Jesteś tak samo kapryśny jak ja.

– Ciągłe mnie oskarżasz, że jestem za mało wymagający. Nawet w kwestii ubrania...

– Bo w ogóle nie masz wyczucia ubioru.

– A co do jedzenia...

– Nie musisz żyć o chlebie i serze.

Znów zaczął kaszleć. Kiedy już mógł mówić, dodał:

– Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz, Iris. Wiem, jak mało masz czasu, to bardzo poczciwie z twojej strony.

– Pomagam ci tylko dlatego – odrzekła surowo – że samotni mężczyźni nie potrafią o siebie zadbać.

– No popatrz, a ja myślałem, że choć trochę mnie lubisz.

W ciszy, która zapadła, wyczuwało się iskrzenie. Ash zaczął coś mówić, ale nagle zapukano do drzwi. Iris poszła otworzyć, nie będąc pewną, czy czuje ulgę czy złość, że im przerwano.

W progu stała Thelma Voss. Na widok Iris powitalny uśmiech zgasł na jej twarzy.

– Ach, to pani! – Omiotła wzrokiem jej sylwetkę, oceniając siły wroga. – Przyszłam wyprowadzić psa, ale może woli pani...

– O, nie – odparła Iris, dodając w duchu: Zabieraj sobie to wstrętne, śmierdzące bydło. – Proszę, jest cały pani.

Przez ostatnich sześć miesięcy Eva pracowała w małej firmie wydawniczej w pobliżu Red Lion Square. Calliope Press należała do Pauli Muller. Była to ciemnowłosa, elegancka kobieta; po śmierci rodziców sama opiekowała się dwunastoletnią siostrą Idą. Firma specjalizowała się we wspomnieniach, dziennikach podróży i poezji kobiet. Książki wydawano pięknie – były ręcznie drukowane, elegancko oprawione i ozdobione małymi litografiami. Paula osobiście nadzorowała druk i ilustracje, Eva natomiast odpowiadała za całą resztę: księgowość, adiustację, korektę i inwentaryzację. Poza tym odbierała telefony i prowadziła korespondencję z autorami, dostawcami i księgarniami.

Co jakiś czas Paula proponowała Evie wykonanie ilustracji, ale ta zawsze odmawiała. Od rozstania z Gabrielem nie brała pędzla do ręki. Wszystkie dawne źródła natchnienia wyschły i Eva zaczynała się obawiać, że już nigdy nie wróci do malowania.

Wyprowadziła się od pani Wilde i wynajęła poddasze w szeregowcu z czerwonej cegły parę ulic od Calliope Press. Były tam trzy pokoiki i mały ogródek na dachu. Urządziła to mieszkanko po swojemu. Zdarła osmalone dymem tapety i pokryła ściany emulsją w odcieniach terakoty, jasnego seledynu i delikatnego lilaróż, uszyła zasłony, poszewki na poduszki i narzuty. Penetrowała uliczne bazary w poszukiwaniu skarbów – znalazła tam między innymi marokańską mosiężną lampę z wtopionymi kawałeczkami kolorowego szkła oraz szafki i stoliki, które wyszorowała piaskiem i odmalowała. Kupiła książkę kucharską i zapraszała przyjaciół na kolacje, eksperymentując z potrawami – raz wychodziły wyśmienite, innym razem niejadalne. Nareszcie była w pełni samodzielna i czerpała z tego prawdziwą przyjemność.

Od czasu do czasu któryś z księgarzy proponował jej kolację czy wspólne wyjście na przedstawienie. Zawsze im grzecznie odmawiała. Myślała o nich z sympatią, ale cóż – to nie ich wina, że w porównaniu z Gabrielem wydawali się płytki i jednowymiarowi.

Od początku roku, po upadku kolejnego projektu ustawy, która zapewniałaby ograniczonej liczbie kobiet prawo wyborcze, WSPU nasiliła działania skierowane przeciw obiektom państwowym. Podpalano skrzynki pocztowe, rozsyłano pocztą paczki z fosforem, wywołując pożary w sortowniach. Nastąpiły serie ataków na budynki, pola golfowe i pociągi.

19 lutego wybuchła bomba w nowym, dopiero co zbudowanym domu ministra skarbu – Davida Lloyda George’a. Nikt nie został ranny, ale bezpośredni atak na własność prominentnego członka gabinetu stanowił kamień obrazy dla rządu. W odwecie

przepchnięto przez parlament ustawę o okresowym zwalnianiu więźniów ze względu na zły stan zdrowia. Ustawa ta, która szybko została nazwana Ustawą Kota i Myszy, dopuszczała zwalnianie z więzień uczestniczek strajków głodowych. Gdy tylko kobieta odyskiwała zdrowie, zamykano ją z powrotem. W lecie 1913 roku życie sufrażystek było niekończącym się cyklem złożonym z aresztowania, głodówki i przymusowego karmienia, wolności i ponownego uwięzienia.

Pewnego wieczoru Eva zaprosiła na kolację Lydię, May Jackson i jeszcze jedną sufrażystkę – Catherine Sutherland. Catherine niedawno odwiedziła Sylvię Pankhurst, siostrę Emmeline i przyjaciółkę George’a Lansbury’ego, oraz Keir Hardie, którą dopiero co wypuszczono z więzienia.

– Ledwie ją poznałam – opowiadała. – Działała jej krwawiły od tego okropnego narzędzia, którym otwierano jej usta, gardło miała owrzodzone od rurki do przymusowego karmienia, oczy całe przekrwione, i była wprost straszliwie wychudzona.

Eva wiedziała, że Catherine i May rzucały czasem kamieniami w okna; Catherine wlała raz benzynę do skrzynki na listy i podpaliła ją. Lydia czasem z nimi chodziła, ale raczej rzadko, gdyż okropnie bała się więzienia. Eva nie brała dotąd udziału w tych akcjach. Wynikało to częściowo ze względów praktycznych – zarówno Catherine, jak May miały prywatne dochody i nie musiały pracować jak Eva czy Lydia. Mogły sobie pozwolić na rzucanie kamieniami w szyby albo jajkami w członków parlamentu. Eva jednak uświadamiała sobie z przykrością, że jej niechęć ma głębsze podłoże. Nie bała się więzienia, jak Lydia, uważała, że ostatecznie mogłaby je wytrzymać, ale od aktywnego protestu powstrzymywało ją coś innego.

Ostatnio Catherine zaczęła komentować jej nieobecność na demonstracjach.

– Skoro pokojowe protesty nie odnoszą skutku – zauważyła zimno – jak inaczej można sprzeciwić się tyranii, jeśli nie przez powstanie i walkę? – I zacytowała Christabel Pankhurst: „Kobiety mogą uzyskać prawa wyborze tylko w jeden sposób: doprowadzić do sytuacji, która byłaby nie do zniesienia dla wszystkich egoistycznych i apatycznych ludzi, stojących na ich drodze”.

Czy naprawdę jest egoistyczna i apatyczna? A może jeszcze gorzej: tchórzliwa? Eva obawiała się, że tak. Zawsze brzydziła się przemocą fizyczną, a poza tym mdlała na widok krwi, co było dla niej dość krępujące. Ale czy nadal mogła stać z boku i kryć się przed okropnościami, podczas gdy inne kobiety znosiły więzienie i tortury dla sprawy, w którą ona także wierzyła? Jej postawa wydawała się coraz mniej usprawiedliwiona.

Catherine napisała do Ewy liścik z propozycją spotkania w jej mieszkaniu na West Endzie w sobotnie popołudnie. Ton zaproszenia ociekał sarkazmem: „Jeśli tak bardzo zależy ci na sprawie, jak o tym opowiadasz, to może powinnaś wprowadzić swoje słowa w czyn”.

W sobotę rano Eva wciąż była niezdecydowana. Potem, podczas zakupów na Oxford Street, zobaczyła po drugiej stronie ulicy Gabriela – wysoką, nie do pomylenia postać w czarnym płaszczu, szaliku i fedorze. Od czasu ich rozstania unikała miejsc, w których bywał. Teraz jej serce ścisnęło się boleśnie na jego widok i nie mogła oderwać od niego tęsknego spojrzenia. Była boleśnie świadoma pustki, jaka wytworzyła się w jej życiu, kiedy zabrakło w nim Gabriela. Mogła to naprawić: wystarczyło przejść na drugą

stronę. Nie odrzuciłby jej, on nigdy nie chował urazy. Skoro nie mogli być kochankami, to może przyjaciółmi? Przystanęła na brzegu chodnika, czekając na przerwę w ruchu pojazdów.

Nagle zauważyła, że biegnie ku niemu jakaś postać. W sobotnim tłumie migało coś szmaragdowego i czarnego... Gabriel pomachał ręką, a potem chwycił Ruby Bailey w ramiona i zakręcił nią dookoła. Kiedy się pocałowali, Eva odwróciła głowę, pełna żalu, a jeszcze bardziej złości. Miała ochotę wytrzasnąć Ruby po tej gładkiej, roześmianej gębie.

Zamiast tego ruszyła śpiesznie w stronę stacji metra. Kiedy dotarła do mieszkania Catherine przy Charles Street, zastała tam już Lydię i May. Gospodyni skwitowała jej przybycie cierpkim komentarzem:

– No i dobrze. Nie byłam pewna, czy w końcu się zjawisz.

Po czym wręczyła jej garść kamyków. Evie serce biło niespokojnie, kiedy szły w stronę Regent Street. Wydawało się, że wszyscy słyszą grzechot kamyków w jej kieszeniach. I płaszcz nabrał od nich takiej dziwnej linii – to chyba widać? A co będzie, jeśli zawiedzie swoje towarzyszki? Jeśli żaden z kamyków nie trafi do celu? Zupełnie nie miała do siebie zaufania pod tym względem. A jeśli ją aresztują? Co powie ojciec?

I nagle były już na Regent Street, a Catherine mówiła do niej tym samym cierpkim tonem:

– Rozbijesz okno w Liberty, Evo. Dam ci znak, kiedy, a potem masz uciekać co sił w nogach i nie martwić się o resztę. Pamiętaj: co sił w nogach!

W następnej chwili Catherine wołała: „Już!”, a Eva grzebała w kieszeniach zimnymi, drżącymi palcami, brała zamach i rzucała kamieniami w okno. Większość spadła na chodnik, między przechodniów. Rozległy się okrzyki protestu, kilka kobiet zaczęło piszczeć. Eva pomyślała o Gabrielu: ten zachwyt na jego twarzy, gdy ujrzał Ruby Bailey... Wyciągnęła następną garść kamieni i cisnęła z całej siły. Tym razem usłyszała głośny trzask i na szybie ukazało się kilka pęknięć, rozchodzących się gwiazdźście od punktu trafienia. Z rzeczy na wystawie – talerzy, zegarów, japońskich waz – zostały tylko różnokolorowe skorupy niczym w mozaice.

Przez chwilę stała jak porażona, patrząc na swoje dzieło. Z transu wyrwał ją dopiero gwizdek policjanta. Zaczęła biec, sta-rając się wmieszać w tłum. Ktoś złapał ją za rękę, ale mu się wyrwała. Ktoś inny głośno ją przeklinał. Obejrzała się szybko za siebie i zobaczyła kask policyjny zmierzający ku niej przez tłum. Skręciła w boczną ulicę i znalazła się przed rzędem mniejszych sklepów. Szybko traciła siły, a złość i odwaga, które ją podżęgały, zdążyły się wypalić. Od policjanta dzieliło ją najwyżej pięćdziesiąt kroków.

W pobliżu zauważyła sklep z sukniami i wpadła do środka. Sprzedawczyni za ladą obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Nie umknął jej uwagi niechlujny wygląd Evy i trójkolorowa wstążeczka w klapie. Gwizdek brzmiał bardzo głośno – policjant musiał być blisko. Przez długą, straszną chwilę Eva myślała, że dziewczyna wyrzuci ją ze sklepu, ale ta kiwnęła na nią dłonią.

– Proszę zdjąć płaszcz – szepnęła. – Szybko! Idzie tu! – Wciągnęła Evę za ladę. Gdy drzwi się otworzyły i wszedł policjant, dziewczyna powiedziała dobitnie: – I proszę

posortować te koronki, panno Smith! Okropny bałagan w tej szufladzie.

Policjant rozejrzył się dookoła, a potem zasalutował i wyszedł. Drzwi same się za nim zatrzasnęły.

Eva trzęsała się tak mocno, że aż musiała usiąść na wysokim stołku za ladą.

– Nie wiem, jak pani dziękować, panno...

– Price. Florence Price. I z przyjemnością wystrychnęłam go na dudka. Proszę włożyć – podała jej żakiet i kapelusz – w tym pani nie poznają. Odda mi pani za parę dni.

Eva wróciła do domu. Chociaż rozpałała ogień, zupełnie nie mogła się rozgrzać. Nie czuła dumy ze swego czynu, raczej wielki niesmak. Pamiętała, jak waza z wystawy – cacko z niebiesko-zielono-złotej porcelany – roztrzaskała się w kawałki. Pamiętała strach na twarzach kobiet na chodniku, ich krzyki, dzieci, które do siebie tuliły. Pamiętała, jak mała, może sześciolatka dziewczynka płakała, przyciskając buzię do spódnicy matki. A teraz ona, Eva, stała przy zlewku, szorując do czysta ręce, jakby chciała zmazać wszystko, co się dziś zdarzyło.

Zabręczał dzwonek przy drzwiach. Zeszła na dół otworzyć i zobaczyła May Jackson.

– Wpadłam zobaczyć, jak się miewasz. Udało ci się uciec?

– Wszystko w porządku. A Catherine i Lydia?

– Obie aresztowane.

– O Boże...

– Lydia próbowała uciekać, ale ktoś jej podstawił nogę i upadła.

– Co z nimi będzie?

– Catherine z pewnością pójdzie do więzienia. To nie jest jej pierwsza akcja.

I oczywiście rozpocznie strajk głodowy.

– A Lydia?

– Jeśli obieca, że będzie się dobrze zachowywać, może uniknąć więzienia. To zależy od sędziego.

– Zgodzi się, prawda?

– Mam nadzieję.

– Galeria...

– Ja przypilnuję galerii – oświadczyła skwapliwie May. – Wprawdzie nie mam pojęcia o sztuce, ale się postaram.

Wracając na górę, Eva miała przed oczami Lydię – inteligentną, elegancką Lydię, która nie znosiła ciasnej przestrzeni. Mieszkanie wydawało się teraz ciche i bardzo puste. Myśli Ewy wróciły do Gabriela; właściwie zawsze był w nich obecny, zawsze zajmował poczesne miejsce. Teraz, kiedy patrzyła wstecz na ich romans, czuła wstyd. Narastało w niej przekonanie, że tanio się sprzedała. Nie potrafiłaby dokładnie określić chwili, w której upadła tak nisko, ale wiedziała, że tak się stało. W jakiś sposób pomyliła wolność z przyzwoleniem i w ten sposób sama się poniżyła.

Zbyt wiele dla niego ryzykowała. Tylko przypadkiem nie poczęła nieślubnego dziecka, któremu nie byłaby w stanie zapewnić należytej opieki i które ściągnęłoby hańbę na nią i całą rodzinę. Miłość do Gabriela oznaczała nieustające oszukiwanie rodziny, zdradę Sadie i zaniedbanie talentu. Czy w ogóle można usprawiedliwić oszustwo?

A przemoc? Już tego nie wiedziała.

Zeszła na manowce i teraz nie miała pewności, czy kiedykolwiek odnajdzie właściwą drogę. Mogła najwyżej próbować nie zapierać się własnych poglądów, bez względu na ludzką opinię. To raczej marny wniosek i siedząc w swoim mieszkanku, czuła, że jej przekonania do niczego nie prowadzą, są marną pociechą po tym, co utraciła. W jej sercu od trzech miesięcy tkwił ten sam ból i podejrzewała, że pozostanie tam już na zawsze.

Był sierpień, pora roku, której Iris najbardziej nie lubiła. Pod koniec lata w ciasnych uliczkach i małych podwórkach-studniach East Endu panował okropny upał. Nawet powietrze wydawało się obrzydliwe, gdyż wokół doków unosił się zawsze ciężki, zgniły odór. Tam, gdzie przy filarach pokazywał się muł, woda była szarobrazowa i gęsta od odpadków.

Upał sprawiał, że wszyscy chodzili wymęczeni i poirytowani. Robiąc zakupy na targu podczas porannej przerwy, Iris widziała, jak dwie kobiety pobity się na ulicy; z wykrzywionymi złością twarzami wrywały sobie tanią bluzkę ze straganu, którą obie zauważyły w tej samej chwili. Obrzucały się przekleństwami, drapały i wrywały sobie włosy na oczach zachwyconego tłumu, zagrzewającego je do walki.

Atmosfera w domu pielęgniarek była niemal tak samo toksyczna jak na pobliskich ulicach – roilo się tam od drobnych zazdrości, złośliwych uwag i wzajemnych pretensji, czyli kwintesencji tego, czego Iris najbardziej nie cierpiała w życiu dużych grup kobiet. Dwie zaprzyjaźnione praktykantki pokłóciły się nagle, a ich koleżanki natychmiast utworzyły dwa rozplotkowane obozy. Iris trzymała się od nich z daleka. Uciekała do ogrodu, gdzie trawniki pożółkły, wypalone słońcem, a na listkach róż leżała warstwa szarego kurzu, musiała jednak wciąż się przenosić w poszukiwaniu cienia.

Potem wśród pielęgniarek wybuchła epidemia odry. Chore odsyłano do szpitala zakaźnego na południu Londynu. W Mandeville zaczęło brakować personelu, więc Iris musiała brać dodatkowe dyżury. Po paru tygodniach takiej harówki ogarnęło ją niesamowite zmęczenie. Cierpiała na nieustanny ból głowy, a z powodu upału nie mogła sypiać po nocach. Stała się płaczliwa, wszystko ją irytowało, musiała też ze wstydem przyznać się do roztargnienia w pracy. Obowiązki spełniała mechanicznie, z bezmyślną obojętnością. Tęskniła... właściwie nawet nie wiedziała za czym. Za jakąś odmianą – choćby pogody. Za chłodem lasu, zielenią pól, a także za otrząśnięciem się z apatii. I niechby Ash powiedział, że nie jest dla niego tylko jedną z wielu przyjaciółek. Że zależy mu na niej bardziej niż na Thelmie Voss.

Ash wracał właśnie z pracy, kiedy usłyszał za sobą głos:

– Psze pana, psze pana! – Między pojazdami przecisnęła się drobna figurka, która pociągnęła go za rękaw brudną rączką.

– O co chodzi, Eddie?

– O naszą Janie! Marnie z nią czegós. Nie chce wstać. Pan przyjdzie, psze pana,

dobra?

Ash bez wahania ruszył za chłopczykiem. Eddie Lowman, chronicznie niedożywiony siedmio- czy ósmiolatek, jeden z dziewięciorga rodzeństwa, miał wygląd dziecka opóźnionego w rozwoju, jak wielu małych mieszkańców East Endu. Lowmanowie byli rodziną z najgłębszych nizin społecznych – najbiedniejszymi z biednych. Bert Lowman, ojciec Eddiego, pracował dorywczo, matkę czasem widywano, jak zbiera na ulicach resztki szczapek, żeby je sprzedać jako podpałkę. Mieszkali w małym szeregowym domku w jednym z najgorszych rejonów Whitechapel.

Chociaż Ash przywykł do nędzy East Endu, szokował go widok tej rudery. Zdezelowane graty nie nadawały się nawet do lombardu. Nie było ani dywanika, ani zasłon w oknach, w powietrzu wisiał zatechły odór, który Ash kojarzył z robactwem. O brudne szyby obijały się muchy.

W frontowym pokoju stała dziewczynka w podartym fartuszk i patrzyła na Asha rozszerzonymi oczami, ssąc kciuk. W kącie na podłodze leżało na poplamionym kocu niemowlę. Z mokrych od moczu szmat bił smród, od którego wywracał się żołądek.

– Gdzie jest Janie?

– Na górze.

W sypialni na brudnym materacu leżała młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczyna.

– Czy ona umarła, psze pana? – szepnął Eddie.

Ash przyłożył palce do szyi dziewczyny; wyczuł puls – przyśpieszony, nieregularny.

– Nie, Eddie, nie umarła.

Obok leżała butelka taniego dżinu i opakowanie pigułek. Ash odgadł ich zastosowanie, jeszcze zanim przeczytał na etykietce: „Sławne pigułki doktora Pattersona – wspaniałe lekarstwo na wszelkiego rodzaju nieregularność”. To mikstura ze sporyszu albo ołowiu, używana zwykle przez kobiety z East Endu w przypadku niepożądanego ciąży. Przewrócił Janie na bok, na wypadek, gdyby dostała torsji. Dziewczyna zachrapała cicho.

Na dole trzasnęły drzwi i rozległ się męski ryk, a potem tupot ciężkich kroków na schodach.

– To mój tato – szepnął Eddie i wlaź pod stertę brudnych koców.

Ash znał Berta Lowmana tylko ze słyszenia. Wielki, potężnie zbudowany chłop, pijak i awanturnik, taki, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Drzwi otworzyły się z impetem.

– Co się tu, kurwa, dzieje?

– Eddie myślał, że coś się stało pańskiej córce.

– Naszej Janie? – Lowman rzucił się do dziewczyny. Ash wyczuł w jego oddechu alkohol. – Ty się przy niej kręcisz?

– Nie, panie Lowman, ja...

– Znam takich jak ty. – Lowman zacisnął pięści. – Lepiej trzymaj te brudne łapska z daleka od mojej Janie, bo jak nie, to ci pomogę!

Rąbnął go z całej siły w szczękę. Ashowi wszystkie gwiazdy stanęły przed oczami; zachwiał się i upadł. Ponieważ Lowman także nie mógł przez chwilę odzyskać

równowagi, Ashowi udało się podnieść i wyjść z pokoju, a potem opuścić dom.

Poczuł w ustach smak krwi. Przyłożył sobie chustkę do policzka i szybkim krokiem ruszył w stronę domu. Ludzie się na niego gapili, bo nogi zdecydowanie go zawodziły. W zaciszu własnej kuchni podstawił głowę pod kran z zimną wodą. Nagle usłyszał, że drzwi się otwierają i Thelma woła:

– Ash? Jesteś tam?

– W kuchni! – odkrzyknął z trudem.

– Pani Clark siedzi z tatą – powiedziała, wchodząc – więc pomyślałam, że zabiorę Sama na spacer... – Urwała i wlepiała w niego oczy.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – uprzedził jej pytanie.

– To się cieszę – odrzekła cierpko. – Kto cię tak urządził?

– Pięść Berta Lowmana.

– Wdałeś się w bójkę?

– Skoro tak to nazywasz... – Sięgnął do szuflady po szmatkę, żeby zatamować krew. – Uderzył mnie, bo mu się przywidziało, że mam jakieś zakusy wobec jego córki. Był tak pijany, że się przewrócił, więc uciekłem.

– Jakiej córki?

– Janie. Włosy w strąkach i krzywe zęby.

– Powinieneś trzymać się z daleka od Lowmanów. Wszyscy wiedzą, że z nimi są same kłopoty.

– Nie zamierzałem... – Nagle umilkł i zerknął na zegarek. – Iris! Miałem spotkać się z Iris!

– Ale twoja twarz! Usiądź.

– Nie mogę. Już jestem spóźniony...

– Panna Maclise nie zechce cię oglądać w takim stanie.

Na kominku stało lusterko do golenia. Spojrzał w nie zezem i jęknął.

– Nie, raczej nie.

– Pozwól, że doprowadzę cię trochę do porządku. – Pchnęła go na krzesło.

Pod zlewem miał środek dezynfekujący. Thelma nasączyła kłaczek szarpi i dotknęła nim twarzy Asha. Skrzywił się z bólu.

– Lubisz pannę Maclise, prawda?

– Tak. Lubię.

Zmarszczyła brwi.

– Nie jest tak źle, to tylko skaleczenie. Ale będziesz miał siniec pod okiem. Jesteście tylko przyjaciółmi czy łączy was coś więcej?

Nagle ucieszył się, że Thelma jest przy nim. Może przynajmniej ona mu poradzi? Od dawna zastanawiał się, co zrobić w sprawie Iris, próbował zdobyć się na rozmowę...

– Przed laty miałem u niej szansę, ale wszystko popsułem.

– I teraz tego żałujesz?

– Tak. Dobry Boże, tak!

– Powiedziałeś jej o tym?

Pokręcił głową z żalem.

– Nie wiem, co ona teraz o mnie myśli, trudno powiedzieć. Czasem wydaje mi się,

że mnie lubi, a czasem, że zmieniała zdanie, a wtedy...

– Zmieniała zdanie?

– Dawno temu Iris powiedziała, że bardzo jej odpowiadają nasze przyjacielskie stosunki.

– Wokół takiej dziewczyny na pewno kręci się mnóstwo mężczyzn. Moja szkolna koleżanka Lily Watson też była taka ładna i ciągle powtarzała, że ma dość mężczyzn zwracających jej głowę. Marzyła, aby zostawili ją w spokoju.

Przypomniała mu się Iris na przyjęciu w Summerleigh. Adoratorzy kręcili się koło niej jak pszczoły wokół kwiatu. „To tylko gra” – tak mu wtedy powiedziała. Miłość dla Iris Maclise zawsze była tylko grą.

– Może powinienem z nią pomówić. Wyznać, co czuję i przekonać się, co powie.

– Na twoim miejscu nie robiłabym tego, Ash. Możesz ją do siebie zniechęcić i w ogóle nie będziesz jej wtedy widywał. Tego właśnie chcesz?

– Nie – przyznał ze ściśniętym sercem. – Oczywiście, że nie.

– Lepiej poczekać, póki się nie upewnisz. – Thelma się wyprostowała. – Proszę, gotowe. Wcale tak źle nie wyglądasz.

Iris czekała na Asha na schodach przed szpitalem. Kiedy po kwadransie nie było po nim śladu, poszła do jego domu. Przez uchylone drzwi dostała się do środka i od razu usłyszała z kuchni śmiech Thelmy Voss.

– Iris! – wykrzyknął na jej widok Ash.

– Twoja twarz... – wyjąkała ze zgrozą.

– To nic poważnego, panno Maclise. – Thelma odłożyła środek dezynfekcyjny.

– Niech zobaczę. – Iris przesunęła palcami po policzku Asha, sprawdzając, czy nie ma złamanej kości.

– Widzi pani? Oczyszczałam ranę. To ten wstrętny Bert Lowman. Mówiłam, żebyś się trzymał od niego z daleka, prawda? – Dłoń Thelmy spoczywała zaborczo na ramieniu Asha.

Niebawem zaczęli się schodzić przyjaciele Asha – Harry, Fred, Nathaniel, Tom oraz rudy Charlie z zadartym nosem. Thelma siedziała w kącie, głaszcząc zmatowiałą sierść psa. Rozmawiano o polityce. Od czasu do czasu uwagę Iris przyciągało jakieś zdanie.

– Brytyjczycy boją się, że Niemcy zagrożą ich szlakom handlowym. Trzeba bronić imperium, no nie?

– Austro-Węgry i Serbia prężą mięśnie i tyle. Pamiętajcie tę dziecianną zabawę „Kto pierwszy mrugnie”?

– Niemcy budują mnóstwo wielkich okrętów wojennych. My wolimy, żeby wszystkie okręty wojenne należały do nas.

– Krótka, zdecydowana wojna może być całkiem fajna. – Charlie zatarł ręce.

– Jak można mówić takie straszne rzeczy! – odezwała się Thelma.

Charlie podniósł szklankę w toaście:

– Za króla i ojczyznę! Nie napijcie się ze mną?

– Och, przymknij się, Charlie!

– Spokój, panowie, spokój...

Thelma złapała smycz i razem z psem opuściła pokój, trzaskając za sobą drzwiami.

– Ma charakterek ta nasza Thelma, co? – zauważył Charlie, mrugając do Iris. – Pani też, panno Maclise?

– Tak, i to wredny – odrzekła, patrząc na niego chłodno. – Zwłaszcza wobec bezczelnych młodzieńców.

Nadeszło kilku polskich robotników z butelkami. Bezrobotny murarz wyraźnie szukał noclegu i jego wymizerowana twarz pojaśniała, gdy Ash zaproponował mu swoją sofę. Iris obserwowała przez chwilę Asha, kiedy Polacy śpiewali w swoim pięknym, niezrozumiałym języku. Potem pozbierała puste szklanki i zaniósła je do kuchni.

Thelma Voss zdążyła już wrócić i teraz stała przy zlewie.

– Muszę dokończyć zmywanie – rzuciła gniewnie – bo inaczej zostawię go z tym bałaganem. W dodatku wyjadają wszystko do ostatniej okruszyny. Zawsze tak jest! Przynoszę mu ze sklepu różne rzeczy, ale jeśli biorę za dużo, tato robi uwagi. – Obróciła się do Iris. – Niektórym wcale na Ashu nie zależy, po prostu go wykorzystują.

W oczach Thelmy czaiło się wyzwanie.

– Ale pani na nim zależy, prawda, panno Voss?

– Tak! Tak! On jest jednym z najlepszych. Wie pani, ja niczego od niego nie chcę. Niczego nie oczekuję. W przeciwieństwie do niektórych z tej paczki. Wyssaliby mu krew, gdyby im pozwolić. A jak już skończą z Ashem, przenoszą się do kogo innego, kto ich nakarmi i odstąpi łóżko na noc.

Iris wycierała talerze.

– Może Ash lubi czuć się potrzebny.

– Może. – Niechętne spojrzenie Thelmy spoczęło na Iris. – A pani, panno Maclise? Do czego on pani potrzebny?

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi – odparła, czerwieniąc się mimo woli.

Z rąk Thelmy ściekały mydliny, ale nie odrywała oczu od Iris.

– Z Ashem tak już jest, że on nie potrafi nikomu odmówić. Powtarzam mu, żeby nie był taki głupi, ale nie chce mnie słuchać. Nie można dać każdemu, czego tylko zażąda. Czasem ludzie pragną czegoś, czego nie można im dać.

Zapadła cisza. Po chwili Iris zapytała:

– Co właściwie próbuje mi pani powiedzieć?

– Że on pani nie kocha. I nigdy pani nie pokocha.

Iris zabrakło tchu.

– Tego nie może pani wiedzieć – szepnęła.

– Znam go. I wiem, że jest mu pani żal. To jedyny powód, dla którego się z panią spotyka.

– Nie...

– To prawda. Współczuje pani tak samo, jak tym wszystkim, którzy go o coś proszą.

Aż ją zakłuło od tych słów.

– Nie wierzę pani.

– Ash nie chce zranić pani uczuć. – Thelma mówiła cichym, monotonnym głosem.
– Powiedział mi, że kiedyś między wami coś było. A potem on panią odepchnął. Mam rację, panno Maclise?

Fakt, że Ash podzielił się jej upokorzeniem z Thelmą, omal nie zwał Iris z nóg. Zebrała całą swą odwagę, żeby zdobyć się na pytanie:

– Co pani naprawdę chce mi powiedzieć? Że Ash panią kocha?

Thelma roześmiała się z goryczą.

– Chyba pani w ogóle go nie zna! Oczywiście, że mnie nie kocha. Przynajmniej jeszcze nie. On kocha ich! – Machnęła ręką w stronę pokoju. – Kocha wszystkich włóczęgów, którzy go objadają, i pasożytów, wynoszących mu węgiel po kieszeniach. Nie widzi pani, że on stawia ich przed każdą z nas – przede mną, która zrobiłabym dla niego wszystko, i przed panią mimo tej ślicznej buzi. Nie widzi pani tego?

O, tak, widziała to z całą wyrazistością. Chyba musiała być ślepa, że dopiero teraz...

Thelma oparła się plecami o zlew.

– Ma pani wybór, panno Maclise. Może pani tu zostać i cieszyć się swoją częstką Asha, jak wszyscy inni, albo odciąć się od niego zupełnie i zacząć żyć na nowo. Radziłabym nie odwlekać decyzji. Sama bym tak zrobiła, gdybym miała pani twarz i figurę, gdyby stać mnie było na takie stroje, jak pani. Zapomniałabym o nim i poszukała sobie kogoś innego.

Wytarłszy ręce, Thelma rzuciła ścierkę na ociekacz i wróciła do pokoju. Polscy robotnicy znów zaczęli swoje śpiewy; do kuchni sączyły się niskie, rzewne tony pieśni, może też o miłości i stracie.

Nigdy cię nie pokocha. Lituje się tylko nad tobą. To straszne być przedmiotem litości. Iris najchętniej wymknęłaby się niepostrzeżenie, ale Ash już ją zauważył i uparł się, że ją odprowadzi do domu. Przez całą drogę paplała, słowa płynęły z jej ust szybko i bez przerwy, blokując wszelkie próby z jego strony. Przy wejściu do szpitala cmoknęła go w policzek i uciekła. Żal w jego oczach prześladował ją przez całą drogę przez ogród do domu pielęgniarek.

Prawie nie spała tej nocy. Następnego dnia na dyżurze była roztargniona i wszystko ją złościło. Właśnie wychodziła z kuchni, kiedy usłyszała, jak siostra Dickens besztuje pacjenta za rozlaną na czystą pościel herbatę.

– Och, na litość boską! – wyrwało się Iris. – Przecież to tylko kilka kropel!

Cały oddział zamarł. Wszystkie oczy zwróciły się na Iris. Widok miny siostry Dickens – mieszanina zaskoczenia i urazy – niemal ją rozśmieszył. Niemal. Pielęgniarki nie pyskują i nie komentują postępowania przełożonych. Pielęgniarki mówią: „tak, siostrzo” albo „nie, siostrzo”, zależnie od sytuacji.

Przed wieczorem wezwano ją do panny Stanley. Idąc długimi korytarzami do gabinetu, Iris to buntowała się, to wpadała w rozpacz. Słusznie zareagowała, bo siostra Dickens to potwór. Niech ją nawet wyleją, ona, Iris, i tak ma już dość szpitala. A jednak wstyd, świadomość błędu popełnionego tuż po wczorajszych rewelacjach Thelmy, były wprost nie do zniesienia.

Zapukała i panna Stanley poprosiła ją do środka. Stojąc w gabinecie, Iris czekała, obserwując szybki ruch jej pióra po papierze. Wreszcie przełożona podniosła głowę.

– Słyszałam od siostry Dickens o pani impertynencji.

– Bardzo mi przykro – wymamrotała Iris.

Panna Stanley odłożyła pióro i przyjrzała się Iris swymi zimnymi niebieskimi oczami.

– Zwykle zwalniam pielęgniarki za takie zachowanie.

– To się już nie powtórzy, proszę siostry.

– Jaki przykład daje pani praktykantkom, odzywając się w ten sposób?

– Ale siostra Dickens jest taka niedobra dla pacjentów! Biedny pan Knowles... co on poradzi, że ręce mu się trzęsą?

Panna Stanley zacisnęła usta.

– Czy to do pani należy udzielanie reprimend oddziałowej?

Cały bunt gdzieś się ulotnił. Iris spuściła wzrok.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Bardzo mnie pani zawiodła, siostró Maclise.

Całe lata pracy, wszystko, co musiała znosić – upokorzenia i przemęczenie – wszystko to ma być przekreślone, bo jak głupia praktykantka, odezwała się niepytana!

Panna Stanley mówiła dalej:

– Rozumiem, że moje starsze podwładne były ostatnio narażone na duży stres. To ta okropna epidemia. – Nagle obrzuciła Iris baczny spojrzeniem. – Czy pani czasem sama nie jest chora? Mizernie pani wygląda.

– Nie, proszę siostry, przechodziłam już odrę.

Znów to uważne, chłodne spojrzenie niebieskich oczu.

– Proszę mi powiedzieć: czy jest pani tu szczęśliwa?

Iris nagle poczuła łzy pod powiekami.

– Nie wiem. W każdym razie byłam...

– Jeśli teraz czuje pani coś innego, to może powinna pani zastanowić się nad swoją posadą u nas.

– Czy pani mnie zwalnia? – spytała Iris drżącym głosem.

– Dam pani dobre referencje. Nie wątpię, że dzisiejszy incydent był wynikiem przemęczenia i napięcia nerwowego. Nie widzę potrzeby, by o tym wspominać.

Iris nie dosłyszała ostatniego zdania.

– Ależ to mój dom! – wybuchnęła.

– Szpital jest miejscem pracy – odparła sucho panna Stanley. – Jeśli pielęgniarka przestaje się nadawać, to musi zostać usunięta. – I łagodniejszym tonem dodała: – Kiedy przyszła pani do nas, siostró Maclise, część mojego personelu kwestionowała pani predyspozycje. Ja jednak zawsze w panią wierzyłam. Wyczuwałam u pani charakter potrzebny w naszym zawodzie. Mimo to uważam, że powinna pani odejść. Chyba nas pani przerosła. To nie jest kwestia zdolności, raczej typu psychiki. Praca na oddziałach szpitalnych niektórym pielęgniarkom służy bardziej niż innym. Te mniej ulegające konwenansom mogą lepiej się poczuć w innej dziedzinie. – Znów wzięła pióro do ręki. – Może pani już iść.

Nie zniosłaby powrotu do domu pielęgniarek. Musiała stąd uciec. Ledwie jednak zbiegła ze schodów na ulicę, zobaczyła, że czeka na nią Ash. Nagle zalała ją fala gorzkiej

złości – za to, że opowiadał Thelmie o ich sprawach, za to, że jej nie kochał.

– Już cię tu nie ma!

Zamrugął oczami.

– Wczoraj wieczorem...

Ruszyła przez jezdnię i zaraz zapiszczały hamulce. Ash pobiegł za nią.

– Iris! Posłuchaj... Chciałem cię przeprosić. Wiesz, ci wszyscy ludzie... Nie wiedziałem, że przyjdą.

Właśnie zamykano targ. Śmieci i zgniłe owoce zalegały w rynsztokach, stragany przedstawiały żałosny, zaniedbany widok. Iris zastanawiała się, co właściwie robi w tym paskudnym miejscu – ona, która zawsze tak lubiła ładne przedmioty.

– Mogłeś im powiedzieć, żeby sobie poszli – odparła zimno.

– No tak... Masz rację.

Widziała, jak szuka właściwych słów. Na tyle właściwych, żeby biedna, godna pożałowania Iris Maclise poczuła się lepiej.

– To nie ma znaczenia. Chodzi mi tylko o zmarnowany wieczór. – Zaśmiała się ochryple. – Wiesz, że polityka mnie strasznie nudzi, mogłam pójść sobie gdzie indziej w tym czasie.

– Jak to, gdzie indziej?

– Do teatru, na tańce... – Głos Thelmy w głowie: „On pani nie kocha, nigdy pani nie pokocha”. I nagle Iris wiedziała, co ma zrobić. Musi usunąć przyczynę swego nieszczęścia, skończyć z nią raz na zawsze.

Obróciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy.

– A jak myślisz, co ja robię, kiedy ty jesteś zajęty? Siedzę w pokoju i usycham z tęsknoty?

Poczerwieniał na twarzy.

– Jasne, że nie.

– No. Bo to nieprawda.

– Iris, ja nie chciałem...

– Mam mnóstwo przyjaciół.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

– I nigdy nie miałam kłopotu ze znalezieniem towarzystwa na dancing.

W oczach Asha pojawił się chłód.

– W to także nie wątpiłem.

Zapadła cisza.

– To miejsce... – Spojrzała w stronę szpitala i nagle ogarnęła ją fala czułości, żalu, a zarazem niechęci. – Będę zadowolona, jak już zostawię je za sobą. – Wysunęła podbródek. – Postanowiłam odejść z Mandeville.

Twarz mu zastygła.

– To chyba nagła decyzja?

– Niezupełnie. Od dawna się z tym nosiłam.

– Nic nie mówiłaś.

– Nie? – Szli teraz między straganami; Iris udawała, że ogląda belę bawełny w kwiatki. – Pewnie zapomniałam.

– Co będziesz robić?

– Może pojedę do domu na jakiś czas. – Wzruszyła ramionami. – Albo poszukam posady prywatnej pielęgniarki. To znacznie łatwiejsze od tej niewolniczej pracy na oddziale. – Wyraz jego oczu sprawił, że omal się nie zachwiała w tym postanowieniu, brnęła jednak uparcie dalej: – Doprawdy, Ash, nie mogę tkwić tu przez całe życie. Te same stare kąty, ci sami starzy ludzie... Znasz mnie przecież: nie cierpię nudy.

– A ja nie cierpię być nudziarzem – odparł krótko. – Wyraziłaś się jasno, Iris. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa. Bez względu na to, co będziesz robić, życzę ci szczęścia.

I odszedł. Przez ułamek sekundy miała ochotę pobiec za nim, ale nie pozwoliła sobie na to. Zawróciła do domu pielęgniarek, położyła się na łóżku, zamknęła oczy i słuchała, jak jej serce pęka na kawałki.

Rozdział dwunasty

George miał jasne, prawie białe włoski, ciemnoniebieskie oczy i zaraźliwy, gulgoczący śmiech. Wszystko go śmieszyło – kameleon sunący po gałęzi, złoty galon przy sari Rani, błękitna trąbka powoju. Kiedy płakał – nadzwyczaj rzadko – Marianne brała go na ręce i śpiewała mu ulubioną piosenkę („Na jarmark, na jarmark po tłuste prosię,/ Do domu, do domu po dwie dziurki w nosie”), a on od razu zaśmiewał się, że aż ciekły mu łzy po policzkach.

W wieku sześciu miesięcy siadał bez pomocy, a miesiąc później nauczył się raczkować. Wystarczyło, że coś przykuło jego uwagę – zielony jak cenny kamień gekon, przylepiony do listwy podłogowej, mosiężna lampa połyskująca w słońcu – i natychmiast ruszał przed siebie z błyskiem podniecenia w oczach i szerokim uśmiechem na buzi. Kiedy w następnym miesiącu nabrał wprawy w chodzeniu na czworakach, nic nie było przed nim bezpieczne. Począwszy od dnia narodzin chłopca Marianne i Rani znalazły się w jego niewoli, a teraz krążyły za nim po domu i ogrodzie, uważając, by nie rozbił jakiejś wazy czy nie wpakował sobie do buzi trującego liścia. Marianne starała się przewidzieć każde zagrożenie: stromą pochyłość ogrodowej terasy, gorące węgle w kominku, węża z rozwidlonym językiem, pełznącego po trawniku w stronę pulchnej nóżki.

Oczywiście George był najpiękniejszym i najmądrzejszym dzieckiem na świecie. Marianne z wielkim trudem powstrzymywała się od nietaktownego przekonywania o tym odwiedzających ją pań, ale w duchu uważała, że i tak muszą zdawać sobie z tego sprawę. Wprawdzie grzeczność nakazywała jej komplementować ich pociechy, jednak żadne z dzieci nie mogło się równać z George'em.

Kiedy synek skończył pół roku, wybrali się z nim do atelier fotograficznego w Nuwara Eliya. Marianne ubrała go w białą koronkową sukieneczkę, ale główkę zostawiła odsłoniętą – całą w chmurze białych loczków. Wysłała odbitki do Anglii, a potem siostry w listach potwierdziły to, co Marianne od początku wiedziała: po prostu doskonałość w każdym calu.

Każdego ranka robiła z nim rundkę po ogrodzie – swoim rajem, a jego dziedzictwie. Pokazywała mu banian, pozwalała głasnąć tłustymi paluszkami większe od jego główki liście. Wyciągał rączki do bananów i kwiatów na rabatkach, turlał się w wysokiej trawie pod czujnym okiem Marianne, wypatrującej mrówek i innych niebezpiecznych insektów. Trzymając synka w ramionach, spacerowała po wąskich, krętych ścieżkach między drzewami. Na głos ptaka George otwierał szeroko oczy, obracał w tę stronę główkę i patrzył. Znacznie wyżej, przez gąszcz splątanych gałęzi przeświecało słońce. Marianne trzymała się z daleka od dzikich pszczół, które uwijały się wokół kulistych gniazd na drzewach, i przyciskała mocno dziecko przy każdym szeleście w poszyciu.

– Zawsze będziesz przy mnie bezpieczny, mój kochany syneczku – szeptała.

Po porodzie nie trwała już tak mocno przy decyzji opuszczenia Lucasa. Dokąd by poszła? Do Clare? Przecież nie mogła siedzieć u niej dłużej niż kilka tygodni. A potem? Jedynym wyjściem byłby powrót do Anglii. Sama myśl o długiej i trudnej podróży

z Blackwater do Colombo, a potem do Southampton – samotnie, z malutkim dzieckiem – wywoływała w niej niechęć, a cóż dopiero perspektywa hańby i piętno rozwodu. Na kobietę patrzono przez pryzmat jej relacji z mężczyzną: była czyjąś córką, siostrą, ukochaną, żoną. Jeśli odejdzie od Lucasa, będzie nikim. Co gorsza, jej hańba może odbić się na życiu George’a. Sama zniesie jakoś ostracyzm towarzyski, ale jeśli dotknie on także jej syna? Lepiej już robić dobrą minę do złej gry.

Zresztą to właśnie małżeństwo z Lucasem dało jej George’a. Ze względu na niego postara się znosić cierpliwie wybuchy złości męża i jego wulgarny język. W listach do sióstr opisywała zabawne szczegóły na temat życia w bungalowie i wychwalała urok i mądrość George’a. Zawsze miała talent do ukrywania tego, co naprawdę czuła. Nikomu nie powtórzyła słów Lucasa: „Nigdy cię nie kochałem”.

Doszła do wniosku, że da radę. Każde z nich miało swoją sferę – ona ogród i pokój dziecienny, on wytwórnię i posiadłość. Ich drogi krzyżowały się w bungalowie, gdzie obowiązywał krępujący rozejm. Sześć tygodni po porodzie Lucas przyszedł do jej sypialni; teraz jego dotyk budził w niej wstręt. Raz, kiedy opuszczał jej łóżko, zauważyła, że obrzucił ją taksującym spojrzeniem. Krótco potem znów usłyszała oddalające się kroki i zobaczyła, jak w stronę osiedla kulisów przemyka się coś czerwonego. Poczowała ulgę, ale także coś w rodzaju poczucia winy. Wiedziała, że unika powinności małżeńskich, ale te jasnoszare oczy, które dawniej uważała za pociągające, wręcz anielskie, zaczynały ją przerażać.

Tak, jej małżeństwo okazało się nieudane, ale dla dobra dziecka musiała robić, co w jej mocy. Lucas był ojcem George’a, ta więź ich teraz połączyła. Poza tym Lucas kochał synka, widziała wyraz oczu męża, kiedy pochylał się nad kołyską. Nauczyła się ostrożności, potrafiła rozpoznać w jego oczach błyski, które budziły demony, i nie wchodziła mu w drogę, gdy był pijany. Lepiej w takim wypadku uważać na każde słowo, lepiej trzymać się z daleka.

Jednak nadal dręczyła ją ciekawość. Zapamiętała słowa pani Rawlinson: „Żał mi było dziecka... George Melrose nie był łatwym człowiekiem”. Co miała na myśli? Marianne wyobraziła sobie Lucasa, zaledwie czteroletniego chłopczyka, zostawionego na łasce ojca i służby po ucieczce matki. Jakie piętno wycisnęło na nim to wydarzenie? Jakim człowiekiem był jego ojciec? Pijakiem o skłonnościach do napadów złego humoru, spędzającym większość czasu na doglądaniu posiadłości. Mężczyzną zimnym, który po odkryciu niewierności żony nie był zdolny do okazywania uczuć.

Pewnego niedzielnego popołudnia do Blackwater zjechali Rawlinsonowie. Podczas gdy panowie po lunchu pili i rozmawiali o swoich sprawach, a George spał, Marianne oprowadzała panią Rawlinson po ogrodzie. Kosmosy były w pełnym rozkwicie – różowe i białe kwiatki w chmurze koronkowych liści.

– Clare Barlow dała mi trochę nasion – wyjaśniła Marianne. – Jestem z nich naprawdę dumna.

– I te róże! – Pani Rawlinson pochyliła się, żeby je powąchać. – Co za widok!

Marianne obejrzała się szybko na werandę; Lucas i pan Rawlinson nie mogli ich stąd słyszeć.

– Anne, wspomniała pani kiedyś, że to matka Lucasa zasadziła te róże.

– Wszystkie co do jednej.

– A reszta ogrodu?

– Przed przyjazdem Sarah była tu dżungla. Muszę jej oddać sprawiedliwość, że przeobraziła to miejsce.

– Dobrze ją pani znała?

Anne Rawlinson ściągnęła usta.

– Nie, nie powiedziałabym, żeby ktokolwiek z nas znał ją naprawdę dobrze. Mieszkała tu tylko cztery lata i nigdy się nie przystosowała. To była kokietka i niepoprawna flirtiar.

– A ojciec Lucasa? Pamięta go pani?

– George? – Oddalały się coraz bardziej od werandy. – Po wyjeździe Sarah zupełnie zamknął się w sobie. Nawet przestał się pokazywać w klubie... Zresztą co to był wtedy za klub, zwykła buda z brudną podłogą. W ogóle trudniej się nam żyło – czasem przez całe tygodnie nie widywaliśmy białej twarzy.

– Jakim on był człowiekiem?

Pani Rawlinson przyjrzała się krytycznie jednej sadzonce. Zerwała listek i roztarła go w palcach, po czym zauważyła:

– Marianne, ta Chwała Dijon pleśnieje.

– Był porywczy?

Zgnieciony liść spadł na ścieżkę.

– George Melrose należał do „starej szkoły”. On i jego ojciec stworzyli Blackwater z niczego. Harowali dniami i nocami, sami robili dosłownie wszystko. Podziwiałam ich za to. George był człowiekiem z charakterem, teraz rzadko się takich spotyka. Połowa tych młodzieńców, których przysyłają kompanie herbaciane, po pół roku ucieka do Anglii. Nie mogą znieść klimatu i samotności... albo ciężkiej pracy.

– Ale nie ojciec Lucasa?

– George się wyróżniał. – Anne umilkła, żeby obejrzeć kolejną różę. – Jednak po wyjeździe Sarah był już nie ten sam. On po prostu uwielbiał ziemię, po której stąpała. Dla niej zbudował ten dom i pozwolił jej założyć ogród. Sprowadzał z Anglii sadzonki, a z Paryża te wszystkie inne głupstwa – bieliznę, szkło, suknie, co tylko chciała. Chyba nigdy nie uwierzył swemu szczęściu, że udało mu się ją zdobyć. I jak gdyby żył w ciągłym strachu, że mu ucieknie. Psuł ją, rozumiesz, okropnie ją psuł.

Marianne znów obejrzała się na werandę.

– To musiał być dla niego straszny cios, kiedy uciekła.

– Odciał się od nas zupełnie. Znajomi próbowali utrzymywać z nim kontakt, ale nie było łatwo. Plantacje leżą daleko od siebie, a George nikogo nie zapraszał. Potrafił jasno dać do zrozumienia, że nie życzy sobie towarzystwa. – Doszły już do końca ogrodu, gdzie zbocze opadało niemal pionowo do doliny. Mimo sporej odległości od werandy pani Rawlinson zniżyła głos do szeptu: – George Melrose osmalił raz ucho Daveyowi Scottowi, kiedy ten przyjechał do Blackwater w nieodpowiednim momencie. Po prostu go postrzelił.

– Strzelał do człowieka?

– Był świetnym strzelcem. Kula trafiła tam, gdzie chciał. Następny strzał pewnie

wyrządziłyby więcej szkody, ale Davey zrozumiał ostrzeżenie i trzymał się z daleka. Podobnie jak reszta naszego towarzystwa.

– A Lucas?

– Jak mówiłam, trzymaliśmy się z daleka. Ale plotki krążyły.

– Jakiego rodzaju?

Pani Rawlinson znów zerknęła na dom.

– Że George bił dziecko.

– Bił? – Przejęta zgrozą Marianne dostrzegła w bladoniebieskich oczach swej towarzyszki błysk współczucia.

– Oczywiście chłopców należy trzymać w ryzach. Moim, jak byli mali, nieraz się ode mnie dostało. Ale George posuwał się za daleko. Uważał, że nie wolno żałować różgi, takie już miał metody. Gardził wszelką słabością, nawet u własnego dziecka. – Pani Rawlinson szarpnęła odnogę pnącza, które owinęło się wokół gałęzi. – Powinnaś przyciąć ten fikus, Marianne, bo wymknie ci się spod kontroli. Te chwasty tylko czekają, żeby opanować ogród. – Zmarszczyła brwi. – Myślę, że po ucieczce żony George gardził także sam sobą za to, że tak ją kochał. Miał silny charakter i uważał to za swoją jedyną słabość, takie pęknięcie w pancerzu.

– Miłość nie jest słabością!

– Czyżby? Pamiętaj, że George poświęcił całe życie na kontrolowanie... rządzenie posiadłością. Nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi. Popętnisz ten błąd, a służący i kulisi natychmiast to wykorzystają i dzungla w mgnieniu oka wedrze ci się na pola. George musiał przeżyć szok, gdy się okazało, że nie kontroluje własnego serca. – Pani Rawlinson rzuciła oderwany kawałek pnącza w przepaść i otarła zamasyścię ręce. – W rodzinie Melrose'ów powtarza się pewien schemat: George też był jedynakiem, jak Lucas. Matka umarła mu wcześniej – chyba na malarię, wtedy panowała tu epidemia, więc wychowywał go ojciec, tak samo jak Lucasa.

Gdyby mojego George'a spotkało to samo? Gdyby nie było tu mnie, żeby go chronić? Tego George'a, który otrzymał imię po dziadku znęcającym się nad jego ojcem...

– Marianne zamarło serce na tę myśl.

– Czy nikt nie próbował interweniować?

– Najlepiej się nie wtrącać – stwierdziła sucho pani Rawlinson. – Nie wtykać nosa między męża i żonę ani między rodziców i dziecko. Zawsze to powtarzam.

– Ale przecież ktoś...

– My tutaj trzymamy się razem. To nasz sposób na przetrwanie. George był jednym z nas, a poza tym, jak mówiłam, to tylko plotka. Kto wie, ile w niej prawdy?

Panowie wstali z miejsc i szli ku nim przez trawnik. Pani Rawlinson zdążyła jeszcze szepnąć:

– Odwiedziłam George'a parę tygodni po zniknięciu Sarah. Rozpalił w ogrodzie ognisko. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, co wrzuca do ognia. Wszystkie jej rzeczy! Suknie, francuskie koronki, mydła i perfumy. Każdą fotografię i portret. Listy, książki, nawet narzędzia ogrodnicze. Zupełnie jakby chciał zniszczyć wszelki ślad po niej, tak żeby absolutnie nic nie zostało. Może potem przeniósł złość na syna, bo widział w nim podobieństwo do Sarah? – Nagle podniosła głos: – Mam nadzieję, że daje pani dużo

końskiego nawozu pod swoje róże, pani Melrose. To najlepszy środek, gdyby pani zabrakło, chętnie podeślę.

W pewien niedzielny wieczór James nie wrócił do domu. Ojciec szalał – na przemian ze złości i niepokoju, Clemency źle spała, wyobrażając sobie już to wypadek na kolei, już to nagłą chorobę. Poniedziałkowe śniadanie upłynęło w ponurej, napiętej atmosferze. Ojciec ostentacyjnie czytał gazetę, a Aidan zauważył głośno, że James może się spóźnić do pracy.

Zjawił się około południa i zdaniem Clemency, wyglądał na wyczerpanego. Zwykle nieskazitelnie ubrany, tym razem miał nieświeżą koszulę i wygniecioną marynarkę. Gdy Edith podała zupę, bez słowa wsunął się na swoje miejsce. Przez chwilę panowała cisza; Clemency miała nadzieję, że zaraz usłyszą jakieś stosowne wyjaśnienie, ale to ojciec odezwał się pierwszy:

– Nie pomyliły ci się czasem pory dnia, James?

– Przepraszam, ojcze, miałem opóźnienie.

– O-póź-nie-nie – powtórzył wolno Joshua. Wszyscy patrzyli w swoje talerze, unikając wzroku ojca, który z demonstracyjną grzecznością zapytał: – A wolnoż wiedzieć, co je spowodowało?

– Nic ważnego – wymamrotał James. – Pociągi...

– Aha. Więc pozwalasz, aby „nic ważnego” przeszkodziło ci w śniadaniu z rodziną i w punktualnym stawieniu się do pracy?

James poczerwieniał.

– Nie miałem na myśli...

– Co to było, to „nic ważnego”? Pewnie wieczór w restauracji? Albo partyjka kart?

Jamesowi stężała twarz.

– Nie grałem, jeśli o to ci chodzi.

– Twoja matka była chora z niepokoju.

– Przykro mi, nie chciałem jej martwić. Gdybyśmy mieli telefon...

– Mamy dostosować nasz dom do twoich narwanych zwyczajów?

– Nie, ojcze. – James wpatrywał się w zupę. – Obiecuję, że to się nie powtórzy.

Głos zabrał Aidan:

– James, wczoraj w kościele pytała o ciebie Louisa Palmer.

Joshua potrząsał solniczką nad zupą.

– Jeśli będziesz zwlekał za długo, ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa i nawet nie będę miał pretensji.

James wbił w niego twardy wzrok.

– Ojcze, nie zamierzam żenić się z Louisą Palmer. Już ci o tym mówiłem.

Obaj mężczyźni patrzyli teraz na siebie: oczy starszego wyrażały gniew, młodszego – bunt.

– Już najwyższy czas, żebyś się ustatkował – rzekł Joshua. – Na co ty czekasz?

James odwrócił wzrok.

– Na nic. Po prostu... sam sobie wybiorę żonę... we właściwym czasie.

Nikt nie chciał dokładki zupy, więc Clemency kazała Edith podawać drugie danie. Joshua kroił udziec barani, wszyscy nakładali sobie jarzyny, kiedy odezwał się Aidan:

– Ojcie, Rickett liczy nam teraz za węgiel o dwa szylingi więcej za cetnar.

Joshua wbił widelec w plaster mięsa.

– Powinieneś mnie o tym uprzedzić, James. Prosiłem, żebyś miał oko na ceny węgla.

– Chciałem, ale wyleciało mi z głowy.

– Wyleciało ci z głowy?! – Ojciec wpadł w furję. – Wiesz, że w tym roku wszystko wisi na włosku! Będziemy się uważali za szczęściarzy, jeśli wyjdziemy na zero, a cóż mówić o paru pensach zysku!

– Rozmawiałem z kilkoma innymi kupcami z branży węglowej – zaproponował usłudze Aidan. – Earle mógłby dać nam lepszą cenę, jeśli złożymy odpowiednio duże zamówienie.

– Zostanę dziś w biurze do późna – obiecał z urazą w głosie James – i nadrobię opuszczone godziny.

Spojrzenie Joshuy ześliznęło się po najstarszym synu; zauważył jego bladość i podkrążone oczy.

– Będziesz siedział cały wieczór w biurze? Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zasnąć. Nic dobrego ci nie przyjdzie z szafowania zdrowiem.

– Nie, ojcie.

– Jesteś najstarszy. Po mojej śmierci wszystko przejdzie na ciebie. Musisz pamiętać o odpowiedzialności, jaka na tobie ciąży!

Tego już Jamesowi było za wiele.

– Pamiętam! Zawsze o tym pamiętam! Nie oskarżaj mnie o zaniechanie obowiązków!

Joshua rąbnął pięścią w stół, aż talerze podskoczyły.

– Nie podnoś na mnie głosu, młokosie! Przez parszywe lenistwo nie pojawiaasz się w pracy na czas! Jaki ty przykład dajesz ludziom?!

– Powiedziałem, że jest mi przykro. – James ochłonął już z gniewu i mówił cichym, pełnym napięcia głosem. – I to wcale nie było lenistwo.

– Tylko co?

– To moja sprawa.

– Moja, skoro mieszkasz pod moim dachem!

James wstał. Krew do reszty odpłynęła mu z twarzy.

– No właśnie. W takim razie już czas, żebyś się wyprowadził. Nie rozumiem, po co tak długo zwlekałem.

Opuścił jadalnię. Clemency wybiegła za nim.

– James, zostań! Ojciec wcale tego nie chce!

Oparł się o ścianę i przymknął oczy.

– Mam już go dość, Clem.

– James, proszę! – Była bliska łez.

Posłał jej przelotny uśmiech.

– Tak będzie lepiej. Dla ciebie także, na pewno nie lubisz, jak skaczemy sobie do

gardał.

– Ale dokąd ty pójdziesz?

– Znajdę sobie mieszkanie.

– James, ojciec naprawdę nie miał tego na myśli! – przekonywała go, płacząc. – Jest zły na ciebie, bo się martwił, że nie wracasz!

– I tak nie ma o mnie dobrego zdania. Przyniosłem mu tylko rozczarowanie – upierał się brat z goryczą.

– Nieprawda! On świata za tobą nie widzi! Dlatego tak się zachowuje, dlatego to wszystko mówi...

– Może ma powody do rozczarowania. – James odwrócił wzrok. – Mam różne sprawy na sumieniu... No cóż, nie jestem z siebie dumny.

Kiedy Clemency wróciła do jadalni, zastała już tylko Aidana i trzy talerze z wystygłym, nietkniętym jedzeniem.

– Ojciec poszedł do gabinetu – wyjaśnił brat. – Powiedział, że nie ma ochoty na pudding.

– A ty też niczego nie ułatwiasz – syknęła ze złością. – Dolewasz tylko oliwy do ognia, jakby było mało...

Zauważyła, że się wzdrygnął.

– Jestem lepszy od Jamesa. Przynajmniej w fabryce. – Oczy mu na chwilę rozbłysły. – Jamesowi nie zależy na niej tak jak mnie, ale ojciec tego nie widzi.

Bez najstarszego brata dom wydawał się dziwnie pusty i cichy. Na środowym koncercie Ivora Clemency chciała się poddać, jak zwykle, kojącemu wpływowi muzyki, tym razem jednak nastrój wcale się jej nie poprawił. Wręcz przeciwnie, tryle i arpeggia klawesynu bardziej ją irytowały, niż przynosiły odprężenie. Po skończonym recitalu nie podeszła natychmiast do Ivora, tylko obserwowała go, jak otoczony wianuszkami wielbicielek brał od nich z promiennym uśmiechem kawałki ciasta.

Później poszli do kafejki. Padał lodowaty deszcz i Ivor dygotał z zimna.

– Co za upiorna pogoda – narzekał. – I pomyśleć, że jeszcze całe miesiące tej zimy! Jak ja nienawidzę północy!

Wzięła go za rękę – rzeczywiście miał zlodowaciałe palce.

– Nigdy byśmy się nie poznali, gdybyś tu nie zamieszkał.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się do niej. – Nawet najgorsze sytuacje mają swoje dobre strony.

W kafejce zamówił herbatę i ciastka. Clemency zauważyła, że ostatnio wyraźnie przybyło mu w pasie. Pewno to przez te wszystkie słodyczne.

Patrzył ponuro w okno.

– No spójrz tylko na to! – Domy i drzewa miały szarobury odcień. – Szczerze mówiąc, kiedy się myśli o różnych miejscach do życia... – Westchnął. – Tak bardzo tęsknię za Londynem! Gdyby nie Rosalie...

– Przynajmniej wy mieszkaliście już gdzie indziej.

– Ale musieliśmy się wynieść. Kiedy się coś miało, a potem straciło, tym bardziej się tęskni.

Clemency odstawiła z hukiem imbryk.

– Ja pewnie do końca życia zostanę w Sheffield. Nie przeszkadza mi to, w końcu tu jest mój dom, ale bardzo mi się nie podoba, że muszę patrzeć, jak wszyscy po kolei uciekają. Wyjechały już obie moje siostry, Philip jest w szkole, a teraz James także opuszcza dom. Przypuszczam, że tylko patrzeć, jak Aidan ożeni się z jakąś bogatą panną – na pewno ma taki zamiar, z innymi nawet nie rozmawia – i też zniknie. A wtedy zostanę całkiem sama.

– Clemency... – Ivor patrzył na nią, poruszony. – Moje biedactwo. – Sięgnął do kieszeni i podał jej chusteczkę.

– I nigdy nie będę miała dzieci, a tak je kocham! To jest najgorsze, Ivorze. Nigdy nie będę matką!

– Cóż, na twoim miejscu nie poddawałbym się tak łatwo. Ile ty właściwie masz lat? Pociągnęła nosem.

– Prawie dwadzieścia jeden.

– No! To jest jeszcze mnóstwo czasu.

Brązowe oczy były pełne współczucia. Wytarła głośno nos.

– Ciebie nie martwi, że nie masz dzieci? – spytała.

– O, nie! – Zapalił dwie cygaretki, które lubił najbardziej, i podał jej jedną. – Nie znoszę dzieci, wystarczy, że muszę je uczyć. Tylko bałagan w domu robią.

– Ach...

Clemency zawsze myślała, że to choroba Rosalie jest przyczyną braku dzieci w małżeństwie Ivora. Jej najskrytsze marzenie o ich wspólnym życiu w skromnym domku i gromadce dzieci nagle się zachwiało.

– A poza tym – ciągnął – dzieci sporo kosztują. Czesne w szkole, lekarze... – Westchnął. – W tej chwili mam straszną szarpaninę. Ten wredny wuj Rosalie ciągle żyje – nie żebym życzył biedakowi śmierci, ale jak ktoś jest taki chory, to doprawdy nie widzę sensu... – Ścisnęła ją za rękę. – Proszę, rozchmurz się trochę, kochana Clemency. Nie mogę znieść, jak masz taką smutną minę. Zawsze jesteś pogodna...

– O tak, świetny ze mnie kompan – odparła z nagłą goryczą. – Przeważnie nikt nie dostrzega, czy jeszcze żyję. Myślą, że dom sam się prowadzi. Ach, Ivorze, gdybym tylko mogła robić coś sensownego, jak ty!

– Lepiej nie – mruknął. – Talent to istna tortura.

Parę dni później James wrócił do Summerleigh. Clemency z łatwością wzięła sprawę w swoje ręce: po prostu porozmawiała oddzielnie z ojcem i bratem i przekonała każdego z nich, że ten drugi okropnie za nim tęskni. Na jakiś czas zapanował rozejm; ojciec wychodził ze skóry, żeby nie powiedzieć nic nietaktownego, James starał się nie drażnić ojca.

Kiedy Clemency przysłała na następny recital Ivora, zastała tylko grupkę pań w salonie – ani śladu artysty i jego klawesynu. Ze ściszonych rozmów wyłowiła tylko strzępki zdań:

– Nagle, w nocy...

– Nie było czasu wezwać lekarza...

– Biedak, jak on sobie poradzi...

Z drugiego końca pokoju szła już ku niej pani Braybrooke.

– Słyszałaś, Clemency? Co za smutna wiadomość! Biedna Rosalie Godwin nie żyje. Umarła wczoraj w nocy.

Sześć tygodni po śmierci Rosalie Clemency pożyczyła od ojca samochód i pojechała do Peaks. Nigdy dotąd nie zapuszczała się tak daleko; rozłożyła na przednim siedzeniu mapę i w cudownym nastroju swobody zostawiła za sobą miasto. Najwyższe wzgórza okryte były mgłą, więc musiała się dobrze skoncentrować, żeby coś wypatrzyć.

Zatrzymawszy się dla dalszego rozeznania w Hathersage, skręciła w wąską, krętą drogę, prowadzącą przez zbocze. Dom Ivora był wielki, zbudowany z kamienia; wejście ocieniały ciemne cyprysy.

– Clemency! – wykrzyknął, otwierając jej drzwi. Miał na sobie zarękawki i wyglądał dość niechlujnie. – Co za niespodzianka! Jak cudownie, że zdecydowałaś się jechać taki kawał! Obawiam się, że jestem w strasznym stanie – dodał, idąc przodem przez ponury korytarz.

Bawialnia była zarzucona kawałkami papieru.

– Próbowałem znaleźć rachunek za węgiel – wyjaśnił. – Dostałem dziś list od mojego dostawcy... dość cierpki, niestety. Twierdzi, że nie zapłaciliśmy rachunku za ostatni kwartał. Ale Rosalie na pewno wszystko uregulowała, ona zawsze pilnowała takich spraw.

– Przykro mi z powodu Rosalie, Ivorze.

– Miło z twojej strony. – Przewracał różne papiery. – Ale naprawdę ostatnio było już tak fatalnie, że to chyba dla niej ulga.

– Jakie to okropne dla ciebie! Dostałeś moją kartkę?

– Tak, bardzo ją sobie cenię.

Wzrok jej padł na leżący na fotelu papier. Podała go Ivorowi.

– Czy nie tego szukasz?

– Och tak! – wykrzyknął z promiennym uśmiechem. – Jakaś ty bystra!

– Spodziewałam się, że mi odpiszesz.

Stropił się lekko.

– Byłem bardzo zajęty. Tyle koszmarnych spraw do załatwienia, te wszystkie oficjalne listy i wizyty...

– Tak, tak. Po prostu martwiłam się o ciebie.

– Wszystko było takie ohydne! Ten pogrzeb...

– Ale dobrze wypadł?

– Tak, tylko w kościele było koszmarnie zimno. Chyba się przeziębilem.

– Biedak! – Ścisnęła go za rękę, a on uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Rozumiesz, to Rosalie zajmowała się wszystkimi rachunkami i prowadzeniem domu. – Posmutniał. – Kobieta z wioski przychodzi mi gotować i sprzątać, ale nie zgadza się na pracę po południu. Podobno ma starą matkę. Oczywiście trzeba to zrozumieć, jednak czasem człowiek marzy o filiżance herbaty...

– To może ja ci zaparzę?

– Naprawdę? Zechciałabyś? A może... – Wyjął z kredensu butelkę. – Może

wolałabyś sherry? Po śmierci Rosalie często pijam sherry. Nie ma tego zawracania głowy z czajnikiem, grzaniem wody...

Nalał dwie szklaneczki. Kiedy Clemency wypila swoją, napełnił jej na nowo. Poczula się dziwnie lekka i szczęśliwa – nie wiedziała, czy z powodu alkoholu, czy też przebywania tutaj, w domu Ivora, sam na sam z nim.

Siedzieli na sofie – jedynym miejscu wolnym od listów i folderów. Ivor trzymał Clemency za rękę, a kiedy przysunęła się bliżej, objął ją ramieniem.

– Nigdy nie mieliśmy tyle czasu dla siebie – szepnęła, przytulając się do niego. – Najwyżej godzinę...

– Naprawdę? Jakoś o tym nie pomyślałem. No to wspaniale, co?

Ogarnęło ją uniesienie. Przekręciła się w jego ramionach i pocałowała go w policzek.

– Usiądź mi na kolanach, dobrze? – poprosił. – Rosalie zawsze lubiła siadać mi na kolanach.

Chociaż starała się uważać (Ivor był drobnej budowy, a ona dość postawna), po sherry poruszała się dość niezręcznie i Ivor wydał cichy okrzyk, gdy przesiadła się na jego kolana. Znow ją całował, delikatnie muskając wargami jej usta, tak jak zawsze lubiła, a potem zaczął rozpinąć jej bluzkę.

– Nie masz nic przeciwko temu? – spytał, nagle zaniepokojony, ale Clemency tylko pokręciła energicznie głową.

Gładził i delikatnie całował jej piersi, wsuwając jednocześnie drugą rękę pod spódnicę, aż dotarł do obrębka granatowych gimnastycznych spodenek. Znow się zawahał.

– Naprawdę mogę?

Clemency nie mogła wydobyć głosu; nie była pewna, o co mu chodzi, więc tylko jeszcze raz potrząsnęła głową. Dyszał ciężko i coraz mocniej drapał podbródkiem jej policzek, nie przestając całować. Zupełnie jak tarka do gałki muszkatołowej, pomyślała. Nagle wysliznął się spod niej i usiadł obok, przeczesując sobie włosy palcami.

– Clem, jeśli nie chcesz, musisz mi powiedzieć. Rozumiesz, ja bardzo długo... no, Rosalie od bardzo dawna nie była dla mnie żoną. Ta jej choroba...

Nie rozumiała, o czym on mówi, ale wyciągnęła do niego rękę.

– Pragnę tylko twojego szczęścia, Ivorze. Wiesz przecież, jak bardzo cię kocham.

– Droga Clemency...

Błyskawicznym ruchem znalazł się na niej, ukrył twarz między jej piersiami, ściągnął jej reformy i wtargnął do środka. Wydała cichy okrzyk, którego zdawał się nie słyszeć. Potem krzyknął sam – głośniej – i zerknąwszy w górę, Clemency zobaczyła jego twarz w grymasie jakby bólu? Rozkoszy? Nie bardzo wiedziała.

Potem szybko zsunął się na bok i kiedy ona poprawiała ubranie, zapalił dwie cygaretki i podał jej jedną.

– Dziękuję – rzekł. – To uroczo z twojej strony, Clem. Ogromnie mnie pocieszyłaś. Zostali przez jakiś czas na sofie, paląc w milczeniu.

– Wyprowadzisz się stąd? – zapytała w pewnej chwili.

Wyraźnie się zdziwił.

– Ja? Stąd?

– Myślałam, że zechcesz wrócić do Londynu.

– Może... – Zacisnął usta. – To jednak straszna udręka. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o wuju Rosalie?

– O tym bogatym, z Hertfordshire?

– Tak. Dziś rano dostałem list od jego adwokata. Pisze, że staruszek właśnie umarł. Jeszcze jedna śmierć w rodzinie, pomyślała ze współczuciem Clemency. Biedny

Ivor...

– Jakie to straszne!

– Prawda? – Strząsnął popiół na spodek. – Szału można dostać! Gdyby Rosalie wytrzymała jeszcze tych sześć tygodni!

Clemency patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Jak to?

– Wszystkie pieniądze starego przeszły na tego parszywego kuzyna Rosalie, a nie na mnie. Bo nie byłem z nim spokrewniony, a tylko to się liczy. Całe lata czekania – i nagle ona umiera sobie kilka tygodni za wcześnie!

Patrzyła na niego – na tak dobrze znaną, przystojną twarz, próbując dobrać jakąś nazwę do emocji widocznej w tych ciemnobrązowych oczach. Gniew? Uraza? Nie, to zwykle rozdrażnienie.

Uświadomiła sobie, że wciąż ma rozpiętą bluzkę i szybko to naprawiła. Bolała ją głowa, a między udami czuła jakąś ciepłą wilgoć. W łazience Ivora umyła się, uporządkowała ubranie i przyczesła włosy. Po krótkim czasie zaczęło ją nurtować pytanie, czy to, co zrobili przed chwilą, jest właśnie tym, co robią małżeństwa w noc poślubną. Bo jeśli tak, to po co tyle dziewcząt za wszelką cenę chce wyjść za mąż?

Kiedy zeszła na dół, Ivor przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza:

– Nawet cię niczym nie poczęstowałem! Masz ochotę na kawałek ciasta?

Zaprzeczyła.

– Pójdę już.

– Po Bożym Narodzeniu zacznę znów recitale. Może za wcześnie, ale pani Braybrooke mówi, że mi to pomoże. To miło, że tak się troszczy.

– Myślałam, że teraz, kiedy masz tyle czasu, zaczniesz pisać swój koncert?

Westchnął.

– Wciąż nie mogę się skoncentrować tak, jak powinienem. Tyle czarnych myśli... I jeszcze ta pora roku, nigdy nie mogę pracować, kiedy jest tak zimno i brzydko.

Pocałowała go w policzek.

– Do widzenia, kochany.

– Najdroższa Clemency! – Popatrzył na nią z czułością. – Tylko uważaj na drodze, te wzgórza są takie strome...

Wracając do Sheffield, zatrzymała się przy drodze biegnącej nad wrzosowiskami, gdzie wielkie głazy rozrzucone wśród krajobrazu wyglądały jak kule do gry olbrzymów. Oczywiście, nawet gdyby nadal tego pragnęła, i tak nie mogłaby wyjść za Ivora. Przede wszystkim ze względu na matkę, ale były też inne powody. Kto się zaopiekuje ojcem, jeśli i ona odejdzie z domu? Kto dopilnuje, żeby zawsze po powrocie z pracy czekała na

niego gorąca herbata? Kto każe pokojówce rozpałić na czas ogień w gabinecie, żeby ojciec po obiedzie mógł w spokoju wypalić papierosa? Kto załagodzi rodzinne kłótnie? Kto będzie pisał zamówienia dla rzeźnika, dostawcy ryb i zieleniny, kto sprawdzi, czy w pralni wykrochmalono należycie kołnierzyki? Ona, Clemency, należała do domu Maclise'ów tak jak nitka wpleciona w tkaninę. Wyciągniesz jedną – a wszystko się wystrzępi i podrze. Mogła być niezbyt mądra i nieładna, mogła nie mieć w sobie nic z bohaterki, ale przynajmniej potrzebowano jej tutaj.

Co do Ivora, widziała teraz, że coś, co traktowała jak rzecz najwyższej wagi, dla niego znaczyło znacznie mniej. Była zaledwie maleńką częścią jego życia, a nie żadną muzą. A jednak mimo jego wad nie mogła powiedzieć, że go nie lubi czy żałuje tego, co dziś się między nimi wydarzyło. To dzięki Ivorowi zaczęła lepiej rozumieć swoją sytuację. Czułość, poczucie winy i obowiązek wiązały Ivora z Rosalie tak samo mocno, jak ją, Clemency, z matką. Ale sam fakt, że Ivor ją polubił (jeśli nawet nie pokochał), pozwolił jej odzyskać pewność siebie. Wiedziała już, że przynajmniej ona jest zdolna do głębszych uczuć i ma potrzebę miłości.

Lucas rozpoczął oczyszczanie najwyższych i najbardziej niedostępnych partii nowo zakupionej ziemi. Stoki wzgórz wznosiły się tam niemal pionowo i ginęły w chmurach. Kiedy wracał w południe do domu, miał ciemne od potu włosy, a plamy rudej ziemi na jego skórze zlewały się z opalenizną.

Lubił, żeby Marianne przynosiła George'a na werandę, gdzie siadywał przy drinku i cygarze.

– Jak się dzisiaj miewa?

– Trochę marudzi. Prawdopodobnie ząbek mu się wyrzyna.

– Chodź tu, George. – Lucas kiwnął na synka.

George, który dopiero co zaczął chodzić, podreptał niepewnie do ojca. Na stole leżał pistolet – Lucas zawsze nosił go ze sobą na wypadek spotkania z węzem lub tygrysem – i chłopczyk wyciągnął rączkę do błyszczącej rękojeści wyłożonej macią perłową.

– Nie – powiedział Lucas. – Nie ruszaj.

George wysunął wargę i postąpił krok dalej. Na werandzie zjawił się Nadeshan z wiadomością o jakiejś katastrofie w kuchni i Marianne pośpieszyła do środka, żeby przeprowadzić rozmowę z pomocnikiem kucharza: skoro galaretka nie zastygła, na deser wystarczą owoce, w spiżarni jest kilka dojrzałych mango. Wróciwszy na werandę, zobaczyła, że sytuacja się pogarsza.

– Powiedziałem, nie ruszaj! – rzekł ostro Lucas i wymierzył synkowi mocnego klapsa w pupę.

George otworzył szeroko oczy ze zdumienia, po czym nagle usiadł i zaniósł się strasznym płaczem. Marianne porwała chłopca na ręce, a służba momentalnie rozplynęła się w głębi domu.

– Uderzyłeś go! – zwróciła się oskarżycielsko do męża.

– Musi nauczyć się słuchać.

– Dobry Boże, Lucas, on nie ma jeszcze roku!

– Trzeba od początku uczyć go dyscypliny. – Lucas obciął końcówkę cygara. – Później będzie znacznie trudniej.

Patrzyła na niego, milcząc, bo z oburzenia zabrakło jej słów. Lucas wydawał się zupełnie nieporuszony.

– Połóż go do łóżka – polecił zimno. – Ten jego charakterek... Niech smarkacz wie, że nie może dostać wszystkiego, czego zapragnie.

Już w dzieciennym pokoju ukołysała synka, nucąc mu coś, póki nie poczuła, że napięcie w małym ciałku zelżało, łkania ustały i tylko od czasu do czasu dzieckiem wstrząsał dreszcz. Wreszcie mały zasnął i mogła go już ułożyć w łóżeczku. Na udach wciąż miał czerwone ślady po uderzeniu.

Poprawiwszy machinalnie suknię i włosy, Marianne weszła do jadalni. Po lunchu odprawiła służbę i drżącym z gniewu głosem powiedziała:

– Jeśli jeszcze raz go uderzysz, odejdę od ciebie, obiecuję! Nie pozwolę krzywdzić dziecka. Dotknij go tylko, a wyjadę do Anglii i zabiorę George’a ze sobą. A wtedy, Bóg mi świadkiem, nigdy go już nie zobaczysz.

Kilka dni później przyjechał Ralph Armitage. Przy obiedzie omawiali z Lucasem sprawy posiadłości. Po zupie i drugim daniu rozmowa zeszła na ceny herbaty, a potem na problemy z nowym gruntem.

– Nadal mam jeszcze do oczyszczenia prawie czterdzieści hektarów. Zabrało mi to więcej czasu, niż przypuszczałem – narzekał Lucas, napełniając na nowo kieliszki.

Armitage beknął głośno.

– Chyba nie pozwolisz, żeby ziemia była górą, co, Melrose?

– Pewnie, że nie. Ani ziemia, ani w ogóle nikt. Ale to trudny grunt. – Po twarzy Lucasa przemknął lekki uśmiezek. – Można powiedzieć, że to posag mojej żony. To dlatego nudziłem się kilka miesięcy jak mops w starej, pocziwej Anglii. Opowiadałem ci kiedyś o tej podróży, Armitage? Niekończące się herbatki i wysłuchiwanie, jak zapasione i zadufane w sobie baby kraczą o nieszczęściach narodowych. Albo nudne jak flaki z olejem obiady z całym stadem próżniaków...

Marianne nie wytrzymała:

– Jaki ty potrafisz być złośliwy, Lucasie! Wszystkich krytykujesz, tylko nie siebie! Spojrzał na nią ironicznie.

– Przecież to nasza wspólna cecha, Marianne: chłodne, krytyczne spojrzenie... Weźmy choćby Rawdon Hall, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy. Przyznaj, że nie cierpiałas tego miejsca, czytałem to na twojej twarzy. Dlatego w ogóle cię zauważyłem. Widziałem, że z całego towarzystwa tylko ty jedna myślisz to, co ja. – I obracając się do Armitage’a dodał: – Wzruszające, nie sądzisz? Bajeczki o spotkaniu kochanków...

– Bardzo – mruknął gość i strzelił palcami na boya, by podał mu dokładkę ryżu z owocami.

– Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo mi ulżyło, gdy wreszcie znalazłem się w domu – ciągnął Lucas, obserwując spod oka żonę. – Ale ty, moja droga, tęsknisz, zdaje się, za Anglią?

– Rzeczywiście, czasem mi jej brakuje – odparła sucho.

– Dlaczego?

– Bo ją kocham. Bo to mój kraj.

– Fascynujące! – Lucasowi rozbłysły oczy. – Powiedz no, Marianne, co najbardziej podziwiasz w angielskim charakterze? Może poczucie wyższości nad innymi rasami?

– Oczywiście, że nie! Nikt przy zdrowych zmysłach...

– To może chciwość? Skłonność do zagarniania wszystkiego, co tylko ucieszy oko?

A może myślałaś, że Brytyjczycy wykupili górskie rejony Cejlonu od kanadyjskich wieśniaków, którzy pierwsi je zagospodarowali? Otóż jeśli naprawdę tak myślałaś, moja droga, to się pomyliłaś, ponieważ odebraliśmy im te ziemie przemocą, a następnie sprzedaliśmy tym, co dali za nią najwięcej.

Próbuje podkopać moją wiarę w rzeczy, na których mi zależy, pomyślała. Oddać pięknym za nadobne. Nie mogła dopuścić, żeby postawił na swoim.

– Nawet jeśli to prawda, Cejlon otrzymał od nas bardzo wiele w zamian. Drogi, koleje...

– Racja, Melrose – poparł ją Armitage, zmiatając z talerza resztę puddingu.

Marianne pomyślała z obrzydzeniem, że pewnie wylizałby go do czysta, gdyby był sam w jadalni. Kiedy skończył, rozparł się wygodnie w fotelu, rozstawiając szeroko nogi. Spod rozpiętej marynarki wystawał ogromny brzuch. Pogroził Lucasowi palcem i dodał:

– Brytyjczycy ucywilizowali to przekłete miejsce, trzeba o tym pamiętać.

– Syngalezi mieli własną cywilizację, kiedy nasi przodkowie byli jeszcze nieokrzesanymi pogańskimi plemionami. Na północy kraju zachowały się jeszcze pozostałości miast z ogrodami, fontannami i systemami nawadniającymi. Te miasta zbudowano w okresie, gdy twoi przodkowie, Marianne, rozgrzebywali zrujnowane rzymskie wille, a moi malowali się na niebiesko i ubierali w zwierzęce skóry. – Lucas uśmiechał się z zadowoleniem. – Twoja wiara w niezrównaną szlachetność naszego narodu jest wzruszająca, ale niestety źle ulokowana. To nie znaczy, oczywiście, że chciałbym coś zmienić. Zawsze muszą być wygrani i przegrani, a ja zamierzam trzymać się tych pierwszych. Imperium pozwoliło mi do czegoś dojść. Gdyby mój dziadek został w Szkocji, pewnie klepałbym dziś biedę na owczej farmie. – Zawołał Nadeshana i kazał mu dopełnić kieliszki. – To jest to, co mnie łączy z twoim pierwszym mężem, czyż nie, moja droga? Leightonowie także dorobili się w koloniach. Tylko... – skrzywił się – popraw mnie, jeśli się mylę, ich bogactwo pochodzi chyba z bardziej niegodziwych źródeł.

Wlepiała w niego oczy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Chcesz powiedzieć, że twój najdroższy Arthur był porządnym człowiekiem?

– Oczywiście!

– Leightonowie... jaka to branża? Przypomnij mi, bo nie pamiętam.

– Okrętowa.

– A przedtem?

– Cukier, ale nie rozumiem...

– Cukier – powtórzył z wolna. – Krótko mówiąc, dorobili się na niewolnictwie.

– Nie!

Otworzył szeroko oczy.

– Chyba zdawałaś sobie z tego sprawę?

Nie, nie zdawała sobie sprawy. Szczerze mówiąc, w ogóle wcześniej się nad tym nie zastanawiała.

– Nie myślałam...

– Jasne, że nie – mruknął. – To ci chyba weszło w zwyczaj. Jak sądzisz, kto pracował na plantacjach cukru? Czarni niewolnicy! Wywleczeni siłą ze swych chat w Afryce, przewiezieni przez Atlantyk na jakichś piekielnych łajbach. Arthur nie uznał za stosowne poinformować cię o tym?

– Nie...

– Mam ci opowiedzieć, jak zachowywali się plantatorzy wobec niewolników? Jak gwałcili ich kobiety, jak ich bili i wieszali?

– Słuchaj no, Melrose – wtrącił Armitage, mrugając wodnistymi oczami. – Lepiej weź na wstrzymanie.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Lucas się roześmiał.

– Najmocniej przepraszam, chciałem tylko trochę pofilozofować. Czy dochód uzyskany z cierpienia innych może być uważany za uczciwy?

– Nikt z nas nie wybierał sobie przodków, prawda, Lucasie? – syknęła Marianne i zobaczyła, że oczy mu pociemniały z urazy. Poczowała przypływ triumfu.

Ralph Armitage zauważył pojednawczo:

– Taki już jest ten świat... My i czarni... Zawsze ktoś musi być górą i niech to będziemy my, cha, cha, cha!

– Nie rozumiem, czemu ktokolwiek miałby być górą. Dlaczego jakaś rasa ma dominować nad inną...

– Dobry Boże, Marianne! To klituś-bajduś z niedzielnej szkółki, nie spodziewałem się tego nawet po tobie. – Lucas wykrzywił szyderczo usta. – Oczywiście, Ralph ma rację. Gdyby nasze nie było na wierzchu, nie siedziałabyś tutaj, to proste jak parasol. A może wolisz mieszkać w chatach kulisów, co?

Pomyślała o drewnianych, krytych blachą budach, o tamilskich kobietach, które myją się, kąpią swoje dzieci i piorą w strumieniu. O wiecznym braku odosobnienia i podstawowych wygod.

– Nie.

– Tak myślałem – odparł z satysfakcją. – Gdybyśmy nie działali brutalnie, bylibyśmy słabi. Każdy z nas, ja, Ralph, nawet twój świątobliwy Arthur, ma w sobie coś z brutala.

– Nie!

A jednak przypomniała sobie znalezione w szufladzie Arthura pocztówki – te pulchne, nagie dziewczyny o tępych, pustych twarzach.

Lucas podniósł kieliszek.

– Wypijmy za moją żonę. W podzięcie za to, że kupiła mi Glencoe.

Brzęknęło szkło.

– Nie pije pani? – zdziwił się Armitage.

Marianne zaprzeczyła ruchem głowy.

– Moja żona nie uznaje nadmiernego folgowania swoim zachciankom. Jest bardzo zasadnicza, prawda, Marianne? Nawet tutaj, w dżungli. Mimo to zrobiłem świetny interes, nie sądzisz, Ralphie?

– Jak to, interes? – nie rozumiał Armitage.

– Normalny: małżeństwo za ziemię – wyjaśnił gładko Lucas.

– Aaa. No tak, bez wątpienia. – Lekko przymglone spojrzenie gościa spoczęło na Marianne. – Szczęściarz z ciebie, Melrose.

– Uważasz moją żonę za wartą grzechu?

– Każdy pełnokrwisty mężczyzna to powie. Cholerny szczęściarz jesteś i tyle. – Pochylił się do Marianne; na mocno zaczerwienionej twarzy pojawił się wyraz pijackiego podziwu. Cofnęła się szybko.

– Ma tylko jedną wadę.

Marianne zaczęła się podnosić.

– Nie odchodź, żono, nasz gość nie skończył jeść. – W głosie Lucasa dźwięczała groźba. Marianne osunęła się z powrotem na miejsce. Kiedy mąż się do niej obrócił, zobaczyła w jego oczach noc. – Jest oziębła – ciągnął bezlitośnie. – Czyżbym ci o tym nie wspominał, Armitage?

– Co proszę? – Ralph Armitage podniósł na niego mętny wzrok. – Nie moja sprawa, chłopie – odparł z wymuszonym uśmiechem.

– Już prawie rok, odkąd urodziła dziecko. Dostatecznie długo, nie sądzisz?

Marianne rozejrzała się w popłochu. Serce waliło jej jak oszalałe.

– Lucasie, służba...

Odprawił ich machnięciem ręki. Błąd, pomyślała Marianne. Teraz czuła się jeszcze bardziej osamotniona. Pod zlodowaciałą nagle skórą dygotał jej każdy nerw.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu, że zwierzam się staremu przyjacielowi z naszych małych problemów? Pomyślałem, że Ralph mógłby nam coś zasugerować... może nawet udzielić praktycznej pomocy. W końcu nie wydajesz się ze mnie zadowolona, być może wolałabyś Ralpa?

Marianne zamarła z przerażenia. Armitage'owi rozbłyły oczy; oblizał lubieżnie wargi. W kącikach ust Lucasa czał się kpiący uśmieszek.

– Sam powiedziałaś, że jest warta grzechu, czyż nie, Ralphie?

– Dobry Boże! – Na twarzy Armitage'a szok walczył z pożądaniem.

Nie robi tego... Nawet nie umiała sformułować myśli.

– Proszę, Lucasie... – szepnęła. – Przestań, proszę...

W ciszy usłyszała brzęczenie komara. Z oddali dobiegał głos ptaka. Nagle Lucas roześmiał się, przerywając napięcie.

– Do licha, co wy sobie myślicie? Przecież wiecie, jak pilnuję swojej własności. Naprawdę Marianne, bardzo bym się pogniewał, gdybym miał dzielić się tobą z kimś innym. No, a teraz już zmykaj i zostaw nas w spokoju.

Ręce tak jej drżały, że ledwie mogła przekręcić gałkę w drzwiach sypialni. Już w środku osunęła się na podłogę, ale nagle coś sobie przypomniała. Ostatkiem sił podniosła się i zamknęła drzwi na klucz.

Tej nocy na każde skrzypnięcie deski w podłodze i każdy brzęk szyby otwierała

oczy, czując przyspieszone bicie serca. Po raz pierwszy na Cejlonie noc ją przerażała. Wyczuwała zagrożenie w łopocie skrzydeł za oknem, w odgłosach zwierząt, w dżungli przenikającej do jej pokoju. Co to mówił jej pan Salter? „To miejsce osacza człowieka, nie zostawia go ani na chwilę w spokoju”.

Dopiero o świcie zapadła w niespokojny sen. Kiedy wyszła z pokoju – dość późno – mąż stał na werandzie. Rozejrzała się dookoła, ale po Armitage’u nie było już śladu.

– Wyjechał. Kazałem mu się zabierać – wyjaśnił Lucas. – To dureń i do tego nudziarz. – Miał obojętny, zimny głos i wyglądał na tak samo zmęczonego, jak ona. Nagle powiedział wolno: – Groziłaś mi Marianne. Bardzo tego nie lubię.

Spuściła głowę. Wołała się nie odzywać.

– Możemy żyć w idealnej zgodzie, pod warunkiem że nie będziemy wchodzić sobie w drogę. Rozumiesz to, prawda?

– Tak, Lucasie – wyszeptała z wysiłkiem.

– Więc żebym więcej nie słyszał o żadnym wyjeździe. A przede wszystkim – i to raz na zawsze – o zabieraniu mi George’a.

Pokiwała milcząco głową, co skwitował uśmiechem.

– No to gdzie jest mój syn?

Rozdział trzynasty

Zimą 1913–1914 roku Ash miał wrażenie, że wypadki toczą się za szybko, wszystko wymyka się spod kontroli, grozi rozpadem i dezintegracją na jego własnych oczach. W Irlandii zanosilo się na wojnę domową; dwie armie – jedna unionistów sir Edwarda Carsona, a druga irlandzkich ochotników pod przywództwem Eoina Mac-Neilla – stanęły przeciw sobie. Konfrontacja militarna wydawała się nieunikniona. Broń i amunicja napływała do obu stron, w marcu brygada brytyjskiego wojska stacjonująca w Ulsterze odmówiła działań przeciwko swym krajanom.

Protesty sufrażystek stały się jeszcze bardziej zażarte. Emmeline Pankhurst została aresztowana, kiedy podczas jej przemówienia w Glasgow wybuchły zamieszki. Wkrótce potem sufrażystka Mary Richardson pocięła w odwecie „Rokeby Venus” z National Gallery. Jest w tym jakaś sprawiedliwość, myślał Ash: gładkie, nagie ciało odaliski, ideał kobiety w męskiej wyobraźni, zbezczeszczone przez kobietę, która pragnie czegoś zupełnie innego, nowego.

Przez to wszystko, niczym daleki pomruk burzy, przebijały się pogłoski o bardziej niepokojących wydarzeniach. Dążenie Serbii do autonomii, walka starzejącego się cesarstwa Austro-Węgier o utrzymanie jedności, rosnąca siła i militarizm Niemiec, zadawniona nienawiść Francji do jej potężnego sąsiada i obawy Wielkiej Brytanii o całość imperium, zdolnego wchłonąć produkty lancasherskich przędzalni bawełny i yorkshirskich stalowni, a także jej uwrażliwienie na wszystko, co mogło zagrażać szlakom handlowym do Indii, owego klejnotu w koronie. Istna mieszanina łatwopalnych chemikaliów, myślał Ash. Wystarczy jedna iskra, bezmyślnie rzucona zapałka – i rozpęta się straszliwy pożar.

Miał zresztą inne, bardziej istotne kłopoty – na przykład z Iris. Nie mogła jaśniej wyrazić, że nic dla niej nie znaczy. Przez pierwsze tygodnie zimy na każdą myśl o niej trawił go mroczny gniew, którego część kierował przeciw samemu sobie. Jak mógł być tak głupi i wierzyć, że ona coś do niego czuje?

W listopadzie zachorował jego opiekun. Ash w każdy piątek jechał pociągiem do Cambridge, żeby spędzić weekend z Emlynem. W miarę upływu miesiący zaczęło mu się wydawać, że uprawia jakąś skomplikowaną żonglerkę. Czuł, że coś w końcu wymknie mu się z rąk: posada, Emlyn, któreś z jego politycznych lub naukowych stowarzyszeń... Często myślał, że nie dałby sobie rady bez Thelmy. Wyprowadzała psa pod jego nieobecność w Londynie, pomagała mu roznosić ulotki w zimne, deszczowe wieczory, poza tym co jakiś czas pojawiała się z torbami owoców i jarzyn, kiedy akurat zapomniał zrobić zakupy.

Emlyn umarł w kwietniu 1914 roku. Po pogrzebie odbył się w jego domu w Granchester lunch dla żałobników, którzy w końcu jeden po drugim się porozjeżdżali. Ash zwolnił na resztę dnia gospodynię i pokojówkę, a gdy został sam, wyszedł pospacerować po ogrodzie. Powietrze było rześkie, żółte główki żonkili chwiały się na wieczornej bryzie, podobnie jak liście wiecznie zielonych krzewów.

Dotarł do brzegu rzeki, gdzie wiatr marszczył wodę w drobne fale, a wierzby płaczące moczyły swe długie, cienkie witki w ciemnej toni. Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz tu przyszedł. Był wtedy małym, ośmioletnim chłopcem osieroconym przez rodziców. Nie żałował ani matki, ani ojca, ponieważ ledwie ich znał; stale podróżowali po świecie, a jego dzieciństwo upływało w otoczeniu służących i niań. Ani trochę nie obawiał się gwałtownej zmiany w swoim życiu. Jazdę pociągiem do Cambridge, a następnie dwukółką do Granchester i przybycie do tego wielkiego, pełnego zakamarków domu traktował jak wspaniałą przygodę. Mimo samotności czuł się tu szczęśliwy. Wyrozumiałość i cierpliwość Emlyna zdawały się niewyczerpane. Co za niezwykła rzecz, taka wspaniałomyślność u kawalera po czterdziestce! Żeby tak po prostu przyjąć pod swój dach dziecko tylko ze względu na pamięć o starym przyjacielu! Ash przesunął palcami po powiekach; były mokre od łez.

Patrząc wstecz, wydawało mu się, że jako dziecko prawie niczego się nie bał. Parę razy omal się nie utopił w rzece, spadając z dachu altanki złamał sobie ramię, a skacząc z muru – kostkę. Nawet duchy, które – wiedział to na pewno – nawiedzały ten dom, nie budziły w nim strachu. A jednak podczas tygodni poprzedzających śmierć Emlyna czuł lęk. Wędrując z jednego pokoju do drugiego, nie mógł pozbyć się wrażenia głębokiej samotności. Zmierzch odsłaniał w kątach czarne cienie, na wytapetowanej ścianie plamę pleśni, wytartą poręcz fotela. No i duchy: gdzieś w głębi korytarza trzaskały drzwi, podnosząc mu włosy na głowie. Czegoś tu brakowało, panowała pustka, która wręcz go osaczała.

Wrócił do Londynu i kontynuował przerwane zajęcia. Praca, zebrania i wizyty przyjaciół wypełniały mu dni i wieczory do tego stopnia, że nie miał czasu na myślenie. Aby móc zasnąć w nocy, musiał teraz się napić, ale czasem nad ranem, kiedy o bruk stukały kopyta konia mleczarza, wracał lęk, którego nie potrafił nazwać.

Pewnego wieczoru odwiedziła go Thelma.

– Sam jesteś, Ash?

– Był u mnie Fred i Charlie, ale się ich pozbyłem.

Ogarnęły ją wątpliwości.

– Ja też mam sobie iść?

– Oczywiście, że nie!

Poszła za nim do kuchni.

– Przy tacie siedzi sąsiadka, układają łąmigłówkę. Nie cierpię łąmigłówek. Po co rozdzielać coś, co potem trzeba składać?

Zaproponował jej herbatę.

– Wolałabym coś innego. – Wskazała butelkę szkockiej, która stała na stole.

Nalał jej szklaneczkę. Zauważył, że Thelma jest upudrowana, ma umalowane usta, a pod płaszcz włożyła zieloną suknię, podkreślającą kolor jej oczu.

– Musisz wracać do Cambridge? – spytała.

– Niebawem. Jest mnóstwo rzeczy do uporządkowania.

– To musi być przykre, takie likwidowanie domu po czyjejś śmierci. Pamiętam, jak sortowałam rzeczy matki... Zupełnie jakbym wyrzucała po kawałku ją samą.

– Coś w tym rodzaju. Zamierzałem zrobić więcej zaraz po pogrzebie, ale ten dom

jest tak strasznie opustoszały, że nie wytrzymałem. Powinienem tam wrócić w ten weekend.

– Czy ktoś tam mieszka?

– Tylko gospodyni.

– A co się stanie z domem?

– Och, teraz należy do mnie, Emlyn mi go zapisał. Pewnie będę musiał zastanowić się, co dalej.

Przyjrzała mu się bacznie.

– Zamieszkaś tam? Wyprowadzisz się do Cambridge?

– Jeszcze się nie zdecydowałem, ale kto wie?

– To ładny dom?

– Piękny, stoi nad rzeką, w cichej okolicy.

– Duży?

– Spory.

– To nie rozumiem, nad czym się zastanawiasz, skoro masz szansę zamieszkać w takim miejscu! – wybuchnęła gwałtownie.

– Przepraszam... – Zawstydził się, bo nagle zauważył łąkę na jej płaszczu i zdarte obcasy starannie wypolerowanych butów. – Nie chciałem, żebyś pomyślała, że wybrzydzam...

Stała przy zlewie, plecami do niego, i patrzyła przez okno na zadymione ściany okolicznych domów.

– Nie – odezwała się po chwili milczenia. – To ja powinnam cię przeprosić, że robię ci wymówki w tak trudnym czasie. – Obróciła się z uśmiechem. – To dlatego, że nie mogę znieść myśli o twoim wyjeździe.

– Jeśli naprawdę wyjadę, to będę tęsknił za tą okolicą.

– A ja za tobą, Ash. – Nagle go pocałowała. Musnęła wargami jego policzek, potem usta. – Czy ty też tęskniłbyś za mną chociaż trochę?

Zaschło mu w gardle. Tak dawno już nie całował żadnej kobiety, nie trzymał jej w ramionach. Zima upłynęła mu pod znakiem choroby i śmierci – potrzebował teraz towarzystwa kogoś młodego, żywego, kto i jego pobudziłby do życia. Gdzieś w zakamarkach umysłu czaiło się ostrzeżenie, ale Thelma już się w niego wtulała, czuł miękkie ucisk jej pełnych piersi, zapach skóry, włosów. Przesunął czubkami palców po jej plecach i zadrżał.

– Oczywiście, że bym tęsknił – wyszeptał.

– To mi pokaż! Pokaż mi, jak bardzo byś za mną tęsknił, Ash. Pocałuj mnie porządnie... Chociaż raz. – Uśmiechnęła się. – Jesteś mi coś winien. Te wszystkie cholerne ulotki...

Miała miękkie, uległe wargi, jej język drgał we wnętrzu jego ust. Zrzuciła z siebie płaszcz, który spadł na podłogę, i zaczęła rozpinać guziki sukni.

– Ale masz minę! – roześmiała się nagle. – Wszystko w porządku, robiłam to już przedtem. Charlie i ja mieliśmy się pobrać...

Zielona suknia podzieliła los płaszcza. Zobaczył pełną krągłość piersi i bioder Thelmy, wąską talię, pasek białego ciała między czarnymi pończochami a reformami.

– Wiesz, Ash, bardzo cię lubię... – szepnęła i znów w jej oczach pojawił się znajomy wyzywający błysk. – Pewnie nie powinnam tego mówić, dziewczynie nie wypada, ale mam to w nosie. I o nic się nie martw, nie kocham cię ani nic w tym rodzaju, chcę tylko odrobiny przyjemności. No jazda, reszta należy do ciebie. Przecież widzę, że tego chcesz.

Rzeczywiście, chciał. Pożądanie przesłoniło mu wszelką inną myśl. Z początku jego palce nie mogły sobie poradzić z całym skomplikowanym procesem uwalniania jej z hulek, rozwiązywania sznurówek gorsetu, ale w końcu instynkt mu podpowiedział, co robić. W końcu, rozsuwając jej uda, wtargnął do środka, mając na celu tylko jedno: zaspokoić głód.

W nocy spał jak kamień; rano, budząc się, wspominał wczorajszy wieczór z uczuciem niedowierzania. Pamiętał zieloną suknię Thelmy na podłodze, pasek białej skóry nad pończochami. Ubrawszy się i doprowadziwszy do porządku, Thelma powiedziała: „Lepiej już pójde, bo tato będzie się martwił” – i wyszła.

Dwa dni później wieczorem ktoś zapukał do drzwi. W progu stał mężczyzna w wytartym płaszczu.

– Przepraszam, że niepokoję – rzekł, dotykając czapki – ale powiedziano mi, że mógłbym tu dostać coś do jedzenia.

– Mam tylko chleb i ser, panie...?

– Hargrave. Frank Hargrave. Będę wdzięczny za cokolwiek. – Zadygotał. – Pozwoli mi pan wejść na minutkę? ęle spałem przez ostatnich kilka nocy i przemarłem do szpiku kości.

Ash wpuścił go do frontowego pokoju i zostawił przy ogniu. Sam poszedł do kuchni, gdzie zawinął w pergamin kawałek chleba i ser.

– Proszę. – Podał mu paczkę.

– Dziękuję panu uprzejmie. – Nieznajomy dotknął czapki i ruszył do drzwi.

– Dam panu adres kilku schronisk. – Ash rozejrzał się za piórem i papierem. – To wprawdzie nie Ritz, ale...

Trzasnęły frontowe drzwi – Hargrave wyszedł. Ash zamrugał oczami i jeszcze raz przyjrzał się powierzchni biurka. Pióro powinno tu leżeć; zanim usłyszał pukanie, siedział przy biurku i pracował. Może spadło na podłogę? Schylił się, żeby sprawdzić, ale go nie było. Po chwili okazało się, że brakuje też paru innych rzeczy. Słoik na kominku, w którym trzymał drobne monety, był pusty; z półki zniknęła fotografia Emlyna – prawdopodobnie ze względu na srebrną ramkę. Na krześle wisiała marynarka – Ash szybko sięgnął do kieszeni – nie znalazł portfela.

Aparat fotograficzny także nie leżał na zwykłym miejscu w kącie pokoju. Ten łajdak zabrał mu aparat! Ash zatrząsł się ze złości i wybiegł na ulicę. W oddali zobaczył Hargrave'a z jego aparatem na ramieniu, zmierzającego ku Algate High Street. Natychmiast ruszył w pogoń.

Na odgłos kroków złodziej się odwrócił.

– Oddaj moje rzeczy – krzyknął Ash.

– Przepraszam. Raczej nie. – Jękliwy, proszący ton zniknął, podobnie jak uniżona postawa mężczyzny.

– Oddaj, mówię.

Hargrave zdawał się zastanawiać.

– Dobra, możesz se to wziąć. Ciężkie draństwo jak piorun, nie będę dygował do lombardów. Łapaj!

Zamachnął się i rzucił aparat specjalnie jak najdalej. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Ty skurwysynu!

Hargrave splunął.

– Chcesz coś jeszcze? No podejdź, spróbuj mi zabrać! – W jego dłoni błysnął nóż.

– Ponoć masz jeszcze parę ładnych fantów. – Poruszył znacząco nożem. – Gadają, że mięczak z ciebie.

Ash nie miał cienia wątpliwości, że Hargrave użyje noża i zrobi to z rozkoszą. Był tu sam, przechodnie gdzieś się ulotnili, wszystkie drzwi wyglądały na szczelnie zamknięte. Oprócz gniewu wstrząsnął nim dreszcz strachu.

– Zatrzymaj to sobie, łajdaku – burknął.

Echo szyderczego rechotu rozbrzmiewało jeszcze na ulicy, gdy zbierał potłuczone kawałki aparatu.

Po raz pierwszy odkąd się tu wprowadził, Ash zamknął drzwi na zasuwę. Potem nalał sobie dużą szklankę whisky i zajął się aparatem. W uszach ciągle miał drwiące słowa opryszka: „Gadają, że mięczak z ciebie”...

Nagle przypomniał sobie dzień, w którym pokazywał Iris, jak posługiwać się aparatem. W sadzie Summerleigh kwitły drzewa, dziewczęta miały na sobie białe sukienki i kolorowe szarfy. Sfotografował je wtedy. Zapamiętał wyraz oczu Iris, w których widział wyzwanie, by ją podziwiał, oddał jej sprawiedliwość.

Wspomniał też, jak pierwszy raz ją zobaczył – pędzącą na rowerze w dół. Sukienka wzdymała się wokół niej niczym różowa chmura, rozwiane włosy okalały twarz złotą aureolą. Pomyślał wtedy, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział. I nic z tego, co wydarzyło się później, nie zmieniło tej opinii.

Jęknął cicho i ukrył twarz w dłoniach. Ciekawe, czy Iris wyczuła w nim ten dystans, oschłość znamioną dla osób, które wcześniej utraciły rodziców i musiały nauczyć się polegać tylko na sobie, gdyż nie miały nawet rodzeństwa. Czy ludzie, którzy przewijali się przez jego dom, byli prawdziwymi przyjaciółmi? A może posługiwał się nimi, żeby nie dopuścić do głosu ciszy? Nie mając doświadczenia, unikał wszelkiej intymności, preferując bezpieczniejsze, mniej ryzykowne wyzwania. W tym roku skończy trzydzieści lat i nadal nie będzie miał ani żony, ani dziecka, nie wspominając o rodzicach czy rodzeństwie. Wiedział, iż melancholia, która prześladowała go od śmierci Emlyna, zrodziła się z lęku; za dziesięć czy dwadzieścia lat rozejrzy się wokół i stwierdzi, że jest zupełnie sam.

Co do Thelmy, to czuł do siebie żal i niesmak, gdyż posunął się stanowczo za daleko. Owszem, ją także wykorzystał. Co innego godzić się na wyprowadzanie psa, a co innego iść z nią do łóżka. Nigdy jej przecież nie kochał. Kochał Iris, to za nią tęsknił,

o niej marzył. Musi w końcu zaryzykować i wyznać jej prawdę. Musi zacząć o nią walczyć, przekonać się, czy już nie jest za późno.

Na noc Marianne zamknęła drzwi na klucz. Po prostu na wszelki wypadek.

Ale nie przyszedł. Czasem myślała, że tylko sobie wyobraziła tę niezbyt zawołaną groźbę. Że się pomyliła albo źle zinterpretowała jego słowa. Przez większość czasu miała istny mętlik w głowie. W pewne rzeczy – w swój kraj, w dobroć Arthura, własną uczciwość – wierzyła dawniej bez zastrzeżeń, a teraz zaczynała je kwestionować.

Przyjechała Clare Barlow. Usiadły w ogrodzie pod banianem i przyglądały się zabawie dzieci. Był piękny dzień, niebo bez jednej chmurki, drzewa i kwiaty błyszcząły w słonecznym blasku.

– Wracam do Anglii – oświadczyła Clare. – Dotąd odkładałam wyjazd dziewczynek do szkoły, a teraz naprawdę nie mogę dłużej zwlekać. I postanowiłam, że już tam z nimi zostanę. To właśnie chciałam ci zakomunikować, Marianne.

Słońce przeświecało przez liście baniana, tworząc dziwne wzory na jej twarzy.

– Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam – dodała. – Nawet dziewczynkom, bo pewnie by wypaplały. Ale wiem, że ty jesteś dyskretna. – Posmutniała nagle. – Nie mogę powiedzieć, że nie zależy mi na naszym małżeństwie, bo to nieprawda. Mam jednak nadzieję, że jeśli odmówię powrotu na Cejlon, a Johnny nie zacznie zbyt mocno protestować, to nie będzie tak źle. Oczywiście, może zażądać rozwodu, chociaż raczej uda mi się wyperswadować mu to, ze względu na dzieci. Jeśli się uprze, nie będę miała pretensji. Zawsze był dla mnie dobry i z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że na to nie zasługuje. Tylko widzisz, Marianne, ja go już po prostu nie kocham. Rozłąka z dziewczynkami jest dla mnie nie do przyjęcia, natomiast z nim... no cóż, chyba jest mi to obojętne. – Palila przez chwilę w milczeniu, rozglądając się wokoło. – Będzie mi brakowało tego wszystkiego... W takie dni jak ten człowiek zastanawia się, czemu postanowił wyjechać, prawda?

Przy pożegnaniu Clare uściskała Marianne i nagle cofnęła się o krok.

– Ale z tobą wszystko w porządku, co?

Cisnęły się jej na usta różne odpowiedzi. Mało brakowało, a wyartykułowałyby je na głos, na przykład: „Boję się Lucasa. Potrafi być okrutny i nieprzewidywalny. Tego właśnie się obawiam”.

Lecz w tym momencie zawołała coś jedna z dziewczynek i Clare uśmiechnęła się przelotnie.

– Wiem, że wszystko się świetnie ułoży. Dasz sobie radę, prawda?

Wóz zaprzężony w woły zniknął za zakrętem. Wróciwszy do bungalowu, Marianne dała sobie słowo: jeśli sytuacja w jej małżeństwie nie poprawi się do czasu, kiedy George będzie musiał wyjechać do szkoły, ona także wróci z nim do Anglii. Poczwała coś w rodzaju ulgi – widziała przed sobą drogę wyjścia, granicę, do której musi wytrwać.

W ciągu zimy Iris pracowała jako prywatna pielęgniarka u rodziny zamieszkałej w Hampshire. Jej podopieczna, Mary Wynyard, była w ostatnim stadium gruźlicy. Ze względu na zakaźny charakter choroby i wiarę w zbawienny wpływ świeżego powietrza, na ostatnie tygodnie życia przeniosła się do drewnianej chatki, z dala od domu, w którym mieszkał jej mąż wraz z dwojgiem dzieci. Iris ścisnęło się serce, kiedy patrzyła na zawiniętą w koce Mary, przesiadującą na werandzie i przypatrującą się tęsknym wzrokiem zabawie dzieci.

Mary umarła na wiosnę. Potem Iris zgodziła się zostać w domu, dopóki wdowiec, Charles Wynyard, nie znajdzie gospodyni, która pomogłaby mu w opiece nad dziećmi.

Pewnego ranka Iris pomagała dzieciom w kuchni robić ludziki z piernikowego ciasta, kiedy przyciągnęła jej uwagę jakaś postać za oknem. Żwirowaną ścieżką szedł Ash.

Mary-Jane, pięcioletnia córeczka Wynyarda, oznajmiła:

– Tam jest jakiś pan.

Charles wyjrzał przez okno.

– Raczej nie wygląda jak kandydat na gospodynię.

– Bo nim nie jest. To Ash. – Serce Iris mało nie wyskoczyło z piersi. – To znaczy... mój przyjaciel.

– Zapomniałaś o guzikach! – zawołała Mary-Jane, wybuchając śmiechem.

– Kochanie – upomniał ją łagodnie ojciec. Następnie zwrócił się do Iris: – Idź do niego, już my tu posprzątam. I nie musisz go tu zaraz przyprowadzać, biedak może potrzebować trochę oddechu, zanim stanie przed obliczem Wynyardów zasypanych mąką.

Wyszła mu naprzeciw. Po drodze przypomniała sobie, że jest nadal w fartuchu. Zdjęła go szybko i wepchnęła pod wieszak w holu.

– Iris!

– Ash. Co za niespodzianka! – Pocałowała go w policzek.

– Nie przeszkadzam? Jesteś zajęta?

– Piekłam ciasteczka. – Ash wpatrywał się w nią twardym wzrokiem. – Co, mam mąkę na nosie?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Już myśleliśmy, że to nowa gospodyni! – zawołała wesoło, nie mogąc znieść krępującej ciszy.

– Jak to, gospodyni?

– Rozumiesz, mój pracodawca, pan Wynyard szuka kogoś do pomocy przy dzieciach. Zgłaszają się różne kandydatki, prowadzimy z nimi rozmowy. Wszystkie są ubrane na czarno, chociaż kilka miało sztuczne wisienki na kapeluszu.

Podniósł rękę do głowy.

– No niestety, ja nie mam.

– Kapelusza też nie masz. – Iris się uśmiechnęła. – Bo przegrzewa się głowa i mózg przestaje pracować.

– Zapamiętałaś! Mój opiekun Emlyn zawsze mi to powtarzał.

– Jak on się miewa?

– Zmarł trzy tygodnie temu.

Zauważyła, że wygląda na zmęczonego.

– Och, Ash, tak mi przykro! To się stało nagle?

Opowiedział jej o chorobie i śmierci Emlyna. Iris dotknęła jego ramienia.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Zapytałem Evę. Powiedziała mi, że twoja pacjentka umarła.

– Tak. Biedna Mary. To straszne dla Charlesa i dzieci...

Zastanawiała się, po co tu przyjechał. Przypomniała sobie ostatnie lato: upał, słowa Thelmy Voss: „On pani nie kocha i nigdy nie pokocha”. Choć po pewnym czasie zaczęła wątpić w intencje dziewczyny, wciąż się obawiała, że to może być prawda.

– Może przejdziemy się po lesie? Tak tam pięknie o tej porze roku...

Przy ścieżce między bukami rosły całe łany dzwonek. Od ich kobaltowego błękitu odcinały się srebrne pnie drzew i jasna zieleń liści.

– Tak nagle wyjechałaś z Londynu... – zaczął.

– Rzeczywiście. Ja też się nie spodziewałam, że to się tak szybko potoczy.

– Mówiłaś, że od dawna o tym myślałaś.

– To było głupie kłamstwo dla zachowania twarzy.

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem?

– Wyrzucili mnie z Mandeville. Za impertyncję.

Oczy mu się rozszerzyły; parsknął śmiechem.

– O rety! A cóż takiego zrobiłaś?

Opowiedziała mu o siostrze Dickens.

– I tak miałam dość szpitala – dodała. – A teraz, gdy wszystko sobie przemyślałam, wiem, że przełożona postąpiła słusznie. Nie chciałam tam spędzić reszty życia. – Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. – Ale tamtego dnia... nie tylko dlatego zachowałam się tak głupio.

– Nie tylko?

A jednak nie mogła się zdobyć na otwarte wyznanie. Woląla zmienić temat:

– Niedługo stąd wyjeżdżam. Obiecałam Charlesowi, że zostanę, tylko dopóki nie znajdzie odpowiedniej opiekunki.

Wysoko w gałęziach zakukała kukułka. Iris czekała z biciem serca, żeby wreszcie powiedział... ale co? W ostatnich miesiącach często wyobrażała sobie, co chciałaby usłyszeć i zawsze sprowadzało się to do „kocham cię”.

Ale Ash zapytał tylko:

– I co potem będziesz robić?

Iskierka nadziei zgasła.

– Może pojedę na pewien czas do domu? Albo znajdę inną posadę, albo wyjadę do Francji, do Charlotte? Dobrze mi robi trochę wypoczynku.

– Rozumiem. – Patrzył w przestrzeń, gdzie liliowy kolor dzwonek przechodził w brąz leśnej ściółki.

– Ash, po co tu przyjechałeś?

– Żeby zobaczyć, jak się miewasz.

– I to wszystko? – Głos Iris brzmiał niepewnie. Znów ta rysa na sercu. Miała ochotę

łuc go pięściami za to, że znów zburzył jej kruchy spokój.

Ale on nagle zaczął mówić:

– Nie, nie wszystko. Są rzeczy, które muszę wiedzieć. I ty także musisz o nich wiedzieć. Ci wszyscy durnie, co uganiają się za tobą... żadnemu z nich nie zależy na tobie, tak jak mnie! Mogą sobie być bogaci, przystojni i tak dalej, jednak zanudziłybyś się z nimi w ciągu tygodnia. I chociaż prawdopodobnie nie uważasz mnie za ideał, ja cię naprawdę kocham. Nie mogę powstrzymać cię od wyjazdu do Francji, jeśli tego właśnie chcesz, ale i tak z ciebie nie zrezygnuję. W gruncie rzeczy...

– Coś ty powiedział? – spytała słabym głosem.

– Że jeśli naprawdę chcesz jechać do Francji, to nie mogę cię powstrzymać...

– Nie, nie. Wcześniej. To, że mnie kochasz.

– A tak. Cóż, to prawda. Kocham cię od lat i dlatego tu przyjechałem. Zapytać, czy istnieje taka możliwość... no, czy choć trochę mnie lubisz.

– Nie – odrzekła z powagą.

– Och! – W tym cichym westchnieniu kryło się tyle żalu, że Iris straciła ochotę na żarty.

– Bo widzisz, ja nie lubię cię „trochę”, tylko bardzo! I to mnie niepokoi, ponieważ nie jesteś w ogóle w moim typie i wcale nie chciałam się w tobie zakochać. Fatalnie się ubierasz, nie mamy tego samego zdania w różnych sprawach i w ogóle...

– Cicho! – powiedział i zamknął jej usta pocałunkiem.

Marianne była w ogrodzie, kiedy usłyszała tętent konia. Pan Salter w chmurze rudego pyłu wjechał na dziedziniec i rzucając wodze stajennemu, zawołał:

– Pani Melrose! Wypadek w Glencoe! Pan Melrose jest ranny, wiozą go już na wozie!

Zdała sobie sprawę, że Salter wziął jej zaskoczenie za strach. Oto młoda żona pełna obawy o los rannego męża. Dotknął jej ramienia.

– Proszę się nie martwić, nic mu nie będzie. Jest twardy, ale to fatalnie wygląda, więc wołałem panią ostrzec.

– Co się stało?

– W ściółce był wąż i koń pana Melrose’a stanął dęba. Akurat pracowali na wzniesieniu. Spadając, pani mąż uderzył głową o skałę.

Przez głowę przemknęła jej zdradziecka myśl: gdyby umarł, byłabym wolna, ale natychmiast ją odsunęła. Pan Salter pojechał po doktora Scotta. Marianne poleciła służbie zagotować wodę, a sama zajęła się darcieciem prześcieradła na bandażę. Na drodze zaturkotał wóz; wyszła mu naprzeciw.

Lucas miał głowę owiniętą zakrwawioną szmatą. Złamana kość nadgarstka zniekształcała mu rękę. Zaniesiono go do sypialni, gdzie Marianne przy pomocy Radu rozebrała go i próbowała zatamować krew z rany na głowie. Zanim nadjechał doktor Scott, Lucas zaczął się poruszać, pojękiwać i niebawem otworzył oczy.

Lekarz obmacał mu wprawnie czaszkę krótkimi, grubymi palcami.

– Nie wyczuwam złamania – orzekł. – Ale pewnie ma wstrząs mózgu.

Założył kilka szwów i nastawił złamaną rękę. Później w jadalni, przy curry z ryżem, powiedział:

– Ręka powinna się zrosnąć w ciągu sześciu tygodni, jest też uraz kolana. Jednak najpoważniejsza sprawa dotyczy głowy i niestety, kuracja może długo potrwać. Pewnie będzie gorączkował. Trzeba mu wtedy przykładac zimne kompresy i zostawię też środki uspokajające. Wszystko będzie dobrze, sama pani zobaczy.

Przez prawie cały tydzień Lucas był nieprzytomny. Marianne siedziała przy nim, zmieniając kompresy, ale wciąż rzucał się, przewracał z boku na bok, mamrotał coś pod nosem. Gdy temperatura rosła, miewał napady konwulsji; raz, w środku nocy, otworzył oczy i z wyraźnym lękiem wpatrywał się kątem pokoju, jakby widział tam coś strasznego, niewidzialnego dla Marianne. Pielęgnowując go, znów przeżywała na nowo czuwanie przy tamtym, innym łóżku. Podświadomie czekała, aż pojawią się wybroczyny i rozejdzie się zgniły odór – znak gangreny. Czy męża, którego zaczęła się bać, miała stracić w ten sam sposób, co tamtego, ukochanego?

Jednak Lucas nie umarł. Później doszła do wniosku, że ten sam upór i zawziętość, które zmusiły go do walki z nieprzychylną ziemią, dały mu też siłę do przezwyciężenia gorączki i bólu. Dziesięć dni po wypadku Marianne zastała go w sypialni na pół ubranego, przy wciąganiu przez głowę koszuli.

– Lucas! Co ty wyprawiasz?!

– A jak myślisz? Próbuję włożyć to draństwo.

– Doktor Scott powiedział...

– Niech go cholera! – Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. – Co tak stoisz jak słup?

Pomóż mi!

– Ale... Będę musiała rozciąć rękaw.

– No to się pośpiesz, na miłość boską! – Wstał, jednak zachwiał się na nogach.

– Jak będziesz się tak głupio zachowywał – powiedziała ostro – to wróci gorączka.

Tego chcesz?

– Dobry Boże, kobieto! – Usłyszała w jego głosie gniew i na wszelki wypadek się cofnęła. Lucas usiadł na łóżku i zaniósł się chrapliwym śmiechem. – Nie masz się czego obawiać, teraz nie mógłbym skrzywdzić muchy. – Zacisnął mocno powieki; jego skóra pod opalenizną miała szary odcień. – Plantacja...

– Panowie Cooper i Salter już się nią zajmują.

– Cooper to próżniak, a Salter niekompetentny marzyciel. Tylko patrzeć, jak pod ich rządami na liściach porobią się pęcherze i nikt nie dopilnuje przycinania. – Zerknął gniewnie na temblak. – Co za cholerny pech! Niektórzy kulisi uważają, że Glencoe to ziemia przeklęta, wiedziałas o tym, Marianne? Stary Macready zapił się z jej powodu na śmierć, a ja też, odkąd ją kupiłem, mam same kłopoty: najpierw pożar, teraz to! Klątwa to bzdura, oczywiście, ale czasem muszę ze wstydem przyznać, zastanawiam się, czy nie mają racji. – Sięgnął lewą ręką po papierośnicę. Marianne zapaliła mu zapałkę. – Muszę przejrzeć księgi, są w gabinecie.

– Zaraz ci przyniosę.

– Ten przeklęty pokój! – Powiódł dookoła złym spojrzeniem. – Zupełnie jak więzienie!

– Mam poprosić Velu albo Raju, żeby pomogli ci się przenieść na werandę? Tam może być chłodniej.

– I George. – W jego oczach błysnęła tęsknota. – Chcę zobaczyć George’a.

Kilka dni później zmusił się do spaceru po ogrodzie, opierając się na lasce. Niesprawność go wyraźnie denerwowała. Pewnego dnia rzucił miską zupy, którą przyniósł mu Nadeshan.

– Papka dla inwalidów! – krzyknął ze złością. – Na miłość boską, przynieś coś nadającego się do jedzenia!

Uparł się, że będzie siedział przy stole w jadalni, chociaż twarz spływała mu potem i wyraźnie cierpiał. Swoim zastępcom kazał się meldować trzy razy dziennie. Przesiadywał godzinami na werandzie, obserwując George’a przy zabawie z taką samą uwagą, jaką poświęcał raportom Coopera i Saltera na temat stanu herbacianych listków i planu przycinania.

Którejś nocy Marianne obudził rozdzierający krzyk – niemal zwierzęcy, podobny do wycia wilka. Zapaliła świecę i wyszła z sypialni. Kolejny krzyk sprawił, że zjeżyły się jej włosy na głowie.

Zatrzymała się przed drzwiami męża.

– Lucas, to ja, Marianne! – zawołała, poruszając gałką.

Oczy musiały najpierw przywyknąć do panującej w pokoju ciemności. Dopiero po chwili zobaczyła męża. Siedział w łóżku, a w jego oczach malował się paniczny strach.

– Tam jest... – wyszeptał.

– Kto? Kto tam jest?

– On... – Trwożny szept. – Mój ojciec.

Znów wpatrywał się w ciemność. Przeszył ją dreszcz i wołała nie sprawdzać, czy rzeczywiście w kącie nie czai się duch. Zdobyła się jednak na spokojną odpowiedź:

– Nie Lucasie, nie ma tam nikogo.

– Słyszałem go!

– Słyszałeś jakieś zwierzę w ogrodzie. Albo kogoś ze służących. – Zapaliła naftową lampę przy łóżku.

Zamrugnął oczami, a kiedy lekko nim potrząsnęła, zerknął na zegar.

– Czwarta – mruknął. – Diabelska godzina! To wtedy do mnie przychodzi.

– Połóż się, Lucasie. To tylko zły sen.

Przycisnęła palce do czoła.

– Moja głowa! Czemu tak strasznie mnie boli?

– Mam ci przynieść pigułki?

– Nie – odparł zdecydowanie. – Mam po nich koszmary. Daj mi coś do picia.

W jadalni znalazła butelkę araku. Widziała, jak Lucasowi drży ręka, kiedy przytykał szklanekę do ust. Potem przeniósł wzrok na Marianne.

– Ty... wciąż tu jesteś. Dlaczego?

– Bo myślałam...

– Że potrzebuję towarzystwa, tak?

– Tak – szepnęła.

– No, więc nie potrzebuję. Ani twojego, ani żadnego innego. – Obserwował ją

zamglonym wzrokiem. – Jeszcze się tego nie nauczyłaś, Marianne?

– Czego się nie nauczyłam?

– Że tylko mięczaki potrzebują innych ludzi. Na tym polega ich słabość. – Opróżnił szklankę do dna.

Thelma przyszła zobaczyć się z Ashem. Otwierając drzwi, poczuł się trochę winien, że unikał jej od tamtej nocy.

– Cześć, Ash. – Gdy weszła do pokoju, oczy jej rozbłyły na widok sterty książek i obrazu na ścianie. Ash pomyślał, że Thelma wygląda blado i jest zdenerwowana. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Ostatnio dużo wyjeżdżałem.

– Porządki w domu opiekuna?

Wiedział, że nie wolno mu kłamać.

– To także. Ale weekend spędziłem z Iris.

– Z panną Maclise? – spytała z zaskoczeniem w głosie.

– Straciliśmy z sobą kontakt.

Thelma obserwowała go pilnie. Wyjaśnił najogólniej, jak umiał:

– Thelmo, pytałaś mnie kiedyś, czy coś mnie z Iris łączy. Otóż wtedy nie, ale teraz już tak.

Ku jego zdziwieniu parsknęła piskliwym śmiechem.

– To komplikuje nieco sprawy.

– Co masz na myśli? – I dodał z największą niechęcią: – Mam nadzieję, że nie pomyślałaś... Że nie odniosłaś wrażenia...

Kiedy się do niego odwróciła, zobaczył w jej oczach wściekłość. Ale tylko przez ułamek sekundy, więc zastanawiał się, czy sobie tego nie wyobraził.

– Przykro mi – szepnął.

– Doprawdy? – Głos jej stwardniał. – Niestety, trochę na to za późno.

– O co ci chodzi?

Umilkła na chwilę, jakby podejmowała decyzję.

– Bo widzisz, mamy problem.

Aż dziwne, jak wszystko wreszcie powskakiwało na miejsca. Miłość wpadła po prostu w nadstawione ręce i przeobraziła cały świat. Kiedy miesiąc wcześniej Ash powiedział, że ją kocha, stało się tak, jakby ktoś włączył czarodziejską latarnię; wszystko dookoła nabrało koloru i blasku.

Iris opuściła dom Wynyardów i wróciła do Summerleigh. Ash przyjeżdżał tam na weekendy, a w ciągu tygodnia pomagała Clemency i czytała matce. Czasem po prostu siedziała w ogrodzie, nie przejmując się porzuconą obok, na trawie powieścią czy stertą szycia. Wydawało się jej, że minęło nieskończenie wiele czasu, odkąd nic nie robiła. Oglądając się wstecz, widziała, że po tym, jak Ash odrzucił jej propozycję małżeństwa (ten sam ogród i zapach deszczu na świeżo skoszonej trawie), wciąż tylko biegła, starając

się tak wypełniać swoje dni, aby nie mieć czasu na myślenie. Nie żałowała niczego, wiedziała, że lata spędzone w Mandeville obudziły ją, odmieniły. Ale przynajmniej przez jakiś czas miło było siedzieć na leżaku, wystawiać twarz do słońca i nie robić absolutnie nic.

Ash przyjechał do Summerleigh w piątek wieczorem. Mignęła jej w oddali suknia w niebieskie paski – to Clemency pokazywała mu, gdzie siedzi Iris. Podbiegła i pocałowała go.

– Ash, jak dobrze, że wcześniej przyjechałeś! Mam ci tyle do powiedzenia! Dostałeś mój list? Moglibyśmy wybrać się dziś do teatru... Weźmiemy Clem, bo inaczej ojciec znów będzie grzmiał na temat przyzwoitości, ale nie masz nic przeciwko temu, co?

– Iris, musimy porozmawiać.

Miał poważną minę i zgaszone, jakby martwe spojrzenie. Poczwała gwałtowną panikę.

– Ash, co się stało?

Rozejrzał się dookoła. Edith zbierała pranie ze sznurka, Clemency odbijała tenisową piłkę o ścianę.

– Znajdzie się jakieś spokojne miejsce?

Poszli do sadu. Kwiaty opadły z drzew kilka dni temu, w czasie burzy, i teraz leżały na trawie, zmieniając z wolna kolor z różowego na brązowy.

– Ash, przerażasz mnie.

Twarz mu drgnęła.

– Wolałbym... wolałbym wszystko, byle nie to...

– Ale co?

– Chciałem poprosić cię o rękę. Dzisiaj...

Mimo ciepłego dnia poczuła w środku chłód.

– Chciałeś...?

– Tak.

– A teraz nie chcesz.

– A teraz nie mogę – odparł głucho.

Potem zaczął tłumaczyć, dlaczego nie może się z nią ożenić, natomiast musi poślubić Thelmę Voss: ponieważ nosi ona jego dziecko. Iris miała wrażenie, że rozpada się na dwie części – jedna stoi z daleka i obserwuje, jak ta druga z początku Ashowi nie wierzy, jak w jego oczach pojawia się wyraz zawstydzenia; w końcu coś w niej zaskoczyło i uświadomiła sobie, że Ash przespał się z Thelmą. I że to Thelma wygrała.

W końcu Iris usłyszała oddalające się kroki. Opadła na zwalony pień, gdzie po pewnym czasie odnalazła ją Clemency i usiadła obok, wsuwając dłoń w jej rękę. I chociaż Iris zaciskała powieki z całej siły, łzy nie popłynęły.

Rana na głowie się zagoiła, ale została po niej okropna blizna z boku twarzy. Nie ustawały też bóle głowy o tak osłepiającej sile, że Lucas zamykał się w pokoju z butelką araku i pił do utraty przytomności. Mimo to znów zaczął pracować i koło południa wracał do bungalowu ze zbieleńcami wargami, zmordowany po jeździe konnej skalną, wyboistą

drogą.

Jeśli Marianne spodziewała się, że wypadek zmiękczy Lucasa i sprawi, że mąż stanie się bardziej wyrozumiały dla ludzkich błędów, to gruntownie się pomyliła. Wyraźnie chcąc udowodnić, że jest tak samo silny jak dawniej, zmuszał siebie i podległych ludzi do jeszcze większego wysiłku. Oczyszczali już ostatnią partię gruntu. Wyrywali drzewa ze zbocza i zwozili wielkie kłody na dół, używając do tego słońi. Marianne widziała płomienie wznoszące się nad rudobrunatnymi bruzdami w ziemi przy wypalaniu ściółki.

Charakter Lucasa – zawsze gwałtowny – jeszcze się pogorszył, być może, w następstwie urazu głowy. Wciąż dochodziły do Marianne – niczym smugi dymu – przeróżne pogłoski, na przykład o poparzoną przy wypalaniu ziemi kulisie, któremu Lucas nie pozwolił opatrzyć ran, tylko zmusił go do dalszej pracy. Albo o tym, jak w złości uderzył pana Coopera laską. Raz, podsłuchawszy rozmowę służących, Marianne dowiedziała się, że teraz nazywają Lucasa: *Paitham dorai*. Kiedy zapytała Rani, co to znaczy, ta spuściła oczy i wyszeptwała: „szalony pan, *dorasanie*”.

Ponieważ bóle głowy nie ustawały, Lucas pił coraz więcej, żeby je uśmierzyć, a picie zawsze wyzwalało w nim demony. Atmosfera w bungalowie przypominała oczekiwanie na burzę. Odgłos stukającej o podłogę laski Lucasa budził trwogę i wpływał na niezdarność służby. Tym, którzy podawali do stołu, wszystko leciało z rąk, zdarzało się, że rozlali coś na obrus. Po obiedzie Lucas i Marianne przynosili się do salonu, gdzie siedzieli przy słabym świetle, bo Lucasa bolały oczy. Marianne szyła, ale ściegi wychodziły jej za duże i nierówne, po prostu pękało jej serce.

Niemal bezwiednie zaczęła odkładać po kilka rupii z pieniędzy na prowadzenie domu. Chowala je w tyle szuflady. W swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, rozłożyła na łóżku biżuterię: zaręczynowy pierścionek z brylantem, który dostała od Arthura... nie, tego nigdy nie sprzeda. Kamienie księżycowe, szafiry, bransoletki i wisioriki... Pierścionek z perłą i ametystem przysłany przez siostry pamiątka po ciotecznej babce Hannah... Na myśl o siostrach po prostu pękło jej serce.

Pewnego ranka obudziła się z potwornym bólem oczu. Kiepsko spała tej nocy, dręczyły ją złe sny. Przy śniadaniu nie miała apetytu i chociaż próbowała później popracować w ogrodzie przy bawiącym się obok George'u, szybko poczuła się tak wyczerpana, że wróciła do domu.

W południe przyjechał Lucas. Przy posiłku na sam widok mięsa z curry i jarzyn Marianne dostała mdłości. Wyczuła na sobie wzrok męża; sztuczne ślizgały się w jej spoconych rękach. Sięgnęła po szklanę z wodą i zaraz ją odstawiła, bo bała się ją upuścić.

– Co ty wyprawiasz? – usłyszała gniewny głos. – Musisz tak dłużyć w jedzeniu?

– Przepraszam.

– Przepraszam, przepraszam – przedrzeźniał ją piskliwie. – Dobry Boże, Marianne, co to za grymasy?

Przełknęła z trudem ślinę; bolała ją gardło.

– Nie jestem głodna.

– Nadeshan, słyszysz? Będę musiał pogadać z kucharzem. *Dorasanie* nie

odpowiadają jego potrawy. Może trzeba znaleźć kogoś innego na jego miejsce.

– Nic takiego nie powiedziałam. Jedzenie jest smaczne, tylko...

– No to jedz. – Podniósł się z miejsca i stanął przy niej z ręką na oparciu krzesła, całkiem ją zasłaniając. – Jedz, Marianne – powtórzył miękko.

– Nie mogę.

Chwycił widelec i wbił go w mięso.

– Jedz!

– Lucasie, proszę... – Czują pod powiekami łzy.

– Powiedziałem, jedz!

Jakimś cudem udało jej się przełknąć trochę ryżu.

– Dalej!

Kątem oka widziała pociemniałe ze strachu oczy Nadeshana. Wiedziała, że stoi nad przepaścią; wystarczy jedno niewłaściwe słowo czy gest – i wydarzy się coś niewypowiedziane straszego. Zaczęła jeść. Raz czy dwa poczuła, że jedzenie rośnie jej w gardle, ale w końcu, ziarenko po ziarenku, skończyła.

Lucas wyprostował się i odszedł na bok.

– No i dobrze – rzekł leniwie. – Tyle szumu o parę kęsów...

W końcu opuścił pokój. Marianne została przy stole, póki nie usłyszała oddalającego się tętentu końskich kopyt. Dopiero wtedy bardzo wolno wstała. Musiała przytrzymać się stołu.

Z pakamery zabrała „dywanikową” torbę podróżną i zaniósła ją do swojego pokoju. Włożyła na palec pierścioneł z brylantem, a resztę biżuterii spakowała do torby, razem z bielizną i ubraniami – spódnicami, bluzkami, ciepłym kardiganem i żakietem (w Anglii może być zimno). Jeszcze rulon banknotów z szuflady – usiadła na łóżku, próbując je policzyć. Palce jej drżały, liczby mieszały się w głowie. Czy rupia jest warta mniej czy więcej od szylinga? Ile kosztuje bilet kolejowy do Colombo? Ile trwała tamta pierwsza podróż z Colombo do Blackwater? Trzy dni... Za długo, stanowczo za długo. Musi dotrzeć tam szybciej. Lucas może ją gonić, a co będzie, jak ją złapie? Strach pomyśleć.

Poszła do dzieciennego pokoju, gdzie George odbywał popołudniową drzemkę. Spał mocno – przez kilka sekund obserwowała cień rzęs na zaróżowionym policzku i wyciągnięte nad główką, jakby na znak poddania się, rączki. Potem zaczęła otwierać szuflady, wyjmować pajacyki, płaszczyk, sweterki. Będzie potrzebowała pieluszek... Ile powinna zabrać – tuzin? Dwa tuziny? Nie wiedziała. To Rani zawsze mu je zmieniała.

Usłyszała za sobą szelest i serce zabiło jej ze strachu. W progu stała Rani. Ciemne oczy miała utkwione w stercie ubranek w rękach Marianne.

– *Dorasanie...*

– Zamknij drzwi.

Rani usłuchała.

– Wyjeżdżam – szepnęła Marianne. – Wracam do Anglii. – Rani otworzyła szeroko oczy. – Muszę. Mam tu ubranka George’a, ale potrzebuje pieluszek. Gdzie one są?

Rani otworzyła kufer i wyjęła kłęb białych szmatek.

– Musi pani zabrać jedzenie.

– Tak, oczywiście.

– Przygotuję coś. – Rani wyszła z pokoju.

Marianne zabrała rzeczy George'a do sypialni i włożyła je do torby. Czowała dziwną lekkość, miała wrażenie, jakby podłoga pod nią się poruszała.

Rani wróciła z tobołkiem zawiniętym w ściereczkę.

– Powiedz Nadeshanowi, żeby zawiadomił stajennych, niech podstawią wóz. I ubierz George'a, proszę.

Kapelusz, parasolka. Słońce dziś silnie praży. Zawołała Nadeshana i kazała mu zanieść torbę na werandę. Zjawiała się Rani z George'em i Marianne wyszła na werandę. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to zmęczenie. Nie miała pojęcia, czemu jest taka słaba.

Wóz zaprzężony w woły zajechał przed dom. Stajenny zeskoczył na ziemię i uklonił się Marianne. Nagle spostrzegł torbę i dziecko – coś drgnęło w jego oczach. Cofnął się o krok i zaczął coś mówić. Chociaż Marianne przyswoiła już sobie trochę tamilskiego, nie nadążała za potokiem słów służącego, który kręcił głową, pokazując na wóz. Rozejrzała się gorączkowo.

– Nadeshan, Rani... Co on mówi?

– On mówi, że koło pękło. Nie można dziś jechać, bardzo przeprasza.

– To koło wcale nie wygląda na pęknięte!

A jednak, ku jej przerażeniu, stajenny wskoczył z powrotem na kozioł i odjechał.

– Nie! – krzyknęła, ale on już zniknął za zakrętem.

Stała przez chwilę, jak skamieniała, a potem wyrwała George'a z rąk Rani, chwyciła torbę i pobiegła za wozem, nie zważając na przygniatający ją ciężar. Gdy dotarła do stajen, chłopak wyprzęgał już zwierzęta. Po chwili zniknął w mrocznym boksie.

Postanowiła pójść pieszo. Znała drogę, często jeździła tym traktem na bazar i do klubu. Do głównej drogi było nie dalej niż ze trzy kilometry. Dojdzie do stacji, zanim Lucas wróci na wieczorny posiłek.

Ścieżka biegła u podnóża góry, wijąc się serpentynami aż do miasta. Na zboczach, jak okiem sięgnąć, rozsiadły się herbaciane plantacje, na których z rzadka widać było postaci kobiet. Na widok Marianne podnosiły głowy i jawnie się na nią gapiły. Starła się trzymać wewnętrznej strony ścieżki; bała się spaść, bała się, że gdzieś na tych polach może być Lucas i on też ją zauważy.

Musiła zostawić parasolkę, nie dawała już rady dźwigać dziecka i wszystkich rzeczy. Trzymała George'a mocno, osłaniając go sobą od słońca. Że też nie nauczyła się jeździć konno! Arthur tyle razy ją do tego namawiał, Marianne jednak nigdy nie mogła przełamać obaw. Teraz przeklinała się w duchu za tchórzostwo.

George zaczynał marudzić. Marianne przysiadła na skale, napiła go wodą z cukrem i dała mu herbatnika. Kiedy ruszyła w dalszą drogę, torba wydała się jej jeszcze cięższa niż dotąd. Od czasu do czasu ogarniało ją dziwne poczucie rozdwojenia rzeczywistości; nie wiedziała, czy to, co się dzieje, jest jakimś złym snem, z którego zaraz obudzi się w bungalowie. Wiedziała, że powinna odejść dawno temu, kiedy złożony chorobą Lucas nie mógł jej ściagać.

Szła jednak dalej. Nad jej głową krążył orzeł, na skrawku łąki pasła się uwiązana do łańcucha krowa. Minąwszy przydrożną świątynię, Marianne usiadła nad strumieniem.

Wokół budynku powiewały białe wstążki. Rani mówiła kiedyś, że to na znak żałoby w osiedlu kulisów. Marianne zadygotała i odwróciwszy wzrok, ruszyła znowu przed siebie. Trakt pod jej nogami rozwijał się jak z kłębka; miała wrażenie, że będzie tak wędrować przez całą wieczność. Od ciężaru torby wyciągało się jej ramię, a rączki boleśnie wrzynały się w palce. W końcu uklękła i zanurzywszy ręce w strumieniu, ochlapała zimną wodą twarz. Chciała się położyć, zamknąć oczy i zasnąć... Ale wtedy George mógłby gdzieś odejść i spać w przepaść. Rozpięła więc torbę, wyjęła biżuterię, pieniądze, trochę rzeczy dziecka, po czym dołączyła to wszystko do tobołka, który dała jej Rani. Dalej poszła już bez torby. Z jednej strony miała teraz cień wysokiej góry, z drugiej stromą przepaść. Raz zatoczyła się ku krawędzi, niemal skuszona takim rozwiązaniem. Ale wtedy George zaczął się wrywać z jej ramion i w panice uskoczyła pod skałę.

Zobaczyła, że jest już w miejscu, gdzie trakt z Blackwater łączył się z główną drogą. Przystanęła na chwilę, niepewna, w którą stronę skręcić. Na fałdach herbacianych pól błyszczały światelka, poruszając się niczym morskie fale.

Nagle rozległ się turkot i naprzeciwko ukazał się jakiś wóz. Lucas! – przemknęło jej przez myśl ze zgrozą. Ale przecież Lucas zawsze jeździł konno; gardził tymi, którzy podróżowali wozem.

Wóz zwolnił i wyjrzała z niego pani Rawlinson.

– Mój Boże, pani Melrose! Co tu robisz? – spytała, wysiadając. – Moja droga, wyglądasz na zupełnie wykończoną. Pozwól, że wezmę dziecko...

George płynnie przeszedł w jej wyciągnięte ramiona. Marianne wyszeptała:

– Zawiezie mnie pani na kolej?

– Na kolej?!

– Muszę złapać pociąg...

– Gdzie tylko zechcesz, kochana.

Pani Rawlinson pomogła jej wsiąść na wóz. Woły ruszyły. Głowa Marianne opadła na oparcie, oczy same się zamknęły. Od czasu do czasu próbowała je otworzyć, ale widziała tylko rozległy błękit nieba i zieleń herbacianych pól.

– To jeszcze nie stacja? – spytała.

– Już niedaleko, moja droga. Zaraz będziemy na miejscu.

Rzeczywiście niebawem wóz stanął. Marianne otworzyła oczy. Zobaczyła banian, ogród różany i bungalow w Blackwater.

– Nie, nie, przecież obiecała pani... – próbowała protestować, ale z jej gardła wydobywało się tylko ochryple skrzeczenie.

Pani Rawlinson zawołała:

– Lucas! Jesteś tam? No, moja droga, tylko się nie denerwuj. Hej, chłopcze! Biegnij po pana, ale szybko! Powiedz mu, żeby zaraz wracał, bo pani ma gorączkę i bardzo źle się czuje.

Marianne zwlokła się z wozu i chwiejnym krokiem próbowała uciekać przez trawnik, ale nogi się pod nią ugięły i palce wczepiły się w trawę. Zanim ostatecznie straciła przytomność, przemknęło jej przez myśl, że zbyt długo zwlekała. Teraz już nigdy mu nie ucieknie.

Ash rozważał sprawę przygotowań do ślubu z zaciętą determinacją; skoro tak niecznie skomplikował sobie życie, to przynajmniej teraz postąpi właściwie. Mieli się pobrać, gdy tylko wyjdą zapowiedzi.

Nagle Thelma przysłała mu liścik z prośbą, aby wpadł do sklepu w porze lunchu. Kiedy się zjawił, stała na stołku na chodniku, wieszając sznurki cebuli pod markizą.

– O, jesteś – powitała go.

– Masz do mnie jakąś sprawę, Thelmo?

– Tak. – Zeskoczyła ze stołka. – Postanowiłam, że jednak za ciebie nie wyjdę.

Wlepił w nią zdumiony wzrok.

– A dziecko?

– Ono jest Charliego.

Zamrugnął oczami.

– Nic z tego nie rozumiem.

– To proste. – Rzuciła szybko okiem do wnętrza sklepu, czy nikt nie podsłuchuje.

– Wiedziałam, że jestem w ciąży, zanim zadałam się z tobą.

Ash w milczeniu przetrwał jej słowa.

– Chcesz powiedzieć, że specjalnie...

– Tak. W pewnym stopniu... to była taka asekuracja. Poza tym chciałam, żebyś mnie kochał, więc kiedy mi powiedziałeś, że byłeś z nią... Ale później doszłam do wniosku, że nie mogę tego ciągnąć.

Patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc.

– No z nią, z panną Maclise – wyjaśniła niecierpliwie. – Po prostu byłam zła. Z każdą inną, byle nie z nią... Ona ma wszystko, prawda? Urodę, pieniądze, dobre pochodzenie i jeszcze mogła dostać ciebie? A może tak mnie choć raz coś by kapnęło? Porządny facet z ładnym domem, w którym tacie byłoby wygodnie, i z pieniędzmi, żebym nie musiała pracować w takich miejscach jak to... – Otworzyła kasę. – Po ślubie chciałam udać, że dziecko urodziło się w siódmym miesiącu. – Zaśmiała się nagle. – Gdyby okazało się, że jest rude, jak Charlie, miałabym się z czego tłumaczyć! – Patrzyła mu teraz prosto w oczy. – Tak właśnie zamierzałam postąpić, Ash. Nieładnie, co?

– Ale zmieniłaś zdanie.

Zaczęła się załamywać.

– Nie mogłam tego zrobić. Myślałam, że dam radę, ale nie. Wiem, że ci na mnie nie zależy, czytam to w twoich oczach.

Czyżby oczekiwała współczucia? W tej chwili już tylko nią gardził.

– Więc to ze względu na dom, pieniądze...

– Ach ty głupku! Chodziło o ciebie!

– Przecież sama mówiłaś, że mnie nie kochasz.

– Tak? No cóż, kłamać to ja zawsze umiałam. – Posłała mu gorzki uśmiech. – Tak samo zawsze sobie wmawiam, że nie obchodzi mnie moja brzydota. Chociaż dla ciebie chciałabym być ładna. – Liczyła bilon, wrzucając sześciopensówki do płóciennego woreczka. – No więc zdecydowałam się wyjść za Charliego, raz kozie śmierć. – Nagle

wyraźnie się zasmuciła i mruknęła: – Cały kłopot w tym, że za bardzo cię kocham. Pragnę twojego szczęścia, nawet jeśli miałabym cię jej oddać. Możesz mnie teraz znienawidzić, Ash, wiem, że sobie na to zasłużyłam.

Kilka tygodni później, idąc przez Whitechapel, Ash przystanął przed stoiskiem z gazetami i przeczytał nagłówek: „Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, następca tronu Austro-Węgier, został zamordowany przez dziewiętnastoletniego bośniackiego Serba, nacjonalistę Gawrila Principa”. Uświadomił sobie ze zgrozą, że jego optymizm, wiara w poprawę sytuacji i postęp zostały poważnie naruszone. Przypomniawszy sobie, co mówiła mu Iris: „Zawsze wydaje mi się, że nie można zmienić życia innych ludzi”. Nie zgodził się z nią wtedy. Czy i teraz nie podzielałby jej zdania? Co osiągnął przez te wszystkie lata na East Endzie? Nic albo prawie nic. Dawniej chciał tu coś zmienić, ale nie udało mu się to nawet w tym małym zdeprawowanym rejonie swego zamieszkania. Bieda i niesprawiedliwość, z jakimi stykał się codziennie, były tak wielkie, że ich usunięcie wymagałoby prawdziwego kataklizmu – rewolucji, może wielkiego pożaru.

Jednakże wszystko to wydawało się w tej chwili nieistotne wobec faktu, że przez własną głupotę utracił ukochaną kobietę.

– Rozchmurz się, chłopie, nie może być aż tak źle – pocieszał go sprzedawca, irytująco wdzierając się w jego myśli. Ash poszperał w kieszeni i wyjąwszy kilka monet, zapłacił za gazetę.

Marianne chorowała przez sześć tygodni. Po ustąpieniu gorączki, ręce i nogi miała jak patyki. Trzymając dłoń pod światło, mogła policzyć wystające spod skóry kości.

Pewnego dnia udało się jej wstać z łóżka, ale kilka kroków w stronę toaletki zupełnie ją wyczerpało. W lustrze zobaczyła, że obcięto jej włosy. Wychudłymi palcami dotykała krótkich, ciemnych kłaczek; wyglądała jak duch, duch dawnej Marianne.

Kiedy do sypialni weszła Rani, Marianne zapytała:

– Gdzie jest George? Przynies mi go, proszę.

Wyszła, ale po paru minutach wróciła sama.

– Gdzie on jest? – zaniepokoiła się Marianne. – Czy także choruje?

– Nie, nie. Jest zupełnie zdrowy. – Ale mówiąc to, Rani unikała jej wzroku.

– Co się stało, Rani? Mów zaraz!

– On jest ze swoją *ajah*.

– Co?! Przecież ty jesteś jego *ajah*!

Kobieta przecząco pokręciła głową.

– Przyjechała nowa. Jak *dorasanie* zachorowała.

Wieczorem zjawił się Lucas.

– George... – szepnęła błagalnie.

Zmarszczył brwi.

– Nie przypuszczałem, że mnie nie posłuchasz. Że w ogóle jesteś do tego zdolna.

– Pozwól mi zobaczyć George’a.

– Ama ci go przyniesie.

– Ama?

– Jego nowa piastunka. Zatrudniłem ją, jak byłaś chora, bo Rani nie jest godna zaufania. – Kręcił z naganą głową. – Ta ucieczka to bardzo głupi pomysł, Marianne. Chyba rozumiesz, że to wszystko zmienia, co? Teraz wiem, że nie mogę ci ufać, więc George'em zajmie się Ama.

Marianne wczepiła palce w prześcieradło, próbując się podnieść, ale opadła z powrotem na poduszki.

– Nie odbieraj mi go, Lucasie! Proszę, zrobię, co tylko zechcesz... Wszystko...

– Nadal będziesz mogła go widywać, pod warunkiem odpowiedniego zachowania.

– Odwrócił się do drzwi. – Możesz wyjechać, jeśli chcesz, to twój wybór. Dla mnie to nie ma znaczenia.

– A George?

– Nie pozwolę ci zabrać mojego syna. – Podeszedł jeszcze raz do łóżka i przyglądał się jej bladymi oczami bez wyrazu. – Widzisz, gdybyś mi go wtedy wywiozła, ścigałbym cię po krańce ziemi. Nie uciekłybyś przede mną, wszędzie bym cię odnalazł. Gdybyś wróciła do Anglii, śledziłbym twoją rodzinę i przyjaciół. Odwróciłybyś się na chwilę – i już bym go miał. A potem nigdy byś go nie zobaczyła.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zmierzchało; do pokoju wlewała się noc, szybka, jak zwykle w tropikach, wypełniała alkowę i kąty ciemnością. Marianne ukryła twarz w poduszce i rozplakała się z żalu, wiedząc, że utraciła George'a.

Rozdział czternasty

Evie przypomniła się pewna zabawa z dzieciństwa. Któregoś zimowego wieczoru siostry zebrały się na strychu. Wcześniej zgromadziły wszystkie zestawy domina, jakie znalazły w domu, domina w sfatygowanych pudełkach, niekompletne, tak stare, że kropki straciły kolory. Ustawiły je w długich, zakręconych rzędach. Marianne – najcierpliwsza z sióstr – rozmieściła wszystkie kawałeczki. Eva zapamiętała dojmujący chłód i białe z zimna palce Marianne, układające kostki w takiej odległości, żeby gdy jedna się przewróci, upadnie na następną. Iris – jako najstarsza – domagała się, by to ona mogła popchnąć pierwszą kostkę. Eva obserwowała, jak poszczególne elementy padają, tworząc wielką czarną falę, która rozlewała się coraz szerzej, aż wszystkie się poprzewracały.

Latem, a potem jesienią roku 1914, zdawało się jej, że słyszy echa tamtej zabawy sprzed lat. W końcu lipca Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii, wykorzystując jako pretekst zabójstwo arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Wkrótce potem armia rosyjska została postawiona w stan gotowości, Niemcy zaś przedstawiły neutralnej Belgii ultimatum, żądając dla swych wojsk prawa przemarszu przez jej terytorium. Wtedy Wielka Brytania, sprzymierzeniec Francji, wezwała Niemcy do uszanowania neutralności Belgii. Żądanie zlekceważono, więc 4 sierpnia Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom, a tydzień później Austro-Węgrom.

Eva obserwowała z niedowierzaniem i rosnącym przerażeniem, jak czarna plama wojny rozlewa się po Europie, zataczając coraz szersze kręgi. Z początku z odrazą odnosiła się do udziału swego kraju w konflikcie, postanawiając nie dopuścić, aby wojna odmieniła ją samą. Tłumy na Trafalgar Square i Pall Mall, ludzie wymachujący brytyjskimi i francuskimi chorągiewkami, wielkie plakaty wzywające brytyjskie kobiety, by wysyłały na wojnę swych mężów, braci i synów – wszystko to ją oburzało. Gardziła wybuchami patriotyzmu, które przewalały się przez kraj, i podczas gdy wszyscy w panice zgarniali z półek sklepowych, co tylko się dało, kupowała tylko tyle jedzenia, żeby jej starczyło na bieżący dzień.

Owo przekonanie, że potrafi trzymać się z daleka od światowych wydarzeń, trwało jeszcze krócej niż wiara jej rodaków w zakończenie wojny jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Po wybuchu wojny rząd wydał dekret nakazujący wszystkim cudzoziemcom zarejestrować się na policji. Pewnej nocy motłoch, podburzony prasowymi relacjami na temat niemieckiego okrucieństwa, wdarł się do biur Calliope Press, którego właścicielką była Paula Muller, Niemka z pochodzenia, wychowana w Wielkiej Brytanii. Rano Eva pozamiatała szkło i pomogła Pauli uratować, co tylko się dało, z książek i rękopisów. Kilka dni później Paula otrzymała anonimowy list z pogróżkami zarówno wobec niej samej, jak i jej młodszej siostry Idy, jeśli nie opuszczą Anglii. Wystraszona, zamknęła wydawnictwo i wyjechała do Niemiec. Lydia zaproponowała Evie pracę na godziny w galerii, na co ta wyraziła zgodę, chociaż nie zanosilo się, aby miało to dłużej potrwać. W nowym, skażonym przez wojnę świecie, raczej nie było miejsca na sztukę.

Wojna zaczęła niespodziewanie oddziaływać swą ciemną alchemią także na jej rodzinę. Iris spędziła letnie wakacje we Francji z Charlotte Catherwood. Po powrocie do Londynu przyjęła posadę pielęgniarki w wojskowym szpitalu. Potem zdarzyło się coś przedziwnego: Clemency napisała do Ewy, że pewnego dnia ich matka wstała z łóżka, ubrała się i oznajmiła przy śniadaniu zdumionej rodzinie, że zamierza zorganizować kursy pierwszej pomocy i pielęgniarstwa. Dodała przy tym, że od pani Catherwood dowiedziała się, jakoby takie kursy miała prowadzić pani Hutchinson, co jest po prostu śmieszne – przecież ta kobieta nie ma o niczym zielonego pojęcia. Natomiast ona, Lilian Maclise, będąc przez całe lata przykutą do łóżka, posiadała sporą wiedzę na temat pielęgnowania chorych. Zupełnie jakby znalezienie sobie nowego zajęcia zmobilizowało matkę do wyzdrowienia, myślała Ewa, czytając list. Widocznie choroba przestała ją już interesować. „A potem – pisała Clemency – zapytałam ją, jak się czuje, i odpowiedziała, że w życiu nie czuła się lepiej! Myślisz, że naprawdę jest już zdrowa? Czy to możliwe?”

„Teraz George’em zajmie się Ama”. Ama – jak Marianne dowiedziała się od Rani – była córką szkockiego żołnierza i syngalezkiej sklepikarki z Kandy. Ojciec ją opuścił, matka umarła. Rani nie wiedziała, jak Lucas znalazł Amę. Marianne przypuszczała, że wypatrzył ją w jakiejś bocznej uliczce w Kandy i doceniwszy jej wyjątkową urodę w taki sam sposób, jak doceniał wyjątkowość jakiejś plantacji herbaty, po prostu kupił dziewczynę. Ama miała złotawą skórę, drobne, gibkie ciało i poruszała się z wężową gracją. Zielonkawozłote oczy o kształcie migdałów omiały wszystko i wszystkich pełnym pogardy spojrzeniem.

Nigdy nie zostawiała Marianne samej z George’em. To Ama kąpała go, karmiła i sypiała z nim w tym samym pokoju. Kiedy Marianne brała synka na kolana, Ama siedziała ze skrzyżowanymi nogami i nasuniętym na głowę jaskrawym, jedwabnym sari, bacznie ich obserwując. Jeśli Marianne wychodziła z malcem, Ama szła za nimi krok w krok. Nie wydawała żadnego dźwięku, ale ilekroć Marianne się obejrzała, widziała jej białe stopy sunące bezszelestnie po ścieżce. Wyczuwała, że ta dziewczyna nią gardzi. Ama, która dzięki swemu sprytowi i urodzie potrafiła wydostać się z rynsztoka, nie miała ani cienia szacunku dla kobiety urodzonej w dostatku, ale zbyt głupiej, by się go trzymać. Jej smukłe, pobrzękujące pierścionkami, spiczasto zakończone palce gładziły haftowany złotem brzeg sari, a uśmiech na twarzy pojawiał się tylko wtedy, kiedy unosząc szczupłe ramiona, obserwowała ruch zsuwających się z nadgarstków złotych bransolet.

„Teraz George’em zajmie się Ama” Marianne szybko pojęła, co to oznacza. Nie wolno jej było wyciągać synka z łóżeczka rano ani układać go do snu wieczorem. Mogła widywać go tylko przez dwie godziny przed południem i drugie dwie po południu oraz czytać mu książeczkę przed snem.

– To powinno wystarczyć, żebyś nauczyła go liter i liczb – powiedział Lucas. – I oczywiście dobrych manier, nie chciałbym, żeby wyrósł na prostaka.

Nie protestowała, wiedząc, że w przeciwnym wypadku Lucas może na zawsze

rozdzielić ją z George'em. Serce się jej ścisnęło na widok Amy przesiadującej z malcem w dzieciennym pokoju. Dziewczyna, sama jeszcze prawie dziecko, nie darzyła go żadnym uczuciem. Te drobne paluszki brutalnie wciskały dziecku płaszczyk, szarpały chłopca za włosy przy czesaniu. Ten miękki głos przybierał ostry ton, kiedy mały się wyrwał, a upierścieniona dłoń bez skrępowań wymierzała klapsy, gdy płakał. Zresztą, po pewnym czasie George przestał płakać, wyczuwając zapewne obojętność opiekunki. Teraz, przychodząc do Marianne, wtulał się w nią i zaciskał kurczowo rączki na fałdach jej sukni. Nigdy dotąd tak się nie zachowywał. Uśmiechał się także coraz rzadziej.

Marianne po chorobie długo nie odzyskiwała sił. Odkąd pierwszy raz wstała, przez całe tygodnie wyczerpywał ją nawet krótki spacer do letniego pawilonu.

– Dur brzuszny – orzekł doktor Scott, mierząc jej puls i temperaturę. – Miała pani pecha, pani Melrose, ostatnio bardzo rzadko występują tu tak ciężkie przypadki. – Zalecił wypoczynek i zapisał jej krople na sen.

Czasem czuła się tak, jakby zapadła w sen i obudziła się w innym świecie. Tak wiele się zmieniło! Podczas jej wielomiesięcznej choroby ogród znowu zarósł. Pnącza oplotły róże, na rabatkach pojawiły się chwasty. Nie miała siły z nimi walczyć. Wyobraziła sobie, jak kamelie, bugenwille i hibiskusy wdzierają się na trawnik, zarastają blaszany dach bungalowu. Rok, pięć lat, dziesięć – i dzungla wchłonie Blackwater.

Tymczasem na drugim końcu świata wybuchła wojna. Moja rodzina! Bracia, siostry... – myślała Marianne. Pewnego popołudnia, kiedy wypoczywała w swoim pokoju, przez otwarte okna słyszała głosy Rawlinsonów, którzy na werandzie opowiadali o bitwach i blokadach.

Ona sama też się zmieniła. Wychudła na kość, miała teraz krótkie ciemne włosy, w bladej, wymizerowanej twarzy niebieskofioletkowe oczy wyglądały jak dwa stawki. Co gorsza, zmieniła się także wewnętrznie: uznając swoją porażkę, straciła wolę walki. Ucieczkę pamiętała tylko fragmentarycznie – jak koszmara senny wspominała niekończącą się ścieżkę i opadające stromo w dół zbocze góry. Po pewnym czasie przypomniała sobie o biżuterii. Zaczęła gorączkowo przeszukiwać sypialnię, otwierając wszystkie szuflady, grzebała desperacko na dnie szafek. Wkrótce, zabierając George'a od Amy zauważyła na jej palcu pierścionek z perłą i ametystem, ten, który przysłały jej siostry po śmierci ciotecznej babki Hannah.

Ostatni promyk nadziei zgasł. Bez pieniędzy, bez biżuterii jak sobie poradzi? Upokorzona, pogrążyła się w mroku. Wiedziała, że sama zgotowała sobie ten los. Oglądając się wstecz, widziała teraz jasno, że Lucas wybrał ją, kiedy ostatecznie pierzchnął jego nadzieje na spadek po matce. Wybrał ją ze względu na majątek, a także na fakt, że była dostatecznie młoda, by dać mu syna – przyszłego dziedzica Blackwater. Ich spotkanie w Londynie nie było dziełem przypadku; musiał dowiedzieć się wcześniej jej adresu od Meredithów albo ich przyjaciół. Grał na jej słabości i potrzebie wypełnienia pustki po śmierci Arthura. Ta wyrozumiała, pełna współczucia twarz była kompletnym fałszem, maską przybraną, by zmylić Marianne. Iris ją ostrzegała, ale wtedy Marianne nie chciała jej słuchać. Gdy tylko przywiózł ją na Cejlon, gdy wykorzystał jej pieniądze na kupno Glencoe i gdy wreszcie wydała na świat syna, uznał, że może przestać się z nią liczyć. Dała się podejść jak dziecko; pozwoliła odebrać sobie wszystko, co miało

znaczenie.

Jadła niewiele, nie miała apetytu. Zdawała się żyć w jakimś mrocznym śnie, niezdarne palce nie pozwalały jej szyc, mętlik w głowie – czytać. Kiedy przyjeżdżał ktoś z wizytą (zdarzało się to coraz rzadziej, gdyż gości zniechęcało coraz bardziej nieobliczalne zachowanie Lucasa), najczęściej kryła się w sypialni, tłumacząc to słabym zdrowiem i zmienionym wyglądem. Patrząc w lustro, myślała: Nie kochałbyś mnie teraz, Arthurze. Jedyłą ucieczką dawała jej noc – najpierw gorzki smak kropli, a potem rozkosz osunięcia się w ciemność.

W zaciśniętym pokoju, przy zaciągniętych zasłonach napisała do ojca. Słowa rozlewały się po papierze, nierówne, rozpaczliwe. „Boję się o syna... Moje małżeństwo jest fikcją... Nie mam pieniędzy... Musisz po mnie przyjechać, musisz mnie stąd zabrać...”. Upewniwszy się, że ani Ama, ani Lucas jej nie widzą, oddała list kulisowi i wcisnęła mu kilka monet. Tydzień później napisała następny, na wszelki wypadek. Potem jeszcze jeden... Trzeba tygodnia, żeby list dotarł do Colombo, potem jeszcze cztery na podróż statkiem do Anglii, może nawet więcej, ze względu na wojnę... Skreślała w myśli kolejne dni.

Mijały tygodnie, potem miesiące. Ilekroć kulis listowy wracał z bazaru, wpatrywała się w niego z bijącym sercem, bliska omdlenia z nadziei.

Pewnego dnia zauważyła, że Lucas ją obserwuje.

– O co chodzi, Marianne? Czego tak wypatrujesz?

– Niczego. – Przeszedł ją dreszcz strachu.

– Kłamczucha! – Wyszedł z pokoju i po chwili wrócił, trzymając coś w zaciśniętej dłoni. – Czekasz odpowiedzi na to! – Błyskawicznym ruchem chwycił ją za włosy i podetknął pod oczy kartki. Spojrzała i zamarła ze zgrozy: to były listy, które napisała do ojca.

– Obrażasz mnie Marianne, biorąc za aż takiego durnia. Moi służący są mi posłuszni, czego nie da się powiedzieć o żonie. – Rzucił listy, a potem zaciągnął ją do biurka, wyjął papier i wcisnął jej do ręki pióro. – A teraz pisz.

– Nie.

– Nie? Przemyśl to sobie starannie, zanim powtórzysz, moja droga. Może ci się zdaje, że jeśli nie napiszesz, twój ojciec i bracia przyjadą tu po ciebie? Moja głupiutka żoneczka! Anglia jest w stanie wojny, nie pamiętasz? Wątpię, czy twoja rodzina w ogóle o tobie myśli. Mają na głowie inne, bardziej istotne troski. Czy wiesz, ilu Anglików poległo? Twój bracia mogą dawno gryźć ziemię, a ojciec, bolejąc po nich, zapomniał o twoim istnieniu.

Łzy ciekły jej po twarzy, a on mówił dalej:

– I niech ci nie przyjdzie do głowy oskarżać mnie o złe traktowanie przed rodziną. Nikt ci nie uwierzy. Już teraz wszyscy uważają cię za... powiedzmy, niestabilną. Jestem tego pewien. – Położył dłoń na jej ramieniu; wzdrgnęła się od jego dotyku. Nie bacząc na to, pogładził kciukiem jej kark. – No więc napiszesz teraz do ojca, opowiesz mu, że chorowałaś, ale już jesteś zdrowa, szczęśliwa, a dziecko dobrze się chowa. Coś w tym rodzaju. – Ręka ześliznęła się niżej i zatrzymała na jej piersi. Marianne siedziała sztywno, skamieniała z przerażenia. – Jeśli odmówisz, mogę przypomnieć ci o zaniechanych tak

długo małżeńskich powinnościach...

Napisała. Następnego dnia Ama nie przyniosła jej George'a. Marianne obserwowała z ogrodu bawiącego się na werandzie synka. Nagle usłyszała płacz i zobaczyła, że dziewczyna daje małemu klapsa. Miała chęć przebiec przez ogród, zabrać dziecko, a Amie przyłożyć tak, żeby się nakryła nogami. Zamiast tego zmusiła się do kontynuowania przechadzki, gryząc sobie pięści do krwi.

W gęstym cieniu drzew usiadła na ziemi, wyczerpana gniewem. Nagle w zaroślach coś zaszeleściło. Rani uklękła za nią i ujęła jej rękę.

– Weź, *dorasanie*. – Z zaciśniętej pięści coś spłynęło w jej dłoń. – Zabrałam to, kiedy *dorasanie* chorowała, i przechowałam w bezpiecznym miejscu. – I uciekła z powrotem do kwater służby.

Marianne rozluźniła palce. Na jej dłoni leżał pierścionek z brylantem, ten sam, który Arthur podarował jej w oranżerii w Summerleigh.

Miała w uszach jego głos: „Będę cię kochał zawsze i na wieki. Nawet po śmierci, gdy zajdzie taka potrzeba”. Słowa brzmiały tak wyraźnie, jakby Arthur był przy niej, stał u jej boku w tym miejscu jak ze złego snu. Rozejrzała się wokół siebie, niemal spodziewając się go zobaczyć pod drzewem ognistym czy eukaliptusem. Liście drżały, jakby ktoś właśnie tamtędy przechodził.

Przez długi czas siedziała tam, pogrążona we wspomnieniach. Rozpięła srebrny łańcuszek, który nosiła na szyi, zawiesiła na nim pierścionek i ukryła starannie pod bluzką. Wróciwszy do ogrodu, mimo zeszywniałych mięśni uklękła przy rabatce i niezdarnymi palcami zaczęła powoli wyrywać chwasty wokół nowych sadzonek i uwalniać łodygi róż z pnączy.

Pewnego dnia w październiku James spotkał się z Evą, kiedy ta zakończyła prace w galerii. Zjedli lunch w Cottage Tea Rooms na Strandzie, a potem James postanowił odprowadzić siostrę do jej mieszkania.

– Mam ci coś do powiedzenia – oznajmił w pewnej chwili.

Mijali właśnie mały park ogrodzony żelazną barierką. Weszli do niego i usiedli na ławce. James zapalił dwa papierosy – jeden podał Evie.

– Od dawna zbieram się na odwagę, by z kimś porozmawiać, i zawsze tchórz mnie oblatuje. Ale teraz to już muszę. Widzisz, zdecydowałem się zaciągnąć.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Nie, James, proszę cię, nie!

– Muszę. Wszyscy moi przyjaciele poszli... zresztą, chcę. Dawno bym to zrobił, gdyby nie... – Urwał. – Evo, po prostu nie mogę stać z boku i patrzeć, jak wszyscy wyjeżdżają do Francji, podczas gdy ja ślęczę w biurze. No więc podpisałem papiery i w następnym tygodniu wyjeżdżam na obóz wojskowy.

Najpierw Paula, teraz James. Kto następny?, pomyślała z żalem Eva.

– Powiedziałaś ojcu? – spytała.

– Jeszcze nie.

Przywołała w pamięci prosty, nieskomplikowany patriotyzm Joshuy.

– Chyba nie powinien się gniewać. Przypuszczam, że będzie z ciebie dumny.

– Że zgłosiłem się na ochotnika? Och, nie sądzę, żeby go to szczególnie obeszło. To akurat najmniej mnie martwi. Ale jest coś innego...

– Co?

James wyjmował coś z kieszeni.

– To. Nie mogę mu o tym powiedzieć. A komuś jednak muszę.

Podał jej fotografię. Eva popatrzyła na portret młodej kobiety z małym dzieckiem.

– Kto to jest?

– Moja żona Emily. A to moja córeczka Violet.

Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem ładną blondynkę i dziewczynkę w koronkowej sukience.

– Nie rozumiem.

– Ożeniłem się z Emily w marcu 1911 roku. W październiku tegoż roku urodziła się Violet.

Eva patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jesteś żonaty od 1911 roku?

– Tak. – Zacięte usta Jamesa tworzyły poziomą kreskę.

– Trzy i pół roku? I nikomu nie powiedziałeś?

Przytaknął.

Nagle coś jej rozbłysło w pamięci. Przyjrzała się jeszcze raz fotografii.

– Widziałam cię z nią! Wieki temu... Wychodziliście z music-hallu w Whitechapel.

– Poznaliśmy się w music-hallu. Emily uwielbia teatr.

– Ale... – Próbowła ogarnąć to rozumem. – Czemu, u licha, nic nam nie powiedziałeś?

Jęknął cicho i objął głowę rękami.

– Chciałem, ale nie mogłem. Wciąż próbowałem się przyznać i za każdym razem tchórz mnie oblatywał. Nie mogłem się na to zdobyć. Nie mogłem spojrzeć ojcu w oczy.

– Podniósł na nią wzrok. – Ale teraz przynajmniej ty wiesz. Czy mnie potępiasz?

Ścisnęła go za rękę.

– Oczywiście, że nie! Dlaczego miałabym cię potępiać?

– Bo was oszukiwałem. I to przez tyle lat! Naprawdę mnie nie nienawidzisz? – Odchylił się na oparcie i westchnął ciężko. – Nawet nie wiesz, co to za ulga, móc wreszcie komuś powiedzieć!

– Kochasz ją? Tę Emily?

– Uwielbiam! – James się uśmiechnął. – Kiedy ją pierwszy raz ujrzałem, pomyślałem, że to najśłodsze stworzenie na świecie. Jest taka naturalna... nie ma żadnych humorów, nie robi łaski, jak większość dziewcząt. Nie stara się człowieka usidlić, zmusić do tego, na co nie ma ochoty.

Trzy i pół roku... A dziecko przyszło na świat w październiku 1911...

– Ożeniłeś się z Emily, bo spodziewała się dziecka?

– Tak – przyznał, czerwieniąc się. – Ale nie tylko dlatego. Od razu wiedziałem, że to dziewczyna dla mnie.

– Nadal nie rozumiem, James. Ojciec pewnie z początku by się wściekał, ale

potem...

– Emily była pomocnicą modystki, a urodziła się w Stepney. Raczej nie takiej żony chciałby dla najstarszego syna i dziedzica firmy, prawda?

– No tak, rzeczywiście. – Ciągłe nie mogła ogarnąć w całości tego, co usłyszała. – Musiałeś się okropnie z tym czuć. Trzymać w sekrecie taką nowinę... Jak ty to wytrzymałeś?

– Czasem mało brakowało, a bym się wygadał. Wynająłem dla Emily i Violet dom w Twickenham. Nic specjalnego, ale mnie się podoba. Zaraz po ślubie byliśmy tacy szczęśliwi! To było zabawne, ekscytujące. Sama wiesz, jak to jest u nas w domu: każdy wtyka nos w cudze sprawy. Po narodzinach dziecka wszystko się strasznie skomplikowało. I chociaż wiedziałem, że powinienem się przyznać, wciąż odwlekałem ten moment, a im bardziej odwlekałem, tym było mi trudniej. Wyobrażasz sobie? „Ach, ojciec, byłbym zapomniał: mam żonę i dziecko!” W dodatku wciąż mnie namawiał do ożenku z Louisą Palmer...

– Więc to dlatego spędzałeś wszystkie weekendy w Londynie?

– Chciałem być z nimi. Violet ma teraz trzy lata, tylko patrzeć, jak zacznie zadawać pytania, czemu tatuś nie mieszka z nami, jak inni tatusiowie i tak dalej. A co do Emily, to żadna z sąsiadek się do niej nie odezwie. Bo im też nie powiedzieliśmy prawdy. Pewnie myślą, że jest moją kochanką, a to ją unieszczęśliwia. Poza tym ciągle się boimy, że coś złego się stanie. W zeszłym roku Violet złapała szkarlatynę. Bardzo się o nią bałem, spóźniłem się do Summerleigh i była awantura. Wtedy naprawdę omal nie wyznałem prawdy. – Miał w oczach rozpacz. – Ale jak mógłbym? Przecież jeśli ojciec zostawiłby mnie bez złamanego pensa, co stałoby się z Emily i Violet?

– Musisz powiedzieć mu teraz.

– Nie! Nie zdobędę się na to. Mówię tobie, bo ktoś musi wiedzieć. Gdyby coś mi się przytrafiło... jeśli mnie wyślą do Francji...

– James! – wykrzyknęła gorąco. – Nie wolno ci tak mówić!

– Evo, obiecaj mi... – Patrzył na nią błagalnie. – Obiecaj, że jeśli nie wrócę, dopilnujesz, żeby Emily i Violet nie zostały na lodzie.

– Dobrze – odrzekła niechętnie. – Skoro tak sobie życzysz.

– Tu masz ich adres. – Wręczył jej kartkę.

– James... Naprawdę musisz powiedzieć ojcu!

– Nie mogę. – Odwrócił wzrok. – Wiem, że to nieuczciwie, nie powinienem obarczać cię moim sekretem.

Pomyślała o ojcu i Katharine Carver. Decyzja, którą w końcu podjęła, zdawała się wstrzymywać jej oddech.

– Ojciec może nie potępi cię aż tak bardzo, jak sądzisz.

– Skąd wiesz?

– Nikt nie jest doskonały, James. Może zrozumie...

– Ojciec *jest* doskonały – odparł brat z goryczą w głosie. – On nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nie wpakowałby się w takie bagno.

– Mylisz się, braciszku. Teraz ja ci wyznam jeden z moich se-kretów...

Później, kiedy wspominała ten moment, martwiła się, że brat nie przyjął tego tak,

jak się spodziewała. Wiadomość o romansie ojca miała sprawić, by James wreszcie przestał uważać go za świętego. Ale zamiast ulgi na twarzy brata odmalowała się zgroza. Zupełnie jakby wiadomość, że ojciec też jest grzesznikiem, zachwiała jego fundamentami.

Dwa dni później, kiedy Eva wychodziła właśnie do galerii, zabrzączał dzwonek. Przyniesiono telegram od Clemency:

OJCIEC CHORY STOP PRZYJEŹDŹAJ DO DOMU.

Jak dowiedziała się od Clemency już po przybyciu do Summer-leigh, ojciec dzień wcześniej zemdlął w pracy. Pan Foley poinformował rodzinę, że tuż po wyjściu Jamesa z gabinetu usłyszał dziwny hałas i znalazł ojca półprzytomnego na podłodze. Doktor Hazeldene stwierdził przeciążenie serca. Od tego czasu nikt nie widział Jamesa. Nie wrócił do domu i Aidan powiedział, że w pracy też się nie pokazuje.

Wieczorem Eva usiadła przy łóżku ojca. Serce jej się ścisnęło na widok masywnej sylwetki Joshuy, który zawsze zdawał się kipieć energią, a teraz leżał unieruchomiony i bezradny.

– To ja, ojciec – szepnęła. – Eva.

– Eva, koteczku... – Ręka na kocu się poruszyła; Eva ujęła ją w swoją. – Interes... wszystko się zawali... nigdy nie opuściłem ani dnia...

– Nie martw się o to, ojczulku. Aidan na pewno wszystkiego dopilnuje.

– Nie! Tylko nie Aidan...

Próbował usiąść, ale wargi mu zsiniły. Przerażona Eva czym prędzej go zapewniła:

– Jutro porozmawiam z panem Foleyem. On się zajmie firmą, obiecuję.

Joshua opadł na poduszki i zamknął oczy.

Następnego dnia Eva popedałowała do wytwórni. W nocy padał deszcz i na dziedzińcu wśród hałd węgla i zużytych tygli połyskiwały kałuże. Jak zwykle panował hałas – huk młotów, jęk tarcz szlifierskich, nawoływania robotników.

Pan Foley podniósł się zza biurka.

– Panna Eva! Co z pani ojcem?

– Doktor Hazeldene rano był zadowolony. Ale to straszne, widzieć go w takim stanie! – Foley podsunął jej krzesło. – Ojciec martwi się o interesy, panie Foley. Właśnie w tej sprawie przyszłam.

– Mogę wpaść po pracy z rozliczeniami, jeśli to mu pomoże. Nic wielkiego, więc raczej się nie zmęczy, a przynajmniej odzyska spokój.

– Dziękuję – odrzekła z ulgą. Zaraz jednak zmarszczyła brwi. – Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałabym z panem porozmawiać. Ale nie tutaj...

Zerknął na zegarek.

– O tej porze często robię sobie przerwę na posiłek. Lubię spacerować nad kanałem i obserwować barki. Może przejdzie się pani ze mną?

Zacząła mówić dopiero w pewnej odległości od wytwórni.

– Ojciec chyba niepokoi się Aidanem. Boi się, że to on zechce prowadzić firmę pod jego nieobecność.

– Pani ojciec nie na wszystko patrzy tak jak pan Aidan.

– Mówi pan o interesach?

– Pan Aidan ma inne poglądy na prowadzenie firmy. Powiedziałbym, że jest bardziej stanowczy niż pani ojciec.

– Ma pan na myśli: twardy?

Nie odpowiedział, ale też nie zaprzeczył. W końcu nie mogła już wytrzymać i zapytała wprost:

– Była awantura, tak? Ojciec pokłócił się z Jamesem?

– Nie określiłbym tego w ten sposób, panno Maclise.

– Proszę powiedzieć mi prawdę!

Po chwili ciszy przyznał:

– Owszem. Dyskusja była burzliwa.

– Bardzo?

– Tak, bardzo.

Stała jak wryta przy torze tramwajowym.

– To wszystko moja wina! – wykrzyknęła z rozpaczą.

– Ależ to nonsens!

– Tak, panie Foley, naprawdę!

– Pani ojciec pokłócił się z panem Jamesem, doszły do mnie jakieś strzępki zdań... nic na to nie mogłem poradzić, krzyczeli na całe podwórze.

– Co pan usłyszał?

– Wolałbym nie...

– Proszę!

– No dobrze. – Doszli do kanału i usiedli na stercie palet między stosami żelastwa i drewna na nabrzeżu. – Pani ojciec oskarżył pana Jamesa, że okrył rodzinę hańbą.

– A ja myślałam, że on zrozumie! – wyrwało się Evie.

– Zrozumie... co?

Pokręciła wolno głową.

– Nie mogę panu powiedzieć. Ale moja rodzina ma bardzo dużo sekretów.

Barki sunęły po kanale, torując sobie drogę wśród innych jednostek pływających. Eva zastanawiała się, jak też udaje się im utrzymać kurs i uniknąć kolizji, która groziła zatonięciem w mętnej, śliskiej wodzie.

– Jeśli to panią pocieszy, nie tylko pani rodzina ma swoje sekrety. I raczej nie uwierzę, że sekrety pani rodziny są współmierne z sekretami mojej.

– Czyżby? Nie jestem taka pewna.

Wyjął z kieszeni paczuszkę w pergaminowym papierze.

– Proszę wziąć kanapkę.

– Nie jestem głodna.

– Musi pani coś zjeść. Wygląda pani na zmarzniętą.

Wzięła posłusznie jedną.

– Mówiłem już, że mój ojciec był hazardzistą. Przegrał co do pensa wszystko, co posiadał i jeszcze więcej. Kiedy zrozumiał, że stoi na skraju bankructwa, powiesił się.

Odwróciła się do niego gwałtownie. Foley wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnięcia

okiem.

– Nie mówię tego po to, aby panią zaszokować, tylko może teraz spojrzysz pani na swoją rodzinę inaczej. Cokolwiek zrobili, nie upadli aż tak nisko.

– Mój brat i ojciec pokłócili się z powodu czegoś, co powiedziałam Jamesowi – wyznała szeptem. – Dlatego ojciec dostał ataku.

– Na pewno miała pani swoje racje.

– Myślałam, że to pomoże!

– Jedne sekrety da się utrzymać, a inne nie. Powinna pani zadać sobie pytanie, do której kategorii należały tamte.

Eva myślała intensywnie.

– Kilka dni temu James przyszedł do mnie i powiedział, że zamierza się zaciągnąć.

– Mnóstwo ludzi idzie do wojska. Straciliśmy już sporo najlepszych robotników.

– A potem wyznał mi coś jeszcze. Musiał, właśnie dlatego, że się zaciągnął, teraz to rozumiem. Ale nie rozumiem, jak udało mu się dotąd utrzymać sekret tej wagi. I w ogóle po co robić z tego tajemnicę, skoro James nie zrobił niczego złego. – Umilkła na chwilę, a potem zniżyła głos. – I wtedy powiedziałam mu coś o ojcu, a chyba nie powinnam. – Rzuciła na ziemię garść okruchów i natychmiast sfrunęło do nich stadko wróbli. – Pamięta pan ten dzień, dawno temu, kiedy zgubiłam rower, a pan mi go odnalazł?

– Oczywiście.

– Pewnie wziął mnie pan za idiotkę. Łazić samotnie po takich miejscach...

– Nie, wcale tego nie pomyślałem.

Wyraz jego oczu zaskoczył Evę; wyczytała w nich coś, czego nigdy sobie nie wyobrażała, i teraz starała się ukryć szok w potoku słów:

– Coś odkryłam, rozumie pan. Strasznie mnie to zdenerwowało. Wtedy jeszcze nie miałam o niczym pojęcia... byłam taka naiwna... – Splatała nerwowo palce, nie patrząc mu w oczy. – To były dla mnie kiedyś sprawy wielkiej wagi, więc miałam to ojcu za złe przez całe lata.

– A teraz?

– A teraz... – Westchnęła. – Teraz nie wydaje mi się to aż tak istotne. Ludzie popełniają błędy, prawda? Ja sama je popełniałam. – Pozbierała się na tyle, że mogła na niego spojrzeć. – To musiało być straszne, stracić ojca w taki sposób...

– Sekretu mojej rodziny nie dało się utrzymać. Po kilku dniach od śmierci ojca wiedziało o tym całe Buxton. Kilka dawnych przyjaciółek matki dotąd się do niej nie odzywa. Narzeczony starszej siostry zerwał zaręczyny. Żadna z moich sióstr nie wyszła za mąż. A ja mogę najwyżej starać się ograniczyć szkody – zapewnić im w miarę wygodne życie. Pani zaś, panno Evo, może pomóc ojcu odzyskać spokój. I spróbować pojednać go z bratem.

Wiedziała, oczywiście, dokąd pojechał James. Następnego dnia wróciła pociągiem do Londynu i udała się do Twickenham.

Dom Jamesa, zbudowany z czerwonej cegły, stał w rzędzie takich samych

nieopodal Tamizy. Przez mały frontowy ogródek prowadziła do drzwi ścieżka wysadzana późnymi bratkami; po kratce pięła się róża, na której zostało jeszcze parę kwiatków.

Drzwi otworzył James. Miał na sobie zarękawki i sztruksowe spodnie.

– Eva! – Ucałował ją serdecznie, po czym rzekł: – Nie wracam. Jeśli przyjechałaś mnie namawiać, to niestety, tracisz tylko czas.

– Ojciec jest chory.

– O Boże. – Zamknął oczy i oparł się o framugę. Na końcu korytarza ktoś się poruszył. Eva zobaczyła cień kobiety w fioletowej sukni i z dzieckiem na ręku. – Co się stało?

– Coś z sercem. Tak mówi doktor Hazeldene.

– Bardzo źle?

– Przy dobrej opiece i wypoczynku powinien wyzdrowieć.

Kobieta podeszła bliżej. Była drobna, jasnowłosa i ładna urodą szklanej figurki. Dziewczynka stanowiła jej miniaturę.

– James? – odezwała się, dotykając jego ramienia.

– Emily, to moja siostra Eva.

– Wejdzie pani dalej, panno Maclise? Przecież nie będziecie stali na progu w taki chłodny dzień. – Mówiła z miękkim londyńskim akcentem.

Przeszli do bawialni i Emily zaproponowała herbatę. Eva się zgodziła. James podążył do kuchni za żoną, skąd po chwili dobiegły ściszone głosy. Kiedy wrócił, Eva zaczęła go prosić:

– James, pojedź ze mną do Summerleigh! Chociaż na krótko, żebyś tylko pogodził się z ojcem...

– Przykro mi, nie mogę.

– Ale...

– Najpierw on musi mnie przeprosić.

– Wiesz, że tego nie zrobi. Ojciec nigdy nie przeprasza.

– W takim razie nie mogę z tobą jechać. – Miał zaciętą twarz. – Przykro mi, że źle się czuje. A jeszcze bardziej mi przykro, jeśli się do tego przyczyniłem. – Obejrzał się szybko, żeby sprawdzić, czy żona go nie słyszy. – Ale nie mogę wybaczyć tego, co mi powiedział, tego, jak nazwał Emily... nie mogę ci powtórzyć. I nawet Violet. Nie daruję mu tego, takich rzeczy nie da się zapomnieć. Nie potrafię znieść jego hipokryzji; jak może mnie krytykować, skoro sam związał się z tą... – Aż pobladł z gniewu. – Powiedział, że mnie wydziedziczy, wiesz o tym? Aidan będzie w siódmym niebie! Zawsze uważał, że stoję mu na przeszkodzie.

Po herbacie, kiedy Emily wyszła położyć Violet do łóżka, James odprowadził Evę na stację. Na peronie znów spróbowała:

– James, może chociaż napiszesz? Tylko parę słów...

– Nie, Evo.

Westchnęła.

– Ale pozwolisz, że powiem rodzinie o Emily i Violet. To przecież nasza bratowa i bratanica.

– Tak, oczywiście.

Oczy jej zwilgotniały.

– Nie mogę znieść, że wyjeżdżasz! Ta okropna wojna...

– Och, przecież długo potrwa, zanim zacznę się bić! – Uśmiechnął się szeroko. – Będę siedział w obozie i uczył się składać broń. Pewnie do tej pory wszystko się skończy.

Przeciągły gwizd i chmura białej pary obwieściły przybycie pociągu. Siedząc już w wagonie, Eva myślała o tym, jak strasznie skomplikowali sobie życie.

Kochamy niewłaściwe osoby, kłócimy się z nimi, obrażamy je, a potem duma nie pozwala nam cofnąć wypowiedzianych słów... A poza tym miłość dopada nas w najdziwniejszych miejscach. W zatłoczonym music-hallu, na nabrzeżu kanału...

Jak bardzo się wszyscy mylili co do pana Foleya, uważając go za mruka i nudziarza! A tymczasem ukryte pod tą sztywną powłoką serce wciąż jeszcze nie wyleczyło ran otrzymanych w przeszłości. Eva zastanawiała się, czy fakt, iż ten człowiek ją kocha, ma dla niej jakieś znaczenie, i doszła do wniosku, że nie. Prawdopodobnie pan Foley nigdy nie odważy się na wyznanie, a poza tym w tej chwili potrzebowała raczej przyjaciela. Owszem, jej tak ceniona dawniej niezależność zachwiała się nieco ostatnio i przyjemnie byłoby na kimś się wesprzeć...

Marianne starała się z każdym dniem chodzić nieco dalej. Najpierw jedno okrążenie ogrodu, potem dwa i trzy – z George'em w ramionach i Amą drepzącą drobnymi stópkami z tyłu. Chociaż już nigdy nie słyszała głosu Arthura tak wyraźnie, jak tamtego ranka w ogrodzie, wyczuwała czasem jego obecność.

Zmusiła się do jedzenia. Łykała po kolei ryż, mięso, jarzyny, nie zważając na to, że żołądek podchodził jej do gardła. Spódnice i bluzki nie wisiały już na niej tak luźno, a włosy zaczynały odrastać. Nie brała tabletek nasennych, które zapisał jej doktor Scott. Umysł miała jaśniejszy i rzadko zdarzały się jej koszmarne sny. Mimo to trzymała tabletki z tyłu szuflady po prostu na wszelki wypadek.

Wiedziała już, że bez względu na konsekwencje, musi opuścić Blackwater. Musi zabrać George'a od Lucasa, bo jeśli tego nie zrobi, Lucas zdemoralizuje chłopca tak samo, jak kiedyś ojciec zdemoralizował jego samego. Wieczorami, po powrocie z pracy lubił dawać synkowi łyżeczek wina. Patrzył potem z rozbawieniem, jak lekko zamroczony malec chwieje się na nóżkach i okłada Amę piąstkami. „Och, o co ten szum, pozwól mu pokazać trochę charakteru – mówił, kiedy dziewczyna obsypywała dziecko przekleństwami. – Nie chcę żeby wyrósł na fajtlapę, jak jego matka”.

Serce jej pękało na widok tego, co działo się z jej synkiem. George czasem stawał okoniem, lubił postawić na swoim; Lucas śmiał się z jego krnąbrności wobec Amy, podpuszczał go i zachęcał do coraz większego nieposłuszeństwa. Kiedy indziej tracił do malca cierpliwość, dawał mu klapsy, zamykał w pokoju. Dziecko, traktowane na przemian zbyt pobłaźliwie albo zbyt surowo, to milkło i zamykało się w sobie, to znów urządziło awantury.

Marianne wiedziała, że jeśli zostaną w Blackwater, George będzie musiał przywyknąć do pewnych rzeczy. Do tego, że kiedy ojciec siedzi na werandzie, Ama oplata mu szyję swym szczupłym ramieniem i pieści go czerwonymi wargami. Do tego, że kiedy

Lucasowi się to znudzi, po prostu szorstko ją odpycha. Pewnego dnia Ama znudzi mu się na dobre, tak jak kiedyś Parvati i jej poprzedniczki. Marianne podejrzewała, że dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę i to dlatego tak pilnie liczy swoje złote bransoletki.

Rozumiała, jaki los czeka jej ukochanego synka. Jeszcze parę lat, a słodki, wrażliwy chłopczyk zniknie, zastąpi go cyniczny, pozbawiony skrupułów młody człowiek. Wtedy już nie da się go uratować. Często musiała tłumić gniew, zachowywać pozory niewolniczej uległości, co budziło w Lucasie pogardę i poczucie triumfu. To, że nie uważał jej za groźną, było jedyną bronią Marianne. Nocą w swoim pokoju zaciskała pięści, wyobrażając sobie, jak wbija mu paznokcie w twarz albo wyrывa szklanekę z winem, którym poił George'a, i rozbija ją o ziemię. A także wiele znacznie gorszych rzeczy.

Czuła, że znów się zmienia, staje się chłodniejsza, twardsza, mniej wrażliwa. Pragnęła już tylko jednego: zapewnić dziecku ochronę. Zmusiła się do spojrzenia wstecz i zastanowienia, dlaczego próba ucieczki się nie powiodła. To oczywiste, że stajenny odmówił jazdy na stację – wszyscy służący drżeli przed Lucasem. No i oczywiście pani Rawlinson musiała ją przywieźć do Blackwater. „My tu trzymamy się razem. To kwestia przetrwania”, to jej słowa. „My” – czyli Rawlinsonowie, Lucas i reszta urodzonej na Cejlonie społeczności brytyjskiej, w której ona, Marianne, była outsiderką.

Teraz widziała jasno: nigdy nie wyrwie się stąd, jeśli będzie szukała wsparcia u innych. Musi sama walczyć o przetrwanie, a potem już do końca życia sama sobie radzić. Wtedy nie umiała nawet opiekować się dzieckiem, musiała pytać Rani, w co je ubrać albo jakie jedzenie zabrać na drogę.

Znowu zaczęła sporządzać spisy. Rzeczy dla George'a: jedzenie i picie, ubranka na zmianę, kapelusik od słońca, ulubiona zabawka. Kiedy nikt nie widział, zabrała suszącą się na krzaku kurteczkę oraz porzucony na werandzie kapelusik i ukryła je pod swoim materacem. Obserwowała Amę tak samo pilnie, jak Ama ją, przyswajając sobie rozkład dnia George'a. Miał już dwa lata i w ciągu dnia nie potrzebował pieluch; karząca ręka niańki błyskawicznie reagowała na incydenty. Niedługo, uznała Marianne, George będzie w stanie przejść pieszo przynajmniej część górskiej ścieżki. Zachęcała go do jak największej aktywności, aby nabierał sił. Myśl o tym, jak będzie z nim szła (biała kobieta z dzieckiem!) długim, krętym szlakiem z Blackwater do miasta, budząc zainteresowanie i prowokując komentarze, martwiła Marianne, ale czyż miała inne wyjście? Najchętniej opuściłaby posiadłość nocą, jednak w dzieciennym pokoju sypiała Ama. Nawet gdyby udało się zabrać dziecko, kiedy niańka będzie u Lucasa, dziewczyna zaraz po powrocie wszczęłaby alarm. A wtedy Marianne nie zdąży dotrzeć do stacji, gdyż mąż ją dogoni.

Czego potrzebowała? Oczywiście, pieniędzy. Jedyną wartościową rzeczą, jaką wciąż miała, był zaręczynowy pierścionek od Arthura; decyzję o jego sprzedaży podjęła szybko i bez zbędnych emocji, tylko komu mogłaby zaufać w tej sprawie? Przebiegła myślą listę znajomych. Doktor Scott i Ralph Armitage należeli do kręgu Lucasa. Anne Rawlinson już raz ją zdradziła. Pozostawali zarządcy – panowie Cooper i Salter. Pan Cooper był leniwy i mało inteligentny, zawsze wybierał najkrótszą drogę do celu. Salter... kiedyś Marianne myślała, że ma do niej słabość.

Zaczęła mu się pilniej przyglądać. Nie uszło jej uwagi, że ostatnio często spędzał

wieczory samotnie, w swoim bungalowie, zamiast – jak dawniej – pić z Lucasem w Blackwater. Domyśliła się, że jej mąż, który tyranizował swoich ludzi na plantacji tak samo, jak domowników, obraził pana Saltera o jeden raz za dużo i ten się od niego odwrócił, podobnie jak wielu innych.

Do bungalowu zaglądali także wędrowni handlarze – domokrażcy, oferujący jedwab i koronki. A pan da Silva co miesiąc przyjeżdżał do wytwórni po herbatę, którą transportował na kolej wozami zaprzężonymi w woły. Za każdym razem przywoził Marianne bukiet, a George'owi słodycze. Widziała, jak kiwał głową siedzącej na werandzie Amie, a potem przyglądał się uważnie Marianne dobrotliwymi, bursztynowymi oczami.

– Bardzo pani wyszczupłała, pani Melrose – rzekł. – Następnym razem przywiozę pani wielki tort, a pani musi mi obiecać, że go zje co do okruszynki.

Wyliczyła, że na dojście z dzieckiem do stacji potrzebuje co najmniej dwóch godzin. Najtrudniej będzie znaleźć taką porę, żeby ani Lucas, ani Ama nie zauważyli ich zniknięcia. Oczywiście Lucas większość dnia spędzał na plantacji, lecz Ama na ogół nie odstępowała George'a.

Wreszcie przyszyły jej na myśl tamilskie święta, przypadające o każdej pełni księżyca. Praca na plantacji wówczas ustawała, a kulisi tańczyli i śpiewali, składając ofiary swoim bogom. W te dni Lucas pił, ostatnio nawet do utraty przytomności.

Zaczęła chodzić z George'em na popołudniowe spacerunki w stronę bungalowu pana Saltera. Ama z pochmurną miną wlokła się za nimi, zła, że w najgorętszą porę dnia odciąga się ją od ulubionego miejsca na werandzie. Pan Salter machał im ręką z ogrodu; Marianne zauważyła, jak przenosi wzrok z niej na drobną sylwetkę wspinającej się na wzgórze Amy.

Raz i drugi, podczas niedzielnych przechadzek, Marianne przystanęła, by pogawędzić trochę z panem Salterem. Ama trzymała się w odległości kilku kroków, stojąc pod osłoną parasolki.

– Rzadko jakoś widzimy pana ostatnio w bungalowie, panie Salter. – Znów zauważyła, że wciąż spogląda na Amę, wyraźnie zafascynowany jej urodą.

– Być może pod koniec tego roku wrócę do kraju, pani Melrose – wyznał, ocierając czoło. Marianne poczuła przyływ niepokoju. – To miejsce... Jakoś nie udało mi się przywyknąć do tego klimatu. Po prostu nie mogę... Wolę chłód. Czy wyobraża sobie pani, że mogłaby zatęsknić za zimą w Edynburgu?

Raz nazrywał im kwiatów ze swego ogrodu. Gałązkę bugenwilli dla Marianne, a dla Amy lilie – białe kielichy obsypane złotym pyłem. Marianne zauważyła kropelki potu nad jego wargą, kiedy przypadkiem musnął dłoń Amy. I kokieterijny uśmiešek w kącikach pełnych, czerwonych warg dziewczyny.

– Będzie nam tu pana brakowało – powiedziała Marianne, dziękując mu za kwiaty. – Bez pana w bungalowie jest nudno. Biednej Amie dni okropnie się dłużą. Pewnie brakuje jej miasta i sklepów. Tak lubi ładne rzeczy.

Liczyła dni do powrotu pana da Silvy. Dotrzymał obietnicy – przywiózł jej lukrowane ciasto. Marianne szybko obejrzała się, czy nikt nie widzi, i wsunęła mu do ręki pierścionek z brylantem.

– Proszę mi to sprzedać, panie da Silva – szepnęła. – Bardzo proszę. A jeśli...

W holu ukazała się Ama z George'em na rękę. Marianne wydało się, że zaraz się udusi od łomotu serca, ale pan da Silva odrzekł, jak gdyby nigdy nic:

– Następnym razem postaram się o coś dla dziecka, pani Melrose. Coś ładnego. Nikt się nie dowie, to będzie nasz sekret.

I odszedł. Klęcząc przy rabatce, Marianne zaczęła na oślep wyrywać chwasty.

– Musiałam, Arthurze – szepnęła. – Ty to rozumiesz, prawda? Musiałam...

Po rozstaniu z Ashem Iris przez trzy miesiące podróżowała po Francji z Charlotte, po czym wróciła do Summerleigh. Zaraz po wybuchu wojny wyjechała do Londynu i została pielęgniarką w szpitalu wojskowym. Przez cały ten czas była świadoma tkwiącego w niej niezadowolenia, co przeważnie objawiało się brakiem jakichkolwiek uczuć. Chociaż jej rozum doceniał piękno francuskich miast i zamków, w głębi serca czuła się znużona całym tym wybujałym przepychem. Ów stan wewnętrznego odrętwienia sprawił, że tym łatwiej podjęła wymuszoną przez wojnę decyzję powrotu do szpitalnej rutyny i rygorów.

Pewnego wieczoru spotkała się z Evą w Lyons Corner House na Strandzie. Płatki śniegu przywierały do okien, osuwając się w dół po szkle. Iris, która cały dzień spędziła na oddziale, zamówiła herbatę, tosty i muffinki. Czekając na jedzenie, opowiadała Evie o szpitalu.

– Mam nadzieję, że nigdy nie zostanę oddziałową. One są takie dziwne... Na przykład, siostra Leach upiera się, żeby stelaże łóżek odkurzać trzy razy dziennie. Rozumiem znaczenie czystości, ale trzy razy? – Nagle przyjrzała się bacznie Evie. – No co jest? Mów!

– O czym?

– O tym, co cię gryzie. – Eva zawsze była łatwa do rozszyfrowania. – Ojciec?

– Z ojcem jest lepiej, nawet wrócił do pracy. Ale się zmienił.

– Zawsze był bardzo silny, więc każdą chorobę odczuwa jak cios. W takim razie pewnie martwisz się o Jamesa? Albo o jego rodzinę? – Dziwnie zabrzmiało to ostatnie zdanie. Iris wciąż nie umiała myśleć o Jamesie jako o mężu i ojcu.

– Emily i Violet czują się dobrze. Parę dni temu byłam u nich na kolacji. A od Jamesa dostałam kartkę, wydaje się, że i u niego wszystko w porządku. – Przyniesiono herbatę i Iris zajęła się nalewaniem. – Chodzi o Marianne.

– Mieliście jakieś wiadomości?

– Parę dni temu dostałam od niej list. I coś jest nie w porządku, Iris, ja to wiem. Jakoś to dziwnie wygląda.

– Dziwnie?

– To po prostu nie jest styl naszej Marianne. Jakby było jej wszystko jedno, do kogo pisze. Ona taka nie jest, zawsze okazywała tyle troski, nawet zbyt mocno odczuwała pewne rzeczy.

– Po śmierci Arthura nigdy nie była już taka sama – zauważyła Iris. – Nie możesz się spodziewać, że po takim przeżyciu nic się nie zmieni.

– Tak, oczywiście. Ale potem głębiej wczytałam się w to... – Eva wyjęła z torebki plik kartek. – Clemency też pokazała mi swoje listy od Marianne. I wiesz co? W nich nie ma nic konkretnego. Same głupstwa – o George’u, ogrodzie, uwagi na temat pogody, nic naprawdę ważnego. Ani słowa o niej samej, jak się czuje, czy jest szczęśliwa...

– Czego ty się obawiasz?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Wspomniawszy pośpieszny ślub siostry, Iris zaniepokoiła się także.

– Może to małżeństwo nie jest szczęśliwe. Marianne zawsze miała swoje zdanie, a teraz nie chce się przyznać do błędu.

– Oczywiście w tej chwili nie możemy nic zrobić. Ta paskudna wojna... – Eva zmarszczyła brwi nad swoją herbatą. – Nie mogę tego znieść. Wszystko jest nie tak. Chociaż wciąż sobie powtarzam, że piękno jest podczas wojny jeszcze ważniejsze niż zwykle, moja praca w galerii wydaje się trywialna i egoistyczna. Złości mnie to, bo przecież dawniej sztuka była dla mnie wszystkim. Dlatego pomyślałam, że zostanę pielęgniarką, jak ty, Iris... tylko nie waz się śmiać! Pojadę do matki i skończę ten jej kurs pierwszej pomocy. Ale skoro mdleję na widok nawet fałszywej krwi, to co będzie, kiedy zobaczę prawdziwą? – Potarła ze złością zapałkę o pudełko i zapaliła papierosa. – No więc wracam do domu.

– Evo!

– Wiem. – Machnęła papierosem. – To będzie nie do zniesienia, znenawidzę to życie... Już po tygodniu zatęsknię za Londynem. Zawsze byłam taka dumna ze swojej niezależności, z tego że zarabiam na siebie... Patrzyłam na ciebie z góry, bo zdawało mi się, że w głowie ci tylko kiecki i kapelusze, na Marianne – bo wyszła za męża, na Clem – bo została w domu. A teraz to ja jestem bezużyteczna. Przez tę okropną wojnę wszystko stanęło na głowie.

– Co chcesz robić?

Eva westchnęła.

– Chyba zacznę pomagać ojcu w fabryce. Mogę pisać na maszynie listy i rachunki, załatwiać telefony. Nauczyłam się tego wszystkiego u Lydii, a potem kontynuowałam u Pauli. Jamesa nie ma, ojciec jeszcze nie doszedł do siebie, więc na pewno się przydam. – Zmusiła się do uśmiechu. – Mimo wszystko trudno zapomnieć o własnej dumie i wrócić na łono rodziny po latach samodzielnego życia...

– W tym akurat nikt z nas nie jest dobry.

– No tak. – Eva wypuściła smugę dymu. – Jest coś jeszcze. Widziałam Asha.

Iris serce podskoczyło do gardła, ale odparła chłodno:

– Naprawdę? Mam nadzieję, że wszystko u niego w porządku.

– W idealnym. Chciałby się z tobą spotkać.

Iris odwróciła wzrok.

– To chyba kiepski pomysł.

– Wiesz, on się wcale nie ożenił.

Zapadła cisza, podczas której Iris próbowała przewyciężyć szok.

– Dla mnie to raczej bez różnicy – odezwała się po chwili.

– Ash nie powiedział mi, co się wydarzyło, a ja nie pytałam. Ale chyba nie jest tak,

jak przypuszczałaś.

Gonitwa myśli. Złość, żal, niechęć. I mimo wszystko – niemile widziana – iskierka nadziei. Niemile – gdyż nadzieja przynosi tylko człowiekowi rozczarowanie i ból.

– Iris, Ash chce się z tobą zobaczyć. Mam cię o to poprosić w jego imieniu.

– Nie mogę.

– Oczywiście, że możesz.

– Ty nic nie rozumiesz.

– Ależ rozumiem! Ty i Ash zraniliście się nawzajem. Ale przecież możesz być jeszcze szczęśliwa, jeśli zechcesz. Jeśli potrafisz wybaczyć.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Kiedy pomyślę o ojcu i Jamesie... kiedy widzę, jak bardzo ich unieszczęśliwia to, że nie umięją sobie wybaczyć... – Eva pochyliła się przez stół. – Przecież to proste: wy się kochacie.

– Ba! Gdyby tylko...

– Tak, tak, on cię kocha! Ja naprawdę znam się trochę na miłości, wiem, jak to jest. A miłość Asha widać nawet w tym, jak o tobie mówi. – W oczach Evy ukazały się łzy.

Iris milczała przez chwilę.

– Kim on był? – spytała. – Mężczyzna, którego kochałaś? Zawsze się zastanawiałam, czy kiedyś zechcesz mi powiedzieć...

Eva uśmiechnęła się przez łzy.

– To artysta, dość sławny malarz. Ma żonę i dzieci. Próbowалаm go nie pokochać, ale to się okazało silniejsze ode mnie. Wszystko, przed czym nas zawsze ostrzegano... no dobrze, zrobiłam to. A odkąd się z nim rozstałam, czuję się tak, jakby mnie przecięto na pół. – I patrząc w stół, dodała cicho: – Ale nie żałuję, nie mogę tego żałować, chociaż wiem, że to było złe, i chociaż tak bardzo mnie zranił. Nadal pisuję do jego żony. On jest teraz we Francji. Nie chciał walczyć na froncie, więc został noszowym. – Spojrzała Iris w oczy. – Czasem, bez względu na to, jak bardzo kogoś kochasz, wiesz, że nigdy nie będziesz szczęśliwa. Ale wy macie jeszcze szansę. Iris, byłabyś naprawdę głupia, gdybyś ją zmarnowała.

W zimny wieczór, na marznącym deszczu Ash czekał na nią przed szpitalem. Iris zauważyła go pierwsza i przystanęła na chwilę, sprawdzając swój wygląd. Ash się zmienił: miał krótko ostrzyżone włosy, nosił mundur khaki. Eva uprzedziła ją o tym.

Nagle odwrócił się i ją zobaczył. Nastąpił niezręczny moment, kiedy żadne z nich nie wiedziało, czy powinni się pocałować. Iris szybko powiedziała:

– O Boże, przełożona się gapi. Pocałuj mnie, Ash, ale tak po bratersku, powiedziałam jej, że ty to James. Ona jest ślepa jak kret, a wy obaj macie jasne włosy. Potem możesz odprowadzić mnie do domu.

Musnął wargami jej policzek, a ona – z ulgą? A może z żalem? – przekonała się, że nic nie czuje. Odeszli trochę od szpitala. Iris dotknęła jego rękawa.

– Nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie jako żołnierza.

Uśmiechnął się smętnie.

– Ja także nie. – Wzruszył ramionami. – Ale uznałem, że to mój obowiązek. Tylu moich znajomych z East Endu poszło do wojska! Rozumiesz: wojsko karmi cię i ubiera. A ponieważ to moja paczka kieruje tym cyrkiem, postanowiłem się przyłączyć.

Wiedziała, kogo miał na myśli, mówiąc o „swojej paczce”. Tych, którzy byli w Korpusie Szkolenia Oficerów, wykształconych w prywatnych szkołach, ludzi wdrożonych i przeznaczonych do dowodzenia.

– A ty, Iris? Z powrotem w szpitalu. Kiedyś powiedziałaś, że już nigdy...

– To czysty koszmar. – Westchnęła. – Znów te despotyczne siostry i ich śmieszne zasady... Chociaż panowie na moim oddziale są bardzo mili. Niektórzy tacy młodzi... Czasem czuję się tak, jakbym była ich matką.

– W moim batalionie są zaledwie szesnasto- i siedemnastoletni chłopcy. Podali fałszywy wiek, żeby móc się zaciągnąć.

– Gdzie stacjonujesz, Ash?

– Wciąż jestem w obozie szkoleniowym dla ochotników.

– James także. – Pomyślała o rannych na swoim oddziale. – I dzięki Bogu.

Przez ścieżkę przemknął czarny kot; z pubu wysypało się z pół tuzina żołnierzy.

– Miło, że zechciałaś się ze mną zobaczyć.

– Podobno się nie ożeniłeś – palnęła prosto z mostu Iris.

– Nie.

– Dlaczego?

– Okazało się, że to pomyłka.

– A dziecko?

– Dziecko było. – Zachmurzył się. – Tylko nie moje.

Jak bardzo Thelma Voss musiała go pragnąć, że zdobyła się na taką starą jak świat sztuczkę!

– Kochałeś ją?

– Lubilem. I podziwiałem, ale nie kochałem.

– Jednak poszedłeś z nią do łóżka?

– Tak.

– A... mnie kochałeś?

– Tak.

– Więc nie rozumiem, dlaczego poszedłeś do łóżka z Thelmą.

Odpowiedział dopiero po chwili:

– Nie bardzo wiem, jak zacząć. Przeprosiny wydają mi się zdecydowanie nieodpowiednie. Nawet tłumaczenie się... to byłaby bezczelność zakładać, że cię to w ogóle obchodzi.

– Zaspokój moją ciekawość.

Przystanął w nikłym świetle latarni.

– Poszedłem z Thelmą do łóżka, ponieważ czułem się samotny. Bo w tym czasie myślałem, że mnie nie kochasz. Bo byłem na ciebie zły. I jeszcze dlatego, że Thelma akurat przyszła, a ty nie.

No widzisz, pomyślała. To wcale nie boli. Cały czas szła, gadała, nawet zmusiła się do uśmiechu.

– Nigdy nie mogliśmy zgrać się w czasie, prawda? Nigdy nie czuliśmy do siebie jednocześnie tego samego.

– Albo raczej nie umieliśmy przyznać, że czujemy to samo.

Wyczuła, że na nią patrzy, i odwróciła wzrok.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? – Znów dotknęła jego rękawa w kolorze khaki. – Czy to z tego powodu?

– W pewnym stopniu tak. Ale nie po to, żeby wzbudzić w tobie współczucie. „Żegnaj Dolly, muszę jechać” i tak dalej. Po prostu mam potrzebę uporządkowania pewnych spraw. Żeby nie zostawiać niedopowiedzeń.

Mijali właśnie kafejkę.

– Może byś coś zjadła?

– Raczej nie. Ale kawy chętnie się napiję.

Weszli do środka. W ciepłym powietrzu pachniało mokrymi ręcznikami i parującym puddingiem. Jeden stół obsiadły fabryczne dziewczęta w chustkach na głowach i fartuchach. Strzelały oczami do paru żołnierzy w drugim końcu sali.

– Dawniej myślałam, że jesteś taki dobry! Chętny do pomocy, hojny... wszyscy cię lubili. A także mądry – te wszystkie książki, które przeczytałeś! Uważałam cię za znacznie lepszego ode mnie. Ja nigdy nie byłam dobra i może dlatego zostałam pielęgniarką. Chciałam udowodnić, że ci dorównuję.

– Może to wcale nie była dobroć. Może chodziło o wypełnienie czasu. Albo o to, żeby nie dopuścić nikogo zbyt blisko siebie.

– Może. Ale pchnąłeś moje życie na nowe tory, Ash, bez względu na swoje zamiary. I przypuszczam... przypuszczam, że przyszedłeś tu, by mnie zapytać, czy nadal mogłabym cię kochać. Uczciwa odpowiedź na to brzmi: „Nie wiem”. Naprawdę nie wiem. Wiem tylko tyle, że nawet gdybym mogła, to już nie będzie tak samo, jak przedtem.

Pochylił głowę, przyjmując do wiadomości jej słowa. Nagle rzekł:

– Nawet w tej chwili, oglądając się wstecz, nie mógłbym powiedzieć, kiedy zacząłem cię kochać. Czy to się stało w Sheffield czy w Londynie? A może wtedy, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz, na rowerze. Po prostu nie wiem. Więc pewnie, mimo wszystko, nie jestem taki bystry. Ale tak naprawdę, to chciałem ci powiedzieć, że bez względu na to, co zrobiłem i jak to może wyglądać, Kocham cię, Iris, i wiem, że nigdy nie przestanę.

No proszę. A ona nie płacze – ani z radości, ani z żalu. I nic ją to nie boli. Ale dłonie zaciskała bezwiednie tak mocno, że po rozprostowaniu palców zostały jej czerwone półksiężycy po wbitych paznokciach.

– Był jeszcze inny powód do spotkania z tobą – ciągnął Ash. – Nie mam zbyt wielu znajomych, do których mógłbym pisywać. I którzy pisywaliby do mnie. Nie mam rodziców, rodzeństwa, kuzynów, a większość przyjaciół jest w wojsku. I kiedy pomyślę, że wyślą mnie do Francji czy gdzieś... to może być... smutne. Więc ponieważ jesteś moją najdroższą przyjaciółką, pytam: czy mogę czasem do ciebie napisać?

Iris wahała się tylko przez moment – i już wiedziała, co odpowiedzieć. Bo uświadomiła sobie, że jej urodziwy, silny, wspaniałomyślny Ash może skończyć tak, jak ci biedacy na oddziale. A to byłoby straszne.

– Oczywiście, że możesz.

Rozdział piętnasty

Pieniądze za pierścionek Marianne schowała za obluzowaną listwą przypodłogową w sypialni. Włożyła je do blaszanego pudełka po tytoniu dla ochrony przed insektami czy myszami. Przechodząc w niedzielę obok bungalowu pana Saltera, znowu podkreśliła w rozmowie samotność Amy, jej znudzenie oraz upodobanie do ładnych przedmiotów. Kiedy później zauważyła na jej przegubach i kostkach nowe bransoletki (dziewczyna zdjęła je przed powrotem Lucasa), poczuła prawdziwy triumf.

Każdego dnia odbywała długie spacerunki wokół ogrodu, a także po czerwonych ścieżkach posiadłości. Powtarzała sobie, że musi nabrać siły, aby marsz do miasteczka jej nie zmęczył i mogła potem podjąć trudy dalekiej podróży. Chomikowała, co tylko mogło się jej przydać – koszyk z liści palmowych, butelkę, nóż, zapalniczki. Nie miała żadnych skrupułów, kiedy posądzano o kradzież tych przedmiotów kogoś ze służby. Studiowała mapy i rozkłady jazdy, w małej domowej bibliotece wynajdywała potrzebne książki: podręcznik o pielęgnacji dzieci (żeby umiała zająć się George'em, kiedy to na niej spocznie odpowiedzialność za jego życie i zdrowie), broszurkę, przywiezioną zapewne przez jednego z przodków Lucasa, z różnymi przydatnymi wskazówkami, na przykład, jak rozpalić ogień czy rozpoznać niebezpiecznego węża. Czytała to wszystko pilnie, ucząc się potrzebnych fragmentów na pamięć.

Oczywiście, ukrywała te przygotowania przed Lucasem, jednak od czasu do czasu czuła na sobie jego podejrzliwy wzrok. Raz, kiedy mijała go na werandzie, chwycił ją za rękę.

– Wyglądasz na zadowoloną z siebie, moja droga żono. Zupełnie jak kot nad miską śmietany – zauważył, wbijając jej kciuk w zagłębienie dłoni, tak że z trudem powstrzymała się od krzyku. – Co ty knujesz? Cokolwiek to jest, wiedz, że ze mną nie wygrasz.

Pojechali z Rawlinsonami na piknik. Trasa wiodła przez mahoniowy gaj, wokół brzęczały pszczoły, a nad polaną unosiły się tysiące białych motyli niczym płatki kwiatów. Łąka rozciągała się aż do sterczącego nad doliną cypla. Marianne patrzyła z góry na szachownicę srebrnych i zielonych poletek oraz jezioro.

– Czy to prawda, że dawno temu jakaś dziewczyna popełniła tu samobójstwo? – zapytała panią Rawlinson, podchodząc przez trawę do przepaści.

– A tak, rzuciła się z klifu. Z miłości czy z powodu innego głupstwa... – Górskie echo powtórzyło tę upiorną odpowiedź.

Tego wieczoru Marianne była w letnim pawilonie na skraju ogrodu. Stała na ganku, obserwując zachód słońca, kiedy usłyszała kroki. Obróciła się szybko.

– Co za widok – odezwał się cicho Lucas, stając za jej plecami. – Mój dziadek właśnie dlatego wybrał to miejsce na dom. Przy dobrej widoczności można stąd zobaczyć morze.

Poczuła jego rozcapierzone palce na ramieniu.

– Ale to daleka droga – dodał.

Cynobrowozłote promienie oświetlały pasma wzgórz. Koniuszki palców Lucasa przypominały małe szpileczki naładowane elektrycznością. Wzmocnił nieco ucisk i Marianne zachwiała się na nogach. Wydało się jej, że dno doliny drga.

– Jaką wzruszającą historię opowiedziała nam dziś pani Rawlinson – zamruczał jej do ucha Lucas. – Umrzeć z miłości... Myślałaś kiedyś o tym?

Obróciła się na pięcie.

– Co chcesz zrobić? – syknęła. – Zabijesz mnie?

– Nie rób komedii. Nie ma takiej potrzeby. Chciałem cię tylko ostrzec...

– Ostrzec?

– Żebyś była ostrożna. Bardzo, bardzo ostrożna. I posłuszna.

– A jeśli nie?

– Na pewno będziesz. W końcu stawka jest dość wysoka. A poza tym, ty z natury jesteś uległa, czyż nie? Dlatego cię wybrałem. Wiedziałem, że nie sprawisz mi zbyt wiele kłopotu.

Zdjął rękę z jej ramienia; odchodził już, kiedy Marianne zauważyła cierpko:

– Jacy wy, mężczyźni, jesteście głupi. I jacy naiwni!

Zastygł w pół kroku.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sądzicie z pozorów. Brak sił fizycznych oznacza dla was brak wszelkiej siły. – Podeszła do niego bliżej. – Uważasz mnie za słabą, Lucasie? Straciłam jedyne go człowieka, którego kochałam. Opuściłam rodzinę i pojechałam na drugi koniec świata. Urodziłam dziecko. Przetrwałam to wszystko, a ty mnie uważasz za słabą? – Pokręciła wolno głową. – Mylisz się, Lucasie. To ty jesteś słaby.

Zaśmiał się krótko.

– Ja?

– Dla ciebie miłość to oznaka słabości.

– Bo tak jest.

– A jednak George'a kochasz. Widzę to w twoich oczach. Na swój dziwny, pokrętny sposób kochasz naszego syna. Mógłbyś go skrzywdzić, ale mimo wszystko bardzo wiele dla ciebie znaczy. Tylko nie potrafisz się do tego przyznać. Nie znasz samego siebie. To właśnie jest słabość.

– Co za głupstwa wygadujesz, Marianne. – Dostrzegła jednak w jego oczach błysk niepewności. – Miłość nie ma tu nic do rzeczy.

– Mówiłam ci, że do siebie pasujemy. Ty ożeniłeś się ze mną dla pieniędzy, ja wyszłam za ciebie, bo chciałam mieć dziecko. No i mam.

Wykrzywił usta w szyderym uśmiechu.

– O tak, jesteś twardą, kłamliwą suką, nie mam co do tego wątpliwości. Jak wszystkie kobiety. Już dawno się o tym przekonałem.

– Jeśli jestem taka, jak mówisz, to z twojego powodu. – Zacisnęła dłonie w pięści.

– Zrozum, Lucasie, że zrobię wszystko, by ochronić George'a. Będę dla niego kłamać i kraść. Jestem gotowa nawet zabić.

Był już na ścieżce do ogrodu, ale jeszcze się odwrócił.

– Ja także, Marianne – odparł, parszkając śmiechem. – Ja także.

Pierwszą osobą, o której śmierci na wojnie dowiedziała się Eva, był wnuk pani Bradwell, kucharki z Summerleigh. Pamiętała go – mały chłopiec, młodszy od niej o kilka lat, przychodził do kuchni. Miał zadarty nos i piegi, a pani Bradwell krzyczała na niego za wtykanie palca do miski z puddingiem. Teraz Norman Bradwell nie żył, zginął w drugiej bitwie pod Ypres w kwietniu 1915 roku, zaledwie dwa dni przed dziewiętnastymi urodzinami. Eva później pomyślała, że to tak, jakby wymazano jakąś część pani Bradwell, pozostawiając ją wyblakłą i zgaszoną.

Bała się zaglądać rano do gazet. Przebiegała szybko wzrokiem nagłówki, modląc się w duchu, by dzień minął bez jakiegoś nowego koszmaru. Czuła, że wojna nadciąga coraz bliżej i drżała z lęku, że następnym razem dotknie tych, których kochała najbardziej.

Tej wiosny wróciła do Summerleigh. Opuszczając londyńskie mieszkanie, po raz ostatni ogarnęła wzrokiem pokoje. Rzeczy już wcześniej wysłała do Sheffield, ale tego ranka, patrząc, jak słońce oblewa malowane przez nią ściany, jak błyszczą w jego promieniach podłoga, którą z takim mozolem polerowała, miała głębokie poczucie straty.

Tak jak się obawiała, początki w Summerleigh okazały się przykre. Po wielokroć żałowała swej decyzji opuszczenia Londynu. Matka nadal była nie do wytrzymania: jej ochotnicza praca przy organizacji kursów pierwszej pomocy i pielęgnacji chorych zdominowała Summerleigh w takim samym stopniu, jak poprzednio choroba. Pory posiłków zostały zmienione, a w ogołoconych z mebli pokojach doktor Hazeldene prowadził wykłady albo matka sama uczyła wolontariuszki bandażowania złamanych kończyn czy pielęgnowania gorączkujących chorych. Wieczorami Eva i Clemency robiły na drutach czapki i szaliki dla żołnierzy. Sama Lilian nie dziergała; spędzała czas na pisaniu listów i kreśleniu tabelk.

Mimo że wojna trwała nadal, dawało się stopniowo odczuć rozluźnienie pewnych rygorów, które zawsze irytowały Evę. Tak wiele kobiet wstąpiło do ochotniczych organizacji wspomagających trudy wojenne, że przyzwoitki straciły rację bytu. Niezamężne panie z dobrych rodzin coraz częściej podróżowały samodzielnie i nie musiały już spędzać popołudni na grze w tenisa czy brydża. Przeciwnie, zachęcano je do pracy w szpitalach, w Ochotniczej Rezerwie Kobiet czy Kobięcym Legionie¹¹.

Clemency zapisała się do Ochotniczej Rezerwy Kobiet. Pewnego ranka matka spojrzała na nią z roztargnieniem, jakby dopiero co przypomniała sobie o jej istnieniu, i zapytała: „Clemency, nie sądzisz, że powinnaś coś robić?”. I od tej chwili Clemency była wolna. Ostatnio mało ją widywali. Zapłaciła dwa funty za mundur khaki, nauczyła się pierwszej pomocy i musztry. Ponieważ umiała prowadzić samochód, poproszono ją, by została szoferem pani Coles, przewodniczącej miejscowego oddziału ORK, przedwojennej wojującej sufrażystki. Clemency woziła ją na wiece i inne imprezy połączone ze zbiórką pieniędzy zarówno w Sheffield, jak w dalszych rejonach. Pani Coles miała w ORK rangę oficera, należała też do komitetu Narodowego Funduszu Ulgi¹², który starał się złagodzić stres związany z szybko rosnącymi cenami żywności poprzez przydziały i wsparcie dla osób w ciężkiej sytuacji. Clemency piekła teraz ciastka na herbatki połączone z kwestą oraz wyszukiwała na strychu w Summerleigh zbędne

przedmioty do sprzedaży na kiermaszach.

Wojna przyniosła także zmiany w tradycyjnych branżach przemysłowych Sheffield. Wielu wykwalifikowanych robotników poszło do wojska, zostawiając puste miejsca przy warsztatach. Miejski batalion złożony z ochotników z uniwersytetu i wolnych zawodów opuścił w maju Sheffield, udając się do obozu dla rekrutów. Tak wiele koni pociągowych zarekwirowano na potrzeby frontu, że jeden z przedsiębiorców do transportu towaru w mieście używał słonia cyrkowego.

Ponieważ piły, pilniki i części maszyn rolniczych wytwarzane przez firmę J. Maclise & Sons cieszyły się podczas wojny coraz większym popytem, należało zwiększyć wydajność. Po powrocie do domu Eva przepowiedziała sobie w duchu wszystkie argumenty, a następnie powtórzyła je ojcu, przedstawiając swój zamiar pracy w rodzinnym interesie: odejście zdolnych ludzi na front, nieobecność Jamesa, zły stan zdrowia Joshuy. Ale oczekiwana batalia była tylko nikłym echem tego, co nastąpiłoby w dawnych czasach. Joshua poddał się z zadziwiającą łatwością. Z początku nalegał, aby pracowała w domu, rozszyfrowując jego notatki i przepisując je na maszynie, ale wkrótce przyznał niechętnie, że i w biurze mogłaby być użyteczna. W pierwszych dniach gapiono się na nią oczywiście i szeptano po kątach, ale w miarę upływu czasu zainteresowanie jej osobą słabło. Mimo wszystko, chociaż była kobietą, nosiła nazwisko Maclise.

Pod nieobecność Jamesa pan Foley przejął obowiązki Aidana, który teraz miał prowadzić nową placówkę przy Corporation Street. Eva natomiast objęła biuro po panu Foleyu. Oprowadził ją po wszystkich warsztatach – przetapialni, kuźni, kruszarni, obróbki drewna do uchwytów, pakowalni i magazynach. Objaśnił jej system ewidencji, który nie zmienił się od czasów jej dziadka. Eva prowadziła kartoteki, pisała na maszynie listy, wystawiała faktury, organizowała spotkania z hurtownikami i eksporterami, upominała się o zaległe płatności oraz niezrealizowane dostawy węgla i stali. Rozmawiała ze sprzedawcami i nabywcami, odbierała telefony, pilnowała, by ojciec miał zawsze zapas kawy i herbaty.

Czasem kręciło się jej w głowie. Tak bardzo różniło się tu wszystko od jej obowiązków w galerii czy wydawnictwie! Drażniły ją hałas, błoto, dym i pył węglowy. A jednak szybko okazało się, że znajduje w tej pracy przyjemność. Lubiła patrzeć na skrzynie pełne gotowych, owiniętych w papier pilników i pił, lubiła samotne wędrówki po przemysłowych dzielnicach Sheffield, kiedy musiała pilnie dostarczyć bratu jakieś dokumenty czy wiadomości. Zauważyła, że robotnicy lubili i szanowali ojca, natomiast bali się Aidana, który warsztaty przy Corporation Street traktował jak swoją prywatną własność. Zauważyła też z pewną przykrością, że Joshua nie miał już dość ducha, by narzucić młodszemu synowi swą wolę. Kiedy Aidan posłał na bruk kilkunastu robotników, gdyż rzekomo nie przykładali się do pracy – a byli to ludzie starzy i chronicznie chorzy po wielu latach pracy przy wytopie ołowiu czy w toksycznych oparach – Joshua protestował bez przekonania, jakby oczekiwał porażki. Kiedy Aidan zaczął robić oszczędności kosztem zakorzenionych w firmie zwyczajów i obciążeń tradycyjne premie, Joshua burknął tylko: „To wszystko przez Jamesa. Żeby tak mnie pograżać! Jak sobie teraz dam radę?”.

Uszła z niego jakaś iskra i Evie zimno się robiło, gdy widziała, jak bardzo brakuje

mu sił do walki o firmę, którą tak kochał. Choroba i niezażegnana kłótnia z Jamesem pozbawiły go sprężystości ruchów, nie miał już energii ani ducha; po raz pierwszy zaczął wyglądać jak starzec. Wchodząc do gabinetu, Eva przyłapywała czasem ojca na wpatrywaniu się w przestrzeń pustym wzrokiem.

Przymilnymi słowami próbowała namówić go do pojednania z Jamesem.

– On tęskni za tobą, ojcze. Wiem, że tak jest.

Prychnął tylko z pogardą.

– Gdyby tak było, to chyba by do mnie napisał? Ale nie dostałem jeszcze ani słowa.

Pisuje do was wszystkich, tylko nie do mnie!

– Gdybyś tylko powiedział, że żałujesz...

– Dlaczego miałbym się kajać? To on nas wszystkich oszukał. Mydlił nam oczy przez trzy i pół roku! Nie spodziewałem się, że jest zdolny do czegoś takiego! Jak syn może ukrywać taką rzecz przed ojcem?!

– Jedynym powodem było to, że bał się twojego gniewu.

– I bardzo słusznie – mruknął Joshua.

– Gdybyś tylko poznał Emily i Violet, ojcze, na pewno byś je pokochał.

– Nigdy! I nie życzę sobie, by wymawiano te imiona w moim domu, słyszysz?

Eva nie mogła znieść takiej zawziętości.

– Nie rozumiem, jak możesz być tak nierozsądny! – krzyknęła. – Przecież on się tylko ożenił, co w tym złego?

– Poślubił swoją kochanicę! – wrzasnął Joshua. – To czyste szaleństwo!

– Ale...

– Powiedziałem już swoje, moja panno, i nie chcę słyszeć ani słowa więcej! Mam dość, rozumiesz? – Spurpurowiał na twarzy; Eva nie ciągnęła już tematu.

Batalion Jamesa w połowie roku wysłano do Francji. Eva pojechała zobaczyć się z bratem na jego ostatniej przepustce. Poszli na spacer ścieżką wzdłuż rzeki – Violet biegła przodem, Emily próbowała za nią nadążyć. James obserwował je z tyłu z uśmiechem.

– Gdybyś napisał chociaż krótki liścik – zaczęła znowu Eva. – Tylko parę słów na odjeźdym...

– Nie. – Uśmiech zniknął. – Nie mogę.

– Ale wyjeżdżać z Anglii z niezakończonym sporem...

– Chcesz powiedzieć, że później już nie będzie szansy? – Spochmurniał. – Nie myśl, że nie przyszło mi to do głowy. Ale co mogę zrobić? Najwyżej żałować, że nie rozegrałem tego inaczej. Emily to najlepsze, co mnie w życiu spotkało. – Twarz mu pojaśniała. – Gdy ją pierwszy raz ujrzałem, siedziała parę krzeseł ode mnie w teatrze. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, nie miałem pojęcia, co działo się na scenie. – Obrócił się do niej twarzą. – Wyobrażasz sobie, co się wtedy czuje? Po prostu cały świat przestaje istnieć, jest tylko ta jedna osoba...

Nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Ostatnio starała się zapomnieć o Gabrielu. W pracy, podczas licznych zajęć, jakoś się jej udawało, ale w spokojnych chwilach wciąż jeszcze powracał w jej myśli.

Rzeką sunęły jaskrawo pomalowane barki; na dziobie jednej stał czarno-biały pies

i głośno czekał.

– Boisz się, James?

– Wyjazdu do Francji? Nie. – Violet rzuciła piłkę w krzaki obok ścieżki holowniczej; James odłamał patyk z czarnego bzu i rozgarnął zarośla, żeby ją wydostać. Kiedy wrócił do Evy, wyznał, zniżając głos: – Martwię się tylko o nie. Emily mówi, że chyba spodziewa się drugiego dziecka. Przy Violet bardzo się namęczyła i boję się, co będzie teraz. Zaopiekujesz się nimi, Evo?

– Oczywiście. – Ścisnęła go za rękę.

– Może wojna się skończy, nim dziecko się urodzi? Może to będzie chłopiec? Tak chciałbym mieć syna!

– Jakie to miłe – zauważyła Clemency – dowiedzieć się, że mamy bratową i bratanicę! A Violet jest wprost słodka.

Iris pokiwała z roztargnieniem głową. Siedziały w Gorringe's; Clemency rano odwiozła panią Coles na spotkanie w Londynie, a że Iris akurat miała wolny dzień, udało im się wyskoczyć na herbatę.

– No popatrz, jest nas siedmioro – ciągnęła Clemency – a oprócz Jamesa, o którym dotąd nie wiedzieliśmy, tylko jedna z nas wzięła ślub. I nawet nie znamy naszego jedyne go siostrzeńca. Czasem myślę, że jesteśmy bezpłodni, czy co? Ciekawe, czemu tak się ułożyło.

– Bo może przeraża nas perspektywa posiadania siedmiorga dzieci? – zażartowała Iris. Spojrzała na swój talerz. – Chcesz moją szynkę, Clem? Nie jestem tak głodna, jak myślałam.

– Poproszę. – Zamieniły się talerzami. Clemency otworzyła pudełko cygaretek i podsunęła siostrze.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– To brzydki nawyk, w który wpędził mnie pewien przyjaciel. Ale wracając do tematu... Ellen Hutchinson właśnie urodziła trzecią córkę, Louie Palmer zaś wyszła niedawno za mąż po zaledwie sześciotygodniowej znajomości. A kiedy się nam przyjrzyć...

– Trzy stare panny, co? – Iris nagle uświadomiła sobie, że Clemency mówi serio. – Nie martw się, na pewno wyjdiesz za mąż. I urodzisz tuzin dzieci.

Clemency pokręciła głową.

– Nigdy nie wyjdę za mąż.

– Mama jest teraz w lepszej formie, nie musisz poświęcać jej reszty życia.

– Nie chodzi o mamę, tylko o mnie. Nie nadaję się do małżeństwa.

Iris przyszło do głowy, że zawsze mieli skłonność do podkreślania wad Clemency: nieładna, niezbyt inteligentna, bez szczególnych zdolności. Nikt jakoś nie dostrzegał jej zalet, a przecież to Clemency utrzymywała rodzinę w całości. Bez jej zmysłu praktycznego i ciepła niewiele zostałyby z domowego ogniska. Miała w sobie siłę i prawość, której pozostałym członkom rodziny brakowało.

– Nie możesz tego wiedzieć – zauważyła.

– Mogę. Nie wyszłabym nawet za Ivora, chociaż jest najcudowniejszym z ludzi.

Iris wytrzeszczyła oczy.

- Ivor? Jaki Ivor?
- Mój przyjaciel. A właściwie kochanek.
- Kochanek?

Clemency popatrzyła chłodno na siostrę.

– Mężczyźni kochają czasem nieładne dziewczyny, wiesz? One też są zdolne do miłości.

- Przepraszam. Nie chciałam...
- Owszem, chciałaś. Ale to nie był żaden grom z jasnego nieba.

Iris udało się zebrać myśli.

- Jaki on jest?
- Och... Przystojny, utalentowany, dobry. Uwielbiałam go.
- Nadal się z nim spotykasz?

Clemency zaprzeczyła ruchem głowy.

- Co się stało?
- Zdałam sobie sprawę, że nie zależy mu na mnie tak bardzo, jak mnie na nim. Kiedy mnie całował, był taki szorstki, kłuł mnie brodą i... no po prostu nie odpowiadało mi to. Jakbym włożyła za ciasną sukienkę, nie polubiłam tego i już. – Skrzywiła się z niesmakiem. – A powinno się to lubić, prawda? Zwłaszcza jeśli chce się mieć dzieci...

– Nie sądzę, żeby kobiety lubiły tę stronę małżeństwa.

– Moim zdaniem, powinny. Przypomnij sobie Marianne i Arthura. Oni bez przerwy się dotykali. Tak właśnie powinno wyglądać małżeństwo. Nie wolno wychodzić za mężczyznę, którego dotyku wolałabyś uniknąć. Czyli – dodała ze smutkiem – muszę się obejść bez dzieci. A tak je kocham...

Niedługo potem się rozstały. Clemency odwoziła panią Coles do Sheffield, Iris krążyła po Selfridge'u, bo do spotkania z Ashem na dworcu Victoria zostało jej trochę czasu.

Jednakże widok bel jedwabiu i satyny, a nawet przepych działu kapeluszy nie sprawił jej takiej przyjemności, jak zwykle. Chociaż starała się skupić na koronkach i perłowych guziczkach, wciąż dręczyło ją echo słów Clemency: „Czasem myślę, że jesteśmy bezpłodni, czy co?”. To się odnosi przede wszystkim do niej, Iris. Marianna dwa razy wychodziła za mąż, urodziła dziecko. Eva miała kochanka, który wprawdzie złamał jej serce, ale zawsze to kochanek. Nawet Clemency zaznała fizycznej miłości. I tylko ona, Iris, pozostała nietknięta, bo tak bardzo chciała uniknąć komplikacji związanych z oddaniem komuś serca. Nie tylko Ash zawinił temu, co się stało. Oglądając się wstecz, rozumiała, że od lat trzymała go na dystans i postępując tak, sama popchnęła go w ramiona Thelmy. Nie zdobyła się na tyle zaufania, by wyznać mu miłość, póki nie było za późno. Teraz miała dwadzieścia dziewięć lat i jeśli nie przezwycięży swojej wrodzonej nieufności, to wiadomo, jak skończy. Wędrując wśród kapeluszy pilśniowych i tych wieczorowych, z tafty, zobaczyła nagle koszmarną wizję siebie za kolejnych dziesięć, dwadzieścia lat: starzejąca się piękność, nadal oczekująca męskiego podziwu, nadal ukryta za tarczą flirtu i kokieterii.

Zerknęła na zegarek; czas na spotkanie z Ashem. Już w metrce uświadomiła sobie, jak bardzo się boi. I to jest właśnie źródłem jej problemu: ona, niby taka dzielna, taka

twarda, drżała ze strachu przed miłością i klęską.

Lęk prześladował ją przez cały czas, kiedy czekała przy barierce, gdzie sprawdzano bilety. Zagubiona w tłumie, otoczona kłębam dymu i sykiem pary, ciągle nie była pewna, co mu powiedzieć. W końcu wyjęła z portmonetki monetę i podrzuciła ją w górę: awers – kocha, rewers – nie kocha – ale w tym momencie z pociągu wysypali się pasażerowie i pens przepadł wśród setek śpieszących po peronie nóg.

Nagle go zobaczyła – szedł ku niej z ciepłym uśmiechem. Na powitanie pocałował ją w policzek.

– Jak dobrze cię widzieć, Iris!

Wymamrotała jakąś zdawkową odpowiedź.

Zbiegli schodami do kolejki podziemnej. Po peronie przewalały się tłumy urzędników, którzy skończyli pracę, i żołnierzy w mundurach khaki. Nieustannie dudniły pociągi. Iris przestraszyła się nagle, że jeśli teraz nie znajdzie właściwych słów, to może ich już w ogóle nie znaleźć – i tak zostaną: wprawdzie oboje w sobie zakochani, ale dalecy i rozdzieleni na zawsze.

Nagle zrozumiała, że nie potrzebuje żadnych słów. Słowa czasem dzielą, stwarzają dystans. Poczula ruch powietrza, zapowiadający wjazd pociągu na peron; Ash wysunął się do przodu, ale go zatrzymała.

– Co ty, Iris? – obejrzał się, zdziwiony.

Wspięła się na palce i pocałowała go – najpierw nieśmiało, lecz gdy zobaczyła, jak rozbłysły mu oczy, gdy znalazła się w miażdżącym uścisku jego ramion i usłyszała wypowiedziane szeptem, jakby z westchnieniem swoje imię, wyzbyła się wszelkich wahań. Zamknęła oczy i zatraciła się w pocałunkach, nieświadoma, że tłum wokół nich rozdziela się na dwa strumienie, pozostawiając ich pośrodku.

Trzeba było teraz zacisnąć zęby i uzbroiwszy się w cierpliwość, czekać na właściwy czas i sprzyjające okoliczności.

Lucas uczył George'a jazdy konnej. Sadzał chłopca na kucyku, którego prowadził po ścieżce. Malec, z przerażeniem w oczach, ścisnął kurczowo wodze. Kiedy kucyk szarpnął się, rozdrażniony ukłuciem owada, George zaczął płakać, a na następnej lekcji prawie wpadł w histerię. Lucas za karę zamknął go w pokoju; słuchając, jak wrzaski malca stopniowo przechodzą w rozpaczliwy szloch, Marianne zrozumiała, że nie wolno jej dłużej zwlekać.

Kilka dni później przypadało święto pełni księżyca. Praca na plantacji ustała. Wyciągnięto ze świątyni tamilskie bóstwo Saami, osadzono je na drewnianym, kolorowym pawiu, po czym w uroczystej procesji obwożono po posiadłości. W chatach kulisów bębny zanosily się monotonnym, przeraźliwym łoskotem, od którego drżała ziemia. Tego dnia ogród w Blackwater wyglądał szczególnie pięknie, w krystalicznie czystym powietrzu każdy listek odcinał się z niezwykłą ostrością od innych. Przy małej, ukrytej wśród drzew świątynce powiewały białe wstążki. Marianne nie wiedziała, czy to oznacza żałobę po czyjejś śmierci czy raczej jej zapowiedź.

Rano bawiła się z George'em w ogrodzie, a gdy Ama zabrała go na lunch, usiadła

z książką pod banianem. Chociaż przewracała raz po raz kartki, nie czytała, tylko pilnie obserwowała, co się dzieje. Zauważyła, co umknęło uwagi dziewczyny, że Lucas tego dnia gorzej się czuł – mrużył oczy przed światłem i poruszał się powoli, jakby bał się nasilenia bólu wewnątrz czaszki. Ama była w złym humorze, poganiała służących i stroiła fochy wobec Lucasa, co niebawem wyprowadziło go z równowagi. Potrząsnął nią brutalnie i krzyknął:

– Na miłość boską, kobieto, przestań wreszcie marudzić! I ten hałas... Niechby wreszcie przestali tak strasznie jazgotać!

Ama wbiegła do bungalowu, tupiąc drobnymi stopami po podłodze. Lucas jadł niewiele, za to pił równo przez całą godzinę lunchu, po czym wrócił na werandę. Dym z jego cygara unosił się w nieruchomym powietrzu. Drewniana podłoga werandy zdawała się drgać od łoskotu bębnow. W ogrodzie Ama przenosiła się nerwowo z jednego skrawka cienia do drugiego, przystając raz po raz, by przyjrzeć się pierścionkom na palcach i gładkiej fali długich, ciemnych włosów.

Dziesięć minut później Marianne wycofała się z werandy niby po jedwab do haftowania. W sypialni odnalazła w tyle szuflady tabletki nasenne, które przepisał jej doktor Scott. Fiolkę ukryła w rękawie bluzki. W holu zatrzymała Nadeshana, który wychodził właśnie z kuchni i zabrała mu tacę z butelką araku oraz kieliszkiem.

– Sama to zaniosę panu, możesz iść świętować, Nadeshan. I powiedz innym, proszę, że mają wolne popołudnie.

Napełniła kieliszek arakiem, drżącymi rękami odkorkowała fiolkę i wsypała jej zawartość do trunku. Jeśli widział, to mnie zabije, przemknęło jej przez głowę. Schowała pustą fiolkę i zaniosiła tacę na werandę.

Postawiła ją obok Lucasa, a sama usiadła w kącie z robótką, zmuszając się do haftowania. Nie wolno jej się przyglądać ani robić niczego, co odbiegałoby od normy. Nie wolno podnosić wzroku, żeby mąż nie zobaczył w jej oczach buntu. Igła migąła tylko w jej palcach – francuski węzełek tu, płatek kwiatka tam... Ile wypił? Na pewno dość. Jak długo będzie spał? Może kilka godzin...

Zaskrzypiał wiklinowy bujany fotel, zapachniało dymem z cygara. I z pewnością minęło już trochę czasu, odkąd słyszała brzęk szkła. Podniosła głowę.

Lucas miał zamknięte oczy. Obok niego stał pusty kieliszek, w popielniczce tlił się koniuszek cygara. Zawołała męża po imieniu, ale się nie obudził.

Wymknęła się tylnymi drzwiami z domu i pobiegła do pana Saltera. Siedział na swojej werandzie ze szklanką w ręku.

– Biedna Ama! – westchnęła. – Tak chciałaby pójść na bazar, ale nie ma kto jej zawieźć!

– Czy pan Melrose...

– Męża boli głowa. Zasnął i pewnie prześpi całe popołudnie.

Wróciła biegiem do bungalowu. W sypialni ściągnęła żaluzje i story, a potem rozłożyła na łóżku dużą jedwabną chustę. Zapakowała w nią ubranka George'a, pieniądze i wszystkie zgromadzone rzeczy. Dołożyła do tego swoją szczotkę, grzebień, zmianę bielizny oraz fotografię Arthura.

Poszła do kuchni. Otwierając drzwi miała na końcu języka: „Potrzebuję butelkę

słabej herbatki dla dziecka... *Peria* ma ochotę na trochę herbatników i owoców”, ale w kuchni nikogo nie było, wszyscy poszli świętować, mogła więc sama zabrać wszystko, czego potrzebowała.

Wróciwszy do siebie, dodała butelkę i jedzenie do pozostałych rzeczy i zawiązała tobołek. Wtedy usłyszała za sobą szelest; w progu stał Lucas.

– Ty suko! Ty mała suko! – Postąpił kilka kroków. Marianne zamarła ze strachu. Zauważyła jednak w jego ruchach niepewność – chwiał się i przechylał na boki, kiedy ku niej podchodził. Oczy, które zerkały to na nią, to na tobołek, były szkliste, w jasnych tęczęwkach błyszczały czarne punkciki źrenic.

Spróbowała podbiec do drzwi, złapał ją jednak, boleśnie wbijając palce w ramię.

– Chciałaś mnie zostawić, tak? Wiedziałem, że coś knujesz, ty suko! Błyskawicznym ruchem zrzucił tobołek na podłogę. – Mówiłem, że nie pozwolę go sobie odebrać. Nigdy! Pierwej zobaczę cię martwą!

Nagle chwycił ją oburącz za szyję, uciskając kciukami tchawicę. Usłyszała swój chrapliwy z przerażenia oddech. W uszach jej huczało, przed oczami miała ciemność. Uderzyła Lucasa na oślep obiema pięściami; musiała trafić w czułe miejsce, bo usłyszała, jak wciągnął ze świstem powietrze. Ucisk na jej szyi zelżał, więc resztkami sił wyszarpnęła się z jego rąk. To wystarczyło, by Lucas stracił równowagę, zatoczył się i upadł ciężko, uderzając głową o mosiężną ramę kominka. Marianne wciąż nie mogła złapać tchu, uniosła dłoń do gardła, drugą rękę kurczowo zacisnęła na łóżku. Przymknęła powieki i walcząc z falą mdłości, próbowała zachować przytomność. Kiedy znów otworzyła oczy, zobaczyła, że Lucas stara się podnieść, nie odrywając od niej rozwścieczonego spojrzenia. Bez chwili namysłu chwyciła to, co miała pod ręką: nożyczki – i z całej siły uderzyła.

Dopiero po chwili zorientowała się, że Lucas się nie porusza. Leżał w kominku, twarzą do dołu, z rękami rozrzuconymi na płytkach paleniska. Na jasnych włosach szybko rosła plama krwi.

– Lucas? – wyszeptała Marianne, czując, że jej miękną kolana. Ale nie poruszył się ani nie odezwał.

Bezwiednie zaczęła zbierać rzeczy z podłogi. Wciąż oglądała się na męża, jakby oczekując, że znów się podniesie – jej oskarżyciel, jej nemezis. Nic takiego się jednak nie stało.

Podniósłszy głowę, zobaczyła w drzwiach Rani. Ciemne oczy *ayah* utkwione były w Lucasia.

– Pan martwy? – spytała.

– Nie wiem – odparła Marianne chrapliwie.

– Pani stąd iść. Iść zaraz.

Marianne uświadomiła sobie, że Rani ma rację. Ale ręce tak jej drżały, że nie mogła utrzymać tobołka i Rani musiała go jej związać.

„Pani stąd iść. Iść zaraz”. Zamykając za sobą drzwi sypialni, odcinała się zarazem od szaleństwa i koszmaru. Poszła do dzieciennego pokoju, obudziła George’a i zaczęła go ubierać. Po chwili wróciła Rani, niosąc niebieską tkaninę.

– Pani to włożyć.

Sari. No tak.

– Dobrze – szepnęła. – Oczywiście.

Rani pomogła jej się ubrać. Paciorki z bazaru na szyi, ciemne włosy rozdzielone pośrodku i szesane za uszy. Głowa osłonięta, stopy bose.

– Zobacz, *dorasani*.

Marianne zerknęła w lustro. Zobaczyła niebieskie oczy w papierowobladej twarzy. I czerwone ślady na szyi.

Nasunęła sari na głowę, by ukryć rysy – i dawna Marianne zniknęła, ustępując miejsca zupełnie innej kobiecie z innego kraju.

Wzięła dziecko, tobołek i wyszła. Kiedy opuszczała Blackwater, zdawało się jej, że słyszy za sobą jego kroki, że ściga ją jego szept. Nie odwróciła się jednak.

James był w północnej Francji i właśnie podążał na front, gdy rozpoczęło się bombardowanie. Z początku przeszył go dreszcz emocji, że oto w końcu coś zaczyna się dziać po całych dniach marszu przez ponure francuskie wioski. Potem, gdy huk trwał nieprzerwanie przez godziny i dni, narastając w miarę przybliżania się do linii frontu, James miał wrażenie, że hałas przenika go na wskroś, rozsadzając mu głowę i działając na nerwy.

Siedząc w szopie z sianem, pisał do Emily:

Mleko skondensowane i świece, które mi przysłałaś, bardzo się przydały. Goniłem już resztkami. A ciasto Twojej i Violet roboty to prawdziwa uczta! Powiedz Violet, że niemal dorównuje w wypiekach swojej mamie. Następnym razem, Kochanie, może uda Ci się zorganizować trochę więcej papierosów i ewentualnie jakieś toffi. Noce tutaj są chłodne, moja najdroższa, czy w Londynie także? Pamiętaj, żebyś się ciepło ubierała. Jeśli Tobie albo Violet potrzeba nowego płaszcza czy rękawiczek, weź pieniądze, które zostawiłem w szufladzie. Nie musisz martwić się o finanse ani nadmiernie oszczędzać. Bardzo pilnuję talizmanu, który mi podarowałaś, zawsze go noszę na sercu.

I rzeczywiście podczas walki wciąż dotykał kieszeni, gdzie przechowywał srebrną czterolistną koniczynkę – pożegnalny podarunek od Emily.

Często myślał, że znalazł się tu na skutek swoistej ironii losu. On, który dawniej tak marzył o przygodach, bohaterskich czynach i pomstował na szarą codzienność, teraz oddałby wszystko za zwyczajne życie w domowych pieleszach. Z rozkoszą zamieniłby trudy i wojenną chwałę na jedno popołudnie w parku z Violet albo noc w ramionach żony. Pragnął tylko jednego: przetrwać. Musiał żyć dla nich – dla Emily, Violet i nienarodzonego jeszcze dziecka.

Skończywszy list, stanął w progu na papierosa. Na horyzoncie ciemność nocy rozświetlała pomarańczowa luna.

Rano, kiedy wychodził z szopy, zobaczył na bezchmurnym niebie samolot. Nagle

rozkwitły wokół niego kłęby białego dymu, ale szybko się rozproszyły, pozostawiając maszynę nietkniętą, James obserwował ją przez chwilę, po czym poszedł obudzić swych ludzi.

Tego dnia podczas marszu zauważyli więcej oznak toczącej się bitwy. Mijali porzucone na poboczu pogruchotane wozy i motocykle, w rowie leżał martwy koń z rozprutym brzuchem. Wkrótce napotkali rannych żołnierzy z prowizorycznymi opatrunkami na głowach, zmierzających do punktu pierwszej pomocy. Najpierw pochód przypominał strumyk, który jednak dość szybko zamienił się w rzekę. W zapadającym zmierzchu coraz więcej kolorowych błysków rozświetlało płaski teren. Żołnierze przestali rozmawiać i śpiewać; słychać było tylko człapanie ich butów w gęstym błocie, pobrząkiwanie klamer i uprzęży oraz coraz bardziej ogłuszający huk strażów.

W pobliżu wioski Loos musieli zwolnić, gdyż grunt podziurawiony był łuskami pocisków. Od czasu do czasu kule przelatywały im nad głowami i musieli padać na ziemię, by się ratować. Po pewnym czasie ich płaszcze ociekały błotem, przylepiały się do nóg, powodując dalsze utrudnienia w marszu. Nieopodal, za wzgórzem, tuż nad ziemią przetaczała się chmura szarego dymu, przypominająca pas gęstej mgły.

W świetle ognia artyleryjskiego zamajaczyły przed nimi ruiny wioski: poszarpane ściany bez dachów niczym wyszczerbione zęby i sterczące nad rumowiskiem resztki wieży kościelnej, porozrzucane bezładnie jak zapałki belki dachowe i słupy telegraficzne. James zauważył też pewne oznaki, że kiedyś w tym upiornym miejscu żyli ludzie – poobijany rondel, zabrudzona ściółka z kurnika, zakorkowana butelka wina w błocie.

Któryś z żołnierzy zapalił papierosa i zaraz rozległo się coś w rodzaju bzyczenia osy; kula utkwiała w pobliskiej ścianie. Ledwie zdążyli się ukryć – kolejne zzzzz wyrwało z czyichś ust okrzyk bólu. Odesławszy rannego na poszukiwanie punktu opatrunkowego, James z towarzyszącym mu sierżantem zauważyli snajpera, zaczajonego na piętrze zrujnowanej oberży. Nie wiedział, czy sam go trafił czy też sierżant, ale na widok padającego mężczyzny poczuł skurcz w żołądku. Jak dziwnie, pomyślał później, człowiek nawet nie ma pewności, czy właśnie po raz pierwszy w życiu kogoś zabił.

Noc spędzili w błotnistym rowie u stóp wzgórza. Otrzymali rozkaz, by rano wdrzeć się na szczyt. Zbudziwszy się z męczącej drzemki, James czuł, że kiszki mu się skręcają z podniecenia. Wymamrotał jakąś modlitwę. Pierwszych dwieście metrów do linii nieprzyjaciela przebyli pod osłoną świec dymnych, potem zaterkotały karabiny maszynowe. James z początku sądził, że jego ludzie leżą w błocie, aby uchronić się przed ogniem. Kiedy dotarł do linii niemieckich, odkrył, że osłony z drutu kolczastego przy okopach nie zostały zniszczone przez brytyjską artylerię, jak tego oczekiwał. Biegł wzdłuż drutów, szukając jakieś dziury, kiedy coś ukłuło go w ramię i upadł.

Znalazł się w leju po bombie razem ze swoim kapralem, niskim, krępy męczyzną nazwiskiem Browning. Obejrzawszy się na linie brytyjskie, zobaczył, że jego ludzie wcale nie padli na ziemię ze strachu, tylko zostali skoszeni przez ogień karabinów maszynowych. Zauważył też inne rzeczy. Kawałek szmaty i kość po jednej stronie dołu okazały się szczątkami ludzkimi. Na drucie kolczastym leżał chłopak z rozłożonymi jakby na krzyżu ramionami i twarzą zasłoniętą jasnymi włosami. Klęczący obok mężczyzna wydawał się pogrążony w modlitwie, ale brakowało mu głowy.

James i Browning nie bardzo mieścili się w swoim dole. Chociaż udało im się skulić tak, że głowy nie wystawały ponad poziom ziemi, nogi musiały pozostać na zewnątrz. Grad kul nie ustawał i po chwili jedna trafiła Browninga w udo. Kolejna linia brytyjskich żołnierzy z nastawionymi bagnetami zaraz po opuszczeniu okopów została zmieciona przez ogień nieprzyjaciela.

Po pewnym czasie karabiny maszynowe umilkły, gdyż Brytyjczycy uznali swą klęskę i zrezygnowali z ataku. W bolesnej ciszy James patrzył na ludzi wynurzających się z dołów na podziurawionym pociskami terenie. Wyglądali jak ulepieni z błota, cali w szarobrunatnej mazi. Ranni czołgali się powoli w stronę brytyjskich linii. James z bolącą łopatką włókł kaprała Browninga do okopów przez dwieście metrów ziemi niczyjej, ale Niemcy nie poprzestali na jednym wystrzale.

Relacje prasowe na temat bitwy pod Loos wahały się od początkowych zapewnień o chwalebnym zwycięstwie do bardziej ponurych raportów. Kolumny z nazwiskami poległych ciągnęły się niczym czarna szrama przez całą pierwszą stronę „Timesa”.

Eva połknęła bakcyła przesądów. Kurczyła się na widok pojedynczej sroki, nie przechodziła pod drabiną, nie nosiła pereł ani opali. Wzdrygała się nerwowo, ilekroć ktoś zapukał do drzwi. Nie znosiła siedzieć w domu, gdzie zdawały się kumulować obawy całej rodziny. Lubiła być w pracy; pochylona nad biurkiem pisała na maszynie listy, sumowała kolumny liczb. W domu wciąż podchodziła do okien i jeśli tylko dostrzegła chłopaka od telegramów, dostawała skurczu żołądka i odwracała wzrok, wstrzymując oddech, póki nie uznała, że niebezpieczeństwo minęło. Jakby fakt, że na TO nie patrzy, miał sprawić, że TO jej nie zauważy i Jamesowi nic się nie stanie.

We wtorek po południu w zgniatalni złomu zdarzył się wypadek. Jedna z dziewcząt, śpiesząc się do domu pod koniec pracy, zaczepiła ręką o pas tarczy szlifierskiej. Joshua był w Londynie, więc Eva wezwała dorożkę i wysłała dziewczynę do szpitala.

Ledwie udało się jej dowlec z powrotem do biura i zemdlą. W obezwładniającym upale próbowała odpiąć kołnierzyk i zobaczyła zielonkawą mgłę. W następnej chwili poczuła, że ktoś nią potrząsa, wymawiając jej imię. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Roba Foleya. Zapukano do drzwi i weszła jedna z dziewcząt z pakowni ze szklanką w ręku. Podała ją Robowi.

– Proszę – zwrócił się do Ewy, przytykając jej szklankę do ust. – Proszę to wypić.

Była to brandy – ostra w smaku, tania, prawdopodobnie z najbliższego pubu, ale po paru łykach osłabienie Ewy zaczęło mijać i mogła usiąść.

– Przepraszam – powiedziała. – Jak to głupio z mojej strony!

– Poślę po dorożkę.

– Nie! – Przycisnęła knykcie do oczu, starając się powstrzymać łzy. – Jak ona się czuje? Ta dziewczyna z wypadku?

– Przeżyje.

– A jej ręka?

– Prawdopodobnie straci dwa palce.

– Och...

– Opatrz ją, proszę się nie martwić. Jest pod dobrą opieką, a pani musi mi pozwolić wezwać dorożkę.

– Proszę, panie Foley... Nie chcę wracać do domu. Jeszcze nie teraz.

– Jestem Rob – rzucił szorstko. – Na miłość boską, proszę mi mówić po imieniu!

– Dobrze – odparła, pociągając nosem – ale ty też przestaniesz nazywać mnie „panną Evą”. To takie wiktoriańskie!

Pomógł jej usiąść na krześle. Eva znalazła chusteczkę i wytarła nos.

– Zdaje się, że przychodzenie mi z pomocą weszło ci w nawyk.

Wyraźnie się stropił.

– Skończ to – mruknął, podając jej znowu szklanę.

– Nie cierpię brandy. Sam wypij.

– Nie piję alkoholu.

– W ogóle?

Pokręcił wolno głową.

– To przez ojca. Wiem, co alkohol robi z człowiekiem.

– I pewnie nie palisz?

Wyjął z kieszeni papierośnicę i zapaliwszy dwa papierosy, podał jej jednego. Przez chwilę paliła w milczeniu, po czym powiedziała:

– Naprawdę nie chcę wracać do domu. Tutaj przynajmniej się nie martwię...

– O brata?

Zagryzła wargi.

– I tak cały czas o nim myślę.

– Skoro nie było żadnej wiadomości...

– Nawet nie dopuszczam takiej myśli! Boję się, że jeśli pozwolę sobie wierzyć, stanie się coś okropnego! – Nagle emocje uszły i poczuła się kompletnie wyczerpana. – Śmieszne, co? Zwykły przesąd. Jakby to, co myślę, mogło mieć teraz dla Jamesa jakieś znaczenie...

– Moja siostra Susan urządza seanse. Wierzy, że rozmawia ze zmarłymi. Matki, które straciły synów na froncie, przychodzą do niej po pomoc. Przynajmniej ty nie wsłuchujesz się w stukanie wirującego stolika.

– Ale rozumiem, dlaczego ludzie to robią, nawet jeśli postępują głupio. Ja w domu nie potrafię myśleć o niczym innym. Wszystko mi leci z rąk.

– A malowanie?

– Od dawna nie brałam pędzla do ręki.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Bo nie mam talentu.

– To nieprawda! Ten mój portret, który narysowałaś... Pamiętasz?

– Kiedy się na mnie zezłościłaś, że poszłam do pieców?

– Mam go dotąd.

– To tylko marny szkic.

– Ale ja go lubię. Mojej siostrze Theresie także się podoba. Mówi, że świetnie mnie

uchwyciłaś.

– Ach, podobieństwo! – rzuciła pogardliwie. – To każdy potrafi.

– Zapewniam cię, Evo, że gdybym spróbował uchwycić twoje, wyglądałabyś jak rzepa albo burak.

– Czyżbyś miał artystyczną duszę? – spytała z lekkim uśmiechem.

– Kocham muzykę, ale sam nie gram. Mogę zapomnieć o całym świecie przy jakimś obrazie, jednak nie umiem rysować. A czasem, kiedy chcę coś powiedzieć, brakuje mi słów. – Na chwilę zapadła cisza, przerywana tylko pożegnalnymi okrzykami robotników opuszczających fabrykę. – Ale ty umiesz rysować! I nie wolno ci marnować takich zdolności. Kto ci powiedział, że nie masz talentu?

– Ktoś. Ktoś, kogo dobrze znałam.

– Może się mylił.

– Nie sędzę. Na pewno miał rację, ja sama to wiem. Gdybym nie czuła tego tutaj, w sercu, to przecież bym mu nie uwierzyła, prawda? A mam absolutną pewność, przynajmniej teraz.

Popatrzył na nią pytająco.

– Tak?

– Kiedyś myślałam, że zjadłam wszystkie rozumy. Wiedziałam, że muszę studiować sztukę, że zostanę wielką artystką. Pragnęłam być samodzielna i nigdy z nikim się nie wiązać. A jednak – ogarnęła wzrokiem pokój – wylądowałam tutaj, choć nigdy bym się tego nie spodziewała. Chciałabym być taka jak ty, Rob. Taka... nieugięta.

– Nieugięta? Czy raczej nudna?

– Nie. Ty wcale nie jesteś nudny. – Zanim odwrócił wzrok, zdążyła dostrzec błysk w jego oczach.

– Dawniej uważałaś mnie za nudziarza.

– Tylko jak byłam małą, głupiutką dziewczynką. Teraz zmądrzałam.

Rozjaśnił się w uśmiechu.

– Czy wizyta u mojej rodziny pozwoliłaby ci oderwać się na chwilę od ponurych spraw?

– Z przyjemnością poznam twoich bliskich, ale...

– Jadę do domu w piątek wieczorem. Mogłabyś przyjechać w sobotę na herbatę. Oczywiście odwiozę cię potem do Sheffield... – Nagle zmarszczył brwi. – Ale ze mnie dureń! Na pewno masz już inne plany.

– Nie, nie mam. I bardzo chętnie przyjadę.

Jeśli nawet się bał, to z pewnością inaczej niż kiedykolwiek przedtem. Ten rodzaj strachu w niczym nie przypominał tremy przed egzaminem ani koszmaru, jaki przeżywał, próbując wyznać ojcu prawdę o Emily. Przez większość czasu James czuł po prostu głód i zmęczenie. Gdy tylko nie żądano od niego jakichś działań, związał się w kłębek i w ułamku sekundy zasypiał. I nigdy nie miał dość jedzenia; dawno wykończył zawartość ostatniej paczki od Emily, dzieląc się nią z tymi, którzy też głodowali. Kiedy już zjedli wszystko, marzył o świątecznych obiadach, piknikach i kolacyjkach w Savoyu.

Korzystał z każdej okazji, by pisać do żony. Dawniej nie przepadał za pisaniem, ale teraz zastępowało mu rozmowę i przychodziło z łatwością. Często wspominał ich

wspólne lata. Dzień, w którym ją poznał, pierwsze randki, pierwszą wspólną noc. Kiedy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka, płakała, bojąc się porzucenia, ale on poprosił ją o rękę. W dniu ślubu kupił jej u Cyganki na ulicy bukiet białego wrzosu, a potem zawiózł Emily do Twickenham i przeniósł przez próg domu. Była lekka jak piórko... Później, kiedy się kochali, przesuwiał dłoń po jej brzuchu, myśląc o dziecku, swoim dziecku.

A jednak zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest już tamtym mężczyzną, którego poślubiła. Czasem myślał, że jego listy są tylko inną formą oszustwa, jakie praktykował przez lata, ukrywając przed rodziną istnienie Emily i Violet. Dwa dni temu zaczęło padać i karabiny wreszcie umilkły, mimo to wciąż rozbrzmiewał mu w głowie ich terkot – dalekie echo, nie do końca zagłuszone przez deszcz. Zastanawiał się, czy w ogóle kiedykolwiek ten dźwięk ucichnie. Ilekroć zamykał oczy, wyświetlały mu się – niczym fotki – obrazy z bitwy. Ciała i części ciał. Trupy końskie i ludzkie. Ludzie, których znał, z którymi tak niedawno żartował i śmiał się, leżeli teraz w błocie bez głów i kończyn. Czy kiedykolwiek będzie jeszcze tym samym człowiekiem? W głębi serca wiedział, że to niemożliwe. W snach, w chwilach spokoju, wciąż prześladowało go wszystko, co widział. Zdawało mu się, że to piętno wryło się w niego na zawsze, przywarło mocniej niż wszechobecne w okopach błoto.

Po skończeniu listu wyruszył ze swoją grupą na przegląd zabezpieczeń z drutu kolczastego wokół okopów. Noc była ciemna choć oko wykol, księżyc skrył się za deszczowymi chmurami i James o sekundę za późno dostrzegł niemiecki patrol. Rozbłysło oślepiające światło... Przez chwilę myślał, że znów zaczęło się bombardowanie, bo usłyszał donośny huk wystrzałów. Próbował dotknąć kieszeni z fotografią Emily i srebrną koniczynką, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Nagle poczuł chłód w nogach i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Ogarnęła go fala gniewu, a jednocześnie ogromnej tęsknoty za życiem, którego nie było mu dane zachować. Zrozumiał, że już nigdy nie zobaczy żony ani córeczki. A potem coś mu eksplodowało w głowie i poczuł, że opada na ziemię – długim, niekończącym się lotem.

Odkąd Katharine powiedziała, że nie chce go więcej widzieć, Joshua każdego dnia po trochu umierał.

Stało się to w październiku 1914 roku. Wspólny znajomy z branży odlewniczej poprosił ją o rękę i Katharine go przyjęła.

– Kochasz go? – ryknął Joshua.

– To bogaty człowiek – padła spokojna odpowiedź. – I do tego wolny, bo jest wdowcem. A ja mam dwie córki, które w tych ciężkich czasach muszę wydać za mąż.

Dwa dni później James poinformował go, że ma żonę i dziecko. Oglądając się wstecz, Joshua widział jasno co najmniej dwie przyczyny swojej złości: żal z powodu Katharine i zazdrość, że w przeciwieństwie do niego, syn mógł poślubić ukochaną kobietę. Oszustwo pierwородnego wydało mu się odbiciem jego własnego, które z kolei zrodziło w nim poczucie winy, objawiane – jak zwykle – gniewem. Czuł też ogromny żal do Jamesa, który widać nie kochał własnego ojca na tyle, by okazać mu zaufanie

i zwierzyć się z sekretu.

Ale złość to niebezpieczne uczucie; szybko się rozprzestrzenia i może wywołać pożar. W tym stanie wyrwało mu się kilka szorstkich, głupich słów i dotknięty do żywego James zrewanżował się podobnymi. Jeszcze większego szoku Joshua doznał, kiedy zdał sobie sprawę ze skutków oskarżeń syna. „Jakie masz prawo mnie krytykować, ty hipokryto, ty, który sam od lat zdradzasz moją matkę!” Patrząc w płonące złością oczy najstarszego syna, Joshua pojął, że James wie o wszystkim. To odkrycie doprowadziło go do szału. Zepchnięty do defensywy, próbował się usprawiedliwiać: owszem, mężczyzna czasem bierze sobie kochankę, ale kochanka to jedno, a małżeństwo – całkiem co innego! A jednak pogarda w oczach syna tylko się pogłębiła.

Później, już po wyjeździe Jamesa gniew trawił go przez długie tygodnie. Jak on śmiał oskarżać ojca o hipokryzję, skoro sam zachował się w tak podstępny, podły sposób? Dlaczego nie rozumie, że biorąc za żonę tę lafiryndę, niemal kurewkę, która z pewnością poleciała na jego majątek, ściągnął hańbę na całą rodzinę? Że jednym fałszywym krokiem zrujnował dorobek życia dziadka i ojca, że przez niego Maclise'owie znów wylądowali w rynsztoku?

Maclise'owie wzięli się znikąd, a kiedy on, Joshua, odejdzie z tego świata, jak nic tam powrócą. Dzieci były mu dotąd tylko brzemieniem i przyniosły same rozczarowania. Owszem, Clemency nie można nazwać pięknoscią, chociaż on zawsze uważał ją za ujmującą, ale jej siostry były naprawdę urodziwe. I jaki los je spotkał? Biedna Marianne najpierw straciła męża, a potem wbrew protestom rodziny wydała się za tego cwaniaka, któremu Joshua ani trochę nie ufał. Cały czas tkwiła mu w pamięci jak jakaś dokuczliwa zadra... A pozostałe córki w ogóle nie wyszły za mąż ani nawet się nie zaręczyły. Takie śliczne dziewczęta jak Iris i Eva! Po prostu kipiał z gniewu na myśl, że tak strasznie marnują swą młodość.

A synowie? James jest kłamcą i durniem, Philip mięczakiem, Aidan zaś... Joshua czuł do niego niechęć połączoną z litością. Dostrzegał jego żelazną wolę, inteligencję, ale także snobizm, nieustępliwość, pazerność na pieniądze. Wiedział, co Aidan zrobiłby z firmą, którą Joshua, a przedtem jego ojciec, budowali przez całe życie, gdyby tylko dać mu szansę. Ale po kłótni z Jamesem Joshua nie znajdował w sobie dość siły woli, aby sprzeciwić się średniemu synowi, choć dostrzegał, że władza powoli wymyka mu się z rąk. Aidan miał młodość i energię, a on ani jednego, ani drugiego.

Co do Lilian, to kiedy na nią patrzył, czuł coś w rodzaju znużenia, zrezygnowaną świadomość jej ograniczeń. Chociaż wiedział, że nie powinien porównywać jej z Katharine, nie potrafił zatamować wspomnień. Katharine zawsze była taka dobra, wspaniałomyślna, tak się o niego troszczyła! Widziała, kiedy czuł się zmęczony, zdenerwowany czy miał za sobą ciężki dzień. Takie sprawy nigdy nie przenikały do świata Lilian, świata, którego granice wytyczała tylko ona sama.

Ach, Katharine, Katharine! Wciąż tkwiła w jego pamięci. Nie spodziewał się, że tak późno pozna miłość, a teraz usychał wprost z tęsknoty. Brakowało mu jej bliskości, ciepła, samego jej widoku.

Ostatnio najsilniej odczuwał żal i utratę złudzeń. Właśnie toczyła się bitwa pod Loos i prawda na temat przebiegu wojny zaczęła przeciekać do wiadomości publicznej.

Okazało się, że jego ukochany kraj jest odpowiedzialny za wysłanie żołnierzy z bagnietami przeciwko nieprzyjacielowi uzbrojonemu w karabiny maszynowe, a także za rozkaz użycia chloru, gazu, który następnie wiatr pogał na brytyjską stronę. Joshua – jak każdy producent z branży żelaznej – wiedział, że wojsko jest źle uzbrojone, brakuje broni, amunicji, a nawet żywności. Ludzi wpędzono w wojnę, do której nie byli przygotowani, wojnę, której rezultat zarówno politycy, jak i generałowie obserwowali z samozadowoleniem i bez niepokojów.

Ale największe pretensje miał do siebie samego – o tę przekłątą dumę i zawziętość. Kiedy przeglądając kolumny nazwisk w gazecie, uświadomił sobie, że w bitwie pod Loos walczył regiment Jamesa, cały jego gniew i złość na syna rozplynęły się w strachu. Tego samego wieczoru napisał do Jamesa dziwny, chaotyczny list – nigdy zresztą nie umiał przelewać swych myśli na papier. Czekał – jak wszyscy w domu – na doręczyciela telegramów, modląc się w duchu, aby Bóg pozwolił mu doczekać szczęśliwego powrotu syna. Wiedział, że ma słabe serce, coraz częściej czuł jego zdradzieckie wyskoki i silny, tępy ból, promieniujący z klatki piersiowej do ramienia.

Tego ranka wychodził akurat do pracy, gdy zapukano do drzwi. Jeszcze zanim Edith otworzyła, wiedział, co się stało. Na dźwięk kołatki wszyscy zebrali się w holu: Eva, Clemency, Aidan, Lilian. Joshua, widząc lęk na ich twarzach, sam podszedł sztywnym krokiem do drzwi i odebrał telegram.

Szary na twarzy, krążył chwiejnym krokiem po domu, z trudem łapiąc oddech. Aidan, obserwując go, pomyślał, że ojciec wygląda jak wielki zraniony byk. Wkrótce odbędzie się nabożeństwo żałobne, na które zaproszono żonę Jamesa z dzieckiem. Oczywiście obie zatrzymają się w Summerleigh. Matka zaprotestowała, ale Joshua syknął:

– Powiedziałem! Zatrzymają się tutaj, a ty je powitasz. Tylko one nam zostały.

Ojciec uparł się, żeby Aidan pojechał po nie do Londynu. Z tego, co zdołał dostrzec przez czerń woalki, Emily była nawet dość ładna na swój tandetny sposób. Wprawdzie odzywała się z rzadka, ale miała miękki, rozwibrowany głos i plebejską wymowę, na którą Aidan się zżymał. Zauważył jednak, że ilekroć popełniła błąd, natychmiast się poprawiała.

Siedząc obok bratowej w wagonie pierwszej klasy, Aidan snuł w myśli swoje plany wobec firmy. James nie żył. Ojciec był w kiepskim stanie i na pewno wkrótce wycofa się z interesów, a wtedy on, Aidan, zyska nareszcie wolną rękę. Na początek pozbędzie się pasożytów – wszystkich chorych, starych i leniwych. Za główny błąd Joshuy uważał sentymentalizm; sprawdzając księgi, odkrył spis starych robotników, którym ojciec wyznaczył rentę, aby ustrzec ich przed pójściem do przytułku. Poza tym co roku odbywały się uroczyste obchody urodzin dziadka Maclise'a. Piwo lało się wtedy strumieniami, a robota leżała odłogiem. I jeszcze ten bezsensowny pomysł Ewy: umywalki i krany z wodą pitną dla kobiet, które podczas wojny musiały zastąpić nieobecnych mężczyzn. Takie głupie marnotrawstwo! Jakby nie mogły korzystać, jak dotąd, z ogólnie dostępnych kranów na zewnątrz! To wszystko wprawdzie drobne oszczędności, ale po zsumowaniu

dadzą pewien zysk. Później, w swoim czasie, wprowadzi się firmę na giełdę. Ojciec dawno powinien to zrobić; mogliby dzięki temu rozszerzyć i bardziej zróżnicować produkcję. Dla takich przemysłowych kompanii jak J. Maclise & Sons wojna stwarzała nieograniczone wprost możliwości. Mogli dorobić się prawdziwej fortuny.

Potem jego myśli powędrowały do Dorothy Hutchinson. Najmłodsza z pięciu sióstr, była ładną, ciemnoką brunetką z temperamentem, nieprzekraczającym jednak określonych granic. Aidan tańczył z nią na balach i grywał w tenisa. Niedługo mógłby się jej oświadczyć; Hutchinsonowie to jedna z najlepszych rodzin w Sheffield. Dobrze widział, że wszystko wychodziło im nieco lepiej niż Maclise'om: mieli bardziej luksusowo urządzone i lepiej prowadzony dom, przywiązywali większą wagę do wyglądu. Nawet teraz na spotkaniach towarzyskich u Hutchinsonów gościom usługiwał lokaj w białych rękawiczkach, podczas gdy Maclise'owie kontentowali się nadal takimi czupiradłami jak Ruby czy wiecznie narzekająca na nogi Edith. Małżeństwo z Dorothy wyniosłoby go o szczebel wyżej na drabinie społecznej i finansowej. Ojcu spodobałby się alians z Hutchinsonami i może wreszcie, po zawodzie ze strony Jamesa, spojrzalby na Aidana łaskawszym okiem.

Wkrótce jednak okazało się, że Joshua przeżył najstarszego syna tylko o sześć tygodni. Dwa dni po nabożeństwie żałobnym jego nadmiernie obciążone serce przestało bić. Zmarł w wytwórni; upadł na dziedzińcu, wśród kałuż i węglowego pyłu, przy huku młotów, w dymie palenisk. Kiedy Aidana zawiadomiono o śmierci ojca, poczuł w sobie jakąś straszną czarną dziurę, pustkę, której nie spodziewał się już wypełnić. Potężne, niezniszczalne bóstwo nagle przestało istnieć.

Polecił przewieźć ciało ojca do Summerleigh na okrytym czarnym aksamitem karawanie, zaprzężonym w konie z pióropuszcami, w czarnych czaprakach. Robotnicy ustawili się przy bramie w szpaler, żeby oddać pryncypałowi ostatni hołd. Mężczyźni odkryli głowy, niektóre kobiety płakały.

Kolejny pogrzeb. Kiedy po ceremonii adwokat rodziny, pan Hancock odczytał testament, Aidan dowiedział się, że wbrew jego oczekiwaniom, ojciec wcale nie wydziedziczył Jamesa. Po śmierci najstarszego syna zmienił testament, zapisując tylko połowę majątku Aidanowi. Drugą przekazał w zarząd powierniczy z przeznaczeniem dla syna Jamesa (gdyby Emily urodziła syna). Do czasu uzyskania pełnoletności jego częścią miała zarządzać – pomyśleć tylko! – Eva. Wyznaczył też Emily stałą pensję na utrzymanie dzieci.

Aidan pocieszał się myślą, że dzieciak może okazać się drugą dziewczynką. Mimo to żal pozostał – tkwił w środku niczym niegojąca się rana, na którą nie ma lekarstwa. Ojciec mu nie ufał, nawet po śmierci okazał swą niechęć.

Kiedy po miesiącu nadeszła depecha z wiadomością o narodzinach bratanka, Aidan zamknął się w swoim pokoju i rzucił na łóżko, ze złości zaciskając ręce na kapie. Szybko jednak zrozumiał, że takie zachowanie nie ma sensu. Wstał, umył się, ogolił i włożył najlepsze ubranie: czarny płaszcz, czarny krawat i szal – na znak żałoby po ojcu i bracie. Postanowił, że wybierze się do miasta i wypije drinka w jakimś dobrym, hotelowym barze.

Dotarłszy do centrum, zauważył stojącą przed Johnem Walshem¹³ Dorothy

Hutchinson. Przeszedł na drugą stronę, żeby się z nią przywitać. Spodziewał się kondolencji, wyrazów współczucia, ale zapytała tylko:

– Co to, Aidanie, jeszcze nie w mundurze? – I wcisnęła mu coś do ręki.

Po jej odejściu, kiedy otworzył dłoń, zobaczył białe piórko¹⁴.

11 Women's Volunteer Reserve, Women's Legion.

12 National Relief Fund.

13 Dom towarowy w Sheffield, zbombardowany w r. 1940.

14 Podczas I wojny młodym mężczyznom uchylającym się od służby wojskowej dziewczęta wręczały białe piórka na znak pogardy.

Rozdział szesnasty

Po śmierci Jamesa i ojca Clemency wydawało się, że z rodziny uszedł duch. Maclise'owie się skurczyli, stali się bardziej apatyczni, cichsi, niemal bezbarwni. Co noc wypłakiwała sobie oczy, kiedy leżąc w łóżku, wspominała ze ściśniętym sercem, jak James uczył ją prowadzić samochód, jak ojciec woził ją na koncerty Ivora...

Wiosną 1916 roku rząd ogłosił nowy pobór. Na ulicach miast rozwieszono plakaty, przypominające wszystkim niezonatym mężczyznom w odpowiednim wieku, że są obowiązani stawić się do służby wojskowej. Podczas ferii wielkanocnych Philip powiedział Clemency, że zamierza się zgłosić bezzwłocznie, nie czekając do końca roku szkolnego. Na jej protesty odpowiedział ze smętnym uśmiechem:

– A pomyślałaś, że mógłbym uciec? Przecież mam w tym wprawę, no nie? Ale tym razem tego nie zrobię.

– Ależ Phil, znienawidzisz wojsko!

– Wiem, to coś koszmarnego. I człowiek cały czas fatalnie się czuje. Ale, Clem, tylu dawnych wychowanków mojej szkoły poległo, tylu zostało rannych! Dyrektor odczytuje nam ich nazwiska podczas porannej modlitwy. Czym się od nich różnię? Czemu mam być oszczędzony? Wiem, że nie będę dobrym żołnierzem, na ćwiczeniach zupełnie sobie nie radziłem, nie potrafiłem maszerować w szyku, nie mogłem się nauczyć składać karabinu. Ale dołożę wszelkich starań, rozumiesz to chyba?

A jednak komisja medyczna odrzuciła zgłoszenie Philipa ze względu na stan zdrowia. Nadal cierpiał na astmę i w ciągu ostatnich lat wzrok jeszcze mu się pogorszył. Wprawdzie Clemency kamień spadł z serca, ale widziała, że brat, mimo wyraźnej ulgi, przeżywa kolejne rozczarowanie.

– Chciałem się do czegoś przydać – powtarzał z rozgoryczeniem. – Raz się zdobyłem na honorowy postępek, to okazało się, że mnie nie chcą!

Wtedy Eva doznała olśnienia. Napisała do Sadie Bellamy do w Wiltshire, ta zaś natychmiast przysłała entuzjastyczny list: z radością przyjmie Philipa do pomocy w gospodarstwie. Chłopak zawsze kochał zwierzęta, a świeże powietrze świetnie mu robi na astmę. Clemency z Evą odprowadziły go na pociąg. Następnym wyjechał, pomyślała Clemency, czekając, aż biała chusteczka, którą im machał, zniknie za najbliższym zakrętem. Teraz zostały już tylko we trzy, a tak niedawno było ich dziesięcioro... I znów ten okropny ucisk w sercu.

Obie z Evą żyły listami. Wyrwały je z rąk listonosza, gdy tylko zapukał do drzwi. Listy od Philipa z Greenstones pełne historyjek o dzieciach Bellamych i farmie. Listy od Aidana z obozu ćwiczebnego w północnej Anglii. Listy od Iris, która pracowała w wojskowym szpitalu w Etaples w północnej Francji.

Listy od wszystkich, tylko nie od Marianne. Codziennie przeglądały nerwowo koperty w poszukiwaniu tej ze znajomym pismem i codziennie czekało je rozczarowanie. Nie miały od niej ani słowa, nawet po tym, jak napisały jej o śmierci Jamesa i ojca. Nabrały wtedy przekonania, że ich kontakt urwał się wskutek jakiejś okropnej zmiany

w jej sytuacji. Chociaż rzadko o tym rozmawiały, Clemency wiedziała, że wszystkie myślą tak samo. Pewnego wieczora Eva napisała do gubernatora Cejlonu, prosząc go o pomoc w ustaleniu, co dzieje się z Marianne. Clemency cały czas stała za jej krzesłem, czytając, co pisze. Strata ojca i Jamesa sprawiła, że ich życie stało się szare i puste. Ale stracić siostrę – to tak, jakby utracić część siebie.

W końcu czerwca Brytyjczycy otworzyli ogień artyleryjski nad Sommą. Bombardowanie, które miało zniszczyć niemieckie umocnienia, było tak potężne, że wibracje z wielkich dział odczuwano aż w Londynie. Pierwszego lipca posłano do walki sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Z początku z nagłówek gazet biła nuta triumfu, później zaczęły napływać wieści o stratach. Ginęły całe bataliony, w tym także te ochotnicze. Tuż po wybuchu wojny brytyjskie miasta z dumą tworzyły oddziały z własnych mieszkańców¹⁵; teraz, po jatce nad Sommą, te same miasta okryły się żałobą.

W Sheffield również utworzono taki batalion. Z rozkazem zdobycia wioski Serre posłano go prosto pod grad kul z karabinów maszynowych. Polegli mieszkańcy wcześniej zatrudnieni byli w miejscowych fabrykach i instytucjach, niektórych Clemency znała przez całe swoje życie. Zginął Oswald Hutchinson, Alfreda Palmera uznano za zaginionego, Ronnie Catherwood odniósł ciężkie rany, kiedy eksplodował przy nim granat; lekarz powiedział jego matce, że chłopak prawdopodobnie nie odzyska już wzroku.

Clemency pojechała odwiedzić Ronniego w londyńskim szpitalu, dokąd przewieziono go, gdy tylko zdołał znieść morską podróż z Francji. Biały bandaż zakrywał mu połowę głowy, prawa ręka była amputowana tuż za łokciem. Siedząc przy milczącej, bladej postaci, Clemency wspominała, jak przed laty podczas przyjęcia w Summerleigh podglądała zza drzwi Ronniego, który z ekstazą w oczach tańczył walca z Iris.

Później odwiedzała go regularnie co dwa tygodnie. Raz, jadąc do Londynu, siedziała sama w przedziale, kiedy na stacji w Northampton drzwi się uchylily i zajrzała do niej młoda kobieta.

– Czy te miejsca są wolne?

Clemency przytaknęła i kobieta weszła do przedziału. Miała na sobie czarną suknię i czarny kapelusz z woalką.

– Nie ma pani nic przeciwko temu, abym zdjęła kapelusz?

– Nie, skądże.

Zaczęła wyciągać szpilki.

– Zawsze czuję się w kapeluszu jak uwięziona, a pani? Zwłaszcza gdy jest gorąco, a wypada nosić woalkę.

Zdjęła kapelusz, ukazując gęste, ciemne włosy, zwinięte w węzeł na karku. Miała lekko skośne orzechowe oczy i kremową karnację. Clemency z miejsca uznała ją za najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek widziała.

Nowa pasażerka wyciągnęła do niej rękę.

– Nazywam się Otilie Maitland.

Clemency się przedstawiła.

– Jakie śliczne imię – zauważyła.

– Lubię je. „Clemency” też mi się podoba. – Otilie przechyliła na bok głowę i przyjrzała się z namysłem swej towarzyszce. – Tak, pasuje do ciebie. Napijesz się herbaty? – Wyjęła termos. – Michael zawsze zabierał w podróż termos i paczkę pierniczków, a ja przejęłam po nim ten zwyczaj. Uważał, że to dobry sposób na uniknięcie kolejek w wagonie restauracyjnym.

– Michael?

– Mój mąż. Umarł na zapalenie płuc we Francji cztery miesiące temu. Był kapitanem gwardii.

Clemency złożyła jej wyrazy współczucia.

– Jak długo byliście małżeństwem?

– Dwa lata. Mam ośmiomiesięcznego synka. A ty, Clemency, po kim nosisz żałobę?

– Po ojcu i bracie. Cały czas martwię się o moich bliskich, nie mogę przestać o nich myśleć. – Zreflektowała się nagle. – Przepraszam, nie powinnam...

Ale Otilie, zamiast odpowiedzi, wyciągnęła do niej paczkę pierniczków.

– Proszę, poczęstuj się! Ostatnio żyję tylko herbatnikami i konserwami. Nie warto przecież gotować tylko dla siebie. Może, jak mały podrośnie, będziemy sobie urządzać kolacyjki, ale na razie on jada tylko chleb z mlekiem i gotowane owoce. – Przyjrzała się Clemency uważnie. – Gdybyś kiedyś chciała się urwać, to zapraszam.

Clemency nie umiała powstrzymać zdziwienia. Otilie na widok jej miny wybuchnęła gardłowym śmiechem.

– Moja niania zawsze mówiła, że za bardzo wyrywam się naprzód. Ale ja na pierwszy rzut oka wiem, kogo będę lubiła i ciebie na pewno polubię, Clemency. Więc po co kręcić? Zobaczysz, że spodoba ci się u mnie, mój dom wszystkim się podoba! Trochę się rozpada, ale to nie ma znaczenia, prawda? I z największą radością przedstawię ci mojego synka. W tych ciężkich czasach człowiek potrzebuje przyjaciół, a Archie i ja trajkoczymy jak najęci.

Otilie mieszkała w Leicestershire w niewielkim dworku, usytuowanym w dość odludnej okolicy, wśród łagodnych lesistych wzgórz i łąk. Dom składał się z pokoi o pochylonych ścianach i spiralnych schodów, które wyrzucały człowieka na zewnątrz w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Stare dębowe meble przez całe lata polerowano woskiem, ich obicia z wytartego pluszu i adamaszku czuć było stęchlizną. Oczywiście dom miał też swoje duchy, jak poinformowała Otilie nową przyjaciółkę, rzucając tę uwagę przez ramię na ciemnych, wąskich schodach.

– Zawsze mówię, że duchy są jak pająki: jeśli się im nie przeszkadza, to i one cicho siedzą. I jak pająki, utrzymują dom w porządku.

Na zewnątrz rosły nadmiernie wybujałe krzewy, widać też było resztki zarośniętych parterów kwiatowych.

– Jedyne zadbane kawałki ogrodu to grządki z warzywami i miękkimi owocami. Jesienią zamierzam posadzić mnóstwo ziemniaków. Przynajmniej nie będziemy

z Archiem głodować, jak Niemcy pozatapiają już wszystkie nasze okręty. – Otilie ucałowała mocno pulchnego, ruchliwego synka i spojrzała groźnie zza jego główki. – A jeśli ta parszywa wojna nie skończy się, zanim mój Archie dorośnie, to go schowam na strychu i już! Nie dam mu pójść do wojska!

Dom, jak mówiła Otilie, nadawał się do generalnego remontu. Od porywistych wiatrów poprzesuwały się dachówki, zaklinowane we framugach okna i drzwi nie chciały się otwierać. Miała tylko jedną służącą, panią Forbes, która dawniej była jej nianią, a teraz pomagała opiekować się Archiem. Obie prowadziły z sobą nieustającą wojnę, gdyż pani Forbes upierała się przy rygorystycznym przestrzeganiu rozkładu dnia, Otilie zaś dość lekceważąco odnosiła się do takich spraw jak stałe godziny snu czy jedzenie między posiłkami. Służba, która zajmowała się domem tuż po jej ślubie z Michaeliem, składała się z osób w starszym wieku. Niektóre z nich już nie żyły, inne przeniosły się do dorosłych dzieci. Otilie nie zdobyła się na zastąpienie ich nowymi; praktyczna z natury, najważniejsze prace wykonywała sama, z fanatycznym oddaniem poświęcała się uprawianiu ogrodu, natomiast gotowała i sprzątała w zależności od nastroju. Gdy w kompoście zagnieździły się szczury, powystrzelala je z górnego okna. Miała dobre oko i podwórze szybko pokryło się brązowymi trupkami zwierząt.

Przyjaźń się pogłębiała, w miarę jak lato stopniowo przechodziło w jesień. Clemency często nocowała w Hadfield, gdzie sypiała w wysokim łóżku z kolumienkami, obwieszonym wyblakłymi haftami scen myśliwskich. W dzień pomagała przy Archiem i w ogrodzie, wykonywała też różne prace domowe. Chodziła na zimny, ciemny strych i mocowała odpadające dachówki, czyściła rynny z zeschniętych liści. Wizyty w samotnym, rozpadającym się, lecz pełnym bajkowego uroku domostwie traktowała jak ucieczkę połączoną z przyjemnością; wiedziała, że będzie tam wracać. Wracałaby, gdyby nawet Otilie mieszkała w slumsach, gdyż to właśnie ona ją przyciągała. Kojarzyła się Clemency z cebulą; to niezbyt pochlebne ani poetyckie porównanie najlepiej oddawało kolejne pokłady fascynacji i magii, jakie zdawała się ciągle odsłaniać. Przebywając w Summerleigh czy wioząc panią Coles na spotkanie, Clemency miała przed oczami Otilie kopiającą grządkę w starych mężowskich bryczesach i tweedowej kurtce albo siedzącą po kąpielu w kuchni z mokrymi włosami niczym czarnym welonem na ramionach. Ogarniała ją wtedy dziwna tęsknota i radość, podobna nieco do tego, co kiedyś czuła do Ivora, ale pozbawiona elementu niepewności i respektu, który – jak teraz wiedziała – zawsze był częścią jej miłości do muzyka.

Zauważyła, że Otilie rzadko mówiła o mężu. Rana po śmierci Michaela musiała jeszcze być zbyt świeża i bolesna. Na kominku w salonie stała jego fotografia. Pomimo munduru Michael Maitland wyglądał na niej bardzo chłopięco ze swymi okrągłymi jak guziki ciemnymi oczami i niepewnym, przymilnym uśmiechem.

Pewnego popołudnia Clemency zastała Otilie na kolanach przed piecem kuchennym.

– To draństwo nie chce się palić! – narzekała. – Zużyłam już całe pudełko zapalek!

Clemency zaoferowała się z pomocą. Wysławszy przyjaciółkę do Archiego, który ostatnio się przeziębził, zabrała się do czyszczenia pełnego sadzy pieca. Spędziła rozkoszne dwie godziny na opróżnianiu popielnika i poprawianiu ciągu. Zanim udało się rozpaścić

ogień, była cała w sadzy i musiała zagrzać kilka garnków wody, żeby się wymyć.

Siedziała później w kuchni, owinięta w szlafrok Otilie, która zajęła się przygotowywaniem grzanek z serem.

– Dziś są urodziny Michaela – powiedziała. – Biedaczek... Skończyłby trzydzieści jeden lat! Zwykle w tym dniu włąziliśmy na ten wielki dąb w ogrodzie. Zabieraliśmy butelkę czerwonego wina, dwa kieliszki i piliśmy wśród gałęzi. Czyste szaleństwo! Trochę trudno zejść na ziemię, jak człowiek jest zawiany, ale w sumie to bardzo śmieszne. Oczywiście jak byliśmy mali, zabieraliśmy lemoniadę zamiast wina, ale i tak było fajnie.

– Zналиście się od dzieciństwa?

– Byliśmy kuzynami, mieliśmy tę samą babkę. W chwili zaręczyn zналиśmy się od wielu lat. Michael był ode mnie starszy o sześć lat, zawsze bardzo go podziwiałam. Taki wysoki, przystojny, mądry...

– Pewnie bardzo za nim tęsknisz.

– Pod niektórymi względami. Nie wszystkimi. – Otilie przyrządała kakao i właśnie wlewała wrzące mleko do kubków. – Nie powinniśmy byli się pobierać... No popatrz, jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię. Nikomu innemu bym nie potrafiła. Nie chcę cię gorszyć, Clemency, ale to prawda.

– Nie kochałaś go?

– Kochałam, i to bardzo. Ale jak przyjaciela czy brata, nie jak męża. – Dodała do kubków trochę brandy i postawiła jeden przed Clemency. – Był naprawdę uroczy, dobry i bardzo się przyjaźniliśmy. Po zaręczynach czasem całował mnie na dobranoc i nie znosiłam tego. Myślałam, że po ślubie będzie inaczej, że małżeństwo zmieni moje uczucia, ale tak się nie stało. Kiedy mnie całował, zamykałam oczy i udawałam, że mnie tam nie ma. On chyba czuł to samo. Często myślałam, że musiało mu być jeszcze gorzej. Bo to mężczyźni są odpowiedzialni za tę stronę małżeństwa, prawda? – Zmarszczyła brwi. – Każ mi przestać, jeśli nie chcesz tego słuchać, dobrze? Ja to świetnie zrozumieć.

– Nic mi to nie przeszkadza.

– Dolać ci kakao?

– Poproszę.

– I papieroska. Koniecznie muszę zapalić. – Poczęstowała Clemency. – W noc poślubną nie mieliśmy pojęcia, co robić, w końcu przytuliliśmy się do siebie i tak zmorzył nas sen. Ale Michael wiedział, że to nie jest w porządku, więc poszedł do jakiegoś lekarza na Harley Street i ten dopiero pchnął go na właściwą ścieżkę. No i w końcu prawie nam się udało zostać prawdziwym małżeństwem. A potem Archie był już w drodze i zaczęliśmy sypiać w oddzielnych pokojach. Zrobiło się znacznie lepiej, ale nie można tego nazwać szczęściem, prawda? Wiedzieliśmy, że się różnimy od innych par, i to nas chyba krępowało, wręcz zawstydzalo. – Westchnęła. – Przypuszczam, że Michael wolał męskie towarzystwo. Nie miał siostr, ukończył męską szkołę, a po studiach od razu poszedł do wojska. Więc raczej nie miał szans przywyknąć do kobiet. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że mnie lubił, bo zawsze zachowywałam się jak chłopaczysko. Mieliśmy z sobą wiele wspólnego – oboje uwielbiliśmy samochody, polowania, żeglarstwo. No i oczywiście musiał się ożenić ze względu na Hadfield. Mój mały Archie jest ostatnim z Maitlandów.

– Czemu w ogóle za niego wyszłaś?

Otilie uśmiechnęła się smutno.

– Nie z właściwych powodów, niestety. Moje przyjaciółki wychodziły za mąż i nie chciałam zostać na lodzie. Zaczęłam się już martwić, że nigdy nie spotkam kogoś, za kogo chciałabym wyjść. Często mam wrażenie, że pobraliśmy się, bo uznaliśmy to za najlepsze rozwiązanie. I wiedzieliśmy, że jak już weźmiemy ślub, to przynajmniej nie będziemy musieli udawać, że szukamy kogoś innego.

– Myślisz, że wyjdiesz jeszcze za mąż?

– O, nie! Dostałam już nauczkę. – Otilie wrzuciła rondelk po mleku i brudne talerze do zlewu. – Bardzo wcześnie po ślubie zorientowałam się, że popełniłam wielki błąd. Muszę mieć pokój tylko dla siebie, nie cierpiałam spać z Michaeliem w jednym łóżku. To... to obrzydliwe.

Clemency pomyślała o swych zmaganiach z Ivorem na kanapie. Jeśli na tym polega małżeństwo, to co ludzie w nim widzą?!

Usłyszała głos Otilie:

– Pozwól, że rozczeszę ci włosy.

Clemency zamknęła oczy i z rozkoszą poddała się jej rękom.

– Żałuję tylko jednego – ciągnęła Otilie, przesuwając grzebieniem po włosach – że w głębi duszy zawsze uważałam to za coś złego. Pamiętasz, jak pierwszego dnia naszej znajomości powiedziałam ci, że od pierwszej chwili wiem, co do kogo czuję?

– Oczywiście.

– No więc wiedziałam, że nie kocham Michaela, a jednak nie posłuchałam wewnętrznego głosu. Ale po jego śmierci postanowiłam, że już nigdy nie popełnię takiego błędu. To było nie w porządku i wobec mnie samej, i wobec Michaela.

Grzebień znieruchomiał. Clemency z nagłym przestraszeniem chwyciła Otilie za rękę.

– Czy zmieniasz kiedykolwiek zdanie? Chodzi mi o twój stosunek do ludzi.

– Nigdy. I wobec ciebie też go nie zmienię, najdroższa Clemency. Kocham cię, wiesz? Bo ja wiem o tym od dawna.

I pocałowała ją w czubek głowy.

Iris od początku roku pracowała w szpitalu wojskowym w Etaples, niedaleko wybrzeża północnej Francji. Pod koniec czerwca otrzymali rozkaz usunięcia z łóżek rekonwalescentów i przygotowania oddziału na nowy transport rannych. Przez następnych kilka dni w szpitalu panowała atmosfera gorączkowego oczekiwania. Potem przywieziono pociągiem pierwsze ofiary bitwy nad Sommą. Cała podłoga izby przyjęć pokryła się mundurami khaki. Ranni, owinięci w brązowe koce, mieli kończyny w łupkach i głowy w zakrwawionych bandażach. Iris wystarczał jeden rzut okiem, by upewnić się, że jego wśród nich nie ma, potem zaś powtarzała zawsze tę samą procedurę: zdjąć brudne, zakrwawione ubranie, zerwać bandaż założony w punkcie pierwszej pomocy, umyć ranę i nałożyć jałowy opatrunek i bandaż, cały czas szepcząc słowa pociechy. Zmierzyć temperaturę i puls, wysłać vadkę¹⁶ po baseny i wodę. Pacjentów

szybko dzielono na grupy – jednych kierowano do prześwietlenia, innych na natychmiastowe operacje, oddzielnie zajmowano się zagrożonymi wykrwawieniem. Po wypełnieniu wszystkich łóżek lżej rannych przenosiło się na podłogę.

Jesienią, podczas chwilowej przerwy w walkach, Iris otrzymała list od Asha: przebywa w sprawach wojskowych w pobliskim Le Touquet, a następnego dnia będzie miał wolne. Przełożona dała jej na jeden dzień dawno odkładaną przepustkę. Kiedy rano wreszcie się spotkali, Iris miała chęć dotykać kolejno wszystkich kończyn Asha, żeby mieć pewność, iż nadal są w jednym kawałku. Czytając w jej myślach, uśmiechnął się szeroko.

– Wszystko na swoim miejscu. Zawsze byłem szczęściarzem.

– I niech tak zostanie.

Pocałował ją.

– Co robimy? Może przejdziemy się po plaży?

Poszli brzegiem morza do Paris-Plage. Bryza stroszyła trawę na wydmach, spychając łodzie rybackie na pełne morze. Fale niosły z sobą słony zapach. Ash objął ją ramieniem.

– Czasem żałuję, że tak zwlekam z podejmowaniem decyzji. Pomyśl, gdybyśmy się pobrali od razu po tamtej rozmowie w Summerleigh, kiedy mi to zaproponowałaś...

– Właściwie nie prosiłam cię o to wprost.

– Ale prawie, co za różnica? O, zaczerwieniłaś się...

– Gdzie tam, to po prostu zdrowy rumieniec od morskiego powietrza.

– Tak czy inaczej, gdybyśmy się wtedy pobrali, moglibyśmy już mieć z pół tuzina dzieciaków.

– Na pewno nie aż tyle.

– To całkiem wykonalne: wystarczą trzy pary bliźniąt.

– Dobry Boże! Potrzebowalibyśmy ogromnego domu.

– Mam ogromny dom.

Rzeczywiście, przecież Ash odziedziczył po swym opiekunie dom w Cambridgeshire!

– Jasne, że masz.

– Jeśli przez to przejdziemy...

– Ash! Nie wolno nam robić planów. Wiesz, że to przynosi pecha.

– Niestety, chyba już coś zaplanowałem. Kupiłem ci to... – Wyjął coś z kieszeni.

Kiedy otworzyła pudełeczko, zobaczyła staroświecki pierścionek z perłami i małutkimi rubinami. – Wypatrzyłem to w Le Touquet. Jeśli ci się nie podoba, poszukam w Londynie czegoś bardziej okazałego.

Mimo guli w gardle udało się jej wykrztusić:

– Jest... jest piękny!

– Więc, do cholery, tym razem zrobię to, jak należy! – Ukląkł przed nią na piasku.

Fala lizała mu stopy i Iris musiała zakryć ręką usta, żeby nie parsknąć śmiechem. – Iris, czy zostaniesz moją żoną?

Jakoś odechciało się jej śmiać.

– Oczywiście – szepnęła.

Zabrał ją na lunch w Le Touquet. Przy butelce szampana i owocach morza, podanych w miseczkach z lodem, odbyli długą, chaotyczną rozmowę o wszystkim, z wyjątkiem wojny. O swoim ślubie, o tym, gdzie zamieszkają, co będą robić.

– Myślałem o założeniu szkoły – wyznał Ash. – Dom Emlyna znakomicie się do tego nadaje. Cały kłopot z prawem polega na tym, że sprzątasz bałagan, jaki inni ludzie zrobili ze swojego życia. Lepiej więc chyba wkroczyć w nie na samym początku, kiedy da się jeszcze zapobiec złu. – Splótł palce z jej palcami. – Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko domowi pełnemu dzieci. Pewnie wołałabyś trochę ciszy i spokoju po tym wszystkim...

– Może. – Podniosła jego rękę do ust. – Kochany Ash! Nadal nie przestajesz zmieniać świata. Jak ci się udaje zachować wiarę?

– Czasem mi się nie udaje.

Pochwyciła wyraz jego oczu.

– Musiałeś przejść straszne rzeczy.

– Owszem, nie było lekko. – Dolał jej szampana. – Ale i ty nie siedziałaś z założonymi rękami, więc może nie mówmy już o tym. Dajmy sobie dzień urlopu od wojny. – Uśmiechnął się przekornie. – Opowiedz mi lepiej o swojej rodzinie. Przecież to dlatego się z tobą żenię. Zawsze chciałem mieć dużą rodzinę.

– Powiększysz trochę jej szeregi. Tak głupio, że jest nas teraz tylko sześcioro, a może nawet pięcioro.

Akurat wydlubował coś z muszelki.

– Jak to – pięcioro?

Powiedziała mu o Marianne.

– Wciąż myślę, że stało się z nią coś okropnego... – I dodała z okrutną szczerością: – Według mnie, ona nie żyje. Nie mówiłam tego Evie, bo wiem, że tylko się na mnie pogniewa, ale od dłuższego czasu tak uważam. Marianne nie mogłaby tak po prostu o nas zapomnieć, musiało ją spotkać coś złego.

– A jej mąż? Dziecko?

– Nigdy nie ufałam Lucasowi Melrose'owi. Jego nie dało się polubić. Owszem, jest bardzo przystojny, inteligentny i bogaty, ale nie mogłam się do niego przekonać. Zresztą Eva także. – Iris westchnęła. – Ona napisała nawet do gubernatora Cejlonu, ale dotąd nie nadeszła żadna wiadomość. Na Morzu Śródziemnym zatopiono tyle okrętów, może jej listy także poszły na dno.

Ścisnął ją za rękę.

– Nie wolno ci się poddawać. Dopóki nie wiesz na pewno, zawsze jest jakaś nadzieja.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Masz, spróbuj tego – powiedział.

– Wygląda jak ślimak – zauważyła z wahaniem.

– Bo to jest ślimak.

– Zjedz sam.

– To lepsze niż wojskowe racje. A co słyhać u Evy?

– Píše do mnie strasznie nudne listy o rozkazach z ministerstwa i stawkach za pracę na akord. A także o różnych gatunkach stali i psujących się maszynach. Czasem nic nie rozumiem. To coś przedziwnego, Eva prowadzi firmę ojca! Biedna, tak bardzo za nim tęskni. Wszystkim nam go brakuje, ale jej chyba najbardziej.

Wlał resztę szampana do kieliszka Iris.

– Pij! A potem zabieram cię na dancing.

Przyjaciel Asha, David Richardson, miał przenośny gramofon. Tańczyli przy nim na plaży, między wydrami a morzem, gdzie połyskliwy, zbity piasek pokrywały różowe i żółte muszelki. Porucznik Richardson przyniósł dwie płyty – z piosenką z „Hullo, Ragtime!” i walcem z „Gaiety Girl”. Iris tańczyła z obydwojma panami na zmianę. Towarzyszył im krzyk mew, szum fal i łagodne ciepło jesiennego słońca. Zapomniała o wojnie, po prostu wyrzuciła ją z pamięci.

Tańczyła właśnie z porucznikiem Richardsonem, kiedy zobaczyła, że Ash siedzi w osłoniętym dołku pod wydrami i patrzy w morze. Kiedy po chwili do niego podeszła, wziął ją za rękę.

– Zastanawiam się – rzekł – czy nie byłoby mi lepiej i łatwiej, gdybym tego nie widział. – Szum morza i wiatru zagłuszał jego słowa i musiała wyteżać słuch, żeby coś usłyszeć. – Kiedy jestem tam, w okopach, mówię sobie, że nic poza tym nie istnieje. Więc nie ma sensu marnować czasu na tęsknotę za czymś, czego nie można mieć. Taka niewyobrażalna brzydota! Jak okiem sięgnąć, samo błoto i leje po bombach. Może czasem jakiś słup telegraficzny albo pień drzewa sterczący z błota, albo krzyż znaczący miejsce, gdzie ktoś poległ. A poza tym wszystkie te wojenne atrybuty – skrzynie po nabojach, łopaty, tornistry, zardzewiałe puszki, opakowania po czekoladzie i papierosach... Ale żadnych żywych stworzeń – z wyjątkiem nas, szczurów i wszy – absolutnie nikogo.

Zatańczył z nią jeszcze jeden, ostatni raz. Muzyka niemal ginęła w wyciu wiatru, niebo pociemniało. Iris pomyślała: Cokolwiek się wydarzy, na zawsze to zapamiętam. Moją głowę w zagłębieniu jego ramienia, ręce, które mnie obejmowały i jego policzek przy moim. I wodę chlupoczącą przy moich stopach, gdy nadchodził przypływ, i pocałunki.

– Bądź nadal takim szczęściarzem, Ash – szepnęła. – Przyrzeknij, że będziesz dbał o siebie. Przyrzeknij.

Ostatnio często padało zdanie: „Będę musiała sobie z tym po-radzić”.

„Poradzić sobie” – oznaczało wszystko, od przyrzędzania gulaszu z kocięgo mięsa do pójścia do pracy w dzień po otrzymaniu wiadomości o śmierci syna. Nie było zwłok do pochowania, a więc i konieczności organizowania pogrzebu.

Dla Evy „poradzić sobie” znaczyło zwlec się co rano z łóżka przez siedem dni w tygodniu, chociaż każda obolała kosteczka błagała o jeszcze jedną godzinę snu, i dotrzeć do biura przed robotnikami, tak jak robił to ojciec. Ślęczyć nad robotą do

późnego wieczora, żeby skompletować zamówienie dla Ministerstwa Uzbrojenia, chociaż głowa bolała, a rzędy liczb tańczyły przed oczami. Zacisnąć zęby, gdy pokojówka Ruby opuściła Summerleigh i poszła pracować w fabryce amunicji, a do pomocy w domu została tylko krucha, starzejąca się coraz bardziej Edith i pani Bradwell, matka zaś wciąż narzekała na zimno i jedzenie.

Kiedy w roku 1917 wskutek blokady niemieckich łodzi podwodnych poszła na dno znaczna część floty handlowej, Wielkiej Brytanii zaczął zagrażać głód. Z powodu niedoboru ziarna trzeba było ograniczyć wypiekanie chleba. Parki i trawniki zostały przekopane i obsadzone warzywami. Król Jerzy V ogłosił, że usunie ze swych ogrodów róże i geranium, a na ich miejsce każe posadzić ziemniaki i kapustę. Clemency także skopała grządki w Summerleigh, a Eva w wolnej chwili wrywała chwasty z warzyw. Potem, w lutym, Clemency wstąpiła do Kobiecej Armii Lądowej i wysłano ją do pracy na farmie w pobliżu Market Harborough.

Chociaż jedzenie w Summerleigh było monotonne, proste i ograniczone, Eva wiedziała, że i tak mają szczęście. Ze zubożałych wiejskich regionów i z najgorszych slumsów wciąż napływały wieści o niemowlętach umierających z niedożywienia. Wychudzone i obdarte dzieci gromadziły się przed fabrykami w miastach, zebrząc o resztki z paczek z lunchem.

Szczęście mieli także pod innym względem. Stracili wprawdzie ojca i brata, ale pozostałym członkom rodziny na razie nic nie zagrażało: żona i dzieci Jamesa były dobrze zaopatrzone dzięki pensji zapewnionej im przez Joshuę w testamencie, Aidan, który przeszedł chrzest bojowy nad Sommą, stacjonował teraz w sztabach wojskowych w pewnej odległości od frontu, Philip zaś znakomicie czuł się w Greenstones. „Nie poradziłabym sobie bez niego, to istny skarb. Haruje jak wół, ma mnóstwo cierpliwości do dzieci i nigdy, ale to nigdy nie narzeka” – pisała Sadie do Evy.

Tak wielu przyjaciół i znajomych ucierpiało znacznie bardziej. Ojcowie, mężowie i synowie padali w bitwach albo umierali na zapalenie płuc i dyzenterię. A jeśli żyli, to okaleczeni – jak Ronnie Catherwood – albo z nerwami tak zszarpanymi, że nawet najłżejszy dźwięk – szelest kartki czy szum wiatru – wywoływał u nich atak paniki. W fabryce pracowali ojcowie, którzy stracili dwóch, trzech, a nawet czterech synów, i kobiety osierocone przez mężów, ojców, braci. Były i takie, które otrzymawszy telegram z zawiadomieniem o śmierci najbliższych, nadal żyły nadzieją. Dopiero po miesiącach i latach daremnego oczekiwania dawały za wygraną, zmuszone pogodzić się z faktem, że ich ukochany nie żyje i nawet nie wiadomo, gdzie go pochowano.

Eva wciąż martwiła się o Marianne. To okropne, że niczego nie można się dowiedzieć! Wracając pieszo z pracy, odchwaszczając grządki czy zbierając ślimaki z sadzonek, nie przestawała myśleć o jej tajemniczym milczeniu. Może – jak przypuszczała Iris – Marianne odeszła od Lucasa? Ale w takim razie dlaczego nie pisze? Chyba nie boi się, że siostry mogłyby ją potępić? Przecież i one miały niezły zamęt w swoich osobistych sprawach. A może Marianne po prostu uciekła? Zrozumiała, że dokonała złego wyboru, więc zabrała synka i ułożyła sobie życie na nowo?

Natomiast absolutnie nie mogła uwierzyć w śmierć Marianne – to, że miałyby już nigdy jej nie zobaczyć, po prostu nie wchodziło w rachubę. Wiedziała, że Iris postawiła

już na siostrze krzyżyk i okropnie ją to złościło. Wydawało się jej – choć nie mówiła tego głośno – że Marianne potrzebuje ich wiary.

W wytwórni, podobnie jak w domu – Eva „radziła sobie”. Wojna wymusiła pewne zmiany: oprócz narzędzi produkowali teraz bagnet i blaszane hełmy. Eva uśmiechała się czasem na myśl, co by powiedział ojciec na rzędy kobiet, stojących przy maszynach i wykonujących coraz bardziej skomplikowane zadania, jakie dotychczas były domeną mężczyzn. Taki sam uśmiech wywoływał na jej twarzy widok konduktorek sprzedających w tramwajach bilety czy lekarek, które przy okazji odwiedzin u przyjaciół w szpitalu spotykała na oddziałach. Kobiety się zmieniały, podobnie jak wcześniej zmieniły się siostry Maclise. Kiedy skończyły się dawne rygory i frustracje, objawiły talenty i zalety, które dotąd nie miały prawa wyjść na światło dzienne. Wszystko to, czego Eva pragnęła, o co walczyła. Czuła teraz cichą radość, ale nie triumf, znała bowiem cenę, jaką za to zapłaciły i nadal płacą.

Ktoś łagodnie zwichrzył jej włosy i Eva się obudziła. Zasnęła nad plikiem faktur! Czuła je teraz pod policzkiem.

– Powinnaś iść do domu – powiedział Rob Foley. – Tam pewnie będzie ci wygodniej spać niż w biurze.

– Zaraz pójdę. – Przetarła oczy. – Chociaż matka zawsze narzeka, jeśli zdrzemnę się w salonie. Mówi, że ma dość towarzystwa córki, która przesypia cały wieczór. Poza tym w domu jest strasznie zimno, nigdy nie mamy dość węgla, żeby ogrzać taką dużą powierzchnię. Myślałam nawet, żeby spędzić noc tutaj. Wiesz, ile czasu marnuję na chodzenie tam i z powrotem? Ale pewnie nie wypada, co?

– Absolutnie nie wypada. Proszę, przyniosłem ci kawę. – Postawił przed nią filiżankę na spodku. Nagle dodał: – Evo, zdecydowałem się złożyć wypowiedzenie.

– Och, nie żartuj, Rob... – Patrzyła na niego, wciąż półprzytomna. Przelatywało jej przez głowę mnóstwo powodów: może zaproponowano mu bardziej lukratywną posadę, może ma dość szefa-kobiety, ale każdy po kolei odrzucała. I nagle, widząc jego wyraz twarzy, zrozumiała. – Nie, Rob! – wykrzyknęła ze złością. – Tylko nie to! Zabraniam ci!

– Evo, ja muszę.

– Nieprawda! Twoja praca tutaj jest tak samo ważna, masz pod opieką matkę i siostry, nie wolno ci iść do wojska, wiesz, że ci nie wolno!

– Ściśle rzecz biorąc, masz rację. Ale wojna nie skończy się prędko. Czy mam czekać, aż zaczną wyskrobywać dno tej beczki? Aż zaczną powoływać pięćdziesięciolatków i wdowców z małymi dziećmi? Jeśli pójdę teraz, dobrowolnie, to chociaż zachowam godność.

– Ale ja cię potrzebuję! – wykrzyknęła z rozpaczą.

– Chodzi ci o firmę?

– Tak! – odparła szorstko. – O firmę.

Zapadła długa cisza. Eva piła kawę – była za gorąca i parzyła jej usta. Nagle ogarnął ją straszliwy smutek; miała chęć się rozplakać, nakrzyczeć na niego, uświadomić mu powód...

– Dasz sobie radę – usłyszała. – Przecież pracujesz tu już dwa lata.

– Ale nie sama, Rob! Nie sama!

– Nie będziesz sama. Masz dobrych brygadzystów i wykwalifikowanych robotników. I wiesz, że nie musimy uganiać się za zamówieniami, mamy zbyt dużo pracy, nie za mało.

– Skoro tak – syknęła – to czemu nas opuszczasz, akurat kiedy jesteś potrzebny?

– To niesprawiedliwe, co mówisz. – Ruszył do drzwi. – Muszę już iść, spóźnię się na kolację. Wychodzisz?

Przytrzymał jej drzwi. Z urażoną miną włożyła płaszcz. Kiedy znaleźli się za bramą, spróbował jeszcze raz:

– Znasz się na robocie, Evo, na pewno wszystko będzie w porządku. Jesteś nieodrodną córką swego ojca.

Nic nie odpowiedziała.

Było przeraźliwie zimno, lodowate płatki śniegu fruwały wokół twarzy. Idąc w stronę mieszkania Roba, z pobliskiego kościoła usłyszeli śpiew.

– Może wstąpimy? – zaproponował.

– A twoja gospodyni? I kolacja...

– Niech diabli porwą kolację – odparł z mocą. Zdziwiła się, bo nigdy przedtem nie używał takich słów.

W kościele paliły się świece i panował lodowaty chłód. Przystanęli z tyłu i kiedy słuchali chóru, gniew Ewy powoli stopniał. Uderzyło ją, że chór składał się głównie z dziewcząt i kobiet, tenorów i basów była zaledwie garstka. Śpiewano przy akompaniamencie organów. Eva poczuła łzy pod powiekami. Wiedziała, że nie na Roba jest zła, tylko na to, że wszystko idzie na marne, na samotność, która będzie jej dokuczać po jego wyjeździe. To nieprawda, że potrzebuje go tylko z powodu firmy. Oj, wcale nie tylko...

Ale znów ryzykować miłość...? Ból, że się jest mniej kochaną, ból utraty miłości... Siostry Maclise mogłyby napisać książkę na ten temat. A jednak po pewnym czasie wsunęła mu rękę w dłoń. Nie odezwał się, nawet nie spojrzął, ale uścisk palców wystarczył jej za odpowiedź.

Chór skończył śpiewać i opuścili kościół. Kiedy schodzili ze schodów, Rob przemówił:

– Kocham cię, Evo. Wiem, że nie powinienem, ale cię kocham.

– Dlaczego nie powinieneś? – zezłościła się znowu. – Chyba nie zamierzasz wyskakiwać z jakimiś wiktoriańskimi bzdurami na temat „pozycji społecznych” i całej tej stęchlizny?

– Cóż, tak już jest. I jeszcze dochodzi sprawa mojego ojca.

Szli dalej drogą. Śnieg padał wolno, w nikłym świetle latarni płatki ukazywały się tylko na chwilę, aby zaraz zniknąć.

– Twój ojciec popełnił samobójstwo, ja miałam romans z żonatym mężczyzną, więc chyba wychodzi na zero?

Spodziewała się zaskoczenia w jego oczach i zgorzonego tonu, ale Rob uśmiechnął się tylko.

– Para degeneratów z nas, co?

– Chyba tak.

Szli dalej. Kiedy dotarli do rogu ulicy, przy której mieszkał, zapytał:

– Ta twoja historia... Czy to zakończone?

– O tak, i to od dawna.

– Ja nigdy nie będę mógł tego powiedzieć. Samobójstwo jest oznaką wypaczonego umysłu. Niektórzy lekarze uważają, że takie skłonności są dziedziczne.

– Zawsze mówiłam, że lekarze plotą bzdury – oburzyła się Eva. – Popatrz na tych, co leczyli moją matkę: nic im nie wychodziło, a ona potrzebowała tylko jakiegoś interesującego zajęcia.

– Ale nie wiemy tego na pewno, Evo. Zawsze pozostaje ten cień możliwości...

Zadrzała i postawiła kołnierz płaszcza.

– Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle chcę jeszcze kogoś pokochać. Podjąć takie ryzyko? I nie wiem, czy mogę mieć dzieci. Kiedy byłam z Gabrielem, nie zaliczyłam żadnej wpadki, a przecież mogłam... – Nagle obróciła się do niego twarzą. – Niczego nie można być pewnym! Jeśli życie czegoś mnie nauczyło, to przede wszystkim tego! – Pocałowała go w policzek i pobiegła do tramwaju.

Nie zamierzała odprowadzać Roba na stację. Nienawidziła takich dworcowych pożegnań, przyglądania się, jak ktoś, kogo się kocha, powoli znika sprzed oczu. Ale tego akurat ranka miała sprawę do rodzinnego prawnika i po wyjściu z jego biura zorientowała się, że jeśli się pośpieszy, zdąży pożegnać Roba.

Pociąg stał już na peronie. W tłumie odprowadzających zobaczyła najpierw matkę Roba, a potem Susan Foley w powiewnych czarnych szatach, które zaczęła nosić po wybuchu wojny. Sam Rob na jej widok wyraźnie się rozpromienił i Eva po raz pierwszy od dawna uświadomiła sobie, że jego pospolita raczej twarz pięknieje w uśmiechu.

– Miałam to wysłać pocztą – powiedziała, wręczając mu kawałek papieru – bo nie spodziewałam się zdążyć na czas. Jednak udało mi się wieczorem skończyć. Nie oprawiłam, bo pomyślałam, że tak łatwiej ci się zmieści w tornistrze.

Rozwinął szkic matki i sióstr.

– Rysowałam oczywiście z pamięci – dodała szybko. – I przepraszam, jeśli wyszło niezdarnie.

– Jest znakomity! Bardzo ci dziękuję. – Rozległ się gwizd lokomotywy i Rob chwycił swój bagaż. – Myślałem, że już nie rysujesz?

– Bo nie rysuję. Możesz się czuć zaszczycony.

Zawiadowca machnął chorągiewką i Winifred Foley wybuchnęła płaczem.

– Ależ mamoo...

– Będę się za ciebie modlić, synu.

– A jeśli coś się stanie, to pamiętaj, że między Teraz i Potem jest tylko mglista zasłona.

– Susan! – Winifred załkała jeszcze głośniej.

Obie kobiety przywarły do niego wśród szłochu. Eva dyskretnie trzymała się

z daleka. Wreszcie wyplątał się z ich ramion i wskoczył do wagonu.

Pociąg powoli ruszył, lecz nagle się zatrzymał. Rob wychylił się z drzwi przedziału i wykrzyknął jej imię. Pobiegła do niego wzdłuż peronu.

Chwycił ją w ramiona i obsypał pocałunkami. Nie mogli się od siebie oderwać, ale lokomotywa ruszyła i w końcu Eva została na peronie, zapatrzona w odjeżdżające wagony, nazbyt oszołomiona, by chociaż pomachać mu ręką.

Z powodu zimna i braku węgla Otilie zaczęła nosić w domu futro. Miało ten sam ciemny kolor, co jej włosy i – zdaniem Clemency – ten sam połysk zwierzęcej sierści.

Raz, kiedy korzystając z wolnego dnia, wybrała się do Hadfield, były akurat z Archiem w ogrodzie, gdy horyzont przesłoniła ciemna chmura zeppelinów. Patrzyły z przerażeniem, jak rośnie w ich oczach, aż w końcu uciekły z dzieckiem do kuchni i siedziały pod stołem, póki nie zniknął.

Tej nocy spały w jednym łóżku, żeby było cieplej. Otilie wtuliła się w Clemency, jej ciemne włosy muskały twarz przyjaciółki. Na zewnątrz szalał wiatr. Głaszcząc śpiącą Otilie po głowie, Clemency myślała ze zdziwieniem, że na przekór wszystkiemu – mimo śmierci Jamesa i ojca, mimo milczenia Marianne – czuje się teraz znacznie szczęśliwsza niż w całym dotychczasowym życiu.

W lutym 1917 roku armia niemiecka wycofała się za linię Hindenburga. Iris już od ponad roku pracowała w Etaples, gdzie szybko doczekała się awansu. Odpowiadała teraz za cały oddział szpitalny. W ciągu zimy mróz zwarzył trawę na wydmach i zmienił w lodowe sople wodę wyciekającą ze szczelin szalasu z drewna i płótna, gdzie sypiała.

Na oddziale zajmowała się chorymi na zapalenie płuc, posocznicę i gorączkę okopową. Wielu pacjentów ucierpiało także wskutek szoku po bombardowaniu. Kiedy pełniła nocny dyżur, często ciszę zakłócały ich krzyki i jęki rannych. W miarę upływu miesięcy uświadomiła sobie, że coś się w niej wyłączyło – tak samo, jak podczas epidemii dyfterytu w Mandeville. Istnieją granice ludzkiej wytrzymałości, ona zaś dawno przekroczyła swój limit. Chociaż wykonywała swe obowiązki z perfekcyjną sprawnością, widziała czasem w oczach vadki wyraz, który ją niepokoił. Raz, w sytuacji kryzysowej, ostro zwróciła wolontariuszce uwagę, że nie dość szybko usunęła z sali zwłoki. Zdarzało się jej słyszeć głuchoe echo własnego głosu, mrużąc do umierającego człowieka słowa pociechy, które dla niej samej dawno straciły znaczenie.

Czuła się ciągle brudna, ciągle zmęczona. Brudna – ponieważ podczas tej długiej zimy zawsze brakowało ciepłej wody do mycia. Jak wiele jej koleżanek, złapała żołądkową infekcję z wymiotami i musiała bez przerwy biegać do toalety. W czasie wyjątkowo intensywnego ruchu zdarzyło się jej parę razy zasnąć na stojąco. Bardzo się przestraszyła, że mogła popełnić jakiś błąd czy niedopatrzenie. Kiedy mogła sobie pozwolić na wypoczynek, zasypiała kamiennym snem – wpadała w czarną otchłań, o której często zdarzało jej się marzyć w ciągu dnia. W korespondencji oboje z Ashem nie wspominali o końcu wojny i Iris w głębi duszy uważała, że ów koniec nigdy nie

nastąpi. Ash – jej zdaniem – na pewno czuł to samo. Tak jak ona, wiedział, iż nie ma teraz niczego oprócz brudu i zgrozy, żadnej nadziei i żadnej ohydy, która nie mogłaby się przydarzyć. Patrząc na swój pierścionek, próbowała wyczarować przed oczami wydmy, taniec, pocałunki, ale nie pamiętała już, co wtedy czuła.

W niedzielę wielkanocną, po modlitwach, Iris kazano przyjść na oddział i przygotować go na przyjęcie transportu rannych wymagających interwencji chirurga. Dotychczasowi pacjenci mieli być przeniesieni do innych szpitali albo wysłani na rekonwalescencję do domów w Anglii lub Francji, a łóżka należało zaścielić świeżą bielizną. Konwoje rannych zaczęły napływać już następnego dnia. Iris znów wróciła do rutynowych czynności, które wykonywała niemal bezwiednie: zdjąć rannemu ubranie, usunąć prowizoryczny opatrunek, przemyć ranę, ocenić stan pacjenta, nałożyć świeży opatrunek. Potem roznieść baseny, zagotować wodę w imbrykach, zmierzyć puls i temperaturę. I cały czas nasłuchiwać huku kursujących tam i z powrotem pociągów, które przywiózłszy rannych, zabierały na front nowe oddziały żołnierzy.

We wtorek wieczorem na oddział Iris przywieziono kolejny transport. Miotła się od jednego pacjenta do drugiego, kiedy kątem oka zobaczyła, że vadka zastyga z nożyczkami w rękę i zatykając drugą dłonią usta, wpatruje się w jednego z rannych. Głowa żołnierza, oprócz nosa i ust, była cała w bandażach. Iris zabrała nożyczki i już miała zdjąć opatrunek, gdy poraziła ją myśl: To może być ktoś, kogo znam. Na wysmarowanym błotem mundurze nie dostrzegła odznaki regimentu. Może to Ash? A może Aidan? Albo ktoś z dawnych przyjaciół z Summerleigh, może z nim kiedyś tańczyła? Ręka z nożyczkami zaczęła drżeć. Kiedy Iris odwijala bandaż, dobiegł ją wystraszony głos:

– Nie jest chyba tak źle, co, siostrzo?

– Nie, wcale. – A jednak nie mogła opanować drżenia własnego głosu. – Damy panu coś na ból, a potem wszystko załatamy, proszę się nie martwić.

Stare frazesy. Kiedy jednak usunęła ostatnią warstwę, zobaczyła, że pacjent ma tylko pół twarzy. Zrobiła, co mogła, wysłała go na operację i czym prędzej wybiegła na zewnątrz, gdzie z trudem zapaliła papierosa i zaciągnęła się łapczywie.

Po tym incydencie odrętwienie, które ją chroniło przez całe miesiące, zaczęło ustępować. Straciła resztkę apetytu, podczas i tak niespokojnego snu nawiedzały ją koszmary, w których zwijała zakrwawione bandaże, odsłaniając straszliwe widoki: czaszkę oblepioną robakami, Jamesa oślepionego i niemego... A raz – i to było najgorsze ze wszystkiego – po prostu pustą przestrzeń w miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa.

Kilka dni później, kiedy pomagała pacjentowi przejść na salę operacyjną, przybiegła do niej vadka.

– Siostrzo Maclise, jakiś żołnierz na oddziale mówi, że siostrę zna.

Ash, pomyślała i serce podskoczyło jej do gardła. Wiedziała, że jego regiment – z Yorku i Lancaster – walczył pod Arras. Ruszyła czym prędzej, poprawiając w biegu włosy i ściągając brudny fartuch, który po drodze wrzuciła do brudownika.

Ale to nie był Ash, tylko porucznik Richardson, ten od gramofonu. Ranną nogę miał owiniętą prześcieradłem, a jego blada twarz ledwie odcinała się od poduszki.

– David! Co z tobą?
– Nie jest źle – odrzekł z cieniem uśmiechu. – Tylko już raczej nie zatańczymy. Mają mi uciąć nogę.
– Tak mi przykro, Davidzie... – Ujęła go za rękę.
– Muszę ci coś powiedzieć. Nie chcę, ale powinienem, i to teraz, na wypadek gdybym nie przeżył operacji.
Poczuła w środku bryłę lodu.
– Ash? – szepnęła. – Wiesz coś o nim?
– Nie udało mu się... Najpierw ogłosili, że zaginął. Ale pytałem wszędzie i... facet z innego plutonu powiedział mi, że porucznik Wentworth zmarł w Monchy-le-Preux. Przykro mi, Iris... Tak strasznie mi przykro...

Poza tym, że napisała do sióstr, nie zawiadomiła nikogo o śmierci Asha. Żadna ze szpitalnych koleżanek nie wiedziała o jej zaręczynach, więc Iris nie uznała za stosowne opowiadać o swym nieszczęściu. Odłożyła pierścionek do pudełka, w którym trzymała inne skarby, listy obwiązała wstążeczką i schowała na dno torby. Nie płakała. Płakała po śmierci Jamesa i ojca, ale nie Asha, którego kochała i zamierzała poślubić. Zamiast tego kontynuowała pracę, zakładała opaski uciskowe i łupki, czyściła i bandażowała rany.

W miarę jak opadał zapal bitewny, konwoje pojawiały się coraz rzadziej. Pewnego wieczoru na dyżurze, myjąc w zlewie różne utensylia, Iris zauważyła, że wysunęło się jej pasemko włosów. Odpięła czepek i zaczęła je podwijać, ale zobaczyła, że między jasnymi kosmykami coś się porusza. To była wesz!

Iris zachichotała cichutko. Przypomniała sobie, jak mając dwadzieścia dwa lata stroiła się w Summerleigh na jakieś przyjęcie: balowa suknia, strusie pióra i gardenia we włosach, brylanty w uszach, mgiełka perfum... Jaka głupia była, myśląc, że to wszystko będzie trwało wiecznie! A tymczasem to jest prawdziwe życie: przeżarte brudem ręce i wszy we włosach.

Na ociekaczu leżały nożyczki chirurgiczne. Iris wyjęła resztę szpilek z włosów i zaczęła ciąć. Słyszac za plecami ruch, obejrzała się; vadka gapiła się na nią z otwartymi ustami.

Iris dalej robiła swoje. Usłyszała, że vadka wybiega na zewnątrz. Pukle jasnych włosów zakrywały podłogę. Ciąć, ciąć, wyciąć całą przeszłość, która nigdy nie wróci!

Zastukały kolejne kroki.

– Siostro? – Usłyszała głos przełożonej. – Co siostra robi?

– Obcinam włosy – odparła sucho.

Po wyjeździe Roba Eva zaczęła tworzyć mozaiki. Sprawiało jej przyjemność, że może układać obrazy z połamanymi elementami – małych odprysków metalu z warsztatu, skorup starych filiżanek i talerzy, znalezionych na strychu; Maclise'ów od małego uczone, że niczego nie wolno marnować.

Na mozaikowych obrazkach przedstawiała dziewczęta z warsztatów albo bawiące

się na ulicach dzieci. Zawsze potrafiła dostrzegać piękno zwykłych rzeczy. Mozaikami zajmowała się po pracy, w wąskim przedziale czasu między kolacją a snem. Wysprzątała jedną ze służbówek na poddaszu – było tam zimno i wilgotno, ale otulała się ciepłym płaszczem i kładła pod stopy butelkę z ciepłą wodą. W dniu, w którym otrzymała od Iris list z zawiadomieniem o śmierci Asha, usiadła wśród porcelanowych skorup i wspominała ich oboje na pikniku wśród skał, jak jedli razem truskawki, jak spacerowali w deszczu po ulicach Whitechapel, jak Ash opowiadał im z błyskiem w oku o planach na przyszłość.

Niedługo potem dopadło ją ciężkie przeziębienie.

– Nic tylko siedzisz w tych przeciągach – zrzędziła matka. – Wiesz przecież, jak trzeba uważać, to takie bezmyślne z twojej strony, że narażasz nas na infekcję! I pamiętaj, żeby zamówić więcej węgla, wczoraj, siedząc w salonie, przemarzłam do szpiku kości!

Wciąż powtarzała matce, że węgla jest mało, ponieważ brakuje go na rynku, że po jedzenie trzeba stać w długich kolejkach i często dla tych na końcu nic nie zostaje... Ale Lilian i tak uważała, że wszystkim winna jest nieudolność córki.

Następnego dnia Eva obudziła się z silnym bólem głowy i gardła. Miała chęć obrócić się na drugi bok i naciągnąć kołdrę na głowę, ale zmusiła się do wstania. Umyła się, ubrała i poszła do pracy, gdzie ciągle to zdejmowała sweter i żakiet, to wkładała je na nowo. Uświadomiła sobie, że ma gorączkę, musi podczas przerwy na lunch wyskoczyć po aspirynę. Zatoki miała kompletnie zatkane, jakby wypełniał je cement, a najprostsze sprawy wydawały się nie do załatwienia. Parę osób z personelu również zmogła choroba, co oznaczało konieczność przesuwania kobiet z jednego warsztatu do drugiego. Oczywiście narzekały, bo oznaczało to rozdzielenie z koleżankami. Z Ministerstwa Uzbrojenia nadeszło nowe, priorytetowe zamówienie, toteż inne, nawet te opóźnione, trzeba było odłożyć. W porcie zaginął kontyngent stali i w końcu Eva musiała pójść sama na nabrzeże, aby wyjaśnić sprawę. Przeciskając się wśród hałd węgla i drewna, myślała, jak bardzo brakuje jej Roba, jak dobrze byłoby mieć go przy sobie. Z pewnością ująłby jej nieco ciężaru...

Przerwę na lunch spędziła w kolejce do sklepu w centrum. Nikt nie mógł jej w tym wyręczyć – Clemency wyjechała, Edith miała chore nogi, od starej, przygnębionej pani Bradwell nie sposób było wymagać wystawiania na mrozie, sama myśl zaś o matce stojącej w kolejce w jej dziwnych kreacjach z krepdeszynu i koronek wydawała się śmieszna.

Kiedy wieczorem Eva wychodziła z pracy, padał deszcz, a w tramwaju panował niesamowity tłok. Postanowiła iść pieszo z parasolem w jednej ręce i torbą z zakupami w drugiej. W domu zaraz za drzwiami postawiła torbę na podłodze i zdjęła mokry płaszcz.

– Evo? Czy to ty? – usłyszała płaczliwy głos matki.

– Tak, mamó.

Lilian siedziała przy pustym stole w jadalni. Eva popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Co tu robisz, mamó?

– Czekam na kolację.

– Nie jadłaś jeszcze? – Eva zerknęła na kominek. – A ogień? Nie rozpałaś nawet ognia?

– Tak strasznie mi zimno... I konam z głodu. Naprawdę trzeba pomyśleć o zastępstwie dla Edith, moja Evo. Coraz mniej można na niej polegać.

– Mamo! – wykrzyknęła z oburzeniem Eva. – Przecież ona ma dziś wolne, a pani Bradwell musiała iść do szpitala. Mówiłam ci...

– Nie złość się na mnie, Evo.

– Przecież mówiłam, że pani Bradwell zostawi ci talerz w spiżarni, miałaś go tylko wziąć! I zapalić jedną zapalniczkę...

– Proszę cię, nie krzycz... moja biedna głowa... Gdyby chociaż była Clemency albo Iris... Taka jestem zmęczona... Jak można oczekiwać, żebym sobie sama radziła?

Miała skurczoną twarz i głos nabrzmiały od łez. Evę nagle ogarnął wstyd. Też chciało się jej płakać, ale opanowała się i pocałowała matkę w policzek.

– Połóż się wcześniej spać, dobrze? – zaproponowała znacznie łagodniejszym tonem. – Przyniosę ci coś do jedzenia na tacy.

Wyjęła z kredensu talerz z chlebem, szynką i piklami, przygotowany uprzednio przez panią Bradwell, ukroiła kawałek ciasta i razem z dzbankiem herbaty zaniósła to wszystko na górę. Potem pomogła matce przebrać się w nocną koszulę, wsunęła do łóżka butelkę gorącej wody i pocałowała Lilian na dobranoc.

Wróciwszy do kuchni, była tak wykończona, że nie miała siły nic jeść. Wypiła resztkę zimnej herbaty, posprzątała, po czym włożyła płaszcz przeciwdeszczowy i wyszła do ogrodu. W liściach kapusty, tak starannie posadzonej przez Clemency, dostrzegła liczne dziurki. Nawet ze ślimakami nie mogę się uporać, pomyślała z rozpaczą. Już w domu zapakowała sobie lunch na następny dzień, wyprasowała bluzkę, uprała pończochy i nakryła stół do śniadania. Zanim to wszystko skończyła, zrobiła się jedenasta. Zerknąwszy na swe odbicie w lustrze, wpadła w rozpacz. Włosy miała w strąkach, nos czerwony, w swetrach i szalach wyglądała jak tobołek. Kiedyś byłam ładna, pomyślała. Kiedyś chciałam być artystką, znaleźć własne miejsce, żyć własnym życiem.

W salonie wyjęła papier i pióro, zamierzając napisać do sióstr. Usiadła w fotelu ciotecznej babki Hannah. Tak bardzo tęskniła za nią i za Winnie. Jak miło byłoby mieć taką psinkę na kolanach, móc głaskać jej jedwabistą sierść... Nie byłaby wtedy taka samotna. Pusty dom rozbrzmiewał echem; tyle tu wolnych pokoi, tyle cieni na schodach i korytarzach, takie nieruchome draperie i zasłony! Kiedy siedziała sama, pociągając nosem, przestraszyła się, że może już zawsze tak będzie? Może Rob nigdy nie wróci? Ani Aidan, ani siostry? Eva odsunęła papier i pióro. Przecież to czysta głupota pisać do Marianne, skoro ona od tak dawna nie daje znaku życia!

Kraciasty pled Hannah leżał na poręczu fotela. Eva owinęła się nim szczelnie. Był stary i wytarty, jednak ciągle pachniał kojąco kamforą i fiołkami. Wiedziała, że powinna się położyć, chociaż po raz pierwszy tego dnia było jej naprawdę dobrze. Powieki same opadały; zwinęła się w kłębek na fotelu. Przez głowę przelatywały jej myśli: Dopilnować pani Garrett, żeby sprawdziła zapas papieru pakowego i juty na worki... Sprawdzić, czy ta wstrętna dziewczyna z pakowni... jak jej na imię... Sally? No więc, czy ta Sally zamierza w ogóle pojawić się w pracy... Muszę pamiętać...

Zasnęła. Śniło się jej, że znowu były dziećmi i bawiły się na plaży. Marianne ze spódnicą upchniętą w majtki zbierała muszelki. Iris i Clemency grały w berka, Eva

budowała zamek. Właśnie zatknęła na wieży papierową flagę, kiedy usłyszała, że Iris ją woła. Nie chcąc przerywać, udała, że nie słyszy, ale Iris nie przestawała jej wołać, coraz głośniej i głośniej.

Eva otworzyła oczy. Przed nią – w granatowym płaszczu i kapeluszu – stała Iris. Eva zamruwała oczami, chcąc odpędzić sen, ale siostra nie zniknęła.

– Iris? To naprawdę ty? – zapytała.

Iris pokiwała głową.

– Wróciłam do domu.

Eva rzuciła się jej na szyję.

– Och, Iris! – wykrzyknęła i wybuchnęła płaczem.

15 Były to tzw. Pals Battalions – „Kumpelskie Bataliony”.

16 VAD – Voluntary Aid Detachment – Ochotnicza Służba Sanitarna.

Rozdział siedemnasty

Ned Fraser przywiózł jej z White Cliffs opale. Trzymając je pod światło, widziała uwiecznione w kamieniu kolorowe żyłki.

– Poszukiwacze opali mieszkają w białych jaskiniach pod ziemią – powiedział. – Zabiorę cię tam, Annie, jeśli zechcesz.

– Kiedyś, Ned. Kiedyś...

W Redburn Hotel pracowała już od roku. Kiedy przyjechała z George'em do Broken Hill, wędrowała od sklepu do hotelu, od pubu do pralni w poszukiwaniu pracy. Za każdym razem spotykała się z odmową – jej szczupła sylwetka i cichy, miękki głos zupełnie nie pasowały do tych miejsc. No i oczywiście dziecko. Ale w końcu zlitowała się nad nią Jean Redburn, niska, przysadzista, rzeczowa wdowa, właścicielka hotelu.

– Możecie zamieszkać w pokoiku na zapleczu. Czynnś potrączę ci z zarobków, a moja trójka będzie miała oko na George'a. – Wzięła małego pod brodę. – Moja Jennie pokocha cię, chłopaczku.

Z początku Marianne sprzątała i zmywała naczynia, ale po kilku tygodniach Jean zaproponowała jej pracę w barze.

– Masz ładną buzię, Annie – stwierdziła pewnego wieczora. – Gdybyś tylko zechciała częściej się uśmiechać! Moje chłopaki lubią popatrzeć na ładne buzie.

„Chłopaki” Jean byli górnikami, którzy doprowadzili Broken Hill do rozkwitu. Wydobywali z ziemi srebro i ołów. W każdy piątkowy wieczór ciągnęli do hotelowego baru; jedni nie zdejmowali nawet brudnych, roboczych kombinezonów, inni stroili się w najlepsze ubrania. Bar rozbrzmiewał ich okrzykami, śpiewem i śmiechem. Jeśli zdarzyła się bójka, Jean chwyciła wiadro i oblewała walczących zimną wodą, a gdy to nie pomagało, wyrzucała ich na ulicę.

Marianne nie zamierzała pozostać długo w Broken Hill. Chciała po kilku miesiącach przenieść się gdzie indziej, tak jak robiła przedtem. Tak było lepiej, bezpieczniej. A jednak, mimo wszystko, została. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że raczej nie znajdzie bezpieczniejszego miejsca. Chociaż wciąż miewała złe dni – kiedy dostrzegłszy na ruchliwej głównej ulicy mężczyznę o jasnych włosach i charakterystycznej sylwetce, czuła na plecach zimny dreszcz – ostatnio zdarzały się jej coraz rzadziej. Broken Hill, położone pośrodku tysięcy hektarów pustkowie, niełatwo byłoby odnaleźć.

Nadal jednak dręczyły ją koszmarne sny. Wraciły do niej wtedy chwile ucieczki z Blackwater, kiedy to wędrowała chwiejnym krokiem, górską ścieżką, z George'em na rękę, oglądając się raz po raz za siebie w obawie przed pościgiem. Wracił zgiełk i harmider bazaru, przez który przeciskała się w świątecznym tłumie, zmierzając w stronę dworca. W wagonie trzeciej klasy nikt nie usunął się na bok, żeby zrobić jej miejsce, nikt nie mamrotał pełnych szacunku pozdrowień. Usiadła na jedynym wolnym skrawku, na końcu twardej ławki. Jakiś żebrak, który usadowił się na podłodze, wyciągnął rozcapierzoną dłoń, przez korytarze przeciskali się handlarze, oferując orzeszki

i słodczy. Marianne cieszyła ta anonimowość – uważała ją za swoją tarczę.

W Colombo odnalazła holenderski statek pocztowy, którym zabrała się aż do Singapuru. Stamtąd parowymi promami podróżowała od jednego portu do drugiego. Gdzieś pomiędzy Singapurem a Surabayą przebrała się znowu w europejską odzież i występowała teraz jako Annie Leighton, wojenna wdowa z synkiem. Przyzwyczała się do kabin trzeciej klasy w cuchnących olejem czeluściach statków i do spania na pokładzie podczas gorących, tropikalnych nocy, z George'em w ramionach. Pieniędźmi gospodarowała nad wyraz oszczędnie i nigdy nie zwracała na siebie uwagi.

Dwa miesiące po opuszczeniu Blackwater dotarła do Sydney. Do tej pory wydała większą część oszczędności, pracowała więc dorywczo jako sprzątaczką i szwaczką, posuwając się coraz bardziej w głąb przepastnego kontynentu Australii. W trakcie podróży obserwowała z zadowoleniem, jak George stopniowo wyzbywa się lęków i napadów złości, stając się – jak tego oczekiwała – zrównoważonym, pogodnym dzieckiem. Musiała zwalczać w sobie odruch rozpieszczania go i niespuszczania z oka przez cały dzień.

Odkryła w sobie zupełnie nowe zdolności. Pielęgnowała synka w chorobie, szyła mu ubranka, karmiła go i doglądała. Nauczyła się gotować, rozpalać ogień, czyścić do połysku płytki podłogowe, a także radzić sobie z grzechotnikami, wściekłymi psami i natrętnymi górnikami.

Okazało się, że nabyła też talentów ciemniejszej natury. Nauczyła się kłamać i kraść. Nauczyła się zabijać.

To była cena, jaką musiała zapłacić za wolność. Nie jedyna: Marianne obawiała się, że jest skazana na samotność do końca życia. Nie miała prawa nikogo pokochać ani też wrócić do kraju. Gdyby się okazało, że Lucas żyje, to by ją tam odnalazł i odebrał jej dziecko. Jeśli natomiast nie żyje, to znaczy, że go zabiła. Może udałoby się przekonać sąd, że jego śmierć nastąpiła w wyniku wypadku (uderzył głową o gzyms kominka, kiedy próbowała się przed nim bronić), ale przecież ona sama знаła prawdę: chciała jego śmierci. Dziwne było takie życie w zawieszeniu – nie wiedziała przecież, czy jest jeszcze mężatką czy już wdową, natomiast nie miała złudzeń co do jednego: że jest morderczynią.

Pomimo jednak długiej podróży, jaką odbyła z Summerleigh do Broken Hill, niczego nie żałowała. Z Arthurem przeżyła rok idealnego szczęścia – to więcej niż niektórzy ludzie w ciągu całego życia. A dzięki małżeństwu z Lucasem miała teraz George'a. Miłość, jak widać, może być zrodzona z nienawiści.

W wolne wieczory chodziła czasem z Nedom Fraserem na spacer nad jezioro Menindee, gdzie z wody sterczały drzewa o czarnych gałęziach, a nad głowami krążyły orły. Ned opowiadał jej o swojej rodzinie w Szkocji.

– Pisujesz do nich? – zapytała.

– Kiepsko u mnie z pisaniem, ale od czasu do czasu coś im posyłam.

– Co na przykład?

– Jakieś zdjęcie... Raz posłałem im opale z White Cliffs. – Wrzucił kamyczek do jeziora. – Po mojemu, musowo trzeba podtrzymywać kontakty. Co to byłby za świat, gdyby ludzie nie wiedzieli, że ktoś o nich myśli...

Wieści o wybuchu wojny dotarły nawet do Broken Hill. Marianne coraz częściej

przylapywała się na myślach o najbliższych: czy przeżyli i czy przypadkiem – wobec jej milczenia – nie uznali jej za zmarłą?

Czasem – jak powiedział jej Arthur na pierwszym spotkaniu – trzeba zaryzykować. Pewnego dnia poprosiła Neda, żeby jej kupił opale. Trzy – po jednym dla każdej z sióstr. Owinęła je watą i zapakowała do pudełeczka.

Miała swoje zdjęcie – z George'em, w najlepszej sukience. Zasuszyła kwiatek z ogrodu, jaki urządziła przed hotelem, dołączyła jeden z rysunków synka i przekazała paczkę wędrownemu handlarzowi, który zatrzymał się w hotelu. Obiecał, że znajdzie kogoś, kto nada ją na poczcie w jakimś dalekim mieście. Marianne nie napisała rodzinie, gdzie mieszka. Jeszcze nie pora. Może kiedyś... Jak poczuje się bezpieczna.

Iris wyjaśniła Evie, że przełożona wysłała ją do domu.

– Powiedziała, że potrzebuję wypoczynku. To pewnie przez to – mówiła, zdejmując kapelusz. – Chyba myślała, że zwariowałam.

Eva wpatrywała się w nią z przerażeniem.

– Twoje włosy! Twoje piękne włosy!

– Miałam wszy. Pewnie podłapałam je od któregoś z żołnierzy. Chyba się już ich pozbyłam, dali mi jakieś świństwo do mycia głowy. Ale ilekroć o tym pomyślę, zaraz się drapię.

Powiedziała Evie, że nie wróci już do Francji; skończyła z pielęgniarstwem na zawsze i zamierza zostać w domu. Eva pomyślała, że siostra wygląda na zmęczoną. I jaka jest chuda!

Opiekowały się sobą nawzajem. Jedna drugiej nosiła śniadania do łóżka, tak żeby mogły powylegiwać się na zmianę. Iris wystawała w kolejkach do sklepów i pomagała w domu. To ona wynalazła w pobliżu Scarborough ekskluzywny dom zdrowia. Wysłały tam matkę na wypoczynek i kurację.

Wieczorami odbywały niekończące się rozmowy. Eva dowiedziała się, że Ash trafił na listę zaginionych.

– W takim razie nic nie wiadomo na pewno – zauważyła.

– To samo mi powiedział przy ostatnim spotkaniu.

– Nie wolno ci tracić nadziei, Iris.

– Ale ja wiem, co znaczy „zaginiony”: prawdopodobnie rozerwało go na strzępy i nawet nie ma czego pochować... – tłumaczyła Iris z rozpaczą w oczach.

Eva zmieniła temat, ale w tajemnicy przed siostrą napisała kilka listów. Do Ministerstwa Wojny, do dowódcy Asha, do szpitali wojskowych i Czerwonego Krzyża.

Z frontu zaczęły wreszcie napływać lepsze wiadomości. Bitwa pod Arras przyniosła jeśli nie całkowite, to przynajmniej częściowe zwycięstwo, więc była okazja do świętowania – tak rzadka w ciągu ostatnich lat. W tym samym miesiącu do wojny po stronie aliantów przystąpili Amerykanie. Chociaż ich ochotnicza armia nieprędko jeszcze miała być gotowa do walki, Eva wierzyła, że amerykańska siła i energia musi wreszcie dać jakieś rezultaty.

Iris przebywała w domu już trzy tygodnie, kiedy pewnego dnia Eva zastała ją

wieczorem zalaną łzami.

Na widok listu w ręku siostry zamarło jej serce.

– Iris...

– To Ash...

– Och, jak mi przykro...

– Nic nie rozumiesz. On żyje! – Radość mieszała się ze łzami. – Żyje!

W batalionie było dwóch poruczników o nazwisku Wentworth. I to ten drugi, Alan Wentworth, poległ pod Monchy-le-Preux. Ash został ciężko ranny, ale choć wyglądał na bliskiego śmierci, zabrano go na noszach do punktu opatrunkowego, a stamtąd do szpitala, gdzie przez kilka dni nie odzyskiwał przytomności. Kiedy mu się polepszyło, napisał do Iris do Etaples, list wrócił jednak z adnotacją, że przeniesiono ją gdzie indziej. Ash nie zdawał sobie sprawy, że Iris uważa go za martwego, dopóki nie dotarły do niego listy od Evy i Davida Richardsona.

Iris pojechała go odwiedzić. Przy wejściu na oddział zatrzymała się, wodząc wzrokiem po łózkach. Chciała się jakoś przygotować, ochłonać. Wiedziała, że Ash nie będzie już taki sam – jak oni wszyscy zresztą. Nie może mu okazać, co przeżyła, musi być łagodna i czuła. Ostatnia rzecz, jakiej mógłby pragnąć ranny żołnierz, to zalewająca się łzami narzeczona.

Wytrwała w swym postanowieniu tylko do pierwszego pocałunku. Potem, kiedy przyjrzała się z bliska jego bliznom, okaleczeniom, bandażom i temu wszystkiemu, co zrobiła z nim wojna, nie mogła powstrzymać wyrzutów:

– Och, Ash! Przecież mówiłam, żebyś na siebie uważał! Mówiłam!

Wziął ją w ramiona.

– Nie płacz, kochanie. No przecież jestem, prawda? Nie płacz już, proszę...

Pobrali się w lipcu 1917. Eva wiedziała, że nie jest to ślub w wielkim stylu, jakiego Iris kiedyś pragnęła, ale siostra wyglądała pięknie w koronkowej sukni ślubnej matki, a Ash – chociaż wciąż chodził o lasce – zadawał szyku w wojskowym mundurze. Pogoda dopisała, na ceremonii zjawiła się cała rodzina – Clemency, Lilian i Philip, nawet Aidanowi udało się dostać przepustkę.

Przyjęcie urządzili w Summerleigh. Zachomikowali wcześniej trochę zapasów, a Aidan przywiózł z Francji kilka butelek szampana. Stół przystrojony był białymi i różowymi różami z ogrodu, a pani Bradwell upiekła tort.

Po przemówieniach i torcie wyszli do ogrodu. Zastanawiali się nad tańcami, ale ostatecznie zrezygnowali z tego pomysłu. Goście pomалу zaczęli się rozchodzić.

– Moje tabletki! – wykrzyknęła nagle matka, łapiąc się za głowę. – Moja biedna głowa... Evo, kochanie...

Idąc przez ogród, Eva widziała Asha z Iris siedzących w sadzie, pod drzewem. Aidan rozmawiał z Clemency. Philip namawiał jej przyjaciółkę Otilie do hodowli świń:

– Ludzie przeważnie mają zupełnie błędne wyobrażenie o świniach. A to cudowne

zwierzęta, takie inteligentne i czyste...

Eva znalazła w sypialni tabletki i właśnie schodziła na dół, kiedy zapukano do drzwi.

Listonosz wręczył jej paczkę. Z początku pomyślała, że to jeszcze jeden prezent ślubny, ale gdy przyjrzała się charakterowi pisma, poczuła gwałtowne bicie serca.

Zawołała siostry.

– O, paczka – zauważyła Iris.

– Do kogo? – spytała Clemency.

– Do nas – odparła Eva. – Do nas wszystkich. To od Marianne.

Przecięła sznurek i złamała pieczęć. Po usunięciu licznych warstw papieru ujrzały błyszczące opale, dziecięcy rysunek i fotografię. Clemency rozprostowała papier i przeczytała:

– „Dla wszystkich moich sióstr”.